

Sezonowa miłość



GABRIELA ZAPOLSKA

Sezonowa miłość

I

Wróciwszy do hotelu pani Tuśka raz jeszcze przeliczyła pieniądze.

Miała całe czterysta rubli, bo w Krakowie starała się nie kupić nic prócz rzeczy niezbędnych dla siebie i Pity.

Trzy kapelusze, dwie parasolki, cztery metry aplikacji, kilka par bucików białych i szarych (tych karlsbadzkich), za które w Warszawie zapłaciłoby się trzy, cztery razy tyle...

Za to ani ona, ani Pita przez dwa dni nie jadły obiadu. Piły kawę, jadły ciastka, nawet i szynkę przyniesioną w sekrecie pod peleryną do hotelu.

Oszczędność przede wszystkim! — Tuśka zniosła nawet afront pokojowej, która znalazłszy koło umywalni zatłuszczony papier z okrawkami szynki, przestała jej mówić „jaśnie pani”.

Lecz Tuśka i ten cios dźwignęła z heroizmem.

Przechyliwszy się przez okno, wsłuchiwała się w jęczące melodie Mariackiego hejnału. Udawała, że ją to zajmuje nad wyraz. W gruncie rzeczy jednak cierpiała nad zanikiem szacunku u wykrochmalonej hotelowej sługi i z cierpienia tego wykwitł (jak zresztą zwykle w takich razach) żal — do męża.

— Przez niego — pomyślała — i przez to, że się muszę oszczędzać i mam mało pieniędzy.

Pita spała opakowana papataczami¹ i drożdżowymi ciastkami. Rozrzuciła dokoła siebie prześcieradła i całą masę delikatnych i złotych, jak żdźbła żyta, włosów.

Tuśka zbliżyła się do śpiącej córki i machinalnie narzuciła na nią prześcieradło.

— Wiecznie się rozkrywa — pomyślała prawie ze złością.

Powróciła znów do okna i wzrokiem ogarnęła olbrzymią przestrzeń Rynku, na której dźwigała się jasno oświetlona dołem masa Sukiennic. Zdawało się, że jest to jakieś olbrzymie mauzoleum, obsadzone dokoła grzędą świetlnych tulipanów. I coraz dalej, po Rynku wznosiły się bukiety żółtawych świateł, przeciętych nagle brutalną linią białej, oślepiającej lampy łukowej. Na bruku czerniało mrowisko ludzi i płynęły jak szalupy tramwaje. Ostry odgłos dzwonka szarpał nerwy. Niby to były wszystkie wzięte razem odruchy życiowe, a przecież jakaś bezbrzeżna pustka, nuda i szarość przysłaniała wszystko szarym, nieprzeniknionym całunem.

Tuśka wlepiła swe oczy w płonące bukiety lamp i znów machinalnie obliczała pieniądze.

— Czterysta rubli, to pięćset guldenów...

I zaraz przyszła jej myśl ostra i niemila:

— Gdzie ja podziałam już około stu rubli?

Zaczęła natężyć umysł wspomnieniami wydawanych pieniędzy.

— Musieli mi ukraść czy co...

Aż nią targnęło — zdawało się jej, że jacyś złoczyńcy obdarli ją żywcem ze skóry i taką obdartą pozostawili na słotę i spiekotę słońca.

— Musieli mnie gdzieś okraść.

Lecz powoli przychodziła refleksja.

— Nie, nie... zobaczymy...

Liczyła teraz cyfry i doliczyła się rzeczywiście wydanych pieniędzy.

¹papatacz — rodzaj ciasta lub ciastka drożdżowego z rodzynkami i cynamonem. [przypis edytorski]

— Ładnie będzie, jeżeli tak dalej pójdzie... nim dojadę do Zakopanego, nie będę miała centa przy duszy.

Znów ogarnęła ją złość na męża.

— Przez niego muszę się martwić i nerwy sobie targać.

Nogi ją bolały.

Usiadła na krześle wstawionym we framugę okna. Oparła łokieć, z którego zsunęła się niebieska flanelowa matinka², i patrzyła ciągle w przestrzeń. Lecz teraz nie liczyła lamp i nie równała siły światła ze światłem lamp płonących na ulicach Warszawy — cofnęła się jakby wstecz, jakby w głąb siebie i mimo chęci i woli zaczęła przeżywać swoje codzienne, zwykłe życie, tam na Wareckiej, na drugim piętrze, we wnętrzu niewielkiego mieszkania, w którym tłoczyli się w kilkoro, zawsze skryci, nieufni, jakby wszyscy w niedomówieniach i domysłach pogrążeni.

Ten brak szczerości był znamioną cechą całego ich pożycia. Każde dziecko miało już w sobie to coś „między liniami”, czego nie wykazywało w chwili nawet, zda się, najserdeczniejszej.

Czy szło to od matki, czy od ojca, tego zbadać nikt nie mógł, bo pomiędzy Tuską a jej mężem było pod tym względem wielkie podobieństwo, nieledwie identyczność moralna.

— Zawsze politykujemy... — myślała nieraz Tuśka i gdy całowała w głowę wychodzącego z domu do szkoły syna, czuła, że to „polityka” to poddanie się grzeczne chłopca i to jej niby rozserdecznione zbliżenie, ten wiatyk na drogę...

W ciasnym mieszkaniu, gdzie najlepszy pokój stał pustką, „salonem” ochrzczony i zastawiony masą palm i fikusów, nikt z tych ludzi kilkorga nie objął się o drugiego moralnie ani fizycznie i nikt nikomu przemocą do duszy się nie wdzierał.

Obchodzili się cicho i mieli dla siebie zdawkowe uśmiechy.

Gdy powiększyło się ich grono o jedną jeszcze żywą istotę, przyjmowano ją z pewną kurtuazją, ścięśniając się tylko trochę na przestrzeni życiowej.

— Tak będzie najlepiej, cicho i spokojnie — zdawali się mówić do siebie wszyscy, gdy zgromadzili się przy obiedzie lub wieczornej herbacie.

Rozmawiali wtedy, ale była to rozmowa nie poruszająca nigdy tej drugiej warstwy ich dusz.

Zdawało się, że czynią to przez delikatność, a była to, zda się, trwoga, aby nie ujrzeć nagle właściwych swych rusztowań.

Błędy i nałogi dzieci, jakkolwiek pod pokrywką grzecznego ułożenia schowane, istniały niemniej groźne i tragiczne. Nie poruszało się nigdy ich kwestii, obchodziło się mimo, tak jak ich skrofaliczne tendencje organizmu...

— Tak będzie najlepiej.

Z wolna wyjęczała dziewczęta na miejskich zegarach.

I znów z wyżyny pruć zaczął powietrze hejnał, nawoływał, jęczał, rozdierał samotne serca, zatopione w sobie albo we własnych wspomnieniach.

Przez myśl Tuśki przesunął się „mąż” — ten chudy, łysawy mężczyzna — drobny, grzeczny, niepozorny, który tak mało miejsca w domu i życiu zdawał się zajmować. Od lat całych „nie widziała” go przed sobą. Był zawsze obok niej, nawet w chwilach zbliżenia. Nie przychodziło jej na myśl spojrzeć na niego, dopiero w chwili odjazdu spojrzała nań całymi oczyma.

Stał na peronie kolejowym w swym zielonawym, wyszarzanym palcie. Wyszedł z biura, aby odprowadzić ją i Pitę. Wydał się jej dziwnie mizernym i postarzałym.

— Jedź, lecz się i uważaj na siebie! — mówił do niej, wychylonej przez okno wagonu.

Głos jego był matowy, ochrypły.

Patrzył na nią spłowiłymi oczyma, otoczonymi siatką zmarszczek, lecz zdawał się jej nie widzieć.

— A pisz!...

Chciała i ona mu coś powiedzieć, coś jakby serdecznego, nie mogła jednak naprędce znaleźć nic odpowiedniego.

— Gdyby jednak — zaczęła — to jedzenie w restauracji nie służyło ci...

Lecz on uśmiechnął się blade.

²matinka (z fr.) — poranny ubiór damski; podomka, szlafroczek. [przypis edytorski]

— Ach, nie... — wyrzekł niedbale — nie pozwolę odejść kucharce, dopóki chłopców nie wyślę do Kalinówki. Będą jedli w domu. Zresztą to zaledwie tydzień.

— Ja też nie mówię o chłopcach, chodzi mi o ciebie...

Spojrzał na nią troszeczkę zdziwiony i zaraz uśmiechnął się uprzejmie, lecz jakby z przymusem, i pochylił trochę głowę.

— Dziękuję ci, nie troszcz się o mnie. Ja mam zdrowy żołądek...

Przechodził chłopiec roznoszący pisma ilustrowane.

— Może ci co kupić? — zapytał.

W tej samej chwili Pita wyjrzała z wagonu.

Błądziła roztargnionym spojrzeniem po peronie, po palcie wytartym ojca, po jego bladym uśmiechu, a policzek jeden miała wydęty angielskimi cukierkami, które wiecznie ssala.

— A może Pita chce pomarańczę? — zapytał Żebrowski.

Natychmiast dziewczynka grzecznie bardzo odpowiedziała:

— Dziękuję tatusiowi!

Ale on przywołał przekupnia i wybrał dwie duże pomarańcze, silnie czerwone.

Wybierał starannie, macając skórkę chudymi, klekocącymi palcami.

Wreszcie zapłacił i pomarańcze do okienka, w którym wciąż jak w ramie bielala twarz Pity, podniósł.

— Proszę cię, moje dziecko...

Ale Pita uważała za stosowne ceremonizować.

— Nie... nie... dziękuję...

Pani Tuśka wmieszała się z grzeczną interwencją:

— Ależ, moje dziecko, weź, skoro tatuś taki dobry...

— Zrób mi tę przyjemność — prosił ojciec.

Pita wzięła pomarańcze, lecz nie zniknęła z nimi we wnętrzu wagonu. Stała ciągle przy oknie i na tle szarego płaszczyka te ognisto barwne owoce ciągnęły oczy malarskim, ślicznym kontrastem barw.

Wymienienie tych uprzejmości, zdawało się, iż na chwilę wyczerpało całą tę rodzinę, i wszyscy umilkli, nie mając już sobie nic w chwili rozstania do powiedzenia.

Pani Tuśka myślała, iż źle robiła nie biorąc na drogę lepszej sukni. Panie, które wchodziły do wagonów, ubrane były świeżo i elegancko. Postanowiła ubrać się w Krakowie via Chabówka-Zakopane elegancko i zgrabnie.

Milczenie przedłużało się. Widocznie każde z tych trojga żyło w tej chwili w swoim odrębnym świecie.

Nagle gwizd przeraźliwy rozległ się w powietrzu — drzwi wagonów zatrzaskiwały się pośpiesznie, ktoś przelatywał z drugiej strony pociągu, wołając ochryplym głosem.

Równocześnie Żebrowscy oboje ocknęli się z oddali, w której już znajdowali się pomimo pobliza.

— Jedziemy?

— Tak...

Łańcuchy szczęknęły, zakolysały się wagony.

Pita, Tuśka i Żebrowski uśmiechali się jednakowo, blado, uprzejmie.

— Bądźcie zdrowe!

— Ucałuj chłopców!...

— Tak... tak!...

Tuśka wysunęła rękę, Żebrowski uściśnął ją, ku Picie powiał kapeluszem. Uprzejmość całej rodziny zwiększyła się znacznie; widocznie chciano wyładować wzajemnie pewną ilość grzeczności, aby nic sobie nie pozostać dłużnymi.

Pociąg zaczął dreptać coraz szybciej, charcząc, gdakając gniewliwie.

Żebrowski stanął na peronie i ciągle jednako uśmiechnięty, klaniał się w stronę odbiegającego wagonu.

Dwoje rącek dziecinnych oddało mu przez chwilę ukłon, następnie powiało ku niemu ramię żony w szerokim rękawie piaskowej, wełnianej bluzki, aż wreszcie znikło wszystko.

Żebrowski przestał się uśmiechać; zdawało się, iż zdjął ten zdawkowy uśmiech jakby maskę z twarzy i schował go gdzieś daleko w swym duchowym zanadrzu.

I skręciwszy na miejscu, mechanicznym, bezmyślnym krokiem wyszedł z peronu.

*

Tymczasem pani Tuśka zajęła miejsce w przedziale drugiej klasy.

Naprzeciw niej usiadła Pita, a ten sposób siadania, elegancki, sztywny, drewniany był całym poematem „ślicznie ułożonej dziewczynki”.

Wyjęła z kieszonki paltocika czyściuchną chusteczkę, rozłożyła ją na kolankach i białymi paluszkami zaczęła obierać pomarańcze.

Pani Tuśka patrzyła chwilę na córkę.

Gdy nagle pociąg wyjechał na czyste pole, w jasnym świetle wypłynęła dokładnie gładziucha, młodziutka twarzyczka dziewczynki.

Drobne usteczka zacięte nikły prawie w żółtawobiałej cerze prerafaelowskiego aniołka, cieniuchne pasma wysilonych włosków bramowały czoło trochę podłużne, wypukłe.

Jasne rzęsy zakrywały oczy bładobłękitne, pocętkowane rudymi plamkami.

Całość dziewczynki była chłodna, zamknięta w sobie — silnie już indywidualna.

— Do kogo ona podobna? — myślała Tuśka. — Oczy moje... włosy niewiadomego koloru, twarz nadto ściągła.

Nagle dziecko rozłożyło na rączce obraną i podzieloną na ćwiarteczki pomarańczę i jakby różę krwawozłocistą podało matce.

— Proszę... mamusiu — wyrzekła uprzejmie.

Uśmiech blady, zdawkowy, ten uśmiech, wyhodowany tam, na Wareckiej, jak kwiat cieplarniany, rozszerzył wąskie i tak specjalnie zaciśnięte usta dziewczynki.

— Proszę, mamusiu.

Tuśka machinalnie wzięła ćwiarteczkę owocu i jakby w zwierciadle, na ustach swoich odbiła uśmiech córki:

— Dziękuję ci!

A równocześnie myślała:

— Ależ to jego uśmiech, to cały ojciec!

Nie widziała w tej chwili siebie i nie czuła zwierciadlanej dokładności, z jaką wyraz twarzy córki odbił się na jej własnej twarzy.

II

Przejęczała znów jakaś godzina nad ciemną głębią Rynku.

Do studni tej, wilgotnej wiecznie i pełnej nieuchwytniej „chandry”, wpadły te dźwięki obojętne, jakby szcęk łańcuchów motanego w górze, na walcu, wiadra.

Z wiadrami, rozpiętymi na skrzydłach, pochylało się nad tą studnią Przeznaczenie i wylawiało ze smutnej studni fale ludzkich konwulsji lub zaników — „życiem” pospolicie nazwane.

Konwulsją mózgu był w tej chwili żal Tuśki do męża za to, że tylko taką, nie zaś większą sumę zdołał dać jej „na Zakopane”.

Wprawdzie wiedziała, z jaką trudnością zbierał i te pieniądze, lecz to jej nie rozbrajało.

Przeciwie, ogarniała ją pewna pogarda teraz, gdy go nie widziała przed sobą w zniszczonym paltocie i z pokrajaną bruzdami twarzą.

— A wreszcie mógł wziąć palto na wypłaty — pomyślała wyruszając ramionami — ja to robię, a korona mi z głowy nie spada. Skoro mi da miesięczną pensję na dom, zanoszę ratę do krawcowej i wszystko jest w porządku. Nie chodzę nigdy jak dziadówka...

Zastanowiła się, iż zanadto zajmuje się mężem i jego paltotem.

— Niech sobie robi, co chce. To przecież jego, nie moje pieniądze...

Poszła za mąż bez posagu, tak, miała tylko porządną, obywatelską wyprawę. Ale on wiedział, że bierze pannę z dobrego domu i że musi „starać się o to”, aby miała to, do czego przywykła.

„Starał się” — i zdaje się, że to było zupełnie naturalne.

Ona nawzajem starała się być dobrą żoną i dobrą matką. Płaciła mu uprzejmością za jego uprzejmość. Ich świat wewnętrzno-zewnętrzny był w porządku.

Dwanaście lat pilnowała usilnie, aby nic ze zbytecznych i targających spokój i pewną przyjętą równowagę odruchów nie wypłynęło na powierzchnię, pod którą kryły swe zagadkowe głowy.

I dlatego z dumą osądziła, że jest „stróżem domowego ogniska”.

Mimo to dziś właśnie i dlatego może głównie, iż oddaliła się od owego „ogniska”, przesiąkniętego wilgocią bezustannie zlewanych wodą fikusów, palm i rododendronów, czuła w sobie jakiś niepokój, coś niewyraźnego, tak jakby patrzyła na jakąś źle odgrywaną komedię z wysokiej galerii.

Może dlatego, że dziś w cukierni przeczytała w jednej z galicyjskich gazet obszerny felieton, noszący w sobie myśl, a na grzbiecie tytuł *Starzy i młodzi*.

Szeregi literek drobnych, ustawionych rzędami, wywoływały wieczystą walkę pomiędzy tymi, którzy odchodzą, a tymi, którzy przychodzą.

„Dziś — tak jak zresztą zawsze — ojcowie i dzieci, starzy i młodzi, nie tylko ze się nie rozumieją, ale nie mają ochoty nawet się porozumieć. A przecież powinni żyć we wzajemnych wielkich ustępstwach, biorąc pod uwagę, że z tych ustępstw może wykwitnąć dla wszystkich zrozumienie Prawdy życiowej. Jeśli starsi bólem doświadczenia Prawdę tę zrozumieli, jeśli młodszy ogniem i siłą intuicji Prawdę odgadli, to powinni wzajemnie oddać ją sobie i dzielić się nią z pośpiechem dobrych mędrców, którzy nie chcą nieść swych mądrości do grobowej ciemni, lecz czynią z nich jasną lampę, płonąca z uczynną chęcią na świat cały”.

Takie były słowa i treść główna artykułu.

— Właściwie, po co to pisać i o co im chodzi? U nas żyjemy wszyscy w zgodzie, a każde z nas, rodziców, chętnie i o ile może, przerabia zadania i dopomaga w nauce dzieciom — myślała Tuśka.

— Zapalamy ową lampę... — uśmiechnęła się — zapalamy niemal co dzień: ja nad francuszczyzną Pity, on nad matematyką chłopców...

Powstała od okna, rada, że znalazła jakieś wyjście z koła, w którym niespodziewanie błądzić zaczęła.

— I po co to pisać... młodzieży podsuwać myśli, że jest nie rozumiana? Takie artykuły oddają najgorszą przysługę rodzicom. Nic więcej.

Przechyliła się przez okno, aby je zamknąć. Z dołu coraz silniej wiała pleśń grobowa zastygającego powoli życia.

— Malaryczne miasto! — wstrząsnęła się Tuśka.

Lecz równocześnie z owym odczuciem dreszczu, czającej się zgniętej febry, coś niepojętego, a zarazem nader silnego, uczepliło się jej ramion.

Była to zgnięta, ciepłarniana atmosfera utajonej i grzecznością pokrytej niepewności, jaka moralnie owiewała ją, ile razy w Warszawie powracała do „domu” z zamiejskiej wybieżki.

Uczuła, że nigdy nie pojmie obecnego stanu duszy tego miasta, nad którym z czerepakami na rozpiętych skrzydłach czekało odziane w czerń — jego Przeznaczenie.

— A zresztą... po co? — pomyślała zamykając okno.

Podeszła do stołu i zaczęła przyglądać się kupionym aplikacjom.

Zmartwiła się, że przy świetle gorzej wyglądają niż we dnie.

— Znów mnie oszukali — pomyślała ze złością.

Manią jej była ta myśl, że ją wszyscy okradają i oszukują w haniebny sposób.

Nagle zastanowiła się.

W sąsiednim numerze mówiono głośno, coraz głośniej, nie troszcząc się, iż drzwi, ironicznie zastawione komodą, całe podziurawione są jak rzeszoto; przez te dziury i szpary filtrowały wyrazy z dokładnością zupełną.

Odzywały się dwa głosy — męski i kobiecy.

Ten ostatni dominował, podkreślany charakterystycznym podciąganiem nosa — forpocztą płaczu.

Zresztą było to nawet dość tragiczne, tym tragiczniejsze, że głos męski nie tracił ani na chwilę swobody i raz przyjętego tonu.

Zdawało się, że to ktoś, wybornie władający lejcamy, z wysokiego kozła prowadzi dobrze sprzęgniętą czwórkę i ciągle jednaką linią drogi raz wytkniętej jedzie, jedzie bez chwili utraty równowagi.

Tak brzmiał głos męski, spokojny, pewny siebie, młody, łamiący się jeszcze niskimi tony, to tenorowym brzmieniem.

Lecz były to tylko oznaki zewnętrzne, bo tak jak głos i cały charakter był dobrze ustawiony i niełamlivy wewnętrznie.

Natomiast głos kobiecy rozwiewał się i był niepewny. Ni to pokorny, ni to ostry, ale cały przepojony na wskroś kobiecością. Szamotało się to, otłukało po ścianach hotelowego numerku, cichło, peźło, próbowało grozić, a w gruncie rzeczy miało w sobie tragizm bezbronności powszedniej, podniesionej właśnie tą powszedniością do rozmiarów bólu i katastrofy.

— No, tak... ale cóż będzie z dzieckiem? — pytał głos kobiecy.

— Co ma być?... będą z niej ludzie... — odpowiada głos męski.

Zalega milczenie.

— Ona się często pyta o tatusia. Nie wiem, co jej odpowiedzieć.

— Powiedz jej, że tatuś pojechał do Ameryki po posag dla niej.

— Ach, nie... tak nie można. Ona taka rozumna, taka sprytna.

— No... cóż dziwnego!

Parsknięcie śmiechem.

— Moja córka!

I długie milczenie. Ostatnie tramwaje na Rynku wpadają w tę ciszę swym przeraźliwym, szatańskim gwizdem.

— Nie chciałbyś jej zobaczyć? — pyta bojaźliwie kobieta.

— Ależ owszem, kiedyś chętnie przyjadę.

— Och! mówisz już tak trzy lata.

— No, to trudno, nie jestem panem swej woli. Nie trzeba było stąd wyjeżdżać.

— Jakżeż nie miałam wyjechać? Musiałam!

— E!...

— Sam mnie namawiałeś. Przrzekałeś, że przyjedziesz na sezon, na ślub...

— Tylko, proszę cię, nie zaczynaj tej kwestii. Chyba chcesz, żebym zaraz uciekł...

Głos kobiety nie mięknie, stawia się trochę hardo.

— Tak, ja wiem... ty zaraz uciekasz. To najwygodniej.

— Proszę cię, jestem zdenerwowany.

— A ja!...

— Ty? czym? wiedzie ci się dobrze, wyglądasz wybornie, utylaś, podobno do dziecka masz guwernantkę francuską.

— A ty się nie pytasz, skąd mam na to wszystko?

— Co mnie do tego, moja droga. Znasz mnie i wiesz, że jestem dyskretny!

Aż huczy od tej dyskrecji i wygodnej polityki naokoło płacznego głosu kobiety.

— Dyskretny!...

— Spodziewam się. Inny na moim miejscu nie mówiłby z tobą, odwrócił się, a ja zawsze przychodzę, ile razy mnie wezwiesz. Czy masz mi co do zarzucenia? No... powiedz!... no... no...

Przez zęby zaciśnięte pada:

— Dyskretny!...

I zaraz uderzenie pięścią, drobną pięścią w stół i wyplute raczej niż wypowiedziane:

— Podły!...

— O! o!... nie wiem, kto z nas dwojga. Czy ty, która w tej chwili ciskasz się jak przekupka, czy ja, który mimo wszystko podaję ci jeszcze rękę i staram się nie zapominać, że jesteś matką naszego dziecka.

Wypowiedziane to było wszystko równo, bez uniesienia, pomimo owego „zdenerwowania”, o którym była poprzednio mowa.

Kobieta znów uparcie powtarza:

— Dyskretny!...

I wybuchła silnym, zawodzącym płaczem.

W Tuście budzi się przeogromna solidarność kobieca.

W jednej chwili i ściśle kobiecą intuicją odgaduje całość i linię tej „historii”, ogromnie zwyczajnej i ogromnie przez to smutnej.

Pomimo mieszczańskiej moralności, jaką jest opancerzona, czuje, że tamta, przez drzwi łkająca kobieta, jest w prawie roztaczać taką głośną rozpacz i manifestować wielkość swego bólu. Nie ma bowiem w tym jęku nic bezwstydnego ani narzucającego się, jest tylko łkanie człowieka, przed którym bezlitośnie objawiło się jego przeznaczenie, idące naprzeciw niego z narzędziami męki w wyciągniętych dłoniach.

Lecz Tuśka nie odczuwa jeszcze, iż tak być musiało i że ta kobieta łka teraz i tarza w bólu swą głowę o twarde poduszki hotelowego łóżka, a duszę w całym polu cieni okwitłych krwią jej złudzeń, dlatego że jeden łańcuch faktów wziął początek przed wiekami w tym kierunku i zajął ją w swe ogniwa, ją i jej łzy.

Tuśka do tego punktu patrzenia na objawy życia przez zaczątki nie doszła, bierze sam objaw i w niego się wnurza gwałtownym impetem swej wiecznie trzymanej na uwieży natury.

— Dlaczego ona tylko płacze? — myśli wzburzona. — Dlaczego ona nie powie mu więcej, więcej nad to „podły”, bo przecież to „więcej” aż się samo na usta prosi?

A może wyszedł, może uciekł, tak jak to bywa „najwygodniej”.

Nie, jest. Chodzi teraz po pokoju, chodzi pewnym, równym krokiem. Nie mówi jednak nic. Zapewne ma minę zrezygnowaną i znosi ten płacz z cierpliwością i wspaniałością dyskretną.

Tuśka nigdy nie stanęła tak bezwzględnie z objawami zwyczajnego życia.

Prosto z domu rodziców weszła pod dach męża. Czytała wiele. Ale w książce to pewna ilość czarnych literek mówi „kobieta płakała” i to wszystko.

W życiu taka gama szlochania to sam przez się cały poemat bólu, cała synteza odczucia, poszarpania życia i stoczenia się na dno przepastnej czerni, na którym już się nie klnie swej doli, nie gryzie rąk załamanych, nie targa się tak zwanego sumienia, aby z niego na pociechę wytrząsnąć choćby kilka kropli krwawej własnej winy...

Teraz niemniej Tuśka wiedziała, że są takie bole. Nie czuła ich, nie rozumiała ich ogromu, ale o istnieniu ich miała zupełną świadomość. Nagle to widowisko przeczuwane znalazło się w pobliżu niej z całą potęgą i siłą. Nie wiedziała, jak je przyjąć i ile włożyć z siebie w to, co się dokoła niej rozsnuwać zaczęło.

Rzuciła się cała nerwami i duszą w tę głąb, tracąc miarę i bezstronność widza.

— Dlaczego mu nie powie, że go nienawidzi, że nim gardzi za tę dyskrecję, którą on się tak pyszni. Wszakże to jasne, że ktoś inny wychowuje i łoży na jego dziecko. I on to przyjmuje... bo choć nie bezpośrednio, ale zawsze przecież, skoro to jego dziecko...

Nagle przystanął i dał się słyszeć jego głos:

— A masz papierosy?...

Tuśka wstrzymała oddech.

— Co ona mu odpowie? Porwie się jak lwica, może mu do gardła skoczy, że on nie potrafi nawet uszanować tej jej bolesnej chwili, w której duch w łkaniach się rozłamuje i siatką nad ciałem się rozpina.

Lecz cisza zupełna.

Tylko po chwili — woń papierosa dobywa się przez szczeliny.

Musiała mu gestem wskazać, gdzie były papierosy. Zapalił, a teraz chodzi znów lekko, skrzypiąc nowymi prawdopodobnie butami.

Łkania kobiety przycichają z wolna.

Tuśka siada, przytulona do rogu kanapy, i słucha.

Równocześnie wyobraża sobie i ją, i jego, tak dawniej sobie bliskich, tak bardzo bliskich.

A i to trzecie pomiędzy nimi, ta mała dziewczynka, pielęgnowana przez francuską guwernantkę i żywiona kosztem kogoś nieznanego...

To dziwne być musi uczucie, straszne i pełne grozy, kazać żywić dziecko cudze...

To musi być pełne grozy i wielkiego wstrętu do samej siebie w czasie takich bezsen-nych, długich nocy.

Taki płacz wtedy musi chwytac za gardło, jak ten, który dogorywa tam, za drzwiami w sąsiednim numerze.

Lecz jeśli się ma przed sobą tego, który jest sprawcą tej pełnej grozy sytuacji, gdy mu można wypłuc w oczy całą prawdę i spalić serce łzami...

Wtedy się to wszystko mówi, wtedy się to wszystko rzuca prosto w twarz tak szczer-nie oblepioną maską obojętności i „niebrania nic na serio...”

Tuśka czeka, co będzie dalej. Zdaje się, że czyta jakąś powieść, że za chwilę odwróci kartę i rozpocznie się rozdział, pełen siły i namiętnej nienawiści, że ta kobieta będzie tą zbiorową kobietą, powstając z całym majestatem przeciw majestatowi siły obojętności mężczyzny. Dyszy tam od tej końcowej walki dwóch płci, tej jedności rozerwanej i żądnej połączenia.

Od *Pomyłek aż drży* i jęczy w przestworzu. Błądzą i myślą się ciągle w poszukiwaniu jedności. W spotkaniach i próbach powstają nowe życia, lecz najczęściej to nieharmonijne właśnie zlanie się dwóch istot w trzecią *jedną*, to ten dysonans, ta walka, to rwanie się i ujadanie, rozpaczliwie uwięzione w nowej, nieszczęsnej istocie...

Tam daleko, w Łodzi, mała dziewczynka, zgrabniuchna figurka o zdziwionych i trochę mętnych źrenicach i o silnie rozwiniętej inteligencji nie oczekiwanych na klombie ustaw społecznych kwiatów...

Tak, tak, taka mała dziewczynka.

Pani Tuśka cała aż zastygła w oczekiwaniu katastrofy. Życzy sobie, by tamta kobieta miała siłę wielką, miała i swoją siłę, i jej, Tuśki, siłę odwetu choćby słownego. Zdaje się jej, że to właśnie jest doskonały moment, jedyna chwila, w której może być mowa o całej, pełnej nienawiści, nieprawości podobnego postąpienia.

Tuśka ma w sobie w tej chwili chęć i siłę świeżą, bo nigdy nie potrzebowała zużywać jej w tym kierunku. Jej zatargi ciche z mężem były zupełnie innej natury. Nie było w nich nic ogólnoludzkiego ani tego tajemniczego i groźnego, jakie drży tam, przez ścianę.

Więc...

Łkanie prawie zupełnie cichnie.

Słychać tylko jęk słaby — ot, jakby postrzelone zwierzę skarżyło się gdzieś w głębi lasu.

— Czemu ona płacze? czemu nie mówi?

Lecz teraz słychać kroki mężczyzny ciche i układne.

— Kiciątko!... — mówi mężczyzna — niech kiciątko nie płacze.

Przez Tuśkę przebiega mróz od tych kilku słów.

Taki słodki, miły głos. Takie proste słowa i to „kiciątko” nigdy nie słyszane. Zupełnie jakby ktoś aksamitną łapką gładził, pieścił, tulił.

*

— Kiciątko!...

— Och, ty!... ty!...

I potem prawie szeptem jeszcze wśród łkania:

— Mój! mój!...

— Jak? co?

Więc nic. Żadnych wyrzutów? Żadnej siły? Żadnego majestatu? Żadnych wrogów naprzeciw siebie, ziejących wieczystą nienawiścią i męką?

Takie marne słowo wzniecające dreszcze, jedno „kiciątko” i zaraz zarzucanie na szyję rąk, przemoczonych łzami, przytulenie twarzy, jeszcze gorącej i nabrzmiałej od tarzania się po rozrzuconych dokoła włosach.

I to wszystko dla jednego słowa.

— Tak — ale jakie to! jakie!

Wszystko jedno! ona nie powinna była, nie powinna.

Tak myśli Tuśka, tak *chce* myśleć Tuśka, bo w gruncie rzeczy druga jej warstwa myśli coś zupełnie innego, myśli owym dreszczem, a raczej odczuciem owego dreszczu, jaki przejął ją, gdy słyszała to proste, a tak aksamitne słowo: „kiciątko”.

Tymczasem tam, przeze drzwi, aż się rozszemrało od pocałunków i dobrych słów.

— Więc — mój! dlaczegoś o mnie zapomniał? — pocałuj!... jak dawniej... pamiętasz? — zwłaszcza to „pamiętasz”.

To ona!

A on?

Niewiele słów, lecz ręce zarzucił na jej szyję, włosy gładzi i mówi:

— Kiciątko... a złe, a ładne zawsze...

W Tuśce coś się aż kłębi, aż unosi od sprzecznych uczuć. Za gardło ją chwyta niby rozrzewnienie nieokreślone, którego zanalizować nie umie, jakiś żal, złość, pogarda dla siebie, dla tamtej przebaczącej, dla kobiet w ogóle. Przebacza, ślania się w ramiona. Och! głupia! nędzna!

Takiego pozoru chwyta się Tuśka, ażeby pokryć nim wzruszenie, dreszcz, żal i to coś, jakby zazdrość czegoś nieznanego, a przecież pełnego okrytej dla niej brylantową zasłoną strony życiowej.

Więc porywa się i przez chwilę traci prawie przytomność z podniecającego ją uczucia gniewu.

— Nędzna, przebaczyła!...

Do dzwonka się rzuca i przyciska guzik.

Tak, tak, to bezwstyd takie przebaczenie, ta kobieta ma, na co zasłużyła. Dobrze zrobił, że ją opuścił.

Wchodzi pokojowa, ta sama, która straciła szacunek dla Tuśki, za to, że Tuśka przynosi w papierze szynkę do hotelu.

Tuśka pragnie zrehabilitować się w oczach tej dziewczyny.

— Proszę iść do tamtego numeru i powiedzieć tym państwu, żeby się inaczej zachowywali. Nie jestem przyzwyczajona znosić coś podobnego!

Dziewczyna patrzy szeroko rozwartymi oczami na wzburzoną twarz Tuśki.

— Proszę pani...

— Proszę iść...

— Dobrze, proszę jaśnie pani!

Rozkazujący gest, wspaniała mina naprawiły to, co zepsuło pół funta szynki. Dziewczyna wysunęła się cicho i za chwilę słychać było, jak szeptem coś przekładała w sąsiednim pokoju, tłumaczyła „tym państwu”...

Rozległ się szczery, serdeczny wybuch śmiechu i równocześnie pokorne prawie tłumaczenie się kobiety:

— Ale cóż znowu? Ta pani zwariowała?... My przecież nie robimy nic złego!...

Tuśka drżała teraz jak w febrze i chodziła gorączkowo po pokoju, potrącając meble.

Nienawidziła i siebie, i ich, tych dwoje, którym czuła, że wyrządza krzywdę, obelgę, że policzkuje tamtą kobietę niesłusznie, bo przecież była w prawie przebaczyć, gdy chciała.

Mężczyzna zdecydował nagle.

— Chodźmy stąd. I tak chciałem coś zjeść. Przejdziemy się.

— Dobrze, chodźmy. To jakaś zła kobieta ta pani!

Wychodzą.

Zła kobieta.

Teraz kolej na Tuškę znieść tę obelgę, ten policzek, zadany słowem kobiety jej duchowej istocie.

Gdzieś niegdyś czytała, że najpierwszym obowiązkiem kobiety jest... być dobrą.

A ona była złą.

Na próżno pragnie utwierdzić się w przekonaniu, że postąpiła słusznie, moralnie, etycznie. Nie chciała słuchać szmeru pieśczoł i pocałunków — ona, kobieta moralna i nieposzlakowana. Przy tym te pieśczołoty były z jednej strony wyludzone podstępem i obłudą, z drugiej strony dozwolone głupią słabością i brakiem godności własnej. Były więc zupełnie karygodne i zasługiwały na wypędzenie z ciepłego kręgu, w którym przebywają ludzie uczciwi.

Obowiązkiem kobiety być dobrą.

Powoli zapadała dokoła Tuški cisza. Tramwaje przestały rozdzierać powietrze gwizdem. Martwe miasto układało się coraz sennie, coraz wygodniej w swojej martwocie.

I dusza jego kamieniała, zda się, dźwigając teraz coraz wyżej, i rozpościerała ogromne skrzydła, ciężkie, nabite królewskimi klejnoty i żalobą pajęczyn, rozsnutych wśród milczących sarkofagów.

Tuška przestała chodzić i przytuliła się do ściany, szarzejąc w swej podróżnej sukni na tle żółtego obicia.

Świeca dogasała w lichtarzu, rzucając poszarpane błyski.

Przez twarz Tuški, jak przez chmurę, przewijały się rozjaśnienia dziwne, nieuchwytne, to znów zapadała na nią jakby maska popiołu, starzejąca ją nagle w jednej chwili.

Coś w niej migotało, walczyło, było niepewne, nie wiedziało, jak sobie poradzić z tymi nowymi przejawami życiowych starć i łapek, dobrowolnych układów, które bodaj czy nie są treścią owych nie dopowiedzianych, a podstawowych potęg, stanowiących istotę ludzkiego istnienia.

Tylko na to trzeba sił ogromnych i cofnięcia się wstecz, poza to wszystko, co takim wałem nieprzebytym wzniosło się dokoła nas wszystkich!

Złą była kobietą przed chwilą. Czowała to i rozumiała dobrze. Nie miała w sobie białej i jasnej wyrozumiałości dobrej wróżki, snującej dobroczynne promienie rąk nad chwilami, które osuszają lzy i w ciemnie smutku świetlane promienie wprowadzają. Kazała zejść tej kobiecie w pogardzie spojrzeń służby hotelowej, a uczyniła to prawie bezprzytomnie, pod wpływem ni to szaleństwa wzgardy, ni to gniewu, ni to zawiści. Dlaczego to uczyniła — nie wie sama.

Co oni jej szkodzili, ci dwoje za ścianą, osuszający lzy pocałunkami, a zwłaszcza ta nędzna kobieta, rozsłochana i taka podatna do przyjęcia jałmużny pieśczołoty i dobrego słowa.

Była to chwilowa ułuda szczęścia cichego, wtulenie się w zamknięte ściany, granice świata w zaciśniętych na szyi ramionach...

Ona to wszystko zniszczyła, rozegnała jedną myślą pyszną i nieukróconą. To nawet, co mogło być piękne, to wielkie przebaczenie bezgranicznej kobiecej dobroci zbezczeszczenia brzydką, podejrzliwą myślą banalnej hotelowej awantury.

Uczuła to w głębi duszy jak cierń, jak kolce.

Wstyd ją ogarnął kobiecy.

Może podsunęła im myśl, której nawet nie mieli.

Doznała ulgi na myśl, że na dole, na tablicy, nie kazała pisać swego nazwiska. Miała bowiem w Krakowie daleką rodzinę męża, rodzinę ubogą, taką, do której w ogóle się nie przyznaje, bo odzież wytarta i maniery fatalne, więc wyraźnie zapowiedziała, ażeby nie umieszczono jej nazwiska w spisie gości.

— Nie dowiedzą się, jak się nazywam! — pomyślała prawie z radością.

Lecz zaraz chciała sobie przyznać rację, bo uparta była i pyszna nawet wobec siebie samej.

— Musiałam to zrobić — musiałam, choćby przez wzgląd na Pitę...

Uszcześliwiona, że znalazła pretekst, spojrzała na łóżko, na którym leżała mała.

Dziecko miało oczy szeroko otwarte, lecz leżało nieruchome jak woskowa laleczka.

— Dawno się obudziłaś? — zapytała Tuśka.

— Niedawno, mamusiu!

Tuśka chciała zapytać córkę, czy słyszała cokolwiek z tego, co zaszło, lecz wiedziała, że dziecko wyśliznie się jej grzecznie i nie powie prawdy.

— Śpij, proszę cię. Już późno.

— Dobrze, mamusiu!

Pita natychmiast zamknęła oczy i długie, jasne rzęsy zapadły na śliczne szafirowe oczy.

Lecz wyraz twarzy dziecka, zwłaszcza kąciki jej bladych ustek kryły w sobie jakiś zagadkowy, tajemniczy wyraz, który zniknąć nie chciał.

I Tuśka przed tym sfinkсовym uśmiechem córki czuła się bezsilną, zmrozoną, bo tam był jakiś sąd, coś instynktem kierowanego, coś kielkującego, z czego ani to anielskie dziecko, ani ona sama zdać sobie sprawy nie były w stanie.

III

Dziesięć dni są tak same naprzeciw siebie w tej zakopiańskiej chałupie, pełnej nieokreślonej woni rannych smreków i wilgotnego gruzu.

Matka i córka błądzą wśród czterech ścian po japońsku złożonego pudełka, zastawionego sprzętami pościaganymi z żydowskiej tandety.

Na głównej ścianie rozleżł się ciemnoceglastym cielskiem szezlong, „kanapa”, według słów wdychającej gaździny, i ten szezlong jest już całym poematem nędzy miejskiej, zakurzonej i brudnej.

Dokoła niego tuł się zydle i stół przystrojony nacięciami, mającymi przedstawiać „zdobnictwo ludowe”.

Łóżka żelazne, materace za krótkie lub za szerokie, na nich kołdry miejskie Tuśki i Pity, ich poduszki haftowane, obsypane z lekka złotem perskiego proszku³.

W oknach pokrochmalone firanki rozwłóczą dzień dziwny, specjalny, mokry dzień górski, który się rozłazi jak wilgotny krab, wyciągający daleko swe macki, z których cieknie szara, ciągnąca się ciecz deszczowa.

W piecu zielonym o kaflach lśniących, piecu dostatnim, brzuchatym, stanowiącym dumę słuszną i przedmiot wyzysku ze strony wynajmujących gazdów, tli się kilka mokrych szczapek.

Syczą, piszczą, plują, gniewają się na te płomyczki nieśmiałe, które do nich doskakują, chwytają, chcą objąć, zniszczyć i nie potrafią.

Przed piecem, owinięta pledem, siedzi Tuśka. Koło okna, owinięta pledem, siedzi Pita.

Obie jednak wyciągnęły nogi, obie jednak ukryły podbródki w fałdy pledów.

Tuśka patrzy z pogardą na ten nędzny ogień, nie mogący zwalczyć paru gałązek sośniny.

Pita patrzy z podziwem na smugi deszczowe, zwalczające wszystko.

Zaciekłość, wściekła nienawiść, pęd jakiś dziki, nieukrócony, chęć zagłady, zniszczenia tego mrowiska, tych ciał ludzkich, pozbawionych już sierści i tułących się w sierść innych zwierząt, to pragnienie przemoczenia zgniętego na wskroś istoty ludzi, drzew, rzeczy, rozmoczenia duszy zbiorowej tych objawów życia, rozszalało się w tej ulewie, wyjącej chromatyczną gamą w obramowaniu gór przechodzących w stan legendy.

Gór tych nie ma, znikły jakby okryte rozsnutymi włosami jakichś wampirzyc, które suszą w ten sposób swe włosy, suszą, wyzymają bezlitośnie, chichocąc wichrem, łomocąc piętami po twardych dachach zakopiańskich chałup.

Tuśka nigdy jeszcze nie była tak długo odosobniona i pozostawiona sobie i własnym resursom⁴, jakie każdy ma w duszy.

Już po raz tysięczny może przetrawiała swe istnienie, układ, jaki zrobiło z nią życie, charakter tych, którzy jej istnienie sprzęgli ze swoim. Siebie tylko samej nie bada, nie wsluchuje się w nic swego, bo nie wie, jak się do tego zabrać. I tamtych innych nie sądzi głębokością, odpowiednią do ich bólów lub chwil zadumy.

³perski proszek — środek owadobójczy. [przypis edytorski]

⁴resursy (daw.) — środki, zasoby; sposoby. [przypis edytorski]

Przedstawia ich sobie w fazie spokoju i równowagi. Stąd ma wrażenie, że wszystko dookoła niej było w życiu w porządku dla innych i że nic nie wykraczało poza ramy ściśle określonego rozumnego postępowania.

Ten „rozum”, zdawało się Tuśce, że jest jej zasługą i że to ona swoim taktem daje nutę dominującą całemu otoczeniu.

Nigdy tak nie odczuwała tego, jak obecnie, gdy oddaliła się od owego „wnętrza” przy ulicy Wareckiej.

Dawniej zdawało się jej, że ów rozumny ton domu wypływa z układu faktów, które, piętrząc się, utworzyły ich wspólne życie. Obecnie starała się doszukać przyczyny i od razu tę przyczynę ujrzała, i uświęciła siebie, nie badając, czy rzeczywiście miała na to dość siły, a jeśli ją miała, skąd siła ta pochodziła właśnie.

Spojrzała na córkę i utwierdziła się w tym przekonaniu. To grzeczne dziecko, patrzące tak spokojnie w okno, było bezwarunkowo „rozumne”. Pita siedziała jak dorosła kobieta, prościuchna, milutka, złożywszy nóżki w śliczną linię, tak jak siadają baletniczki w chwilach odpoczynku. Siedziała tak całymi dniami, nie męcząc matki, nie pytając o nic, wpatrzona w rozmokły przed oknami las maluchnych świerków, wystarczająca sobie czy udająca doskonale to wystarczanie.

W każdym razie rozumna.

Tuśka powróciła znów wzrokiem do nędznego ognika, który powoli przygaszał zupełnie we wnętrzu pieca.

Jeśli wszystko było „rozumne” w jej życiu, to były przecież te drobiazgi, te kwestie pieniężne, które nie szły tak, jak ona sobie życzyła. Wprawdzie nigdy nie było owych śmiesznych walk, owych „potrzebuję, musisz mi dać więcej”, bo na tym byłaby ucierpiała atmosfera wysokiej uprzejmości, w jakiej się pławiono, ale braki przykre, pokrywane sztucznymi wysiłkami, dławily nieraz Tuśkę i przeszywały ją na wskroś wielkim uczuciem gniewu.

— Ożenił się, niech ma na dzieci i na żonę.

Z tej zasady wychodziła Tuśka i z niej powstawały te ukrywane płomienie gniewne, gdy musiała zgodzić się, że na coś jej nie stać.

I teraz chwilami doznaje takiej błyskawicy, przejmującej ją po prostu fizycznym bólem. Mąż dał jej mało pieniędzy na owo Zakopane. I dlatego nie mogła zjechać do żadnego z zakładów ani pensjonatów. Tam bawią się w takie dżdżyste dni. Ona musiała wynająć pokój w małym domku i teraz siedzi odosobniona, odcięta od ludzi, w jednym pokoju z Pitą, jakby uwięziona.

Lekarz w Warszawie mówił: „Niech się pani rozrywa, niech pani stara się być wesołą, to i apetyt wróci, siły się znajdą...”

Choćby przez wzgląd na jej zdrowie mógł się ostatecznie postarać o więcej pieniędzy.

Połowę pieniędzy mieli uskładane, drugą dopożyczył. Skoro już pożyczał, mógł wziąć więcej; byłoby się spłaciło ratami czy jak tam.

Mówił, że mu ciężko przyszło, ale nie powinien był i tego mówić, bo to było niedelikatnością z jego strony, i ona ukarała go w ten sposób, że spojrzała na niego chłodno i powiedziała:

— Przepraszam cię... ale muszę zwrócić ci uwagę, iż jesteś niedelikatny...

Przeprosił ją zaraz, tylko coś, jakby ironia, zaigrało mu naokoło ust.

Udała jednak, że tego nie widzi, i aby poprzeć swą wyższość, rozkaszła się dyskretnie i wyszła z pokoju.

W ten rozumny sposób załatwiała najczęściej kwestie finansowe. Poza tym jednak to powściąganie się, to trzymanie na uwięzi pewnej dozy temperamentu, jaki posiadać musiała, kosztowało ją trochę nerwów i zdrowia. Nagromadzone razem te wysiłki rzeczywiście podkopały trochę jej organizm, wstrząśnięty dwukrotnym płucnym zapaleniem. Mogła śmiało liczyć się do „chorych”, choć wyglądała świeżo i zdrowo. Pielęgnowała jednak dość troskliwie swą cerę i figurkę zgrabnej warszawianki i głównie tej staranności zawdzięczała ten dobry wygląd. Rano była żółta i miała oczy podkrążone, a usta spalone. Sypiała źle, zrywała się i doznawała ciągłego uczucia niepokoju, a ta uprzejma spokojność jej ruchów zaczynała ją kosztować dużo wysiłku.

Chwilami zdawało się jej, że dusi się, wychodziła na balkon, piła wodę i powracała do normalnego stanu.

Lecz znów przychodził jakiś okres niepokoju, duszności, zdenerwowania i wtedy musiała przyzywać na pomoc cały „rozsądek”, aby nie wydać się z istotnym stanem swego zdrowia. Bo kładła te wszystkie objawy na karb fizycznego niedomagania. Niczego więcej.

Zresztą miała już trzydzieści trzy lata i chwilami myślała, że to wszystko są oznaki zbliżającej się starości.

— Starzeję się... — myślała z dziwną i bolesną goryczą.

I cóż? To kolej rzeczy nieuniknionych. Tylko trzeba umieć starzeć się z godnością i rozumem.

Deszcz lał ciągle z jednaką siłą i teraz już potokami spływał po szybach, bo bił ukosnymi strugami i rozpląszczał się na szkle jakby tłuszczem przepojony. Ani to znać było, iż przyszło południe i nad górami się rozsunęło. Pokorne były i żadne wobec tej nawałnicy, trwającej już dnie całe. Z dachu płynęły strumienie i zdawały się złościć doły w rozmokłej rudawej ziemi. Jeden taki strumień bił w ułożony z kamieni koło progu stopień i znalazłszy otwór wytryskiwał w górę z zaciekłością rozplutego i rozwścieczonego zwierzęcia. Pod dachem tuliły się wróble ćwierkając cichutko. Jakaś spłoszona kawka darła się przez chwilę i znikła w szarej pluchocie.

Tuśka powstała od pieca i podeszła do okna. Równocześnie prawie cichutko Pita powstała od okna i jak cień posunęła w stronę pieca. Zamieniły się na krzesła i utkwiliły źrenice w inne przedmioty, lecz nie zamieniły z sobą ani jednej myśli.

Nie czuły potrzeby.

Tuśka usiadła na krześle, które przed chwilą zajmowała córka, i zupełnie tą samą, co i dziecko, linią wyciągnęła przed siebie nogi, obute w popielate buciki. Zmieniła pozę i miejsce, lecz te same myśli powlokły się za nią.

Ciągle przeżuwała swe dotychczasowe życie. Ciągle błądziła po mieszkaniu na Wareckiej ulicy. Nie dlatego, żeby tęskniła za pozostawioną tam rodziną, lecz z przyzwyczajenia i nałogu. Ona nigdy nie badała się, czy kocha swe dzieci, a zwłaszcza, jak je kocha. Wiedziała, że to jej obowiązek, a to, co było obowiązkiem, rozum jej każe wypełniać. A więc tak, naturalnie, kochała te grzeczne i miłe istoty, które były ładnie ułożone same przez się, uczyły się dobrze, nie chorowały i nie zabierały dużo miejsca. Wie, że już nie ma ich na Wareckiej, że są na wsi, że im jest dobrze, dlaczego ma się o nie troszczyć?

Błądzi jednak znów po swoim mieszkaniu. Nudzi ją to i męczy.

Dudnienie bosych nóg w sieni.

Sapanie, macanie klamki i wreszcie wpadnięcie złanej deszczem gaździny z menażkami.

— Dobrze południe!

Od pieca senny i zdziwiony wzrok Pity pada na tę góralkę z rozchamraną na pierśsiach koszulą, w serdaku o wywróconym włosie, z chustką żółtą, spraną deszczem na kosmykach włosów czarnych jak hebany.

A dla kontrastu z tą czernią i gęstwą włosów młodych i zdrowych — twarz dzika, na wpół zwiędła, bez wieku, podobna do zbłoconego jesiennego liścia, wbitego w ziemię bezlitośnie, a potem wichurą wydartego z błota i rzuconego o mroźnym wieczorze w przestrzeń bezdrożną.

Ta kobieta nie ma oznaczonych lat. Starcze bruzdy twarz ryją, oczy iskrzą się temperamentem młodości.

Pod serdakiem pierś zwiędła, a nogi jak młodej kozicy, co po regłach skacze.

Przypadła do stołu, uderzyła w niego menażkami, rzuciła talerze, widelce, łyżki, noże... Pokazała rząd białych, czystych zębów.

— Psota? — ha?... — wyrzekła, ocierając szerokie ręce o fartuch.

Pita patrzyła ciągle na gaździnę jak na ciekawy okaz lub ilustrację w jakimś dzienniku. Góralka wzrok dziewczyny podchwyciła.

— Cni się wam?

Pita z przyzwyczajenia uśmiechnęła się, choć nic nie rozumiała.

— Nie banujcie, bo się osbiere. Pan Jezus da, że się osbiere!

Uśmieszek uprzejmy Pity przechodzi w ironię.

— Pojedźcie se, to się wam tak cnić nie będzie. Chmury uciekną żyćkie i będziecie wartko latali po ulicy, kielko sami zekcecie!...

Tuśka podeszła do stołu i porządkowała nakrycie.

— Moja gaździno, a to wasz dom będzie tak cały stał pustką? — spytała.

— Nie... — odparła góralka — do tej izby naprzeciw przyjedzie jeden pan niepłony. On już trzeci rok do nas przyjeżdża. Miał już być, ale cosi kansi się stało i ni ma go do dzisiok. Ale przyjedzie.

Pita i Tuśka siedziały już za stołem i matka dostrzegła, że dziecko, zamiast jeść, pilnie obserwuje góralkę, uśmiechając się ironicznie.

— Pito, proszę cię, jedz zupę! — wyrzekła, o ile możliwości najrozumniejszym tonem.

— Panienska nie rozdęta, to się i bele cem nażre... — tłumaczy gaździna.

Podchodzi do pieca, obciera z lubością kaffe mokrym fartuchem, a potem patrzy z dumą na „kanapę”, którą nabyła umyślnie, aby móc podwyższyć czynsz od „sezonu”.

— Pikna kanapka? co?... — pyta żądając przyświadczenia.

— Chciałam was prosić, żebyście ją wynieśli — odpowiada Tuśka.

Oczy gaździny mało nie wyskoczą z orbitów.

— Locego?

— Bo ją czuć sianem.

Gaździna widocznie uczuła się dotknięta.

— Pikna kanapka — powtórzyła — ale jak jej nie chcom, to jom damy panu, co przyjedzie wnetki.

Po chwili znów z lubością zaczęła piec ścierać fartuchem.

— Pikny piec... — zamamrotała.

— Cóż, kiedy się w nim nie chce palić — odrzuciła Tuśka.

— O!... co też ta gadajom... takie tafle śklące, to je pikny piec. Dałak za niego dużo pieniędzy.

— Może... ale patrzcie, co tu dymu...

— E!... bo co wam powiem... to bez te kawcyska.

— Jak to?

— Ano... nie słysom, jak się to dreją?

— Ach!... to kawki.

— No, ale kawcyska. Do komina się napcha i tam się tak wędzi...

Tuśka wsłuchiwała się w ten ochryply głos z jakąś nieokreśloną przyjemnością. Skrzy-pało to, świszczalo, czasem jęknęło. Wolala słuchać niż patrzeć na tę gaździnę, bo twarz płaska i jakby rozgnieciona zdawała się nie mieć w sobie ani jednej iskiereki łagodności. Nic kobiecego. Coś surowego, kanciastego jak cały styl chaty, jak te belki, obciosane silnymi uderzeniami siekiery.

Natomiast w głosie coś się łamało, coś tam drgało miękko, zwłaszcza gdy z lubością ta kobieta zwracała się ku swej *własności*, ku temu, co posiadała już siłą wielkiej woli i starań całej przeoranej młodości.

Tuśka i Pita jadły zimne i niesmaczne potrawy, rozsmazane na dnie menażek.

Ustępowały sobie wzajemnie lepsze kawałki; ceremoniując się coraz wykwiutniej.

— Proszę cię... proszę, moja droga... zrób mi tę przyjemność, dziękuję mamuńci...

Zwyczajem przyjętym, Tuśce zdawało się, iż wypełnia obowiązki dobrej matki, zmu-szając dziecko do wlewania w siebie dużej ilości letniej, tłustej wody, nazwanej rosołem, i do usilnego darcia zębami łyka krowiego mięsa, ochrzczonego polędwicą.

— Jedz... proszę cię...

Dziewczyna żuje z widocznym, choć pokrywany wstrętem szablonową strawę, która ma ją „odżywiać”.

Deszcze leje na dworze z coraz większą zaciekłością.

— Siąpi! — wyrokuje gaździna, która teraz wpadła w ekstazę przed wykrochmalo-nymi frankami, podpiętymi kawałkami niebieskiego papieru.

— Pikne franki... — zaczyna.

Lecz Tuśka, która w tej chwili czuje całe mizernictwo otoczenia i owej upragnionej „wiledziatury” — postanawia czymś ubarwić sobie i dziecku to życie.

— Chcesz ciastko z kremem? — zapytuje Pity, odsuwając z niezadowoleniem talerze.

— Dziękuję mamusi!

— Czy tu jest cukiernia?

— Hej, cegok by nie było.

— Może wasz syn by poszedł po ciastka? Dostanie za drogę.

Gaździna parsknęła śmiechem.

— Mój syn? — Adyk on w Hameryce!

— No, a ten młody góral, co nam tu wczoraj pomagał rzeczy rozpakować?

— Jakowy?

— O, mamuniu — zawołała Pita — ot, on idzie do szopy...

Gaździna wyjrzała przez okno, unosząc delikatnie firankę.

— Ten?... dy to... mój...

— No, więc...

— Mój mąż, a nie syn.

Zapanowało chwilowe milczenie.

*

Do szopy poszedł i strząsnąwszy z deszczu kapelusz Józek Obidowski, Chrobakiem nazwany, mąż ślubny Wikty Obidowskiej, wszedł pod wystający daszek na trochę suche miejsce i cały na tle złotych belek zarysował się jak figurka kunsztownie odrobiona.

Proste to było, smukłe, śmigłe, odziane dostatnio, całe białe i młodzieńcze.

Para oczu jak latarnie, włosy ciemne, gęste, rysy dziwnie prostolinijne, usta trochę ironicznie uśmiechnięte.

Zuchwałość dziwna w pozie, w nabieraniu oddechu, w błyskaniu oczyma, świeżość lic kalinna i pieściwa, ręce od bezrobocia dobrowolnego delikatne.

A z tej całości beztroska niemal dziecinna, ta ufność, iż z tej piękności i smukłego ciała zawsze wyłoni się jakiś punkt wyjścia w oparciu życiowym, to płynięcie szczęśliwe bez potrażeń o skały, słowem, młodość bujna, rozwichrzona, wykołysana wiatrami halnymi i bielą kwiatów śniegowych.

Józef Chrobak stoi tak oparty o złociste belki, on — mąż dwudziestoletni przeszło pięćdziesięcioletniej Wikty, i rad jest, że się sprzedał dobrze w małżeństwo, że go „baba głupia” kupiła na męża — jego, który prócz „guńki, porteczek, pasieka i fajcyska” nie miał nic, nic.

Jeno te ślepia jak latarnie albo gwiazdy w nocy świecące, a jako gencjany niebiesciutkie, jeno te usta gorące zawsze, jakoby słońce nad turniami, i ta gębusia gładziuska, i ta siła, co to go nosi — hań, hań!... po skałach, po piargu, po źlebach, dźwigając panom z miasta ich serdaki, koniaki, kocielki, ich strachy i zawroty głowy.

*

— Pikny mój mąż? ha? — pyta gaździna niemal tym samym tonem, jakim pytała o piec, o kanapkę, o franki.

Lecz coś innego jest na dnie tego głosu, coś jakby macierzyńskiego, jakby namiętnego. Lecz to takie drobne, takie nikłe, że ledwo, ledwo wyczuwalne. I to trzeba być inaczej do tego usposobionym i przejść całe wychowanie uczuciowe, inne niż Tuśka, która w tej chwili nie widzi znów nic więcej w Wikcie jak tylko posiadaczkę, chwalać się zdobytą własnością.

— To wasz mąż? — pyta z pewną niewiarą w głosie.

— A haj... Dwa roki, jakeśmy się pobrali... Bezera jest leń, ale pikny.

I po chwili dodaje:

— To je trzeci.

Jest jakiś tryumf w tym obwieszczeniu, coś, co jest prawie okrucieństwem istoty żywej, stającej silną jeszcze stopą na powierzchni ziemi, kryjącej tych, którzy tej stopy tryumfującej zrzucić już z siebie nie mogą.

Tuśka podeszła także do okna i tak razem z Pitą patrzą na owego „piknego męża”, który już nie napycha fajki „habryką”, ale zza pazuchy wyjął złamanego papierosa, prostuje go i zapala.

Wicher gasi mu zapalki jedną po drugiej, ale on uparcie stara się na tym wietrze zapalić papierosa.

— O!... jak to ćmi papierosa — mówi Wikta — tak się od panów nauczył, jak z nimi po górach lata... Ale się to przewodnictwo skończy. Będzie tyłóś ich widział!

Coś się zagotowało w głębi duszy góralki, bo i pięść wyciągnęła w stronę „piknego męża”.

— Kapelus, cuchę, portki — syćko zamknę, a nie puszcę! — wyrzekła twardo.

— Ależ dlaczego?

Lecz nie było odpowiedzi.

Wikta brwi marszczyła i usta zaciniała gniewnie.

— Czemu nie chcecie puszczać męża w góry? — ponowiła pytanie Tuśka, zwracając się prawie natarczywie ku gaździnie.

— Jus ja wim, cemu!... — odparła wreszcie góralka i stąpając ciężko, jakby chciała stopami ze złości przebić deski podłogi, wyszła, unosząc z sobą menażki i talerze, z których dwa zdołała stłuc zaraz za progiem.

IV

— Mamuńciu... czy to to góry?

— Tak!

Po raz pierwszy od chwili przyjazdu Pita zapytała się o coś matki.

Spoza mgieł i pasem deszczowych zarysowały się wreszcie te Giewonty, Hawranie, Gubałówki wraz ze swymi widmami o skamieniałych, a tak rozwiewnych konturach.

Źle widać te dźwigające się masy, ale duchy ich rozsnuwają dżdżyste opary i przebijają się czernią kosodrzewiny, srebrem jakby zastygłych potoków.

Pita zatrzymuje się na środku Nowotarskiej ulicy i patrzy.

Drobna jej dusza, dusza anemicznego, miejskiego dziecka, jakby trwoży się i lęka tego ogromu nieruchomego, tak bliskiego, a przecież niedoścignętego.

Stoi tak śliczna, kształtna, w narzuconym na ramionka żakieciku granatowym; na ustach jej przewija się ciągle ten zagadkowy, ironiczny półuśmieszek małego, a tym więcej tajemniczego sfinksa, i teraz nie pyta już o nic, ani o nazwy tych gór, ani o ich formacje, ani o to, co tak lśni na żlebach, czy to śnieg, czy to srebro, lecz stoi i patrzy.

Tuśka także patrzy, lecz w zupełnie odmienny sposób.

Ogarnia wzrokiem całość i pewne zaciekawienie mieszczki dominuje nad tym wrażeniem barw lub kształtów.

— Ogromne — myśli — ale po co właściwie ludzie się na to drapią?

Czuje jednak, iż gdyby miała towarzystwo i kostium, może zaryzykowałyby się na taką wyprawę.

— Tylko... cóż... przecież sama z Pitą nie pójdę!

I znowu ogarnia ją wielkie znudzenie i uczucie nie tęsknoty, ale jakiegoś wysadzenia z siodła.

Była już u lekarza. Opukana, osłuchana, idzie nadziana receptami i przepisami.

Wstąpiła z Pitą do cukierni. Na werandzie, przesiąkłej od deszczu wilgocią, wysiedziały się, zjadłszy dużo ciastek i opiwszy się czekoladą.

Trochę gości kręciło się po cukierni, ale żadnego ożywienia nie było.

Armia kelnerów melancholijnie podpierала ściany.

Ze sklepów wyzierały blade i senne twarze „panów kupców”.

— Czy tu tak zawsze? — myślała Tuśka, jedząc trzeci marcepanowy kartofelek, nadziewany powidłami.

— Czy tu tak zawsze? — myślała Pita, jedząc czwarte ciastko tortowe, posmarowane powidłami.

Furki dudniły i trzęsły niemilosiernie przerażonych tą niespodzianą torturą gości. Widać było ręce kobiet, uczipione konwulsyjnie drągów, które podskakiwały szarpane jakąś wściekłą mocą.

Na ścianie cukierni powiała czerwona płachta.
— Co to takiego? — spytała Tuśka przechodzącego kelnera.
— To teatr. Jutro grają.
— A!...

Jakaś nadzieja wstąpiła w serce Tuśki. Całe mieszcuchostwo przyniosła ze sobą ta czerwona płachta papieru. Teatr — więc wieczór spędzony w atmosferze kinkietów, muzyki, świeżej farby afisza, perfum, woni wędnącego w rękę kwiatu lub rozgrzanych rękawiczek, a potem łatwe zajęcie myśli — myślą innych.

Pita, zapalona zwolenniczka teatru, nie mówi nic, lecz błękitne jej oczy nie opuszczają ani na chwilę jaskrawego afisza.

Z daleka czyta tytuł sztuki i cała dyszy chęcią zobaczenia teatru w Zakopanem. Twarzyczka jej nie zmienia jednak wyrazu, gdy słyszy pytanie matki:

— A gdzież można dostać bilety?

W duszach tych dwóch kobiet, dorosłej i podrastającej, zachichotał wampir miejski, gnieżdżący się wśród murów i zaułków ulic.

Rozjęczał się, rozegrał, rozturkotał, zionął ciasnotą, zdenerwowaniem i wieczystym napięciem wyobraźni naokół, a weranda cukierni, stłoczone kamienice, zasłaniające przestwór i sylwetki gór, dopomagały mu z całą mocą.

I gdy później obie kobiety wracały powoli do domu przesiąkniętą deszczem ulicą, gdy przed ich oczami wylaniać się zaczęły widma gór, a powiało od nich milczącym majestatem ogromu i świeżości, żadnej z nich w oczach nie zamigotało to „coś”, co świetlanym ognikiem pobiegło ku czerwonej płachcie teatralnego afisza.

Nie było kontaktu tych dwóch dusz z duszą przyrody, stały one prawie martwe i tylko zdziwione, bez ściśnienia serca i potrzeby złowienia szerszego oddechu.

Nic w nich nie zatrzepotało spletanego i tak kornie zgnębionego w cuchnącej woni miast.

Dziecko milczało, zdjęte podziwem i nie śmiejące sformułować całości wrażenia, jakie odniosło.

Kobieta myślała:

— Gdybym miała towarzystwo, dla tego towarzystwa poszłabym może na wirchy.

W gruncie rzeczy jednak krew w nich krążyła leniwo, a te drugie istoty, te „one” rzeczywiste i prawdziwe, wracały umysłem do powiewającej na werandzie rozmokłej płachty teatralnej, która miała je zaprowadzić w krainę płóciennych, cuchnących smreków i strumieni, białą farbą namazanych.

Odczuwały, rozumiały tak naturę. Z nią, z tą papierową i cuchnącą, wchodziły szybko w kontakt i bez nateżenia pływały po powierzchni sztucznego stawku, napelnionego letnią wodą. Nie potrzebowały zdobywać się na wysiłek, jeden — jedyny, który byłby wprowadził je w głębie oceanu Piękna istotnego i dał im możliwość zlania ich dusz z duszą przyrody.

Zmartwiały wśród pyłów i kamieni miast, martwo czuły i martwe były ich upodobania...

Przed nimi powoli wyłonił się cały łańcuch gór, ułożonych w trzy ostro odcinające się warstwy.

I każda z nich miała inny ton, jak trzy warstwy szmaragdu, szafiru i opalu.

Najbliższa — ta, która łączyła się ze szczytami smreków, a miejscami spływała jasnozieloną strugą łąki, niknącej wśród will i domów, zielona była, aksamitna, wyraźna i przeciwna.

Nad nią wznosił się drugi taras z szafiru, przetykanego srebrem śniegu, i smuga ta miała w sobie tajemniczość znikającego w szmaragdowej toni, szeroko rozwartego, archanielskiego skrzydła.

Rozmordłone, rozwarte ku górze jak hymn, jak strażnica pięło się to skrzydło niewidzialnego ducha ku opalowej warstwie widmowej, wyniosłej, dalekiej, rozplywającej się w błękitcie bladym niebios, na które biały księżyc wypłynął, ni to obłok, ni to nagłe rozwarcie się tego błękitu w srebrny, lekki puch.

Od Tatr, od hal, od wianków kosodrzewiny, na które spływał welon śniegów, niosło przedziwną wonią świeżej żywicy i czystego Ducha.

Dobro tam panowało. Dobro ciche i ukojenie bez granic. Dobro to płynęło całym potokiem ku ludzkim piersiom, ku ludzkim duszom. Chciało w nie wnikać, rozmarzyć, ukoić, nauczyć kochać, przebaczyć, zapomnieć i stanąć wobec wielkiej Zagadki bez trwogi, z przygotowaniem zupełnym.

Lecz o warstwę nędzy, niby zdobytej doskonałością życiowych, ludzkich, mrówczych zabiegów w celu ulepszenia bytu i umożliwienia wygodnej podściółki duszy i ciała, obijały się często na próżno owe świeże, wonne i czyste wiewy nad szmaragdem lasów wznoszącego się archanielskiego skrzydła.

Wzrok ludzki, przyzwyczajony ryć bruk miejski, z trudnością sięgał do wyżyn opalowych i tam starał się odnaleźć początek wszelkich najpiękniejszych idei ludzkości.

Rył ciągle, rył powoli, pod ciężarem powiek współsensnych i chorych.

Przed łańcuchem Tatr, przed ich szmaragdem, szafirem i opalem, przed ich mądrą i wielką pięknnością stają dwie postacie kobiece w popielatych bucikach, na wysokich, francuskich obcaskach, z szyciami szczelnie opancerzonymi w wysokie jak u pruskich junkrów kołnierze.

I jedna mówi do drugiej:

— Chodźmy już do domu.

— Dobrze, mamusiu.

— A uważaj i patrz przed siebie, żebyś nie zabłociła bucików.

I idą sobie, jedna za drugą, mniejsza przodem, w jednakowych, narzuconych na plecy granatowych żakiecikach o złotych guziczkach.

Idąc patrzą ciągle w ziemię, ryją wzrokiem po chodniku, wybierając suchsze miejsca i chroniąc jasne buciki.

Nagle opalowe, widmowe kontury gór obrysowały się złotopurpurowym paskiem.

Jest to nadzwyczaj piękne, niewypowiedziane piękne zjawisko i chwila to dziwna, uroczyista, jakby natura dyszała żarem swej drugiej, doskonalszej, astralnej duszy.

I w takiej chwili już rozróżnić nie można, czy to odbłask słonecznych ostatnich blasków, czy to powstanie wypromieniowania własnego światła z łona ziemi, tak krwawo, tak ofiarnie, tak płomiennie znaczą się w przestworzu świetlane linie gór.

Lecz idące dwie kobiety nie dostrzegają tych cudów, one idą jedna za drugą w swych granatowych żakiecikach i patrzą uważnie na dół na ziemię, aby ocalić nowe, śliczne, popielate buciki.

V

Doszły do domu, który jak dziwne, żółte pudełko wdzięczył się z daleka kolorowymi szybkami werandki, osłonięj lasem maluchnych choinek.

W milczeniu przeszły po deseczce, rzuconej przez rowek, i skierowały się ku sieni.

Pierwsza weszła w głąb trochę ciemną Pita, lecz cofnęła się i stanęła u progu.

Delikatny rumieniec pokrył jej twarzyczkę.

Idąca za nią matka zatrzymała się zdziwiona.

— Dlaczego nie idziesz? — zapytała dziecka.

Lecz ona chwilowo zdawała się wahać z odpowiedzią.

— Nie wiem... noga mnie zabolęła — wyrzekła cichutko.

— Cóż znowu! Może zwicnęłaś?

— Nic, nic...

Tuśka usunęła dziecko i weszła do sieni.

Jakieś dwie postacie ciemne przylgnęły w kącie do siebie i tak były rozszepcane, iż nie widziały wejścia Tuśki i Pity.

Kobieta uczepliła się u szyi mężczyzny i coś mu mówiła do ucha, przekładała, tłumaczyła.

On tylko kiedy niekiedy potrząsał głową i z cichym chichotem całował ją raz po raz w szyję.

Jego ręka bielila się na brązowym tle jej serdaka.

Z jej głowy spadła chustka, a ukośne światło, bijące na nich cieniutką strugą, rozświetlało jej włosy płowe złotawą, delikatną mgiełką.

Zaszli się tak w kącie sieni pomiędzy wióry nagromadzone tu i heblowiny jak w mech, jak w trawę.

Bezpieczni byli i radzi sobie, a prości, młodzi jak dwa smreki rosnące na jednym stoku góry.

Tuśka natychmiast rozpoznała w mężczyźnie Józka, zwanego Chrobakiem, „piknego” męża gaździny.

Kobiety nie znała, nie widziała jej nigdy w chacie.

Ogarnęło ją uczucie niesmaku.

To oszukiwanie starej żony pod progiem jej mieszkania przejęło ją wstrętem.

— Idźcie stąd precz! — wyrzekła twardo.

Lecz oni nie rozpletli z uścisku rąk, tylko otworzyli drzwi do izby i weszli, cicho stąpając w swych kierpcach rozmokłych.

Wówczas Tuśka przypomniała sobie o córce i zwróciła się ku niej wzburzona:

— Chodź, Pito — możesz już przejść.

Dziecko z ciekawością patrzyło w kąt, gdzie przed chwilą stała całująca się para.

Ociągając się wchodziła do pokoju.

— Chodź już! — zawołała matka.

W pokoju znalazły gaździnę, która fartuchem miłośnie ocierała piec. W serdaku, wywróconym włosem do góry; z włosami jak atrament, spadającymi w cienkich kosmyczkach po obu stronach pociągłej, żółtej twarzy, robiła wrażenie wodza indyjskiego, wziętego w niewolę i zmuszonego do sprzątanía w zakopiańskich izbach.

Ta sama niemal złość, to coś niewysłowionego, co chwytalo istotę Tuśki gorącą obęcą żalu, tęsknoty i wzgardy, przejęło ją i teraz.

Zwróciła się do gaździny:

— Moja gospodyni — wyrzekła zdławionym głosem — proszę was, żebyście na drugi raz mogły spokojnie przejść przez sieni...

— A dy bez co nie mogom przeńść?

Tuśka w tej chwili pomiarkowała się, iż słucha ją Pita, która bardzo spokojnie zdejmowała z siebie zakieciak, kapeluszek i układała ubranie do pudełek i szafy.

— Wasz mąż... — zaczęła po chwili wahania — zajął całą sieni z jakąś kobietą, rozmawia, sprzecza się czy co... nie wiem...

Gaździna splasnęła w ręce.

— Dy to Hanusia.

— Nie wiem...

Pita ukosem patrzyła na gaździnę.

Tuśka ten wzrok podchwyciła.

— A... to jego siostra. Tak, tak, to siostra — wpadła nagle ucieszona, że ma punkt wyjścia.

I zwracając się do córki tłumaczy:

— To była siostra gazdy.

Lecz Wikta psuje szyki.

— Dzie zaś — mówi spokojnie — Józek siostry nijakiej nie ma. Hanka Pazerna to je taka, co z nim przedtem siedziała...

I widząc szeroko rozwarłe oczy Tuśki, która po raz pierwszy spotyka się z tym brutalnym określeniem żywiołowej miłości, dodaje:

— No, wicie... siedziała. Ino ksiądz ich wywoływał z ambony, a potem Józek se zmiarkował, że niby je pikny chłop i może mieć jense życie, a nie takie płone, i rozszedł się z kupy, a za mnie się wydał.

I zwróciwszy się do pieca, znów kaffe obcierać zaczęła.

Tuśka starała się odzyskiwać równowagę.

— Proszę was, moja gaździno, chodźcie ze mną do sieni.

Weszły obie i cofnęły się w kąt, tonąc stopami w wiórach jeszcze mokrych od błota kierpców Hanki i Józka.

— Moja gospodyni — zaczęła Tuśka, mrużąc oczy i przybierając ten sam ton, jaki przybrała w Krakowie, wydając hotelowej pokojówce rozkaz banicji „kiciusia” i jej uwodziciela — ja sobie nie życzę, aby coś takiego działo się pod moim progiem.

Wikta spojrzała na nią zdziwiona.

— Co sobie nie życom? — spytała — tych wiórów? Mało pomału ich wyzeniem do pola.

— To nie o wióry chodzi, ale wasz mąż całował się z tą dziewczyną tutaj w sieni... Przepraszam was, że wam tym robię przykrość, ale musiałam to wam powiedzieć...

Bała się spojrzeć w żółtą twarz gaździny, bo przypuszczała, iż odbić się na niej musiało straszne wzburzenie i ból, jaki przejął serce tej starej kobiety na wieść, iż tuż pod bokiem jej zagnieździła się zdrada.

Tymczasem gaździna nie ruszyła się z miejsca.

— On jest w swoim prawie! — wyrzekła wreszcie z jakąś uroczystą powagą.

Tuśka aż drgnęła.

— Jak to? przecież to wasz mąż!

— Ale ona była u niego pirsą... On jest w prawie!...

Mął ogarnia umysł Tuśki.

Czuje, że jest wobec czegoś, co sprzeciwia się najzupełniej układom społecznym, lecz równocześnie jest czymś potężnym i wielkim w bezgranicznym pojmowaniu istoty życia.

— Bo wicie, co wam jeszcze powiem — mówi znów wolno gaździna — u nich jeszcze jest i mały chłopiec.

Rozkłada szeroko rękoma.

— To je tak.

I powoli, spokojnie, wyniośle, lecz mimo to jakby na ramionach dźwigała dobrowolnie krzyż, wychodzi z sieni na ulicę.

Tuśka patrzy za nią, jak idzie rosła, chuda, niby wyciosana siekierą, straszna i dziwna, z głową pochyloną, oblepioną kosmykami czarnych włosów, które łączą się z futrem serdaka.

Idzie powoli, przechodzi kładkę. Dokoła jej chudych bioder kołysze się wyżarta słoncem kolorowa spódnica. Bose nogi wbijają się z siłą w ciekłą deskę kładki. Ręce wtuliła pod serdak.

Ostro odcina się czarna i twarda na tle żółtawego światła, które włóczy się prawie przy ziemi, jakby z niej wysnuwało się ku ciemniejszemu powoli niebu.

I ma w sobie ta prosta kobieta ogromną filozofię brania życia według warstw, w jakie się układa. Logika jej jest tak silnie ustawiona i pewna, jak jej chód, nigdy nie chwiejny i zawsze z całą wolą skierowany. Ona tylko zna jedno prawo własności; i tak, jak może wynająć swoją izbę i „pikny” piec, i „pikne firanki”, tak samo może na pewien czas odstąpić swego „piknego męża”. Wszak pomimo to ona jest zawsze właścicielką sadyby, pieca, kanapy i Józka.

Tęgo prawa nikt jej nie odejmie i nie zaprzeczy. Ani ci „goście”, wynajmujący na sezon jej sadybę, ani ta Hanuśka, do której serdaka tak przyklepa miłośniczo ręka Józka.

Wikta niosła w sobie wyrobioną silnie, prawdziwą może i jedyną mądrość życiową. Nie walczyła przeciw samej sobie i poddawała się prawom, które jej instynkt do jej indywidualności przystosował. Nie wmawiała w siebie bólu, który według przyjętych obyczajów i zasad, musiała czuć każda kobieta w jej położeniu.

To nie było jej własną tragedią, to był szablon tragiczności ułożonej do użytku całej bandy ludzi.

Ona była jednak tak silna, że nie potrzebowała sięgać do owego szablonu, aby uczuć się wrażliwą w bolesny czy kojący sposób.

Szła twarda, kanciasta, ostra dźwigając na swych ramionach jakąś potęgę, która z niej tworzyła odrębną, specjalnie czującą istotę.

I przeszedłszy drogę zniknęła pnąc się ścieżynką wśród dużych złomów skalnych, po których rwał się bystro z grzechotem dziwny górski potok.

VI

Sala teatralna napełniała się powoli.

Tu i owdzie widać jednak było duże szczyrby i puste krzesła świeciły białością dobrze zheblowanego drzewa.

Szczególnie dotyczyło to miejsc droższych. Kilka zaledwie pierwszorzędných krzesel zajęła publiczność dość strojna, ale jakaś cicha i jakby niezadowolona.

Cała doza krytycyzmu *quand même*⁵, charakteryzująca widzów teatralnych, spływała ze stropu czystej salki, utrzymanej forsownie w „stylu”, lecz oświetlonej skąpo i trochę smutnej.

Od cukierni dolatywał gwar głosów i szcęk porcelany. Publiczność nie śpieszyła się z wejściem, siedziała przy stolikach lub stała w przejściach.

Wyprostowane, wystrojone jak lalki, w białych, szewiotowych sukniach, przemknęły do swych miejsc Tuśka i Pita. Ubrane były starannie, uczesane z całą sumienną elegancją, zrobiły doskonale wrażenie.

Oglądano się za nimi. One obie prostowały się, przyjemnie podniecone tymi spojrzzeniami, które za nimi pobiegły. Tuśkę jednak ukłuła ta myśl, iż to są najlepsze ich suknie.

— Opatrzą się — pomyślała zmartwiona.

Był to jej *beau jour*⁶ i rzeczywiście wyglądała bardzo ładnie.

Troszkę pełne jej kształty opinał dość miękki szewiot bardzo szczęśliwie. Ogromny gipiurowy kołnierz, spadający z ramion, krył to, co mogło być poczytane za pewną zbyteczną obfitość. Natomiast twarzyczka była drobna, prawie porcelanowa. Szczególnie piękną była w linii i wyrazie broda Tuśki, ozdobiona ślicznym dołeczkiem. Młodzieńcza, świeża, jakaś ponętna i ciągnąca. Włosy gęste, złotawe, prześlicznie utrzymane, fryzowane w modne abażurowych kształtów spłoty, odsłaniały kark równie młodzieńczy, pełny i biały. Oczy tylko pozostawiały dużo do życzenia. Były wprawdzie skośne, oryginalne, podobne do oczu Japonki i przybierały chwilami szczególny, niepokojący wyraz, lecz były małe i źle oprawne. W całości jednak Tuśka robiła dobre wrażenie wysokim wzrostem, ładnym chodem, ruchem nie pozbawionym dystynkcji. W białej sukni i dużym białym toku z kwiatów, przy wieczornym oświetleniu, zachwycić mogła nawet dość wybredne gusty.

Szczególnie jednak pięknie przedstawia się Pita. Cera jej, delikatna jak płatek kamelii, mieniła się bladą barwą róży i alabastru.

Chwilami zdawało się, że ktoś roznieca wewnątrz niej różowy płomień i że cudowne blaski przeświecają na wskroś jej twarzyczkę.

Prześliczne rysy, drobnouchne, ironiczne usteczka, włoski o popielatej barwie, spływające spokojnie do połowy pleców, aureola białego kapelusza, ocienionego puszystym, śnieżnym piórem, i ten nieuchwytny wdzięk rozanielenia się w samej sobie, jaki mają dziewczynki w wieku Pity, tworzył z niej całość prawie niezemską, połączenie anioła Ghirlandaja z dziewczętami Burne-Jonesa. Było to czyste, idące ponad życiem, a przecież ziemskością na wskroś przesiąknięte, od maluchnych stopek, obutych w błękitne, dobrze wyciągnięte pończoszki i białe buciki, a skończywszy na tej parze niewidzialnych skrzydeł, które z lasu popielatych włosów wystrzelać jak lilie się zdały.

Gdy tak obie usiadły wśród pustych krzesel, zabielało, zaśnieżyło się od nich w sali. Powiało jednak jakimś chłodem, sztucznością dobrze wysznurowanych dusz i klatek piersiowych. Obie jednakże uśmiechały się na „kredyt”, grzecznie i uprzejmie.

A przecież doznały niemałego zawodu.

Myślały, że w tym teatrze znajdą wiele osób, które podziwiać będą ich śnieżne szewioty i płaskie, anamickie kapelusze.

Obie jednak nie wydały się ani na chwilę z owym zawodem, ani przed sobą, ani przed tą nieliczną garstką widzów, która im się przyglądała.

Muzykanci w orkiestrze, przystrojeni po „zakopiańsku”, naziewawszy się i nakrzywwszy dostatecznie, zaczęły rozwłóczyć swoją nudę tonami jakiejś niewyraźnej uwertury.

Kurtyna ciemna i posępna, wyobrażająca Morskie Oko, poruszała się tajemniczo.

Nie dochodziła do ziemi i co chwila jakaś para nóg, mniej lub więcej solidnie obutych, zjawiała się pod jej brzegiem.

⁵*quand même* (fr.) — jednak. [przypis edytorski]

⁶*beau jour* (fr.) — dobry dzień. [przypis edytorski]

Nogi te, kobiece, męskie, wyśpiwywały całą tajemnicę takiej wędrownej, przygodnej trupy stołecznych aktorów, którzy „dla odpoczynku i nabrania sił” przewłóczą się z kąpielowego miejsca na miejsce kąpielowe, aby przeżyć te kilka tygodni na świeżym powietrzu i kto wie, zarobić może parę guldenów na zapłacenie długów zaciągniętych w zimie.

Wreszcie kurtyna się podniosła.

Grano jakąś farsę francuską, pełną dwuznaczników i jednoznacznych sytuacji.

Od pierwszej sceny rosła i tłusta aktorka rozsiadła się na kolanach jednego z grających i nie miała zamiaru tak prędko ruszyć się z zajmowanego stanowiska.

Wymagała tego sytuacja sceniczna, jak również całej serii dowcipów, wyplutych przez zdruzzonych aktorów z jakąś brutalną złośliwością.

Tuśka ani drgnęła.

Ona, która z taką troskliwością osłaniała Pitę przed widokiem Józka, całującego Hankę w sieni góralskiej chaty, tu, na scenie, uznawała za zupełnie naturalne to, co córka jej miała przed oczyma.

Była w tym nieporównana konsekwencja większości kobiet, śmiesznych w swych odruchach źle pojętej ostrożności macierzyńskiej.

Akt pierwszy skończył się szybko i kurtyna zapadła z szumem i łoskotem. Nikt nie porwał się do brawa. Nuda spadała z wolna z jasnego sufitu i chwytiała za kark garstkę zbłąkanych widzów, którzy, przyjrawszy się sobie i oceniwszy wzajemnie, siedzieli kurcząc się, garbiąc i kwaśniejąc jak rydze octem nalane.

Nagle poza Pitą i Tuśką zrobiło się gwarniej i weselej:

Jakieś towarzystwo, złożone z kilku osób, siadło poza nimi roześmiane i rozszeptane.

Szeleściły jedwabne podszewki, dzwoniły breloki.

Wionęła *trèfle incarnat*, *violettes de Niva* — rozpyliła się welutina Raya, nieśmiertelna welutina!...

Tuśka i Pita poruszały nozdrzami.

Znalazły się w atmosferze pewnej światowej elegancji, uzewnętrzniającej się niemal w każdej sferze kobiet w jednakowy sposób.

Towarzystwo to składało się z trzech kobiet i jednego mężczyzny.

Przez chwilę wszyscy siedzieli we względny spokoju, lecz szybko szepty się rozpoczęły.

— Nie wszyscy przyszli — szeptała któraś z kobiet.

Mężczyzna roześmiał się półgłosem.

— A mówiłem... nie jedźcie.

— Pewnie — odparła inna kobieta — tobie dobrze, masz całą gaźę i jesteś sam.

— Ja ci kazałem zostać matką?

— Ach! jaki pan jest trywialny.

— Nie, no... to doskonałe. Wyjeżdżasz ze swymi dziećmi na każdym kroku.

— Mój kochany, daj mi spokój.

Nastąpiło znów chwilowe milczenie.

— Gdzie pani zostawiła dzieci? — pytała znów pierwsza z kobiet.

— W numerze zamknięte.

— Co też pani wyrabia! Jeszcze się kiedy spalą.

— Pochowałam zapalki. Zresztą one do tego przyzwyczajone. Będą siedziały po ciemku aż do mego powrotu. Wczoraj Kazio tylko westchnął, żeby choć było światelko... Ja mu mówię: „Nie można, Kaziu.”

A on na to: „Dobrze mamusiu, ja tylko tak...”

— Ile lat ma Kazio?

— Pięć.

— A mała?

— Trzy.

— Dlaczego pani je wozi ze sobą?

— A gdzież je zostawię? Przy kim? Mam to ja kogo? Rodzinę albo co?... Pani dobrze, pani ma matkę...

— E! lepiej niech mi pani o tym nie mówi.

W uszy Tuśki wpada ten szept doskonale, lepiej niż to, co mówią aktorzy na scenie. Zresztą przestała się interesować czworokątem, złożonym z męża, kokotki, żony i kochanka żony.

Czuje instynktownie, że poza nią są właściwe tragikomedie i że tam aż kipi od życia i jego prawdziwej melancholii.

Znów daje się słyszeć głos męski:

— Czemu pani do domu nie idzie?

— Do jakiego domu?

— Ano, do numeru, do dzieci.

— Przyszłam zobaczyć, może co dostanę z dzisiejszego przedstawienia.

Aktorki zaczęły się śmiać dyskretnie.

— Lepiej uciekaj — zawyrokował mężczyzna — bo okaże się, iż musicie dopłacić i będzie pani musiała coś z kieszonki dołożyć.

— O! o! to mnie nie ma.

Szelest sukni, brzęk breloków i z symfonii perfum ulatnia się i ginie *trèfle incarnat*.

Jeszcze w przejściu szumi suknia, kiedy daje się słyszeć szept pozostałych:

— Szalona!

— Daj spokój... Biedna kobieta.

— Co, biedna? — szydzi mężczyzna. — Potrzebne jej dzieci? co?

— A! mój drogi — oburza się jedna z aktorek — to trudno, kobieta, niestety, nie może być kukułką, tak jak ty.

— Legenda o kukulce obalona — wymyśl pani co innego.

— Nie wymyślę, dopóki będą tacy jak ty ludzie.

— Zrobiłem ci co złego?

— Mnie nie, ale...

— No, to daj spokój, bo się zemszczę.

— Ty?

— Ja...

Śmiech leciuchną gamą wstrząsa brelokami.

— Jak?

— Rozkocham i unieszczęśliwię.

— Ach, ty głupi! głupi!...

Jak kuglarze japońscy szklanymi kulami, tak ci ludzie igrają ze śmiechem i lekko tym, co stanowi często ból i tragedię życia.

Tuśka ma dziwną ochotę obejrzeć się, zobaczyć, jak wyglądają te kobiety i ten mężczyzna.

Wiek ich nie może odgadnąć. Głosy ich są świeże i wygimnastykowane.

Teraz aktorki coś szepczą pomiędzy sobą, ale cicho, tak że już nic dosłyszeć nie można.

Nagle odzywa się mężczyzna:

— Żeby też jedna z was miała tak śliczne włosy, jak ta dziewczynka, która siedzi przed nami.

— Przecież ja mam także złote włosy.

— Aha, *eau de fée* czy tam *aureoline* czy jak tam. Ale ta mała ma miękkie, jasne, długie...

— Wielka historia... w jej wieku...

— A... toteż to... w jej wieku!

Pita siedzi nieporuszona, tylko uszki jej pokrywają się delikatną czerwienią i płoną wśród złotych włosów jak dwa płatki maku pomiędzy łanem zboża.

— Co ty masz za pasję mówić nam przykre rzeczy? — pyta wreszcie jedna z kobiet.

— Bo was lubię.

— Daj mi lepiej tę różę... miętosisz ją cały wieczór, zwiędnie.

— Nie. Dam ją tej pani, która ma takie śliczne włosy.

I nagle Pita czuje, jak sponad jej ramienia na jej kolanka, w środek złożonych rąk spada śliczna, aksamitna, purpurowa róża.

Kwiat jest wesoly, przystrojony kilku świeżymi i mokrymi listkami; dziecko mimo woli chwytą w paluszki łodygę kwiatu.

Tuśka widzi doskonale, co zaszło, lecz doznaje dziwnego uczucia zmieszania. Nie wie, co ma robić. Czy pozwolić dziecku przyjąć ten kwiatek, rzucony z takim jakimś niedbałym wdziękiem przez nieznanego aktora, czy zwrócić sama jako niewłaściwy i zbyt śmiały objaw przedwczesnego hołdu dla córki.

Nie wie czemu, ale czuje, że to „towarzystwo”, lekkie i podobne do żonglerów cyrkowych na arenie życia, wyszydzi ją, jeśli okaże się zbyt surową. Pozostawić zaś tego kroku mężczyzny bez jakiegokolwiek interwencji niepodobna.

W zakłopotaniu zwróciła się trochę profilem.

Siedzący poza nią widzą jej ładne rysy, śliczny podbródek i ucho czerwieniące się jak płatek maku na tle złotych rozwichrzonych trochę włosów.

— Szkoda, że nie mam drugiej róży! — mówi półgłosem mężczyzna.

Tuśkę przebiega gorący dreszcz.

Czuje i rozumie, iż ta druga róża byłaby dla niej.

— Nudny jesteś! — śmieje się jedna z kobiet. — Czy ty się nigdy nie oduczysz latać...

Urywa i nagle pyta:

— Zostajemy tutaj na kolacji?

— Pewnie... Gdzież pójść?

— Dziura!... te wszystkie Gubałówki, Giewonty i inne szczyty to błaga. Chodźmy!

— Chodźmy!...

Wstają, zbierają fałdy sukien, przesuwiają się z szumem, z zupełną niedbałością form i zwyczajów.

— No... chodź, stary.

— Idę!...

Wychodzą.

Gdy poszli, Tuśce zdaje się, iż wytworzyła się nagle dokoła niej dziwna i niezrozumiała pustka.

Chłód wieje na nią, na jej kark z tych miejsc opustoszałych.

Ci ludzie byli przecież dla niej obcy zupełnie, nie zna ich, przed chwilą nie wiedziała, że istnieją, nie wie nawet, jak wyglądają, a przecież, gdy odeszli, zabrakło jej nagle jakiegoś tła, w które się bezwiednie wtuliła.

Purpurowa róża czerwieni się ciągle w rękach Pity.

Jasna, wesoła, leciuchno woniejąca, sieje jakąś beztroskę, jak ci, którzy odeszli.

Za chwilę zwiędnie, stanie się trupem.

Oni tak samo.

Ale przez dany moment życia promieniają z siebie tragikomiczną lekkość puchowych kwiatów, rozlatujących się z chwilą zaniku po mogiłach kretowin.

Przedstawienie dobiegło końca.

Tuśka z Pitą powstają z miejsc, ale wzrok ich przygasł, rumieńce znikły. Mają w sobie charakterystyczny wygląd błyskotliwych kobiet, którym nikt się nie przygląda.

Narzucają po swojemu żakiety na ramiona i wychodzą na ulicę przez werandę, na której sinawe lampy sączą niewyraźne, jakby chorobliwe blaski.

Jakby z mysich jam lub krecich nor nadbiegła nocą chmara publiczności. Zlecieli się do tych lamp sinych na kształt korowodu ciem i obsiedli blaszane blaty stolików.

Miasto się rozgwarzyło i rozsiało tryumfalnie w żelastwie i kurzu. Kobiety szczebiocą, wiewając płaskimi kapeluszami. Szerokie rękawy, falbany gaz i muślinów wysuwają się spod ponarzuconych białych, sukiennych zarzutek.

Jakąś rodzina semicka, cała strojna w serdaki, wchodzi na werandę, potrząsając groźnie ciupagami, na których dzwonią kółeczka. Małe dziecko, przebrane za góralika, wierci się pomiędzy stolami.

Tuśka i Pita prostują się, nabierają szyku, tego „warszawskiego”. Tuśka przygryza usta i staje niepewna i wahająca. Chciałaby pozostać z Pitą „wśród ludzi”, bo już się do nich stęskniła. Jest jednak sama i widzi, że wszystkie stoliki, zajęte przez damy, mają jakąś asystę męską.

Pokusa jest jednak nadto silna. Stolik na przejściu wolny. Tuśka mimo woli zbliża się ku niemu.

— Może napijesz się herbaty? — pyta uprzejmie córki. — Jesteś blada, może chora.

Dziecko z przedziwną intuicją odgaduje intencje matki.

— Jeżeli mama taka łaskawa.

Siadają tuż przy balustradzie.

Przed nimi bieleją dziwaczne grzbiety płótnem okrytych furek, na tle ciemnych kamienic.

Wóznice siedzą w głębi budek, drzemią albo palą fajki.

Co chwila ku werandzie pomykają całe gromadki turystów.

Wyłaniają się z ciemni i wpadają w sine światło mrużąc oczy — radzi, że się wreszcie w „cywilizację” dostali.

Tuśka, usiadłszy, doznaje znów uczucia ciepła i spokoju. Ogląda się: poza nią siedzą strojne panie w towarzystwie kilku jasno ubranych, dość eleganckich mężczyzn. Przy drugim stoliku kilku mężczyzn raczy winem jakiegoś górala, który stara się zwrócić ogólną uwagę, krzycząc głośno i produkując swój „humor” i błękitne wstążki, związane pod przebiegłą i chytrą brodą.

— Panie książe! — mówi góral — panie księżę, kcecie na wielką wantę? Pójdziem! Jo was, panie książe, za porteki z tyłu chyce. Wendziemy.

Młodzieniec, nazwany „panem książe”, skrzywił wygoloną, długą twarz i odparł z nieznacznym grymasem:

— Ja sam się wydostanę bez waszej pomocy.

Chytre oczki górala zaświeciły, zaczął czmychać nosem i trzec dziwnie wykrojone usta.

— Nikany nie wyjdomy sami, bo w nóżkach słabe — czmychnął ze śmiechem.

Tu i owdzie po stolikach siedzące towarzystwa zaczynają się mniej lub więcej dyskretnie zaśmiewać.

Widzi to góral w niebieskiej obroży, rad powstaje z krzesła i coraz więcej pozuje dla galerii.

— Jak ci ja, panie książe, i Matka Najświętsza nie pomoże, to hipnies, chocies sprzętny i wywyrtny. Hej!...

Księżę pakuje ręce w kieszenie od spodni i kołysze się na pogiętym, żelaznym krześle.

— Zebyście wy, Gąsiennico, tak często Matki Boskiej nie wzywali — mówi, patrząc na górala zamglonym, lecz pełnym głębi wzrokiem.

Gąsiennica Wojtek machnął gunią i rozstawił nogi.

— Jakże to? nie wzywać, kiej to nasa Pani i Królowa, i wsyćko...

— Toteż właśnie dlatego — tłumaczył księżę. — Wy, Gąsiennico, gracie sobie teatr, a niby z nabożeństwa wzywacie ciągle Boga i świętych Jego!...

— Bo to je nasa Pani! — darł się góral, wodząc chytrymi ślipkami dookoła. — Pani, co na kmurak se siedzi... A ja wam co powiem. Był taki plugac...

— Dajcie spokój — przerwał mu księżę — co tam będziecie Sabałę małpować. To już nudne! Kelner, płacić!

Góral od pewnej chwili pozował głównie dla Tuśki. Kręcił się przed nią, uśmiechał, pokazywał białe i drobne zęby, błyskał oczkami, słowem, wyglądał jak tańczący kogut przed kuropatwą.

Tuśka zauważyła ten manewr, ale go nie rozumiała. Czuła się tylko nieprzyjemnie zmieszana, jakkolwiek z ciekawością śledziła krygi górala.

Przywołanie kelnera ostudziło trochę zapalę pięknego Wojtka. Czuł, że poczęstunek się kończy i „panie książe” jest jakby obrażony. Przy tym to wyrażenie „małpować Sabałę” dotknęło ambicję w porteki wysywaną i gunię nieploną przystrojonej chytrej lalki, zapragnął rewanzu i zabrał się do niego z wielkim sprytem.

— Gniwocie się, panie książe? — zapytał, zbliżając się do księcia — piknie ik pseprasam. Byłek zawse zajadliwy a wartki... Ale niech odpuscom...

Chytrze się do księcia podbierał, łypając oczkami na wszystkie strony.

Publiczność zaciekawiona aż wstawała z miejsc, patrząc na tę scenę z ironią i ciekawością.

Księżę, znudzony, ładną rasową ręką Wojtka z lekka usuwał.

— No... no... dobrze...

— Pięknie ik pseproram! — jęczał Wojtek.
— Dobrze, dobrze... tylko mnie czasem nie pocałujcie.

Nastąpiła chwila ciszy.

Widocznie góral coś sobie rozważał, kalkulował, rozliczał w tej króciuchnej chwili.

Oczyrna się obaj zwarli, książę chłodny i stalowy wzrok utkwiał w migocące i przyczone ślepki górala.

I nagle Wojtek poskoczył, pochylił się, wionęła cuka biała jak śnieg na Wysokiej i pokryła przez sekundę księcia.

Wojtek pocałował długą, białą, książęcą twarz, która stała się jeszcze bledsza, a jasne rzęsy pokryły stalowe źrenice, które cofnęły się w głąb jakby olśnione.

Publiczność zaszemrała, ucieszona tym faktem, jakby wyborym rozwiązaniem sceny, której głąb uszedł jej zupełnie, a pozostała zrozumianą tylko farsowa strona akcji.

Książę wstał, pchnął stolik i zwrócił się do towarzyszy, którzy dość apatycznie parzyli na to całe zajście.

— Chodźmy!...

Ale Gąsiennica w lot wyczuł, iż teraz książę został przez niego okryty śmiesznością. Wiedział także, iż stosunek jego z książęcą drużyną jest zerwany bezpowrotnie, więc zapragnął wyzyskać daną chwilę na swoją korzyść jak największą.

— A, panie książęciu! — zawołał w ślad za odchodzącym — fstręt ik zebrał? Coz to, gębusia moja nie taka jak wasa? Zażłiwa je, cy co? Coz to? Ja ciarapara? hej!...

Książę zeszedł z werandy, nie oglądając się nawet, i zniknął ze swymi towarzyszami w cieniu źle oświetlonej ulicy.

Gąsiennica pozostał sam na pobojuwisku.

Potoczył wzrokiem dokoła — tryumfalnie machnął ciupagą i zaczął:

— Hej!...

Rozniosło się to jakoś dziwnie po stolikach, na których mokły słomki w mazagranach, grenadinach i orszadach.

— Hej!...

Ani tego oddać żadne skrzyпки nie potrafią, ile sentymentu włoży czasem góral w ten jeden króciuchny krzyk. Niesie on z sobą nędzę smutnych pól, poczepianych gniazd, jęk smreków, bijących pokłony pod grozą skrzydeł halnej wichury.

Lecz zarazem i wyiskrzoną biel, i ciemnię kosodrzewiny, i huk młodzieńczy a silny walących się z gór potoków, i mgłę chmur, w których pławią się juhasi o spalonych od słońca twarzach.

— Hej!...

Powiało to od hał, od łąk — rozblękitniało płatami gencjan, nad którymi rozpięło się srebro śniegów i ametyst oparów kryjących iglice i tarasy Tatr. Była w tym krzyku dzikość i smętek, fantazja zbójnicka i szal „tryfusowej” gorączki, był duch ognia wiatr, nieconych przed szalaszami, i rączy pościg migających jak orły kozic. Była rozpacz beznadziejna małych przydrożnych kapliczek i cmentarzów górskich, na których jarzębina tylko purpurę koralu na opuszczone groby w noc zaduszną rzuca, była przygasłość wzroku kretynów obnoszących swe woła pod czernią lachmanów.

— Hej!...

*

Jakiś jakby dech silny i groźny przeleciał nad werandą, tonącą w sinym blasku kul.

Cała dusza Tatr mignęła w tym tchu, gniewna za to najście wykrygowanych mrówek, wnoszących ze sobą szarą drobiazgowość zbytecznych potrzeb życia. Świętokradztwem od wichrów spadło i wstrząsnęło pod serdakiem (krojem staników i zakietów) piersiami. Była to jedna dziwna, nieuchwytna, nieprzetłumaczalna na język szablonów chwila.

I znów ucichło wszystko.

Widmo gór, które tak wystąpiło przeogromnie w tchnieniu swoim, cofnęło się i zastygło.

Rozdzwoniły się łyżeczki, trzaskały zapalki, migaly dzienniki na długich drągach. Przeszto się interesować Gąsiennicą i jego blękitnymi wstążkami. Ciekawy był tylko w zestawieniu z księciem.

Sam bladł i tracił zupełnie to, co więziło ku niemu oczy.

Poczuł to jak aktor, który po tryumfach scenicznych wraca sam do domu pod parasolem i w zbyt dużych kaloszach. Lecz Gąsiennica wytrawny był i wytrzymały. Zwrócił się znów ku Tuście i zaczął świdrować oczkami.

I nagle, jakby z kobzy jakiej wydobywał swe efekty, podskoczył, gwizdnął, krzyknął i puścił się po asfalcie werandy „zbójnickiego”.

Dreptał i pozierał na „nóżki”, wyglądające jak maczugi owinięte płótnem. Zgrabnie podskakiwał i bił piętą w ziemię. Cucha rozlatywała się dokoła niego jak skrzydła. Głosem ochrypłym śpiewać zaczął wieczne i klasyczne

W murowanej piwnicy
Tańcowali zbójnicy...

Dopiął swego.

Publiczność zerwała się z miejsc i zaczęła przyglądać się tańczącemu jak pajacowi na linie.

Pita w zachwycie złożyła ręce.

Zewsząd dawały się słyszeć szepty:

— Tańczy! tańczy!...

Z wysoką filozofią i leciuchnym odcieniem ironii spoglądał na tę produkcję sztab kelnerów.

Oparci o ścianę, asystowali tej komedii z sennym wyrazem twarzy.

Kazali se piknie grać
I na nóżki pozierać...

Podskakując epileptycznie, Gąsiennica lypał oczyma dokoła. Widział, że zrobił efekt, i napawał się nim. Zwrócił się widocznie ku Tuście i na jej cześć bił się po karku i piętach. Robił wrażenie aszanta wykonywającego taniec wojenny.

Tuśka, mimo woli podniecona i zdumiona, patrzyła na te konwulsyjne łamańce otwartymi szeroko oczyma.

Gąsiennica umiał doskonale umiarkować swe efekty.

Czuł, iż powinien teraz zrobić efektowne *wyjście*, aby zachować przewagę nad publicznością.

Jak koza leciuchno, w skokach nadzwyczajnych puścił się ku wyjściu z werandy.

Przemknął biały i strojny pomiędzy stolikami, przebierając „nóżkami”, z ciupagą w górę wzniesioną jak zawodowy baletnik kończący zbyt trudne *pas*.

Ogólny szmer uwielbienia, a nawet oklaski słyszeć się dały.

On błysnął raz jeszcze zębami, łypnął oczkami — krzyknął: — Hej!... — i zbiegłszy po schodach, zniknął w cieniu ulicy.

Tuśka odetchnęła.

Nie umiała wytłumaczyć sobie, dlaczego ten góral sprawiał na niej tak odpychające wrażenie. Lubiała przecież swoją gaździnę i patrzyła na jej twarz i postać z pewną przyjemnością.

Nagle uczuła, iż ktoś od ulicy przez balustradę pociąga ją za brzeg sukni.

Mimo woli podniosła się i przechyliła, starając się zobaczyć, kto zaczepia ją w ten sposób.

Na dole, u kamiennej ściany, dostrzegła białą guńkę i twarz o rozwartej czeluści ust ku niej wzniesioną.

Z werandy padało trochę światła.

Poznała Wojtkę Gąsiennicę.

Zarumieniona spytała prawie głośno:

— Czego chcecie?

— Może póndziecie f góry ze mną? — wyskrzypiał głos górala. — Jo vos poprowadzę piknie na Giewont... gdzie fcecie... Nadaliście mi się.

Propozycja była zwykłego przewodnika, ale zęby białe śmiały się, oczy w cieniu błyszczwały.

— Dajcie mi spokój — rzuciła gniewnie Tuśka.

Pita podniosła się z krzeselka, oparta o balustradę, i patrzała.

Lecz góral nie odchodził.

Znów Tuśkę za suknię pociągnął.

— Może póndziecie...

Lecz w tej chwili spoza balustrady mignęła czarna hebanowa laska z ogromnym srebrnym monogramem.

— Mój człowieku, idźcie swoją drogą i zostawcie tę panią w spokoju.

Tuśka spojrzała.

Obok niej stał wysoki, młody mężczyzna z małą wąsikami, rosy, w białej kamizelce.

Laską zrećnie usuwał natręta, a równocześnie patrzył na Tuśkę wielkimi czarnymi oczyma, które zdawały się błyszczeć jak dwa diamenty.

Pod dotknięciem laski Gąsiennica rozplynął się w ciemności z szybkością zmykającego kota.

Od furek tylko, gdzie czekali woźnice, doleciały chichot i szepty.

Tuśka spłoniona, przygryzając usta, skinęła głową w stronę mężczyzny.

— Dziękuję panu!

— O!... proszę!... — odrzekł uchylając kapelusza.

Tuśka usiadła znów na krześle. Miała zamiar odejść natychmiast, ale ogarnęła ją dziwna nieśmiałość. Czowała poza swymi plecami, iż towarzystwo strojne, które poznała po głosie, zajmuje się nią w tej chwili. Znów teatr, scena, aktorzy wcisnęli się w jej życie i otoczyli ją tym tłem, które było dla niej jakieś miłe i przytulne. Mimo to skrepowana była i po prostu ruszyć się nie śmiała z miejsca. Zdawało się jej, że to wyróżnienie napaśtliwie górala okryło ją śmiesznością w oczach tych ludzi. Siedziała więc naprzeciw Pity, zaczerwieniona, z uszami rozpalonymi i oczyma wbitymi w filiżankę z herbatą.

Tymczasem za jej krzesłem nie zajmowano się nią wcale.

Aktorzy i aktorki pograżyli się w otchłani własnych interesów.

Rozbierali plan dalszej wycieczki i wszyscy godzili się na jedno, że źle zrobili, decydując się na tę włóczęgę.

— Trzeba było osiąść gdzie na trawie, na Czarnej Wsi albo pod Kopcem, i czekać jesieni.

— E!...

Aktor o hebanowej lasce, diamentowych oczach i małych wąsikach nie mówił nic, tylko pilnie wpatrywał się w kark Tuśki.

— No... patrzcie na Porzyckiego, czy on źle zrobił? — wyrzekła jedna z aktorek.

— Tak, ale trzeba mieć papę i mamę, tak jak Porzycki. Jak zabraknie, dodadzą synalkowi.

Aktor o diamentowych oczach wzruszył ramionami.

— No... nie życzyłbym ci mieć takie od rodziny dodatki, jakie ja miewam.

— A zawsze masz pieniądze.

— Bo oszczędzam. Stołuję się prywatnie, żyję jak filister, kocham się za darmo, a na ubranie zaabonowałem się w Wiedniu. Dlatego mi wystarcza.

— Podwyższyli ci gażę?

— Spodziewam się. Ale jak mi dadzą gdzie lepsze warunki, to pojadę.

— Forszus⁷ wziąłeś.

— Oddam — do łapy mi nie przyrósł.

— Oddasz? no!...

— E... daj mi spokój! Pies by z tobą tańczył polkę przez całe Planty, taka jesteś nudna.

— A ty ordynarny.

⁷forszus (z niem.) — zaliczka. [przypis edytorski]

— Och!... jaka hrabina!...

Pita słuchała pilnie, co mówią w tej grupie, i widocznie obraz psa, tańczącego polkę przez Planty z tą śliczną i elegancką panną, bawi ją w niezwykle u niej sposób.

Zaczyna się leciuchno uśmiechać.

Porzycki dostrzega ten śmiech.

— Widzisz!... — mówi do koleżanki — jesteś taka nudna, że ta śliczna panienka śmieje się z ciebie.

— To z ciebie.

— Nie, z ciebie.

Tuśka czuje, iż powinna wstać i iść z tej werandy, gdzie swoboda grona aktorów wciąga i ją, i Pitę w swe zaczarowane koło.

— Chodźmy, Pita!

Z piersi Porzyckiego wydziera się jakby westchnienie:

— Szkoda!

Tuśka zabiera córkę i obie, przeprowadzone wzrokiem publiczności, schodzą ze schodków na ulicę.

Tuśka chce wsiąść do furki, lecz widzi, iż Porzycki i dwie aktorki wstały i oparte o balustradę, przypatrują się ich odjazdowi.

Siada więc do dorożki licząc mimowolnie, ile wydała dziś na teatr, herbatę, dorożki. Siada jednak z gracją.

To samo czyni i Pita.

Góral machnął lejcami, konie szarpnęły z miejsca, dorożka stęknęła i zarechotała jak całe stado rozjuszonych żab.

Aktor Porzycki wionął ku odjeżdżającym dość elegancką „panamą”. Tuśka bezwiednie oddała mu ukłon.

Pita w tej chwili także pochyliła główkę.

I obie jadą teraz przez ciemne Krupówki, poznaczone tylko po bokach, gdzieniegdzie, jasnością oświetlonych werand i okien.

I obie mają jakieś rozjaśnione i zadowolone miny.

VII

Nazajutrz nadzwyczajne szczekanie wielkiego podwórzowego brytana zbudziło Tuśkę i Pitę.

Porwały się obie i siadły na łózkach, przecierając oczy.

— Cóż znowu za psisko! — wyrzekła zirytowanym głosem Tuśka.

— Może to w sąsiedniej willi.

— To będzie przyjemność.

Szczekanie zamieniło się w przeciągłe wycie.

— Ależ to tu, w domu, w sieni — wyrzekła znów Tuśka odrzucając kołdrę.

Ale przenikliwe, poranne zimno zakopiańskie zmusiło ją do powrócenia do łóżka.

Szczekanie brytana umilkło, natomiast zaczął poszczekiwać jakiś mały szczeniak.

— Cóż to? Cała rodzina?

— Och, mamol!... to szczenię, prawda?

— Szczenię.

— Ja zobaczę.

— Ani mi się waż, przeziębisz się. Leż spokojnie. Dopiero ósma.

Nagle miauknął kot.

— Cała menażeria! — westchnęła Tuśka. — Już ja się z gaździną rozmówię.

Lecz za drzwiami zaczął się rozgrywać cały dramat. Kot spotkawszy się widocznie z brytanem parsknął, a pies warczał i naszczekiwał. Trwało to długą chwilę, wreszcie wrzask koci i szczekanie psie zwały się w jeden głos, tworząc tak straszny hałas, że Tuśka wyskoczyła jak szalona z łóżka i pobiegła do okna.

Otworzyła je i wychyliwszy się, zaczęła wołać rozpaczliwie:

— Gaździna!... Wikta!...

Spoza węgła wysunęła się gaździna.

— A co kcom?

— Wypędźcie natychmiast te psy i koty z sieni.
 Lecz Wikta ani na chwilę nie straciła spokoju.
 — Nikany ni ma psów ani kotów — odrzekła powolnie.
 — Jak to? Nie słyszycie, jak szczekają i wrzeszczą?
 Lecz gaździna potrząsnęła tylko głową:
 — To nie psy ani kocury, to je mój gość...
 — Gość?
 — Haj... o mlicysko się upominajom. To on takie figlasy robi!
 I podszedłszy ku oknu, gaździna odezwała się głośniejsze:
 — A cichoście, zaro wam mlicysko piknie przyniosę.
 Szczekanie i miauczenie natychmiast ustało.
 Tuśka, zirytowana i zziębła, wróciła do łóżka. Pita, która ze swego posłania słyszała rozmowę matki z gaździną, miała minę zdumioną i oczy szeroko otwarte.
 — Śpij — rzekła do niej przechodząc matka. — To jakiś wariat widocznie sprowadził się w nocy. Jeżeli się nie będzie przyzwoicie zachowywał, zażądam, żeby się wyniósł.
 Położyła się, otuliła kołdrą i próbowała zdrzemnąć się jeszcze, gdyż czuła, że ogarnia ją migrena.
 Przez kwadrans panowała wzorowa cisza.
 Nagle odezwał się silny głos trąby.
 Ktoś grał walca ze *Słodkiej dziewczyny* na dużej trąbie, a przenikliwy, trywialny głos dętego instrumentu rozlegał się z rozpaczliwą siłą w drewnianych ściankach chaty.
 I znów Tuśka i Pita, jakby na sprężynach, usiadły na posłaniu.
 — Co to jest? — jęknęła Tuśka.
 — To trąba, mamusiu! — objaśniała Pita.
 — Boże!... ten człowiek gra na trąbie... ależ to straszne! Ja, która już znieść nie mogę waszych gam i ćwiczeń fortepianowych.
 — Ustaje...
 Głos trąby skończył.
 Natomiast wypłynął głos skrzypiec, na których ktoś wcale niezłe grał *Śmierć Azy* Griega.
 — I to jeszcze!... — wyszeptwała Tuśka.
 Lecz jakby zbudziła się w niej energia, znów wyskoczyła z łóżka i pobiegła ku oknu.
 — Gaździna! Wikta!
 Spoza tego samego węgła wysunęła się gaździna i znów spytała:
 — Cego kcom?
 — Ktoż tam znowu gra?
 Gaździna zsunęła chustkę z ucha i nasłuchiwała przez chwilę.
 — To je mój gość. Leży se grający.
 — Wynajęliście mi mieszkanie mówiąc, że tu jest spokój i cicho.
 — Ano...
 — Ładnie cicho: jak nie psy, to trąba, jak nie trąba, to skrzypce.
 Gaździna ujęła w rękę fartuch i z przyzwyczajenia zaczęła obcierać belki chałupy.
 — Nikany ni ma żadnej trąby ani skrzypecków.
 — Jak to nie ma, słuchajcie!
 — A wej słysę.
 — No, więc.
 — A to przecie tak piknie grajom nie na trąbce i nie na skrzypeckach, ino na gębusi.
 — !!!
 — Ano... złoży se ten pon gębusię i tak se parska, a to niby skrzypki albo trąba, hej.
 Tuśka zamknęła okno.
 W łóżku siedziała zachwycona Pita.
 — Proszę mamusi, to ten pan tak ślicznie imituje trąbę?
 — Widocznie.
 — Ach, Boże! żeby ja tak umiała.
 — Właśnie, tego by brakowało.
 Serenada ustała.

— Szkoda — westchnęła Pita.

— Bogu dzięki — mruknęła Tuśka.

Teraz już na dobre rozświecało się i rozjaśniło Zakopane. Cała chata zapachniała świerkowym drzewem. Taka sama woń płynęła z lasu.

Matka i dziecko ubierały się, myły i czesały w milczeniu. Tuśka tylko wydała dyspozycję małej, jaką ma włożyć sukienkę i pończoszki. Chodząc po pokoju, zauważyła, że Pita włożyła różę, otrzymaną wczoraj, w szklankę i umywszy się starannie, wodę w tej szklance zmieniła.

Róża ta przypomniła Tuśce cały wczorajszy wieczór. Dziwne połyskliwe oczy aktora, jego trochę narzucający się sposób zachowania, a mimo to pewne jakieś uczucie ciepła moralnego, które ją z jego zbliżeniem przeniknęło.

Uśmiechnęła się przypominając sobie jego słowa:

— Szkoda, że nie mam drugiej róży...

Tak dawno już nie dostawała kwiatów!

A kobiety tak lubią, gdy im kto bodaj bukietek fiołków za parę groszy rzuci.

Zwłaszcza te kobiety, za którymi pozapadały tak zwane kłamki.

Bo one są jak groby opuszczone i samotne, które od przechodniów domagają się bodaj jałmużny kwiecica.

Nagle w sieni ozwał się stłumiony odgłos warczącego bębna.

Tuśka i Pita zwróciły głowy ku drzwiom.

Warczenie bębna uporczywie rozlegało się niedaleko ich drzwi i wypełniało całą sień.

Oczy Pity wyrażały znów nie znany u niej wyraz zachwyty.

Natomiast Tuśka zapłonęła cała od gniewu.

— Nie, tego już nadto!

— O! mam! — szepnęła Pita — to już niepodobna, żeby to człowiek naśladował...

Ten pan musi mieć bęben.

Tuśka szesała szybko włosy z czoła, zapięła na piersiach niebieską, flanelową matinkę i pobiegła ku drzwiom.

Otworzyła je jednym szarpnięciem i wychyliła się ku sieni.

Sień była ciemna, bo drzwi od ulicy były zamknięte.

Przy ścianie Tuśka dostrzegła pochylonego nad rowerem mężczyznę.

Ukośny promień światła z drzwi przez nią uchylonych oświetlił pająkowate, błyszczące koła i nogę, i rękę schylonego mężczyzny, który, odziany w szarą, flanelową koszulę, sportowe spodnie, czarne pończochy i żółte buty, majstrował coś koło roweru.

Majstrowanie to nie przeszkodziło mu widocznie w dawaniu folgi swemu dobremu humorowi, bo „na gębusi” udawał przedziwnie łomot bębna. Do uszu Tuśki doleciały słowa łączące się w warczenie pałek walących w oślą skórę.

Tuśka przerwała szybko ową zbyt ranną pobudkę.

— Przepraszam pana! — wyrzekła głosem podniesionym i niemilym — czy można prosić o spokój? Przyjechałam dla leczenia się, a nie dla denerwowania...

Mężczyzna nie zdołał jeszcze podnieść głowy, kiedy Tuśka zniknęła w swoim pokoju, zatraskując drzwi tak silnie, iż sama się tym faktem zgorszyła.

Warczenie bębna ucichło.

Jakieś ciche kroki przebiegły sień i nastąpiła ogromna cisza.

Nagle, prawie pod oknami, rozległo się cichutkie świergotanie ptasząt.

— O!... — wyrzekła Pita.

Lecz Tuśka spojrzała na nią spod brwi ściągniętych.

— Moje dziecko, proszę cię, masz pilnik i opiluj sobie równo paznokcie. Rosną ci w festony. Zamiast zajmować się błazeństwami tego pana, pilnuj, żebyś, gdy dorośniesz, nie potrzebowała się rumienić za źle utrzymane ręce.

Pita wzięła pilnik i zaczęła z nadzwyczajną wprawą manewrować koło swoich paznokci.

Tuśka wzięła w rękę list męża, który dostała wczoraj, wróciwszy z teatru.

Był to szary, przeciętny list, niezmiernie smutny w tej swojej obojętności zrezygowanego człowieka. Czytając go, widziało się zielone palto, schylone plecy i zagasłe oczy. Tak jakby myśli jaśniejsze omijały starannie ten umysł i nawet nie zwabione nigdy już nie biegły w tę stronę. Było to beznadziejne dla siebie, słabonadziejne dla innych. Mimo to

spełnienie obowiązku wiodło go po szynach dobrze ułożonych przez porządek przyjęty milczącym ogólnoludzkim układem.

„Moja droga Tuško! Bardzo się cieszę, że zajęchaliście zdrowo i szczęśliwie do Zakopanego. Zmartwiło mnie to, co piszesz o ciągłym deszczu, ale tam nawet deszczowe powietrze jest zdrowsze niż tu w Warszawie w najświetniejszą pogodę. Proszę cię więc, lecz się pilnie i każ Picie, aby piła mleko i przebywała na świeżym powietrzu jak najwięcej. Spotkałem wczoraj, wracając z biura, doktora i ten polecił mi to ci napisać. Dywany i portiery już wytrzepane i złożone. Kwiaty podczas deszczu kazałem stróżowi wynieść na dziedziniec. Duża palma ma mszyce, ale obmywać ją będę tytoniem. — Mam teraz dużo czasu, to mi zajmie wieczory. Chłopcy wybornie się na wsi mają. Zbierają się do ciebie napisać. Kończę już, bo muszę iść do biura. Przyjmij serdeczne ucałowania dla ciebie i dla Pity —

kochający mąż”.

Ani słowa o sobie, tylko to krótkie „idę do biura”, „wracam z biura”, a potem: „będę obmywał palmy wieczorami”.

W Tuście jednak nie zadrgało nic, nie pomyślała nawet, jaka melancholia jest w sytuacji tego spracowanego człowieka, który w letnie upały, wróciwszy od jarzma biurowego, za całą rozrywkę ma miednicę, gąbkę i chronienie od śmierci roślinę znędzniałą w miejskim kurzu tak, jak on sam.

Według niej, on wypełnia swój obowiązek. Ożenił się, miał dzieci, powinien był zapracować na wyżywienie i uzdrowotnienie całej rodziny.

Taka była ustawa społeczna.

Złożyła list i schowała go pod lustro.

Sama zwróciła się ku córce.

— Wypiłaś mleko?

— Tak, proszę mamusi.

— Weź kapelusz i wyjdź przed dom. Możesz pospacerować naokoło domu, tylko nie oddalaj się na drogę, nie chodź po słońcu i uważaj na buciki. A... weź mitynki... A oddychaj ustami, nie nosem — dosyć to *powietrze* kosztuje⁸. Nie potrzebujesz go sobie żałować.

Pita włożyła ładny ogrodowy kapelusz i cichutko, biała, kształtna, milutka, wysunęła się z izby.

Tuška tymczasem ziewnęła i powoli skierowała się w stronę łóżka.

Anemia ją trapiła, przejawiając się w ciągłej senności.

Spoza opuszczonej na otwarte okna firanki płynęła jasność słoneczna.

Coraz silniej rozpachniało się drzewo chałupy, a woń ta była dziwnie rozkoszna i upajająca.

Zmieszane głosy ludzkie, dzwonek roweru, czasem turkot furki, brzęk pod powałą tańczących much podnosił senność atmosfery.

Tuście zdawało się chwilami, że słyszy głos Pity, to znów jakiś męski głos śmiał się serdecznie, potem ćwierkały ptaki, cichutko ozwały się skrzypce, zarżał daleko koń...

Chciała oczy otworzyć, zawołać córkę, ale sił jej nie stawało. Senność dziwna ją ogarniała.

Powietrze silne, górskie, czyste, upajało ją jak stare, kuracyjne wino.

I nagle z oddali doleciał ją warkot bębna... przerywany śmiechem, i znów warkot, a potem śmiech.

Głowa Tuški uniosła się trochę, potem opadła w poduszki. Cała twarz młodej kobiety, oplątana złotym welonem włosów, przeświecała lekką różowością przez jasne pasma.

Próbowała odsunąć włosy z rzęsów, z twarzy. Sił jej nie stało.

Zasnęła.

⁸*dosyć to powietrze kosztuje* — Autentyczne (przyp. autorki). [przypis autorski]

VIII

Ciche skrzyknięcie drzwi zbudziło Tuškę.

Pita weszła do izby.

Lecz Tušce wstawać się nie chciało, tak ją rozebrało rozkoszne ciepło i zapach smreków, którym cała izba była przepelniona.

Leżała więc spokojnie i spod przymkniętych rzęs śledziła ruchy Pity.

Dziewczynka weszła na palcach, po swojemu, grzecznie i zaraz zbliżyła się do stołu.

Spod żakiecika wydobyla małą plecioną bombonierkę, ze złotej słomy, z wesołą, płomienną czerwoną kokardą na boku przykrycia.

Z prawdziwą radością Pita obejrzała kilkakrotnie śliczne cacko i ustawiła je na stole.

Potem zbliżyła się do lustra, wzięła szczotkę i zaczęła gładzić włosy, wzburzone i rozrzucone w nieładzie.

Tuška widziała odbitą w lustrze twarzyczkę córki i zdziwił ją wyraz nie znany jej poprzednio.

Dziewczynka uśmiechała się cała — oczy, usta, uszki, nosek — wszystko drgało uśmiechem. Błada zwykle cera twarzy miała lekko różowe jakby pasma podskórne. Zwłaszcza czoło, nosek i bródka, zarumienione, nabrały koloru ślicznych płatków róży.

Lecz Tuška widziała w tym zaróżowieniu szkodliwe dla cery „opalenie” i jako matka dbała o piękność córki, uczuła się zaniepokojoną.

Usiadła na łóżku wołając głośno:

— Pita!

Dziewczyna drgnęła. Przybrała układną minkę, lecz uśmiech tak przywarł jej do buzi, iż od razu spędzić go nie zdołała.

— Słucham mamy!

— Jak ty wyglądasz? Jak upiór? Gdzie ty byłaś? Czy chcesz wyglądać tak ślicznie, jak gaździna? Jak się w Warszawie pokażesz?... Przejrzyj się w lustrze... do czego jesteś podobna!

Pita posłuszna spojrzała w lustro i zawstydzona spuściła oczy.

Uśmiech zniknął powoli, jak obłok zbyt jasny i różowy o wczesnym świcie.

— Coś ty postawiła na stole?

Teraz już Pita była zupełnie zmieszana.

Skurczyła ramionka i zaczęła wykręcać sobie palce.

— To proszę mamuńci... ten pan, co obok nas... dał mi cukierki...

— Jak? co?

Tuška uczuła się tak zdumioną, iż jednym susem zeskoczyła z łóżka.

Włosy jej rozleciały się we śnie na ramiona.

Była prześliczna, choć twarz świeciła się zanadto.

— Jak mogłaś przyjąć coś od nieznanego? Co to za maniery? Gdyby ojciec wiedział, gniewałby się strasznie.

— Proszę mamci... ten pan bardzo jest grzeczny. Sam do mnie podszedł, jakem siedziała na belce, i pierwszy zaczął mówić. A potem, proszę mamuńci, to jest ten sam pan, który wczoraj był w teatrze... To on mi rzucił na kolana różę...

— Co?

— Tak, proszę mamuńci. On jest bardzo zabawny. Udaje psy, koty, osła, udaje, że niby drzewo piłuje, a także, że ktoś sobie głowę rozbija, albo znów, że bębny warczą... albo...

Pita ożywiła się. Uśmiech wypłynął na jej twarzyczkę przy wyliczaniu talentów nowego znajomego. Polykała ślinę, robiła „ciup” ustami, ożyło w niej dziecko.

Lecz Tuška doznała niewytłumaczonego oburzenia.

Ten pan drażnił jej nerwy od rana.

Bezwiednie to rozdrażnienie już istniało w nocy, bo Tuška, nie mogąc spać, przypomniawszy sobie jego na wpół zuchwałe, na wpół łaszące się wejrzenie, gdy po usunięciu natrętnego górala patrzył jej w oczy.

Los teraz czyni z tego człowieka jej sąsiada i każe jej znosić jakieś wysoki błazeński humor, który ona uważa za nieprzyzwoitość w wysokim stopniu.

Zbliżyła się więc szybko do stołu i bierze w rękę bombonierkę.

— Oddasz ją natychmiast temu panu — mówi surowo, marszcząc brwi, starannie szczotką wyczesane. — I proszę nie wdawać się w żadne rozmowy z tym człowiekiem, bo to jest ktoś źle wychowany i nie z naszej sfery.

Pita bierze w rękę bombonierkę. Cień smutku pokrywa jej buzię. Widać, że nie żał jej bombonierki, lecz przykro jej, że będzie musiała niegrzecznością zapłacić za uprzejmość sąsiada. Kieruje się posłusznie ku wyjściu, lecz równocześnie coś miga przed oknami drugiej pustej izby, od której Tuśka zostawia drzwi otwarte, aby mieć jak najwięcej powietrza.

Pita zatrzymuje się na środku pokoju.

— Ten pan pojechał na rowerze.

— Idź... Jeżeli okno otwarte od jego pokoju, postaw bombonierkę na oknie, jeżeli zamknięte, oddaj gaździnie i kaź, niech mu do izby zanieś.

Grzecznie, drobnymi kroczkami Pita wychodzi z pokoju.

Razem z nią ten tryumfalny, płomienny, zuchwały węzeł czerwonej kokardy niknie i znów jakoś bezbarwnie robi się w izbie. Tuśka unika takich „wyzwijających” kolorów uważając, że są *mauvais genre*⁹ i nieodpowiednie dla przyzwoitych kobiet. Więc — blade, szare, białe co najwyżej.

Nawet Pita jest jakby poświęcona „przyzwoitym nerwom”.

Aż tu nagle czerwony fontaź jak mak świeżo zerwany.

A potem ten fontaź ma w sobie coś z zuchwalstwa czerwonych warg ofiarodawcy.

Czego ten aktor chce? Czemu się jej narzuca?... Właściwie nie narzuca się.

Wczorajsze jego postępowanie było dość poprawne, a że dziś dał dziecku cukierki...

Jednak...

Tuśka czuje się niemile zaniepokojoną. Doznaje tego wrażenia, gdy służąca za wcześniej bez pytania na wiosnę okna pootwiera i w ciepło, nagromadzone przez zimę, nagle uderzy prąd chłodu wilgotnego wiosny i jakaś jasność, przed którą drżą fikusy i palmy, śpiące w cieniu firanek.

— Gdy będzie zanadto się narzucał, wyprowadzę się... — myśli siadając przed lustrem.

Przypomina się jej to wczorajsze jego powiedzenie.

— Szkoda, że nie mam drugiej róży...

I zaczyna przed lustrem pozować na kobietę prześladowaną uwielbieniem i bardzo obrażoną w godności uczciwej kobiety.

Gdy go spotkam, pozna po zmarszczeniu brwi, po całym wyrazie twarzy, że się pomylił...

Marszczy brwi, przybiera twarz Junony. Jest jej z tym dobrze, bo ma ładny równy nos i okrągło zarysowaną brodę.

Lecz równocześnie jakiś głos jej szepce:

— Jakaś ty głupia — to nie jest żadne uwielbienie z jego strony. Ot... źle wychowany i za wesoły...

W ogóle jednak Tuśka odczuwa, że za wiele zajmuje się tym aktorem.

Chce zwrócić swą myśl w stronę właściwą.

Wzrok jej pada na list męża.

Równocześnie wchodzi Pita już bez bombonierki.

— Postawiłam na oknie — mówi i podchodzi do łóżka, bierze ze stolika szklankę, w której moknie pąsowa róża, i wsuwa swój delikatny nosek w aksamitne płatki kwiatu.

Ujrzawszy to, Tuśka wpada w jeszcze większe rozdrażnienie.

— Postaw ten kwiatek — mówi do córki — weź papier i pióro i napisz list do tatusia. Pamiętajsz przecież, że tatuś cię o to prosił na kolei. To niegrzecznie dać ojcu czekać.

Pita podchodzi do pudełka, wybiera arkusz szarego angielskiego papieru, przesuwając krzesło, siada, zakrywając kolanka sukienką, i sumiennie, wyciągnąwszy jęczyczek, zaczyna list córki dobrze wychowanej, na wiledziaturze — do ojca, który z powodów od niego niezależnych pozostał w mieście.

⁹*mauvais genre* (fr.) — w złym guście. [przypis edytorski]

„Kochany tatusiu!

Czyniąc zadość rozkazowi tatusia piszę po przyjeździe do Zakopanego. Tak mamusia jak i ja jesteśmy, chwała Bogu, zdrowe, tylko mnie trochę w Krakowie było niedobrze, ale to przez szynkę, bo za dużo jadłam, i przez lody i lemoniadę. — Kraków jest to miasto mniejsze niż Warszawa i ma bardzo duży Rynek, a z wieży Mariackiej trąbią co godzinę.

W Zakopanem jest dużo gór, ale się chowają za chmury i trzeba pilnować, żeby zobaczyć.

W nocy jest tu bardzo ciemno. Górale nie są podobni do chłopów w Wilanowie i jeździ się tu furkami, które bardzo trzęsą. Dziś jest ładna pogoda, a wczoraj byliśmy w teatrze, ale gorzej grali niż w „Rozmaitości”. Rączki i nóżki kochanemu tatusiowi całuję i pozostają jego najprzywiązańszą i najwdzięczniejszą córką —

Pita”.

Cztery bruliony i dwa „na czysto” zajęły Picie przeszło godzinę czasu.

Przez ten czas Tuśka zdołała spalić żelazkiem dużo włosów, lecz wreszcie ufryzowała się wspaniale i główka jej robiła wrażenie woskowej lalki na wystawie fryzjerskiej.

Gdy Pita podeszła i wręczyła jej arcydzieło i wylew uczuć swych dziecięcych dla ojca, Tuśka przeczytała i znalazła list zupełnie przyzwoitym.

— Jedno ci mam do zarzucenia — wyrzekła do córki — to jest słowo: „rozkaz”. Gdybyś napisała: „stosując się do życzenia, które tatuś raczył mi objawić”, byłoby grzeczniej i lepiej.

— Dobrze, proszę mamusi! — odparła Pita i bez wahania zasiadła do nowego „na czysto”, wysuwając już teraz cały języczek, którym zaczęła zakreślać nadzwyczajne młynki i kółka.

Tuśka po wypowiedzeniu tego zdania czuła się jakoś spokojniejsza, gdyż wkraczała w ten sposób w normalną dziedzinę swego życia. Pita znów siedziała grzeczna i cicha, z przygladzoną lśniącą głową, z cerą twarzy matowobłądą, przypominającą woskowe figurki.

Tuśka postanowiła wyjść na spacer w stronę „miasta”. Potrzebowała zapasowych sznurowadeł do białych trzewików. Spojrzała w okno. Zdawało się jej, że słońce przyćmiewają chmury, postanowiła więc wyjść przed chałupę, aby stwierdzić, jaka jest właściwie pogoda i czy można zaryzykować jasną suknię.

Zwróciła się do córki.

— Pisz, ja zaraz wrócę.

Na szlafrok różowy, kretonowy zarzuciła długą rotundę i wysunęła się przed sadybę.

Aż biło od złota i jaśni.

Ostrością niezwykłą i olśniewającą przepelniony był przestwór. Rzędy chałup, domów z tryumfalnie wybiegającymi ku górze pazdurami lśniły się złotem belek i migotały tęczą szyb. Smreki nieruchome wisiały ciężkie i prawie czarne pomiędzy tym złotem a rozpromienionym blaskiem.

Środkiem płynął gościniec prawie biały, pusty i ginący jak wstęga mgły w oddali.

Tuśka przysłoniła oczy ręką, zwróciła się w stronę Kościelisk i patrzyła na tę mglistość wśród ścian czarnej smreków, w której rozpływał się gościniec. Nie czuła jednak dziwnej, tajemniczej piękności ginących w oddali górskich dróg, lecz myślała, że kurz jest straszny i że suknia szara, płócienna jest najodpowiedniejsza na taki dzień upalny i przepojony pyłem.

Nagle tuż obok niej, jak nadlatujący wicher, wysunął się rower, a na nim mężczyzna w kurtce narzuconej na ramiona, okryte cienkim, białym trykotem.

Zanim Tuśka zdążyła zwrócić się ku domowi, cyklista zeskoczył z roweru i kierując go ku sieni zagroził jej drogę.

Tuśka czuła się schwytna w pułapkę. Z drugiej strony zamykały obejście żerdzie, przez które przejść było niepodobiestwem.

Cyklista zaś, którego zakłopotanie Tuśki widocznie bawiło, zajął ze swym rowerem prawie całą długość maluchnego podwórka przed chatą.

Teraz Tuśka, choć na niego nie patrzyła, *widziała* jednak dokładnie, że to były te same zuchwale i laszące się oczy, ten sam uśmiech trochę cyniczny i dziecinny grubych, świeżych warg, który wczoraj zwrócił się ku niej spod ronda jasnego kapelusza.

Aktor uchylił czapeczki i przybrał bardzo wdzięczną i zgrabną postawę.

— Pozwoli pani... — zaczął.

Lecz Tuśka, która zawsze miała dużo przytomności umysłu i pewności siebie, jaką się odznaczają wśród ludzi warszawianki, poczuła, że serce jej zaczyna dziwnie tłuc w piersiach i krew jej bije do głowy.

Niezgrabnie, jak spłoszona pensjonarka porwała się do sieni i torowała sobie drogę nie wiedząc, co robi.

— Przepraszam, pan mnie przepuści...

Była jednak bardzo ładna w tym strwożeniu, miała w sobie masę wdzięku i młodości.

Aktor ze zdziwieniem patrzył na nią.

Wczoraj w teatrze wydała się mu wytrawniejsza i dużo wiedząca.

— Czyżby?

Usunął rower i on jakby troszkę zmieszany.

— Proszę... bardzo proszę...

Szybko Tuśka zniknęła w sieni.

Mężczyzna powstał czas jakiś, rosły, silny, ładny w tym skąpaniu słonecznym, oddychając szeroko doskonale zbudowaną piersią, która w bieli trykotu zdawała się być z gipsu odlaną.

Patrzył w otwór sieni, w którym zniknął różowy szlafrok przysłoniony zakopiańską peleryną, patrzył i kręcił głową.

Wreszcie oparł rower o ścianę, zapalił papierosa i rzucając zapalkę na ziemię, wycedził przez świeże, uśmiechnięte usta:

— No... no...

IX

Nad wieczorem wracała Pita z Tuśką z „miasta”.

Szły od doktora, do którego miały listy polecające z Warszawy.

Po drodze wrzuciły listy, Tuśka zaprenumerowała książki i naturalnie wzięła po raz drugi *Journal d'une femme de chambre*¹⁰ Mirabeau.

Po drodze weszła z Pitą do kościoła, gdzie usiłowała zachwycać się nieforemnymi szafkami wyobrażającymi ołtarze.

Patrząc na leluje, nabijane gwoździe i rozmaite inne „zdobnictwa”, postanowiła kupić sobie i Picie kilka breloków w formie czerpaków, ciupag i innych.

Serdaki miały już, więc należało tylko klejnoty nosić w stylu, aby stać się wierną przyjętej z entuzjazmem modzie.

Wracały do domu znużone upałem, upojone górskim powietrzem, podniecone przejęciem pod werandą cukierni.

Siedzący bowiem tam goście przypatrywali się bardzo matce i córce.

Były one „coś nowego”, więc należało im poświęcić uwagę.

Tuśka i Pita mogły być dumne.

Zacmiewały Giewont i Kalatówki.

Gdy szły tak powoli, co myślała Pita, nie wiadomo.

Było to jeszcze chaotyczne, mgliste, niejasne i tajemnicze, tak jak jej rysy, jej gesty, jej uroda, nie wiadomo jeszcze, w jakim mająca biec kierunku.

Oto lekarz powiedział jej, że tak ona jak Pita są za smutne.

Był to młody jeszcze, żywiołowy człowiek, z twarzą o niczym nie wątpiącą, śmiały i zdeterminowany.

Z jego receptą wszelako należało się obchodzić ostrożnie, a jego diagnoza często zbaczała ścieżką mimo!

Był jednak wesoły, przyjacielski, uprzejmy, dobrej tuszy i wcale ładnej brody.

¹⁰ *Journal d'une femme de chambre* (fr.) — dziennik pokojówki. [przypis edytorski]

Wziął Pitę jak lalkę, postawił przed sobą, przypatrzył się uważnie jej ślicznej buzi, zgrabnym nóżkom i od razu śmiać się zaczął:

— A cóż panienka taka poważna?

Picie przypomniało się, że rankiem, gdy siedziała na belce, ten aktor przypatrzył się jej tak samo uważnie, roześmiał się i zapytał:

— A cóż panienka taka poważna?

Rumieniec leciuchny wystąpił na jej buzię. Od rana zaczęła czuć, że ta „powaga” to widocznie coś niewłaściwego dla niej, tak jak niewłaściwe jest jedzenie ryb nożem lub noszenie kretonowej sukienki w grudniu.

W Warszawie jednak czy na pensji, czy to w domu chwalono ją za tę powagę.

Zwróciła się więc ku matce, jakby żądając od niej wyjaśnienia.

Tuśka natychmiast pośpieszyła z odpowiedzią:

— Moja córeczka nie jest *za* poważna, panie doktorze... ona jest tylko rozsądna. Taki jest jej układ, była taka od dziecka.

Lekarz wzruszył ramionami.

— To źle... dziecko powinno biegać, hałasować, krzyczeć, kozły wywracać.

— !!!

— Tak, tak!... ta panna rozsądna powinna jak nic kozła fiknąć na trawie. Po to przecież ją tu pani przywiozła. Blade to, anemiczne... Niech lata po słońcu, niech się opali, niech parę razy nos zbije...

Tuśkę aż dusić zaczęło z oburzenia.

— Pan daruje, panie doktorze, ale moja córka jest w tym wieku...

Lekarz przerwał jej gwałtownie:

— W jakim wieku? To jest *dziecko*. Wy jesteście straszni, wy z miasta. Przywozicie nam tu starych maleńkich, zwiędłe przedwcześnie kwiaty i mówicie: „Doktorze, coś temu dziecku jest”. Ależ u diabła — pewnie, że jest, i to bardzo dużo. A nie ma najgłówniejszej rzeczy, nie ma nerwu życiowego, nie ma już siły... nie ma chęci do życia.

— ?

— Tak, tak... Ja pani ręczę, że gdyby się tej dziewczynki zapytać, czy się bardzo cieszy, gdy budzi się rano, ale zapytać umiejętnie, bo ma pozór bardzo skrytej natury, to przyznałaby, że albo jej to jest obojętne, albo woli spać... I to jest bardzo prosty sposób objaśnienia, że nie ma ochoty do życia.

Tuśka nic nie odpowiadała, zła i zirytowana. Po co właściwie tu przyszła? Ten doktor powiedział jej, że jest zdrowa, że ma zupełnie silne płuca, a teraz zajął się Pitą; i obniża powagę Tuśki w oczach córki. Każe jej krzyczeć, biegać, opalać się, wszystko to właśnie, czego Tuśka troskliwie dziecku zakazuje.

Postanowiła nie wracać więcej do tego lekarza. Dobre jej wychowanie jednak kazało wycofać się z gry bardzo dyplomatycznie.

— Postaramy się zastosować do wskazówek pana doktora — wyrzekła, kładąc na głowę Picie strojny kapelus.

Ogarnęła szybkim wzrokiem ten śliczny pokój, lśniący od szalujących ściany desek, ze sprzętami pracowicie rzeźbionymi na ogólnie przyjęty szablon „zakopiańskiego” stylu.

— I przyjdziemy za tydzień.

— To, to — odparł lekarz, odprowadzając je do drzwi — i swobody, wesołości, uśmiechów jak najwięcej. Pani także zdałoby się trochę życia, jakiś odruch temperamentalny, bo strasznie pani wcześniej starzeć się zaczęła.

Gorąco oblało Tuśkę od stóp do głowy.

To słowo „temperament” było dla niej równie nieprzyzwoite jak „histeria”. Tak jedno jak drugie nie wchodziło w zakres przyzwoitej kobiety.

Musi uciekać, bo ten doktor widocznie nie wie, z kim ma do czynienia.

W ogóle w tym Zakopanem panuje jakiś niepokojący powiew. Tak dziwnie wszyscy się tu jedni względem drugich zachowują — myśli Tuśka — ta górską swoboda objawia się w sposób co najmniej niewłaściwy.

Gdy wyszły wszakże i Tuśka ochłonęła z pierwszego wrażenia, zaczęła zastanawiać się nad słowami lekarza.

Rzeczywiście Pita była trochę za poważna na swój wiek. Wynikało to jednak zapewne z tego, że dziewczyna była zawsze w otoczeniu starszych, a na pensji, wiadomo, jak na

pensji. „Układają” dziewczęta od pierwszej klasy, jak się układa pudle do warowania lub aportowania. Układanie takie musi naturalnie odbywać się kosztem zupełnego złamania wszelkich odruchów szybszego krwiobiegu i porywów dziecięcej bujności.

Nigdy jednak ta powaga Pity nie wystąpiła tak jaskrawo, jak tu, na tle tej przyrody, biegnącej w liniach wzwyż lub w dół, według swobodnych, bezgranicznych sił tajemnych, nie znających pęt żadnych.

— Mniej więcej wszystkie dziewczęta z miasta są takie — uspokajała się Tuśka, patrząc na idące przed nią grupy młodych pańienek, których mnoga obfitość w tym roku czyniła Zakopane podobne do olbrzymiej łąki, zasianej mnogą ilością drepających po trawie gęsi.

Przyjęta ogromnie moda białych sukienek podnosiła jeszcze to podobieństwo.

Właśnie przed Pitą szła rodzina złożona z czterech kobiet.

Matka, osoba lat czterdziestu, dobrze zakonserwowana, w miarę okrągła, ściśnięta silnie gorsetem z płaską brykłą, poruszała się z trudnością w tym kunsztownym opancerzeniu, które nadawało jej pozór, jakby stała na kładce z zamiarem fiknięcia kozła w nurty kąpielowego basenu.

Suknia, widocznie od dobrej krawcowej, szeleściła dyskretnie i miała z przodu wstawioną przezornie fularową „kamizelkę”.

Widocznie mama nabierała tuszy w przyśpieszonym tempie.

Za to pańienki przedstawiały typy potwornie chudych dziewcząt, rozwijających się źle i tępo. Odziane jednakowo w białe sukienki, guńki śnieżne, wyszyte w jaskrawe gwiazdy i leluje, w czapeczkach zakopiańskich w kształcie fezów, z włosami rozpuszczonymi na chudych ramionach, szły rzędem, stawiając jakby w takt nóżki chude, cienkie, obciążone szarymi pończochami i białymi trzewiczkami.

W rękach miały małe ciupagi, na ustach jednostajny, dziwny, ironiczny uśmiech. Oczy ich, jednakowe, szare, bez koloru, biegały chytrze i przebiegle po przechodzących, gdy chód tych dziewcząt, zgarbienie pleców, pomimo przyrządów do „prostego trzymania się”, ukrytych pod bluzkami, powolny był i leniwy jak źle odżywianych zwierząt.

Miały zupełnie pozór siostr Barisson, z których dwie otrzymały gdzieś zaproszenie na kolację. Te zaś po dokonanych scenicznych produkcjach powracają zmęczone do garderób, aby zdjąć z siebie zbyt jaskrawe szaty oklaskiwanych, milutkich zjawisk, pełnych sprytu i dziewczęcego wdzięku.

Tuśce jednak podobają się niezmiernie te pańienki. Przypomina sobie, iż widziała je przez szerokość gościńca, snujące się dokoła willi, będącej naprzeciw Obidowskiej chałupy. Matka siedziała wówczas na ganku w przeszlicznej reformowanej sukni, tak pięknej, że aż obie zwróciły na nią uwagę.

— To muszą być dystyngowane i zamożne osoby — myślała Tuśka, wymijając z Pitą całą barissonowską rodzinę.

Zrobiła przy tym bardzo sympatyczną minę przechodząc obok matki, mimo że nie dotknęła jej nawet brzegiem sukni, wymówiła:

— *Pardon, madame!*

Po chwili jednak zarumieniła się gwałtownie. Książkę Mirbeau, tę skandaliczną książkę, niosła Tuśka tak nieostrożnie, iż tytuł jej na żółtej okładce można było od razu przeczytać.

— Jeżeli ta pani widziała — pomyślała zawstydzona — co ona sobie o mnie pomyśli... To jedno mnie pociesza, iż prawdopodobnie nie wie, co to za książka.

I w formie uspokojenia dodaje:

— Znadto przyzwoita na to, aby czytała coś podobnego.

Dowlokły się wreszcie na Skibówki, skąd daleko dostrzec można było, jak na drodze stał aktor, naprawiał coś koło roweru i rozmawiał z gaźdźką.

Tuśce znów jakiś skurcz zaczął dokuczać. Zwolniła kroku nie wiedząc, co począć. Mimo woli spojrzała na Pitę i ujrzała, że dziewczynka zaróżowiła się cała, oczy jej ożywiły się i twarzyczka wyciągnęła w stronę, gdzie widniał biały trykot i świeciła stal roweru.

Tuśkę porwała złość na myśl, że córka jej najwidoczniej rozwesela się na sam widok tego „komedianta”.

W ten sposób wytłumaczyła sobie swój niepokój i rada, że znalazła przyczynę, cofnęła się urażona, że ciągle musiała na swej drodze spotykać człowieka, bijącego w jej równowagę jakąś zuchwałą śmiałością postępowania.

On musiał spostrzec je także, bo szybko odpiął od siodełka przytroczony olbrzymi pęk błękitnych, czarująco pięknych gencjan, widocznie świeżo zerwanych.

Wskoczył zgrabnie i lekko na rower, wznosił w górę jedną rękę z gencjanami i puścił się jak strzała naprzeciw idących.

Zanim Tuśka zdołała się opamiętać, już idąca po stronie gościńca Pita została obsypana całą błękitnym kwieciami, cudownie rozkwitym na różdżkach obsypanych liściem gałązek.

— *Salve, sol!*¹¹!... — krzyknął aktor do dziewczynki i Tuśka dojrzała w uśmiechu ust rozwartych dwa rzędy przepysznych białych, równych zębów.

Pita mimo woli wyciągnęła ku kwiatom ręce. Był w tym śliczny gest kobiety, uniesionej miłością ku rozkwitającym roślinom.

Pochwyliła kilka gałązek i obejrzała się za pędzącym ku Zakopanemu cykliście. I on obejrzał się, powiał czapczką i błyszczał dalej uśmiechem i rzędami perłowych, lśniących zębów.

Tuśka wyrwała Picie z ręki gencjany i rzuciła je na ziemię.

Po raz pierwszy Pita widziała matkę tak uniesioną. Oczy jej błyszczały, dobry ton i umiarkowanie znikły chwilowo pod wpływem podniecenia.

— Rzuć te kwiaty! — zawołała. — Nie oglądaj się!

Głos jej był zmieniony. Pita zrozumiała, iż żartować nie należy, i śpiesznie ku domowi iść zaczęła.

— Chcesz, żebym napisała do ojca, co ty wyprawiasz? — mówiła idąc za nią Tuśka. — Ja ciebie nie poznaję... co się z tobą dzieje!

Gdy weszły obie do pokoju, gniew Tuśki, zamiast ustać, powiększył się jeszcze.

Na oknie stała znów żółta bombonierka, przystrojona płomienną kokardą, a do niej przypięto, ogromną ćwiartkę papieru z następującym czterowierszem:

Panna Pita zła bez miary,
Twarde serce w pannie Picie,
Bo, zwracając skromne dary,
Łamie słudze swemu życie!

Pita strwożona, z oczami łez pełnymi, rozbierała się przy swoim łóżku, spod oka tylko śledząc bombonierkę i przypięty do niej papier.

Natomiast Tuśka śmiało podeszła ku oknu, przechyliła się i zawołała:

— Gaździna!...

Naturalnie zza węgła ukazała się natychmiast wspaniała postać pani Obidowskiej, jeszcze czarniejsza, jeszcze bardziej indyjska niż zwykle.

— A co fcom?

— Proszę wziąć to pudełko, oddać temu panu, co gra „na gębusi”, i powiedzieć, że mu zakazuję cokolwiek dawać mojej córce. Jeżeli nie przestanie nas zaczepiać, to się wyprowadzimy.

Gaździna wzięła ostrożnie w czarne, żyłaste ręce śliczne cacko i pokiwała głową.

— A czemu nie fcom wziąć, kiej pan dają z dobroci? — zapytała. — Oni przecie za to dudków nie fcom, ino tak panience na uciechę...

— Proszę to wziąć i nie rezonować — rzuciła krótko Tuśka.

Gdy wróciła do pokoju, Pita, rozebrana ze spacerowej sukienki, siedziała skurczona na zydelku pod ścianą. Wyras twarzy miała przygasły i zacięty. Jakiś żal migotał na dnie jej źrenic.

I Tuśka uczuła dookoła siebie atmosferę nieprzychylności i coś nienormalnego w sobie samej, co przejęło ją nagłą nudą i niesmakiem do tego wszystkiego, co ją otaczało.

Chciała jednak się przemóc, pokryć to nie znane jej przedtem uczucie i usiadłszy do stołu, zaczęła z całą sumiennością spisywać codzienne wydatki i liczyć pozostałe pieniądze...

W kąciку, na zydelku, coraz więcej garbi się i kurczy Pita, unikająca spojrzenia w stronę, gdzie w szklance więdnie i kona w ostatniej wspaniałej agonii królewski kwiat ciemnej purpurowej róży.

¹¹ *salve, sol* (łac.) — witaj, słońce. [przypis edytorski]

X

Noc.

Oparta o poduszki, przy świetle jednej świecy, przysłonionej zielonym abażurkiem, leży Tuśka, okryta kołdrą, kocem, peleryną, serdakiem, kołnierzem futrzanym i jedwabną halką. Taka sama ilość odzieży jest nagromadzona na kołdrze Pity. Przejmujące zimno przeszzywa ciało Tuśki. Mała śpi, znacząc się jasną plamą anemicznej twarzy w zagłębieniu poduszek.

Tuśka trzyma w zziębłej ręce książkę Mirbeau, ale nie czyta zajmujących dziejów plotkarki przedpokojowej.

Niezadowolona z siebie, ze swego postępuku względem dziecka, którego nieufność i żal odczuwa mimo uspienia, w jakim jest pogrążone, Tuśka nie może zasnąć i czuje, że krew jej bije do głowy i hukiem uszy wypełnia.

Długo w noc nigdy nie czuwała, mając na uwadze od dzieciństwa nabrane przeświadczenie, iż dla kobiety bardzo zgubną rzeczą jest oddawać się nocnym rozmyśleniom, bo te nic dobrego z sobą nie przynoszą.

Zresztą tam, na Wareckiej, gdy się położy, zasypia prawie bez zwłoki i już jak przez sen słyzy, jak mąż nakręca zegarek, wyjmuje z kieszeni drobne pieniądze, scyzoryk, ołówek i składa je na marmurze szafki. On zwykle gasi świecę, a kiedy — ona nie wie, tak jest senna i znużona. Lecz tu, w Zakopanem, gdzie wszystko jakoś dzieje się inaczej i przewrotnie, Tuśka w żaden sposób zasnąć nie może. Zdarzenia dnia nabierają nadzwyczajnej plastyczności i cisną się ku niej z taką siłą, że ją dręczą i niepokoją. Nieprzyjemnie jej także, że lekarz powiedział przy Picie, iż ona, Tuśka, jest zupełnie zdrowa i płuca jej nie są zaatakowane. W Warszawie, pragnąc koniecznie wyjechać, forsowała nutę swej choroby i mąż silnie był przejęty owym „zajęciem szczytów”, które wymagało natychmiastowej opieki. Obecnie legenda upadała i ona sama nie miała nawet wytłumaczenia przed sobą za ten wydatek zakopiańskiej wyprawy, który spadł na jej barki.

Przypominała sobie mozolne zbieranie tych pieniędzy, które obecnie płynęły jak woda na drobiazgi i życie pełne niewygód, chłodu i pustki.

— Bo smutno tu i pusto — myślała — prawie jak na Wareckiej... Trzeba porobić jakie znajomości. Może ta pani z trzema panienkami...

Mimo woli myśl jej zwróciła się do wczorajszego wieczoru, do werandy cukierni, do tego knajpowego życia, które jednak miało swój urok i wdzięk.

I nagle, zupełnie bez żadnej przyczyny, zaczęła silnie i mimo woli myśleć o tym, że ona właściwie przeszła przez życie, nie wiedząc nawet, co to jest właściwie miłość.

I zdawało się jej, że ma przed sobą całe krzaki gencjan błękitnych, które nagle zasłaniają jej rachunki, pieniądze, męża, figury z ulicy Wareckiej, siostry Barrison w góralsko-bułgarskich myckach, słowem, wszystko to drobne, małe, napotkane przez dzień czy to myślą, czy wzrokiem.

— Rzeczywiście — nie kochałam nigdy...

Przymknęła oczy.

Gencjany błękitniały coraz silniej, a za nimi jak tło zaczęły wznosić się góry sine, fioletowe, pokrajane pasami kosodrzewiny, leciuchno porysowane srebrem śniegu. Takie góry rozmarzone, rozbłękitnione, ledwo majaczące, nie przedstawiały się jej nigdy. Było to coś z feerii, z zaczarowanej krainy, gdzie pełno było piękna i widm niezrozumiałych.

Tuśka nie otwierała oczu, aby nie spłoszyć tych widm dziwnych, a tak uroczych. Na jej ustach wykwitł uśmiech.

— To widma... — myślała. — Góry nigdy nie są tak piękne...

Zdawało się jej równocześnie, że jest bardzo młoda i bardzo świeżo odczuwa wrażenia życiowe.

To wszystko, co było do tej chwili jej egzystencją, znikало, rozpraszało się we mgłę. Tak materialna, jak duchowa strona jej teraźniejszości nie miała żadnego znaczenia. Oczekiwała czegoś, spodziewała się, że rozłoni się las gencjan błękitnych, że stanie się coś nadzwyczajnego, a ona...

— Szaleństwo!

Tuśka porwała się i usiadła na łóżku.

Skąd takie myśli?

Nie wywołują ich przedpokojowe zwierzenia subretki Mirbeau, rezonującej o polityce Francji z wprawą skończonego dyplomaty. Czyżby one były wewnątrz niej — żyjące, istniejące pełnią sił, i teraz wydobywały się pełne niepokoju i pragnień nieokreślonych?

Wszak to życie, jakie do tej chwili pędziła, wystarczało jej pod względem duchowym i w sferze uczuć. Jedyną jej troską była walka pieniężna, choć mąż, jak maszyna, składał co miesiąc swą pensję w jej ręce. Lecz to pragnienie nowych sukienek, boa, przyjęcia pani Iksickiej, podania kwiczołów, aby olśnić, dalej pieniędzy na lekcje fortepianowego brzdąkania Pity, tysiące „niców”, z których się tworzyły bolesne kłopoty, oto były jedyne punkty, z którymi Tuśka nie mogła się nigdy pogodzić w swej egzystencji.

Tamte *inne* przyjęła, a nawet sama ułożyła spokojnie drugą warstwę swego życia nie z rezygnacją i zamilowaniem do spokojnego, rozumnego godzenia się z brakiem nadzwyczajności życiowych, lecz dlatego że nie odczuwała potrzeby pożądania jakichś wybitnych faktów, mogących sprawdzić, czy są w niej skrzydła konieczne dla wzbicia się ponad poziom przyjętego szablonu.

Z założonymi rękami patrzyła, jak mijały dni, nie czyniąc nic, aby jeden z nich rozkwitł piękniejszym promieniem i był tym, do którego mimo woli zwraca się myśl w chwili zwątpienia lub obrachunku życiowego.

Zyla tak od dziecka w tej atmosferze, której duszności nie czuła wcale. Pościel jej łóżka była prosta, prawie hotelowa, bez fantazji, bez delikatności koronek, bo „tego nikt nie widział”.

Tak samo działo się z jej duchową stroną. Była bez fantazji, bez delikatności pragnień, migocących brylantami i woniejących świeżością rozbudzonych świtem róż.

Bo... tego nikt nie widzi...

I znów rozblękitniały dokoła łóżka Tuśki gencjany.

Uparta wizja, uparte zielska, uparte góry. Przyzywa na pomoc fikusy i palmy z ulicy Wareckiej. Myśli o nich, czy aby stróż je wynosi na dziedziniec, czy obmywa liście, czy mąż je okadza dymem tytuniowym. To są przynajmniej kwiaty... Trwają, zielenią się, rosną...

Ale takie gencjany! — lodygi. Cóż stąd, że się mienia jak ametysty i że od nich wieje jakąś świeżą swobodą, chłodem pełnym zaczarowanych ustroni, gdzie mech jest szmaragdowy, a srebro zimnej wody opływa głazy wyszlifowane jak marmury świętyń cichych i zapomnianych — cóż stąd?... Fikusy są praktyczniejsze — i trwają... trwają...

Nie może jednak oprzeć się wrażeniu tej świeżości i nagle robi się jej żal tych gencjan, które tam więdną na gościńcu, dotknąwszy z lekka ślicznej postaci Pity.

Przypomina sobie, jak mimo gniewu została olśniona wizją tego smukłego, jasnowłosego dziewczęcia, na które, jak ptaki błękitne, jak strzały ukwiecone szafirem, leciały zewsząd gencjany, tworząc dokoła niej poświatę najcudniejszych promieni kwiatnych.

I te włosy złote, na które padły szafirowe kwiaty, i te rączki wyciągnięte...

To było jasne, to było piękne...

Tuśce nagle zrobiło się żal Pity. Pomyślała, że dziecko poszło spać bardzo smutne i pełne żalu. Przyszło wprawdzie grzecznie powiedzieć jej „dobranoc”, ale oczy więcej niż kiedykolwiek unikały wzroku matki.

— Skryta jest... — osądziła ją Tuśka — doktor miał rację.

Nie zastanowiła się jednak, że nie uczyniła nic, aby tę skrytość córki zwalczać, przeciwnie, rozwijała ją systematycznie jako wynik dobrego ułożenia i wychowania.

— Zresztą... może to jest dowód jej charakteru...

Tym chciała przerwać wizyjne błękity gencjan i jakiś dziwny, cichutki jakby dźwięk strun, który teraz się z tych wizji ku niej przekradał.

Zgasła świecę.

W ciemności wizje błękitnych kwiatów nie tylko nie znikły, lecz przeciwnie, spotęgniały i nabrały wyrazistości.

Tylko teraz od gór płynął wiatr i kołysał lasem gencjan, a one dźwięczały coraz milej, coraz głośniejsze...

— Skądże to znowu? — starała się myśleć Tuśka.

Ni to dzwoneczki, ni to dźwięk harfy skrzydłem ptaka trącanej... coś pośredniego pędzi ku niej szybko i staje się coraz głośniejsze.

Nagle dźwięk ten staje się jeszcze głośniejszy i urywa się w pół tonu.

Słychać skrzyp drzwi, jakieś kroki... ktoś otwiera drzwi na rozcież, brzęk łańcuszków...

Tuśka odczuwa w półśnie, że to wraca do domu sąsiad-aktor, i porywa się przerażona.

Zdaje się jej, że drzwi nie zamknięte od jej pokoju, okna nie zasłonięte.

Chce zapalić świece, to znów wyrzeka się tej myśli, bo niebezpieczniej jest dawać do poznania, że się nie śpi. Bóg wie, co takiemu człowiekowi może przyjść do głowy.

Lecz aktorowi nic jakoś nie przychodzi do głowy. Umieścił swój rower, zamknął drzwi wejściowe, zaryglował i grzecznie, cicho, prawie na palcach przechodzi mimo drzwi Tuśki.

Przy drzwiach jednak zatrzymuje się.

Jest to jedna sekunda, lecz Tuśce wydaje się wiekiem. Zaparła oddech, sama nie wie, co się z nią dzieje. On widocznie słuchał, czy te panie śpią, bo jeszcze ciszej i delikatniej oddalił się do swego pokoju.

Tuśka położyła się i usiłowała zasnąć. Byłaby wolała stanowczo, ażeby aktor powrócił do domu hałaśliwie, z łoskotem, hałasem, ażeby prowokacyjnie gwizdał pod jej drzwiami, ażeby znów posłyszała:

Pod Ulm, pod Kulm, pod Austerlitz...

Mogłaby przynajmniej zasypiać ze złością i gniewem na tego zuchwalca.

Tymczasem jego delikatność, potem to dziwne, ciche, milczące zatrzymanie się pod drzwiami każą jej myśleć o nim, ale w inny, jakiś lepszy, łagodniejszy sposób.

A potem ten gest rozrzucenia gencjan i wizja Pity, wyciągającej w promieniach zachodzącego słońca rączki do ukwieconych szafirem ptaków, lecących ku niej lotem strzał...

I te wizje gór ledwo zaznaczonych.

I ten sygnał rowerowy, który zdawał się dźwiękiem harfy i płynął od lasu gencjan, bijących przed nią pokłony...

I ta świeżość rozmodlonych nad brzegami strumieni ruchów.

I ta młodość nagle rozmodlonej u krynicy swobody jej duszy...

Bo choć nikt nie widzi...

Tuśka zaczyna rozsnuwać pajęczne nici tkane brylantami, od których biją blaski.

Tak... tak...

XI

Nazajutrz jednak rankiem o godzinie siódmej odezwał się straszny ryk lwa.

Natychmiast odpowiedział mu drugi ryk, dalej pomrukiwanie jakieś tajemnicze, następnie szczeknięła hiena i znów ryk króla puszczy zatrzęsł zakopiańską chałupę.

Tuśka szarpnęła się na łóżku i cała aż drżeć zaczęła. Gniew w niej wezbrał nie tylko za to mocniejsze przebudzenie, ale i za to delikatne i ciche dobranoc milczące, które zmusiło ją zasypiać z uczuciem łagodniejszym i z bezustanną wśród gencjan błędzącą myślą.

Właśnie gaździna wносиła samowar, mleko i bułki. Ustawiła to wszystko „piknie” i zabierała się do zaparzania herbaty. Z doświadczenia bowiem wiedziała, że panie z miasta lubią „se przelegnąć w pościeli i śniadanie podchliptywać, kielo tylko ślepie rozewrą”.

Tuśka postanowiła nie wdawać się więcej w parlamentacje z gaździną, lecz uderzyć od razu w wielki dzwon.

— Gdzie tu Klimatyka? — zapytała, zrywając się z łóżka i naciągając pośpiesznie pończochy.

— A w mieście...

— Dobrze, pójdę i dam znać, co się tu wyprawia. Niech porządek zrobią.

Obidowska odstąpiła od stołu i założyła z determinacją ręce.

— Ano... niech idą — w Klimatyce im powiedzą, co po ostatnim gościu smrodzili tu nikiej powietrze morowe bez cały dzień. Chocia i zmarł nieborak, ale przeciek odrobili dezenfekcję całą.

Ufna w spełnienie higienicznych przepisów, była dumna i harda.

— Ja nie o dezynfekcję — rzuciła gorączkowo Tuśka — tylko zarząd musi kazać temu wariatowi być cicho albo się precz wynosić.

Gaździna pokręciła głową.

— Co to, to jus nic z tego nie będóm mieli — odparła. — Gościóm wolno piknie śpiwać, porykiwać w izbie, robić, co fcom, a Klimatyce nic do tego. Jak chcom, niech se tez porykują rano, ten pan nie póndzie na skargę. Hej!

Rzekłszy to wyszła.

Tuśka ubierała się gorączkowo przed lustrem i w ten sposób wyładowywała swą złość. Czuła, że gaździna ma słuszność i że w Klimatyce nikt jej racji nie przyzna, musiała jednak być konsekwentną i iść do owej Klimatyki.

Pita powoli podniosła się z łóżka. Przez chwilę, gdy rozlegały się owe dzikie porykiwania, oczy jej zabłyśły, uśmiech przewinął się przez usta.

Pochwyliła to Tuśka i w zdenerwowaniu upatrzyła, iż córka cieszy się z widocznej zemsty aktora za odesłanie bombonierki. Sucho i rozkazująco zwróciła się ku dziecku.

— Wstawaj — rzekła. — Słyszałaś, co doktor wczoraj mówił: jesteś chora i masz chodzić po słońcu, biegać i być wesoła. Proszę się zastosować do tego, co doktor kazał!

Pita spochmurniała jeszcze więcej. Zacięła usta i z wielką umiejętnością, wrodzoną kobietóm, zabarwiła wzrok swój bezbrzeżną melancholią.

Widoczne było, iż postanowiła wyzyskać sytuację i stać się coraz „smutniejszą”, coraz więcej chorą, skoro w owej powadze i zniechęceniu do życia tkwił zarodek jakiejś choroby. Z przedziwnym sprytem, właściwym każdej kobiecie, nawet najmłodszej, odczuła, że może stać się ważną osobą i grać na strunie choroby pierwsze skrzypce.

Z miną znudzoną, jak Chrystian duński mówiący do dworzan: „I jutro jeszcze dzień...”, sięgnęła po swoje haftowane spódniczki i zaczęła je nakładać z niedbałością i smutkiem.

Odczuć w niej już było można doskonały *gnębiący* materiał, jakim jest kobieta półchora i sprytnie wyzyskująca sytuację.

Tuśka od razu zrozumiała grę córki i zmiarkowała, że ta mała odbiera jej teraz przywilej tronowania w domu na podstawie „niebezpiecznej choroby, której zaród w piersiach nosi”. Cesała się i stroiła dalej, lecz gniew ją ogarniał coraz większy na Zakopane i na wszystko, co ją w nim spotyka.

Dowiedziała się, że jest zdrowa, i słońce świeciło, i smreki pachniały, gencjany rozblękitniały jej sny...

Było się czego gryźć i martwić.

Gdy była gotowa, szykowna w swej dość prostej, lecz z warszawskim sznittem¹² skrojonej sukni, w kapeluszu przypominającym słomiankę, przypadkowo włożoną na głowę, stanęła niezdecydowana.

Należało iść na ową skargę, ale dokąd i do kogo?

Na dziedzińcu rozlegały się wesołe głosy. Jakby ją ktoś pociągnął na lince, podeszła do okna pod pozorem poprawienia firanki.

I tak długą chwilę przy tym oknie została.

Dużo belek, całe stosy, a wszystko w słońcu jak wyzłocona słoma.

I trawa, na którą powalono te belki, zda się mieć te złotozielone błyski, jakie mają na ciałkach chrząszczyki majowe. Morze trocin jak piasku złotego rozsypanych dokoła.

A z tego morza, z tej złocistości, na którą nawet cień smreków nie pada, bo rosna w oddali, wyrasta powoli szkielet nowej chałupy, którą Józek Obidowski przy pomocy innych Obidowskich na łupienie gości, a na chwałę Panu Bogu dźwiga.

Jest ich kilka, a więc Jędrék Kalpus Obidowski i Maciek Bretnoł Obidowski, i kilku innych Obidowskich, dwóch z porządnymi wolami, dwóch dla odróżnienia bez wola.

Wszystko to białe, wyszyte, z twarzami „z głupia frant”, z fajkami przyległymi do ust siedzi okrakiem na belkach, dłubie, przymierza, składa jak pudełko tę chatę, która rośnie, jak słonecznik do słońca, tak ona do gór zwrócona.

¹²*sznitt* (z niem.) — krój, szyk. [przypis edytorski]

Każdy bowiem gość czuje się w obowiązku siadać rano do kawy z Giewontem przed nosem. Giewont jest wieżą Eiffel zakopiańską. Ze wszystkich stron go widać, a już z werandy obowiązkowo.

— Piknie se pozierać będziecie na Giewont — mówi góral wynajmując chałupę.

I gość co rano, co wieczór zakreśli w myśli legendowe kontury śpiącego rycerza. Zabawka to niewinna, a wznosząca „w dziedzinę poezji” urzędnicze, stężale serca. „Coś się roi, coś się marzy, chrzęsty zbroi, okrzyk wraży. Taka chwila, choćby chwila!”. Takie króciuchne złudzenie, zwłaszcza że na karku tkwi silnie codzienna obroza twardych obowiązków!

Wzbudza ją i niesie Giewont widmowy, liliowy, rozplywający się we mgle, to znów jak z szafiru jednego przez olbrzymów wykuty.

Biedne, czerwone od pisania oczy śledzą zmiany barw, serce jakoś pełne melancholii, kawa stygnie, ręka z rogalikiem opadła.

Filister na tej drogo wynajętej werandzie coś czuje — co? — sformułować nie umie, ale mu to widmo liliowe zaszywa się w serce. Uśmiecha się zwiędłymi ustami, które tak pysznie kąpie codziennie w pilznerze, i mówi potrząsając głową:

— No... no... a to, panie!...

Taką werandę, dla wrzuseń stosowną, stawiają właśnie Obidowscy, Kalpusie, Bret-nole, siedząc okrakiem na belkach. Zdobia je w rozmaite nacięcia, bo to „państwo lubią”. Każde nacięcie to podskoczenie w cenie wynajmu chałupy. A zręcznie migają te białe postacie, zsuwają się po belkach, nikną i zjawiają się sprężystymi skoki, jakby po wirchach ich nóżki nosiły. Małe mają siekiery w rękach, nie robią hałasu, nie ranią bezpotrzebnie drzewa. Rzecz by można, że miłośnicie obchodzą się z tymi złotymi belkami. Tak je przenoszą przez ustawione już szubienice drzwi, że nawet nie potrąca, jakby dziecko małe z kołyską nieśli. I jest w nich coś przy tej robocie z koboldów, z białych duchów i z posiwiałych nagle małp.

Hyc — hyc... już z fajki wysoko, wysoko popiół się sypie. Wyszywane suto porcięta tylko migną.

Hyc, hyc... już gdzie indziej toperek dłubie leluję i szereg gwiazdek niby płatków ze śniegu, nagle w złoto przemienionych.

Koło kupy serdaków zrzuczonych na ziemię Tuśka dostrzega rosłą postać aktora, odzianego w inny cyklistowski strój, jakiś bardzo jasny i bardzo nowy.

Pończochy czarne, dobrze wyciągnięte, odcinają się od tej jasności. Trzyma w rękę toperek, pochylił się nad leżącą belką i obcina ją dość zręcznie.

Z góry przypatrują mu się z flegmą górale.

On, porajac się z toporkiem, śpiewa:

...i nie dbam o czerwony nos,
i nie dbam, że wciąż tyję.
Lecz chwytam dzbanek w ręce me
I piję! piję! piję!...

Pijacka piosenka, śpiewana chórem po restauracjach, jak dysonans rozbrzmiewa w zapachu smreków i złocie słońca. On to czuje, lecz z chęcią już weń wrośniętą zbierania oklasków zwraca się do górali:

— Pięknie śpiewam? co?

Milczenie.

Górale nie są skorzy do pochwał.

Aktor czuje się podrażniony.

— Czekaście, zaśpiewam wam coś góralskiego.

Prostuje się i zaczyna zawodząc:

Tuduraj, tuduraj,
Kiedy grule w dole;
Jak gruli nie stanie,
Tuduraj ustanie...

Józef Obidowski, dziś jakiś chmurny i zły, patrzy na gościa w dziwny sposób.

Nic nie zdoła oddać tej mieszaniny ironii i respektu — ironii dla istoty z miasta, więc dla niego, górskiego, istoty niższej, i respektu dla źródła dochodu „papirków”, które tak miło zgarniać, a za nie chałupy nowe budować. Politycznie jednak czuje, że musi wreszcie wydusić jakąś pochwałę.

— No, piknie — odpowiada wreszcie, nie wyjmując z ust fajki — ale głos u was maleńki i nie gięłcy wcale!

Aktor roześmiał się wesoło.

— Głupiś! — wyrzekł — u mnie głosu starczy na całe wasze Tatry, ale nie chcę budzić tej pani, co się ciągle na mnie gniewa.

Lecz Józek uważał to tylko za wymówkę.

— Może.

Ci, siedzący tam na belkach, jęli się także z lekka uśmiechać.

Dostrzegł to aktor i porwała go zakulisowa złość.

— Poczekajcie... ja wam zatańczę zbójnickiego, niech tak który zatańczy.

W mgnieniu oka rzucił kurtkę na stos serdaków i w koszuli z surowego jedwabiu, ściśnięty pasem czarnym jedwabnym w białe kropki, zaczął na posadzce z trocin tańczyć zapamiętane, przyspiewując klasycznie.

W murowanej piwnicy

Tańcowali zbójnicy!...

Tańczył doskonale, ciął drobniachno na miejscu, podskakiwał, wreszcie zaczął wirowato zataczać koła. Było w nim rozzuchwalenie wielkie, ogromna siła młodości, potrzeba ruchu i temperament szalony. W złotym świetle ze złotego jeziora trocin migał jak zjawisko.

Górale przypatrywali mu się ciekawie z minami znawców.

— Is, is... — mówili jeden do drugiego.

Tuśka doznała dziwnego wrażenia.

Pierwszy raz widziała, żeby człowiek cywilizowany oddawał się z taką rozkoszą płasom tanecznym.

Obtańcowywanie panien i pań w karnawale odbywa się zwykle ze strony mężczyzn z tak karawaniarskimi minami, że jedynie przerwa kolacji może to usposobienie grobowe rozpuścić. Przeważnie i damy, prowadzone jak na ścięcie, taki sam nastrój przybierają.

W takim wypadku taniec jest koniecznym dreptaniem albo szastaniem nóg w takt cyrkowej muzyki.

I nie ma nic śmieszniejszego jak twarze o wyrazie mędrców, przeznaczonych na wypicie cykuty, i nogi w lakierkach podrygujące *pas* aszantów udających się na wojnę.

Sprawia to wrażenie masek puszczonej w taniec korowodu, trupów zgalwanizowanych i rzuconych bezlitośnie w bezcelowym, tragiczno-komicznym rozpędzie.

Tuśce, opartej o ramę okna, przychodzą te myśli, gdy widzi tak aktora tańczącego naprzeciw niej „zbójnickiego” z dzikim jakimś zapałem i kultem dla tańca.

Sama doznaje jakiegoś podniecenia nerwowego i prąd młodości przebiega jej żyły. Nie tańczyła nigdy sama dla siebie, nie wie, co to jest wyładowywanie siły w impetycznym ruchu. Lecz zaczyna to odczuwać i dech w piersi wstrzymuje. Mężczyzna ten wiruje w przestrzeni, jakby smagał ją skrzydłami niewidzialnymi, które go unoszą w tym wirze. Kręci się teraz z coraz szaleńszą szybkością. Migają czarne pończochy jak dwa węże. Ręko ma bije się po głowie i udach. Słychać plaskanie, jak by kto bił kijanką w wodę. Górale siedzą nieruchomi. Spowaźnieli. Czują, że ten gość tańczy poważnie i *po ichniemu*.

— Is, is... — mruczą tylko, zaciskając fajki w zębach, że *aż* trzeszczą. Jeszcze chwila, a widać, jak Maciek Bretmol Obidowski zeskoczy z belki i dreptać a plaskać zacznie, lecz aktor nagle zatrzymuje się jakby wbity w ziemię.

Tuśce zdaje się, że uczynił to dlatego, iż ją dostrzegł, nie jest jednak pewna.

Jest z tego rada, ale zarazem widzi, iż aktor zuchwale wpatrzył się w jej twarz, jakby chciał wyczytać, jakie odniosła wrażenie. Ogarnia ją wstyd i zmieszanie. Za nic w świecie nie chce, aby przypuścił, że ją ten taniec nie tylko zajął, ale przejął dziwnym, nieznanym

zmieszaniem. Przybiera, o ile może, minę obojętną. Nie ustępuje jednak z okna. Nie chce, aby przypuścił, że go się boi i że przed nim ucieka.

On zwraca się ku góralom.

— A co? umiem tańcować?... — pyta.

— No... majom w tańcu maturę — wydusza wreszcie jakby niechętnie Maciek.

A Józek Obidowski wciąż pali fajkę i ma coraz więcej ironii na swej ślicznej twarzy.

— Żeby byli sietniakowaty, toby tak nie tańcowali... — dorzucił Kalpuś.

I zabrali się dłużyć siekierkami całe szeregi gwiazd w belkach złocistych na chwałę Bogu i ludziom, zacietrzewionym w zakopiańskim stylu, a na zgubę gościowych kieszeni.

Aktor usiadł na belce i swą świeżo ogoloną, trochę zmęczoną, a przecież pełną młodości twarz poddał pod promienie słońca.

Wyjął *port-cigare* srebrne, klasyczne, prawdopodobnie z napisem „Od wielbicieli”, z eleganckim, emaliowanym monogramem na rożku, i zapalił papierosa.

Wszystko, co stanowiło jego własność, było eleganckie i zgrabne. Pudełko do zapalek srebrne, ozdobione niewielkim kaboszonym szafirowym. Taki sam kaboszon, nieduży, lecz ciemny i piękny, ciemniał na małym palcu jego ręki. To był jedyny pierścionek, jaki ten człowiek nosił.

Tuśka niby patrzy na górali dłużących gwiazdy, a widzi te wszystkie szczegóły, bo dzień jest tak przejrzysty, że każdy najdrobniejszy przedmiot dochodzi do okna z czystością niezwykłą. Równocześnie Tuśka z właściwością kobiet ogarnia i siebie dokładną uwagą i myśli, czy dobrze wygląda i czy puder nie starł się jej z twarzy.

Aktor patrzy na nią wprost, bez owych wybiegów kobiecych, patrzy swymi ślicznymi oczyma o długich, ciemnych rzęsach. Jest teraz jakby melancholijny i zadumany. Nie wiadomo jednak, czy jest to zmienność kameleonowa jego natury, czy udanie. Tuśka zaczyna czuć się jednak więcej zaniepokojoną tą jego melancholią niż poprzednio napadami żywiołowych popędów. Stoi jednak przy oknie jak przymurowana i nie może zebrać się na śmiałość, aby od niego odejść.

On to dostrzegł i nagle, jakby dopiero w tej chwili ją zobaczył — wstaje i kłania się nadzwyczaj grzecznie.

Ona pomimo woli pochyla głowę i oblewa ją rumieniec złości za to, że oddała mu ukłon.

Stało się to bez jej wiedzy, całe szczęście, że skłoniła głowę leciuchno, prawie nic — ot, tak prawie, że mógł nie zauważyć tego.

Istotnie, aktor mógł przypuszczać, że Tuśka mu na ukłon nie odpowiedziała, bo jakaś parobkowata zuchwałość przebiła się w wyrazie jego twarzy. Cynicznie skrzywił usta, stał się prawie brzydki. Usiadł na belce okrakiem i podniósł twarz ku pracującym w milczeniu góralom.

— Hej... gazdowie!... — zawołał głośno z rubasznym śmiechem — a któraż też dziewczyna najładniejsza w tym sezonie?

Obidowscy zaśmieli się i Antek coś tam odpowiedział, ale Tuśka nie dosłyszała. Fala krwi uderzyła jej do głowy. Widocznie ten „komediant” chce wojny, bo teraz obraża ją takimi słowami!

Cofnęła się od okna, zapuszczając firankę. Posłyszała jeszcze jego śmiech i zaraz potem prześlicznie przez zęby gwizdaną polkę.

Cofnąwszy się do pokoju, Tuśka czuła się tak zirytowana, że bezwiednie skierowała się do pustego pokoju, z którego okna wychodziły na gościniec.

Zaczęła chodzić wzdłuż i wszerz i czuła, że krew falą bije jej do głowy. Ten człowiek obraził w niej godność kobiecą! — ośmielił się...

Właściwie, cóż się ośmielił?

Zapytał się, „która z dziewcząt najpiękniejsza”? W tym nie ma żadnej obrazy. Uczynił to z ciekawości artystycznej...

Tak! — ale — to!

To coś nieuchwytnego, co smagało ją jak szpicrutą, to coś pewnego siebie, zuchwalczo wiedzącego, że nic się oprzeć nie jest w stanie jego woli, jego żądy, jego chęci.

A potem mściwość ordynarna, jakaś ulicznikowska.

Stała przy oknie i patrzyła na gościniec, po którym już snuły się grupy gości odzianych jasno, po turystowsku. Kobiety miały rozpięte jasne parasolki, mężczyźni białe,

lekkie, filcowe kapelusze. Wszyscy zdawali się nie iść, lecz biec, weseli czegoś, radzi, podnieceni.

Oddzielona szerokością gościńca od chaty Obidowskiej, stoi ładna duża willa z ułożonym na frontonie napisem:

„Lewkonია”

Jest to jedna z seryj „bezpretensjonalnych” imion nadawanych mniej lub więcej udatnym pudełkom, w których gnieźdzą się w dziwnej harmonii bakcyle i istoty żądne słońca, Giewontu i oddalenia mglistej niańki o długich kościstych rękach, o fosforem płonących oczodołach, o rozwiewnych, wilgotnych szatach. Lewkonია, Niezabudka, Chryzantema, Rozkoszna, Szczebotka... a dalej literatura triologiczna, więc wszystkie Borzobohate i Kurcewiczówny!

Przytulne miana, łase i wdzięczące się w słońcu, w kępie smreków, a każda z werandą na paradę obwieszoną japońską latarnią z barometrem, który zostawił „ten pan, co to słabował tutaj i wywieźli go dzie indzi”.

I w „Lewkonii” jest weranda duża, nawet bardzo duża. Powyjmowali z niej okna. Odsloniona jest cała. Tylko z jednej strony deski bronią od wichru i słońca.

Na werandzie stół, ceratą klasyczną przykryty, ceratą, drogą oszczędnym gospodyniom. Biała jest i imituje do złudzenia obrus. I dużo przedmiotów dalej imituje w tej willi do złudzenia rozmaite piękne rzeczy. Szkło stojącego na środku stołu wazonu imituje weneckie kryształy, w mietlicę wetknięte purpurowe maki są z perkalu farbowanego, a imitują świeżość rozkwitłych w zbożu maków, welwet ciemnozielony na sukni kobiety, leżącej na bujającym się krześle, imituje aksamit, a sama kobieta, pani radczyni Warchlakowska, imituje damę dobrze wychowaną, inteligentną, czytającą, wzorową żonę, matkę i piękną kobietę.

Leży do słońca, wyniosła i wspaniała jak renesansowa księżna, patrzy na chałupę Obidowską mrużąc oczy i czuje się o wiele wyższą w społeczeństwie od „osoby”, zamieszkującej naprzeciw chatę bez żadnej efektownej etykiety, nie przywożące ze sobą nadąsanej kucharki i młodszej „w bluzczce z kropkami” i nie posiadającej męża, który jest w stanie zapracować tyle, aby ona, radczyni, i trzy jej córki (o... Barissonki!) mogły rozprostować swe fatalaszki w „Lewkonii” i nicować przechodniów przez długie trzy miesiące z trzystopniowej wysokości nadgniętej werandy.

Właśnie jedna Barissonka wbiega na werandę. Ubrana jest w pąsową bluzkę, białą spódnicę wełnianą, żółte trzewiki i do złudzenia imituje strojem, chudością i manierami szpiczaste *miss*, widywane w ilustracjach angielskich. W ślad za nią zjawia się druga czerwona bluzka i trzecia! Jest to rodzaj umundurowanej małej armii o cienkich, zawsze złośliwie zaciśniętych usteczkach. Ręce duże, nogi duże, piersi płaskie, biodra sterczące, moc piegów, śliczne oczy, śliczne włosy, brak poczucia delikatności, brak słuchu, zdolności matematyczne, dowcip jak u starego dziennikarza, znajomość tajemnic życiowych zdumiewająca, zaczepność małych buldogów — słowem, tysiące rozkosznych przymiotów, stwarzających wcale udatną i obiecującą całość.

Pani radczyni jednak jest rada ze swych „dziewczątek”. Nie są to wprawdzie dziewczęta spod wiejskiej strzechy, ale pani Warchlakowska jest zdania, że są już dostatecznie opancerzone do walki z życiem.

A że wiedzą to i owo i że mają sąd swój o ludziach i wypadkach, mój Boże!... tym lepiej — nie będą to lalki salonowe, lecz od razu kobiety o wybitnej indywidualności.

Pąsowe bluzki z barchanu imitującego welwet wionęły, zaroiły werandę czerwienią i bielą i nagle stanęły. Dostrzegły Tuškę w oknie chałupy. Zaczęły się jej ciekawie przyglądać.

— Ona wczoraj szła za nami z tą dziewczynką w dużym kapeluszu...

— Aha!... — w białych trzewikach.

— Tak. Pamięta mama: miała nietutejszą suknię i łańcuszek po staremu naokoło bioder.

Pani Warchlakowska zmrużyła oczy.

— Ach! tak... macie rację. To będzie coś z Warszawy.

— Albo z prowincji.

— Nie. To coś z Warszawy. Chodzi po warszawsku.

Wygłosiwszy te słowa, pani Warchlakowska utonęła w obserwowaniu Tuśki.

— Czego ona tak stoi przy tym oknie?

— Przypatruje się nam.

— A może jej pokazać język? — hazarduje najmłodsza czerwona bluzka, która jeszcze nie jest dostatecznie opancerzona, ale za to bardzo „rozwydrzona”.

— Mińciu!... — strofuje radczyni.

Lecz Mińcia się tłumaczy:

— To po co tu patrzy? Nie widziała ludzi na werandzie, czy co?

Radczyni uznaje za stosowne być dobrą i łagodną.

— Widzisz, że to jest osoba średniozamożna i nie ma środków na werandowanie na werandzie, więc weranduje w oknie. Idźcie lepiej bawić się piłkami, skoro wam doktor ruch zalecił. I proszę nie zajmować się tą osobą.

Panienci zbiegają z werandy, zaczynają igrać miluchno na placyku, na którym rośnie kilka dość mizernych świerków. Biegając i rzucając angielskie piłki, ciągle strzelają oczkami w stronę Tuśki.

— To pewnie jaka Żydówka!...

— E... może co innego.

— A może taka, wiesz...

— Ale nie. Przecież szła z córką.

— E!... może to siostra.

— Ta mała to miała pończochy *fil d'Ecosse!*

— Nieprawda, bo *fil de Perse.*

— Głupie jesteście... to *fil de Juive...*

— *De Palestine!*... hi, hi...

„Osoba” tymczasem stoi w oknie, a w umyśle jej dojrzewa projekt. Najlepiej zrobi, jeżeli weźmie i ten pokój dla siebie. Gnieździć się w jednym pokoju, i to od dziedzica, jakoś nie wypada. Może właśnie dlatego ten aktor tak lekceważąco względem niej postępuje, że ona tak nędznie mieszka. Ba! gdyby miała willę całą, tak jak ta pani z przeciwka, z pewnością szachowałby się inaczej. W pokoju tym właśnie znajduje się werandka. Nieduża, raczej ganek, i to przyczepiona z boku chałupy, ale jest — widać osoby leżące na werandzie z gościńca i można obserwować przechodzących jak z łoży.

Będzie to większy wydatek, ale trudno. Tuśka nosi w herbie dewizę każdej warszawianki:

Nikt nie wie, co jem, każdy wie, jak mieszkam.

— Zaoszczędzę na jedzeniu — myśli i już postanawia nie tylko donajść pokój, rozlokować się na werandzie, zawiesić latarnię japońską i ustawić bukiet na stole, ale sięga dalej myślą.

— Poznam się z panią naprzeciwko, to musi być osoba wyższej sfery, skoro wynajmuje willę.

Pita będzie miała towarzystwo w jej córkach i zobaczymy, czy wtedy ten... pan ośmieli się obrażać mnie tak, jak uczynił to w tej chwili.

Pełna dumy i rada ze swego postanowienia, powraca Tuśka do swego pokoju.

Pita ubrana stoi przy stole jak manekin i widocznie oczekuje jakichś dyspozycji wyższej władzy.

— Zawołaj gaździny... Słyszę, że jest w sieni.

Za chwilę wchodzi Indianka. Jest nieufna i patrzy spode łba. Obcierała właśnie belki w sieni i zabierała się do drzwi. Wchodząc, zbliża się do pieca i gładzi po nim ręką.

— A co fcom?

Lecz Tuśka tak bardzo pragnie werandy i drugiego pokoju, że staje się uprzejmą i schodzi ze swej wyniosłości.

— Moja gaździno... mnie tu ciasno i niewygodnie w tej izbie.

Na Obidowską jakby kto żaru posypał.

Gaździe zakopiańskiemu kazać zwrócić pieniądze, to łatwiej ściągnąć słońce z nieba.

— O!... ze tam końdek im ciasno... to co? Jo piniendzy nie oddam. Jak fcom, niech dzie indzi najmom, ale ja piniendzy nie oddam. Mogom mnie prawować.

Tuśka wzrusza ramionami.

— Nie o to chodzi. Ja chcę dobrać sobie tę drugą izbę z werandą.

Indianie twarz się rozjaśnia. Zawiązała i rozwiązała, i znów zawiązała chustkę. Widać, że już myśl jej pracuje, jak by tu i na ile skórę z tej gościewej ściągnąć.

— Wiedzom co... — mówi powoli, ważąc każde słowo — ta izba teloz by zamówiona. Gość pisał po nią.

Tuśce aż tchu zabrakło.

— Ale zadatku nie dał?

— No... ni... Ino kabyście ją fcieli, to muszom zapłacić tylo, co tamten pon dawali.

— No, a ileż?

Gaździna myśli — cała tragedia toczy się w jej mózgu. Powie za mało, powie za dużo... Nie wie. Cyfry biegają jak szalone — wreszcie rzuca:

— Dacie osiemdziesiąt.

— To za drogo.

— Ten pon da tyle.

Tuśka dałaby już te osiemdziesiąt guldenów, ale zdjęta mocą nałogu, musi się targować.

— Siedemdziesiąt...

Gaździna widzi, że tej pani „zafciało się” tej izby i już żałuje, że nie powiedziała stówki.

— Ni, ni... — mówi z niechcenia, patrząc uparcie w kafle pieca — dacie dziewięć dziesiątek, to mieszkajcie...

— Jak to dziewięć dziesiątek? Powiedzieliście: osiemdziesiąt!

— Nijok nie będzie inocej, ino dziewięć dziesiątek. Ten pon da i stówkę...

Od dziedzińca dolatuje ciche gwizdanie polki.

To doprowadza Tuśkę do ostateczności.

— No... dobrze... macie tu dwadzieścia guldenów!

— A wiedzom, że za obsługę osobno?

— Jak to?

— Ano... ho, mieliby my drugiego gościa, toby płacił za obsługę, a tak ino strata bez to, że wy będziecie mieszkać i od przodu, i od zadku.

— No dobrze... idźcie już tylko.

Gaździna przemyśliwa, co począć, jak tu jeszcze na razie coś wyciągnąć.

— A wiedzom... — zaczyna znowu, lecz urywa, bo instynkt jej mówi, że przeciągnie strunę.

Jest ich trzy w tej izbie — trzy kobiety: Tuśka, Obidowska i Pita.

W każdej z nich inny świat, a w tym świecie gra w tej chwili nuta dominująca.

W Tuśce podrażniona ambicja, w góralce chciwość zbudzona, w Picie spokój obserwacji, to gromadzenie mrówcze wrażeń życiowych, z których będzie sobie snuła kanwę dalszego życia.

Ani czują, ani wiedzą te trzy, sylwetkami różnymi przecinające słoneczne strugi, postacie, ile sobie wzajemnie dopomagają w wyładowywaniu swych wzruszeń, jak one przetrzucają swoje indywidualne cechy i z nich, niby pszczoły kwiatowy pył, tak trutkę sączą. Z Tuśki góralka chytrze ciągnie pieniądze, widząc w jej oku rozplómienny kwiat fałszywej ambicyjki, z nich dwóch śliczna Pita, z wdziękiem baletniczki ustawiona koło stołu, sączy w siebie i ambicyjkę, i chciwość, a ironizując już ma gotową szufladkę, do której sięgnie kiedyś w podobnej życia sytuacji.

Są one wszystkie w tej chwili nie tylko ogromnie kobiece, lecz i ogromnie... ludzkie. I jest ich trzy w tej izbie.

A w każdej inny świat na pozór, a przecież łączność między nimi jak w sznurach powoju...

Sylwetki ich przecinają strugi słoneczne.

I jedna jest dopełnieniem drugiej i tej trzeciej.

Za pół godziny Tuśka obejmuje w posiadanie werandę.

Ustawia stół, nakrywa go barwnym kilimkiem, kupionym na ulicy w Krakowie od Żyda w fezie, imitującego bez powodzenia Bułgara, ustawia dzbanek kołomyjski, znaleziony na półce w izbie, i za dwadzieścia centów nabywszy u Józka gałęzi smrekowych, urządza oryginalny bukiet.

Kieruje nią pewien smak wrodzony. Pani Obidowska wyciąga z szopy religijnie po ostatnim suchotniku przechowaną japońską latarnię i barometr.

— Majom... — mówi wspaniałomyślnie — niech se zawiesom, bele piknie im było.

Wreszcie wszystko urządzone i Tuśka, rozpiąwszy białą parasolkę, zasiada na werandzie, obejmując ją w posiadanie.

Postanawia kupić sobie leżak, aby już być zupełnie „po formie”. Owija głowę delikatnie muslinowym szalikiem i bierze w rękę *Journal d'une femme de chambre*.

— Nie widać z gościńca tytułu — myśli — a że książka w żółtej okładce, tym lepiej! Będą wiedzieli, że czytam francuskie dzieła w oryginale.

Zapomniała już o Klimatyce, o skargach na aktora, cała przejęta dziecianną prawie radością werandowej wystawy.

Z drugiej strony stołu zasiada Pita.

I ona rozpięła białą parasolkę, a ten lekki cień wydobywa tylko świeżość jej twarzyczki, delikatną i czystą jak płatek kamelii. Tuśka także ogromnie zyskuje w tym przyćmieniu białawym, a że ubrane są „do nitki i na ostatni guzik”, wyglądają jak dwie lalki za gablotką sklepową lub oleodruk familijny, zawieszony nad kanapą. Pita ogląda *Baśń o Kasi*, nie odczuwając wszakże przedziwnej piękności dzieła. Zaciekawiał ją jedynie ostatni pocałunek Kasi z królewiczem, który ma tak wysokie obcasy u pantofli.

Lecz tak Tuśka, jak Pita przede wszystkim obserwowały i czuły, że są obserwowane. To było osiłą i głównym punktem ich myśli.

Siedziały wyprostowane, godne, wdzięczne, *en parade*, roztaczając swe wdzięki typowych warszawianek z ogromną umiejętnością i pewnym taktem. Nie narzucały się, lecz zniewalały oko przechodniów i widzów. Dostroiły się do otoczenia. Nie miały w sobie nonszalancji miękkiej, pasującej raczej do wybrzeży morskich, foteli ze słomy, fal, błękitów i rozwianych skrzydeł mewy.

To, co je otaczało, było proste w liniach, twarde w kolorycie. Należało więc przybrać ten sam *genre*, aby nie odskakiwać od tła. Wyczuły to instynktem i zastosowały się przedziwnie.

I dlatego rzeczywiście ta weranda wykilimkowana, z wiechą smrekowych gałęzi i z tymi dwiema kobietami w prostych, ale mających *linie* sukniach, z baldachimami ich parasolek, stanowi wabną całość. I czuje się pewną wdzięczność dla Tuśki i Pity, że tak *umieją* przybrać sobą to nagromadzenie pniaków i belek nie psując ich powabu.

Lecz upał jest wielki. Kurz na gościńcu bije tumanami. Dla zdrowia raczej należałoby zaszyć się w las, gdzie woń balsamiczna rozwłóczy swe czary po kępach mchów i rozmodlonych a cichych dzwonek lesistych.

Któż jednak podziwiałby grację Tuśki i Pity, lśniący jedwab ich włosów, wyzyskaną linię sukni i możliwość wynajęcia werandy?

Któż jednak?...

XII

Siedzą już tak dobrą godzinę, a na czołach ich pojawiają się kropelki potu.

— Może się nudzisz, Pito? — mówi wreszcie Tuśka. — Zejdź i pobiegaj trochę.

— Dziękuję mamusi, ja wolę siedzieć.

— Widzisz, że te panienki naprzeciwko biegają, choć są starsze od ciebie.

Pita zacisnęła usteczka z ironią. Miała szczególnie, sobie właściwy sposób wydymania dolnej wargi. Nadawało to jej twarzyczce nieporównany wyraz tajonej pogardy.

Obserwowała od pewnego czasu owe panienki w czerwonych bluzkach i maniery ich wydały się jej rubaszne i brzydkie. Ze skrzętnością mrówki znosiła owe spostrzeżenia do magazynu swych obserwacji życiowych.

— Taki ruch jest brzydki — myślała — należy się go wystrzegać. O!... ta druga bierze do ust szpilki od włosów, gdy poprawia rozpuszczone w biegu splety. I to nieładnie wygląda. Nie będę tego robiła.

I tak dalej snuje sobie cały *swój* katechizm układu ta mała dziewczynka, przewracając złociste obrazki, na których ukazują się kolejno to biały królewicz, to Kasia w kraciastej chuście.

Nagle zadzwoniło, zawirowało.

Aktor przeleciał na rowerze w stronę miasta.

Jechał szybko, dojrzał jednak Tuškę i Pitę na werandzie.

Zrobiły na nim najwidoczniej pewne wrażenie, bo obejrzał się dwukrotnie.

Tuškę aż coś zadławiło w gardle i zarumieniła się gwałtownie. Starła się jednak opamiętać całą siłą. Nie mogła zrozumieć, dlaczego ten zuchwalec wprowadził ją w stan takiego pomieszania. Przypisała to jeszcze nie wygasłej obrazie i czuła się zadowolona, że mogła go sterroryzować wyższością poważniejszego mieszkania i możliwością siedzenia na werandzie.

Mimo woli jednak śledziła go, jak się oddalał na jasnej wstążce drogi, eskortowany niewielką chmurką kurzu, biegnącą za nim jak widmo psa wiernego.

— Dokąd on tak pędzi? — myślała. — Może jedzie odwiedzić którąś z aktorek lub może...

Widmo jakiejś chałupy góralskiej, a na progu siedząca dziewczyna smągła, silna, z krótkim stanem, długimi nogami, odziana w spódnicę jaskrawą, w serdak wyszywany silnie różową skirą...

To właśnie owa „najładniejsza”, bo oczy ma czarne, zęby białe, włosy aż się lśnią, a cała jest jak młody smrek, co pachnie żywicą i halnemu wichrowi urąga, „bo je młody, bo je krzepki, bo je silny, bo je giętki”, i wicher nad nim przeleci jak orzeł nad wirchem i nic mu nie zrobi, ino gałązeczki co nieco poruszy...

Może do niej, do tej chaty, co przypadła do górskiej ściany tuż koło potoku, pędzi tak „frysko” ten młody zuchwalec i z roweru skoczy, do dziewczyny przypadnie, zajrzy jej w ślepie, w zęby — rozchichoce, o las się wypyta, czy daleko, czy gęsty, czy nie dobrze w takie skwarne południe w tym lesie, gdzie są miękkie mchy i liliowe dzwonki, gdzie się złotogłów czai i spod głazu jak złocisty świecznik wyrasta.

Co ona na to odpowie, ta „najpiękniejsza” w sezonie, zakopiańska dziewczyna?

Odpowie: hej, ręką oczy przysłoni, a spod ręki widne białe zęby jak u młodej wilczycy. I pójda w dal.

On przodem będzie prowadził rower, bo droga jest zła i wybojów pełna.

Miną wille, sadyby, miną werandy, na których leżą panie w szlafrokach i goreją w słońcu japońskie latarnie...

I znikną pod baldachimem świerków, gdzie chłód leśny aż dusi od zapachu, jakim jest przepojony, od zapachu mchów, paproci, kwiecica, szpilek smrekowych...

I znikną...

Tak myśli Tuška, a po twarzy jej pod pudrem przesuwa się różowy obłok i pewna doza rozmarzenia.

Nagle coś wpada pomiędzy nią i Pitę na stół, odskakuje, przewraca dzbanek z wiechą gałęzi i stacza się na ziemię.

To piłka, rzucona ręką jednej z panien Warchlakowskich, skacze tak po werandzie.

Pita spogląda z pogardą na piłkę.

— Ona to umyślnie zrobiła... — oznajmia z powagą.

— Widziałaś?

— Tak, proszę mamusi. To ta najmłodsza. One już dawno tu ciągle patrzą, szepczą coś, a teraz piłką rzuciły.

Spodziewa się, że matka rozgniewa się za ten zuchwały postępek, ale wbrew jej oczekiwaniu, Tuška patrzy na leżącą na ziemi piłkę, jakby chcąc powziąć jakąś decyzję.

— Włóż, Pito, kapelusz i przynieś mi mój kapelusz i zakiet — decyduje wreszcie.

Dziewczynka posłusznie wstaje i przynosi żądane przedmioty.

Tuška się namyśliła.

Chciała zawiązać bliższą znajomość z tą panią z werandy — teraz nadarza się jej doskonała do tego sposobność. Kto wie zresztą, czy to nie jest umyślna zaczepka ze strony tych pań.

Ubiera się i widzi, że w „Lewkonii” panuje ruch i zaciekawienie.

Panienci pobiegły na werandę, opowiadają coś matce. Dama w welwetach sięga po rogowę *face a main* i zaczyna obserwować werandę Tuśki.

Pita podnosi piłkę. Tuśka każe iść córce obok siebie, schodzi z werandy i kieruje się ku „Lewkonii”.

Dama w welwetach i seria Barisonek widzą, co się święci! Ale są godne i dumne.

Stały rzędem na werandzie i oczekują jak Dumasowska księżna, ażeby owa „cudzoziemka” do nich podeszła.

— My, galicjanki, *som* dumne i znamy się na warszawskich fumach!

Tuśka, uprzejmie strojąc usta w najpiękniejszy z zapasowych uśmiechów, przechodzi z Pitą gościniec, podchodzi do werandy i podaje piłkę.

— Oto któraś z panienczek przez nieuwagę rzuciła na naszą werandę. Idąc do miasta pragnęliśmy zwrócić własność naszych sąsiadeczek.

Pani Warchlakowska dźwiga się z leżaka.

— Bardzo pani jestem wdzięczna i przepraszam za nieuwagę moich dziewczątek... ale pani pojmuje... wakacje... wieś...

— Tak, tak... zresztą młodość ma swoje prawa.

Mierzają się oczyma.

Z jednej strony klan Warchlakowskich, a z drugiej strony Tuśka i Pita prawdziwie dystygowane i powabne.

W jednej chwili atakowały się wzajemnie z szaloną wprawą, jak gdyby miały wspólnie zanieść się do zastawu. Oceniały swoje suknie, ręce, kapelusze, zęby, wartość wewnętrzną, możliwy dochód, dozę sprytu, wyświdrowały wady, czarne punkciki na noskach, liczbę piegów, złoto plomb w zębach i szczyrby w inteligencji.

Przejrzały się na wskroś, wiedziały, jakie mają halki i podszewkę tej duszy, którą nosiły na pokaz. Słowem, w jednej chwili zdawało się im, że nie miały dla siebie tajemnic.

Uznały jednak, że mogą się zbliżyć. Pani Warchlakowska dostrzegła na ręce Tuśki obrączkę i to wystarczyło dla zachowania *decorum*.

Była to męzkatka, pani Warchlakowska mogła raczyć zawiązać z nią pewną znajomość.

I teraz następuje prezentacja według formy, śmieszna, z dygami ze strony Barisonek, z nieufnym wyduńciem wargi Pity, z robionym uśmiechem Tuśki i grandezzą bajeczną w manierach pani Warchlakowskiej.

— Panienska musi się nudzić — mówi radczyni do Pity mierząc śliczne, proste nóżki dziewczynki nieprzychylnym spojrzeniem.

Pita nic nie odpowiada, tylko równie nieprzychylnie kontroluje ręce pani Warchlakowskiej, ubrane pewną ilością pierścionków.

— Nie będę nigdy kładła takich pierścionków, bo to brzydko — kombinuje panna Pita.

Tuśka czuje, że nie należy przeciągać struny.

Żegna się więc i odchodzi do miasta.

Nie wie, dokąd iść w ten upał, i jest zła, że iść musi, ale powiedziała „idąc do miasta” i musi być konsekwentną, tym bardziej że klan Warchlakowskich patrzy na nią i na Pitę z wysokości werandy.

Czuje te spojrzenia przez skórę na swoich piętach i sprawiają jej one bardzo niemiłe wrażenie. Idzie więc w ten upał, ofiara kłamstwa i konwenansu. Łyka kurz, praży się w słońcu, a obok niej ze znudzoną miną wlecze się Pita.

Nie ma nikogo na gościńcu, nawet z werand puciekano w głąb willi i chałup, nie ma więc dla kogo prostować się, zachowywać linii i roztaczać wdzięki.

XIII

Stosunki willi „Lewkonii” z chałupą Obidowską powoli się normują i układają.

Nie jest to przyjaźń nadzwyczajna, ale zwykła sezonowa zażyłość.

A więc przede wszystkim te panie przesyłają sobie wzajemnie rutynowane i wprawne w swym zawodzie wyzyskiwaczki, noszące masło, jaja i rozmaite inne „konieczne” do utrzymania egzystencji ludzkiej nadzwyczajności.

Pani Warchlakowska jest „zawołaną” gospodynią. A więc skupuje garnki masła zjeźczonego, chude kury, grzyby — słowem, całe stopy żywności, zdolne nakarmić załogę okrętu, mającego perspektywę zimowania wśród lodów. Wszystko się przyda, a więc willa „Lewkonii” pachnie grzybami, kwaśnym mlekiem, owczym serem jak stara śpiżarnia.

Ponieważ pani Warchlakowska ma szczególniejszy dar dominowania nad osobami, które się do niej zbliżają, prędko ujarzmiła Tuškę i wygłosiwszy zdanie, że kobieta nie znająca się na kuchni jest ciężarem społeczeństwa, zmusiła Tuškę do tego, że i ta zaczynała „znać się na kuchni”.

A więc najniepotrzebniej i w chałupie Obidowskiej zjawiły się wianki grzybów i serki owcze, które mogły się przydać...

Na co i komu, to już nie należało do rzeczy.

Następnie wyszli na tapet mężowie.

Pani Warchlakowska była „wzorową” żoną i szczyliła się tym bardzo głośno.

Dbiała ogromnie o swego męża, o stan jego żołądka, oczu i w ogóle zdrowia. Co chwila mówiła: „mój mąż, mego męża, mojemu mężowi”. Miała specjalny sposób wymawiania tego słowa. Była w tym duma twórcy dla swojego dzieła. Bo dla pani Warchlakowskiej pan radca był jej tworzywem. Ona go urobiła na tego pana Warchlakowskiego, który miał znaczenie, który był kimś, z którym się inni panowie Warchlakowscy liczyli. Jeżeli mieli kamienicę z pięćdziesięciu dwoma oknami frontu, to było także dzieło pani Warchlakowskiej. Wszak to pod jej presją mąż zamienił swoją rodziną i po śmierci ojca przypadającą mu wioskę na ową kamienicę, niosącą wprawdzie niewiele, ale dającą duże znaczenie w świecie. Tu kupa cegieł symetrycznie ustawionych, z powprawianymi kawałkami szkła, nadaje człowiekowi odrębne, wyższe stanowisko.

Kto słyszał, jak pani Warchlakowska mówiła: „moja kamienica, mój stróż, moje podatki, moje waterklozety, moja kanalizacja, moi lokatorowie”, nie mógł wątpić ani na chwilę, że to osoba, z którą społeczeństwo musi się liczyć. Następnie pani Warchlakowska zaasekurowała swego męża „na życie”, „bo to nie wiadomo, jak wypadnie”. Była więc w porządku i była z tego dumna. Radcostwo pana Warchlakowskiego dopełniło miary.

Zabrano się do edukacji dzieci. Były to wprawdzie dziewczęta, ale musiały być odpowiednio kształcone.

Jak widzimy, dom był wzorowy. Na ustach pani Warchlakowskiej ciągle się słyszało: „higiena i poczucie moralności”. Ukochała sobie te słowa i mówiła, że jest to jej wyznanie wiary. Była to więc dama nie powszednia, energiczna i mająca poczucie obowiązku. Tuśka w pierwszej chwili została olśniona i przygnieciona tą wyższością pani z willi „Lewkonii”.

Ani kamienicy o pięćdziesięciu oknach frontu, ani lokatorów, ani stróża, ani podatków, ani asekuracji męża, ani jego posiedzeń radcowskich, ani sług co tydzień zmieniających, ani kąpieeli sobotnich w domu w jednej wodzie kolejno panienek dla higieny — nic nie mogła ze swego repertuaru wyliczyć.

Pozwoliła pani Warchlakowskiej rozlać przed sobą cały zasób swej możności, inteligencji i poczucia moralności, nie hazardując ze swej strony wiele.

Aż gdy dama w welwetach umilkła wyczerpana i wyczekująco *face a main* ku Tušce zwróciła, Tuśka uczuła, iż teraz przychodzi kolej wywnętrznić swoje *credo* i odkryć karty, którymi w życiu ona zagrywa.

Lecz ogarnęła ją chęć wywyższania się jeszcze ponad panią Warchlakowską i z wielkim taktem i ostrożnie rozpoczęła wspinałą serię kłamstw, którą roztaczała powoli jak wachlarz, zasłaniając nim prawdę swego mizernego życia.

— Mój Boże!... tak, jeżeli nie najęła willi, to przede wszystkim dlatego, że bała się mieszkać w niej sama tylko z córeczką. Służby nie brała, bo była wyczerpana prowadzeniem ogromnego domu i chciała trochę odpocząć... Bo jeżeli kobieta pojmuje swoje obowiązki na serio, to trud jej nie jest mały, i ci, którzy mówią, że kobiety mają łatwiejszą część w życiu, mylą się zupełnie.

Lecz tu pani Warchlakowska podniosła protest:

— O, nie — ona, pani Warchlakowska, umie ocenić trudy i starania męża, który umiał przyrobić tyle fortuny i zajął takie w mieście stanowisko, że dziś liczy się z nim

nie tylko całe miasto, sala ratuszowa, prezydent — więc i inne rozmaite figury, ale i ona, własna żona. Bo choć nikt nie jest prorokiem w swym kraju, a głównie mąż we własnej rodzinie, to ona przecież uznaje w panu Warchlakowskim owego proroka i idzie dokładnie linią, którą jej zakreślił.

— Nie tylko nie wbiję w ścianę jednego więcej gwoźdźca bez jego aprobaty, ale chodzę zawsze tymi ulicami, które on mi wskaże, bo on wie najlepiej, co i jak się robi w życiu.

Silna pierś, opięta welwetem, wznosi się miarowo jakby wzruszona przy tych słowach.

— Tak, u mnie uwzględnia się gusty i upodobania przede wszystkim męża — tłumaczy Warchlakowska zgnębionej trochę Tuśce. — Ponieważ mój mąż lubi sztukę mięsa z chrzanem, jadamy ją dwa razy tygodniowo, choć ani ja, ani moje panienki ścierpieć jej nie mogą. A potem, mój mąż jest za religijnym wychowaniem, panienki moje są wpisane do bractwa dzieci Marii... A potem, dywanów nie znosi. Więc nic... ani jednego chodnika w pokoju i te wszystkie nowatorstwa literackie także u nas nie mają miejsca... Tak, tak — ja się we wszystkim do męża stosuję.

Tu pani Warchlakowska powiodła groźnie dokoła wzrokiem, ogarnęła nim smreki, zamodlone w popołudniowej ciszy, i słoneczną drogę, ginącą w zieleni, i błękit nieskalany, rozwieszony kopułą turkusową nad dyszącym w omdleniu samym Zakopanem, i dodała:

— Ja tak pojmuję *feminizm!*...

Padło wielkie słowo.

Lecz nie wzruszyło Tuśki.

Ona siedziała cała pogrążona w myślach porównawczych.

Mój Boże! Ta mizerna figurka jej męża w niepokąźnym paltociku, czymże była wobec imponującej a legendowej postaci pana radcy Warchlakowskiego!

Z urzędu, ze sprytu, z owej wspaniałości, z jaką trząśł całym miastem sterroryzowanym i uwielbiającym, wyłaniał się nadzwyczajny, imponujący, adorowany nawet przez własną żonę.

— Budżetu miejskiego nie uchwalą, jeśli on się okoniem postawi... — pewnego razu rzuciła niedbale Warchlakowska.

Budżet miejski!

Tuśka doznała olśnienia.

To było coś wielkiego, jakieś cyfry ogromne, jakieś miliony, los całego mrowiska ludzi kłębiących się wśród kamienic. Nie rozumiała dokładnie, ale to ją ostatecznie olśniło.

Grzeczny pan z Wareckiej ulicy, wlokący swą teczkę urzędniczego mola cicho i posłuszenie, czym był w porównaniu z takim radcą, od którego zależało uchwalenie... budżetu!...

I z pewną trwogą usłyszała Tuśka słowa:

— A pani mężulek odwiedzi panią w Zakopanem?

— Nie wiem...

— O!... to byłby grzech nie przyjechać do żony i córki! Naturalnie nasi panowie mają swoje obowiązki społeczne i te idą przed rodziną, prawda?...

— Tak... tak...

— Cieszy mnie, że się pani ze mną zgadza pod tym względem. Ale i dla rodziny coś uczynić należy... prawda?

— !!!

— A więc ujrzymy mężulka? to dobrze, to bardzo dobrze. Tylko będzie państwu trochę ciasno. Dwa pokoje... skoro macie takie duże mieszkanie w Warszawie.

— O! tam są jeszcze inne pokoje. Na czas pobytu męża dobiorę więcej izb.

— Tak, tak... nasi panowie mężowie nie lubią ciasnoty, i to im się słuszenie należy. Ja dlatego wzięłam tak dużą willę, aby mój mąż miał gdzie królować, gdy przyjedzie...

— Tak, tak!

— Gdyby się zjechali równocześnie, byłoby to doskonałe. Złożyłby się mały wincik. Pani mąż wintuje?

— Jak wszyscy.

— To doskonała dla nich rozrywka. Cały dzień wytężają umysły, wieczorem muszą się rozzerwać. Ja urządzam winty w domu. I to najlepsze. Niech mi pani wierzy. Urządzić w domu, herbata, przekąska... i przynajmniej ma się męża obok siebie. Pani zapewne także tak robi?

— Tak, tak.

Przed oczyma Tuśki przesuwały się wspomnienia wieczorów dziwnie sennych, monottonnych. Czytanie „Kuriera” od deski do deski, wszyscy przy jednej lampie, aby oszczędzić nafty, i potem wyzółkły, wyschły profil męża, chylący się do snu, jego ręka delikatna, anemiczna, z odciskiem od pióra na trzecim palcu, osłonięte tragicznym abażurem oczy zmęczone, obwiedzione czerwoną obwódka.

— Ale pani ciepłej kolacji nie podaje? — bada ją dalej pani Warchlakowska.

— Jak czasem.

— To źle. Trzeba już przyjąć jeden system i tego się trzymać... W ten sposób bałamuci się gości. Ja podaję herbatę, kanapki, suche ciastka i piwo. Kanapki moje panienki z byle czego zrobią. Na to można użyć doskonale resztek z całego tygodnia... A dla męża kolacja w sekrecie, w kąciку przygotowana. Wyborny system. Radzę pani zaprowadzić.

Jakaś pointa niezadowolenia tkwi w głosie pani radczyni. Ta ciepła kolacja trafiła ją w serce. Tuśka chwyta to w lot.

— O, nie! nie! — protestuje — ja już nie mogę odstąpić od kolacji. Taki u nas zwyczaj... zresztą mąż tak chce...

— A! skoro mężuś...

Pani Warchlakowska uchyla czoła jak korna niewolnica.

Z polanki, na której słońce kładzie złoty, czarujący, świetlany płaszcz, dobiegają cienie głosiki panien Warchlakowskich.

— *Play!*...

— *Fife!*...

— *Three!*...

Głosu Pity nie słyhać. Miga tylko czasem jej biała sukieneczka i śliczne nóżki w błękitnych pończochach.

Poruszają się jednak leniwo, niechętnie.

Pita co chwila przystaje, opiera się o żerdzie, patrzy obojętnie na panny Warchlakowskie, które widocznie grają w piłkę „dla galerii”, to jest dla dwóch górali, wlokących się po drodze z olbrzymią belką, i dla dwóch pań, które przystanąły i patrzą w głąb placyku.

Pani Warchlakowska na Pitę przez szkła patrzy.

— Śliczne dzieciątko... ubrane gustownie... tylko...

Zawiesiła głos.

Uśmiechnęła się, jakby przeżuwała cytrynę, i wreszcie dorzucza:

— Tylko cokolwiek za krótka spódniczka.

Tuśka czuje, że jest to wywzajemnienie się za ową legendową kolację przy wincie.

— Taka już u nas moda w Warszawie! — mówi, wykrzywiając mimo woli usta takim samym cierpko-kwaśnym uśmiechem.

Pani radczyni czuje się dotknięta w swej skromności kobiecej.

— Och! moda!... — podejmuje znowu — skoro chodzi o pewną skromność niewieścia, moda nie istnieje. Należy chronić panienkę, nawet przed wzrokiem ludzkim.

— Pita jeszcze dziecko.

— O, nie, nie... to już panienka... Mój mąż nigdy by nie pozwolił, aby moje dziewczątka tak się produkowały...

— Ja Pity za nic bym w skarpetki nie ubrała, ale pończoszki...

— Och! skarpetki!...

I pani Warchlakowska kryje pod szlafrok swe słoniowate nogi, jakby sama myśl o możliwości włożenia przez kobietę skarpetki przerażała ją niepomiernie.

W tej chwili drogą od Kościelisk powraca gwarne towarzystwo. Kilka kobiet, kilku mężczyzn. Na czele Tuśka spostrzega jasny sportowy garnitur, koszulę z surowego jedwabiu i roześmianą, wesołą twarz, wysłonecznioną dziwnie przejrzystymi oczyma. I przerażona czuje, że serce jej tłuc się zaczyna jak ptak w klatce. Zmieszana, nie śmie się ruszyć, odetchnąć...

Na twarz jej, na szyję powoli, przedziwnie wpływa czarujący, dziewczęcy rumieniec.

Przez pokład pudru przebija się prześliczny, nieśmiały, płonący lekko z początku, jakby twarz Tuśki odbiła w sobie błady, różowy blask jutrzeński.

I w miarę jak zbliża się ku niej ta twarz wesola, te oczy słoneczne, pełne całej mieszaniny uczuć sprzecznych, bo karnych i zuchwałych, pieszczących i drwiących, ten rumieniec potężnie, przechodzi w płomień, rozpala się jak słońce o południu, syjące światło i żar.

A cała ta gromadka ludzi odzianych jasno, jakoś rozwiewnie, z postaciami kilku ślicznych kobiet we środku, kobiet o włosach złotych, ufryzowanych, o sukniach odsłaniających, nie zaś kryjących linię ciała, kobiet bardzo malarskich a strojnych, bardzo kwiatowych a miłych, idących w słońcu, białą drogi, ma w sobie wdzięk czegoś bez troski, a wybierającego z życia to, co życie jeno najlepszego dać jest zdolne.

Idą lekko, deptając po cieniach własnych, a nie czyniąc im krzywdy, nucą jakąś kanconę, trzymając w rękach olbrzymie pęki szafirowych gencjan...

Dokoła nich rozwiewa się urok przejasny odczucia i wchłonięcia w siebie esencji życiowego czaru. Tego określić nie można. To się wysnuwa, to wypływa z ich gestów, z ich piękności, z dźwięku ich głosów, z uśmiechów ich ust, z ich spojrzenia...

Gencjany w rękach mają i sami rozkwitają całym bukietem istot szczęśliwych, nie liczących się z mrowiskiem, w którym mrówki ciemne mackami wyczuwają swe zbliżenie i ostrą ciecżą bronią się od napadów, mogących roznieść gmach pracowicie wzniesiony ze śmieci, patyków i gruzów.

Idą dzieci Boże i promienieją światłem dusz, którym pozwalają żyć, rozwijać się, nie gnębią ich, nie dręczą, lecz niosą je w słońcu, w wesołości, w pierwotnych porywach, w Pięknie, jak niosą snopy szafirowej gencjany, pomiędzy którymi połyska wspaniale gwiazda złotogłowiu.

*

Zrównali się z willą pani Warchlakowskiej.

Dama w welwetach przyłożyła lornetkę do oczu.

— To... aktorzy! — zawyrokowała.

Dziewczęta przestały grać w piłkę i zbliżyły się do żerdzi. Na twarzach ich zarysowała się niezdrowa ciekawość. Tylko Pita, oparta, patrzyła z jakąś melancholią dziwną na przechodzących.

— Ten w środku, jasno odziany, to Porzycki! zdolny... wcale, wcale...

On jeden tylko obrzucił Pitę miłym spojrzeniem. Skinął jej głową, ale dziewczynka, pomna uwag matki, spuściła oczy w ziemię z zażenowaniem widocznym. Porzycki nie spojrział nawet na werandę ani na Tuśkę. I to jej było przykro, choć wołała, że nie widział jej zmieszania.

Gromadka przeszła i ginęła powoli drogą jak jasny obłok. Cicha kancona dobiegła jeszcze, jakby wlokąc się za nimi.

Oparta o żerdź Pita znów melancholijnymi oczyma śledziła oddalających się.

Pani radczyni uniosła się cokolwiek na fotelu.

— Oni tu gdzieś mieszkają, zdaje się w Jaszczurówce... a ten Porzycki to gdzieś nawet w naszej okolicy... Straszni ludzie! O! o! niech pani patrzy, nie żenują się... To *szkandal!*

Tuśka wysłała swój wzrok na zwiady i ujrzała, jak Porzycki nagłym ruchem objął jedną z jasno odzianych kobiet. Była w tym ruchu swawola pazia. Trwało to chwilę. Kobieta, śmiejąc się, wykręciła się zręcznie z obejmującego ją ramienia...

— To panna ta i ta... — objaśniała Warchlakowska. — Jest przyjaciółką starego hrabiego spod Gołębi, a ta trzecia...

Nagle dostrzegła, że „panienki” przypatrują się ciekawie aktorom i aktorkom.

— Panienki! proszę do piłki... co to znowu?...

Panienki cofnęły się chichocząc i uśmiechając złośliwie. Tylko Pita pozostała na miejscu i patrzyła ciągle w stronę, skąd dolatywała kancona.

— Niechże pani każe swojej panience nie patrzeć za nimi! — upominała Tuśkę pani Warchlakowska.

Tuśka jakby się ocknęła.

Cała była tak gorąca, jak by po niej war przeszedł.

— Pito... idź do panienek!... — wyrzekła machinalnie do dziecka.

— Czy pani wie — skrzeczała Warchlakowska — że ci ludzie to gorzej Cyganów. Oni prawie wszyscy żyją bez Boga i bez zasad moralności. Prawie wszyscy w dzikich małżeństwach... A jakże... mówił mi mąż... co za zgroza!... To *szkandał!*... *szkandał!*...

Powoli marła kancona i obłok jasny spowijał coraz szczelniej oddalającą się grupę aktorów.

Byli już teraz słonecznymi widmami, ledwo zaznaczonymi sylwetkami o złocistych, leciuchnych konturach.

— *Szkandał*, moja droga pani!... — syczało w powietrzu.

I zdało się, że nic nie pozostaje z piękności egzystencji, tak jakby oni wchłonęli w siebie wszystko, co wchłonąć może istota ludzka, otwarta i szczerą, nie zamykającą się w skorupę pleśni i wymierzonego w dozach przyzwoitych dobra życiowego.

Rozpostarła się tylko wszechmoc pani Warchlakowskiej i cień jej werandy, na której wietrzyła swoje welwety.

A z twarzy Tuśki powoli, stopniowo świeży i gorący żar rumieńca nikł i topniał w delikatnej barwie zapadającego cicho słońca.

A na twarzyczkę Pity występowała natomiast coraz silniej, coraz wyraźniej wielka, bezbrzeżna melancholia.

XIV

Życie Tuśki ułożyło się na modłę Warchlakowskiej. Było to ciągle ścieśnianie obręczy konwenansu, jakaś niewola liczenia się ze słowami, z gestami, kontrola, pełna niby uprzejmości, zdawanie sprawy z każdego kroku, z każdego słowa.

— Cóż droga pani dziś porabiała?

To ją witało parę razy dziennie, czy to u płotu jej chałupy, czy już od furtki, gdy wchodziła do willi radczyni.

Porzycki wyjechał na wycieczkę i Tuśkę napadła dziwna ochota dowiedzieć się, czy pojechał sam, czy w towarzystwie kobiet.

Ciągle widziała ten gest, jakim obejmował ową aktorkę, gest swawolnego pazia, a przecie nie pozbawiony czułości.

— Może się w niej kocha!... — myślała.

Lecz zaraz przypomniawszy sobie słowa Warchlakowskiej:

— Ta panna przecież ma kogoś... kto...

Nie rozumiała, dlaczego nie powiedziała Warchlakowskiej, iż Porzycki mieszka w tej samej, co i ona, chacie. Coś ją za gardło ścisnęło...

Teraz już nie było mowy o aktorach w ogóle.

Rozmyślając tak, Tuśka usiadła na swojej werandzie. Posłała Pitę do panien Warchlakowskich, a nawet surowo zirytowała się na dziecko, bo szło niechętnie i zachmurzone.

Pragnęła pozostać sama.

Ogarniało ją coraz większe lenistwo. Przy tym miała troski materialne. Pieniądze wychodziły z przerażającą szybkością. To pożycie z panią Warchlakowską narażało ją na zwiększenie wydatków. Musiała jeść tak, jak te panie z willi, kupować grzyby, jaja, poziomki, zdjeta fałszywym wstydem. Praczkę miały wspólną, która podawała bajorńskie rachunki, a na nieśmiałą uwagę Tuśki odpowiadała zuchwale:

— Pani radczyni z willi to się nie targuje!

Co chwila okazywała się potrzeba jakiegoś wydatku, aby „dorównać” pani z willi. Były to drobne, małe, śmieszne sumki, ale były mimo to zjadały niewielką sumkę, którą Tuśka mogła rozporządzać.

I znów ogarnął ją żal do męża.

Dlaczego jest tak, nie inaczej? — Ach! gdyby był sprytniejszy, obrotniejszy i zapobiegliwszy, działałoby się inaczej. Inni jego koledzy biurowi nie oglądali się jedynie na pensję. Kręcili się jak piskorze i często wykręcali się na wierzch. Brali kamienice na spłaty, przystępowali do jakichś przedsięwzięć, słowem, szli w górę. A on wiecznie tkwił na Wareckiej pomiędzy fikusem a stołem z samowarem!...

I dziś dlatego ona jest tak skępowana nawet w chwili, gdy przecież raz odetchnęła innym powietrzem i pewną względną swobodą...

Lecz jest to rzeczywiście tylko względna swoboda. Czuje, że to grzeczne, systematyczne życie z Wareckiej powlokło się i tu za nią. Nie umie widocznie sobie poradzić, a przecież coś się jej majaczy... coś przeczuwa poza lasem gencjan...

Tak, tak.

Koło werandy krąży Obidowska. Ustroiła się w serdak i chodzi tam i z powrotem, czając się z fartuchem, aby zacząć wycierać balustradę werandy. Tuśka patrzy na nią i dziwi się, jak Obidowska jest dzisiaj chytra i zmarnowana.

Ma prawie tragiczny wyraz twarzy, poczerniała, oczy jej zapadły...

Tuśka czuje jakąś litość na widok tej zmiany. Woła ku sobie góralkę:

— Gaździno, a chodźcie tutaj!

Obidowska podchodzi, nie śpieszy się. Głowę pochyliła i kiwa nią na obie strony, jakby jej utrzymać nie mogła.

— A cego fcom?...

— Coście dziś taka mizerna?

— ?

— No... mizerna, blada. Czyście chorzy?

Gaździna ramionami wzrusza.

— Ni...

— No, o cóż wam?

Zacięte usta, tylko oczy spod brwi zabłyśły jak dwa żuźle.

Wreszcie potok słów, jakby konieczna potrzeba upustu dławiącego smutku.

— Wiedzom, poleciał na przewodnika.

— Kto?

— Ano on, Józek.

— No, więc cóż? Tym lepiej, to zarobi.

— Ha, no... zarobi, dyrloga jedna!... zarobi, ale jo na taki gros niełakoma... Poszły z nim takie strzygonie, co to wiadomo, na młodego chłopca łase... no...

Zacisnęła zęby, aż zgrzytnęły. Wbiła nogi w ziemię ze strasznym uporem. Biło od niej tajonym gniewem i nagromadzoną w wyschłej piersi rozpaczą.

Tuśka spojrzała na nią zdziwiona.

— Ależ moja gaździno... — wyrzekła — dlaczegoż wam tak o te panie z miasta chodzi? Przecież nie mówicie mu nic za Hanke, a on się z nią całuje tuż i pod waszym dachem.

— A!... to je co inkszego! Ona była przede mną, to wiadomo, jej prawo... A potem ona górską je, nasza, to jensza sprawa. A te mieńskie, jak idom na wirchy, to ino zęby scyrzeć...

— Mówiliście przecież, że Józek idzie z tym panem, co tu mieszka.

— A ino. Posed z nim i z tymi strzygoniami. Nabrali butelek i pošli na tydzień... No... kieby ich bym dopadła, skasałabyk ich... choć stara, na śmierć.

Tyle temperamentu ma jej głos niski, ochrypły — tak wyc musi wilczyca zraniona, gdy sama zdycha gdzieś w jarze.

I głos jej znajduje niespodziewany oddźwięk w duszy Tuśki.

I ona nienawidzić zaczyna te jasne, wysłonecznione kobiety, które tam po wirchach jak owe kozice z głazu na głaz skaczą, lotne i zwinne, a pomiędzy nimi miga gibka postać męska.

Józek?... nie Józek. Nie tak smukły, ale za to bardziej wykwintny w linii, równie silny, zgrabny, zuchwały...

Ten drugi.

Porzycki?

I oddychają całą pierśią, idą coraz wyżej ku słońcu, w bukiety czarnych smreków, ponad którymi jasna zieleń hal rozplywa się jakby seledynową chmurą.

Po raz pierwszy Tuśka z jakąś tęsknotą zwraca swe oczy w stronę gór. Słońce zachodzi, są one w tej właśnie chwili stokroć piękniejsze i majestatu pełne. A mają w sobie jeszcze jakąś moc ptaków, co gdy rozwiną skrzydła w górę, podnoszą serca i dusze ludzi. Tuśka nie była tam nigdy na tych ścieżynach, co to między kosodrzewiną wiją się, przecięte

srebrną nicią górskich strumieni, lecz instynktem czuć zaczyna, że tym, co tam na ów „tyzień” poszli, jest w tej chwili świeżej, milej, lepiej, młodziej niż jej na werandzie, choć taka ta weranda niby słoneczna, niby wygodna... Czuje to, ale gdyby jej kto kazał rzecz tę wypowiedzieć, może by nie potrafiła.

Obidowska przysunęła się zupełnie do balustradki. Złożyła na niej czarne, do łokcia obnażone ręce, a na tych rękach wsparła twarz.

Była dziwna, dzika, ponura i zagadkowa. Włosy tłuste lśniły się w słońcu jak czarna, atlasowa, średniowieczna czapka. Każda bruzda w twarzy zdawała się mieć osobną swoją historię i osobną przyczynę łez, które ją złościły.

— Ja wim — mówi niskim głosem — że Józef ma taką naturę, że go do państwa pcha i mu z nimi dobrze jest. Ale jak się żenił, to wereda przysięgał, że o skałę się praśnie, a w góry z poństwem nie pondzie... I ot, jak przysięgi strzymał...

Pomilczała chwilę i powtórzyła, jakby swoje własne echo.

— I ot... jak przysięgi strzymał...

Dwie duże łzy ukazały się w jej oczach.

Wypełniły całe źrenice, oszklily ich żółtość i spłynęły po rzęsach rzadkich i jakby wypalonych. Chwilę zawahały się. Którą im płynąć bruzdą? Którą z nich wyzłobiły miłosne zawody? I nagle rozlały się w strugę, która objęła całą sieć tych zmarszczek i twarz okryły lśniącą, srebrną wilgocią, smutną i nad wyraz tragiczną.

Tuškę nie zdjęła jednak litość. Nie współczuła ona tej kobiecie, która płakała za młodym mężem, ulatującym z gniazda jak młody ptak żądny swobody. Inna myśl zajęła ją całą. Myśl, co się dzieje tam, dokąd oni poszli — gdzie tak świeżo, młodo, dobrze...

Podstępnie zwracała się ku góralce:

— Moja gaździno... o cóż wam chodzi? Przecież tam nic złego się nie dzieje. Poszli, wrócą. Józek przewodnik... o cóż chodzi.

Góralce zapłonęły oczy. Łzy jakby żarem, co przesunął się po nerwach, oschły w jednej chwili.

— No... — wyrzekła wreszcie... — jakbyście tak widzieli, co oni tam wypiją, a jak się zawsze przewodnicy uchleją, bo to państwa bawi, tobyście ta inaczej gadali... a jak się chłop uchleje, to on tam nie bacy, co robi...

Pokiwała głową, oderwała się od balustrady i ciężko stąpając odeszła w stronę szopy.

Tuška zamyśliła się nad jej słowami.

Więc... piją, a gdy piją, nie baczą, co robią.

Przypomniał się jej ten gest Porzyckiego, śliczny gest mężczyzny obejmującego w posiadanie, i ten powabny ruch kobiety, która na jedno mgnienie oka poddała się ku niemu, a potem wywinęła się jak wąż z tego uścisku...

Tak było na gościńcu, a tam, w górach, pośród tych gęstych zarośli, które czarnymi płatami przyległy do ścian gór, pewnie jest jeszcze inaczej.

W słońcu, w swobodzie idą, śpiewając kanconę... Oni — oni!...

Przymknęła oczy, góry pozostały mimo to przed nią fatalne i ciągnące. Teraz oprócz gencjan kryły w sobie inne błękitne tajemnice...

Jakiś głos zbudził ją z uśpienia.

— Proszę pani, oto list dla pani, a to kartka dla tego pana obok. Drzwi zamknięte, nikogo nie ma...

To listonosz wrzuca na werandę list z błękitną marką i śliczną liliowo-tęczową kartkę pocztową.

Pada jak motyl z rozpostartymi skrzydłami na kolana Tuški.

Ona się porywa.

— Proszę... proszę to zabrać...

Lecz listonosz jest już daleko. Biegnie jak na kółeczkach. Wpadł do sąsiedniej willi.

Tuška bierze kartkę i kładzie na stole.

— Oddam gaździnie — myśli — niech mu da tę kartkę, gdy wróci z tej orgii.

Czuje jakiś żal, ból nieokreślony. Jest to raczej uczucie smutku i przykucia do ziemi. Otwiera list od męża i czytać zaczyna.

„Kochana żono! List twój otrzymałem. Cieszę się, że jesteś zdrowa i Pita także. Chłopcy są zdrowi, pisali do mnie, bawią się i uczą. Kwiaty dobrze się hodują, każę je wnosić na dziedziniec, skoro deszcz pada, a ta duża palma, zdaje się, ma mszyce. Więc

kazałem stróżowi myć i sam przygotowałem tytuń i zrobiłem odwar. Futra, naftaliną przesypane, poskładałem...”

I tak cały list, cztery długie ćwiartki...

Tuśka jednak nie czuje, ile codziennego, szarego tragizmu wlecze się przez te szeregi literek. W trującym zapachu naftaliny walczy drobny, chudy człowiek z pasożytami, które obsiadły palmę, walczy wtedy, gdy słońce potokami złota zalewa przestrzenie kryształowe, pełne balsamicznej woni i czarownych górskich wizji.

Z rodzajem znudzenia odkłada ten monotony list i znów pogrąża się w zadumie.

Piją! co?... wino, szampana, a potem te ładne, wesołe kobiety pozwalają się całować, mówić do siebie poufale. Potem zachodzi słońce, potem rozkłada się ognisko... tak czytała... układają się dokoła ogniska... znów piją... znów się całują...

— List od mężusia?

Tuśka aż drgnęła cała.

Pani Warchlakowska stoi przed nią, na tym samym miejscu, na którym stała niedawno Obidowska.

— Mążusiś pisał?

— Tak.

— A... a... ta karteczka taka śliczna? To może od synusiów?

— Nie... to nie do mnie.

— A!...

Chwileczka milczenia.

— Pani wie. Dziś rano zbudziły mnie nieludzkie wrzaski. Idę do okna... myślałam, że się pali, a to ta banda aktorów i aktorek stała na drodze i tak krzyczała na przewodnika i Porzyckiego, żeby się zbierali. Szli na wycieczkę. Pani nie słyszała?

— Nie.

— I pani może nie wie, że ten Porzycki mieszka tu, u Obidowskiej?

Rumieniec znów oblewa twarz Tuśki.

— Nie.

Sama nie wie, dlaczego kłamie, ale kłamie.

— Tu... obok pani. Ja nie wiem, czy mążusiś byłby bardzo kontent, gdyby o tym wiedział. Bo wiadomo, aktor to nic nie uszanuje... Choć... niech Bóg zachowa, ja wiem, że pani... a... coś znowu!... ale oni! Bo to, proszę pani, piją... a skoro mężczyzna pijany, to... no...

I tu radczyni wzdycha i wymownie się uśmiecha.

— I niechby tak, broń Boże, po pijanemu takiemu czemuś przyszło do głowy pani zrobić jaki afront.

— O!... proszę pani...

— Kto to może wiedzieć? Między nami mówiąc, same kobiety upoważniają takich aktorów do tego. U nas... w Krakowie, pani wie... ach! słyszała pani chyba o tej doktorowej... nie?... no... nie wierzy pani?... One same do nich listy piszą — i jakie listy! no!...

Wzrok Tuśki padł mimo woli na tęczową śliczną pocztówkę, leżącą na stoliku. Warchlakowska wzrok ten podchwyciła.

— Może to do niego?... Czytajmy!... czytajmy...

I widząc pewne zakłopotanie na twarzy młodej kobiety dodaje śpiesznie:

— Gdyby to był list, to co innego... ale pocztówka, toć otwarta dla wszystkich.

Wyciąga ręce i motyl barwi się w jej tłustych spoconych łapach.

— A co?... do niego — „Jaśnie wielmożny Porzycki, artysta dramatyczny”. „Jaśnie”, słyszy pani — „Jaśnie”!!! Aktor i „Jaśnie”... A czymże będzie hrabia albo radca? „Jaśnie”!... A teraz coś opiewa — o... o... jak męża kocham... cha! cha! niech no pani czyta.

Podaje kartkę Tuśce.

„Drogi moje kochanie!... Jakże tam, czy ci dobrze, czy już się odtęskniłeś? Choć proszę cię — nie zanadto, bo mnie będzie serce bolało. Mnie tu bez ciebie pusto, strasznie i wczoraj przez łzy widziałam twoje nie zajęte miejsce przy naszym stoliku. Dziękuję za twe drogje listy, umiem je na pamięć i zawsze przy sobie noszę. Uważaj, gdy idziesz w góry, aby nie spaść i nie wyrządzić sobie jakiej krzywdy, bo ty jesteś treścią i celem mego życia”...

Tuśka nie chciała czytać dalej.

— To są sekrety tego pana — wyrzekła wyniośle, odkładając kartkę.

— No... dobry numer taki aktor! — śmiała się Warchlakowska. — Ta przez łzy patrzy na jego nie zajęte miejsce, a on z aktorkami po górach lata... Ja na miejscu pani wolałabym zażądać jego pokoju od gaździny i wygnałabym go, aby nie plugawił dachu. Bo pani nie wie... on tu jeszcze jaką damę sprowadzi i dopiero będzie *szkandal!*...

— Nie wiem jeszcze, co zrobię — odparła wymijająco Tuśka.

Głowa ją zaczęła boleć. Pomyślała, iż tak jak tam na Wareckiej dławily ją mury kamienic, wznoszące się dokoła jak mury więzienne, tak i tu zaczyna dławić ją jakaś ścieśniona atmosfera, która powoli wałem od słońca i przestrzeni ją otacza.

— Może się pójdziemy przejść? — proponuje pani Warchlakowska.

Lecz Tuśkę ogarnia nagle bardzo wyraźna odraza do tego ślimakowatego wleczenia się po gładkiej drodze z miną dystygowanej damy, grzecznie spacerującej po parku.

— Dziękuję pani! — mówi, siląc się na jak najuprzejmiejszy uśmiech — głowa mnie boli.

— Najlepiej się przejść... zresztą, jak pani chce. Ja idę.

Podniosła granatowy, alpagowy, opięty kostium, na tyle jednak, że przyzwocie dotykał ziemi, i wypłynęła jak kaczka na biel drogi.

Tuśka pozostała sama.

Patrzy na tęczową pocztówkę, patrzy na góry także tęczowe, tyle na nich barw się mieni, i dziwnego doznaje wrażenia.

Ta Obidowska, biegnąca z zażawionymi oczyma w górskie ciemne i srebrne żleby, i ta druga tam daleko, przez łzy widząca puste miejsce człowieka, który znikł w tych górskich ciemniach i srebrnych żlebach — i... potem ona sama biegnąca wzrokiem jego śladem...

To wszystko — dziwne.

Nowe.

Niespodziewane.

A zwłaszcza... niepotrzebne!

Co ją to obchodzi?

A przecież...

Obchodzi!

XV

Mija tydzień.

Ale jakoś się wlecze. Pogoda cudowna, mimo to Tuśka a nawet Pita nieswoje, choć od rana postrojone i przeważnie siedzą u Warchlakowskich.

Gdy pierwsze wrażenie minęło, Tuśka postanowiła powrócić właśnie do Warchlakowskiej i nią jak murem chińskim odgradzić się od jakichś dziwacznych myśli, które napadać ją zaczęły.

Chodzi więc na spacer z panią Warchlakowską, była dwa razy w Morskim Oku na kawie, oglądała szkołę koronkarską, wysłuchała sumy, chłonąc w siebie zapachy serdaków pomieszane z wonią kadzideł, to wszystko nabawiło ją szalonego bólu głowy.

I znów na werandzie prowadzi z panią radczynią rozmowy o mężu, dzieciach i sługach. Pani Warchlakowska dołącza jednak do tego repertuaru od czasu do czasu jakąś pikantną anegdotkę, przeważnie z życia aktorów i aktorek.

Dziwnie dobrze poinformowana, wtajemnicza Tuśkę w rozmaite zakulisowe historyjki. Mówi z oburzeniem, lecz widocznie delektuje się tymi historyjkami. Tuśka słucha uważnie, choć nie rozumie, dlaczego doznaje jakiegoś bólu. Kilkakrotnie chciała się przyznać Warchlakowskiej do zaczepki ze strony Porzyckiego, lecz coś ją wstrzymało.

Nagle zdumiona usłyszała zapytanie:

— A czemu pani mi nie powiedziała, że zna Porzyckiego?

— Ja?

— Tak. Wiem, wiem, że nawet jakieś cukierki kursowały... O! tylko niech pani nie łaje Pituchny, to nie ona... ta dziewczynka jest ogromnie skryta... to kto inny...

Tuśka ochłonęła już i wrzuciła ramionami.

— Ten pan dał cukierki Picie, kazałam oddać, to wszystko.

— Wybornie pani zrobiła. Choć ja na miejscu pani wezwałabym męża, aby takiego błazna moresu nauczył... Dawać cukierki! Proszę, cóż to on sobie myśli? Czy pani jaka aktorka? czy co?...

Bardzo była oburzona pani radczyni. Pierś, opięta welwetem, falowała, tłuste ręce wykonywały serię gestów rozwianych i kompletnie nieuzasadnionych.

— Dostał nauczkę — uspokajała ją Tuśka — i teraz zachowuje się zupełnie przyzwoicie.

Lecz nagle uczuła, że pani Warchlakowska świdruje ją wzrokiem, tak jakby mówiła „ejże!”, i to ją zmieszało zupełnie. Zarumieniła się gwałtownie i spuściła oczy w ziemię.

Czuła, iż Warchlakowska w tej chwili jej nie wierzy i że zaczyna się dokoła niej snuć cała sieć fatalnych podejrzeń.

Rozstały się trochę chłodno. Warchlakowska ciągle zdawała się zapuszczać sondę do dna jej duszy. Tuśka zaś cofała się i zamykała w sobie tak, jakby miała już coś do ukrywania.

Nad wieczorem zupełnie niespodzianie powrócił Porzycki.

Przyjechał furką, blady, zmęczony, niewyspany i widocznie w złym humorze.

Tuśka stała w oknie i zobaczywszy go tak nagle, doznała jakby olśnienia.

Cofnęła się za firankę, lecz patrzyła, jak do Porzyckiego wybiegła Obidowska, pytając o męża.

— Poszedł jeszcze dalej w góry — odrzekł aktor gniewnie, wyjmując z furki swój serdak, ciupagę i jakieś drobiazgi.

— A bez co? bez co... kiedy oni wrócili?

— Nie wiem. Dajcie mi spokój, zmęczony jestem... Przynieście mi mleka. Listu nie ma jakiego?

Wszedł do sieni i udał się do swojego pokoju.

Obidowska postąpiła chwilę przed chałupą, wreszcie zawróciła i szła wolno w stronę szopy. Idąc dostrzegła Tuśkę w oknie.

— Widzieli — zapytała — jaki to wymęczony? I nie hańbi się... To z chlania wódzyska i z łajdactwa... a jakże...

Pokiwała głową i głosem, w którym drżały łzy, dodała:

— A wiedzom... mój nie wrócił!

I poszła.

Tuśce zrobiło się wstyd i przykro.

Tak często myślała teraz o Porzyckim, że aż tymi myślami upiękzyła sobie jakoś jego postać w myśli. Coś słonecznego biło od niego i rozśłoneczyło jej wnętrze. Lecz oto zjawiał się on sam i był zmęczony pijatyką, hulanką, małał, ginął w wyobraźni, niszcząc rzeczywistością to, co już zaczynało nabierać pewnego promieniowania i jasnej, pogodnej wizji. Tuśka poczuła do siebie żal, iż dała się unieść jakiemuś niezrozumiałemu prądowi. Ściagała go myślą wśród gencjan, złotogłowia lub szarych złomów i kłębow mgły. Odsuwała tę dekoracją natrętne myśli o obecności „strzygoniów”. A to „chlianie”, ta błądź przywodzi ich korowód na pamięć. Wstyd! wstyd!...

Postanawia nagle wrócić do rzeczywistości.

Wzrokiem szuka Pity.

Widzi ją, jak stoi oparta o żerdź. Jasne jej włosy rozpuszczone rozsypały się, jak źle związany snop zboża, na tle granatowego żakieciku. Dokoła niej panny Warchlakowskie coś mówią żywo, śmieją się, gestykują. Pita stoi między nimi nieruchoma. Twarzyczki jej nie widać, bo jest oparta o żerdź przydrożną pleckami. Widać tylko, jak kurczy się jakoś i głowę w ramionka wtula ruchem strwożonego ptaszka.

Tuśka czuje się zadowoloną z wypełnienia obowiązku macierzyńskiego. Dała Picie ową rozrywkę, o której mówił lekarz, i to rozrywkę odpowiednią, przyzwoitą i godziwą. Sama zaś musi wypełnić obowiązki dobrej żony. Siada przy stole, rozkłada teczkę i pisarek zaczyna.

„Kochany mężu! List twój otrzymałam. Cieszę się, że jesteś zdrów i chłopcy także. Co do naftaliny, to przyznam ci się, iż straciłam w nią wiarę, odkąd przeczytałam, że właśnie mole mnożą się w naftalinie. W każdym razie wdzięczna ci jestem za to, że zająłeś się futrami. Z palmą większa bieda i sędzę, że...”

I tak dalej płyną sznureczki liter, omawiających kwestie futer, palm, fikusa, materaków, przyjęcia nowej sługi. Dalej następuje pochwała pani Warchlakowskiej, dalej słowo o Giewoncie, który jest bardzo „ładny” — dalej...

Kleją się zdania, choć na pozór płyną z łatwością. Co więcej, Tuśka spojrzała na list męża. Dwie stroniczki. Byłoby niegrzecznie, aby ona napisała mniej. Musi więc wypełnić te obie stroniczki.

Nagle pod oknem ślicznie ktoś gwizdże tę samą kanconę, którą śpiewali idący drogą aktorzy. Przez muślin firanki Tuśka dostrzega Porzyckiego, jak ubrany w świeży kostium, umyty, odświeżony, wyszedł przed dom i włożywszy ręce w kieszenie od kurtki, stoi, rozglądając się dokoła. Dziwi się Tuśka tej metamorfozie. Znowu jest wesół, rumiany, świeży, silny. Znowu bije od niego temperament, zdrowie i rozradowanie do życia. Tuśka mimo woli przestaje pisać i siedzi zapatrzona w postać aktora. Coś ciągnie jej wzrok i przykuwa. Równocześnie czuje, że uszy jej zaczynają pałać gorączkowo.

Nagle widzi, jak Porzycki przechodzi przez drogę i kieruje się ku grupie złożonej z Pity i panien Warchlakowskich. Staje przy żerdzi i mówi coś, lecz co, Tuśka pomimo wielkiej przedwieczornej ciszy dosłyszeć z głębi pokoju nie umie. Słyszy tylko głos podniesiony i widzi kołysanie się postaci Porzyckiego. Panny Warchlakowskie patrzą na niego zdumione, wreszcie jak stadko kuropatw rozbiegają się i wpadają do domu. Pozostaje jedynie Pita — i Tuśka, zdumiona, widzi, jak dziecko zgina się, przesuwa pod żerdzią i wydostaje na drogę. Tam zatrzymuje się przy Porzyckim z opuszczoną głową i wykonuje ruchy, jakby rozgniatła lzy na rzesach. Porzycki pochylony nad nią coś mówi, ona mu wreszcie odpowiada. Chwilę zamieniają z sobą słowa. Wreszcie aktor bierze dziewczynkę za rękę i prowadzi powoli do chaty. Ona idzie powoli, smutna, i gdy zbliżają się do sadyby, Tuśka widzi, że Pita płacze.

Cała ta sprawa wprawiła Tuškę w zdumienie, irytuje niewypowiedzianie. Czego się ten człowiek miesza znowu pomiędzy dziewczętą? Czego on chce od Pity? Dlaczego ją prowadzi do domu? Dlaczego ona płacze?

Czuje, iż powinna wstać, wyjść naprzeciw nadchodzącym, inaczej on wejdzie do jej mieszkania razem z dzieckiem, lecz po prostu jest jak sparaliżowana i doznaje wrażenia, jakby czuła niebezpieczeństwo, a kroku naprzód postąpić nie może. I rzeczywiście, do niej, siedzącej, powoli zbliża się to oczekiwane a groźne. I ona biernie musi mimowolnie czekać, patrzeć, wysłać duszę na powitanie. Lekkie pukanie.

Do pokoju zaraz wchodzi Porzycki, trzymając ciągle za rękę splakaną Pitę. Dziecko pobladło i jest widocznie bardzo wzruszone. Aktor kłania się Tuśce z wielką swobodą, która milcząc, z trudem podnosi się z krzesła.

I stoi tak naprzeciw niego bardzo strojna, w munowej białej sukni, w duże białe róże. Całe masy falban opływają ją u dołu, a ona z nich wykwita jak smukły cyprys z klombu róż białych.

— Pani daruje — mówi z dużą swobodą aktor — że właściwie nie znany, mieszam się w te sprawy, ale po co pani pozwala, a nawet każe tej panience bawić się z tymi błazniami w tych czerwonych spencerach?

— !!!

— Tak, proszę pani — błazniami i szelmami. Niech się pani nie gorszy moimi wyrażeniami, ale to już tak u nas, aktorów. Mówi się, co się myśli. Więc proszę pani, to są błaznice, indyczki i szelmy.

— Proszę pana... to są córki pani Warchlakowskiej, osoby...

— Dobrze, dobrze... mamusia kołtunka *in summo gradu*¹³, a panienki takie same. Czy Warchlakowska, czy Prosiątkiewiczowa, czy inny diabeł, zawsze niewarte całować psa w nos.

— Och!...

— Tu nie ma ani „och”, ani „ach”! Czy pani wie, dlaczego ta śliczna panienka płacze? Pani nie wie... A ja wiem. Ja wyszedłem na drogę, stoję i słucham. Myślę, co też te panny mogą z pani córką mówić. Myślałem, bezceństwa... Co pani tak na mnie patrzy? Przecież to w takim „przedpieklu” to nie kupić, bo widzę, panna Pita ma czerwone uszka

¹³*in summo gradu* (łac.) — w najwyższym stopniu. [przypis edytorski]

i coś minka strasznie niepewna. Słucham... i dolatuje mnie słowo jedno... drugie... Aż we mnie krew zawrzała. Pani wie, czym one pani małą torturowały?

— Nie mam pojęcia. To są dzieci dobrze wychowane...

— Właśnie, można się zachwycać takim wychowaniem! Te błażnice wygadywały ostatnie głupstwa na panią, a dziecko tego wszystkiego słuchało.

— Co? jak?...

— A tak, tak. Wziąłem pannę Pitę na spowiedź i to biedactwo, płacząc, przyznało mi się, że one zawsze zadają jej rozmaite pytania, co do pani, co do domu, co do jej stosunków rodzinnych, i to, w formie bardzo przykrej.

Tuśka wzruszyła ramionami.

— To być nie może — powtórzyła mrużąc oczy — to są doskonale wychowane panienki.

— No, to może pani zmieni zdanie, gdy się pani dowie, że pytały Pitę, czy pani jest z Żydów, bo ma noskę garbatą, dlaczego się pani maluje jak stara aktorka, że wyśmiały się, iż macie trzy pokoje...

Cichutki płacz przerwał mu mowę.

To Pita, piąstkami zakrywając oczy, płakała rzewnie.

Tuśka zwróciła się do córki. Była blada i zgnębiona uczuciem ogromnego wstydu.

— Pito, czy to prawda?

— Tak... proszę mamusi! — wyłkało grzecznie dziecko.

— Dlaczego mi o tym nigdy nie mówiłaś?

Nie było odpowiedzi.

Lecz Porzycki znów zabrał głos.

— To tylko dowód, jak subtelną i śliczną naturę ma ta panienka. Nie chciała pani dotknąć, powtarzając jej słowa tych błażnic. Prawda, panno Pito?

Dziecko płakało cichutko, ocierając teraz oczy maluchną chusteczką, którą wydobycie z kieszonki.

— A potem pani córeczka widocznie nie ma do pani zaufania — podjął znowu aktor — a to źle, należy być szczerą względem mamy, powiedzieć wszystko, każdą myśl, choćby grzech śmiertelny. Prawda? co?...

Zwrócił się wprost do Tuśki i patrzył na nią szeroko rozwartymi, szczerymi bardzo, przejrzyście oczyma.

Tuśka nie odpowiadała nic. Była ciągle zgnębiona i upokorzona. Szczególnie to wyrażenie „maluje się jak stara aktorka” działało na nią w fatalny sposób.

— A teraz — wyrzekł z kurtuazją markiza — pozwól pani, że się przedstawię. Jestem — Porzycki!

Roześmiał się szeroko, błyszcząc prześlicznymi jak perły zębami. Śmiech jego podbijał, chwycił za serce, taki był z głębi i przeświadczenia jego płynący.

To: „Jestem Porzycki!” — zadźwięczało tryumfalną fanfarami. Znać było w tym tonie duszę człowieka, który przywykł rzucać swe nazwisko w tłum, wzniesając uczucia radosne i miłe.

— I... pójdę. Panna Pita się uspokoi, obetrze noskę, bo się zaczerwienił... Co?... aha, już się ktoś przez łezki uśmiecha. Dobrze jest — górą nasi! Śmierć Warchlakowski! *Vendetta!*

Pita mimo woli uśmiechała się wśród łez. On porwał ją za rączki i zaczął z nią menueta.

— Tak... tak... podaj mi rączkę, markizo... *La ci darem la mano...* Nie? no, to nie...

Z nadzwyczaj ujmującym przymileniem ku Tuśce rzucił:

— Niech mamusia dobrodziejka pozwoli córce przyjąć bombonierkę ode mnie!... Mamusiu, nie bądź sroga! Och, jak sroga jest mamusia! Och, jak biedna jest Pitusia!...

I na ustach Tuśki wykwitł błady uśmiech.

— Dziękuję panu, ale moja córeczka cukierków nie je.

— E!... gadanie austriackie. Widziałem, jak u Płonki repetowała ciastka, aż jej się uszka trzęsły. Ale skoro moje nie w ład, to ja z nim nazad... Jak Boga kocham!

I nagle spowaźniawszy popatrzył z uwagą na Pitę.

— Jaka ona blada — wyrzekł z pewnym współczuciem w głosie.

W tej samej chwili zaciemniło się w oknie i ukazała się twarz pani Warchlakowskiej, powracającej z miasta z mnóstwem zakupów w rękach.

— Cóż! idziemy dziś do Kuźnic? — zapytała z fałszywym uśmiechem, lecz na widok stojącego na środku pokoju Porzyckiego uśmiech znikł jej z twarzy, a wystąpił wyraz chłodnej, obrażonej godności.

— Przepraszam... nie wiedziałam, że pani ma gości!

I z majestatem zniknęła postać tej damy z ramy okna, natomiast kaczy cień potoczył się ku willi.

Na werandzie trzy panny Warchlakowskie przyzywały matkę strwożonymi gestami.

Tuśka uczuła, jakby ją ktoś złapał na występku. Obecność aktora u niej, nie usprawiedliwiona zupełnie, mogła rzeczywiście sprowadzić na nią jakieś podejrzenie. Jako istota skryta, miała ten rzut myśli, który w jednej chwili rozjaśnia możliwość konsekwencji tego, co się nagle wykryło. Przeczowała, że Warchlakowska w tej chwili stała się jej wrogiem.

Porzycki tymczasem zajmował się głównie Pitą.

— I cóż? — pytał. — Znów „placem”? No... dość tego. Najlepiej niech panna Pita pójdzie ze mną tam, gdzie budują nową chałupę. Będziemy łazili po belkach, przewracali kozły i lepiej się panna Pita zabawi niż z pannami Warchlakowskimi.

Tuśka z całej propozycji usłyszała głównie „przewracać kozły”. Wydało się jej to nadzwyczaj śmiałe i niesmaczne. Dobrze jej ułożenie wzięło znów nad nią górę.

— Pan daruje — wyrzekła tonem wielkiej damy — ale moja córeczka musi właśnie napisać list do ojca. Chodź, Pito, dopisz się do mego listu...

Aktor ręce rozłożył.

— O, skoro list do papy, to ja nie przeszkadzam. Niech panna Pita pisze... Ojciec pierwszy.

Uklonił się grzecznie, a nawet wytwornie, i bardzo umiejętnie, po scenicznemu wyszedł z pokoju.

Na progu jednak się zatrzymał.

— Ja cukierki przyślę... — rzucił z uporem dziecka.

I z sieni już dodał:

— I coś dla pani mamy!

Za chwilę weszła Obidowska.

W rękach trzymała ową nieszczęsną bombonierkę z pąsową kokardą i olbrzymi, czarujący sноп szafirowych gencjan...

Smutna jej, świeżo spłakana, tragiczna twarz tonęła w szafirze kwiatów. Był to kontrast nadzwyczajny i tak silny, że aż graniczył z Pięknem.

Wyciągnęła cukierki w stronę dziecka, a kwiaty ku matce.

— To dla nich, a to dla nich! — wyrzekła niskim, zmęczonym głosem.

XVI

Wśród nocy rozległ się krzyk.

Jeden, drugi — potem cisza. Potem znów krzyk i walenie pięścią we drzwi, to znów przekleństwo i cisza.

Wreszcie pies wyc zaczął i zawtórowały mu inne psy, a był ich cały chór.

Tuśka i Pita równocześnie porwały się z posłania.

— Czy to do nas? — rzuciła gorączkowo Tuśka, szukając zapalek.

— Nie wiem, mamusiu — odparła Pita.

Błękitna struga księżycowego światła zalewała podłogę, wpływając przez okno. W świetle tym twarzyczka Pity wydawała się tak delikatną i śliczną jak wizja leciuchno w przetrzeń rozwiana.

Wreszcie Tuśka znalazła zapaliki i zapaliła świecę. Uderzenia ponowiły się. Tuśka odziała się pośpiesznie w niebieski, flanelowy szlafrok i zarzuciła na plecy długą pelerynę.

— Ty leż w łóżku — wyrzekła do córki — ja zobaczę.

Miała w sobie odwagę nerwowych istot, które nie mogą czekać na niebezpieczeństwo, lecz idą naprzeciw niego.

Otworzyła drzwi do sieni. Ze świecą w rękę we drzwiach pokoju stał aktor. Widocznie porwał się także ze snu, odziany pośpiesznie, w serdaku narzuconym na ramiona.

— Co to? — spytała Tuśka. — Dom rozbijają?

— Nie wiem, ale to nie do nas. To zdaje mi się do chałupy gazdów. Zresztą zobaczę...

Wyszedł przed sieni, stawiając świecę koło roweru błyszczącego przy ścianie.

Zostawił drzwi otwarte i teraz wycie i naszczekiwanie psów, zmieszane z odgłosem walenia we drzwi, wpadły z całą siłą razem z pędem chłodnego, ostrego powietrza w głąb sieni.

— Ozwieraj!... — pieni się głos męski.

I znów krzyk.

Tuśkę ogarnia strach i ciekawość. Wysuwa się na dwór. Srebrno i błękitno. Cała kaplica! cała baśń czarodziejska zakłęta dokoła. Nic nie zdoła wysławić uroku takiej powodzi, takiej topieli opływającej ziemię. Smreki szafirowe, zda się, zawisły w przestrzeni i pławią się nieruchomo przepojone rozkoszą.

Wrażenie, jakie odnosi Tuśka, jest tak wielkie, że chwilowo zapomina o tych hałasach, które ją z domu wywabiły. Ogarnia wzrokiem srebrną toń i wypływające z niej chaty o szpiczastych, ostrych dachach. Niedaleko stoi smukła postać Porzyckiego i on zdaje się wynurzać z fali srebra. Stoi nieruchomo i patrzy w stronę, skąd dochodzą krzyki.

Tuśka postępuje także parę kroków i znajduje się przy aktorze. Oboje są jeszcze ciepli od snu i mają w sobie to rozmarzenie, jakie się zawsze wynosi z nagłego przebudzenia. I oboje są bardzo ładni w tym błękitnym świetle, z wyrazem niedokończonych snów w oczach...

Do chałupy, w której mieszkają Obidowscy, dobywa się ktoś zacięcie. Ale drzwi zamknięte, okna zawarte i z wewnątrz domostwa ciemno. Zdaje się, ot — mogiła. Ten, który się dobywa, ochrypliwy jest i niepewnie stąpa. Ale bije pięścią, ciupagą, kolanem we drzwi i chrzypi:

— Ozwieraj!...

Dziki wrzask z chałupy zawartej jest jedyną odpowiedzią.

— To Józek wraca do domu! — odzywa się wreszcie Porzycki.

— Ładny powrót!... — dziwi się Tuśka.

Aktor odwraca się ku niej i wesoły śmiech rozjaśnia mu twarz.

— Baba mści się — mówi — za to, że się chłopak zawieruszył w górach. Nie chce go wpuścić do domu.

— Dobrze robi! — wyrokuję Tuśka.

Oczy Porzyckiego powiększają się w dziwaczny sposób.

— Pani także taka niepocziwa? To źle. Najpierwszą zaletą kobiety jest łagodność i wyrozumiałość.

— Nie w tych wypadkach.

— Właśnie, w tych głównie. A... to pani taka zacięta.

Patrzy na nią i śmieje się. Ona mimo woli także się uśmiecha, chociaż całą siłą woli pragnie zachować się serio.

— Ale gdybym ja był mężem pani, tobym panią przerobił...

— Wątpię.

A Józek wali tylko we drzwi i krzyczy „ozwieraj”... a głos jego chrypliwy niesie światło srebrzyste w dal, w dal i rozwiewa mgłę mleczną.

— Niechże pan go uspokoi — zwraca się Tuśka do aktora.

Lecz ten zaczyna się śmiać.

— Nie przeszkadzajmy... niech się spełni przeznaczenie, mówi Maeterlinck...

— Ależ to wstrętne...

— Co? takie temperamentowe wybuchy? Przeciwnie, to ożywia jak dzbanek wody.

Józkowi widocznie sprzykrzyło się bezowocne we drzwi walenie. Tu i owdzie po wilkach zaczynały błyskać światła. U płotów pojawiali się ludzie, słuchali, odchodzili śmiejąc się, wzruszając ramionami.

— Widzi pani, nikogo to nie wzrusza — wyrzekł Porzycki.

— Ale mnie wzrusza. Ja nie lubię scen... to takie niemile.

— E!... pani jest przeczulona!

— Nie, tylko nie jestem do tego przyzwyczajona.

Ostatnie słowa mówiła Tuśka, starając się przybrać ton dość wyniosły. Lecz aktor popatrzył na nią spod zmrużonych powiek i z ulicznikowskim wyrazem twarzy.

W świetle księżycy mimika jego nabierała ogromnej plastyki. Zdawał się twarzą białego pierrotta urągać jej grzecznej poprawności, z którą nagle wyjechała, pragnąc mu za imponować. W tej krótkiej chwili zrozumiała, że nie zaimponuje mu niczym.

Józek tymczasem przestał walić we drzwi i majstrował coś koło nich, przykucnąwszy do ziemi.

Próbował je widocznie podważyć.

Silne były i dobrze zamknięte.

Mocował się z nimi czas jakiś i nagle odskoczył, odsadził się i z całą siłą rzucił się ku oknu. Głowę opuścił i z wściekłością pijaka cisnął się nią o szyby. Cała chałupa, zdawało się, że zatrzęsa się, brzęk szkła tłuczonego przeciął powietrze. Józek ryknął, odskoczył, ponowił napad i przez wybity otwór ręką usadziwszy ramę, szarpnął wyrywając okno. Z wnętrza chałupy odpowiedział mu dziki wrzask. Józek, ze zwinnością kota ścisnąwszy się w kłębek, przez otwór okna wewnątrz chałupy wskoczył...

Tuśkę przeszył zimny dreszcz.

— Jezus Maria! — wybelkotała przerażona.

— Nie wzywaj Boga nadaremno — zaśmiał się Porzycki.

— Jakże... nadaremno... on...

Nie dokończyła.

W chałupie aż się zagotowało.

Pisk dławionego zwierzęcia, charczenie, łomot, walenie ciała o ławy, o ściany — i to wszystko w ciemności, którą siała tajemnicza chałupa, w ostry cień spowita.

Tuśka mimo woli porwała za rękę Porzyckiego.

— Niechże pan idzie — zawołała.

— Tam?

— Tak... on ją zabije.

Aktor zaśmiał się swoim szczerym, serdecznym śmiechem.

— Nie, ale ją zbije.

— No... więc...

— Wielka awantura!

— O!...

— Tak, tak... co mnie wchodzić pomiędzy małżeństwo, a zresztą, widzi pani, już po krzyku.

Z chałupy tryumfalnie, rozwierając szeroko wrota, wyszedł Józek Obidowski i stanął, poprawiając serdak i szukając fajki. Księżyc bił prosto na niego i wydobywał jego męską, posagową piękność z nadzwyczajną siłą. Góral dyszał ciężko, jakby się spracował.

W chałupie była cisza zupełna.

Wreszcie Józek dostrzegł widocznie Tuśkę i Porzyckiego, stojących w topieli księżycy, bo rzucił ku nim w formie uspokojenia:

— Zbiłkę babę, posadziłkę na murku i niek siedzi.

I oparłszy się o żerdź zapalił fajkę.

Porzycki ku Tuśce się zwrócił.

— Widzi pani, jakie to proste. Zbił ją, ona siedzi na murku, on pali fajkę, za chwilę zaczną się godzić i nim słońce znów zaświta, *la commedia è finita*...

— Zawsze, jednak...

— E! proszę pani, w małżeństwie dumy i obrazy nie ma. Co warte małżeństwo, jeśli na *savoir vivre*ch i na pomadkach oparte. Ot, szczerze, po prostu z mostu...

— Bić!...

— Chociażby... aby się później godzić!... Pani nie lubi się godzić? To takie miłe...

Tuśka przygryzła wargi.

— Nie wiem o tym. Ja się z moim mężem nie kłóczę, więc się i nie godzę.

— To pani źle robi. Ja się często umyślnie z kobietą pokłóczę, żeby się z nią przeproszać. Zgniewa się, a ja ją za rękę i wycaluję.

Porwał rękę Tuśki, podniósł do ust i całować zaczął. Ona zadrżała cała i zaczęła mu rękę wyrywać.

— Proszę pana... co to?... Przecież my się nie gniewamy.

— Ale! a o tę bombonierkę?

— Wszak wzięłam.

— Ale przedtem... a potem pani ma atlasową skórę na rękę, to pani wina... Zresztą księżyc świecił... moja złota pani, jeszcze trochę...

I znów grad pocałunków zasypał rękę Tuśki, biegnąc dreszczem dziwnym aż do ramienia, aż do łopatek ledwo odzianych peleryną.

— Zimno mi, niechże pan mnie puści.

Maskowała przed sobą wrażenie, jakie odnosiła z przyłgnięcia jego ust do swej ręki, pozorami dreszczu powstałego z chłodu.

W oddali ciągle jakiś pies wyl przeraźliwie i roztaczał tym jękiem wrażenie przejmującej melancholii.

Światła gasły kolejno — na drodze, całej mlecznej i jakby mgłą pociągniętej, nie było nikogo.

Przed nimi ogromne pole owsa ludziło pozorem rozlanego morza. Za nim wznosiły się góry dziwnie potulne, miękkie, a te dalsze rozwiewne, prawie przejrzyste...

Tuśka uwolniła swą rękę z dłoni aktora. Uczyniła to prawie bez tchu. Zwróciła się ku domowi i szła wolno z głową opuszczoną. Za nią szedł aktor i mówił niskim głosem:

— Czemu pani już idzie do izby? Taki cudny wieczór... Możemy trochę posiedzieć na dworze.

Tuśka w duszy miała ogromną ochotę zostać, ale zdawało się jej, że gdy zostanie, to popęlni coś bardzo złego.

— Nie... nie... nie mogę.

— E!... panie z Warszawy, jesteście śmieszne i dzikie. Co się pani stanie? Rozmarzy się pani trochę, potem będzie pani lepiej spała. Czego się pani boi?

Tuśka wyprostowała się i odparła dumnie:

— Nie boję się, ale mi zimno.

— To ja pani dam swój serdak. Mnie gorąco.

— Cóż znowu? Pan się przeziębi.

Doszli już do domu i stanęli teraz przy drzwiach wejściowych... Każde z nich było oparte o ramę drzwi. Patrzyli tak przed siebie na drogę, na ciemną willę pani Warchla-kowskiej, ale w gruncie rzeczy widzieli się doskonale tym podwójnym wzrokiem, jaki mają zwykle mężczyzna i kobieta, gdy są sam na sam.

— Niech pani będzie odważniejsza — zaczął znów aktor — i z sądami ludzi się nie liczy. To diabła warte! Ja to już dawno wyrzuciłem za płot i dziś cenię tylko kobiety, które mają odwagę swoich postępów. A zresztą tu, na wiledziaturze, świat nie jest tak srogi... Tu wszyscy są na wakacjach małżeńskich, prawda?

Śmiał się, wciągał w płuca zimne, trochę wilgocią przesiąknięte powietrze.

— U nas za kulisami inny świat, inna moralność. Daję pani słowo! Kobiety stanowczo lepiej umieją kochać i są szczerze.

— Aktorki?

— Tak, tak! Ja to mówię z doświadczenia. Lubię się kochać w aktorkach. U nich nie ma ani odrobiny pozy w pożyciu domowym. A wie pani dlaczego? Tak się wygrażą na scenie, że odpoczywają w domu. *A damy z mondu...*

— Z czego?

— Z *mondu*, no! ze świata, takie jak pani, to grają ciągle, a głównie z nami...

— Jak to, i ja?

— Ach! pani — nie, bo przecież nie żyjemy ze sobą, ale gdyby się zaczął między nami romans, zaraz pani by zaczęła...

— Co?... co pan mówi?!!!

— O! o!... tylko wspomniałem o możliwości, a pani już włazi na koturny! Tak, tak, tylko aktorki zostawiają mi przyjemne i dobre wrażenie; to są dobre, miłe, proste kobiety...

Patrzył teraz wprost przed siebie i uśmiechał się, jakby do nadzwyczaj miłych wspomnień.

Tuśka, nie rozumiejąc dlaczego, uczuła się ogromnie dotknięta.

— Czy to z nimi tak pan się często gniewał i przepraszał? — zapytała, siląc się na obojętność.

— O... i jak często! One mają temperament, nie liczą się ze światem i mają coś żywiołowego w sobie, gdy kochają się w nas, aktorach. Klócimy się strasznie, ale i strasznie kochamy... Jedno za drugie zginie, naturalnie na razie.

— I... bijecie się! — szydziła Tuśka.

— Nie. One mnie biły — odparł z prostotą. — Ja nigdy nie uderzyłem żadnej, a to dlatego, że jestem bardzo silny. Gdybym uderzył w pasji, mógłbym zabić. Więc wołałem wszystko w żart obracać.

— Pan... pozwolił się u-de-rzyć?

— Kobiecie? Tak! to bardzo przyjemne. Zawsze wtedy zemściłem się tak, że złapałem i strasznie wycalowałem. A tak!...

Wsadził ręce w kieszenie od spodni i kołyszając się, zapatrzony w dal, mówił jakby do siebie:

— Jestem strasznie erotycznie usposobiony. Od dziecka. To już predestynacja... Wiecznie się muszę w kimś podkochać. Oddaję się spirytyzmowi. Czasem... Otóż duchy powiedziały, że z „chwilą śmierci zaczyna się niewola”. Tak powiedziały duchy. I dalej dodały: „szczęście tylko w miłości”. Więc... ja się kocham i pozwalam, aby mnie kochano... I kocham nie tylko kobiety, ale wszystko. Życie, świat, teatr, publiczność... siebie... moje wady, moje błędy, moją głupotę i ludzką głupotę. I ludzkie zło, i dobro, i tę możliwość kochania... i to, że się wyzwolił z przesądów... Ja wszystko kocham... i tak mi z tym dobrze — i ludziom dobrze, gdy mnie kochają, bo im jakoś weselej i milej...

Umilkł i po chwili dodał:

— Tak mi przynajmniej mówili! Weselej i milej.

Tuśka nie mogła zaprzeczyć.

Tak, bezwarunkowo. Było weselej i milej w zbliżeniu się do tego człowieka. To ogromne, filozoficzne pogodzenie się z życiem i koniecznością egzystencji, to czerpanie całą dłonią tego, co mogło dać zadowolenie i rozwinąć łagodną radość, wchłonięte przez Porzyckiego, zdawało się wypromieniowywać z niego i udzielać się innym. Początkowo mogło działać nawet drażniaco, jak światło słoneczne na źrenice przyzwyczajone do przebywania w ciemności, ale powoli wpływ tego „ciepła” i zgody życiowej łagodził i uspokajał.

— Byłem dwa lata na wydziale prawniczym — mówił znowu aktor — ale rzuciłem to w ką. I strasznie z tego jestem rad.

Odwrócił się ku Tuśce i zapytał jej tryumfująco:

— Pani się dziwi, że ja byłem na prawie?

— Trochę.

— Niby dlaczego? Czy dlatego, że poszedłem do teatru zamiast zostać adwokatem? To nic dziwnego. Ja zawsze lubiłem swobodę. Tak, jestem *lieber Baron*. Źle mi... zabieram manatki, pak i nogi! A jakże! Co mnie wiąże? Cygan jestem... co?...

Był jasny i wesoły ten Cygan w ubraniu cyklisty z ładną falą włosów, w angielskich pończochach i woniejący dobrą kolońską wodą. Złote plomby świeciły mu się chwilami w zębach jak gwiazdeczki.

Tuśka jednak próbowała zaprotestować.

— Och!... swobodny! To się panu zdaje. A potem, czy panu nie żal?...

— Czego? adwokatury?

— No... tak!

— Ależ pani ma ładne pojęcie o sztuce! To dla pani sztuka aktorska to poniżenie? Ładna historia! Co? historia... awantura pośmiertna Adrianny Lecouvreur, której *grześć* nie chciano w poświęconej ziemi?

— Ale nie to, tylko...

— Że wyszedłem z — towarzystwa? Co? Ale ja mam swoje towarzystwo i to mi wystarcza.

— Wierzę.

— Jaka pani złośliwa!... My pomiędzy sobą nie tylko się bawimy, lecz żyjemy — rozumie pani? — *żyjemy* pełnią życia.

— I użycia.

Zastanowił się chwilę nad tym słowem, zbyt śmiałym, które się jej wyrwało w jakimś rozgoryczeniu złośliwym.

— Z pani to musi być numer — wyrzekł wreszcie, a twarz jego przybrała dziwny, lekceważący i ulicznikowski wyraz.

— Dlaczego?

— Bo... e!... wreszcie na to pani „użycie” ja odpowiem pani jednym: Każdy wedle siebie sądzi.

Tuśka uczuła się silnie dotkniętą.

— Dobranoc panu! — wyrzekła wyniośle, zwracając się w głąb sieni.

— O! o!... już się gniewa! — zawołał ze śmiechem. — I czego? I czego?... A cóż za *noli me tangere!*... Ależ, królowo wszechpiękności, ornamencie człowieczeństwa, zostań! Cofam numer, cofam wszystko — tylko zostań...

— Pan daruje...

— Nic nie daruję. Księżyc taki cudny, od chęci gadania aż dławi, a pani idzie.

— Trudno!...

Skrzywił się jak małe dziecko i rzucił płaczliwie:

— No... a z kim ja będę gadał?

Czuła, że gniewać się na niego nie można. Przynajmniej ona już uczuła się rozbrojoną.

— Niech pan spać idzie...

— Ja? szaleństwo! Na spanie jest zima, nie lato i noc księżycowa w Zakopanem! Pięć lat przyjeżdżam do Zakopanego i zawsze każdą noc księżycową markuję.

— Markuje pan?

— No... niby jak Marek w piekle. Tylko zawsze staram się znaleźć jakiś flirt, bo samemu w taką noc!... Pani wie, jak w *Kupcu weneckim*. W taką noc... Kocham się...

Tuśka próbowała się roześmiać.

— Jeżeli pan sądzi, że obecnie ja...

Lecz on jej przerwał wymownym gestem:

— Nie, nie! Pani nie jest podatna do flirtu. Przynajmniej tak sądzę.

— Spodziewam się.

— Och! nie ma z czego być dumną. Kobieta bez kokieterii to jak kwiat bez woni...

— W każdym razie chłodno już — żegnam pana.

Skrzywił się i wzruszył ramionami.

— Pani nie czuje piękności takiej nocy. Szkoda, ale na to, aby czuć, trzeba się podkochać. — I nagle bez namysłu rzekł: — Niech się pani zakocha.

Tęgo już było nadto.

Tuśka cofnęła się w sień.

— Pan się zapomina. Ja mam męża.

— No to niech pani kocha się w mężu... Albo co lepsze... niech pani się we mnie zakocha.

Rzucił to głosem rozbawionym, wesołym i zadziwiał to słowo w srebrze księżycy samo jak ton srebrnej struny z niewidzialnej harfy.

Tuśkę zdławiło coś w gardle, lecz instynktem czuła, iż należy żartować, aby milczeniem nie upoważnić mężczyzny do sądenia, iż propozycję jego bierze na serio.

— Przed chwilą powiedział pan, że nie jestem zdolna nawet do flirtu — wyrzekła trochę drżącym głosem.

— Tak, do flirtu nie, ale do miłości... kto wie!...

Oczy jego pociemniały i stały się tak dziwne, iż Tuśce wydało się, jakby dwa czarne motyle padły mu na źrenice i przyćmiły spojrzenie.

— Ja... już idę — wyrzekła cofając się ku sieni.

Nie zatrzymywał jej.

Nie podał jej ręki, nie powiedział dobranoc — tylko skłonił się, a potem w głąb sieni patrzył.

Gdy otworzyła drzwi i w smudze światła zniknęła, uśmiechnął się, pokręcił głową i na progu chaty usiadł.

Motyle czarne z oczu mu odleciały. Oparł twarz na rękach, łokcie na kolanach i tak siedział nieruchomy, cichy, rozmodlony ku widmom Tatr, które, opłynięte jasnością błękitną, dyszały mgłą srebrną i same zdawały się być jeno z mgły, rozpiętej w przestrzeni.

XVII

Pani Warchlakowska zdawała się czyhać na spotkanie się z Tušką.

Ta ostatnia starannie wymijała swą dawną przyjaciółkę. Natura jej grzeczna i układna wzdrygała się na myśl nieprzyjemnej sceny. Ponadto Tuška bała się czegoś we wzroku pani Warchlakowskiej. Poznanie się i zbliżenie z aktorem nastąpiło niemal wbrew jej woli, a przecież Tuška czuła jakby jakiś niepokój i zdawało się jej, że nie stoi na pewnym gruncie.

Gdy rano po owej księżycowej nocy zbudziła się z długiego, męczącego snu, miała wrażenie, jakby w życiu jej coś się zmieniło.

Pierwsza jej myśl pobiegła w kierunku Porzyckiego. Ogień uderzył jej do skroni. Jakże się to działo? Dlaczego zasnęła, myśląc o nim i o jego swobodnej mowie, o jego pociemniałych nagle źrenicach, i budzi się z tym samym wrażeniem?

Wstała z łóżka powoli, jakby znużona fizycznie. Zaczęła jednak bardzo starannie obmyślać toaletę dzisiejszą. Aby usprawiedliwić się w tej staranności, wyjęła i dla Pity nową sukienkę pąsową z kufra. Krepon purpurowy, ozdobiony szerokim, gipiurkowym, szarym kołnierzem miał stanowić śliczny kontrast z delikatną urodą dziecka. Szare pończoszki i buciki dopełniały stroju. Sama Tuška zaczęła przywdziewać biały pikowy kostium, doskonale skrojony i uciążliwie pomyślany. Pita zarumieniona i rada z możliwości ustrojenia się, ze szczególną dbałością rozczesywała swoje złote, długie włosy. Jakies tchnienie kobiecej, miękkiej staranności o własne piękno aż przepełniało pokój. Tuška, siedząc przed lustrem, zapiekała karby włosów, które zaczesywała według mody na czoło. Troszczyła się o to, iż opaliła się trochę. Postanowiła nie używać więcej irysowego kremu jako podkładu do pudru, aby nie dać więcej sposobności pannom Warchlakowskim nazywania jej „starą aktorzycą”.

Chociaż...

Tylko to słowo „stara” raziło ją teraz, bo to drugie — to „aktorzycą”, nie zdawało się jej znów tak obrażające. Wszak według Porzyckiego te kobiety miały pewną wartość wewnętrzną, bo — jak mówił, były szczerze.

Ręka Tuški z żelazkiem opadła na stół zastępujący toaletkę.

— Szczerze?

Tak. Lecz czym manifestowały tę swoją szczerłość? Czy tym, że oddawały się takiemu Porzyckiemu bez zastrzeżeń, że nie kryły się ze swą miłością, że nie walczyły z poczuciem obowiązku, tylko były... szczerze...

Czy to go w nich tak zachwycalo? Ileż jednak musiał już mieć kochanek ten człowiek! Mówił o nich jak o legionie lub o klombie kwiatów, który niegdyś widział. Dzielił je na dwie kategorie: aktorki i damy z *mondu*. Były dla niego zbiorową masą. Niczym więcej... Jakie to dziwne i straszne.

Pierwszy raz w życiu Tuška tak bezpośrednio zetknęła się z możliwością miłości jakiejś innej niż ta, o której słyszała. Jak karty w pasjansie, tak były podzielone kochanki Porzyckiego. A może i nie kochanki, może flirty...

To znów przecież nie jest tak zdrożne i to utarte, głupie, szablonowe słowo, które brzęczało często koło uszu Tuški, zaczynało obecnie przyoblekać jakieś kształty. Czy wczorajsza jej rozmowa z Porzyckim była właściwie flirtem? Chyba — nie. Wszak on twierdził, że ona do flirtu nie jest zdolna. Ale za to do...

Nie kończy nawet tej myśli.

Spojrzała w lustro.

I zdawało się jej, że teraz na jej oczy padły dwa czarne motyle, tak pociemniały nagle jej źrenice pod wpływem tego słowa.

Zmieszana, odwraca się ku Picie.

Dziecko już ubrane, w czerwonej sukience i popielatych pończochach wygląda jak mak świeżo rozkwitły o szarej łądze, na który padł złoty promień słońca jej włosów.

Czuje, że jest śliczna, i dźwiga z godnością zaszczyt swej śliczności.

— Idź, Pito, na dziedziniec... pospaceruj trochę.

Pita wychodzi natychmiast, szczęśliwa z pozwolenia.

Przy drzwiach się zatrzymuje.

— A proszę mamy — pyta — czy jak ten pan aktor do mnie przemówi, czy ja mogę mu odpowiedzieć?

— Naturalnie! sama grzeczność tego wymaga. Jak może Pita się o to zapytywać?

Dziewczynka przez mgnienie oka ma zdziwioną minkę. Z wrodzoną skrytością hamuje ten odruch i układnie wysuwa się z pokoju. Za chwilę słychać, jak wita się z Porzyckim, który siedział na belkach nowo budowanej chałupy i kozikiem wycinał gwiazdy, poprawiając i stylizując „zdobnictwo ludowe”.

Tuśka zwłóczy z ubraniem się. Wyjść jej z pokoju niesporo. Coraz więcej traci wielką pewność siebie przeciętnej warszawianki. Kładzie i zdejmuje muślinowy krawat, na twarz jej wystąpiły wypieki. Puder nie może ztrzeć tych śladów. Tuśka odnajduje w sobie wrażenie pensjonarki. Jest na siebie zła i gniewna. Wreszcie decyduje się wyjść frontem i usiąść na werandzie. Bierze książkę, robotę i wychodzi. Od razu dostrzega panią Warchlakowską, także w białym, pikowym kostiumie. Obszerna dama wygląda jak tłusta kaczką. Złudzenia dopełniają bardzo żółte buciki na rozstawionych szeroko nogach. Pani Warchlakowska ma kapelusz heliotropowego koloru i pozakręcane, a mocno wytluszczzone esy nad czołem. Czeka widocznie na Tuśkę, bo ujrawszy ją puszcza się pędem w tym kierunku.

— Pani daruje... dwa słowa.

Tuśka wyniośle spogląda spod przymrużonych powiek.

— O co chodzi?

— Zachodzi jakieś nieporozumienie. Panienki moje powiedziały mi, że ten brutal i bezecnik napadł je i zwymyślał. Właśnie chcę iść na skargę do Klimatyki. Ten pan się myli sądząc, że jestem z rzędu tych kobiet, które mają znajomość z aktorami...

— Proszę pani, to...

— Tak... ja i moje córki jesteśmy coś innego i taki pan nie powinien się odważać nawet mówić do nas! Są dla niego inne, odpowiednie damy... Żegnam panią!...

Zakręciła krótką spódnicą. Ukazały się jakieś szydełkowe „tiuliki” dość podejrzaną czystości.

— Wątpię, czy mąż pani będzie bardzo zadowolony — rzuciła na odchodnym.

Tuśka nie zatrzymywała jej. Weszła na werandę i usiadła na swoim krześle. Rada była, iż uniknęła konieczności robienia tej pani wymówek i rozmazywania tego, co jej córki mówiły.

Usiadła na krześle i usiłowała nie patrzeć na willę Warchlakowskiej. Zarazem jednak czuła, że obecnie „weradowanie” zamiast przynosić jej przyjemne uczucia, będzie ją raczej kosztowało dużo przymusu i przykrości.

Lecz postanowiła nie ustąpić. Skoro wrogi obóz nie ustępował, dlaczegoż ona miała właśnie? Wyprostowała się dumnie i przybrała wyraz ironiczny.

Było jej jednak tak, jakby miała za ciasną i niewygodną sznurówkę.

Z werandy naprzeciw strzelały ku niej trzy pary oczu złośliwie i nie bezskutecznie. „Żydówka, stara aktorka” — zdawały się mówić na odległość drogi. Leciały te szkaradzeństwa przez białą wstęgę gościńca, pod rozchwiane smreki, oblane jasnością złotą. I były one ni to żab rechotanie, bo w rechocie żab jest jakaś słodycz szklanej harmoniki, z daleka grającej. Tam nie było nic, tylko brzydactwo natur płaskich, rozlubowanych w dręczeniu istot „grzecznych”...

I to było brzydkie, zwłaszcza w tym słońcu, w tym pięknie, w tym rozleniwieniu letniej rozkoszy, jaką niosą ze sobą łąki szmaragdowe, na których liliowe kwiecie ametystami grają.

Nagle spoza chałupy w podskokach wypadł Porzycki z Pitą. Trzymali się za ręce i pędzili na złamanie karku.

Świr, świr za kominem...

— przyśpiewywał aktor.

Pita zanosila się od śmiechu.

Twarzyczkę miała różową jak malwa przed oknem dziewczyny. Złote włosy wiewały chmurą peli. Była tak śliczna, że aż Tuśka została uderzona jej wdziękiem. Oczy dziecka błyszczały zdrową, szczerą radością.

Świr, świr za kominem...

Lecz Pita dostrzegła matkę.

Natychmiast zwolniła kroku, poprawiła włosy, przybrała minkę dobrze wychowanej panienki.

Lecz niełatwo było zbić z tropu Porzyckiego. Pociągnął dziewczynkę i w susach wpadli jak wicher na werandę.

— Tak pędzi wiatr halny! — zawyrokował aktor, padając na krzesło.

— Co pan robi?... jakże można! — upominała go Tuśka.

— Co? niby, że to ludzie mogą widzieć? No, więc co? Co to komu zaszkodzi? Czy odbierze mu sławę? Czy wpędzi go w gruźlicę? Czy zrujnuje majątkowo? Czy odbierze mu wiarę? Czy... Co? Prawda, panno Pito?...

Dziewczynka już siedziała na krześle, ale oczy jej jeszcze biegały i uśmiechały się do swego przyjaciela.

— Pani ma szampańską córeczkę! — zdecydował Porzycki przypatrując się z przyjemnością Picie.

Tuśka zwróciła się ku córce.

— Pito, jak ty wyglądasz?... Czerwona jak upiór... Czy to ładnie?

— Bardzo ładnie. Świeżo, zdrowo — podchwycił aktor. — Dlaczego pani chce z dziecka zrobić wymoczka? I pani zdałoby się trochę pobiegać i podokazywać. Co!... świr, świr, świr za kominem...

Pita dusiła się ze śmiechu.

— No... już niech pani się rozchmurzy. Panno Pito! buch na szyję mamusi!

Pochwycił Pitę i rzucił ją na kolana Tuśce.

Obie zażenowane usunęły się z grzecznym przeproszeniem.

— Przepraszam mamusię!

— Przepraszam cię, moje dziecko!

Aktor patrzył na nie zdumiony.

— A to co za Wersal? — zawołał z podziwem. — Między matką a córką jakies „przepraszam”! Mamę chwytą się za szyję, raz dwa... całuje w oczy, w nos, w uszy, w ręce... i po krzyku...

Tuśka przygryzła usta.

— Co pan mówi!... co pan mówi!...

— Mówię, co wiem...

Przypatrywał się przez chwilę matce i córce.

— To dziwne! — wyrzekł po chwili.

— Co dziwne?

— Nic. Skoro dobrze wszystko zrozumieć, to pani powiem, co mi się dziwne wydaje. Ale na dziś tylko pani powiem, że ja pani nie zazdroszczę...

— Dlaczego... i czego?

— Że pani jest taką, jaką pani jest. To musi przecież zmęczyć.

Tuśka spojrzała na niego zdziwiona.

— Jakaż ja jestem?...

Aktor głową kiwał.

— Ja już wiem... Pani jest *sztuczna*. A pani mogłaby mieć naturalną, szczerą duszę i naturalne, szczerze rumieńce... Pani woli się różować i być nienaturalną moralnie. Zrozumiała mnie pani?...

Tuśka czuła, że jest dziwnie zgnębiona.

— Proszę pana... — zaczęła.

Lecz on nie dał jej dokończyć.

— Niech się pani nie obraża, bo ja pani prawdę mówię... a za prawdę tylko głupcy się gniewają.

Nagle Pita powstała i dyskretnie usunęła się z werandy.

Porzycki patrzył na nią, jak zaczęła chodzić powoli po ścieżce wijącej się dokoła domu.

— Co za takt w tym dziecku! — powiedział z zachwytem. — Czuje, że nie powinna słyszeć, jak się strofuje matkę, i odeszła.

Tuśka brwi zmarszczyła.

— Jeśli dziecko ma takt, to pan go nie masz. Mówisz mi impertynencje...

— Nie, ja pani mówię prawdę. Ale co za szkoda, że ta dziewczynka jest w pani rękach. Pani ją tak sztucznie tresuje, że formalnie robi się z niej lalka na sprężynach. Gdyby pani raz sama przestała być sztuczną i żyła życiem naturalnym, poznałaby pani, jaka to rozkosz, i swej małej nie bronilaby pani całe życie być... sobą.

Tuśka doznawała wrażenia, jakby ktoś zdzierał z niej powoli otulające ją przed zimnem osłony.

— Ja jestem szczerą — odparła powoli — i dzieci moje są szczerze. Owszem, ja z mężem kładziemy nacisk na to, aby panowała u nas szczerść.

Czuła, że kłamie w tej chwili, i policzki jej rozpały się powoli płomiennym rumieńcem.

Aktor kręcił głową.

— Ja się nigdy nie mylę. Jeżeli jesteście tacy względem siebie szczerzy, to dlaczego dziecko pani nie śmiało rzucić się na szyję i całować jej tak, jak córka matkę całować powinna?

— Pan daruje, ale my nie mamy zwyczaju demonstrowania swych uczuć hałaśliwie na zewnątrz.

Aktor klasnął w ręce.

— No... no... więc... nie kijem, to go pałką. Dowód jeden, że skrywacie swoje przywiązanie, bo przecież musicie się kochać? co?...

— Pan chce mnie uczyć wychowania dzieci?

— Widocznie, że znajduję potrzebę.

— A dużo pan w swoim życiu dzieci wychował?

— Racja fizyka... Nie chowałem, dzięki Bogu, ani jednego.

— No... więc...

— Co? co?... ale sam byłem cudownie, szczerze, doskonale wychowany...

Tyle było dźwięku w jego głosie, jakiś zachwyt, wzruszenie, coś porywającego, że to jak fala ciepła oddziało na Tuśkę.

Spróbowała się jednak ustroić w pancierz ironii.

— No... żeby pan był tak doskonale wychowany — zaczęła, lecz on jej przerwał szybko:

— E! pani sądzi tylko według form zewnętrznych.

Widzi pani, że siedzę w tej chwili z nogami wyciągniętymi, rękoma w kieszeniach od kurtki, że mówię do pani tonem naturalnym i nie dobieram słów. Co? o to pani chodzi?

— !!!

— Ale wie pani, dlaczego mi to pani wszystko wybacza? Dlaczego pani, taka cacana, taka grzeczna i dobrze ułożona, nie każe mi stąd odejść precz? Bo panią pociąga moja szczerść, i to jest właśnie to doskonale w moim wychowaniu. Ja mówię „psiakrew”, gdy chcę tak powiedzieć, ale ja nikomu nie nastąpię na duszę podstępnie. *Dixi!*

Znów patrzył na Pitę i uśmiechał się z lubością do tego krasnego maku na szarej łądźce, na który padał snop złocistych promieni.

Przez dziedziniec przeszła gaździna.

Szła jakoś lekko i milej niż zwykle. Nie wbijała tak nóg w ziemię, nie niosła swej ogromnej postaci rozniewanego aszanta ze wściekłą złością. Choć to nie było święto, odziana była wspanialej niż zwykle. Koszulę miała czystą, która odbijała jeszcze straszniej żółtość jej cery. Nowy serdak, z lilią wyszytą na zgarbionych plecach, żółty był, czarnym barankiem podbity. Włosy czarne, wysmarowane, świeciły z daleka jak atlasowa krymka.

Uroczysta była, zadumana i jakby przez anioły niesiona. Wyszła na dziedzińczyk, podniosła rękę, podpatrzyła na drogę, skąpała się w słońcu i stała tak, patrząc głębią czarnych źrenic na smreki dyszące żarem.

Porzycki natychmiast ją dostrzegł.

— Dzień dobry, gaździno! Gdzie Józek?

— Śpi... — odparła Obidowska.
 I nagle, spotkawszy się ze wzrokiem aktora, roześmiała się szczerze, serdecznie, młodo. Uśmiech ten rozświetlił ją nagle tak, jakby kto wewnątrz jej istoty rozpałił wielką, cudownie płonąca lampę.
 — A cóżecie dziś taka piękna? — rzucił znów ku niej aktor.
 Ona roześmiała się jeszcze milej i bez słowa odpowiedzi cofnęła się w głąb chaty.
 — Co jej się dziś stało? — spytała Tuśka — czy to dla niej jakie święto?...
 — Nie, ale po kłótni nastąpi zgoda i to ją tak wypięknioło. Widzi pani, miałem rację mówiąc, że zakochani powinni się jak najczęściej kłócić...
 Twarz jego przybrała wyraz rozbawionego dziecka.
 — I pani, żeby się częściej kłóciła z mężem, toby nie potrzebowała używać różu...
 — Ja się nie różuję.
 — Bajki, prześwietny sądzie. Mnie na to pani nie weźmie.
 — Ja panu ręczę, że ja się rumienię naturalnie.
 — Tak, gdy się pani rumieni. I to jest śliczne, ale nie wtedy, gdy się pani różuje, a to jest brzydkie. O! teraz pani się rumieni i jest pani prześliczna.
 Rzeczywiście Tuśka oblała się huną. Uszy, szyja, ręce całe różowe były jak jutrzeńka.
 — Niech się pani nie odróżowia — mówił Porzycki. — Tak miło patrzeć na zapłonioną kobietę... Tylko...
 — Tylko co?
 — Tylko dlaczego pani nie ubiera się czarno? To byłoby pani bardzo do twarzy. Jedynie czarno ubrana kobieta mi się podoba. To kontrast z jej wdziękiem i w tym jest ogromnie coś ładnego.
 Tuśka w tej chwili postanowiła sprawić sobie czarną suknię.
 — Mam czarne tualety, tylko mi jeszcze nie nadeszły...
 — Tym lepiej. Niech pani sprowadzi sobie balową tualetę czarną. Pójdziemy na bal do Morskiego Oka.
 — Ja na bale nie chodzę.
 — Tu w Zakopanem się nie liczy. Zresztą te bale, Boże się zmiłuj. Ale właśnie dlatego pójdziemy.
 — Więc po co iść?
 — Będziemy się z innych naśmiewać.
 — A!...
 — A teraz niech pani siedzi cicho, a ja pani coś ładnego przeczytam. Chce pani?
 Wyjął z kieszeni niedużą książkę. Położył ją przed sobą.
 — Rozumie pani dobrze po francusku? Tylko niech pani będzie szczerą. No... rozumie pani?
 — Tak!
 — No, to niech pani słucha. To są *Complaintes* Jules Laforgues'a. On umarł, ale to był najtragiczniejszy ironista na świecie. Błazen odziany w żałobę... Niech pani słucha. I monotownie a kunsztownie rzecz Laforgues'a czytać zaczął.

O drzemiących na stawach liliiach wodnych, zdziwionych, gdy spod nich wypływa Ofelia, rzecz o fortepianach dźwięczących smutnie w oddalonych dzielnicach, gdy wieczorem deszcz siecze i po szybach źle domkniętych okien spływa, rzecz o umarłych, którzy w noc chmurną biegną szybko do swych dawnych domów i kołącą leciuchno do drzwi, a nikt im nie otwiera...

Przeciwnie, drzwi się szczelnie zamykają.

I o dziewczynach anemicznych, białych, w których źrenicach turkusy płowieją, a pierś wysycha i marnieje jak kwiaty różowej azalii, bo o te dziewczęta nie zapyta nikt i wiedną w suterrenach życia, co dzień smutniejsze i cichsze. Cała masa melancholii sunie chmurą dokoła werandy. Tragiczny kłown zmarły szepce swe *Complaintes* i zaćmiewa nimi słońce. Krepeń ducha roztoczył, czarne skrzydła rozpiął. I nie ma nic! nic!

Ani jaśni, ani zieleni, ani zapachu żywicy, ani widma szafirowego gór.

Jest wielki, smutny Ból...

Aktor książkę na bok odłożył.

— Piękne? co?

Tuśka patrzyła na twarz Porzyckiego i chłonęła w siebie zmianę, jaka w niej zaszła.

Był smutny, prawie się postarzał, lecz z tym smutkiem było mu bardzo pięknie.

— Psiakrew... — wyrzekł jakby do siebie — a to człowiekiem targnie taki pan.

Chwilę siedział zaszępioty.

Nagle podniósł głowę, wciągnął w siebie szeroko powietrze, załamał ręce nad czołem i zaczął się śmiać serdecznie.

— Uf!... jak dobrze coś takiego czasem przeczytać. Przez krótką chwilę wrażenie grobu, śmierci, smutku, a potem słońce miłsze i życie droższe, i Pita piękniejsza, i pani jeszcze różowsza...

Śmiał się, oddychał, pławił cały w weselu i w słońcu.

Tuśka mimo woli uczuła się porwaną. I jej słońce wydało się więcej złote, życie miłsze, a twarz aktora bardzo piękna w kontraście z poprzednią smutną i zgnębianą maską.

Roześmiała się także.

Pita, zwabiona tym śmiechem, weszła na werandę.

— Jedźmy gdzie — zaproponował nagle Porzycki — zrobmy jaką wycieczkę.

Tuśce aż serce zabiło, taka ją ogarnęła chęć do owej wycieczki z tym wesołym człowiekiem.

Ale zaprotestowała.

— Nie można. Jestem niezdrowa, a Pita osłabiona...

— Co znowu! Pitę wezmę na barana i tak na Giewont zaniosę.

— Może... później.

— No, to dziś do Kuźnic, na podwieczorek ze mną.

— Nie wiem...

— Co? dlaczego?...

Picie aż się oczy śmiały.

— Z panią Prosiątkiewiczową pani była.

— Bo to kobieta...

— E! sensu nie ma. Kto w Zakopanem na takie rzeczy uważa? Tu panuje mądra swoboda. Cóż za grzech, że pojedziemy wypić kawę i zjeść rogalik? Dobrze... Zresztą nie będę się pytał. Po obiedzie na rowerze polecę, dorożkę sprowadzę i pojedziemy.

— Dobrze, ale ja z Pitą, a pan na rowerze.

— Po co?

— !!!

— Dla konwenansu? Co za obłuda! Czy nie miałem racji w nocy, kiedy mówiłem, że panie z *mondu* nie są szczerze. A zresztą niech i tak będzie. Honor będzie ocalony!

— Pan ciągle szydzi z kobiet ze świata. Widocznie mamy co ochraniać i dlatego chronimy.

Aktor popatrzył na nią spod przymrużonych powiek.

— To niby znaczy, że tamte, *nasze*, nie mają honoru. Mają, mają, i bardzo dużo. Tylko wy chcecie mieć wszystko: i honor, i przyjemność flirtu czy tam czego... Ot co!

— Proszę pana...

Tuśka wskazała na Pitę.

— No... dobrze, dobrze... już nic nie mówię, ale myślę...

Zbliżał się listonosz.

Przez balustradę podał Tuśce gazety, które jej mąż regularnie z Warszawy wysyłał, a Porzyckiemu tęczową, barwną korespondentkę.

Wielka, nieklamana radość ożywiła twarz aktora.

Zaczął czytać kartkę uśmiechnięty, rozpromieniony.

— Dobra nasza! — wykrzyknął, kładąc kartkę na stole.

Tuśka poznała od razu pismo kobiece, to samo, które czerniło się i na poprzedniej kartce.

Z trudem przez stół odcyfrowała:

„Mój najdroższy!...”

Dalej czytać było trudno. Kolory kartki mieniły się i utrudniały rozpoznawanie liter.

Tuśce zrobiło się czegoś przykro. Ta kartka to było wtargnięcie obcej kobiety w ich słoneczne, miłe sam na sam. A potem radość i ten wzrok, którym Porzycki ogarniał kartkę, dowodziły jasno, jak bliską jego serca była ta kobieta.

Tuśka powstała nagle z werandy.

— Chodź, Pito — wyrzekła do córki — gorąco... kurz nieznośny.

— W chacie jeszcze goręcej! — zauważył Porzycki.

— Nie u nas. Mamy firanki. Żegnam pana.

Aktor wstał.

Wziął kartkę. Przyglądał się jej ciągle, mimo to jednak nie zapomniał o popołudniowym spacerze.

— No, a Kuźnice?...

— Trudno... przy tym głowa mnie boli.

— Więc nie pojedziemy?

— Zdaje się, że nie.

XVIII

A jednak — pojechali.

Kiedy po południu aktor przyszedł pod okno i zaczął nudzić, molestować, prosić, przymilać się po dziecinnemu, Tuśka nie miała już siły się oprzeć. Przed sobą jednak starała się, jak mogła, wytłumaczyć.

— Robię to dla Pity. Skoro już nie ma towarzystwa panien Warchlakowskich, musi choć tak się rozerwać.

Tłumaczyła sobie tak owo ustępstwo, nakładając kapelusz. Przed chatą czekała „dorożka”. Dwa chabety zaprzęgnięte do ohydnych pudła obitego welwetem. Wyrostek w serdaku trząskał z bicia i wiązał coś kawałkiem sznurka przy uprzęży.

Tuśka i Pita pod wzrokiem badawczym a przeszywającym rodziny Warchlakowskich wsiadają do dorożki. Porzycki z rowerem stoi obok i rozmawia z wyrostkiem. Mimo woli Tuśka spogląda ku willi. Spotyka ironiczne, złe ślepie. Doznaje wrażenia, jakby ją ktoś uderzył po oczach. Siada do dorożki i woła na wyrostka:

— Jedźmy!

Lecz nic nie zdoła otrząsnąć z flegmy górala. Mota, sznuruje, wiąże powoli swoją wspaniałą uprzęż. Porzycki tymczasem wskakuje na rower.

— Pędzę *en éclairneur*! — woła wywijając czapkę.

Wreszcie jadą.

Drogą do Kuźnic odbywa się formalne *corso*.

Chwilami Tuśce zdaje się, że jest w Alejach Ujazdowskich.

Wypancerzone, wystrojone kobiety, dzieci modnie ubrane siedzą wyprostowane, jak lalki na pokaz, w brudnych dorożkach. Mierzą się wzrokiem, taksują, starają się przeczuć, wyczytać, kim się jest, skąd się przybywa, ile się ma w kieszeni. Żadnej swobody, żadnego szerszego oddechu, ciągła kontrola modnie skrajanej szmaty i modnie ufasonowanej duszy.

Śmieszne naigrawanie się z odpoczynku i wejścia ściślejszego w łączność z przyrodą.

Mężczyźni daleko więcej mają swobody. Odziani sportowo, łączą się chętniej z naturą i żyją z nią w bliższym porozumieniu. Gdzieś tam nieśmiało usiłowanie kobiety. Suknia krótsza, brak gorsetu, kapelusz bez ciężących ozdób. Ale jakby zaleźnione, skradające się, niepewne — jakby ta kobieta wstydziła się, że ma odwagę, że chce wśród tłumu lalek zachować cechę człowieka.

Tuśka i Pita siedzą wyprostowane w swej dorożce, baczne na każde spojrzenie pochlebne, rade, jeśli zatrzyma się na nich dłużej jakiś wzrok, przyjaźnie dla ich urody usposobiony. Nic nie zdoła oddać podniecenia, jakiego doznaje kobieta w takiej właśnie chwili. Nerwy naprężone jak struna, a cała jej istota wewnętrzna tkwi jak w futerałach zbyt ciasnym i z udręczeń złożonym. Lecz podniecenie to, choć męczy, upaja kobietę jak zapach silnych kwiatów. Zna je dziecko folwarczne, gdy włoży na Wielkanoc nową spódnicę i buty, zna je dama z *mondu*, gdy roztoczy dokoła siebie falę inkrustowanych gipiurą irlandzką muślinów na szeleszczącej jak woda morska tafcie. Znają je dziewczynki małe, toczące koła w alejach parku i całe greenwajowakie w swych motylach empirycznych

sukienkach, znają je starszki, gdy wchodzą na bal obwieszone rodzinnymi brylantami, z gronostajami na dekoltowanych ramionach.

Lecz dziś do owego podniecenia Tuśki dołącza się jeszcze inne uczucie. Śledzi wprawdzie wzrok przechodniów, żebrze w duszy o wyraz zachwytu u przejezdnych, ale wybiega myślą ponad chabety góralskie, które wyrostek leniwo pogania — tam, gdzie wśród powozów i dorożek dzwoni leciuchno rower i mknie trochę schyłona postać cyklisty w jasnej, narzuconej na ramiona kurtce.

Tuśce robi to przyjemność, iż ten zgrabny cyklista do niej niejako należy i stanowi jej straż przyboczną. Śledziła go wzrokiem; gdy zjawiał się nagle dziarski, zwinny, zgrabny, manewrując rowerem z wielką sprawnością. Chwilę przyszedł jej na myśl mąż i uśmiechnęła się z pewną melancholią.

— Chciałabym go widzieć na rowerze! — pomyślała z litością.

W takim usposobieniu zajęła z Pitą i Porzyckim stolik na werandzie w Kuźnicach. Aż wrzało tam od paplania i szumu. Ciekawe spojrzenia jak iskierki migotały w powietrzu. Każda przybywająca grupa stanowiła wraz z rogalikami i czekoladą żer dla tych, którzy już ogień przeszedłszy, usadowili się przy swych żłobkach.

Gdy Porzycki przechodził werandę, rozległ się ogólny szmer:

— Porzycki!...

Tuśka odwróciła się zdziwiona.

— Jak pana znają...

— Spodziewam się — wyrzekł aktor wysuwając pierś naprzód. — Od czegoż jestem aktorem?

I szedł pomiędzy stolikami, dumny, tryumfujący, rozdając niedbale uśmiechy pomiędzy wlepione w niego oczy kobiet.

Duma Tuśki doznała niezdrowej podniety. Ta teatralna sława Porzyckiego spadała na grunt dobrze przygotowany. Gdy usiedli, zwróciła się ku aktorowi jakoś poufalej, bliżej, jakby chcąc zaznaczyć wobec patrzących może z zazdrością kobiet, że ów „Porzycki” jest jej oddany.

Porzycki rzeczywiście zajmował się nią bardzo, robił wiele hałasu, zwracał na ich stolik dużą uwagę. Odżyła w nim natura kabotyńca. Wystarczyło małe wzniesienie w formie sceny, trochę publiczności, zaszemrania nazwiska, a aktor zapominał o kontakcie z naturą, z którą wszedł w tak bliskie porozumienie, i stawał się komediantem garnącym ku sobie uwagę widza.

Gdy rzewnie nastrojona „cepculka” z melancholią postawiła przed nimi czekoladę i rogaliki, już na całej werandzie istniał tylko stolik Tuśki, Pity i rowerzysty z jowialną a ładną twarzą świeżo ogolonego imperatora.

Nagle Porzycki przybrał „pozę” i mrugnął na Tuśkę i Pitę.

— Nie ruszajcie się, panie.

— Dlaczego?

— Fotografują nas.

Z jakiegoś dolnego stolika rzeczywiście wzniesiono ku nim lufę fotograficznego aparatu.

Pita była zachwycona. Tuśce także ten epizod przypadł do smaku, lecz zmieszał ją cokolwiek. Dlaczego, nie umiała sobie zdać z tego sprawy.

Co chwila nadjeżdżały nowe dorożki, wysiadały nowe grupy, suknie szeleściły, dzwoniły magazyny breloków zawieszonych u łańcuszków, migotały śliczne bluzeczki, z których niejedna przedstawiała sumę całomiesięcznej pensji urzędnika. Z niedbałą nonszalancją prezentowały kobiety swe stroje i z tą pewnością siebie, jakby te wspaniałe czapraki, w które się przybierały, zdobyły pracą własną i wyłącznie swoją zasługą. Pąsowa sukienka Pity i złote włosy Tuśki, wyzierające spod ślicznego kapelusza, obrzuconego wieńcem cieniowanych róż i motylami koronek, dominowały jednak do tej chwili na owym targowisku próżności. Porzycki powiódł wzrokiem naokoło i zdecydował:

— My jesteśmy najszykowniejsi!...

Lecz nagle szumno i gwarno zajechały dwie dorożki.

Zaczęły z nich wyskakiwać *pêle-mêle* kobiety i mężczyźni z gwarem, szumem, śmiechem. Porzycki aż się uniósł na krześle i zawołał radośnie:

— Nasi!

Szykowne, ogromnie malarskie i całe w liniach kobiety zaczęły wchodzić na estradę. Umiały wchodzić i wlec za sobą ładne i doskonale zrobione suknie. Barwy były umiejętnie dobrane. Nie były w oczy, jednak patrzeć kazały. Szczególnie były piękne fryzury tych kobiet. Jedna, ubrana czarno, miała małą twarzyczkę okoloną puklami włosów, jakby z pastelu pani Lebrun zdjętą. Strój jej, obrzucony pailletkami, nadawał jej postać węzową. Duży kapelusz Lamballe ocieniał niepewną barwę włosów. Ta kobieta nie miała lat. Zdawała się być skamieniałą w pewnym stadium swego życia. Delikatnie upudrowana, patrzyła przed siebie dużymi, ciemnymi oczyma.

Całe towarzystwo przesunęło się obok Tuśki i zajęło miejsce opodal. Idąc, witali wszyscy poufale Porzyckiego ze śmiechem i radością.

Tuśka poznała w niektórych ową „bandę” powracającą z wycieczki. Przypomniła jej się gest, jakim Porzycki obejmował jedną z tych kobiet. Zaczęła błędzić wzrokiem szukając, która to z nich była wówczas ową wybraną. Lecz poznać nie mogła.

I to ją zasmuciło.

Obecnie cała uwaga publiczności zwróciła się na aktorki. One grały tak, jak przed chwilą grał dla „galerii” Porzycki, i obserwowały pilnie i starannie gesty i układy sukien. Aparaty fotograficzne wymierzono ku nim. Porzycki uśmiechał się i widocznie był duszą przy „swoich”. Tuśki róże i Pity purpura zeszły w cień.

Tuśka uczuła żądło zazdrości i przybrała minę zdetronizowanej królowej.

— Chodźmy już... — rzuciła przez zęby.

Porzycki spojrział na nią zdziwiony.

— Dlaczego?

— Bo nudno tu.

— Co znowu! Teraz właśnie zaczynają się zjeżdżać wszyscy.

— Och!... wszyscy!

— No tak. Teraz dopiero *nasi* przyjechali. Widzi pani? Ta w lila to pani Zajączkowska, a ta w białym to Orsetti, a ta...

— A ta w czarnym?...

— O! to nasza kochana Sznapsia.

— Jak? co?...

— Nazywa się Szapkiewicz, więc ją tak nazywamy.

— A dlaczego?... kochana?

— Bo to najlepsza istota pod słońcem, miła, dobra, pocziwa... o! niech pani patrzy, jak ona się do mnie śmieje.

— Rzeczywiście. Lecz jeśli to ma być dowód pocziwości...

— Niech pani da pokój. My ją bardzo kochamy.

— I pan... także?

— Naturalnie. Żeśmy z sobą zerwali, nie idzie za tym, ażebyśmy się mieli nienawidzić. U nas w teatrze inaczej niż na świecie. Kochamy się, rozchodzimy, ale pozostajemy przyjaciółmi. Czy nie lepiej?

— Nie wiem.

Tuśka zaczęła pić wodę i przygryzać usta, co było u niej znakiem szczególnego zdernerwowania. Widziała, że Sznapsia patrzy na nią uważnie i kilkakrotnie oczy ich już się spotkały.

Rzecz dziwna jednak, że Tuśka we wzroku aktorki wyczytała, oprócz pewnej dozy ciekawości, jakby litość i ubolewanie.

Zaczęło ją to wszystko drażnić w niewypowiedziany sposób. Zmieniła się, zbladła. Czuli się chorą, przebiegały ją nerwowe dreszcze. Słyszała turkot odjeżdżających dorożek. Widziała, jak opróżniały się powoli stoliki. Słyszała głos Porzyckiego, który zaczął opowiadać serię zakulisowych anegdotek. Lecz ponad wszystko górowało w niej uczucie odczucia smutku i pewnej litości, jakie promieniały ku niej we wzroku siedzącej naprzeciw niej aktorki.

Kilkakrotnie chciała zirytowana odezwać się do Porzyckiego: Czego chce ode mnie ta wasza Sznapsia? — lecz głos wiązał jej w gardle.

Bo ona bezwiednie czuła, czego chce od niej tamta, która może niedawno, może dni temu kilka „zerwała” po przyjacielsku z tym rozgadany i ładnym aktorem.

Tamte ciemne oczy spod kapelusza Lamballe mówiły — och! ile — cały może dramat umiejętnie ukryty i przyjaźnie upudrowany...

Tuśka to instynktem kobiety czuła i milkła, ziębła, bladła, jakby powiał na nią chłodny, północny wicher, o smutnym, przeciągłym jęku.

XIX

Pita zasnęła, lecz Tuśka, ubrana ciągle w swój biały kostium, snuje się po izbach. Ustawia drobiazgi, bez potrzeby przegląda suknie w szafie, spogląda niekiedy w lustro. W niepewnym świetle dwóch świec widzi swą twarz jakąś zmienioną, niespokojną, powleczoneą mgłą.

Zda jej się, że ma gorączkę i drzemie. Oczywiście zimno jej. A przecież nie zamyka okna. Przez firankę bije srebrnymi snopkami pęk księżycowych promieni.

Tuśka czuje, że tam, poza oknem, jest srebro, mgła, czar...

Stanęła i w czar ten daleki patrzy.

Patrzy i myśli, że tam, na Wareckiej, przed srebrem księżycza zasłania się wszystko szczelnie jak przed mikrobami, które wedrzeć się w zdrowy organizm mogą. Zasłania się rolety w dziecinnym pokoju, okno zawiesza się jeszcze pledem. Żebrowski mówi, iż księżyc mu spać nie daje, a on biedny musi się przed biurem wyspać. Potem ten księżyc, który zawisa nad dachami ociekłymi deszczem i pyłem węgla, jest inny, nieprzyjacielski, zimny, jakby z musu zjawiający się o oznaczonej porze. Światło jego nie otula, nie przenika słodyczą niewymowną, lecz jest natrętne, wrogie, zbytczne.

I dlatego się przed nim okna tak szczelnie zasłania, dlatego tak się dusze od niego chroni...

To myśli Tuśka i w okno nie zasłonięte patrzy. Jakiś cień miga.

— Pani jeszcze nie śpi?

Porzycki odsuwa bez ceremonii firankę.

W narzuconym na ramiona serdaku stoi w obramowaniu okna.

— Niech pani wyjdzie przed dom... tak ślicznie, porozmawiamy trochę.

— Chłodno jest.

— Niech się pani czym otuli.

Aż ciągnie ją w ten czar i do tej rozmowy. Lecz zarazem tak, jak ten, który czuje, iż nenufar nęcący go rośnie na błotnej głębinie, Tuśka zbiera siłę woli i opiera się pokusie.

— Nie. Dzisiaj nie! Wolę pozostać w domu.

Mówi to głosem słodkim, tak jakby lękała się, że on odejdzie.

Lecz on nie odchodzi, stoi ciągle w oknie.

— Szkoda! — mówi — sądziłem, że pani pójdzie się przejść. Nasi proponowali mi dziś spacer nocny, daleki...

— To niech pan idzie.

— Może pójdę.

Opiera się jednak o ramę okna i nie odchodzi.

— Pani nie umie żyć! — mówi patrząc na nią uważnie.

— Ja? Ależ ja żyję tak, jak wszyscy w moim położeniu.

— Otóż to, otóż to — jak wszyscy. A każdy człowiek powinien przefasonować sobie życie do swojej indywidualności. W tym cała filozofia.

— Ja muszę się stosować do raz przyjętych zobowiązań.

— A w czymże im pani uchybi, jeśli pani choć trochę przestanie więzić i krępować siebie?

— O!... tak się panu zdaje.

Zbliża się ku niemu, jakby zwabiona czarem jego głosu. Stanęła prawie przed samym oknem. Światło poza nią uwydatnia linie jej ciała. Włosy złote prześwietlają aureolą. Twarz jej tonie w cieniu. On głowę przechyla, patrzy na nią i uśmiecha się przyjaźnie.

— Pani jest ładna — mówi z przekonaniem.

— O!...

— Tak. Ładna, tylko nieszczera. I to wszystko psuje. Ja z pani muszę zrobić szczerą kobietę... Pst!... proszę nic nie mówić. Ani się pani nie opatrzy, jak się pani przerobi. I mąż pani będzie mi wdzięczny.

To słowo „mąż” pada po raz pierwszy w ich rozmowie. Jest to naturalne, że mówią o nim, a przecież Tuškę jakby to uraża. Nie rozumie, dlaczego.

— To musi być dobry człowiek! — dorzuca Porzycki.

Tuška chce odpowiedzieć „bardzo”, ale znów jakieś nieokreślone uczucie więzi jej słowa.

— Ma pani jego fotografię?

— Mam.

— I chłopców?

— Mam.

— Niech pani pokaże.

Tuška zbliża się wolno do stołu, szuka w teczce fotografii męża i dwóch chłopców w szablonowych pozach, lecz ogarnia ją pewne uczucie wstydu.

Żebrowski na tej fotografii wygląda mizernie, nędznie jak suchotnik i jak kancelista. To nie jest ten „mąż”, który mógłby zaimponować i ją samą w dobrym świetle postawić. Natomiast fotografie chłopców są bardzo *correct*. Mają miny poważne, szczególnie starszy, w mundurku; młodszy jeszcze zdejmowany w Van Dyckowskim guście, to jest w aksamitach i koronkowym kołnierzu. To można zaprezentować. Bierze fotografie synów i wręcza je Porzyckiemu. Ten wsuwa się prawie w okno. Przygląda się chłopakom uważnie.

— Ładne dzieci, ale strasznie marmurkowane.

— Jakie?

— No... marmurkowane! Pani nie wie, co to są bracia marmurki?

— Nie.

— To mniejsza, bo i ja nie wiem. Ale synowie pani to tacy bracia marmurki... Do kogo podobni? Do pani? może do męża? A gdzie fotografia męża?

— Nie wiem... gdzie była...

— A to nieładnie! Powinna stać na stoliku razem z dziećmi. Tak zawsze panie robią na wiledziaturze...

Śmiać się zaczął.

Tuška odebrała mu z rąk fotografię chłopców.

— Widzi pan, że mam rację nie stawiając fotografii na pokaz. Śmiały się pan i ze mnie.

— Nie. Z pani nie mam prawa.

— A z tamtych?

Zmierzyli się oczami.

— Może... — wybąknął mężczyzna.

Tuškę przeszył dreszcz.

— Szkoda, że one tego nie słyszą — wymówiła gorzko, wkładając fotografię do teczki.

Twarz Porzyckiego zmieniła się, jakby pod uczuciem wstydu.

— Ja... przecież... nie wymieniam nazwisk!

— No, tego by brakowało.

Tuška czuła w tej chwili jakąś swoją wyższość, niedościgłość i zdała się sobie ogromnie dumna a łaskawa.

— Biedne kobiety! — wyrzekła kiwając głową.

Lecz i on już odzyskiwał pewność siebie.

— O! o!... biedne! ofiary!... co znowu! Żadna z nich tragicznie tego wszystkiego nie brała. Czasem popłakały, ale zapudrowały noski i były jeszcze ładniejsze.

Tuške przed oczyma nagle przewinęły się źrenice czarno ubranej kobiety, która tam, przed werandą kuźnicką, patrzyła na nią spod ronda kapelusza z jakimś smutkiem i litością.

— I pan myśli, że one wszystkie zapomniały?

— Naturalnie!

— A... Sznapsia?

To imię wyrwało się nagle i padło trochę ciężko, jak ptak o zwichniętym skrzydle pada nagle na ściernisko.

— Sznapsia?

— No... tak... ta w czerni... aktorka.

— Ależ Sznapsia to *nasza*, to co innego.
— Przepraszam, to także kobieta.
— Naturalnie! I jaka!... Ale ona się nie liczy. To nie był flirt.
— Więc... ona... nie zapomniała?
— Naturalnie, że nie. Jakże pani chce? Wspólna bieda, prowincja. Gotowała sama na maszynie naftowej. Często nie było co. Zimno! Za kulisami mróz. Ona zawsze dobra, wierna...

— A pan?

— Ja?... było różnie. Ale przeważnie byłem jej wierny...

Oczy aktora przybrały pewien wyraz rozmarzenia. Nie były to czarne motyle, które padały mu chwilami na oczy, przeciwnie, źrenice jego jaśniały, widziały coś w oddali.

— A przecież pan przestał ją kochać... — wyszeptła Tuśka.

— Cóż, miało być na całe życie? — odrzucił już weselej Porzycki. — Cały sezon trwało, aż wreszcie ona dostała *engagement* gdzie indziej, ja gdzie indziej i skończyło się. Wiadomo... sezonówka...

— Co takiego?

— No, sezonówka, sezonowa miłość... U nas w teatrze liczą się miłości na sezony... teatralne. Mówi się: kochali się pół sezonu, cały sezon, to takie żniwo dla sezonowej miłości...

— !!!

— Och! jakie pani robi oczy! Pani w to nie wierzy? Dokoła aż się roi w taką księżycową noc od flirtów... A to wszystko *sans conséquences... pour passer le temps* — oktawę. Fortepian otwarty, artysta z nałogu rzuca jeden pasaż. *La chose est faite!*... Widzi pani. Z kurtuazją, galanterią... *Voilà!*

Był znów zupełnie pewny siebie, wesoły, rozbawiony.

Ławeczka stała pod oknem.

Osunął się na nią i bardzo wdzięcznie i miło na rękach twarz swoją o krawędź okna oparł.

Tuśka stała wciąż przy stole, oszołomiona, ogłuszona jego werwą, jego pustotą.

Od pewnego czasu w Warszawie zapanowała karawaniarska atmosfera, przemieniająca poprzednie wersalskie flirty w upiorne, fatalne, tragiczne konflikty. Tuśka asystowała z daleka tej przemianie i jak poprzednio przetrawiała „flirt” jedynie w wyobraźni, tak zawsze teraz „rozwiane” i „rozpienione”, „poskłębiane” piekła namiętności pozostawały dla niej jedynie w krainie dźwięku i sceny lub *faits divers* zanotowanych pośpiesznie w wiadomościach dziennikarskich. Nie miała jednak nigdy wielkiego pociągu do owych farandoli śmiertelnych. Czuła w nich jakby pozę, jakby ktoś zmuszał się do gry zbyt męczącej. A choć właśnie była sztuczną i nienaturalną, lecz tylko w drobiazgach chętnie zadawała sobie ten przymus. W wielkim jakimś fakcie życiowym nie miała po prostu pojęcia, czy zdobyłaby się na „pozę”.

Ciągnęło ją jednak chętniej ku łatwym i wesołym flirtom. Było w nich więcej pudrowanej grzeczności i powierzchownego sentymentu.

Czytała z przyjemnością książki traktujące zapalczywie o tym sporcie i śledziła często, czy to na spacerze, czy w salach widowisk flirtujące pary. Sama nie zawiązała nigdy podobnej nitki. Sposób ich życia od pierwszej chwili ukształtował się lodowo i atmosfera ta przyłgnęła do jej gestów i zachowania się całego. Tym odstręczała zawodowych flirtowców. Za mało miała inteligencji, aby natrafić i rozgrzać coś niezwykłego. I tak pozostała w roli widza, śledzącego z daleka wypadki miłosnej areny. Niemniej przecież z trwogą odwracała się od hufca „rozpienionych i splątanych w wyjące sarabandy” krzykaczy miłosnych. Flirt był łagodniejszy, przystęp lżejszy dla niej i nie tak skomplikowany. Stąd Porzycki i jego manewry przynoszące pewne rozflirtowanie zaczynały trafiać na dobry grunt.

Tuśka wkraczała powoli na arenę.

Nieśmiało, cicho, wbrew woli.

A przecież...

Na ławeczce siedział tak naprzeciw niej, czarne oczy jego śledziły ją bacznie i zarazem owijały jakby ciepłą, miękką tkaniną.

I nagle rzucił ku niej cichym, miłym głosem:

— No... kiedy się pani we mnie zakocha?
Aż ją ścisnęło za gardło; czuła, że powinna rozgniewać się, kazać mu iść precz, lecz już nie mogła.

Wolała obrócić to w żart.

— Sezonową miłością? — zapytała.

— Naturalnie. Przecież nie wymagałbym od pani nic więcej... Ot... jakby trochę kwiatów... A zresztą...

— Co zresztą...

— To samo przyjdzie!

— Co?

— To, że się pani we mnie zakocha.

Uczuła się dotknięta.

— A ja panu mówię, że nie przyjdzie!

Głos jej aż drżał, gdy to mówiła.

Porzycki uśmiechnął się wdzięcznie.

— Założmy się.

— Pan jest cynikiem.

— Dlatego, że chcę, ażeby pani wyszła trochę z tych modnych form, z tej sztywności nieznośnej i żeby pani była więcej... kobietą?

— Pan nazywa poczucie obowiązków w kobiecie zanikaniem kobiecości!

Czarne oczy aktora rozszerzyły się od zdumienia.

— A któż każe pani zapominać o obowiązkach? Ja? Niech mnie Bóg broni. Nie mam na sumieniu ani jednej mężatki, która by przeze mnie porzuciła swe stanowisko matki i żony. — Pani zaraz dosiada tragicznego rumaka i pędzi ku... przepaściom! No... czyż nie mam racji, że pani jest pozująca i nieszczerza?

Tuśka nie odpowiedziała nic. Czuła, iż zaczyna obracać się w jakimś błędnym kole, że ten czar lekkomyślny i dziwny, jaki Porzycki roztacza naokoło, nie dozwoli jej zdać sobie trzeźwo sprawy z sytuacji, w jakiej staną oboje naprzeciw siebie. Ogarnia ją trochę lęku, lecz ufa swoim siłom. Tyle lat przeszła bez zboczenia z prawej drogi, dlaczegoż teraz miało stać się z nią to straszne zło?

Może Porzycki ma rację.

Może nie należy brać tak tragicznie jakiejś drobnostki, która w gruncie rzeczy nie przynosi nikomu krzywdy, a jej pozwoli przyjemnie porozmawiać i spędzić parę tygodni weselej, niż w towarzystwie z panią Warchlakowską.

Patrzy na Porzyckiego i stara się wmówić w siebie, że ten czar bijący od niego z taką siłą, to tylko miły przyjacielski wdźwięk.

A to, co on mówi, to są słowa bez znaczenia.

Ależ tak, tylko słowa!

Porzycki wyciąga ku niej rękę.

— Gniewam się?

— Co znowu?...

— No... dzięki Bogu! Bo mi pani z tą swoją pruderią zaczynała coś prowincję przypominać. Nie mogłem się w pani jakoś doszukać warszawianki... No, proszę dać łapkę na zgodę!...

Z pewnym wysiłkiem, ale udając swobodę, zbliża się Tuśka i podaje mu rękę.

— Na zgodę!

Sądzi, że będzie to tylko uściśnienie ręki, ale aktor ujmuje jej rękę, całuje długo każdy palec z osobna i zaczyna się przyglądać paznokciom.

— Cacane pazurki! — mówi dziecinnym głosem.

Tuśka chce mu wycofać rękę. Ogarnia ją jednak słodkie rozmarzenie. On z taką naturalnością całuje w dalszym ciągu jej rękę, bez żadnego zmieszania, bez miłosnych spojrzeń, że i ona się powoli uspokaja. Pozostawia tak rękę w jego dłoni, a on, jakby rozzuchwalony, głaszcze swoją twarz jej ręką.

— Co pan robi?

— Popieścić!... — mówi z przymileniem. — On taki biedny! Nikt go tak dawno nie pieścił.

Tuśka gwałtem chce wyrwać mu teraz swą rękę.

— Proszę... niech pan puści!...

Ale on wygodnie ulokował swój policzek na jej dłoni i przymknął oczy.

— Nic nie ma miłszego jak taka śliczna, dobra, pocziwa kobieca ręka!... — mówi głosem jakby sennego dziecka.

I milczy, siedzi tak cicho, przytulony do jej ręki, z oczyma zamkniętymi, zmęczony, jakiś nagle postarzały.

Wypoczywa.

Tak mu z tym dobrze, takie to widocznie dla niego naturalne, nie karygodne, proste, że Tuśka po prostu nie śmie wpaść w tę prostotę ze swą obrażoną godnością. On jej nawet ułatwia sytuację.

— Pani ma dobrą i przyjacielską rękę.

— Otóż to.

Padł wyraz, który jej podaje deskę ratunku.

Przyjaźń.

Tak. Pomiędzy nim a nią zawiązuje się... przyjaźń. Nic więcej. Tuśka chwyta się tej szablonowej deski z zapalem każdej kobiety brnącej w błotko w kaloszach koniecznej cnotliwości. Ma jednak tyle taktu i sprytu, że nie wymawia tego wytartego jak liczman słowa, lecz pozostawia je w głębi swej duszy. Boi się odegrać roli niemodnej romantyczki, ofiarowując mężczyźnie... przyjaźń, lecz postanawia sama przed sobą, iż tak uczyni — nie inaczej.

W program tej przyjaźni może przecież wejść przyjazność ręki, na której spoczywa gładki jak atlas, świeżo ogolony policzek artysty. Skoro to jest uczucie przyjaźni... nic w tym nie ma zdroźnego.

I wewnętrzne usposobienie Tuśki, stygnące i prawie spokojne, dodaje jej otuchy, iż to, co postanowiła, jest wykonalne.

Wprawdzie... podobno przyjaźń mężczyzny i kobiety nie istnieje, ale ona właśnie dowiedzie, iż tak być może.

Zresztą, ten człowiek musi być od niej młodszy. Kto wie — może znacznie. Patrzy na niego w świetle mizernym świecy i nie umie rozpoznać jego wieku, a może przekroczył trzydziestkę...

Ta jego wesołość, dziecięcy chwilami uśmiech, wybryki chłopaka, to wszystko jeszcze młode, bardzo młode.

Natomiast pewne charakterystyczne bruzdy koło nosa, wychudzenie szyi poza uszami pomimo silnego karku, rzadkość włosów, to już oznaki wędnięcia.

A więc?

Tuśce to już obojętne.

Choć wolałaby, żeby on był człowiekiem dojrzałym. Przyjaźń zawiązywać z dzieckiem to śmieszne i niemożliwe...

W każdym razie furtkę do wyjścia z sytuacji znalazła.

I zaraz mówi tonem życzliwym, przyjacielskim.

— Niech no pan idzie spać... Pan senny!

— Kiedy mi tak dobrze!

— Ale to nie ma sensu. Pan się przezięb. Nie można rozsytać się na powietrzu.

— Albo to prawda... Właśnie w Zakopanem każą spać przy otwartych oknach... Ja tak śpię zawsze.

Chwileczka milczenia, a potem znów senny, miły głos.

— Pani mnie lubi?

— Lubię.

— Bardzo?... Bo jak nie bardzo... to ja pójdę na jakie Liliowe albo Pomarańczowe i prasnę się łbem na dół...

— Ależ lubię pana bardzo, tylko gdy pan posłuszny.

Podniósł głowę, spojrzął na nią zamglonymi oczyma.

— O!... pani tak do mnie mówi jak moja mama. I... wie pani co... albo nic...

Tuśkę niemile dotknęło to macierzyńskie porównanie.

— Pan ma mamę?

— Spodziewam się!

Ożywił się nagle, otrząsnął, porwał się na nogi.

— Idę spać! — zawyrokował.
 — Dobranoc!
 — Dobranoc!
 Zawrócił się z drogi.
 — Nie ma pani co słodkiego? Tak przywykłem, że mi matka zawsze coś słodkiego przygotowuje przed zaśnięciem. Jak się roli uczyć, to jem i czas mi się nie dłuży.
 — I owszem, są pana cukierki.
 Podała mu sławną bombonierkę z czerwoną kokardą. Zdawał się jednak jej nie poznawać.
 Znów sen go ogarniał. Nadstawił po dziecinnemu usta.
 — Wybrać samej...
 Podała mu do ust cukierki. Ugryzł ją nagle w palec, roześmiał się, otworzył szeroko oczy i wionął połamami serdaka.
 — A co? nabrałem panią! Wcale mi się spać nie chce. Idę na rozdobędę.
 — Na co?
 — Na rozdobędę! Dogonię swoich. Pójdziemy piechotą na Czerlę. Bajeczny widok! Wróć rano.
 Miał minę Cygana i nic nie zdoła określić tego tonu, jakim mówił „idę do swoich”.
 Tuśce zrobiło się nad wyraz przykro.
 A więc nie zdołała go na tyle zająć, aby zapomnieć o tych swoich, którzy wydawali jej się coraz nienawistniejsi, coraz więcej ohydni i zagadkowi.
 — Położyłby się pan spać spokojnie — wyrzekła białym, bezdźwięcznym głosem.
 Zmiana jej głosu była tak widoczna, iż on dość subtelnie odczuwał, że Tuśka doznaje w tej chwili przykrości.
 Zbliżył się do okna.
 — Nie chce pani, ażebym szedł w góry?...
 Patrzył na nią przenikliwie. Coś jakby uśmiech leciuchny przesunął mu się pod skórą. Tuśka cała splonęła, doznając wrażenia, że ktoś po prostu rozbiera ją wzrokiem.
 — Cóż znowu?... — rzekła, siłąc się na spokój. — Skąd panu to przyszło do głowy? Powiedziałam to jedynie z życzliwości dla pana, bo zdawało mi się, że pan rujnuje sobie zdrowie takim życiem...
 — Co pani nazywa: *takie* życie?
 Nie chciała mu powiedzieć, co wyobraża sobie pod tymi włóczęgami nocnymi w zaułkach drzemiących gór, w morzu kosodrzewiny, w czarnej, świątynnej ciemni smreków. Ogarnął ją wstyd. Przed jej oczyma mignęło rozłożone ognisko, butelki wypróżnione, śpiewy dwuznaczne i gesty nie hamowane. Lecz tego wszystkiego ona przecież jemu powiedzieć nie mogła.
 Milczała, pamiętna poprzedniej z nim rozmowy.
 — Niech pani będzie pewna — wyrzekł — iż ja wiem, gdzie jest granica zmarnowania się, i na niej, jak juhas na krawędzi skały, zatrzymam się w tempie! Pani nas, młodych, jeszcze nie zna. My umiemy się bawić, ale... w miarę. Te bohemie rozwichrzone to mity... klechdy... bajdy...
 — Och! proszę pana... cóż mnie to właściwie obchodzi?
 — Widocznie panią obchodzi, skoro pani nie chce, żebym ze swoimi na Czerlę spacerował. Ja nie umiem obejść się bez towarzystwa, a właściwie bez kobiecego towarzystwa. Poza tym jestem *solid*, jak c. k. urzędnik wzdychający do złotego kołnierza. *Voilà!*
 Tuśce jakoś zepsuło to ów rozwichrzony obraz żywiołowca, jaki się już przed nią zarysował i z którym się pogodziła.
 — Nie bardzo temu wierzę! — wyrzekła z uśmiechem.
 — Jak pani chce. Ale skoro pani mnie pozbawia towarzystwa innych kobiet, to niech pani idzie ze mną.
 — Dokąd? Na Czerlę?
 — Niech Bóg broní. Ale pojutrze na przykład do Morskiego.
 Aż jej serce zabiło, tak jej się uśmiechała ta wycieczka.
 — Nie — odparła smutnie — to niemożliwe.
 — Dlaczego?
 — Boże mój... nie wiem... ale to niemożliwe.

— Niby przez przyzwoitość?

— Może!

Aż w ręce klasnął.

— No, wiecie, to już przekracza imaginację. Ależ będzie Pita, a chce pani, to przedstawię pani jakiego wzorowego kolegę, on pójdzie z nami jako *przyzwoitka*.

— Ależ to będzie jeszcze gorzej. Dwóch panów i ja...

— I tak źle, i tak niedobrze. Co za prowincja! A ja muszę być w tym roku przy Morskim. Tak czy tak, pojedę...

— To już rzecz pana.

— Jaka pani niedobra. Ale ja lepszy, nie pójdę na Czerłę, skoro to pani przykrość sprawa... Dobranoc!... idę lulu... Pa... lulu, pa!...

Ręką od ust się jej pokłonił, a potem nagle złożył jej śliczny menuetowy ukłon.

— *Bonne nuit, marquise!*

Cofając się znikł w sieni.

Posłyszała, jak cichutko przeszedł się, wszedł do swego pokoju i drzwi zamknął.

Ogarnęła ją wielkie uczucie wdzięczności i spokoju.

Zamknęła okno, spuściła storę i weszła do pokoju, w którym spała Pita.

Dziewczynka leżała z otwartymi oczyma.

Widoczne było, iż pośpiesznie rzuciła się na poduszki. Musiała siedzieć w łóżeczku i starać się posłyszeć, o czym rozmawia matka z ich nowym przyjacielem. Tuśka w pierwszej chwili chciała rozgniewać się na córkę za to, że nie śpi, lecz jakiś wstyd ją ogarnął, pewne zmieszanie wobec pytających oczu dziewczynki, zwróconych na jej twarz splonioną.

Odwróciła się szybko, udała, iż nie dostrzega czuwania dziecka. Wzięła w rękę notatkę, usiadła na łóżku i zaczęła machinalnie obliczać wydatki.

Lecz myśl jej błędziła gdzie indziej...

XX

Czarna toaleta Tuśki pożarła okazałą sumkę, choć była bardzo skromna i z taniego materiału zrobiona. Czarny batyst w czarne grochy połyskujące prezentował się jednak nieźle i rzeczywiście Tuśka, wracając od „miary”, była zadowolona. Tylko ten budżet...

— Więc co? Napiszę do męża, niech przyśle. Rzeczywiście bez czarnej sukni nie mogę się obejść. Przyda mi się... To nie jest zmarnowane.

Tłumaczy się tak przed sobą idąc drogą ku Skibówkom. Zostawiła Pitę pod opieką Porzyckiego. Mieli siedzieć na werandzie i Porzycki miał Picie dawać lekcje rysunku. Okazało się bowiem, że aktor i ten talent posiada. Narysował bardzo elegancko i miło profil Pity i spoza niego wysuwający się profil Tuśki. Na bładobłękitnym, a raczej lawendowym, tle masy złotych włosów, szeroko otwarte lawendowe oczy, noski zadarte z garbkami niewielkimi i usta z wierzchnią wargą cokolwiek wysuniętą... A nade wszystko te podbródki okrągłe, śliczne, u matki pełny i jakby nasycony, u dziecka delikatny i jakby nieśmiały. W liniach jednak podobne i jednakowe, tylko w wyrazie różne i stanowiące dwa osobne światy.

Pod tymi dwoma profilami Porzycki podpisał:

Tuśka i Pita.

Dziecko, kobieta

Poemat i dramat.

*Beatus qui amat*¹⁴

Tuśka postanowiła w duszy zatrzeć przed przyjazdem do Warszawy ten napis. Obecnie jednak pozostawiła go tak, jak był.

Idąc drogą, pod osłoną białej parasolki, wpatrzona w biel swych bucików, Tuśka myśli ciągle o Porzyckim. Po prostu myśleć o czym innym nie może. Tłumaczy to sobie (bo Tuśka wciąż jeszcze szuka przed sobą samą wytłumaczenia) niezwykłością zbliżenia się swego do tego zagadkowego tworu, jakim był dla niej zawsze aktor w życiu codziennym.

¹⁴*Beatus qui amat* (łac.) — szczęśliwy, kto kocha. [przypis edytorski]

Gdy była młodą panienką, przeszła konieczną w tym okresie lat febrę miłości dla aktora. A więc kochała się w jednym z piękniśków o prześlicznym profilu i nieco gardłowym głosie. Gdy zobaczyła go raz ubranego w perłowy, renesansowy kostium z krymką purpurową aksamitną i w konopiastej peruce, oddała mu swe serce bez podziału. Śniła o nim, rumieniała się, gdy ujrzała jego imię na afiszu. Był dla niej tak niedościgły, jak archanioł z trąbą stojący u stropu kościoła. Kult miała dla niego, kult i nic więcej. Nie umiała sobie wyobrazić, że ten człowiek jada kotlety cielęce i śpi na jaśku, a w niepogodę wdziewa kalosze ze zniszczoną, klasyczną, amarantową podszewką.

Gdy go raz ujrzała w jakiejś komedii w tuzurku i szarych, prześlicznie zaprasowanych spodniach, doznała wielkiej przykrości. Zdawało się jej, że ktoś zbezczescił jej ideał. Później wyjechała, wyszła za mąż i zapomniała o pięknym aktorze. Pojęcie jej o aktorach nie uległo wielkiej zmianie. Nie żywiła więcej kultu, ale nigdy nie zdawała sobie sprawy, czy ci ludzie mają swoje życie codzienne i wchodzą w linię ogólną całego społeczeństwa. Rampa dzieliła ją od nich niby jasna linia nieprzekraczalna — rampa ta istniała dla niej zawsze w pojęciach w stosunku aktorów do reszty ludzkości.

Nagle znalazła się w bardzo ścisłym kontakcie życiowym z jednym z takich ludzi. Nie przedstawił się jej z tamtej strony rampy, ale właśnie z tej, po której ona była. I widziany z tego punktu nie był panem, noszącym konopiaste peruki, krymki aksamitne i szpencery karmazynowe, lecz człowiek z krwi i kości, jak ona...

W dodatku człowiekiem, który zaczynał zabierać jej trochę czasu, myśli. Dlaczego? Czy dlatego, że był tak miły, tak układny, mimo zuchwalstwa tak sympatyczny? dlatego, że był... aktorem?

Tuśka sama nie wie. Usprawiedliwia się przed sobą, tłumaczy.

— Pierwszy raz widzę ich tak blisko... — myśli, lecz myśli równocześnie, iż rada jest, że suknia czarna będzie ładna i po jego myśli, że jej będzie w tej sukni do twarzy, i wdzięczna mu jest za to „do twarzy” ogromnie.

Idzie i mija takie same jak ona „Tuśki”, które przybyły tu dla „wytchnienia”, a idą śmiesznie zmaglowane z przodu liniami gorsetów, wydęte z tyłu jak Hotentotki, z czołami okrytymi materacem włosów, z kołnierkami pruskich oficerów, okrywającymi żółkniejące z braku światła szyje. Zmęczone, spocone, na francuskich obcasach, stanowią przedmiot szyderstw górali i woźniców, zgromadzonych białymi kupkami koło swoich „furek”. One idą pewne siebie, storturowane, ledwo dyszące, lecz spoglądające z góry na tę, która ma więcej centymetrów w pasie i nie potrafi z taką forszą i furią ugnieść sobie żołądka.

Puder funtami bywa przez nie zużywany, a bladoliliowe tony *eau de lys*, *eau de perle*, *eau de fée* litrami spływają spod woalek w fatalne upały południowych godzin. Ale to nic nie szkodzi. To „ogromnie kobiece” nie daje za wygrane. Urąga Tatrom, urąga przyrodzie, urąga słońcu. W pawim majestacie rozsiada się na tronie, wysadzonym imitacją drogich kamieni. Wieczysty karnawał trwa ciągle, przeciągnięty przemocą w dolinę pełną woni żywicy i słodkich błękitów, które od gór wieją jakby archanielskim skrzydłem.

I nic nie powstrzyma ręki, która gąbkę nasycą ołowianym pyłem zmęczone miejską walką powieki. Stojące na szczytach archanioły, widzialne tylko rozmodlonym w pięknie duszom, gotowe do położenia swych dłoni przebogaty w ukojenie i spokój na żrenicach tych istot, które przypadły do stóp błękitnosinych gór, czekają miłośnicie chwil wielkich, chwil niezwykłych, które snują się nie znużone daremnym oczekiwaniem obok człowieka. W szczyt! w górę wzrok i w górę serca pełzające wśród bruku złożonego z chęci dobrych i pragnień nienasyconych.

Ku archaniołom nieruchomym i dziwnych ukojeń pełnym rwą się żrenice. Lecz cięży na nich ołów *eau de lys*, *eau de fée*... ku ziemi je gniecie i tam ogryzków życiowych szukać każe.

O! to „ogromnie kobiece”, skrzydłami archaniołom równe, a przecież tak więzione w swych szczytnych objawach patrzenia w jasność swobodną i czystą! O! to „ogromnie kobiece”, zakute w stal, wybielone sproszkowanym ryżem, powleczone węglem, rozjaśnione przymusem i nieszczerością aż do potęgi gaszącej świetlane punkty życiowego piękna, o! to „ogromnie kobiece”...

Dochodzi Tuśka do swej werandy i z daleka już dostrzega samą Pitę siedzącą przy stole.

Dziewczynka nie rysuje. Jakaś osowiała, podparła główkę na rączce i ma bardzo znużoną minę. Gdy matka nadchodzi, wstaje i całuje ją grzecznie w rękę. Tuśka w tej chwili czuje, że to przywitanie rzeczywiście jest trochę konwencjonalne i chłodne.

— To wpływ Porzyckiego! — myśli i ma ochotę pocałować córkę w głowę, lecz Pita, nieprzywykła do tych objawów, usuwa się i powraca na dawne miejsce.

— Gdzie pan Porzycki? — pyta Tuśka.

— Poszedł do swego pokoju.

— Dawno?

— Już z pół godziny. Przyszedł ktoś do niego z wizytą...

Pita rączki złożyła w mały rzyk, nóżki wyciągnęła pod stołem, a twarzyczka jej ma wyraz małego Ajaksa.

Tuśka czuje, że się coś tam poza tą niby spokojną buzią ukrywa, ale pytać nie śmie.

— To pewnie ktoś z aktorów! — mówi zdejmując kapelusz.

— To jakaś pani — odpowiada Pita i znów patrzy trochę chmurnie przed siebie.

Tuśka nie wie dlaczego, ale jest pewna, że tą panią nie jest nikt inny, tylko Sznapsia. Milczy jednak, zabiera kapelusz i wchodzi do izby. Tam nerwowo sypie na twarz puder, zdejmuje suknie, kładzie szlafrok, przestawia krzesła, drobiazgi i czuje, że jest strasznie niespokojna i po prostu chorobliwie podniecona.

— Co mi jest?... Boże!... co mi jest? — myśli sprawdzając, że ręce jej drżą jak w febrze.

Mimo woli nadśluchuje, czy nie doleci do niej jakiś głos z pokoju Porzyckiego. Lecz jest zupełna cisza. Chwilę przemyka jej szalona myśl, aby zawołać gaździnę i poprosić, aby Porzycki do niej przyszedł. Lecz w porę przychodzi opamiętanie. Co pomyśli? Co ona mu powie? Czy nie jest wolny? Czy nie ma prawa przyjmować u siebie wizyt, nawet kobiecych? Jak ona, obca, śmie mieszać się w jego życie?

Usiadła przy stole.

Wzrok jej padł na teczkę. Otworzyła ją. Szuka papieru. Fotografie męża i chłopców leżą na wierzchu. Znane tak dobrze twarze wydają się jej dzisiaj obce. Lecz zmusza się i zaczyna się im bacznie przyglądać, jakby starała się wbić je sobie znów całą siłą w pamięć.

— To *moi* — myśli. — On ma *swoich*, ja mam także *swoich*.

Mimo woli przecież te „marmurkowe” twarze pozostają jakieś dalekie, zimne i obojętne. Tuśka czuje, że każda z nich to już odrębny świat i że każdy z jej synów ma także *swoich*, do których dąży. Atmosfery spójności nie wytworzyło nic od pierwszej chwili i teraz w oddaleniu nie ma jej i żadnej tarczy stanowić ona nie może dla Tuśki.

Może jej mąż jest jej jeszcze najbliższy, bo najmniej w nim przebija się dążności do wyodrębnienia się. Patrzy na niego z jakimś niezadowoleniem. Ta mizerna, drewniana figurka robi na fotografii wrażenie kościanego dziadka.

Gdzie czar?

Gdzie wdzięk?

Ach!!!

Tuśka bierze ćwiarteczkę papieru i pisać zaczyna. Ręka jej drży. Myśl rwie się co chwila, ale zmusza się do owego listu, tak jak do przełknięcia lekarstwa.

„Kochany mężu!...

Pisałam do ciebie przed kilku dniami. Dziś piszę znów, choć krótko, aby ci nie zabierać czasu i nie nudzić cię powtarzaniem tego samego. Pogoda jest znośna, zdrowie moje jednak nie poprawia się. Kaszlę coraz gorzej i jak ci już pisałam, z rozkazu lekarza wzięłam drugą izbę z werandą, na której ja i Pita musimy przebywać całe dnie dla zdrowia. Pita ma się dobrze i choć, dzięki Bogu, z tej strony jestem spokojna. Nudzimy się, bo nie mając odpowiedniego towarzystwa nie bywamy nigdzie”.

Nie wiedziała, czy napisać mężowi o znajomości swej z Porzyckim. Woląla jednak milczeć.

Zdenerwowanie jej wzrastać zaczęło coraz silniej. Zostawiła uchylone drzwi od sieni, aby dostrzec, kiedy owa „pani” wyjdzie od Porzyckiego.

Lecz cisza była zupełna.

Tuśka wzięła pióro i znów pisać zaczęła.

„Chwilami jest mi tu okropnie i żałuję, że przyjechałam. Nie wiem sama, co się ze mną dzieje. Zdaje mi się, że umrę. Na serio myślę stąd uciekać i proszę cię, nie zdziw się, jeżeli nas zobaczysz którego dnia wchodzące do mieszkania. Zakopane to piękne z daleka, ale z bliska nic szczególnego. Zimno, smutno, drogo i tylko bardzo bogaci ludzie mogą żyć tutaj możliwie...”

Dotarła wreszcie do kwestii materialnej. Lecz w tej chwili była tak szalenie zniechęcona, że nie miała ochoty łamać sobie głowy nad znalezieniem środków długiej egzystencji w Zakopanem.

Wstała i zaczęła chodzić po pokoju.

— Wyjadę! — pomyślała — wyjadę! To będzie najrozumniej. Jeżeli dalej mam być tak zdenerwowana, to należy stąd uciekać.

Stała przed oknem i spojrzała ku góróm mdlejącym w upojeniu sennym.

— To te przeklęte góry!... one mnie tak denerwują!...

Ogarnęła okiem drobiazgi porozrzucane w pokoju.

— Spakuję do jutra... wyjadę!...

I znów myślą pobiegła ku drzwiom pokoju Porzyckiego.

— Po co ta kobieta go nachodzi? Dlaczego nie pozostawi go w spokoju? Czy tak być powinno? Nie ma nawet poczucia przyzwoitości! Jeżeli Pita będzie wracała przez dziedzińiec, a u Porzyckiego okno otwarte... Bóg wie, co może posłyszeć...

I zaraz sformułowało się w niej pragnienie.

— Pójdę, zobaczę...

Znów się usprawiedliwia, że czyni to jedynie ze względu na moralność Pity.

Wychodzi cicho przez sień i przesuwa się ku szopie gaździny, niby szukając Wikty.

Rzeczywiście okno mieszkania Porzyckiego jest na rozcież otwarte i nawet nie zasłonięte firanką. Widać doskonale siedzącą tyłem do okna, w kapeluszu, czarno ubraną kobietę. Porzycki chodzi po pokoju i mówi głośno z ożywieniem.

Wyrazów dosłyszeć nie można, ale z tonu widać, że aktor jest w bardzo dobrym usposobieniu i że mówi z zapałem i wielkim ożywieniem. Kobieta odpowiada mu spokojnie, przyjaźnie. Łatwo Tuśka poznaje w niej Sznapsię.

Tuśka wchodzi do szopy, lecz nie zastaje w niej nikogo. Rada z tego powraca do domu i wchodzi do swego pokoju trochę uspokojona. Wstyd jej prawie za poprzednie zdenerwowanie. Ta rozmowa daleka, przyjacielska tych dwojga dawnych kochanków nie zawiera w sobie żadnych cech namiętności.

Przyjacielska!...

Tak, lecz jeśli Sznapsia jest w stanie godziny całe mówić z Porzyckim, jeżeli on tak jest ożywiony w tej rozmowie — to znaczy, iż on jest z tych mężczyzn, którzy koniecznie potrzebują wymiany czy to słów, czy myśli z kobietą. Ona, Tuśka, postanowiła dzisiajszego wieczora być mu „przyjaciółką”. Tymczasem ta druga wkracza w to postanowienie. Tuśka czuje się teraz dotknięta inaczej, choć równie silnie. Przedtem nie umiała zdać sobie sprawy ze swego wzburzenia, teraz rozumie i wie, podnieca się więc tym silniej i bardziej jej przykro.

Tak — przykro.

Do bólu przyznać się nie chce.

Przykro jej, że ta czarno odziana, dawna, a tak serdecznie wspomniana kochanka weszła pod ten wspólny dach, ten ich dach, gdzie znajdowali się do tej chwili we dwoje razem z Pitą, spokojnie i przyjaźnie.

Tak — przykro.

Usiadła znów przy stole i chce pisać dalej, ale nie może, szum powstał w jej głowie, zamęt, trudno jej myśli zebrać. Jedno ma tylko pragnienie, aby Pita nie weszła i nie ujrzała jej tak zdenerwowaną i smutną.

Mija jeszcze pół godziny, w czasie której Tuśka traci miarę czasu. Wreszcie drzwi od pokoju Porzyckiego otwierają się. Szelest sukni.

Krótką rozmowa.

— Bądź zdrow...

— Do widzenia.

— A więc...

— No... to od ciebie zależy.

— Ja już się rozmyślałam.

— Odmyśl się.

Tuśka odwraca się i widzi, że drzwi pokoju, prowadzące do sieni, są prawie otwarte na rozcież. Szybko powstaje, aby je zamknąć, nie chcąc, aby ta nienawistna dla niej Sznapsia zajrzała do wnętrza jej niewykwintnego *interieur*.

Zbliża się, chce chwycić drzwi i jest przy tym zmuszona wychylić się do sieni, aby dostać ręką do klamki.

I widzi.

Tak, widzi właśnie w tym samym kąciuku, w którym niegdyś widziała Józka Obidowskiego całującego Hankę, widzi Porzyckiego trzymającego w objęciach Sznapsię.

Oboje przyłgnęli do siebie i jego ręka, tak jak ongi ręka górala, bieje na ciemno odzianych plecach kobiety rozszczepionym liściem...

Z góry pada wążiuchna struga światła.

Stopy ich toną w podściółce wiór.

I oboje, tak jak tamci poprzednio, zamieniają jakiś krótki szept...

Tuśka cicho przymyka swe drzwi i stoi oparta o ścianę z zapartym oddechem.

Przypomnieli jej najdokładniej Józka i Hankę.

Przypomnieli jej także, że miłość jest to jedno, co zmian nie zna.

I przypomnieli jej słowa pełne rezygnacji Wikty Obidowskiej:

„Ona była u niego pierwsza”.

Przeszli w kilka minut obok Tuśki, oddzieleni od niej ścianą i drzwiami.

Ona stała ciągle na jednym miejscu i patrzyła przed siebie jak spłoszony ptak.

Cóż było jednak naturalniejszego nad to, że ten człowiek żegnał się tak miłośnicie z kobietą, która była dla niego dobra i przeżyła z nim wspólnie tak długi czas.

Sezon!...

Teatralny, więc parę miesięcy...

Tak!

Lecz Tuśka sądziła, że to już wszystko zeszło tylko na stosunek przyjacielski, koleżeński, a te pocałunki...

Wolny jest, niech czyni, co chce!

Gorąco jej.

Podchodzi do stołu. Siada, zaczyna pisać list przerwany. Teraz nienawidzi znów Zakopanego. Za cenę połowy życia chciałaby już uciec z tej chałupy, z tego ohydneho środowiska, które zaczyna sprawiać jej tyle udręczeń.

„...tylko bogaci żyć tutaj mogą możliwie. Pieniądze płyną jak woda. Wolę więc przebrać kurację i wrócić do domu. Odetchnę, gdy nie zobaczę więcej tych gór obrzydłych i tego wstrętnego otoczenia, do którego nie mogę się przyzwyczaić...”.

Lekkie pukanie.

— Proszę wejść!

Wchodzi Porzycki uśmiechnięty, wesół, jakby rad z siebie i ze świata.

— Co porabiamy?

Ona uśmiecha się cierpko.

— Piszemy list do męża.

Aktor przybiera minę poważną.

— Bardzo dobrze. Nie przeszkadzam. Posiedzę i poczekam.

— To już skończone. Piszę mu właśnie, że chcę wyjechać.

Gdyby scenicznie ułożyła swój efekt, nie byłaby tak doskonale obmyśliła wrażenia.

Porzycki aż się cofnął.

— Dlaczego? po co?... źle pani?

W głosie jego czuje Tuśka żal niespodziewany. Lecz właśnie po kobiecemu ona wzmacnia ostrość swych słów i intonacji.

— Źle.

— O cóż pani chodzi? Ja do pani jak do miodu. Smutno mi jakoś, idę tu po to, aby mnie pani podniosła na duchu.

Zaczęła śmiać się sarkastycznie.

— Pan smutny? Nie widać tego.

— Dlatego, że wszedłem tu uśmiechnięty? Miałem panią przerażać swoją karawaniarską miną?

— Sądziłam, że miał pan właśnie towarzystwo, które mogło pana podnieść na duchu... Nie patrzy na niego i stara się przybrać ton mowy jak najobojętniejszy.

Ale on ma czule aktorskie ucho, a przy tym za wiele wprawy w sprawach miłosnych, aby nie czuć drzeń tych samych, którymi dzwonił jej głos dzisiejszej nocy.

Patrzy na nią przenikliwie i nagle poważnieje. Twarz mu blednie, jakby stawał w obliczu czegoś więcej serio, przynajmniej chwilowo.

— To była moja koleżanka... przyszła w interesie. Zawiadomiła mnie, że Lwów potrzebuje tego rodzaju aktora jak ja i że gotowi są dać mi doskonale warunki...

— Czy i ona tam jest angażowana?

— Sznapsia od trzech lat jest na lwowskiej scenie.

— A... rozumiem!

Zbliżył się do stołu i pochylił się nad nią.

— Nic pani nie rozumie. Sznapsia kocha się we Lwowie w jednym urzędniku z prokuraturii skarbu i może za niego nawet pójdzie. Ja obchodzę ją tylko jako kolega.

Chce mu odpowiedzieć, że koleżeństwo nie wymaga tak gorących pożegnań jak to, które widziała przed chwilą, ale milczy, ciągle rozgoryczona, lecz już trochę spokojniejsza.

— No... i cóż... jedzie pani?

— Do Warszawy? Jadę!

— Ja nie puszczę...

— Pan?...

Podnosi głowę i patrzy mu prosto w oczy.

Są to oczy tak piękne, tyle w nich nagromadzono łagodnego i miłego czaru, że jest jej rozpaczliwie smutno. Odwraca głowę i ukrywa ją w dłoni.

— Niech pani lepiej pojedzie do Morskiego Oka — słyszy cichy, melodyjny głos — taki cudowny czas, droga jak po stole, wrócimy tego samego dnia. Ja zamówię i zgodzę konie... No?... co?... dobrze?...

Wziął ją za rękę.

Całuje znów jej palce długo i ciepły prąd płynie z jej ręki wzdłuż całego ciała. Chce na niego spojrzeć. Wzrok jej padł na list do męża. Doznaje jakby pchnięcia sztyletu.

— No... do Morskiego Oka!... potem pani pojedzie.

Tak.

I to jest wyjście.

Pojedzie do Morskiego Oka i potem ucieknie. Wróci do Warszawy. To będzie jedyna jasna chwila, którą sobie opromieni życie. Zaczyna w niej rodzić się jakiś bunt za takimi chwilami.

— Inne kobiety mają je co dzień — myśli — ja mieć będę jedną jedyną.

I podnosi na niego wreszcie swe śliczne, błękitne oczy, bezwolne już i przepojone jego chęcią.

— Pojadę!...

On jak dziecko porywa się i zaczyna tańczyć po pokoju.

— Dobra nasza!...

Podbiega do okna.

— Pito! Pito!...

Dziewczynka ukazuje się w oknie:

— Co się stało?

— Jedziemy do Morskiego.

Pita jak w ekstazie rączki składa.

— Ach!...

Lecz on zanurza ręce w powódź słońca, w której drobna jej figurka się pławi, porywa ją pod paszki i z wionięciem spódniczek wrzuca ją do środka izby. Tam zaczyna tańczyć z nią walca, gwizdząc prześlicznie.

Tuśka mimo woli uśmiecha się do wirującej pary.

Ze stołu zlatują ćwiartki papieru, a między nimi i list Tuśki do męża.

„Odetchnę, gdy nie zobaczę więcej tych gór obrzydłych i tego wstrętnego otoczenia, do którego nie mogę się przyzwyczaić...”

Fruwa kartka, fruwa w takt walca za ślicznymi nóżkami Pity, nóżkami małej baletniczki, osnutej w błękitne pończoszki i obutej w białe sznurowane buciki.

XXI

Koło wodospadów staniemy!...

— Dobrze! Zdaję się na pana. Ja nie mam pojęcia, jak się to dzieje.

Posuwają się niezbyt śpiesznie. Dnia tego dużo pojazdów jedzie w stronę Morskiego Oka. Dzień cudowny. Szafir nieba ciemny, jednostajny. Na jego tle smreki rozpinają swe wykoronkowane, bogate ramiona. Co chwila płaty gencjan zdają się być stawami, w których przegląda się szafir nieba. Śnieg leży tu i ówdzie w ciemnych, bezsłonecznych zagłębieniach. I ciągle zmiany widoków, jakby jakieś duchy rozścielały mgłę kobierców, na których utkały czarujące obrazy. Pachnie świeżością, żywicą, duszą życia, pięknem i rozmodleniem istnienia.

Od wichru halnego jak pobojojwiska. Całe szmaty lasu stłuczone na miazgę, jakby przeleciały tędy hufiec potwornych rycerzy, walących kopytami rumaków w wyniosłe świerki.

A one padły całe, nieugięte i teraz trupami zawały drogę.

Dokoła nich wachlarzami zielenią się paprocie i rosną kandelabry złotogłowiu. Wieczysta kaplica pogrzebowa, wieczysty strojny katafalk owych drzew poległych.

Powóz, w którym jedzie Tuśka, Pita i Porzycki, przystrojony cały w złote, ogromne rumianki i paprocie. Ubrał go tak Porzycki olbrzymimi pękami, ubrał jak na corso kwiatowe, bo i konie mają przy uszach pęki kwiecica, a cała buda, zamieniona w jeden gaj, stanowi precudne tło dla siedzących w tyle powozu kobiet.

Obie są dnia tego *en beaute*, obie świeże i śliczne. Tuśka zwłaszcza zastanawia urodą swoją. Rozświetliło się w niej coś, odmłodziła.

Weszła w tę „drugą wiosnę”, która ironicznie zjawia się na pograniczu lata i jesieni kobiecego życia.

Dysze cała różową, śliczną barwą. Usta naturalnie zarumienione rozchylają się, jakby piły nie tylko słońce, woń i kryształ powietrza, ale i tę resztę piękna z życia, jaką jeszcze pochwycić mogą.

Ubrana czarno, w owej batystowej sukni, do której dokupić musiała kapelusz i parasolkę, wzbudza nieklamany zachwyt w Porzyckim. Aktor literalnie chłonie ją oczyma. Obok niej Pita, jakby dla kontrastu cała w bieli, w ogromnym, białym kapeluszu, jest wiernym odbiciem matki.

Cały ich powóz z Porzyckim, ubranym sportowo, nadzwyczaj solidnie i elegancko, przedstawia się wyjątkowo szykownie i zwraca ogólną uwagę.

Tuśka i Pita jadą jak w Alejach Ujazdowskich, wyprostowane i pochwał żądne.

Powoli jednak poddają się urokowi przepięknego ranka. Majestat gór maleje, natomiast rozciąga się przed nimi nadzwyczaj gigantyczne po prostu rozpanoszenie się roślinnego świata. Cała droga to jedna aleja ametystowych, topazowych i koralowych kwiatów na podłożu szmaragdowych lub miedzianych mchów i paproci.

Niektóre głązy ociekły jakby krwawą posoką. Wznoszą się jak ofiarne ołtarze, które ostały się jeszcze w zaciemionych świerkowych świątyniach. Krew rubinami w słońcu błyska. Kapłani umknęli unosząc wybladłe ciało ofiary...

Lecz już pole całe liliowych dzwonek porusza się leciuchno, kołysane wiatrem.

Na Anioł Pański grają cichutko, duchom Tatr na chwałę...

Pita uśmiecha się ku nim przyjaźnie. Porzycki z przedziwną intuicją zgaduje, że dziecko ma w swej duszyczce umiłowanie naturalnego Piękna i kilku rzuconymi słowami, jak kielich kwiatu ku słońcu, serce dziecka otwiera.

— Góry niestraszne? — prawda, Pito? — zapytuje wreszcie, zasypując sukienkę dziecka gwiazdami cykorii.

Pita bowiem przyznała mu się, że boi się gór, że ją przygniatają surowością swoją.

Przez kwiaty, przez trawy, przez ich woń świeżą i upajającą zaznajamia się Tuśka i Pita z górami w ten poranek słoneczny. I znajomość ta powoli przenikać je zaczyna nieznanym a ciepłym uczuciem.

Całe gamy liliowych i fioletowych barw grają w zieleni traw. Pękami zwisają gencjany o lancetowatych liściach. Lękliwie różowe gwoździki mieszają się w fiolet poważny i niemal żalobny. Kielichy naparstnic, podłużne szuwary przykrywają płachty białych rumianków.

I wszystkie te bogactwa kwiatów oplatają gałęzie wijących się lian, które biegną ku białym dnom potoków szemrzących srebrami na dole wapiennych łóżysk.

Tu i ówdzie, jakby studnia głęboka obramowana masą szczawiu, to srebrzy się, to czernieje ciemną zielenią wody.

Tuśka wsunięta w głąb powozu, co chwila spotyka oczy Porzyckiego. Zarzucona także masą kwiatów, chłodzi nimi rozpalone usta i kryje poza nie ciągle rumieńce na twarz jej bijące. Nie chciała myśleć, że jutro już cała ta wycieczka stanie się tylko wizją, minionym snem. Z całą rozkoszą zanurzała się w teraźniejszość, pełną jakiegoś rozmarzenia i wielkiej słodczy. Nie poznawała siebie. Czuli, iż w tej chwili staje się przystępną dla wielu rzeczy, które przedtem dla niej nie istniały. Gwiazdy złotogłowa pieściły jej wzrok i duszę. Widziała, jak Porzycki delikatnie dotykał się atlasowych liści, jak wpatrywał się z lubością w ich nadzwyczajne barwy. I ona zaczynała *rozumieć* piękno kwiatu i rozkosz, jaką w tym zrozumieniu znaleźć można. To była jedna z wielu tych rzeczy drobnych a pięknych, koło których przechodziła wyniosła, obojętna. Zaprażyła podzielić się doznany wrażeń z Pitą, lecz spojrzawszy na dziecko dostrzegła, że i ona miłośnie tuli ku sobie pęki różowych gwoździków i ku nim się uśmiecha.

Przed nią spoza wachlarza olbrzymich dzwonek o brązowej, ciepłej barwie patrzą ku niej oczy Porzyckiego. Patrzą wciąż uparcie i ona mimo woli wzrokiem odpowiada mu na tę niemą rozmowę ocz, która od początku świata jest prawdziwym esperanto ludzkości. Sami właściwie nie wiedzą, co przesyłają ku sobie w wymianie tych spojrzeń, lecz nie wyrzekliby się ich za żadną cenę.

I tak rozkosz zagłębiania się w góry, ukochania kwiatów, wymiany spojrzeń, wstrząsających dziwnie całym systemem nerwowym, składa się na całość, pełną niezwalzonego czaru i niezapomnianego światła w szarzyźnie dziennej egzystencji.

Przy wodospadach zatrzymuje się powóz w całej gromadce już odpoczywających. Z zakładu Chramca wycieczkowcy wiodą z sobą muzykę góralską i ta rozsiadła się na belce, rzępoląc jakieś dziwaczne, splątane melodie. Lecz tu, na tle smreków, przypartych do górskiej ściany, melodie płyną swoją strugą jak te potoki, co sączą się srebrną nicią po granitowych złomach.

— Ach! muzyka!... jak dobrze!... — woła Porzycki — teraz już nic nie brakuje...

— Och... muzyka!...

— Pst... niech pani tak nie mówi. Niech pani odejdzie w bok, odwróci się od nich, aby nie widzieć ich otoczenia, wyśle całą swą duszę przed siebie, w źleby, w turnie, w piargi, w upłazy i niech pani pozwoli, aby cię ta muzyka poniosła taką rozmyśloną w dal...

— No, no, proszę to zrobić... no!...

Ujął ją pod łokieć, Pitę za rękę i odprowadził duży kawałek drogi, idąc stromą ścieżką w dół.

— Gdzie pani ich już słyszała?

— W teatrze!

— Otóż to... gdy grali wyjątki z Trubadura albo „rach, ciach, ciach”!... I pani chce mieć o nich pojęcie.

Wśród limb i smreków zatrzymał się.

Granie dolatywało z oddali.

— Ano? ano? — zapytał.

I było w tej nutce zawrotnej a dziwnej coś nadzwyczajnego, coś co duszę człowiekowi z piersi wypruwało i rwało ku górze — jak ono „hej...” góralskie.

Cała dusza, cała dusza się w tym wypowiada i ze swym smutkiem, i ze swą bolesną wesołością, co w pustkę jak zbłąkany ptak leci.

I dziw nad dziwy!

Niby to górale grają na gęślikach i tak swoje piosnki rozżalają albo rozwichrzają w górskie czary.

Niby to oni jedni bez słów się skarżą, tęsknią, natrzęsają się, ugwarzają, do lotu śmiertelnego gotują...

Niby to oni jedni potrząsają swe kółka u ciupagi i szeleszczą skrzydłami rozwianych guń.

Niby to oni jedni zawierają wrota swych halnych szałasów i potracają o kotły ciemniejące nad rubinem paleniska.

Niby w tej piosence zebrała się cała dusza ich.

A przecież...

Dlaczego Tuškę, dlaczego Pitę, dlaczego Porzyckiego chwytą smętek dziwny, chęć wspięcia się na szczyty i wyplakania tam czegoś, co pod sercem udęcza?

Zwłaszcza... Tuškę.

Od wczoraj tak ją dławi.

A ta cichutka nuta wijąca się nad nią po koronkach smreków, rozwiewająca wachlarze paproci, kołyszająca liliowe płatki dzwonek i rozciągająca jej duszę na strunach gęślików, przyczynia się niemało do czegoś, co niby żar zaczyna jej palić powieki.

Pita odchodzi parę kroków, aby zerwać kilka kwiatków złotogłowiu.

Porzycki zbliża się ku Tušce.

— No... no... więc...

Nie patrzy na niego — milczy, taka śliczna w swej czarnej sukni, jakby cień przywiany z dała pomiędzy kolumny drzew.

— Coś tam pod sercem świdruje? prawda? — pyta Porzycki.

Głowę tylko skinęła.

Za rękę ją ujął, w oczy chce zajrzeć.

— Proszę na mnie spojrzeć...

Aby przerwać czar, Tuška broni się uparcie.

— Nie! nie, proszę mnie puścić!...

Zaczyna się nawet śmiać z przymusem.

On puszcza jej rękę mówiąc:

— To nic! to przyjdzie — początek jest... nie pomyliłem się.

— W czym?

— Że w pani jest na dnie więcej, niż sama przypuszczasz.

— Skąd pan to wiedzieć możesz?

— Bo pani zaczyna odczuwać piękno gór.

— No...

— Pst! nie mówić nic. Być szczerą, pozwolić sobie na zbytek szczerości. Zrzucić pan-cerz, maskę i wdychać w siebie to, co ku pani płynie...

— Wszystko!...

— I moje uwielbienie.

Znów jej ręki szuka.

Ona prawie rozpaczliwie woła:

— Pito! Pito!...

Popatrzył na nią nieprzychylnie.

— Och! zastawianie się obecnością dziecka, jakież to banalne!

— Banalniejsze to, co pan robisz.

— Że uwielbiam?

— Nie, lecz że mi pan o tym mówisz!
Pita zbliżyła się.
— Chodź, mała!... — wyrzekł Porzycki — w tobie, zdaje się, nie rozrósł się jeszcze z takim przepychem chwast nieszczeroci... Chodź, pójdziemy po paprocie!
Pita uczepliła się ramienia aktora. Szybko, zręcznie zaczęli zsuwać się na dół.
Tuśka patrzyła na nich, jak tonęli w szmaragdach paproci i wynurzali się z nich jasnymi sylwetkami.
Gęśliki grały ciągle swą dziwną, tęskną i zawrotną melodię.
I wówczas w źrenicach Tuśki zamigotały łzy.
Jakby się ich zawstydziła sama przed sobą, szybko podniosła rękę i rozgniotła je na brzegu powiek.
Niemniej fakt był faktem.
Tuśka — płakała.
Gęśliki płakały i wyplakały na oczy tej strojnej, czarno ubranej pani dwie nieśmiałe, palące, drobne łzy.

*

— Zostańmy tu na noc!
— Na noc?
— Tak! przespać się można względnie znośnie. Rano zobaczymy wschód słońca. Dziś nawet nastroju wywołać niepodobna. Za wiele ludzi... A ja chcę, żeby pani pokochała Morskie Oko!
— Ależ!...
— Co? ależ... o co chodzi? Puder pani ma przy sobie, a to grunt. A więc...
Pita nic nie mówi, ale aż cienkie nozdrza jej noska drgają, tak bardzo pragnie nocować przy Morskim Oku.
Tuśka zamysła się.
Czy może to uczynić? Wszak w tym nie ma nic złego. Widzi, iż kilka osób przygotowuje się do przenocowania. Nie wie jednak, dlaczego przez umysł jej przesuwają się pani Warchlakowska i jej córki, które w całym komplecie z werandy swojej asystowały ich wyjazdowi do Morskiego Oka.
Odsuwa jednak tę myśl, natomiast to drugie nęcące i miłe opanowują ją całą siłą.
I tak przecież ma zamiar odjechać zaraz po powrocie z wycieczki.
Spogląda więc z kłopotliwym wahaniem na siedzącego naprzeciw niej Porzyckiego.
— Czy ja wiem?... — mówi, a jej spojrzenie, uśmiech zdają się prosić go, aby nalegał, zachęcał.
W lot chwytą on jej myśl.
— Ale ja wiem... to jest my wiemy, Pita i ja, skoro pani mama nie może się zdecydować. Pędzę, zamawiam dwa pokoje, mój na drugim końcu domu... dla przyzwoitości. Rano przysyłam paniom kawę i zapraszam mamę na wschód słońca. Pituchna zostanie w łóżeczku, bo będzie ziuziu.
Porwał się od stołu, o mało nie przewrócił kawy, rozrzucił całe snopy kwiatów, którymi obłożyła się Pita, i zniknął w czeluściach hoteliku, skąd buchały wonie pieczonej cielęciny, kawy i śmiechy dziewcząt oraz wchodzących i wychodzących ciągle turystów.
Tuśka czuła się ogromnie znużona fizycznie tym dniem niezwykłym, który ukształtował się obecnie w jej sercu dziwnie jako połączenie nadzwyczajnego szczęścia i rozpaczliwego, prawie bezdennego smutku. Wszystko to jest w niej mgliste jeszcze, niejasne, ale już jest, już ją dławi i męczy.
Pita wstała od stołu i wzięwszy resztki bułki poszła poza werandę karmić chude kury.
Tuśka powiodła za nią wzrokiem.
Wybornie dostrzegła, iż Pita od chwili zbliżenia się do nich Porzyckiego traci powoli swój piękny układ, że zaczyna się robić jakaś inna, gesty jej są jakby rozluźnione, śmiech głośniejszy, włosy mniej gładkie i chód skaczący chwilami jak u młodej kozy. Nie robi jej jednak karcących uwag, bo lęka się ściągnąć ironii ze strony Porzyckiego, a przy tym czuje się sama znużona i na takim rozdrożu!
Dokoła niej powoli pustoszeje weranda.

Co chwila powstaje jakaś grupa turystów i z hałasem i szumem zabiera się do odjazdu. Dziewczyny usługujące zbierają ze stołów szklanki po herbacie, kawie i kufle od piwa. Dzieci kapryszą, zmęczone i senne. Słychać ciągle nawoływania górali, kręcących się dokoła koni. Z turkotem zajeżdżają powozy i furki. Na jednej z nich lokuje się trochę pijana orkiestra, podśpiewując i wydając niezrozumiałe okrzyki.

Tuśka mętnymi oczyma patrzy na ten ruch, na słońce, które już strzela tylko ostatnimi promieniami, na te grupy zapóźnionych turystów, wybiegających co chwila z gardzieli, wiodącej od podjazdu ku Morskiemu Oku.

Jak sala cyrkowa, tak ukryło się to „Morskie” — kurytarzem wąskim do niego piąć się trzeba lub schodzić od niego jakby po ukończonym widowisku scenicznym.

Tuśka ma oczy pełne szafirowozielonej, drżącej wody, bezustannie srebrną siatką, biegnącą błyskotliwie ku brzegom. Nie widzi już teraz nic prócz tej siatki, tej lśniącej łuski, podobnej do grzbietów jakichś dziwnej piękności ryb igrających pod powierzchnią wody. I jeszcze pozostały jej w pamięci limby — ciche, spokojne jakies, arystokratyczne i eleganckie. Poza tym nie wie nic. Przytłoczyła ją masa wrażeń i oczy Porzyckiego tak uparcie w nią przez całą drogę wpatrzone...

Teraz z uczuciem ulgi myśli, iż odpocznie noc całą i nie będzie potrzebowała wracać natychmiast.

Na werandzie powoli zapanowała cisza. Pojazdy odjechały jeden za drugim.

Jakies dwie grupy osób nocują i już zabierają się do spoczynku. Są to piesi turyści i widać, że są nadzwyczaj zmęczeni. Nie nadrabiają nawet miną.

Jeden z nich usiadł bez ceremonii na ławeczce przed restauracją, wyciągnął nogi i klnie zapamiętane:

— A niech mnie diabli!... a niech mnie diabli!...

Jakaś panna drobna i szczupła, w męskiej dżokejce i granatowej bluzce, przedrzeźnia go powtarzając:

— A niech mnie diabli!...

Słońce zaszło już zupełnie.

Ostry chłód powiał. Noc nadchodziła szybko, ciemna i bezksiężycowa. Nie zapadała z góry, lecz zdawała się wysuwać spod ziemi czarnym, zimnym wałem. Gasło światło i rozradowanie życiowe. Coś chmurnego, ponurego wypełzało dokoła ludzi. Nawet Pita cichutko i jakoś posępniej wysunęła się zza węgła domu i przy matce usiadła, tuląc się w swój granatowy żakiecik.

Góry upominały się o swe prawa. Roztoczyły grozę i siłę, którą ukryły, przebiegłe, w gąszczu kwiatów.

Rozsypały je na Tuśkę i Pitę jakby na powitanie, uwiły z nich łuk tryumfalny nad ich głowami, lecz teraz mściły się, stając nagle czarne i pełne grozy naprzeciw strwożonych ich chłodem i ogromem mieszczanek.

Była w tym igraszka potworów, ukrywających się za dnia w jarach różowych od wrzósów i białych od pni rozszemranych brzóz.

O zmierzchu potwory podnosiły się z legowisk; i w całym swym majestacie wznosiły się olbrzymie i na pozór niezwalczone.

W głębi swych cielsk miały już próchno rozkładu, rozlatywały się i one miałem z każdym podmuchem wichru, lecz ich śmiertelność zdawała się nieśmiertelnością wobec śmiesznej nędzy ludzkiego istnienia.

Po raz pierwszy może tchnienie i poczucie własnej nicości przenikało duszę Tuśki i duszyczkę Pity.

U kobiety zarysowało się silniej, wyraźniej, targnęło nią i przejęło rozpaczliwą melancholią.

U dziecka była to mglistość cmentarnych oparów, poza którymi wyczuwa się istnienie czegoś ogromnie smutnego, a przecież nieuniknionego.

Ciche, zdrętwiałe, strwożone siedzą Tuśka i Pita, a dokoła nich wędną pęki górskiego kwicia, które już nadlatującej z nocą grozy właściwej górom zasłonić nie są w stanie.

XXII

Puk!... Puk!...

Zerwała się Tuśka.

Zerwała się Pita.

— Proszę... niech pani wstaje. Lada chwila wszędzie.

— Dobrze... zaraz...

Pełnymi rękami jak żniwiarka kłosy, tak ona odgarnia swe jasne włosy od twarzy. Chłód ją przesywa. Lecz nie ma ochoty położyć się w ciepłe łóżko. Przeciwnie, aż drży cała od chęci wybiegnięcia przed dom i spotkania się z Porzyckim w chwili wschodzącego słońca.

— I to jeszcze! — myśli — i to zabiorę z sobą do Warszawy jako wspomnienie z tej wycieczki.

W nocy śniła o nim prawie ciągle. Zjawiał się jej na tle gór, to znów płynął ku niej po szafirowozielonej głębi, cały spowity w srebrną, drgającą huskę. Nad ranem, gdy zbudził ją głos aktora, zdawało się jej, że śni tylko dalej — nic więcej.

Pita trochę zadąsana leżała w łóżku.

— Mamusi!... — wyrzekła wreszcie cicho i widocznie siłąc się na grzeczność — czy mamusia nie byłaby tak łaskawa, aby i mnie z sobą zabrać?

Po raz pierwszy Pita objawiała jakieś życzenie.

Do tej chwili na ulicy Wareckiej nie znano życzenia dzieci. One tylko grzecznie wypełniały życzenia rodziców.

Tuśka już ubrana, upudrowana, w żakiecie, w jakimś apokaliptycznym zwierzu, zarzuconym na ramiona i spiętym pod szyją, odwróciła się ku córce siedzącej wśród koców i kołder.

— Nie, mogłabyś się przeziębic.

— Ja się ciepło ubiorę.

— Pito!... co to znaczy?

Tuśka zmarszczyła brwi i zmierzyła córkę ostrym spojrzeniem.

Lecz mała wytrzymała to spojrzenie ze zdumiewającą energią.

— Ja też chcę iść!...

To słowo „chcę” — przeraziło literalnie Tuśkę.

Był to jakby dalszy ciąg rozwichrzonych gestów i tego jakby rozluźnienia silnie scementowanych dobrym wychowaniem manier Pity.

Lecz z sieni doleciał głos Porzyckiego:

— Pani Tuśko!... słońce nie będzie czekało!...

Tuśka zgasiła świecę i wyszła, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Klucz wzięła do torebki i szła, ciągle zmieszana zachowaniem się Pity. Czuli, iż źle zrobiła nie skarciwszy dziecka za niebawale znalezienie się. Lecz coś ją wstrzymywało. Coś niepojętego, a w głębi jej tak niewyraźnie nurtującego, iż zrozumieć nawet nie mogła.

W sieni spotyka Porzyckiego. Przeczują go raczej, bo ciemno jest zupełnie. On — bierze ją za rękę nerwowo, szybko, niecierpliwie, jakby doczekać się jej nie mógł.

— Dzień dobry!

— Dzień dobry!...

Tuśka ma wrażenie, jakby Porzycki wahał się, jakby chciał wzmocnić czymś to powitanie, i zbiera ją lek. Posuwa się ku drzwiom. Szuka nerwowo klamki. W trakcie tego czuje, że jego ramię próbuje otoczyć jej kibić. Zanim jednak to nastąpiło, Tuśka znajduje klamkę i otwiera drzwi do sieni.

Przenikliwy chłód owiewa ją całą.

Wchodzi w jakąś szarość dziwną, nikłą, bezjasną. Niebo jak klosz szklany pokrywa wszystko. Turnie aż sine, tak są szare i niewyraźne.

Odwraca się ku Porzyckiemu:

— Gdzież to słońce?...

— Czekają, aż pani wyjść raczy. Za chwilę podniosą kurtynę. Służę!...

Jest wyspany, zdrowy, widocznie zlany zimną wodą i pełen jakiejś nadziei. Aż bije to od niego i udziela się Tuśce. Chwyta ją pod rękę.

— *En avant!*... — woła z fantazją.

Biegają pod górę po kamieniach jak dwoje dzieci.

— Mało publiczności!...

— Tym lepiej!...

Ucieszył się.

— Jaka pani dobra — dziękujemy pani!

— Kto — „my”?

— Ja... reżyser, i słońce — primadonna.

Mają już wybiec na szczyt ścieżki, skąd widać Morskie Oko.

Zatrzymuje ją i otula troskliwie. Zapina apokaliptyczne zwierzę, obciąża rękawy żakietu.

— Jak się to ubrało... — mówi — jak na spacer po Nowym Świecie. Przeziębi mi się, zachoruje.

Jest tyle czułości w jego głosie, że Tuškę ogarnia nie znane jej uczucie.

Nikt do niej tak nigdy nie mówił.

Mąż zapytuje ją czasem: „Nie zimno ci?” — tonem obojętnym, zapinając szelki swoje palto pod szyję, ale ktoś zdoła oddać słodycz tego tonu troszczącego się o nią jak o małe dziecko.

— Nie, nie, ciepło mi!... dziękuję!

— A spało dobrze?

— Dobrze!

— A śniło o mnie?

Rumieniec oblewa twarz Tuški.

— No... no...

— Tak!

— To ślicznie. A teraz — do słońca!...

I znów biegną, zlatują na dół, wreszcie zatrzymują się koło wielkich głazów, przy których drzemią trawy.

— Tu czekać będziemy.

Siadają oboje na głazie. Jego ręka wsparła się o kamień za jej plecami, tak że łopatkami ona dotyka jego ramienia. Siedzą nieporuszeni, on trochę cofnięty za nią, wpatrzony w śliczną linię jej włosów.

Tuška patrzy.

Tak, teraz, gdy wypoczęła, widzi lepiej, jest podatniejsza do przyjęcia wrażeń.

A wrażenia te podwajają się z nadzwyczajną siłą.

Przed wszystkim to, co widzi w tej chwili, jest zupełnie inne od tego, z czym zasnęła wczorajszego wieczora. Wczoraj Morskie Oko srebrzyło się, drgało bezustannie, rozigrane, ruchliwe, zaledwie po brzegach trochę nieruchome i powagę zachowujące. Dziś zda się być martwe, zakłete w nieruchomość bajeczną. I tylko z głębin zdają się wyrastać nowe turnie, skały, limby — wszystko zapadłe w głębie, przezyste a w odbiciu, bezbarwne i rozlane.

Tylko leciuchna mgła paruje ku górze, ptakiem się ściele, rozpina bezszumnie skrzydła, opada znów ku wodzie i niknie w tafli szklanej, nie pozostawiając nawet oparu, nie mając jej czystości.

Tuška trochę zdziwiona zwraca się ku Porzyckiemu.

— Gdzież słońce?

— W naszych duszach — brzmi odpowiedź.

— Pan żartuje.

— Wcale nie. Mnie bez słońca dziś tak słonecznie, że mógłbym tu rozświetlić całe Tatry... A pani?... no!... odpowiedzieć! Być raz sobą, a nie drewnianym manekinem...

— Co pan chce, żebyśmy mu powiedziała?

— Czy i jej słonecznie?

— Nie wiem.

— Ale ja wiem. Słonecznie jej i ciepło, i miło, i dobrze. A kto to sprawił? On — bo stara się, aby ono wreszcie zrozumiało, że drewnem po świecie chodzić, to życie marnować. Czemu ono jest takie?

Tuška sama zaczyna się zastanawiać, dlaczego właściwie ona jest rzeczywiście taka „drewniana”.

— Taki u nas panuje ton... — mówi wreszcie, pocierając czoło, jakby zbierała wspomnienia — wszyscy jesteśmy tacy... dzieci... mąż.

— To idzie od was... od rodziców, z góry. Czemu wy się nie kochacie?

— My?

— No tak, wy. Cała wasza paczka.

— Ależ my się kochamy.

— Tak na chłodno. W drewniany sposób. I to się potem na dzieciach odbija.

Ton jego spoważniał.

— Skoro tak mówimy szczerze — zaczął znowu — to ja pani powiem wielką prawdę, tylko proszę się nie obrazić.

Wyprostowała się, jakby za nadejściem nieprzyjaciela.

— Jeśli to co nieprzyzwoitego...

— Tylko ludzie nieprzyzwoici widzą w rzeczach naturalnych nieprzyzwoitość. Więc niech pani słucha. Są różne dzieci... Dzieci serca, dzieci krwi, dzieci obowiązku. Te ostatnie są najbiedniejsze. Są — drewniane. Najszczęśliwsze są dzieci serca.

Zawiesił głos i dodał z prześliczną prostotą:

— Ja jestem dzieckiem serca!

— A ja...?

— Pani musiałaś być właśnie dzieckiem obowiązku z pewną nieznaczną domieszką krwi. Ale życie zatarło wszystko i dziś pani dzieci są już czystymi dziećmi obowiązku. Dlatego są takie skryte, nieufne, milczące, obowiązkowe i grzeczne. Pani tego nie czuje? co?

Tuśka milczała chwilę.

— Może... — wyrzekła wreszcie — może pan ma rację, ale...

— Co „ale”? Pani powie, że tak lepiej? że żyć sercem nie warto? że oszczędza sobie i dzieciom zawodów? Ależ pani jest po prostu ślepa! Pani nie wie, co to jest kochać i być kochanym jakkolwiek... Czy w rodzinie, czy przez obcych, czy przez rzeczy martwe, czy przez takie słońce...

Ręką ukazał jej szczyty Mięgoszowieckiej Turni.

— O!... ja kocham to słońce i ono mnie kocha...

Tuśka podniosła oczy i spotkała się wzrokiem z tak wielkim czarem, że aż ku niemu zadrgało coś leciuchno w jej piersi.

Wędrownie, blade góry zarysowały się purpurową, przepyszną linią na mlecznobiałym niebie. Każda zasłona, każdy szczyt, obwiedziony purpurą, zdawał się opalem drogocennym, oprawnym w pasek gorejącego żelaza.

Poza tym ani śladu jeszcze słońca, tylko ten przebłysk purpurowy, gorący i krwawy.

— Widzi pani? Widzi pani?

— Tak!

Nie odpowiedziała mu jeszcze nic, kryjąc pół twarzy w futerko, choć wicher nie powiewał, a dokoła panowała taka uroczysta cisza, że dech w piersiach zamierał.

I w Tuśkę wstępuje przeświadczenie, że stanie się coś wielkiego, coś pięknego, coś, przed czym przechodziła życie całe nie wiedząc, że można wziąć udział w takiej wielkiej chwili.

Wziąć udział!

Bo Tuśka nie czuje się być „widzem”, ona sama niejako budzi się razem z tym dźwigającym się słońcem i bramuje się tak purpurą linii jak owe wirchy wysoko na tle krwawiącego się już nieba.

W tej chwili dopiero dostrzega Tuśka, że to, co brała za zatopienie się w szarości i bieli, to był szron, który krystalicznie pokrył mchy, kosodrzewinę, limby, upłazy — wszystko. I nagle rozczzerwieniło się niebo, a od Żabiego ptakiem o szafirowym sercu i brylantowych skrzydłach wzbiło się z przerażającą szybkością słońce.

— O!... — zawołała mimo woli Tuśka.

Przechyliła w tył głowę i piła te promienie, które zaczynały gnać cienie jakieś, nagle wykwitłe plamami po stokach gór. Cienie te osuwały się ku wodzie i wpadając w nią, nadawały jej coraz wspanialszą, coraz czarniejszą barwę...

Ręka Porzyckiego chwytła rękę Tuśki.

— Patrz! patrz!...

Jakby od góry, od tych skrzydeł słonecznych nagle wstrząśniętych sypie się deszcz brylantów na skały. Migoce się, zapala się, gra szafirem, rubinem, szmaragdem, tęczą. To

szron topnieje i rosą wszystko ocieka. Brylanty te zaczynają spływać strumykami migoczącymi ku wodzie i oto woda, już zupełnie czarna, porusza się, żyje...

Lekko, leciuchno marszczą się fale.

Zakłęte, ciche, nieruchome odbicie skał, limb, smreków, uplazów mąci się i ginie. Natomiast brylanty rosy wypływają na załamach fal.

Łuska świetlana, srebrna, drżąca zaczyna płynąć ku Tuście, jakby zapędzana niewidzialnym wiosłem lub podmuchem anielskiego skrzydła.

Do jej stóp... do jej stóp...

*

Pochyla się ku niej Porzycki.

— No... kocha słońce?...

W oczach jego migoczą takie same brylanty, jak na powierzchni wody.

Uśmiecha się do niego, do tych słonecznych piękności, które drgają w głębi jego źrenic.

— A jego kocha?... — pyta dalej Porzycki.

Przymyka oczy, nie odpowiada.

On nie nalega, powstaje nawet z kamienia i patrzy jeszcze chwilę na wodę.

Tuśka w tej chwili doznaje wrażenia, że zadał jej to pytanie ostatnie bezwiednie prawie...

— Chodźmy! — mówi Porzycki podając jej ramię — co najpiękniejsze, jużśmy widzieli.

Tuśka powstaje i opuszcza Morskie Oko nie oglądając się poza siebie. Czyni to dlatego, ażeby udowodnić przed sobą, iż ta chwila nie jest znów tą wielką chwilą jej życia.

A przecież...

W milczeniu dochodzą do hotelu, przed którym panuje cisza zupełna.

Wchodzą do sieni i już przy drzwiach, prowadzących do pokoju zajmowanego przez Pity i Tuśkę, zatrzymują się.

— Bardzo pani senna? — pyta troskliwe Porzycki.

— Nie! — mówi trochę rozczarowana.

Jest tak rozkołysana, rozbrylantowana, że to nawet ciepłe troszczenie się o jej stan fizyczny, tak miłe poprzednio, wytrąca ją z równowagi.

— Za pół godziny możemy jechać? prawda?

— Tak, możemy! — odpowiada machinalnie.

Odwraca się, ażeby włożyć klucze w zamek, gdy nagle czuje, że Porzycki zbliżył się i ustami przyłgnął do jej włosów, wysoko podniesionych na karku i odsłoniętych pomiedzy futerkiem boa a rondem kapelusza.

Przeżażona, wstrząśnięta do głębi, przekręca klucz, otwiera drzwi i wpada do wnętrza pokoju.

Spoza drzwi słyszy jego głos:

— A więc za pół godziny?...

Chce odwrócić się, powiedzieć mu jakieś słowo rozżalenia, gniewu, ale spotyka się z oczyma Pity, która ubrana, umyta, uczesana, siedzi przy stole otulona pledem.

Te oczy mają w sobie tyle nieokreślonego wyrazu, iż Tuśka rzuca w stronę sieni grzeczne i obłudne:

— Tak! za pół godziny!... Dziękuję panu!...

XXIII

Powracają w zupełnie innym nastroju, niż jechali poprzednio.

Jeden Porzycki zachowuje równowagę. Nie zrywa jednak kwiatów i nie stroi powozu.

— Nie należy się powtarzać w efektach — mówi, śmiejąc się, do Pity.

Mała jest ciągle nadąsana i choć pokrywa to nadąsanie wrodzoną grzecznością, niemniej czuć przecież niechęć do tej wycieczki, na której była odsunięta od uczestniczenia w najpiękniejszej jej części.

Tuśka czuje wybornie ten stan usposobienia córki.

Słowa Porzyckiego, wypowiedziane do niej nad stawem, kielkują teraz z coraz większą siłą.

— Tak, dziecko obowiązku! — myśli — on miał słuszność.

W tej chwili na przykład w jej sercu wre przeciw mnie bunt, a obowiązek każe jej milczeć, więc milczy, ale to nie dlatego, aby mi nie sprawić przykrości, lecz dlatego, ażeby nie wykroczyć przeciw obowiązkowi...

Gorycz przepelnia duszę Tuśki. Patrzy na Porzyckiego, na jego swobodę, wesołość. On nie czuje nawet, jak boleśnie dotknął w niej godność kobiecą tym pocałunkiem rzuconym jakby ze swawoli! Do tej chwili ona ma nerwowe wrażenie, iż usta jego wpiły się w jej włosy, i to wrażenie przejmuje ją bólem, wstydem, przerażeniem.

On zaś nie zdaje się nawet pamiętać, że zaszło pomiędzy nimi coś tak ważnego, coś, co zniszczy zupełnie zakres przyjaźni, którym ona tak pracowicie stara się upozorować swoje dla niego uczucie.

Nic innego, tylko należy wyjechać. Czym prędzej wyjechać z tego Zakopanego, w którym tkwią jakieś czary rzucające na jej spokojne życie cień niepokoju.

Postanowienie przyspieszenia wyjazdu sprawia jej duży ból, ale zarazem pozwala jej nabrać pewnej swobody.

Skoro za dni kilka i on, i ten nieszczęsny pocałunek znikną z jej pamięci, dlaczego ma znów zatruwać sobie te ostatnie chwile, które mogą być dla niej względnie i mile, i przyjemne?

W takim usposobieniu dojeżdżają do wodospadów. Jest tutaj pustka zupełna. Za wcześniej jeszcze na turystów zakopiańskich, którzy dopiero koło południa do wodospadów przybywają.

Nie ma „gęśliczków”, cisza panuje zupełna.

Porzycki wyskakuje z powozu i zaczyna z wprawą wielką przyrządzać zebrane z restauracji zapasy. Wydziela porcję góralowi-woźnicy, nadąsanej Picie wlewa przemocą w gardeo trochę wina. Tuśce na klęczkach ofiarowuje bułkę z szynką.

Wicher od czasu do czasu szumi gałęziami smreków. Słońce ściele się złotą strugą po drodze, a srebrem nabija śnieżne fale wodospadów.

W wykrotach wdzięczą się przytulone do nich dzwonki, gencjany kiśmi ku ziemi się chylą.

— Chodź, Pito!... pójdziemy się przejść — mówi Tuśka do córki.

Mała odpowiada uprzejmie:

— Dziękuję mamusi. Ja posiedzę w powozie.

— Dlaczego? głowa cię boli?

— Trochę!

Och, Pito.

Co ci to?

— deklamuje Porzycki.

Ale Pita nie raczyła się uśmiechnąć. Stuliła usteczka, żakiet narzuciła na ramionka, wyciągnęła nóżki i jak mały sfinks siedzi, patrzy i milczy.

— Chodźmy sami — wyrokuje aktor.

Tuśka ma ochotę cofnąć się od tego spaceru, ale badający wzrok Pity skłania ją do pójścia.

— Pomyśli Bóg wie co — myśli schodząc w paprocie — a wreszcie muszę Porzyckiemu powiedzieć, co myślę o jego postępkach.

Ale nic mu nie mówi, pomimo że uszli już dość daleko i Pita nic ani słyszeć, ani widzieć nie może. On idzie za nią i przez zęby udaje wybornie świergot ptaka. Tuśka czuje, iż najzupełniej niewłaściwie będzie wpaść z tragiczną miną obrażonej godności w tę swobodę i lekkomyślność mężczyzny, dla którego widocznie ów pocałunek nie miał znów tak wielkiej wagi.

— Co począć? — myśli — co począć? jak zacząć i jak to powiedzieć, aby się nie okazać śmieszna?...

Weszli w ciemną stronę lasu, pomiędzy wykroty, odarte z kory, spod których sterczą grzędami kaczeńce. Jakiś chłód aż niesie od jaworów i świerków, ciężących masą igliwia ku ziemi. Z daleka dolatuje szum wodospadu.

Czasem zarzy koń przy powozie i słyhać jakiś jakby jęk, jakby śmiech hulający po lesie.

I cisza, i chłód, i ciemnia rozkoszna.

Tuśka zatrzymuje się przy jednym pnium zielonym. Siada i ciągle myśli, jak ma zacząć to, co *powinna* mu powiedzieć. I nagle nie znajduje słów.

On natomiast przysiadł na mchu u jej stóp.

— Jak Hamlet! — mówi śmiejąc się i zdejmując uważnie igły sosnowe ze swych brązowo-zielonych pończoch.

I nagle zapytuje:

— Czemu Pita zła?

— Ma żal, że nie wzięliśmy jej na ów wschód słońca.

— To pretensja!... Trzeba ją było wykłapać, a potem ucałować. A tak będziecie się boczyły na siebie Bóg wie dokąd.

— Bić taką dużą dziewczynę!

— Wielka opera!

— Dzieci w ogóle się nie bije.

— Albo to prawda? Biję się, kocha, całuje, tuli, stawia do kąta, kołysze... wszystko to serce dyktuje. Tylko, że to u was... to...

— To... co?

— No, nic, już o tym mówiliśmy. Niech no pani zmieni system wychowania dzieci, bo to dla nich na dalsze życie będzie zabójcze. Niech się w którym z nich obudzi kiedy trochę serca i zapragnie nawzajem serca... co będzie?

Milczała.

— Bo jedno niech pani pamięta. Ktoś, co sam serca w sobie nie pielęgnował, na próżno będzie o nie kołatał do innych... Rozumie mnie pani?

Nie odpowiada mu, ale rozumie zaczyna.

I to także wie, że nie sposób teraz czynić mu wymówki za ów pocałunek — jemu, który tak poważnie daje jej rady co do wychowania dzieci.

Byłoby to śmieszne i nie na miejscu. Gdyby rozpoczął znów ataki, wtedy miałaby pretekst. Ale pierwsza przypominając to, o czym on zdaje się zapomniał, czy nie zrobiłaby wrażenia, iż po prostu chce powtórzenia całej poprzedniej sceny?

— Lepiej może, gdy puszcze to w niepamięć — postanawia — i udam, że nie przywiązuję żadnej do tego wagi, jak on...

— Niech no pani zbliży się trochę do Pity — zaczyna znów Porzycki — to taka cudowna istotka. Szkoda, żeby stała się drewnianą lalką... Może i sama być szczęśliwą, i innym dać szczęście... A potem i dla pani będzie lepiej. Przecież pani musi czuć się strasznie smutną chwilami, jeżeli wszyscy tam u was jesteście takie *mumie egipskie*, co?

Nazrywał mchów, dziwnie różowo kwitnących, i delikatnie przetyka nimi koronkowe wstawki, którymi dół jej sukni jest przystrojony.

Tuśka szybko jak błyskawica czyni z sobą obrachunek życia i widzi zupełnie jasno, że często czuła się bardzo zdenerwowaną, a w nocy zwłaszcza budzi się z uczuciem strasznym samotności i sercem ogromnie ścięśnionym. Teraz rozumie, dlaczego jej tak było. Za wiele obowiązku, za mało serca.

— Tak... — odpowiada cicho — tak!...

— Co „tak”?

— Było mi smutno.

— No... więc. Czemu sobie życie zatruwać? To jakby ktoś mógl w piecu zapalić, a siedział w zimnie i marzył. Ja miałem bardzo miłe dzieciństwo. Moi rodzice strasznie się kochali. Widziałem ich zawsze całujących się i mających sobie coś do szepcienia. Nie...! nie... oni nie byli z drewna ani względem siebie, ani względem mnie.

Zamyślił się chwileczkę i dodał:

— Bardzo, bardzośmy się wszyscy troje kochali!

Tuśka stawała się coraz niepewniejsza.

— A dziś... — ciągnie dalej Porzycki — dziś rezultat ten jest, że się nie mogę obejść bez miłości!

Tuśka podnosi głowę tryumfująco.

— A widzi pan! — woła.

— Co?

— Skutki takiego wychowania... Pan musi dzisiaj ciągle się kochać.

— No... no...

— Jak to „no”?... To fatalne. To pana gubi.

Parsknął śmiechem.

— Gubi?

Porwał się. Ukląkł przed nią w mchach, oczy szeroko otwarte, pełne blasku wbił w jej źrenice.

— Życzę synowi pani takiej zguby!

— Dziękuję. Moi synowie nie będą donżuanami.

W ręce klasnął.

— Boże! co za słowo!... A moja matka bardzo mnie chwali i nawet jest ze mnie dumna.

— Bo matka zapewne nie wie.

— Czego? Moja mama wie, że ja zawsze się muszę w kimś podkochać.

Teraz ją wzięła ochota klasnąć w ręce i zawołać: Co za wyrażenie! ale się powstrzymała, tym bardziej że strasznie ją przejęła goryczą myśl o lekkości, z jaką on nazywał swe uczucia.

Podkochał się...

Nawet nie kochać, ale podkochać.

Powstała z pnia i zaczęła z sukni strząsać girlandę różowych mchów.

— Chodźmy do Pity.

— Chodźmy.

Idą powrotną drogą, ale w niej nagle nurtuje chęć jakiejś zemsty. Za co? sama nie wie, ale nurtuje.

— Przyznam się panu — zaczyna mówić idąc wśród głązów i paproci — że gdybym była matką pana, nie byłabym znów tak bardzo dumna. Przeciwnie. Takie podkochywanie się dla pana miłe, a dla innych...

— Niby dla tych, w których ja się podkochuję?

— No... tak.

— Jeszcze miłsze. O!... na przykład pani... proszę pani powiedzieć, czy pani nierada, że...

Przerwała mu dość wyniośle:

— Zechce pan mnie w tej chwili nie mieszać. Ja mówię o tych innych. Taka Sznapsia, ja ręczę, ona jeszcze coś dla pana czuje, a pan tymczasem nie jest wolny.

— Ja?

— Tak. Będę szczerą. Przyznam się. Czytałam jedną korespondentkę bardzo czułą, która do pana przyszła. Widzi pan, że jest ktoś, kto ma do pana silne prawa... a pan...

Wybuch śmiechu przerwał jej mowę.

Aż rozegrało się pod smrekami od tego śmiechu.

— A to się pani złapała!...

Tuśka zatrzymała się zmieszana.

— Korespondentka przyszła do mnie przez pomyłkę... — tłumaczyła się, ale on dziecinnie pochwylił jej obie ręce i całować zaczął.

— Nie to!... nie to... mnie to nie obchodzi, że pani cudze listy czyta... nie byłaby pani kobietą... ale mnie to bawi... bawi...

Przestał się śmiać i nagle przybrał poważną minę:

— Więc panią ta osoba interesuje?

— O!...

— No, niech pani się przyzna. Ja nawzajem pani powiem, że jest to kobieta tak dziwnej inteligencji, taka subtelna, taka rzadka, taka inna, że słów nie staje!

Ścisnęło się jej serce nie na żarty, patrzy na pnie świerków, które palą się miedziano-złotą, czarującą barwą.

- Tak?
— Daję pani na to słowo.
— Niech się pan z nią ożeni.
— Ja?...

Nowy wybuch przeciągłego śmiechu i znów powaga.

— Ja się tam kiedyś ożenię może... a co do tej kobiety, to pani ją sama pozna niezadługo.

- Przyjeżdża do Zakopanego?
— Tak.

Tuśka zagryza usta. Wszystko wydało się jej niepojętą mieszaniną bólu i miłych uczuć, których już rozróżnić nie może. Oburza ją przecież cynizm tego człowieka. Ją, Sznapsię i tę trzecią — wszystkie razem wiąże w jedno i gra z nimi jak z tymi mchami, które przed chwilą wpinał w brzeg jej sukni.

Teraz znów zapowiada przyjazd tamtej nieznanej i narzuca ją Tuśce za przyjaciółkę. Tego za wiele. Ale on nie zdaje się dostrzegać jej oburzenia. Rwie całe masy naparstnic i rzuca na nią tak szybko, iż tchu złapać nie może.

— Zazdrość w żółtym chadza kolorze! powiedział mój przyjaciel Szekspir — woła i chwytą ją pod łokieć, umożliwiając jej zbyt trudne pośród zwałonych pni przejście.

I zaraz woła czystym, śpiewnym głosem:

— Pito!... Pito!...

Dochodzą do wierzchu.

Pita siedzi jak Budda w głębi powozu. Nie patrzy w stronę nadchodzących. On podbiega ku niej i wykrzywia pociesznie swoją twarz ruchliwą.

— Panna Zązel! panna Zązel *de domo* Odętowska, herbu Mucha w nosie... Zaraz przeprosić mamusię!... pędzej...

Ale Pita, drewniana i sztywna, patrzy na niego wyniośle.

— Fiu!... co za spojrzenie! proszę siadać...

Pomaga Tuśce wsiąść do powozu i z ogromną zmiennością przestaje zupełnie zajmować się Pitą.

Natomiast zwraca całe swe staranie ku Tuśce. Podaje jej kwiaty, otula szalem i zaczyna opowiadać niezliczone, kulisowe anegdotki, nadzwyczaj dowcipne i zabawne. Jest w nich spryt i wdzięk, jest w nich pewna nutka rozumnej wesołości i Tuśka mimo woli zaczyna brać w nich udział. Zapomina o Sznapsi, o pocałunku porannym, o tej, która ma przybyć — wsłuchując się w dźwięk głosu aktora, patrzy na jego ciemne źrenice, wesołe, różowe usta, szaloną wyrazistość rysów i niejako rzeźbi te wszystkie szczegóły w swej pamięci.

Wymijają całe szeregi powozów jadących w stronę Morskiego.

Tuśka myśli:

— Wczoraj o tej porze i myśmy tak jechali, dziś wracamy, a jutro...

Już minęli Jaszczurówkę, już są w Zakopanem. Szare jakieś i senne wydaje się Tuśce. Porzycki milknie i przez chwilę długą patrzy w nią uporczywie.

Ten wzrok zaczyna ją mieszać. Wydobywa z niej wrażenie, jakiego doznała uczuwszy jego usta na swych włosach. Przejmuje ją dreszcz.

On nagle zamyka oczy i siedzi tak chwilę.

— Gdy się na panią zapatrzę — mówi — to potem, gdy oczy zamknę, widzę panią najdokładniej... To bardzo miłe.

I otwiera oczy, aby się nią znów napatrzeć.

Powtarza to kilkakrotnie.

O Picie oboje zapominają zupełnie.

Ona siedzi cicha i prawie nieruchoma.

Oczy ma błędzi po drodze, po smrekach, po przechodniach.

Jest jeszcze więcej zamknięta w sobie, więcej tajemnicza niż dawniej.

Natomiast Tuśka tonie powoli w jakimś sentymencie skomplikowanym, którego by określić nie potrafiła. Odrzuca na bok wszystko, co jest złe, i wybiera jak kwiaty z więdnącego bukietu samo miłe. Nie chce myśleć także, ile ją będzie kosztowała dorożka, która przebyła noc całą przy Morskim Oku.

— I tak pojedę — myśli zagłębiając się w białe futerko.

Porzycki, w miarę jak się zbliżają do domu, staje się coraz miłszy, a oczy jego nabierają coraz bardziej ciągnącego wyrazu. Rzuca nawet jedno zdanie, które elektryczną iskrą przebiega po Tuście:

— Kiedy przyjadę do Warszawy...!

A więc rzeczywiście. On może przyjechać do Warszawy. Ale cóż stąd? — przyjedzie jako aktor na występy może. Wpadnie w teatr, w ten wir, chaos, pomiędzy nowe aktorki.

Czy będzie pamiętał o Tuście, o Morskim Oku?

Jakby w odpowiedzi na jej myśli Porzycki mówi:

— Przyjadę zapytać, czy pani pamięta, jak słońce nad Morskim Okiem wschodzi.

Uśmiechnęła się do niego, wysuwając podbródek z puchu futerka.

— Jakże to można zapomnieć! — mówi łagodnie.

— Brawo! postęp!... nie przeminęło.

— Co?

— Wrażenie.

— Czy pan sądzi, że u kobiet wrażenia mijają tak szybko jak u mężczyzn?

— Nic nie wiem. Mogę tylko sądzić o mężczyznach z siebie samego i wiem, że u mnie wszystkie wrażenia są bardzo porządnie poklasyfikowane jak u pani w szaszetce rękawiczki.

Na starość powyciągam, okurzę i karmić się nimi będę. Źle obmyśliłem? co?

— Nie wiem.

— Tam znajdzie się i dzisiejsza wycieczka.

— Jedna z tysiąca.

— Nie. Ona mieć będzie osobne miejsce. Jest jedną z najmiłszych, a może najmiłszą.

Wbił w nią swe czarne oczy z uporem i patrzył tak długą chwilę. Tuśka chciała ramionami wzruszyć, nie mogła. Choć ją rozbierało. Nagle dorożka stanęła.

— Już?

Zaczęli wstawać, otrząsać się z pledów, kwiatów i serdaków.

Od szosy biegła wałąc w ziemię nogami Obidowska.

Rzuciła się ku Porzyckiemu:

— Niech wartko idom!...

— Albo co?

— Gościa majom!

— Kto?... może...

— Ano... ano...

— Przyjechała?

— A ino, jesse fcora, jakeście u Morskiego balowali.

Nic nie zdoła określić radosnego uśmiechu, jaki rozjaśnił twarz aktora. Porwał swój pled, trochę kwiatów i rzucił się ku chacie.

— Proszę... niech pani go zapłaci, a potem się obliczymy! — zawołał ku Tuście.

Umówili się bowiem, że on poniesie jedną trzecią kosztów wycieczki.

Nie odpowiedziała mu nic. Zesztywniała cała tą wiadomością, iż owa trzecia, a właśnie najpierwsza, jest już pod jednym z nimi dachem. To był groźniejszy współzawodnik niż Sznapsia. Tamta była przeszłość, to teraźniejszość.

Gdy wchodziła do swoich izb, eskortowana przez gaździnę niosącą za nią tobołki, zdawało się jej, że wchodzi do jakiegoś grobu. Przeszła jeszcze przykry targ z woźnicą, który jowialnie i pocziwie punktując swoją mowę „hej!” zdzierał z niej skórę i wreszcie, zamknąwszy drzwi, znalazła się z Pitą sama.

Przedtem jednak rozmowna, a widocznie mająca nagromadzone zapasy wywnętrzania się, gaździna zawiadomiła ją, że pani „naszego pana bandzie spać w jego izbie, a on przylegnie se w komórce, co je porzomna jakby izba”.

Tuśka przerwała dalszą rozmowę, nie chcąc nic wiedzieć więcej:

— Proszę was... idźcie, głowa mnie boli.

Gdy aszantka wyszła, Tuśka przede wszystkim usiadła do pisania nowego listu do męża. Był on już trochę różny od tego, który pisała przed wyjazdem do Morskiego Oka. Nie było w nim nienawiści do gór ani do otoczenia. Była za to wielka doza melancholii i smutku, rozwinięta na tle ich materialnych stosunków.

„Wiem — pisała — iż dla mnie i dla Pity takie lato, spędzone tutaj w innych, lepszych warunkach, byłoby zbawienne i postawiłoby nas na nogi, ale czyż możemy o tym marzyć? Bieda na świecie ludziom, którzy muszą się liczyć z każdym groszem! Nawet im chorować nie wolno, bo to za wielki zbytek. Wolę wrócić zaraz i proszę, spodziewaj się nas...”

Urwała.

Chciała oznaczyć datę — nie mogła.

Coś ją wstrzymało jakby za rękę.

Dodała więc tylko:

„Spodziewaj się nas w tych dniach i nie dziw się, że jesteśmy mizerniejsze niż przed wyjazdem. Pomimo wielkiej oszczędności odmawialiśmy sobie wielu rzeczy koniecznych tutaj do odzyskania zdrowia. Nic więc dziwnego, że zamiast wzmocnić się osiągnęliśmy wręcz przeciwny rezultat”.

W tym tonie ciągnął się list długi, dłuższy niż zwykle.

Tuśka ogłuszała się po prostu, pisząc do męża owe jeremiady. Nie doznawała tego zdenerwowania, jakie ogarnęło ją podczas pobytu Sznapsi w mieszkaniu Porzyckiego, ale to, czego teraz doświadczała, było sto razy gorsze.

Jakiś ból tępy, rodzaj rezygnacji w pojmowaniu koniecznego położenia, a przy tym pewna pogarda i nienawiść do siebie.

— Dobrze ci tak!... dobrze ci tak!... — powtarzała sobie w myśli.

Wstała od stołu, podeszła do okna.

Panie Warchlakowskie siedziały na werandzie i przyjmowały jakąś wizytę. Dama w angielskim kostiumie, wiedeńskim kapeluszu, paryskiej halce, kaukaskim pasku, włoskich kameach i „zakopiańskim” serdaku zajadała się ciastkami od Płonki i zapijała kawą. Mama Warchlakowska przez szyby swej lornetki patrzyła uporczywie na okna Tuśki i opowiadała coś ironicznie damie w serdaku. Panienki siedziały urzędem, plotły girlandę z choiny, przetykając ją bibulanymi różami, i strzygły uszami jak konie na łące. Tuśka czuła, że to o niej mowa, ale nie usunęła się od okna. Przeciwnie, stała jak na pręgierzu, powtarzając sobie:

— Dobrze ci tak! dobrze ci!...

Nagle z sieni domu wyszedł Porzycki i jakaś kobieta. Tuśka nie dostrzegła jej twarzy, bo Porzycki, który niósł jej parasolkę, rozpiął ją zaraz i podał, osłaniając twarz tej damy od słońca.

Spostrzegła tylko Tuśka, że była to kobieta smukła, zgrabna, o lekkim, rasowym chodzie. Ubrana w czarną grenadinę i niewielki czarny kapelusz, przystrojony gaza, przesuwała się przez dziedzińczyk i wyszła na drogę. Porzycki szedł obok niej rozmawiając żywo. Pochylali się oboje ku sobie, widocznie mieli sobie dużo do powiedzenia. Było w nich widocznie to *coś*, co łączy naprawdę ludzi wspólnością życia, uczuć, pojęć i interesów. To czuła Tuśka od razu. Teraz łatwiej pojmowała podobne odcienie. Przypomniła sobie, jak idzie ona obok swego męża, jak oni chodzą wszyscy obok siebie drewniano, obojętnie, obco...

— On ma słuszość! — pomyślała.

Patrzyła chwilę za nimi, jak szli drogą, i coraz więcej nabierała przekonania, że ci dwoje rozumieją się i nie są dla siebie „mumiami”.

Rzecz dziwna. Ona dla tej kobiety nie czuła tej złości, jaką miała dla Sznapsi lub do innych kobiet z otoczenia Porzyckiego. Może jego słowa o jej wyjątkowej inteligencji i charakterze od razu postawiły tę kobietę na takim piedestale, że niskie uczucie ze strony Tuśki nie mogło się rozwinąć.

Jak było — to mniejsza, dość, że było w tej chwili w Tuśce zgnębienie i rozplynięcie się w sentymentalizmie nad goryczą losu.

— Dobrze mi tak!...

Dojrzała, iż pani Warchlakowska i cała jej banda śledzi także nieznajomą i Porzyckiego. Cofnęła się od okna w głąb pokoju. Czuła się dziwnie samą i opuszczoną. Zajrzała do

drugiej izby i tam dostrzegła Pitę, która umywszy się, przebrawszy, siedziała przy stole i oczekując na podwieczorek, przeglądała po raz setny *Historię o Kasi i królewiczu*.

Tuśka byłaby chętniej podeszła do dziecka i zbliżyła się do niej w jakimś ciepłym, moralnym. Ale po prostu nie wiedziała, jak się wziąć do tego.

— Mumia!... — myślała, patrząc na nieruchomy profil córki — rzeczywiście mumia!

Umyła się, uczesała, przebrała w szlafrok, starając się zająć mechanicznie, aby nie pozwolić rozegrać się nerwom. Wyciągnęła kufer i zaczęła w nim układać bieliznę. W ten sposób chciała zmanifestować postanowienie wyjazdu.

Pita spojrzała na to spod oka, ale nie zapytała o nic ani nie poruszyła się z miejsca.

Wreszcie Tuśkę to milczenie, ta lodowata atmosfera zaczęła dławić nie na żarty.

Wyszła do sieni, spojrzała na drzwi Porzyckiego i zdawało się jej, że jakaś żelazna zasłona dzieli ich mieszkania. Przede drzwiami dostrzegła nieduże kalosze damskie i ten szczególnie drobny przedstawił jej przykrość całego faktu w zupełnej nagości.

Wyszła na dziedziniec i skierowała się ku szopie. Chciała, bądź co bądź, porozmawiać z kimkolwiek. Szła do gaźdżiny. Szła kobieta do kobiety.

W zmartwieniu kobiety zapominają o społecznej różnicy.

Garną się do siebie jak bratki podczas wichrów jesiennych.

Krążą obok siebie jak liście z drzew strącone, szarpane po tafli błotnistej kałuży. Mają w sobie przytulność zmęczonych duchów, które skrzydła smutku rozpiąwszy, sądzą, iż wzajemny cień będzie im litosny. Idą ku sobie słuchać głosów własnych i w nich doszukiwać się cech bólu, który szarpie w tej chwili ich serce. I w tym znajdują ulgę.

Nie jest to radość z cudzego bólu, lecz ta myśl, że się jest wreszcie zrozumianym, że taki ból już był, przeszedł i rozplynął się w mglistości wspomnienia.

Dlatego Tuśka do gaźdżiny idzie.

*

To, co szopą nazywała, okazuje się, że jest po prostu starą, dawną chatą.

Ile lat stoi ta chałupa, Obidowska nie pamięta. Wie, że się w niej rodziła i wychowała. To wie jedno.

Gdy Tuśka staje w progu izby, gaźdżina siedzi na ziemi i skrobie grule.

Czarno tu, powietrze stęchłe. Kury na podłodze rozwłóczą własne nieczystości. Tkwią w nich i nogi Obidowskiej wyciągnięte ku palenisku, na którym leciuchno ogień migoce.

W pierwszej chwili Tuśka nie dostrzega nic prócz jakichś sprzętów ciemniejących po kątach. Powoli oczy jej przyzwyczajają się do tego cienia. Widzi już sosrąb i wyrzynane belki. Czarne wgłębienia gwiazd znaczą się na brunatnym tle drzewa. U nóg Tuśki wala się prześliczny czerpak.

Bibulane, czerwone róże pokryły rzeźby ściennie. Tu i owdzie mech zakwita wśród szczelin.

Pachnie tu jaskinią ludzi pierwotnych, rozwłoczy się zwierzęcość i zarazem jakaś piękna prostota dusz, gnających ku łączeniu linii, w zajrzane w gwieździste noce błyszczących widm kształty, lub pochwytyanych na futra serdaków płateczki — śniegowe, przywiane od wichrów, od hal.

A może wzorami im są te cudowne kwiaty, które mróz po szybach w księżycowe noce tchnieniem swoim rzeźbi?

A może...

Gaźdżina dojrzała Tuśkę i zwróciła się ku niej:

— Cego fcom?

Tuśka na razie nie odpowiadała.

Błądziła po tej chałupie, gdzie dokonywały się także życia ludzkie, gdzie cały odrębny jakiś świat zbił się w miazgę faktów i stamtąd objawami uzewnętrzniał się i wypowiadał swój rozwój takim światom.

Pod ścianą łóżka narzucono trochę betów, trochę słomy. Kołyska na sznurach, dawno nie używana, pusta, wyschła...

I te czerwone róże dziwne, wykwitłe pożogą wśród ścian szerniałych.

Pod nimi, na jednym z łóżek, zwalony w bety Józek Obidowski śpi z twarzą do góry podaną.

Ukośne światło z okna pada na jego usta purpurowe, kalinne policzki, czarne łuki brwi na białym, niespalonym czole.

Róże nad nim kwitną.

Róże na tle ciemnej ściany.

I ta twarz młoda, świeża, dysząca siłą i żywiołową mocą jak róża wykwitła w ciemni dokonanych istnień.

— Cego fcom? na poctę?...

Z rąk Tuśki gaździna bierze list do męża.

— Wnetki się Józiek zbudzom, to póndzie.

A widząc, że Tuśka stoi, przeczuwa w niej gościa.

— Niech se przysiądom.

Machinalnie Tuśka osuwa się na trójnożny koło komina stołek.

— A cóż to? wasz mąż chory, że śpi?

Oczy gaździny zaświeciły w cieniu. Miłośnicie ogarnęła śpiącą postać kalinną, różaną...

— Niek śpi, wódcysko z niego wyparuje.

— Pijany?

— Dałam mu sama wódki, żeby po wirchach nie latał.

Tuśkę przeszedł mróz.

W tej cichej chacie ta stara kobieta w przystępie zazdrości dokonywała powolnej zbrodni. Rozpajała tego halnego orła, aby zmożony trującym oszołomieniem, nie rwał się na wirchy, gdzie ona iść z nim nie mogła.

— Napije się, rozbierze go bardzo niewiele, prześni się i mam spokój!

Ciężki, dyszący oddech śpiącego mącił ciszę ciemnej chaty.

— Ależ kobieto... pomyślcie... robicie źle, przyuczacie go do pijaństwa.

— Hale!... wole, niek będzie pijok niz co jensego. Na wódcysko mnie zawsze będzie stać... niek pije.

Wpiła w niego oczy ogromne, płomienne, fatalne.

— Niek pije!

Na ziemi jak skrzydła odarte leżała przy łóżku Józkowa biała guńka, a na niej rzucona ciupaga, ta sama, która wybiła tyle „stupeni” w skale, aby jego lotne stopy mogły go nieść wyżej! wyżej!...

Światłem rozpylonego słońca, na szczytach przepotężnych gmachów, co przebijają chmury i ku niebu dźwigają się harde — biegał on, śmigły, depcąc szuwały i stokrocie, wypatrując kozice — on, zbójnicki wnuk z krwią wrzącą w żyłach, w tatrzanne, swobodne życie.

Biegał on lekko i zwinnie po ścieżkach tak wąskich, że na dwie stopy miejsca nie było, a po jednej ręce tylko przepaść i opieka Boża.

Wpatrzył się w szare, zębate, nagie turnie, przywarł się do nich duszą, wzrokiem i myślał:

— Moje wy, moje! hej!...

Jakby nad morzem bezdennym, tak pochyłał się nad dolinami, a na nich biała mgła kłębiła się falami, topiła się w błękit, złościła, aż wreszcie wchłonięta przez ciemnicę lasów zginęła w przestrzeni.

I myślał on wtedy:

— Moje wy, moje...

Czasem ponad przepaścią porwał go szal radosny nad tym, że żyje, nad tym, że jest taki silny i gibki, że jest zdolny śmigać jak koza po wierchach, i rozpuściwszy gunię jak skrzydła białe nad przepaścią zawrotną jął krzyczeć i dreptać, a głos jego wielką szczęśliwością daleko płynął i wracał do niego echem jeszcze szczęśliwszy, jeszcze młodością silniejszy.

Tak było.

Dziś Józek oddycha ciężko w dusznej, ciemnej chacie.

Bezprzytomny, w gorących betach traci siłę swoją. Guńka skrzydłami białymi przypadła mu do ziemi.

Ginie, marnieje.

U jej stóp, na straży, spalona namiętnością i słońcem na brąz, na stal, czuwa Wikta, wpatrzona w śniącego głębią swych rozpalonych, czarnych źrenic.

— Niech pije, niech śpi!

Tuśka czuje, że w tej chacie zanadto rozwieliły się własne sprawy, aby dla jej osamotnienia i potrzeby zamienienia słów kilku bodaj znalazło się miejsce. Cała tragedia namiętności wielkich, żrących się z sobą, graniczących nawet ze zbrodnią, kłębi się w obręb tej chałupy.

Tuśka powstaje i już przy drzwiach mówi:

— My pojedziemy w tych dniach z powrotem, gaździno.

Obidowska w jednej chwili zapomina o Józku, o swych tragediach życiowych i widzi tylko umniejszenie sezonowego zarobku.

— Jak to? — mówi marszcząc brwi — a jakże co ze mną myślom?

— Macie zapłacone za sezon, więc nie macie do mnie pretensji.

— A mlicysko?

— Sprzedawać będziecie komu innemu.

— A chodzenie po obiady?

— Nie będziecie chodzić, więc się nie będzie należało.

Ale Obidowska robi się coraz groźniejsza.

— Jak to? — powtarza — my bez sezon na zarobek od gościa liczymy. Jak gość odjedzie, zarobek też odjedzie... Tak być nie może.

Tuśkę porywa jakiś wstręt nieokreślony.

— A przecież tak będzie.

Wychodzi szybko i wraca do izby.

To, co ją otacza, zaczyna jej się wydawać straszne, nieprzychylnie, wrogie.

Nie patrzy na Pitę, która jak była poprzednio zakłeta w pozę nieruchomego bożka, tak pozostała do tej chwili.

Tuśka idzie wprost do swego łóżka, owija się pledem i kładzie się.

— Zasnę — myśli sobie — to będzie jeszcze dla mnie najlepsze. Wolę nie myśleć, może się uspokoję!

Gdy oczy zamyka, widzi ciągle jedno.

Tych dwoje idących złotą od słońca drogą, takich zbliżonych, takich dla siebie bliskich, takich „nie drewnianych”.

Ogarnia ją coraz większy żal.

Tuli twarz u poduszki.

Leży nieruchoma, leży długo, długo.

Pukanie do drzwi — i w ślad za tym ktoś wchodzi do izby.

Szeleści suknia, słychać kroki mężczyzny. I jego głos:

— O! pani śpi...

Tuśka porywa się z łóżka.

— Nie, nie, nie śpię.

Przed nią stoi Porzycki, a obok niego kobieta ubrana w czarną grenadinę i czarny kapelusz.

Tuśka spotyka śliczne, czarne oczy, oczy Porzyckiego, wpatrzone w nią, bladą, ściągłą twarz obramowaną pasmami ciemnoblonde włosów i bladą, pocziwie uśmiechniętą usta kobiety, którą los i niedola tak smutno uśmiechać się nauczyły.

Pytający wzrok Tuśki biegnie ku twarzy Porzyckiego.

On z uśmiechem nieokreślonej dumy i radości ręką nieznaną wskazuje:

— Moja matka!

Z serca, z duszy, z oczu Tuśki opada czarna zasłona.

To słowo znów rozświeca jej wszystko. Wyciąga rękę ku przybyłej z niebywałą u niej serdecznością.

— Jakże się cieszę!... — mówi — i zwraca się w miłym zmieszaniu do córki:

— Pito!... matka pana Porzyckiego!

Białoróżowa laleczka podchodzi.

Oczy czarne, dobre i uśmiech ciepły ogarniają śliczne postacie Tuśki i Pity.

I od razu robi się ciepło, jasno, miło, jakby ktoś do zamkniętego i opustoszałego dworu otworzył okiennice i wpuścił słońce i zapach bzów i jaśminu...

XXIV

Rzeczywiście wyjątkową kobietą była matka Porzyckiego.

Nie była to jedna z tych nudnych doskonałości, które mrozą sobą i po prostu dręczą.

Lecz była to kobieta *dobra* w całym słowa tego znaczeniu.

Dokoła niej był jakiś jasny krąg, pełen pobłażliwości i wielkiej, nieprzebranej dobroci. Ta kobieta posiadała wiele.

Zrozumiała, iż większym poświęceniem jest dobrze dla innych żyć, niż wspaniale dla innych umrzeć.

Więc żyła dla innych — dobra i cicha.

Wykołysana miłością, kołysała tak samo miłością tych, którzy od niej zawisli. Miała ręce pełne pieśznot, usta słów dobrych, a serce pełne dobrych czynów. Nie miała w księdze życia swego zapisanych bohaterskich postępów, ale miała nakreślone całe szeregi niweczonych czynów złych przez wpływ swej wielkiej dobroci.

Nie pogardzała nigdy najdrobniejszymi przejawami życia, bo czuła w nich nierozrwalność łańcucha, który powoli zbliża nas w krainę cudów. Spokojem, graniczącym z niezwykłością hartu duszy, wywoływała w tych, którzy się do niej zbliżali, uspokojenie i dążenie do hartowania się na rozterki życiowe.

Była cicha i małowówna, blada i uśmiechnięta, a miła w każdym geście, w każdym słowie. Zdawało się, że stąpa ponad ziemią, tak szła lekko i wdzięcznie.

Srebrne nici, którymi jej włosy przeplecione były, i wyraz jej ust, gdy milczała, mówiły jej dolę i historię jej życia.

Gdy siedziała, otulona ciemnym okryciem, ze swą piękną, spokojną twarzą, z rękoma smukłymi, białymi jak płatki lilii, miała wdzięk akacji, bielącej się nad czarnym marmurem grobu, w którym spoczęło ciało sprawiedliwego człowieka.

Od chwil poznania matki Porzyckiego Tuśka weszła w jakąś inną życiową atmosferę.

Od pierwszej chwili pociągnięta ku Porzyckiemu ogromną sympatią, rzuciła się prawie bez miary w tę nową, a tak dla niej pociągającą znajomość.

Porzycka przyjechała do syna zaledwie na dni kilka.

Nie chciała go krępować, mówiła z uśmiechem, to jego wakacje, dość się napracował w sezonie, należy mu się wytchnienie.

Siedzą teraz wszyscy na werandzie, na której piją herbatę.

Porzycki usiadł na schodach, tuż przy swojej matce. Obiera jej pomarańczę. Podaje, usługuje. Przywiózł jej ulubionych ciastek, bomb czekoladowych, sam od gaźdżiny wyprosił dobrej śmietanki.

Całuje ją co chwila w rękę i często mówi jej:

— Ty, moja droga staruszko!...

A ona w odpowiedzi:

— Ty, mój drogi malcze!...

Pita z ironicznym uśmiechem śledzi te objawy czułości. Wydaje się jej jakby niewłaściwe i nie dość dystyngowane. Zwłaszcza nazywanie rosłego, ogromnego Porzyckiego „malcem” wywołuje w niej zdziwienie. W ogóle taki sposób obejścia dzieci i rodziców widzi Pita po raz pierwszy w życiu. Sama nie wie, co ma o tym sądzić.

Porzyccy opowiadają teraz, że w Krakowie mieszkają razem i że jest im z sobą bardzo dobrze. Skoro Porzycki dostanie gdzieś indziej *engagement*, matka za nim pojedzie.

— Musi! — wyrokuje Porzycki. — Co ja bym bez mamy zrobił? Zmarniałbym, co?

Oczyrna pełnymi wielkiego przywiązania spogląda Porzycka na twarz syna.

— Co ja bym bez ciebie robiła? — mówi z uśmiechem.

Tuśka już teraz wie dużo, dużo.

Z kilku zdań Porzyckiej dowiedziała się, że ten lekkoduch, wartogłów — aktor — oddaje matce co pierwszego i piętnastego całą swoją gażę. Ona to mu wydziela na ubranie, na jego drobne wydatki, a z reszty opłaca mieszkanie i utrzymanie dla nich obojga.

— Mąż nie zostawił mi nic prócz wspomnienia wielkiego, bezgranicznego szczęścia. Umarł lat temu kilka. Lulu wstąpił na scenę — poszczęściło się. Teraz jest nam dobrze.

Tuśka czuje wielkie zdumienie.

Jak to, więc ten szalapat, ten komediant, który oprócz miłostek nie zdawał się nic mieć przed sobą w życiu, wypełnia tak uczciwie, tak pięknie synowskie obowiązki?

To „coś”, co tak solidarnie łączy z sobą wszystkie kobiety, ta wdzięczność dziwna, którą kobieta czuje dla mężczyzny, jeśli postępuje uczciwie i pięknie względem innej kobiety, przyczynia się w Tuście do rozwiązania jeszcze silniej powstającego w niej uczucia dla Porzyckiego. Nie w jednym kierunku dążą teraz jej myśli, już zaczyna sobie z niego urabiać ów „ideał doskonałości” i cała siatka ścieżek ku niemu się powoli do jej serca zbiega.

To, co w mężu swoim uważa za obowiązek, tę pracę i oddawanie wszystkiego na wyżywienie jej i dzieci, w Porzyckim wzrasta do rozmiarów heroizmu.

— Zaczne... dobre... drogie — myśli patrząc na aktora całującego matkę po rękach...

Niesprawiedliwość, będąca pierwszą cechą miłosnej ekstazy, zaczyna już obejmować ją w swoje posiadanie.

— Brakowało mi jednego do szczęścia — mówiła do niej raz Porzycka — córeczki.

Śliczny uśmiech posłała w stronę Pity. Dziewczynka odpowiedziała szablonowym, grzecznym uśmiechem.

— Ba! — zawołał wesoło Porzycki — z takim urwisem jak ja miała mama dosyć! Wystarczyłem za tuzin córek.

— Nie — odparła Porzycka — kobieta zawsze pragnie mieć córkę, bo nic nie zdoła zastąpić jej serdecznej łączności, jaka jest między matką a córką. Prawda, że mam rację?

Zwróciła się ku Tuście, która zarumieniła się gwałtownie.

Uczuła bowiem na sobie wejrzenie Porzyckiego i wzrok Pity, dziwny, rozumny, przenikający ich wzajemny stosunek.

Nie odpowiedziała nic i serdecznie rada odetchnęła, gdy drogą przeciągnął korowód pań Warchlakowskich idących w stronę Kościelisk. Wszystkie wlepiły oczy w werandę i zwolniły kroku. W pelerynach brązowych robiły wrażenie małych mniszek, idących na modły nieszporne.

Porzycka umilkła także, jakby instynktem odgadywała dziwny, nienaturalny, sztuczny stosunek, wytworzony pomiędzy tym ślicznym dzieckiem a jego matką.

Następnego dnia Tuśka wstała trochę później i Pita sama siedziała na werandzie pijąc sobie paznokietki.

Na werandę weszła Porzycka.

Tuśka przez szklane drzwi i przez muślin firanki widziała, jak Porzycka chwileczkę stanęła, jakby wahając się, wreszcie do Pity podeszła.

Drzwi były uchylone, Tuśka dokładnie słyszała całą rozmowę.

— Dzień dobry ci, Pito!

Pita wstała i dygnęła z daleka.

— Dzień dobry pani!

— Ucałuj mnie na dzień dobry.

Jak manekin drewniany Pita podeszła, ujęła rękę Porzyckiej i złożyła na niej leciuchny pocałunek.

Dokonawszy tego czynu chciała oddalić się, lecz Porzycka zatrzymała ją za rączkę.

— Nie odchodź! pozostań przy mnie chwilkę! Usiądźmy razem. Czy chcesz trochę porozmawiać ze mną?

— Jeżeli pani każe.

— Ja ci nic zazać nie mogę. Ale powiedz mi, dlaczego jesteś zawsze tak poważna? Podobno pogniwiałaś się o coś na wycieczce. Tak mi mówił mój syn? Czy to prawda?

Pita milczy.

W oczach jej maluje się zdziwienie, że ktoś porusza tę kwestię i dobiera się do jej serduszka.

— Milczysz? — ciągnie dalej Porzycka — a więc to prawda. Ale, moje drogie dzieciątko, pomyśl tylko, czy ci Bóg dał na to życie, ażebyś je marnowała na czynienie przykrości swoim najbliższym i sobie samej?... No, no, odpowiedz!

Pita ciągle milczy, ale zmarszczyła cieniuchne brewki i wyłamuje palce z całą gorliwością, godną lepszej sprawy.

Tymczasem Porzycka powoli przysuwa dziewczynkę ku sobie. Oplotła ją ramieniem i delikatnie gładzi jej włoski.

— Bóg daje córeczki matkom — ciągnie dalej — dla ich radości i pociechy, tak jak tobie znów Bóg daje kwiatki, motyle, ptaszki. I pomyśl tylko, jak byłoby ci przykro, gdyby te kwiatki kłuły cię i piekły, motyle gryzły, a ptaszki dziobały. Wyrzekłabyś się przestawania z nimi. A mama twoja musi z tobą przestawać, musi znosić twoje gniewy i dąsy, choć ją serce boli... Bo twoja mama, ta, która cię kocha...

Przytuliła główkę Pity do siebie, mówi tak miło, jakby to kołysanka jakaś szemrała w powietrzu. Pita milczy, ale się nie wyrывa, przeciwnie, doznaje jakiegoś uczucia błogiego spokoju. Zdaje się jej, że jest jeszcze bardzo malutka, i to wrażenie zaczyna ją rozrzewniać nie na żarty.

— Taka dobra dziewczynka jak Pita — mówi Porzycka — powinna swoją mamusię ukochać, upieścić, ucałować, powiedzieć jej wszystko, co ma na sercu, co myślała cały dzień, co jej się przez główkę przewinęło... Dlaczego Pita tak nie robi?

Odsunęła trochę dziecko i w oczy patrzy.

— Bo... mamusia nie chce! — szepce cichutko Pita.

Tuśce robi się bardzo smutno i przykro. Czyżby Pita czuła inaczej, czy tylko kłamstwem wykrętnym usprawiedliwia się przed Porzycką.

Cała ta scena jest jej niewymownie przykra. Szybko kończy się ubierać i wychodzi na werandę.

Pita siedzi na kolanach Porzyckiej i słucha, matka aktora mówi do niej łagodnie i cicho.

— My tu zawieramy bliższą znajomość — mówi z uśmiechem Porzycka do zbliżającej się Tuśki.

— Ale ona jest ciężka... Jakże można...

— Nic, nic.

— Pito, zejdz z kolan.

Pita posłusznie zsuwa się z kolan Porzyckiej.

— A ta panienska przyznała mi się, że ma tam w głębi jakiś żal, czy coś takiego, jeszcze z wycieczki...

Tuśka przybiera z przyzwyczajenia lodowaty wyraz twarzy.

— Pita się zapomniała! — mówi z wyniosłością odpowiednią dla monarchini karcącej damy dworu — zachowała się niewłaściwie i bez taktu. Dziwię się, że o tym mówi.

Osoba zachowująca się „bez taktu” kraśnieje jak wiśnia i drepce na miejscu w swych ślicznych, białych bucikach.

Porzycka patrzy na matkę i córkę w dziwny jakiś, trochę litosny sposób. Nie wie sama, jak wybrnąć z tego obustronnego chłodu, który ku niej od tych obu istot wieje.

Wybawiła ją z tego kłopotu Tuśka.

— Idź, Pito, do izby. Tam jest twoje mleko przygotowane. A proszę cię, wypij wszystko.

Jeden dyg, powianie białych spódniczek, szarych pończoszek, złotych włosków i Pita ginie jak małe zjawisko.

Tuśka siada naprzeciw Porzyckiej.

— To bardzo trudna do prowadzenia dziewczynka? — pyta Porzycka.

— Nie — mówi Tuśka — jest bardzo grzeczna, uprzejma, ładnie ułożona i rozsądna. Po raz pierwszy wyszła z zakreślonej drogi, ale... niech się pani nie obrazi, mam to do zawdzięczenia panu Porzyckiemu.

— Lulusiowi?

— Tak.

— W jaki sposób?

— Tak ją rozbawił, rozpuścił, rozdokazywał, że poznać jej nie mogłam.

— Ależ... tym lepiej.

— Daruje pani!
 — Co?... Dziecko powinno być dzieckiem, to jest wesołością, tchnieniem gorącym, śmiechem, temperamentem. Inaczej to starość przedwczesna. To straszne.
 — Moje dzieci są chowane inaczej.
 — To źle! źle!...
 Z pewną żywością ujęła Tuškę za rękę.
 — Starsza jestem, mam prawo dać pani pewne wskazówki. Na rozum, na takt będzie jeszcze czas. Pozwól im być sobą! Całuj, pieść, karć — ale niechaj *żyją*, niech żyją pełną, całą piersią! Ja tak mego syna chowałam.
 Dziwny uśmiech wypłynął na usta Tuški.
 — Pani syn... — wyrzekła i głos jej zawisł w powietrzu, dziwny, nieokreślony.
 — Mój syn jest szczęśliwy.
 — Tak... on...
 — I ja z nim.
 — Tak, wy dwoje.
 Zapadło milczenie.
 Coś się stało, coś weszło pomiędzy te dwie kobiety, coś jeszcze nieuchwytnego, niezrozumiałego dla nich, ale co uczuły obie tą najsztelniejszą warstwą swej duszy.
 W oczach Porzyckiej zamigotał znów ogień niepokoju.
 — Czyżby?... — pomyślała.
 Wpatrzyła się w Tuškę.
 Ta siedziała posepna, z okiem wbitym w żółtą powierzchnię stołu.
 I było w jej całej postaci jakieś wielkie zgnębienie, jakieś zmieszanie i konieczność ciągłego udawania.
 Porzycka przez długą chwilę milczała, wreszcie ujęła rękę Tuški i pociągnęła ją ku sobie.
 I tak jak poprzednio tuliła do siebie córkę i do serca jej się dobierała słowami, tak teraz pocziwie i serdecznie myślą wnikała w zmęczoną tajemnicę Tuški; która powoli, bezwiednie głowę swoją ku ramieniu Porzyckiej schyliła.
 Od pola zarosłego owsem dolatywała cisza, ciągła modlitwa rozspiewanych much i świerszczów. Upalny letni dzień spadł w dolinę zakopiańską jak płomienny ptak. Cisza była wielka, tylko ten brzęk i chwilami w oddali jakby ktoś śmiał się, jakby ktoś płakał.
 W Picie, w Tuście powoli, jak pod śniegiem, rozwija się serce z obsłonek martwoty.
 Powoli — powoli...

XXV

Długa koperta, nic nie znacząca, zaadresowana dość starannie.

A w tej kopercie całe bagno, coś tak straszego, coś tak cuchnącego, że w uczciwej piersi serce ze zgrozy zamiera.

Anonim!

Specjalność zakopiańska. Coś, co pełza, lata, spada, najczęściej spłodzone na miejscu, wysłane z Krakowa, i zjawia się nagle u progu jak dzuma, siejąc chwilowy smutek, przykrość.

Taki gość wciska się w rękę Porzyckiej, do niej specjalnie adresowany „Życzliwy przyjaciel” — ostrzega przed „brudnym romansem jej syna, który uległ wpływowi awanturnicy, nie wahającej się mimo obecności dziecka roztaczać swą hańbę i dopuszczać się do takich skandali, jak nocne spacerzy przy księżycu i wycieczki trwające dwadzieścia cztery godziny...”.

Porzycka z bledszym jeszcze uśmiechem przebiegła wzrokiem karty anonimu.

— A więc... tak...

Smutno jej.

Smutniej może w tej chwili niż w czasie innych awanturek miłosnych syna. Ta pani z Warszawy, z tym ślicznym dzieckiem, wydaje się jej mimo sztywności istotą inną, względności pewnej godną.

Gdy tam na werandzie przyłgnęła jej do ręki, uczuła w niej pewne zawahanie się już na los, przemęczenie długie w tej sztywności musowej, w której żyła.

Było to samo i w Picie, gdy tuliła się do niej przed chwilą.

Porzycka siedziała nieruchoma, zamysłona w izbie, którą poprzednio zajmował jej syn i która była pełna jego obecności.

Na stole fotografie jego i kilku kolegów i koleżanek. Cały plik ról koło łóżka. Na ścianie grupa z wycieczki. Rower w kącie izby. Kilka tomów Szekspira. Byron w żółtej okładce, nieodłączny Laforgue i ciśniecia w kącie *Chanson de Bilitis*.

W dzbanku od wody gałęzie smreków, obok nesesera kociolki do gotowania, „herby”, przybory wycieczkowe.

I woń ostra od serdaków, kozuszków, zmieszana z wodą kolońską i rozsypanym po kątach tytoniem.

Porzycką nie martwi treść anonimu. Romans!... tak. Tyle już tych romansów przewinęło się przed jej zmęczonymi oczyma. Te fotografie porozstawiane po stołach dostatecznie o tym świadczą. Lecz w tym wypadku coś ją specjalnie boli.

Może ze względu na Pitę.

Jest zanadto dobrą kobietą, aby wierzyła słowom anonimu.

„Syn pański uległ przewrotnej kokieterii awanturnicy” itd.

Na wskroś czysta i uczciwa wie wszakże intuicją, że nie kobieta kokietuje, lecz zawsze mężczyzna pierwszy wyzywa uwagę kobiety. Jest to niedostrzegalne, chwilowe, nawet dla samej wyzwaney kobiety niezrozumiałe — a przecież tak jest niezaprzeczalnie. Tylko, rzuciwszy ową przynętę tak subtelną jak cień, mężczyzna odwraca się i udaje obojętność. A wtedy kobieta iść za nim musi po promieniu hipnozy i nie tai się, nie kryje.

Stąd legenda o zaczepnej taktyce kobiet.

Tak myśli Porzycka. A wreszcie zna dobrze swego syna. Wie, iż jest żywym odbiciem ojca. Zna doskonale, jaki nieokreślony powab, jaki urok dziwny ma w sobie ten *genre* mężczyzny. Coś dziecięcego, wieczny uśmiech i tyle serdecznej tkliwości, starania, troszczenia się o tę kobietę, którą wybrał i ukochał, chociaż przelotną, chwilową fantazją. Wie, że jest to i rodzaj najniebezpieczniejszy, najprędzej zniewalający, a zwłaszcza serca zastygłe w pozornej martwocie, jak serce Tuśki.

Więc czuje tu winę syna i prawie przyjmuje część tej winy na siebie.

— Czy nie zbłądziłam — myśli — chowając go zanadto sercowo? Dziś ten człowiek nie umie ani jednej chwili pozostać sam, bez jakiegoś drugiego serca, które musi rozgrzać dla siebie, choćby tylko przelotną iskierką... Czy nie moja w tym wina?

Słońce zachodzi, ściela się prześlicznymi blaski po pokoju.

Dwiema srebrnymi plamami odbija się w ciemnym, glinianym garnku, z którego jak fontanna wytryskuje snop gałęzi smrekowych.

Złotą kratą przylega do przeciwległej ściany i stanowi tło dla obrazka Matki Bożej nad łóżkiem aktora.

— Czy nie moja wina?

Coraz złociej, coraz cudowniej na świecie i w izbie. Aż coś duszę wyrывa, taki szafir nieba trochę czerwony przez gałązki smreków przegłąda. Jakiś mały ptaszek świergoce cichutko.

Drzwi otwierają się — do izby wpada Porzycki.

Cały spocony, tak biegł szybko.

Porzycka przerywa mu gestem.

Niesie fenacetynę z apteki, szynkę i ostatnie „Liberum Veto”.

— Całe zakopiańskie! — woła, rzucając matce na kolana czerwony zeszytek.

Spogląda na Porzycką i w tej chwili dorozumiewa się, że się coś stało.

— Cóż tam nowego? — pyta.

Ona podaje mu anonim.

Czyta obcierając pot z czoła, wreszcie wybucha śmiechem.

— A to zwierzę!...

— Mniejsza o list. Tu chodzi o fakt. Czy to prawda?

Spojrzał na nią zdziwiony.

— Co się dzieje? — zapytał. — Nigdy ze mną nie mówiłaś o *takich* sprawach. I było nam z tym dobrze. Dlaczego teraz moja staruszka zmienia taktykę?

Porzycka spuściła oczy.

— Tak... masz rację... Nie mówiłam nigdy z tobą o tych... drobiazgach. To rzecz twoja. Każdy człowiek jest panem swego losu... Ale ja sama nie wiem, dlaczego robię ten wyjątek!... Chciałabym, żeby anonim skłamał. Chciałabym bardzo...

Porzycki zwraca się do stołu, rozwija przyniesione pakunki. Nie patrzy w oczy matki.

— Anonim kłamie! — mówi, lekko wzruszając ramionami.

— Kłamie?

— Naturalnie. Pomiedzy mną a panią Żebrowską nie ma *nic* prócz przyjaźni.

— Nic?

— Ależ nic. To ta głupia kołtunka z przeciwka mści się w taki sposób. Jak mama może temu dawać wiarę? To bardzo uczciwa kobieta, pani Tuśka... A zresztą... Ach, Boże! Mamuńciu, czy wszyscy ludzie są zwierzęta?

Twarz Porzyckiej pobladła.

— Och, Lulu! — mówi z wyrzutem — ja o tym nie myślałam.

I z tego poblednięcia, z tonu tego głosu, niemal przerażonego, czuć łatwo, że ta czysta dusza nie tknęła myślą tego, co jest w miłości najgorsze, najfatalniejsze i najwięcej wiążące lub odpychające.

Zapadło milczenie.

Porzycki czuł, iż przekroczył granice, że powiedział to, czego wobec matki wymówić nie powinien.

Ona zaś zmartwiła, bynajmniej nie uspokojona, lecz przeciwnie, nagle przypuszczająca możliwość tego najstraszniejszego faktu, który dla niej poza uświęconym związkiem przybierał rozmiar zbrodni.

I ogarnęła ją ogromna trwoga o tamtą kobietę i o to dziecko, które stały nad przepaścią. Kobieta przez możliwość upadku — dziecko przez stanie się córką kobiety upadłej.

Zwróciła strwożone oczy ku synowi.

— Lulu!

Szybko zbliżył się ku niej i przy jej kolanach na ziemi przysiadł.

— Co, matuś?

— Może... może byś wyjechał?

— Ja? po co?

— Widzisz... ja się lękam...

— O mnie?

— Nie. O nie, o Tuśkę — o Pitę!

Zaczął się śmiać, nawet dość szczerze.

— Ale nie bój się, mateczko! Nic im się nie stanie. Zresztą one jadą.

— Kiedy?

— W tych dniach.

Odetchnęła z uczuciem ulgi.

— Chwała Bogu!

Zerwał się z miejsca, wykręcił pirueta.

— Tak! A teraz proszę zażyć fenacetyny i położyć i się na chwileczkę. Proszę mi oddać ten anonim. Włożę go w kopertę od papieru Rigollot i odeślę pani Warchlakowskiej. Trzeba oddać Cezarowi, co jest Cezara.

— Proszę cię, nie rób tego.

— Dlaczego?

— Mścić się będzie jeszcze gorzej.

Egoizmem męskim uniesiony, zawołał z lekceważeniem:

— Ja sobie drwię z tego.

— Mnie o ciebie nie chodzi, ale o panią Żebrowską.

— E! i ona drwić sobie będzie.

Porzycka która już wstała i przy stole przygotowywała sobie proszek, zapytała nagle:

— A jej mąż?

Nastąpiła chwila milczenia.

To słowo, wpadające nagle w tę sprawę niezbyt czystą, przywodziło ze sobą wspomnienie o istnieniu człowieka, o którym wszyscy zapominać się zdawali.

— Jej mąż? — podjął wreszcie. — Jej mąż, jeżeli jest człowiekiem uczciwym, nic sobie z plotek robić nie będzie!

Głos jego był jakiś niepewny. Czuć było, iż w to, co mówi, nie bardzo wierzy i że pragnie po prostu, przerwać przykrą dla niego rozmowę.

Za chwilę rzeczywiście wyprowadził rower i pognął na nim jak szalony w stronę miasta.

Porzycka jednak uspokoić się nie mogła.

Postanowiła nie mówić nic Tuście o otrzymaniu anonimów, pragnęła jednak przed wyjazdem zapewnić się, iż nie stanie się nic takiego, co może zniszczyć spokój całej rodziny i zatruć kobiecie jej przyszłość.

Z oczyma utkwionymi w ginącym w mroku obrazku Matki Bożej, który Lulu zawsze i wszędzie z jej woli miał nad łóżkiem, leży Porzycka, szarpana wielkim niepokojem. To brzydkie, to ludzkie, to zakrywane do tej chwili przed nią — zdrada, wiarołomstwo, naruszenie przysięgi zaczyna tłoczyć się ku niej widmami o trujących, strasznych oddechach. Okalają ją wieńcem, wypełzają z kątów. A ona — kobieta siwa, zwiędły kwiat mogilny — drży przed ich zbliżeniem.

I obrony innej nie widzi, tylko ten drobny obrazek w pluszowej ramce, emaliowany, z którego wygląda twarz słodka i jasna jak jutrzana gwiazdka.

— Matko Boża!... broń ich! broń!...

Ściemnia się zupełnie. Razem z tą ciemnią jaka zapadła na tę chatę góralską, jakaś tragiczność zaczyna upiornie rozpościerać swe skrzydła.

Porzycka czuje się bezsilną. Rozumie, iż życie jej nie było tą prawdziwą częścią wybujałości i rzeczywistych treści życiowych. Przeszła jak cień w swej uczciwej, białej szacie kochanej żony i matki. Dobrocią swoją i nieskalaną bielą swej duszy przeszkadzała często spełnieniu się czynów złych, lecz były to czyny drobne, nic nie znaczące wobec spiętrzenia groźnych fal namiętności, niepowściągalnych, ścierających się w centrum życiowego terenu.

Czy jej słaba, blada i smutna dobroć potrafi zażegnać choćby tę ciemnię tragiczną, wśród której co raz silniej rozwijają się złe instynkty mieszkańców tej chaty?

Czy ona to może?

*

Słyszy, iż po dziedzińcu chodzi Tuśka i syn jej — chodzą, rozmawiając przyciszonym głosem. Nie słyszy wyrazów, ale sam ton ją trwoży. Nie wie, ale może tak rozmawiają właśnie ludzie w przededniu upadku. Wstaje szybko, narzuca okrycie, wychodzi przed dom.

Oddalili się.

Zniknęli w ciemni, wśród belek nagromadzonych do budowy nowego domu.

Śmieją się.

Słychać głos Lulu. Wtóruje mu Tuśka. A potem nastaje znów cisza. Porzycka powoli przyzwyczaja się do ciemności. Dostrzega syna, Tuśkę, jak oparci o belkę, nadzwyczaj blisko, prawie przytuleni do siebie znów coś szepczą.

— Matko Boska! chroń ich!...

Na niebie wyiskrzyły się gwiazdy. Od świeżo skoszonej łączki zanoszą sianem, aż serce podrywa.

Porzyckiej opadły ręce. Stoi coraz więcej smutna i bezradna.

— Co począć?

Nagle jakaś drobna rączka wsuwa się pod jej ramię. Mała postać lgnie ku niej jak kwiatek wichrem przygnany.

I głosik cichutki:

— Już panią głowa nie boli?

Pita w swym narzuconym na ramiona żakietu tuli się do niej nieśmiało.

Porzycką ogarnia jakieś wielkie rozrzewnienie.

Obejmuje dziewczynkę i osłania połą swej peleryny.

— Nie, Pitusiu, głowa mnie nie boli. Ale...

Urywa.

Chce powiedzieć dziecku, że jest smutna, i powstrzymuje się.

— Po co ją dręczyć?... — myśli.

Ale Pita spod fałd okrycia podnosi ku niej swą bladą, anielską twarzyczkę.

— Pani smutna? — pyta.

Porzycka z rozrzewnieniem zwraca się ku dziecku.

— Tak, Pito... jestem smutna.

Pita ma tak wielki takt, że nie zapytuje: Co pani jest? tylko silniej przytula się do swej przyjaciółki.

— Może pani pokazać Wielki Wóz — proponuje uprzejmie — o!... tu, te trzy gwiazdy to dyszel, a tu koła... proszę, niech pani patrzy.

Ku gwiazdom zwraca swe promienne, błękitne oczy i ku gwiazdom w swej czystości anielskiej niesie, jakby na skrzydłach, smutek tej starej kobiety.

— A ta gwiazda, która jak brylant świeci, o... tu... to się nazywa...

Obie patrzą teraz na gwiazdy i na obu twarzach blask płonący w górze światel zdaje się mieć odbicie w jasnej czystości źrenic...

XXVI

Jak cień biały, tak przemknęła Porzycka przez Obidowską chałupę.

Tych dni kilka spłynęło srebrną strugą, ożywczą i miłą.

Ostatnie chwile były cokolwiek zasępione i już sztuczna atmosfera zaczynała przebijać się coraz silniej.

Porzycki powiedział Tuście o anonimie, lecz milczącą ugodą nikt, gdy byli wspólnie zebrani, nie mówił o tej ohydzie.

Tylko Tuśka akcentowała ciągle swój przyszły wyjazd. Nie oznaczała jednak daty.

Gdy nagłona przez Porzycką, aby razem wyjechały, czuła, iż musi zdecydować się na coś stanowczego, odpowiedziała:

— Czekam na list od męża.

Porzycka czasem porywała się, jakby chciała wywołać u Tuśki poryw szczerości. Z taką chęcią, choć przykro jej to było, rozwinęłaby całą sprawę — uprosiła, uspokoiła siebie i swoją myśl, która przejmowała ją trwogą, dawniej jej nie znaną.

Lecz Tuśka spowiła się w pancerz skrytości i wyciągała ze wszystkich szufladek swej duszy nabytą latami sztukę pokrywania istotnego stanu rzeczy szablonowym uśmiechem.

Bezwiednie nabierała zręczności Indianina, który prowadzi wojnę za pomocą genialnych podstępów, zaszyty w trawę, na pozór zimny i wystygły.

Wszystkie kobiety, nieprawnie zakochane, nagle objawiają takie zdolności strategiczne. Tworzą dokoła siebie wał nieprzebyte. Ten, kto się chce dostać do wnętrza ich duszy, potyka się o tak umiejętnie spiętrzone przeszkody, iż cofa się zniechęcony.

Kobiety nieprawnie zakochane bronią w ten sposób swej miłości jak skradzionego skarbu.

Tuśka była jedną z nich.

I stała już na straży, z ustami, uzbrojonymi w uprzejmy, grzeczny uśmiech. Przybierała pozór tak *correct*, iż nie można było zbliżyć się do niej ze słowami:

— Pani zakochana... a ja właśnie chcę ostrzec panią...

Porzycka znajdowała się bezradna wobec takiej sytuacji. Pocieszała się wyjazdem bliskim. Kilkakrotnie zaczynała z lekka rozmowę o zmienności uczuć syna, lecz spotykała się znów z lodowatym milczeniem ze strony Tuśki.

Natomiast to, co byłoby uszło dawniej jej uwadze: spojrzenia szybkie zamieniane przy stole, uściski rąk dłuższe przy pożegnaniu — wszystko to uderzało Porzycką jak ciosy.

— To nieuniknione... — myślała.

I wtedy zwróciła się ku Picie.

Dziewczynka zmieniła się bardzo.

Od chwili wycieczki do Morskiego Oka Pita ciągle była poważna i milcząca. Lecz przed zbliżeniem się Porzyckiej Pita była raczej gniewna.

Obecnie Pita była... smutna.

Błękitne oczy zaczynały tchnąć jakąś melancholią. Unikano wzroku matki i nie śmiała się z conceptów Porzyckiego. Natomiast całą duszą garnęła się ku Porzyckiej. Robiła to

skrycie. Skradała się jak kot, w sekrecie przed matką, jakby wstydziła się tej potrzeby pieśczęt i tulenia się w objęciach tej dobrej, siwej pani.

Nie przyznawała się nigdy Porzyckiej do tego, że jej smutno. Kto wie? Pita sama może nie mogłaby dokładnie zanalizować tego, co się w niej działo. Czuła tylko, że pomiędzy matką a Porzyckim jest łącznik, coś, z czego ona jest wyodrębniona. I smutno jej było, że jest sama, że nie ona jest istotą *główną*, że jest widocznie za mała, aby ją przypuszczano do jakiejś tajemnicy, której istnienie instynktem wyczuwała. Przy tym Porzycka sposobem życia, tą rozumną, a przecież tak doskonale zastosowaną do drobnej jej bądź co bądź uczuciowości metodą, tym głosem pieścącym jak kołysanka działała na nią w sposób jej miły i nie znany.

Pita odpoczywała.

Pita rozumiała, że tak, jak żyła poprzednio, to żyła sztucznie, wydzwignięta na jakąś wyżynę, po której chodzić jej było trudno. Porzycka wzięła ją za rączkę i sprowadziła na ścieżkę udeptaną dla jej myśli i dla jej nózek.

I dlatego Pita przy Porzyckiej odpoczywała, stawiała się dzieckiem, małą dziewczynką, Pitusią, ową Pepi (Józią), która chętnie na kolanach siada i lubi dłoń gładzącą jej złote włosy...

W przeddzień odjazdu po raz ostatni zeszło się grono Obidowskiej chałupy na w randzie u Tuśki.

Lekki cień melancholii panował dokoła. Wszyscy byli smutni. Jedynie Tuśka grała rolę swobodnej, gotującej się do drogi kobiety.

— Pani dziś... kto wie, my pojutrze...

Porzycki spojrzął jej głęboko w oczy.

Nie wytrzymała jego wzroku. Serce jej ścisnęło się na myśl, że może rzeczywiście pojutrze odjechać będzie musiała.

— Och! zostań! zostań! za jaką bądź cenę — myślała zamierając z tej chęci.

I równocześnie obliczała stan kasy. Na ile dni starczy jej jeszcze pieniędzy? Gdyby nie Pita, żyłaby bułkami i mlekiem, aby tylko pozostać jak najdłużej. Z jakąś złością spojrzała na dziewczynkę, która siedziała osowiała, zgarbiona i także posmutniała.

— A ty, Pito, czy chciałabyś wrócić do domu? — zapytała Porzycka dziewczynki.

Pita zarumieniła się gwałtownie. Przelknęła parę razy ślinę i spojrzała z nałogu w stronę matki.

— Pita zastosować się musi do okoliczności — wyrzekła cierpko Tuśka.

— Pita się musi cieszyć, że zobaczy tatusia... — rzuciła Porzycka.

Nie było odpowiedzi.

Ile razy Porzycka wspominała o tym „tatusiu”, zawsze milczano, jakby nagle anioł milczenia przeleciał.

Czy nie chciano o nim mówić, czy nie miano co o nim do powiedzenia?

Jej syn, raz zapytany — odpowiedział:

— To zdaje się bardzo przyzwoity człowiek! — i to było wszystko.

A przecież Porzycka czuła, że ten nieobecny mąż to jest właściwie główna osoba całego dramatu, który się tu rozegrywa.

Nie było go, nie mówiono o nim, a przecież on tu był ciągle, panował w przestrzeni sobą, swoim honorem, nazwiskiem, pomimo że wyrzucano go za nawias długich spojrzeń i milczących uścisków ręki i całej tej podnieconej sfery uczuć, która wzrastać się zdawała z każdą godziną, z każdą chwilą.

I dziś, gdy siedzi Porzycka między Tuśką a Pitą, myśli ciągle o nim, o tym nieznanym, a tak bliskim przez ten tajemny węzeł, jaki zaczyna się motać dokoła nich wszystkich. I ciągle mimo woli wtrąca do rozmowy tego „tatusia”, tego „męża”, jakby przyzwąć go chciała na straż, na obronę tych dni kilku, gdy ona odjedzie.

Niepokoił ją także zachowanie się syna. Lulu traci humor, fantazję. Jest więcej zamyślony, krąży ciągle dokoła Tuśki. Porzycka widywała go już takim, ale nie widywała nigdy, jak się to dzieje. Był już zwykle zakochany poza domem. Dziś ona asystowała wszystkim fazom powolnie rozwijającej się miłości. I to ją niepokoilo, dręczyło, sprawiało ból nieledwie. Zdawało się jej, że jest to jakaś choroba, na którą ona nie ma lekarstwa i musi patrzeć, jak go ogarnia.

I w tej chwili Lulu odszedł od stołu, oparł się o balustradę werandy i melancholijnie pali papierosa. Ta melancholia dodaje mu uroku. Oczy przyćmiewa długą rzęsą. Porzycka patrzy na niego i przyznaje w duszy iż Lulu jest śliczny, zgrabny, miły i niezwykły. I lęka się, i trwoży.

— Biedny pan Żebrowski!... — myśli — Boże! biedna Pita!...

Od pół dolatują zmieszane głosy, zachód nadchodzi szybko — cały szary, bezsłoneczny.

Tylko chwilę widmem srebrnym zamajaczyło słońce w chmurach i znikło. Góry pokrywają się warstwą rozwleczonej mgły.

Zanosi z daleka deszczem.

Drogą od miasta idzie listonosz.

Zmierza prosto ku Obidowskiej chałupie.

— Depesza!

— Do kogo?

Ku Tuście zwrócony świstek, napis, ołówek. Bierze depeszę i cała drży z trwogi, że mąż oznajmia jej dzień, w którym czekać na nią będzie.

Czuje na sobie utkwiony wzrok Porzyckiej. Podpisuje pokwitowanie i otwiera wolno depeszę.

Czyta.

Oplywa ją rumieniec radosny. Na twarzy jednak nie ma, oprócz tego rumieńca, żadnej zmiany.

Powściągnęła się w dobrą chwilę.

Depesza zawiera tylko kilka słów:

„Zostańcie jeszcze. Pieniądze i list wysyłam. Żebrowski”.

Tuśka podnosi oczy od depeszy i spotyka się ze źrenicami Porzyckiej.

W jednej chwili wyczytuje w nich, jaką trwogę czuć musi ta kobieta na myśl, iż oni dwoje pozostaną sami po jej wyjeździe.

— Od męża — mówi niedbale. — Każe mi czekać na list.

— A!...

Porzycki pali dalej papierosa i asystuje tej scenie niemy i jakby obojętny. Tylko mu coś tam w głębi źrenic migoce, jakby jakaś ukryta iskierka.

Tuśka składa telegram i zasuwą go za pasek, który przytrzymuje jej bluzkę.

I od tej chwili rozpoczyna się manewr Tuśki, aby pozostać sam na sam z Porzyckim. Zaczyna udawać, iż jest jej chłodno. Porzycki ofiarowuje się przynieść jej rotundę i biegnie do pokoju. Zaledwie znikł we drzwiach, podnosi się Tuśka i woła:

— Ależ nie, lepiej żakiet!

I szybko wybiega za nim, już w biegu wydobywając telegram z za paska.

Zapominając, iż drzwi od werandy są oszklone i firanka uchylona. Porzycka, siedząca naprzeciwko drzwi, widzi najdokładniej, jak Tuśka podaje mu telegram, jak on czyta ów świstek, jak oddając całuje ją długo w rękę i jak potem oboje wpadają na werandę zadowoleni, ona w narzuconym krzywo żakiecie, a on z rozjaśnioną i uspokojoną miną.

— Dlaczego oni się tak cieszą? — myśli Porzycka. — Czy dlatego, że zyskali jeszcze kilka godzin, a może dni kilka?...

Jest jeszcze ktoś, kto widział ową scenę — to Pita. Skurczyła się jeszcze więcej i osowiała, bo każda chwila przynosi jej potwierdzenie tego smutku, że ona jest zbyt cenna i z dawnej „trójki” wyłączona. Myśli jeszcze, że jutro odjedzie i pani Porzycka, a ona pozostanie sama jedna, i zaczyna się lękać tej samotności — i lękać, i trwożyć.

Na peronie dużo ludzi, ruch straszny, niemiły, denerwujący.

Dużo osób odjeżdża, natomiast dużo przyjedzie.

Jak w kalejdoskopie zmieniają się całe warstwy strojnych mrówek, które tak zuchwale obsiadły stopy olbrzymich gór i zadzierają ku nim nosy, i drapią ich boki.

Stroje i sporty mieszane. Paryż i Anglia — coś bajecznego. Trochę domieszki krajowych porywów. Ogień słomiany. Dużo młodzieńców i dziewczyc z pocztówkami, aby je wrzucić do wagonu.

Mizerny, nędzny pociąg, cuchnący z daleka, brudny i klekocący! Jakiś ma złośliwy wygląd. Figlarz to znany. Wiadomo. Za pobrane pieniądze będzie pasażerów stale umieszczał w korytarzach. Niedezygnowane wagony hoduja z troskliwością płwociny gruźlicze. Zaślinione chodniki są edenem laseczników. Pasażerowie wytrwale plują w dalszym ciągu, pomnażając ilość hodowli. Przy wagonach stoją grupy „odprowadzających”. Kilka mizernych bukietów sprawia sensację. Jakies dwie panny, które grały z powodzeniem rolę „poważnych”, mają po funtowym pudełku cukierków i po wiechciu już zwiędłych goździków w ręku. Mówią głośno i przeginają się wdzięcznie. Ich adoratorowie odziani w pończochy i kostiumy cyklistów. Wdzięczą się wszyscy z bolesnymi wyrazami twarzy. Są wspaniali w swej wytrwałości wzajemnych oszukańców... Niedaleko nich Porzycka stoi w otoczeniu Tuśki, Pity i syna. Tuśka dała jej ładny bukiet, syn — cukierki. Ale już się coś zerwało — już Porzycka czuje tak jak Pita, że jest niepotrzebna, że musi usunąć się, bo tu idzie coś groźnego i coś niepowstrzymanego. Przed chwilą odprowadziła na bok syna, powiedziała tylko:

— Pamiętaj, Lulu! pamiętaj!...

Zaczął się śmiać i całować ją po rękach.

Chciała mu powiedzieć coś więcej, prosić — ale wstydziła się... nie mogła.

Rozległ się gwizd.

Porzycka całować zaczęła Tuśkę. W pocałunek ten chciała zmieścić wszystko to, co synowi powiedzieć nie chciała.

Więc ku Picie się zwróciła — tak jak spragniony podróżny do źródła — i gdy dziewczynka utonęła na chwilę w jej ramionach — poczuła wreszcie słabiuchne ciepło szczerzego serduszka.

I zdawało się Porzyckiej, że z rzęs Pity, z długich, jedwabistych rzęs, spływało coś, jakby łzy nieśmiałe, ukryte, wydobywające się z dalekiej, groźnej głębi! Łzy Pity!

Łzy wywołane odruchem serdecznym.

A może się tylko Porzyckiej zdawało!

XXVII

Jakies dziwne uczucie przejęło Tuśkę, gdy wracała tak z Porzyckim i Pitą z dworca po odprowadzeniu Porzyckiej. Uczuła pewną ulgę, bo w ostatnich czasach niespokojne oczy tej dobrej kobiety, zdające się ją o czymś przestrzegać, o coś prosić, odbierały jej resztę równowagi i tak już zupełnie prawie zniszczonej przez wtargnięcie w jej krąg życiowy nie znanego jej przedtem uczucia miłości.

Tuśka rzeczywiście *kochała się* w Porzyckim.

Tak.

Kochała się.

Co za cudowna subtelność naszej mowy, ten odcień drobny nic nie znaczący.

Kochać.

I kochać się!

Kochać — to ukochać tę drogą istotę z całym bólem, jaki nam sprawiać mogą jej wady, jej występki, kochać przez łzy, przez ból, przez cierpienie.

Kochać się?

Kochać *siebie* w tej miłości, a to jest wszystko, co daje nam zadowolenie, co nas mile po sercu głaszcze, co nas wywyższa w naszych oczach, podnosi i pochlebia.

I Tuśka kochała siebie taką, jaką wiedziała, że jest w oczach Porzyckiego, lub jaką się jej zdawało, że jest w oczach Porzyckiego.

Lubiła, gdy śledził jej ruchy, jej gesty, i starała się uczynić je piękniejsze, więcej przepełnione gracją. Rozmówiony po aktorsku w fatalaszkach i świecidłach, znał się dobrze na szczegółach stroju kobiecego, i tę znajomość, nabytą po garderobach koleżanek, aplikował zwykle w swych miłostkach i flirtach. Nigdy Tuśka nie rozumiała tak wartości doboru kolorów, linii sukni, piękności ornamentacji, jak w jego słowach, którymi owijał ją niejako jak przędzą kunsztowną. Zwracał uwagę na każdy najdrobniejszy szczegół ubrania jej i Pity — przyglądał się klamrom pasków, „szczoteczkom”, którymi suknie na dole były podszyte, guzikom rękawiczek, deseniom mereżek przy bluzkach — liczył zakładeczki na rękawach i liczbę wstawek strojących karczki sukien. Co do biżuterii, miał

ją w pogardzie i tylko tolerował u kobiet jedne i te same zwykłe kolczyki i jeden lub dwa pierścionki.

Tu mogła Tuśka uczynić zadość jego wymaganiom. Miała bardzo piękne turkusy oprawne w rozety i zaczęła je nosić codziennie. Od razu zyskały jego aprobatę. Ten śliczny kamień czarująco przebijał przez chmurę złocistych włosów, jak bławatek przez snop zboża. Kilkakrotnie zwracał na to uwagę Tuśki i mówił do niej ze ślicznym uśmiechem:

— Kocham się w jej kolczykach!

Bo i on także kochał *siebie* w niej, czując, że i ona wrażliwa jest na jego grację, wdzięk, strój, pozę, dowcip i siłę. Prezentowali przed sobą to, co mieli najkorzystniejszego, i wdzięczni byli sobie za to, że są wzajemnie dobrymi słuchaczami i widzami.

Gdy które z nich odziało się rano ze szczególniejszą starannością lub jako ludzie nerwowi czuli się *en beaute* dnia tego, śpieszyli ku sobie, ciągnęci chęcią pokochania siebie w uprzejmie chwalcących oczach drugiego. Przybierali przy tym trochę nienaturalne pozy, zwłaszcza ona, dla której to *pawienie się* miłosne było zupełną nowością. On był o wiele spokojniejszy, mając ciąglą w tym względzie praktykę. Gdy nie było publiczności, aby się w niej uwielibiał, zawsze wynalazł bodaj jedną kobietę do takiego filtrowania swych doskonałości. Czynił to bez cynizmu i zupełnie naturalnie. Dlatego też był sto razy niebezpieczniejszy niż cynik rozkochany naprawdę. Starał się bowiem podniecać ciągle wyobraźnię Tuśki, przedstawiając się jej jak najkorzystniej i najpiękniej. Stąd rzeczywiście Tuśka była jak oszołomiona i zaczynała nie zdawać sobie sprawy ze swych czynów. Gdy pozostała sama, oprzytomniała na chwilę i starała się znów wmówić w siebie „przyjaźń”...

Lecz wystarczyło jedno wspomnienie jego oczu wpatrzonych w nią lub mignięcie jego sylwetki w błyskawicy myśli, aby żar opływał biedną Tuśkę i ona porywała się jak ptak do lotu...

Dokąd? gdzie?...

Sama nie wie.

Bo już zaczęła się powoli seria spotykania się oczu w jakichś porozrucanych strzałach, które są tak silne, że aż ból sprawiają.

I zaczęła się seria spotykania rąk, wypadkowo do siebie dążących coraz częściej, coraz dłużej, coraz silniej.

A potem słowa urywane, nie wypowiedziane, zawieszane pomiędzy nimi jak puchy z kulbab na łąkach, które wicher rozwiewa.

W szklance koło łóżka Tuśki mokną jakieś kwiatki, które on jej cały dzień znosi, podaje, wrzuca na werandę, przez okna do jej pokoju...

W szklance koło łóżka Porzyckiego moknie także to jakaś śliczna róża, to trochę narcyzów, które Tuśka mu przynosi z miasta od ogrodnika.

Tuśka ma teraz już muzeum pamiątek. Dużo zeszlęgo zielska, dwie karteczki, jakiś kamyk z Morskiego Oka.

Bo Tuśka zaczyna wkraczać w to, co ludzie nazywają... drugą wiosną!...

Tak — drugą wiosną!

Różowa jest, biała i złota. Oczy jej wyblękitniały, usta czerwieńsze, włosy bardziej złote, uszy różowsze, muszle rąk bardziej gładkie, chód piękniejszy, ona cała aż promienieje, dziwnie, lecz niezaprzeczenie.

Nie leży teraz długo na łóżku pod nagromadzeniem pledów, kołder, halek i serdaków. Skoro słońce się zjawi, wita je z uśmiechem. Nie gniewa się już na jego promienie. Siada na łóżku, rozcignia swe złote włosy i patrzy prosto w okno, skąd płynie jasność i chłód rozkoszny.

Porzycki nauczył ją takiej cichej modlitwy powitalnej i kazał jej przyjaźnie uśmiechać się do pierwszych promieni słonecznych. Na chłód kazał jej osłaniać twarz, szyję, piersi, całą siebie i chłonać go w siebie jak ożywczy źródło. Tuśka czyni to i dziwi się, jak mogła gniewać się za to, że ku niej przez okno płynął taki rzeźwy dzień, taka jasność, a ona wolała zamykać powieki i odwracać się gniewnie do ściany, jak kret w jamie, zakopana w pościel.

— Dostyc się naśpimy w trumnach — powiedział do niej raz jeden Porzycki ze śmiechem, stukając do jej drzwi o piątą z rana.

Porwała się wtedy z pościeli i gdy on już na rowerze popędził jak szalony, otworzyła okno i zbierając w źrenice czar budzących się traw i wylaniających się z mgły porannej gór, rozmyślać zaczęła nad słowami aktora.

— Tak... prawda... dostyc będzie czasu w trumnie!...

Przez chwilę miała chęć zbudzić Pitę i zawołać do niej tak samo:

— Wyśpisz się, gdy umrzesz!...

Ale wołała pozostać sama!

W ogóle teraz Pitę przyzywała tylko w krytycznej chwili, gdy ogarniało ją przy Porzyckim tak wielkie zmieszanie, iż przytomność ją odbiegała. Inaczej czuła ulgę, gdy dziecko odsuwało się od niej i nie plątało się przy niej, bo dziwne, nieokreślone uczucie szarpało wtedy nią całą.

Pita przypominała jej rzeczywistość.

Pita była Warecką ulicą — ciasnym mieszkaniem, grzecznym mężem, milczącymi chłopcami, słowem, tym wszystkim, o czym Tuśka obecnie myśleć coraz mniej chciała czy mogła.

Wołała żyć terażniejszością.

Słońcem — górami — i...

Kochać się!

*

Nadszedł wreszcie list od męża.

„Kochana żono! — Bardzo mi jest przyjemnie, że mogę ci posłać jeszcze dwieście rubli. Proszę cię, nie wyjeżdżaj i skoro ci kuracja służy, używaj dalej powietrza razem z Pitą i lecz się pilnie, aby przynajmniej te kosza nie poszły na marne. Wystarałem się o te pieniądze i mam jeszcze obiecane pięćdziesiąt rubli, ale to już wszystko, co mogłem dostać. Postaram się, aby to spłacić. Ty, o ile możliwości, oszczędzaj, abyś mogła być jak najdłużej. Ja musiałem zmienić restaurację, bo bardzo mi zaczęli źle jeść dawać. Przeważnie jem rosół i sztukę mięsa, bo mnie tym nie strują. Byłem ciągle chory na żołądek i przestałem jadać kolację. Przynoszę sobie do domu coś od rzeźnika i stróż mi nastawia samowar. Szkoda, żeś tak wszystko pozamykała, bo mam jedną szklankę do herbaty i do płukania ust. Tak samo i ręczniki. Chłopcy są zdrowi, tylko podarli obuwie i musiałem im czym prędzej wysłać z Warszawy. Tutaj straszne upały, po prostu można w biurze zemdleć i wczoraj myślałem, że upadnę wracając do domu. Palmy ciągle mają weszki i nic im tytoń nie pomaga. Każę także wynosić na ganek materace na słońce, bo podobno słońce zabija bakterie. Dwieście rubli łączę. Teraz kurs jest sto dwadzieścia sześć i pół, uważaj, aby cię nie oszukali. Zajrzyj do gazety. Nie mam ci nic więcej do doniesienia. Całuję ciebie i Pitę. Twój przywiązany mąż — Walery”.

Tuśce opadła ręka z listem i siedziała tak długą chwilę na werandzie w milczeniu.

— Chory na żołądek... — myślała — ręczniki, buty, szklanka... sztuka mięsa... jakie to wszystko trywialne, jakie smutne, bezbarwne...

I takie od niej dalekie!

Niedawno jeszcze byłaby rzeczywiście zatroszczyła się o to, że on musi płukać zęby i pić herbatę z jednej szklanki, że chłopcy tak forsownie drą buty, że palmy mają weszki — a dziś nie tylko że jej to wszystko obojętne, ale przeciwnie, jakieś wstrętne.

— I o czym?... — pyta Porzycki, opierając się o balustradę werandy.

Podszedł cicho jak kot.

Na kolana rzucił jej cudownie piękny, prawie czarny mak, pełny i rozkwitły.

Ten mak!

I ten list.

Zmiała list i wsunęła go w torebkę, pieniądze przedtem wyjęła i umieściła za gorsem.

Mak pieściwie podniosła do ust.

— Jaki śliczny!

— Pani śliczniejsza.

— Ja?

— Tak, dziś pani jest śliczna. Oczy ma pani jeszcze turkusowsze niż turkusy w uszach.

A... jaka cacana bluzka... Te kwadraciki wcale, wcale...

Tuśka kupiła wczoraj czarną jedwabną bluzkę, w którą były wstawiane kwadraty z czarnej koronki. Delikatne ciało o złotomorelowym połysku przeświecało przez oczka koronki.

Porzycki oczyma w te kwadraciki się wpil.

— Atlasy!... — wyrzekł z uśmiechem.

Tuśka udawa, że nie rozumie.

— Ależ to jedwab i irlandzka koronka.

— Ja mówię o tym, co pod koronką...

Rumieniec oblał twarz Tuśki.

— Och!...

Zarumieniła się jeszcze gwałtowniej, dostrzegłszy, że o kilka kroków od niej stoi Pita.

Dziewczynka, ciągle smutna i coraz więcej zamknięta w sobie, trzymała w ręku korespondencyjną kartę; z jakimś widoczkiem.

— Czego chcesz? — spytała ją szorstko Tuśka.

Twarzyczka Pity pozostała niezmienniona. Błękitne oczy osunęły się po twarzy matki i błącać się zaczęły dalej.

— To pani Porzycka napisała do mnie karteczkę — wyrzekła kładąc korespondentkę na stole. — Listowy ją zostawił z listami u gaździny.

Tuśka wzięła w rękę kartkę. Kilka zdań ciepłych, ładnych, miłych. Dla niej — ukłony i słowa przyjaźni. Był to jakiś cichy, nieśmiały głos, który odzywał się z daleka. Przez chwilę zdawało się, że to sama Porzycka jest pomiędzy nimi jeszcze i patrzy na nich błagalnie, niespokojnie...

Tuśka, chcąc ocknąć się z tego wrażenia, zwróciła się do Porzyckiego:

— Mama pisała do pana?

— Tak, dziś rano.

— Cóż pisała?

— Och!... nic!... przyjechała szczęśliwie. Zachwycona panią, Pitą... Zakopanem... mną — słowem, wszystkim!

Nie mówi przecież, co było główną treścią listu matki. Gorąca prośba, niewyraźna, a przecież istniejąca w każdym niemal słowie.

„Choćby przez wzgląd na Pitę...”.

Lecz rzeczy już za daleko zaszły.

Porzycki stoi na tym punkcie, na którym mężczyzna zdaje się tracić zupełnie wolę i iść naprzód jakby z zawiązanymi oczyma.

— Ja do pani jak do miodu!...

I idzie do Tuśki, za Tuśką, przy Tuście jak zwierz obłaskawiony, jak cień przykuty i niemożliwy do oderwania się choćby na chwilę.

Takie przynajmniej robi wrażenie.

Cicho, spokojnie Pita od nich odchodzi i wsuwa się na dziedziniec, gdzie chałupę budują. Tam siada na kupie belek, składa rączki i patrzy przed siebie w złoto trocin, na własne nóżki wyciągnięte i opięte w białe, czyściuchne trzewiczki. Przed nią staje gaździna.

Patrzy na śliczną dziewczynkę jakby z żalem. Przypomina jej się własna Hanusia, którą takuśką pikną i małą pochowała na cmentarzysku za kościołem — hej!... Była ona u niej „jedynica” i pikna jak obrazek jaki.

— Kielo to temu lat? — myśli patrząc na siedzącą na belkach Pitę — musi ze dwa dziesiątki i pieńć... Ocy miała takie wielgie i niebieskie, a włoski jasne. Jakem ją odziała w gorset, to była taka, jakby już rosła dziucha. A było jej dziesięć zaledwie roków.

Dziesięć roków!...

Podparła brodę na ręce i ciągle na Pitę patrzy...

— Tak se siadała tyz na belkownikach i rączki składała jak do modlenia...

— Słonko poza nią świeciło, jak za tom panienkom świeci... i włosięta się jej złościły jako tej. A ja się ze starej chałupy cudowałam... i cieszyłam...

Hej!...

Pita wreszcie odrywa wzrok od swych bieluszkich buczików i na gaździnę patrzy.

— Cni się wom? — pyta Obidowska.

Pita wie, że „cni się”, to znaczy po warszawsku: tęsknić po kimś.

— Nie! — odpowiada grzecznie, skłaniając główkę na bok.

Lecz Obidowska powtarza uparcie:

— Cni się wom!

Obidowskiej także cni się... Tęskno jej dziś po zmarłym dziecku jedynym, bo mąż jej, Józek, staje się coraz dokuczliwszy. Wódki pić nie chce, od „starych wered” jej wymyśla, chałupy stawiać nie chce — tylko na wierchy się drze, na swobodę. Rani ją ciągle dotkliwie, mówiąc jej bolesne słowa, mówi, że mu się ucia z całym dostatkim. I w starej kobiecie aż coś łka, coś rwie się, coś jęczy, tak jest zmęczona tą walką nierówną z młodością bujną i silną, a tu nachodzi ją lęk, że zostanie sama w chałupie, sama czekając śmierci, jeśliby on „o rozum przisel” i uciekł gdzie nie bądź.

Wyszła z chałupy, gdzie mąż wytrzeźwiony rzucił się na nią wściekły i szyderstwa pełen. Aż coś ją za gardło chwyta, aby się do kogoś przytulić albo kogoś do siebie przygarnąć. I stąd to wspomnienie o Hanusi, co to w trumience tak dawno na cmentarz, za kościół odeszła.

— Zawsze dziecko więcej warte niż chłop... — myśli i mimo woli Tuśki oczyma szuka.

Dostrzegła ona już dawno, że się coś święci między gościem a gościową.

— To je pańska rzecz — zawyrokowała sobie w duszy. Ale dziś miałyby wielką chęć podejść do owej „gościowej” i krzyknąć jej z całej siły:

— Dziecko jest więcej warte niż chłop...

Na Pitę patrzy litośnie.

— Bidota! — myśli — sama tak siedzi, żeby im mętu nie robić...

Pogłaskałaby chętnie tę jasną główkę, ale jakoś nie śmie. Pita ma bardzo nieprzystępną minę. Patrzy na Obidowską, ale błękitne oczy mają tylko *swój* smutek. Rzecz dziwna. Odczuwały przecież smutek Porzyckiej. Ale Pita ma *uprzedzenie* do chłopek. Patrzy na nie jakby na obrazek albo na lalki za szybą wystawy. Cały pas myśli jeszcze nie tkniętych rozdziela ją od Obidowskiej.

Góralka odchodzi powoli jakby z żalem. Błąka się po dziedzińcu, wreszcie zaczyna ocierać belki fartuchem. Czyni to jednak bez poprzedniego zamilowania i temperamentu. Wzdycha i staje się na twarzy jeszcze ciemniejsza.

Pita tymczasem myśli.

Obidowska powiedziała jej, że ona tęskni.

Po kim tęsknić może? Po tatusiu? — Nie. Nie uczuwa braku ojca, bo z nim czy bez niego jej światek wewnętrzny jest jeden. Po braciach? — Także nie. Są oni dla niej zupełnie obcy. Nigdy nie zbliżyli się ku niej ani ona ku nim. — A przecież Pita rzeczywiście tęskni...

Może do Warszawy? — Wie, że Warszawę zobaczy, a przy tym Zakopane zaczyna jej się bardzo podobać; kto wie czy nie więcej niż Warszawa? — A więc zostaje tylko pani Porzycka.

Tak, po niej tęskni Pita. Przypomina sobie jej słodki głos, jej delikatne pieszczoty, to wszystko, co ta dobra pani do niej mówiła. Otrzymana kartka wzmaga tę tęsknotę. W karcie tej pani Porzycka wyraźnie napisała:

„Staraj się, droga Pito, nie opuszczaj swojej mamusi, być zawsze przy niej, tak jak dobrej córeczce przystało”...

Tak napisała pani Porzycka.

Pita z całego serca pragnęłaby wypełnić to polecenie. Ona chciałaby pozostać przy swojej mamie, ale jakże to uczynić, jeżeli mama tego nie chce?... Pita czuje to wybornie. Jej wrażliwa, nerwowa natura rozumie w każdym drganiu, w każdym spojrzeniu niechęć i cofa się przed tym wrażeniem z najwyższą melancholią. Przy tym teraz ciągle jest z mamą

pan Porzycki i Pita, która z początku garnęła się do niego jak do promienia słońca, teraz zaczyna czuć jakiś strach przed tym człowiekiem.

Śniło się jej raz, że porwał ją na ręce i rzucił w otchłań, gdzie dużo było dziewczynek. Te dziewczynki siedziały na kamieniach lub chodziły po wyschłych i brzydkich trawach i płakały. Wszystkie były smutne i płakały.

— Dlaczego płaczecie? — spytała te dziewczynki Pita.

A one otarły na chwilę oczy rozpuszczonymi włosami, które im spadały na plecy i na piersi w kręcone loki, i za całą odpowiedź wyrzekły:

— Posłuchaj!...

Pitę doleciał z góry, od krawędzi przepaści, chór zmieszanych głosów. To były głosy kobiet, śmiejących się kobiet...

Ale to był dziwny śmiech, jakiś straszny, łaskoczący, ścinający krew w żyłach. Śmiały się te głosy jak puszczyki, śmiały się strasznie, ale się śmiały... śmiały...

— Kto się tak śmieje?... — zapytała Pita.

— To *nasze mamy!* — odparły dziewczęta.

I zaczęły znów płakać na dnie przepaści i ocierać oczy włosami, które spadały im na plecy i na piersi jak złote i czarne płaszcze.

Taki był sen Pity.

*

I od tej chwili Pita bać się zaczęła Porzyckiego i często zdawało się jej, że ona błądzi wśród kamieni po żółtej i brzydkiej trawie, a z daleka ktoś się śmieje, strasznie, jak puszczyk, śmieje się przeciągle.

XXVIII

Kiedyż ma być to przedstawienie?

— Za dziesięć dni.

Tuśka gniewnie brwi zmarszczyła.

— A czy koniecznie pan musi grać jakąś sztukę? Czy nie może pan powiedzieć monologu?

Porzycki pokręcił głową.

— Komitet prosi o sztukę, a że już przyrzekłem...

Deszcz pada, chmurno, brzydko. Całe strugi ukośnie siekają o szyby i Tuśka aż drży ze zdenerwowania. Porzycki odziany w gumową pelerynę chodzi do miasta drwiąc z ulewy. Wczoraj powrócił późno i zdawało się Tuśce po odgłosie jego nierównych w sieni kroków, że nie był trzeźwy. Gdzie chodził? Z kim spędził wieczór? Nie mogła się go spytać. Bała się po prostu. Gdyby jej z dawną otwartością powiedział, że bawił się w gronie koleżanek i kolegów, czuje, że wybuchnęłaby płaczem. A wtedy musiałyby dojść do wyjaśnienia sytuacji.

I...

Naturalnie Tuśka ani na chwilę nie przypuszcza możliwości jakiegoś ostatecznego upadku, ale jeśli on w tym rozżaleniu jej wyczyta to, co się w niej dzieje, będą musieli wybrać jakiś *modus vivendi* dalszy. I kto wie, w co się to obróci! Cały czar pryśnie wobec tego, że ona nie jest wolna...

W południe następnego dnia wchodzi do niej Porzycki błądy jakiś — znudzony. Chłodem powiało od niego nagle. Tuśka od razu to odczuła.

Nie spojrzal nawet na jej fryzurę, która dnia tego była piękniejsza i staranniejsza niż zwykle... Zajął się poprawianiem rysunku Pity, która mozoliła się przy stole nad arkuszem papieru.

Tuśka owinęła się w szal i usiadła przy piecu, w którym skwierczało parę szczap drzewa. Milczenie zaległo izbę.

Mimo woli Tuśka przypomniwała sobie te pierwsze dni, które przeżyła z Pitą w Obidowskiej chałupie. Tak samo deszcz lał, wiatr wyl i drzewo skwierczało w piecu.

Tylko *jego* w tej izbie nie było.

Zamyka oczy, chce zapomnieć o jego obecności. Na próżno — serce się w niej kołace, w gardle ją ścisną, nerwy ją szarpia.

Wreszcie słyszy jego głos:

— Ano!... Już i mnie odkopali. Jak mnie wczoraj u Płonki obsiedli, musiałem im przyrzec, że wezmę udział w jakimś tam przedstawieniu. I to wymęczyli na mnie, że grać coś będę. Szczęściem, że była i Sznapsia w cukierni — więc pomyślałem zaraz o niej...

— I... będziecie grali razem?

— Tak! może się co wybierze.

Tuškę ogarnęło uczucie zazdrości. Zaczną się próby, schadzki, narady. Przypomną sobie dawne czasy, kiedy grywali wspólnie. Niedługo Porzycki powiedział, że nic tak nie wiąże aktorów, jak właśnie ta wspólność scenicznych desek.

Dlatego to Tuška podsuwa Porzyckiemu projekt monologu, ale on odrzuca i upiera się stanowczo przy sztuce.

— Coś z Musseta. Są bardzo ładne jego „Prowerby” w jednym akcie.

Tuška powstaje z krzesła. Zaczyna chodzić po pokoju, nie może sobie po prostu znaleźć miejsca.

Porzycki siedzi koło Pity, która odsuwa się od niego, o ile można najdalej. Tuška patrzy na aktora. Jest osowiały, patrzy przed siebie — papieros przyłgnał mu do ust.

W Tuške zazdrość gra z coraz większą siłą. Widział się wczoraj ze Sznapsią. Kto wie, co pomiędzy nimi było. Dlatego jest dzisiaj dla niej tak obojętny.

Jeżeli widywać się będą codziennie, wszystko się zerwie. Ona to wie, ona czuje, rozumie. I ogarnia ją prawie rozpacz. Zdaje się jej, że życie się dla niej skończy, i ogarnia ją przerażająca pustka. Traci poczucie taktu i miary. Spogląda na chwilę w stronę Pity, waha się — wreszcie wychodzi szybko do drogiego pokoju.

— Panie Porzycki! — woła zmienionym głosem.

Porzycki zdziwiony ma także chwilę wahania. Także spogląda w stronę Pity, ale dziewczynka uparcie patrzy na rysunek, tak jakby jedynie interesowała się chałupą z „pazdurem”, którą narysowała przed chwilą.

Porzycki wsuwa się do pokoju, z którego drzwi wychodzą na werandę.

— Służę pani!

Drzwi nie przemyka i to Tuškę pozbawia śmiałości. Decyduje się jednak na wszystko. Przez zęby, zasłaniając pół twarzy szalem, wymawia szybko zmienionym głosem:

— Ja... nie chcę... żeby pan grał z tą panią!

Porzycki podnosi głowę. Przez chwilę patrzy w jej oczy. Odczytują się wzajemnie. Ogarnia ją nerwowe drżenie. On ogląda się na drzwi. Ona instynktownie cofa się ku drzwiom werandy.

— Nie chcę! — powtarza raz jeszcze, tracąc panowanie nad sobą.

— Dlaczego? — pyta Porzycki machinalnie, ale pyta jedynie dlatego, aby nie było milczenia. Jest bowiem przy niej i w fałdach szala rąk jej szuka.

— Nie chcę!...

Tuška nie może wymówić nic więcej, tak bardzo jest wzruszona. Łzy jej zaczynają napływać do oczu i drżą na rzęsach jak krople rosy. Jego usta drżą znów pragnieniem, aby te łzy wypić. Ona to czuje i ostatnim wysiłkiem otwiera drzwi od werandy.

— Nie chcę!... — rzuca jeszcze i wybiega na werandę, zatraskując drzwi za sobą.

Zimna fala deszczu uderza jej w twarz i opływa ją strugą lodowatą. Wicher kręci jej suknie i pleć rozwiewa. Słota pastwi się nad nią, ale jednocześnie przyprowadza ją do przytomności.

On uchyla drzwi:

— Proszę wrócić... Pani zachoruje...

Oczy jego są znów dobre, miłe, łagodne i zakochane. Wyciągnął rękę. Śliczne usta uśmiechają się prosząco.

— No... no... dobrze... już nie będę grał... tylko niech pani wróci.

Ogarnia ją ogromny wstyd.

Ten człowiek myśli, że ona dlatego stoi na deszczu i na wichurze, aby wyludzić od niego pewne ustępstwa. Jednocześnie przez umysł przesuwają się jej myśli, że włosy się rozfrzyżają, a puder spłynie z twarzy.

To wszystko tworzy dziwny amalgamat myśli, które zniewalają ją do powrócenia do izby.

Szybko przebiega mimo Porzyckiego i wpada do pokoju w którym Pita ciągle zajęta jest swoim rysunkiem. Tuśka ukradkiem przegląda się w lustrze, chwytając puszek i po mokrej jeszcze twarzy przeciąga trochę pudru. W tej samej chwili wchodzi Porzycki. Na szczęście Tuśka w porę odrzuca puszek. Porzycki jest już ożywiony i weselszy, jak wódz w przeddzień pewnego zwycięstwa. Tuśka zmieszana, spłoszona, podchodzi do stolika Pity i siada naprzeciw dziecka, tak jakby nagle zaczęła zajmować się tym, co córka robi. Pita z nieokreślonym wyrazem spogląda na zmoczone włosy matki i zaraz spuszcza oczy na swój rysunek.

Do stolika również podchodzi Porzycki.

— To chata... — objaśnia wskazując na papier.

— Rzeczywiście! — mówi Tuśka — chata! Z czegoś to przerysowała, Pito?

Dziewczynka nic nie odpowiada, tak jakby nie chciała wmieszać swego głosu do tych, które brzmią sztucznie i nieszczerze dokoła niej.

— Mała ma talent... — zajmuje się nią dalej Porzycki. — Należy ją kształcić!

— Tak... pomyślę... — odpowiada Tuśka.

Przysuwa do siebie rysunek. Porzycki pochyła się nad nią. Czuje jego oddech; on nawzajem czuje woń jej skóry i włosów. Przez chwilę upajają się sobą jak wonią kwiatu. Przed nimi Pita gryzie usta, jakaś strwożona i dzika. Czemu się oni nią zajmują? Sprawiają jej ból! Niech ją zostawią w spokoju!

Nagle Porzycki uderza z radością w ręce.

— Mam świetną myśl!

— Co?

— Pani będzie ze mną grała zamiast Sznapsi.

— Ja?

— Ależ pani! Raz pani wzięła Laforgues'a i czytała mi jedną „complainte”. Pani lepiej deklamowała ode mnie. Zresztą w pani jest pyszny materiał na aktorkę...

— !!!

— Ależ tak! O!... te oczy! Jak się pani na mnie nimi patrzy! Zresztą ja nauczę. Czy pani grała kiedy na scenie?

— Niegdyś... gdy byłam panienką.

— No... i...

— Mówili wszyscy, że doskonale, ale to tak dawno.

— To i cóż? Życie panią wytresowało na jeszcze lepszą aktorkę. To jedyna szkoła dramatyczna. Zresztą spróbujemy.

Na Tuśkę biją ognie.

Grać? publicznie? za pieniądze? Ogromna odpowiedzialność. Z drugiej strony wybuch w niej z ogromną siłą próżność kobiety, która lata całe hodowała fikusy, rodziła dzieci, liczyła grosze i nie była nigdy podziwiana przez tłumy, a przyszła na świat z szalonym tego podziwu pragnieniem!

Próbuje zaoponować.

— To niemożliwe! Ja nie mam toalety.

— Sprawę się. Zresztą wybierzemy coś łatwego, bez stroju...

Uszczęśliwiony, ożywiony, biegnie do swojej izby i po chwili wraca niosąc nieduży zeszytek.

— Ja zawsze mam coś takiego na dwie, trzy osoby pod ręką. Oto dobry flircik na dwoje: *Postscriptum*.

Tuśka bierze w rękę zeszytek:

— *Postscriptum*?

— Tak. Bardzo łatwe. Będzie pani przeważnie siedziała przy kominku. To pani ułatwi grę. Ja pani zaraz rolę napiszę. Wieczorem zrobimy czytaną próbę...

Rozporządza się, rad i pewien siebie. Otwiera skrypt — czyta niektóre zdania, intonacje.

— I to nawet będzie lepiej, że grać będę z panią, nie ze Sznapsią — mówi. — To doda szyku. Cóż! aktorka? Każdy ją widzi sto razy. Pani prawie nikt nie zna... A potem — zabawi się pani wspaniale.

Tuśka czuje, że będzie to rzeczywiście zabawa „wspaniała”, i uśmiecha się na tę myśl. Lecz nie wie, dlaczego równocześnie uparcie jak muchy brzęczą jej słowa „buty, jedna szklanka, nie jem kolacji, stróż nastawia samowar, wietrzę materace...”.

Po co ta płatanina rzeczy z mężowskiego listu? A potem ta Pita nieufna, milcząca, wpatrzona w swój rysunek!

Gdyby choć ona zaaprobowała pomysł Porzyckiego, Tuśka czułaby się choć w połowie uspokojoną. Zdawałoby się, że to „ulica Warecka” daje jej niejako sankcję. Ale Pita, zajęta cieniowaniem pazdura, skryta jest i zagadkowa. Miele tylko jęczyzkiem w buzi, który jak różowe żądło w cieniuchnych wargach się kręci. Tuśka po prostu szuka łaskawego wzroku dziewczynki, lecz mała unika widocznie spotkania się z oczyma matki.

Tuśkę ogarnia gniew.

Zanadto znów się liczy z tym wszystkim! Złego w tym nic nie ma. Najuczciwsze panie i największe damy grają w teatrach amatorskich. I ona wreszcie ma prawo odetchnąć i zabawić się...

Czy ona przeszkadza tam mężowi używać swobody? Niech sobie! A zresztą, ona jest przekonana, że jej mąż znów tak nie tkwi ciągle pomiędzy „fikusem a samowarem”. Wmawia w siebie przeróżne rzeczy. Przypomina sobie dowcipy pism humorystycznych o „słomianych wdowcach”... Wyciąga je z pamięci i rada zastosowuje do Żebrowskiego. Niezadługo, a biedny urzędnik w zielonym palcie, obciążony mianem podejrzanym wdowca ze słomy, stanie się w jej oczach hulaką i takim panem, który się dobrze bawi.

— Ogródki, kolacyjki, Marcelin, aktorki...

Na tej ostatniej myśli łapie się niespodziewanie! Wszak i ona niezadługo stanie się „aktorką”, choć przelotnie i na dobroczynność, ale zawsze będzie taką panią umalowaną, paradującą na wzniesieniu przed kinkietami...

— No i cóż? — myśli zuchwale. — On tam siedzi jako widz, a ja będę na scenie. Wet za wet... To wszystko.

*

I w duszy Tuśki, jak chwast, z przerażającą szybkością rozwijać się zaczynają urojone pretensje, które zakrywają jej prawdę życiową jak słońce chmury. Nie umie po prostu rozróżnić, co jest wytworem jej fantazji, co jest rzeczywistością smutną i sprawiedliwą. Z owego „męża” zaczyna stwarzać fantazyjną postać, potrzebną do jej celów. Pochyliła, tragiczna sylwetka milczącego wyrobnika, wyniesionego nad tłum nędzarzy etykietą „urzędnika”, spowija się w mgłę żółtego, niezdrowego blasku. W myślach Tuśki wykrzywia się jak pajac, cieszy się, tańczy, podkochuje, umizga... A dokoła niego jest wielka, przeogromna pustka opuszczonych domów, na które czas pieczęcie melancholii kładzie. Tę pustkę Tuśka wyczuwa doskonale i w niej jeszcze rozumie całe światy niewidzialne, z których się egzystencja jej i tych, co do niej należą, składa — ale z uporem szalonej w świetlistą postać pajaca patrzy i w ruch ją wprowadza. Tuśka *chce*, ażeby tak było.

I zdaje się jej nawet chwilami, że tak jest.

*

Deszcz leje ciągle, „siąpi” i niebo zda się coraz niżej zstępować na Zakopane. Lada chwila, a chmury do ziemi przysiadą i rozleją się po kotłince nowym potopem. Nawet już „zrezygnowani” kolanami po błotku nie kłapią, a damy nie chodzą po ulicach w owych wdzięcznych kapturach, które według ich przekonania nadają im miny figlarnych koboldów, a w rzeczywistości czynią je podobnymi do straszdeł na ptaki. Pani Obidowska, która w chałupie swojej przechodzi jakieś straszne żywiołowe tragedie, cuchnie na cztery mile zmoczoną kożą czy owcą, cała przepojona deszczem, z nogami szerniałymi od błotnistej mazi. Przez okna widać ukośne smugi deszczu, który ma pozory, że coś się wściekło i pastwi się nad mrowiskiem, na które zwłokły się chore mrówki wielkim kosztem i często ofiarą, zipiąc „świeże powietrze”, aby jeszcze choć trochę pożyć pod słońcem. W „Lewkonii” i innych willach milczenie, szczelnie pozamykane drzwi i tylko czasem na werandzie dudnienie nóg bosych i wybieranie z balii deszczówki do prania „kolorów”.

Drobne życia, w których się lubował Balzac i lubuje Kamil Lemonnier, teraz rozpoczynają swoją symfonię lamp wcześniej zapalanych i sentymentów szlacheckich lub niskich, rosnących w tych zamknięciach jak kurczęta w kocu.

W takie rozkoszne, zakopiańskie sloty człowiek pozostawiony samemu sobie zaczyna obrachunki ze sobą i nabiera czasem ochoty do zostania wreszcie kimś na świecie. Pani Warchlakowska obmyśliwszy pierożki z resztek sztuki mięsa czują, że coś w nich nurtuje — jakiś żal, jakieś przeczucie całej łąki kultury przeróżnej, odgradzonej od nich jakby nasypem kolejowym, na którym świecą złowrogo nici szyn. Do tych łąk dotrzeć nie mogą, nie pragną, urągają im nawet, ale istnienie ich jest dla nich w to zamknięcie udręka.

Wzmaga to ich nudę, a nie ma piekielniejszej męczarni, jak gdy głupi człowiek się nudzi. Ogryza wtedy swą własną duszę, jak pensjonarka paznokcie, i często nawet krew pocieka. W tych willach o wyrzynanych, obrzydliwych szwajcarskich gankach lub tradycyjnych, zlanych deszczem werandach odbywały się całe niespodziewane tragedie wyrastające z ogólnego pnia nudów. Były to tragedie wewnętrzne, kołtuńskie, śmieszne, ale były. I w tym choćby już zasługa strug lejącej bez upamiętania ulewy. Kiedyś pani Warchlakowska będzie mogła powiedzieć: „Wnikam w siebie... i ja także miałam swe cudowne godziny”. Może nigdy tak nie powie, może ze wstrętem przypominać będzie sobie, że w Zakopanem, gdy deszcz leje, to przychodzi najuczciwszej kobiecie do głowy „głupie myśli”, może, ale fakt będzie faktem.

Pani Warchlakowska w deszczu i sloty zakopiańskie ogryza własną duszę...

I czuje się głodna.

Głód ten objawia się nudą.

I głupimi myślami.

Pani Warchlakowska dla odpędzenia tych myśli bierze do ręki robótkę.

Ale to nic nie pomaga.

I znów ogryza duszę...

Biedna dusza pani Warchlakowskiej!

*

Tuśka natomiast rada jest deszczowi.

Całe dni siedzi w izbie i Porzycki prawie od niej nie wychodzi. Urządzili sobie jakieś wspólne życie. Obidowska przynosi im obiady, które Porzycki zjada u Tuśki. Teraz zjawia się obrus na stole, serwetki i w dzbaneczku trochę gałęzi smreków, słowem, wszystko, co może podnieść wdzięk kobiecie w danej chwili. Porzycki przynosi z miasta ciastka, sardynki, wino, kanapki, cukierki.

Panuje pewien rozrzutny a cygański dobrobyt, dawniej Tuśce nie znany, a ta masa łąkoci, którą zwykle żywią się przeważnie aktorowie, robi wrażenie zarzuconej przysmaczkami klatki, w której pozamykano ptaki. Tuśka porównywa swoje poprzednie nudy podczas sloty, która ją zaskoczyła po przyjeździe, to wysiadanie pod piecem i pod oknem z Pitą, i rozkoszuje się po prostu chwilą obecną. Porzycki ma dziwny talent uprzyjemniania życia domowego. Być może, iż ten talent właśnie przywiązuje tak do niego kobiety. Tuśka, nie przyzwyczajona do tego, aby ktoś tak miłe, tak serdecznie starał się w każdej chwili rozerwać ją i dbał o jej zdrowie, o jej myśl smutniejszą, o to, co boli, czego znieść nie może, wchodzi w tę fazę najniebezpieczniejszą dla kobiety. Zaczyna się czuć szczęśliwą nie tylko przez to, że ma w kim uwielbiać siebie samą, ale i przez to delikatne, miłe pożycie codzienne, które otula ją, ściele się jej pod nogi, nie pozwala jej ani na chwilę czuć się samą i bez oddanej jej w zupełności drugiej istoty.

— To są drobiazgi — myśli — te ciastka, te proszki fenacetyny, ta woda sosnowa do rozpylania, te konserwy, morele, kwiaty, dzienniki, książki, ale to wszystko *jest*, to są fakty i one mi są teraz drogie, konieczne i potrzebne...

Chwilami zdaje się jej, że wyciąga się w hamaku, w rozkoszonym, świetlanym promieniu. Dokoła niej woń odurzająca kwiatów leśnych i dobrze jej, ciepło, miło. Ktoś cicho szepce wyrazy ledwo dosłyszalne, jakaś ręka odpędza rój natrętnych, smutnych myśli i kołysze ją do snu!...

Z rozkoszą wita szare, bezbarwne dni deszczowe. Lęka się po prostu słońca. Tyle światła i ciepła jest we wnętrzu jej izb zamkniętych. Boi się, że razem z promieniami

słońca Porzycki uleci znów w góry, przestanie być tak słodki i dobry, jak do tej chwili. Nie zanosi się jednak na to.

I Porzyckiemu widocznie na razie uprzykrzyły się góry i słońce. Przyzwyczajony w swoim cygańskim życiu do ciągłego przebywania z kobietą, a przez zamieszkiwanie wspólnie z matką rozpieszczony i nie mogący obejść się długo bez „domu”, rad był, że znalazł ów kątek, gdzie mógł przytulnie w szmerze delikatnych sukien kobiecych przebywać i roztaczać swą miłą dobroć umiejącego stwarzać domową atmosferę mężczyzny. Od razu zrozumiał, że Tuśka nie przyzwyczajona jest do tych objawów troszczenia się drobiazgami o jej dobro, i zdwoił swą staranność, którą zwykle przy rozpoczynaniu swych miłostek i tak roztaczał w bardzo dużej dozie. Wytworzył się więc, w tę słotę wściekłą i tragiczną, w chałupie Obidowskiej nadzwyczaj miły *modus vivendi*, który rósł ciągle z dniem każdym.

A przecież...

Były i tu „a przecież”. Przede wszystkim gryzła Tuškę obecnie myśl o przedstawieniu, w którym miała wziąć udział. Próby odbywały się codziennie i Porzycki nadzwyczaj pilnie i starannie uczył ją roli. Twierdził nawet, że jak na amatorkę grać będzie zdumiewająco dobrze, ale Tuśka w chwilach jasnego poglądu lękała się, że co scena i publiczność płatna, to nie Obidowska chałupa i próba sam na sam z Porzyckim. Przy tym miała duże niepewności. Miała grać hrabinę. Autentycznej hrabiny Tuśka nie знаła osobiście. Widziała te panie, ale z daleka. Imponowały jej sportowym wyglądem, porządnym wyszczotkowaniem włosów i przeważnie nie upudrowanymi twarzami. Ale co więcej? Jak się zachowują? Jak mówią? Przypominała sobie, że aktorki grające „hrabiny” najczęściej mówią półgębkiem, wykręcają w śmiechu usta do lewego ucha, unoszą piątą palec lewej ręki i mówią zamiast „moja matko” — „moja metko!”. Tak, ale to aktorki. Instynkt mówi Tuśce, że naprawdę tak nie jest. Wie, iż pomiędzy widzami będą panie z arystokracji. Porzycki jej to powiedział. Pragnie, aby się z jej nie wyśmiewano. Chwilami oblewa ją żar na myśl, co uczyniła, podejmując się tak nagle, bez zastanowienia, ukazania się na scenie obok Porzyckiego. I zwraca się ku niemu prosząc, aby ją uwolnił, aby w ostatniej chwili wykręcił się monologiem.

— To niemożliwe! — odpowiada jej aktor — przyrzekłem sztuczkę, dotrzymam słowa. Zresztą programy wydrukowane.

— I moje nazwisko?

— Cóż znowu! Zamiast nazwiska są trzy gwiazdki... To jeszcze więcej zainteresuje. Cóż? dobrze?...

Ona uśmiecha się, nie ma już ani siły, ani woli...

Uśmiechy ich spotykają się jak dwa kwiaty. Oczywiście wpijają się Tuśka i Porzycki w siebie z ogromną siłą. Ciągle tak wnikają w siebie pieśczętą wzroku. Obecność Pity nie pozwala na więcej, ale na razie i to jest miłe. Tuśka odczuwa za każdym takim spojrzeniem przebiegające ją warem dreszcze. Płoni się, ucieka oczyma i znów wraca. Brak jej tchu. Chwilami zdaje się, że omdleje. Gdy oczy przymknie, widzi go przed sobą tak dokładnie, jakby obraz jego pod powieką zabrała.

Pewnego razu powiedział jej, że doznaje tego samego wrażenia. Wytwarza się pomiędzy nimi silny prąd magnetyczny. Chwilami boją się spotkać czy to wzrokiem, czy rękami i znów biegną ku sobie z jakąś zapamiętałością, jakby się zbłąkali i dla siebie na chwilę zginęli. A w to wszystko wplata się wdzięk drobnych faktów życiowych, ułożonych płynnie miłą warstwą. Zamiast świec pali się obecnie wieczorami lampa i łagodne jej światło gromadzi ich koło stołu, nakrytego do herbaty. Siadają radzi, on czyta dziennik lub opowiada dużo i dobrze. Laforgue także występuje w kręgu lampy, tylko już śmiertelne jego igraszki nie mają miejsca w tym zaciszu.

Tu jest „dobrze żyć” i tu terażniejszość ma wagę.

Dewiza Napoleona, *le passé et l'avenir n'existe pas, il n'y a que le présent*, przepaja atmosferę. Ci ludzie żyją tylko chwilą obecną, szczególnie mężczyzna.

Kobieta idzie za nim jak cień!

Idzie i nie wie, nie chce już wiedzieć, dokąd właściwie zajdzie.

Nawet uparta melancholia Pity nie zdoła ich wytrącić z tej drogi, po której iść im tak przyjemnie. Dziewczynka, założona przez Porzyckiego masą farb, palet, wzorków, tektur, wiszorków, kredek, tonie w swej rysunkowej pracy i milczeniu. Całe wieczory spędza pochylona nad rajbrecikiem. Nie miesza się do rozmowy.

Nie patrzy nawet na matkę i na Porzyckiego. Czasem tylko, gdy oni nie widzą, obrzuci ich promieniem swego spojrzenia i cofa się w głąb siebie, coraz więcej smutna i nieufniejsza.

Tymczasem na maszynie spirytusowej, którą Porzycki przyniósł ze swego pokoju, gotuje się herbata, na tekturowej tacce wdzięczą się różowymi i czekoladowymi brzuszkami ciastka pana Płonki, srebrzą pudełka sardynek i homarów, jak topaz mieni się koniak i lubiany przez Porzyckiego „Vöslauer Goldeck”. W piecu pali się rażno wysuszone przez dzieci za wskazówkami aktora drzewo, pachnie jodłami i białą różą, przecudne, pełne maki jak rozstrzępione motyle czerwienią się w półcieniu.

Tuśka i Porzycki mówią dużo, mówią, rozpowiadają sobie siebie samych na wyścigi, jedno przez drugie, jakby się śpieszyli, by stanąć u mety. On szczerością swoją pobijają ją, bo mówi jej *wszystko* i odsłania się takim, jakim jest w istocie ze swymi wadami, brakami, ze swym złem i tym, co jest złego w jego dobrym. Tymczasem ona, jak zwykle kobieta w takich razach, pozuje jeszcze, pozuje ciągle, ale już ogromnie umiejętnie, nie kłamie tak, jak z Warchlakowską, lecz *wybiera* to, co ma powiedzieć, a to, co ma zataić. Nie wie bowiem, iż mężczyźni jest najczęściej wszystko jedno, jaką kobietą była, a nawet jest. Chodzi mu głównie o to, jaką *będzie*, zwłaszcza w tego rodzaju stosunkach, jak jej do Porzyckiego. Jeżeli ci ludzie rozpowiadają przed sobą siebie samych, to czynią to tylko z potrzeby mówienia o sobie przed słuchaczem chętnym, ale nie z konieczności wyświechtania swego charakteru.

Jeżeli są szczerzy, to dlatego, że nie są zdolni do utrzymania nawet własnej tajemnicy.

Jeżeli kłamią, to folgują chęci upiększenia wszystkiego, nawet siebie samych.

W gruncie rzeczy nie ma wielkiej różnicy.

Jedno i drugie nie ma właściwie celu.

Porzycki, gdy Tuśka pracowicie kłamie, kim i czym jest, patrzy z lubością na jej rozwiane umiejętnie fale włosów, na jej śliczne uszka jak muszelki różowe, na jej podbródek, zarysowany na tle błękitnej aksamitki z czystością porcelanowej maseczki.

Tuśka arabeskami cieniuje wspaniałość swego charakteru, a on śledzi nozdrza delikatne jej noska cokolwiek garbatego i myśli, że poruszają się obiecująco jak chrapki, i rozkoszuje się każdym tym poruszeniem.

Nawzajem, i ona, gdy Porzycki najdowcipniej, potrącając czasem o nutę sentymentu, kreśli obraz swej cygańskiej duszy, ukradkiem dobiera się wzrokiem do jego rzęs jedwabnych, długich, gęstych, dziwnie zafryzowanych, tak jak Tuśka tego nigdy jeszcze nie widziała.

— On jest śliczny! — myśli z zachwytem.

*

A deszcz pluszcze, bije w szyby, łomocze, wstrząsa chałupą, zdaje się, że zmyje ją i inne sadyby zupełnie z powierzchni ziemi. I coś jęczy, coś skarży się tam w nocnej oddali, coś bardzo biednego i nędznego, cała ludzka tragiczność, ta cała właściwa tragiczność w poznaniu zupełnej bezsilności w walce z przeznaczeniem. Łopocze to jakby stado zranionych ptaków, co to odbieżeć chciało, hen, daleko, w błękitny i złota słoneczny, a padło, szarugą groźną i wściekłą przybite do rozmokłej i czyhającej na ich trupy ziemi.

Ach!... jak w taką noc deszczową po zakopiańskiej dolinie rozwłóczą się łzawe skargi i jęki...

Och!... jak tam ktoś kaszle...

W oddali, w willi przeciążonej zdobnictwem i figlikami, drży nocna lampka.

Przez strugi deszczowe na świat drży taka lampka i coś jakby nierówne, spracowane tchnienie nią kołysze.

Chwilami zdaje się, że zgaśnie...

Ulewa szumi, jak potok spieniony, i takie zimno! taki straszny ziąb!

Lampka przecież trwa, drobna, maluchna, słaba — ale trwa.

I kaszel straszny przez szpary złotych belek w nużącą wilgoć się wciska.

I widać niespokojny cień.

Do okna podchodzi, ulewy nadśluchuje, ręce prawie składa... ku bielejącym w kącie izby poduszkom się zwraca.

Tam żali się coś bardzo nędznego, coś bardzo tragicznego i stamtąd płynie ten dech ciężki, który lampę podsyca.

Długa, straszna, deszczowa, zakopiańska noc. Strugi deszczu po szybach.

Świst wichru od hal...

Świst straszny płuc, w których strzępy się kołaczą!...

A potem nad ranem, gdy jeszcze ciemno, nagle lampka równo, prosto palić się zaczyna.

Żaden dech nie wieje — raz jeden gwałtownie zakolysze płomieniem — i nagle spokój zupełny...

Wówczas od szyby odrywa się cień, który błagał o trochę ulgi, cień ten ku tej wielkiej ciszy się zwraca, chwije się i pada nagle na klęczki, tak jak się pada przed katafalkiem lub wtedy, gdy trumnę do grobu spuszcza.

W świetle lampki zaostri się jakiś nieruchomy profil, najczęściej bardzo młody, na tle białych poduszek i schnie srebrna bruzda ostatniej łzy, która życie żegna.

O, nocy deszczowa! Zakopiańska, deszczowa nocy... masz w sobie czarność całunu, a srebro twych strug zabójczych haftuje na nim straszne:

— *De profundis...*

*

Z „widmowego” życia, które teraz Tuśka pędzi w zamknięciu sadyby, musi przecież się wyrwać i wyjść na próbę do Morskiego Oka. Uspokoiła się cokolwiek, zobaczywszy, że jeszcze kilka pań bierze udział w owym koncercie, śpiewając, grając i produkując w ten sposób owoce swych i cudzych udręczeń, które uprawianiem sztuki nazywać się zwykło. Lecz powstaje znów w Tuście nowa wątpliwość. Czy należy wziąć Pitę na ową próbę? Widzi sama, że wpłatała się obecnie w nieszczęśliwą sytuację, z której nie ma wyjścia. Nastręcza się jednak samo. Oto Pita cierpi na lekki ból gardła. Trudno ją narażać... należy zostawić w domu. Tak będzie najlepiej. Nawet Tuśka cieszy się z tego. Boi się jednak przyznać nawet do tego uczucia przed samą sobą. Gdy zajeżdża po nią sprowadzona przez Porzyckiego dorożka, z której leją się strugi wody, Tuśka nie śmie spojrzeć na córkę. Pita jednak zupełnie spokojnie i rozsądnie przyrządza sobie *cali chloricum* w szklaneczce z wodą.

Ogromna widocznie zaszła różnica w charakterze dziewczynki od chwili Morskiego Oka. Owa „scena”, jaką Pita matce zrobiła z powodu pozostawienia jej w hotelu, zmieniła się w obojętność zupełną. Co więcej, Pita najwidoczniej nie ma ochoty towarzyszyć matce na próbę. Owym próbom w pokoju asystowała w milczeniu i jakby jakąś ironią przejęta. Chwilami śledziła spod oka ruchy matki i zdawać się mogło, że je krytykowała w myśli. To było wszystko, co objawiła na zewnątrz i co Tuśka nawet dostrzegła. Z pewną więc ulgą rozstają się na tę godzinę, rozstają się mimo to ogromnie grzecznie i uprzejmie, tak jakby, podwajając sumę tej grzeczności, chciały zakryć jedna przed drugą wzajemne uczucia.

Lecz już w dorożce Tuśka zaczyna żałować, że nie została w domu, oczekując na wyzdrowienie Pity.

Cóż się bowiem dzieje?

Oto Porzycki po usadowieniu się, zapięciu fartucha, obejrzeniu drogi, czy kto nie idzie, porywa ją z ogromną siłą w objęcia i ustami ust szuka.

Staje się to nagle i niespodziewanie i właśnie w bardzo niestosownej chwili, Tuśka bowiem doznaje jakiegoś ścisnienia serca, coś, jakby ogromnego żalu za Pitą i nie za nią jedną, lecz za tym wszystkim, co Pita reprezentuje. Jest to u kobiet zwykły objaw, że dążąc całą siłą do wyzwolenia się z czegoś, zaczynają tego czegoś serdecznie żałować, gdy to wyzwolenie przychodzi. Jest to objaw chwilowy, niemal mgnienie oka, ale jest to ogromnie szczere i bardzo silne. W takiej właśnie chwili żalu, jak burza, zwałił się ze swym pocałunkiem w objęcia Tuśki Porzycki.

Z wielką energią odepchnęła go od siebie.

— Proszę!... bardzo proszę... — wyjąkała, poprawiając kapelusz i wualkę.

Porzycki był cały zmoczony przy dopomaganiu jej do wsiadania do dorożki. Peleryna jego wydawała nieprzyjemną woń mokrej wełny. Z kapelusza płynęła mu woda. Tuśka ubrała się niezmiernie starannie na ową próbę i z przykrością uznała, że ta próba pocałunku

zmoczyła jej nową, ładną, szafirową wualkę w grochy i starła jej z nosa puder. Ta prozaiczna strona w połączeniu z owym wtargnięciem w niestosownie wybraną chwilę duchowej rozterki sprawiła, że Tuśka czuła i żal, i niesmak, i jakąś urazę. Nie tak wyobrażała sobie taką chwilę. Siedziała cicho, odsunięta w głąb dorożki, starając się pogрузić w myślach. Było jej jednak dziwnie i zdenerwowanie jej wzrastać zaczęło coraz więcej, zwłaszcza gdy dostrzegła, że Porzycki siedzi także jakby urażony i zniechęcony. Co więcej, gdy odpychała go od siebie, dostrzegła początkowo zdziwiony, a potem ironiczny wyraz jego twarzy. Powiedział tylko — „przepraszam!” i usunął się w kąt dorożki.

To było wszystko.

Była chwila, w której Tuśka miała ochotę kazać stanąć dorożce, wyskoczyć i biec po deszczu na przelaj ku chałupie, tam zamknąć się, paść na łóżko i płakać. Tak ją zadławiło. Bo przypominała sobie, że postępowała bez taktu, że pozwoliła Porzyckiemu przynosić cukierki, ciastka, wino i obdarowywać się łakociami co chwila. A co jeszcze było najfatalniejsze, to ta okoliczność, że Tuśka czyniła to z bardzo niskich pobudek. Chciała bowiem jak najdłużej móc bawić w Zakopanem za nadesłane przez męża pieniądze. Łakocie, z taką rozrzutnością znoszone jej przez Porzyckiego, zaczynały stanowić poważną ulgę w jej budzecie i dlatego to, co powinna była, jako istota pełna taktu, odsunąć i przykrócić, tolerowała chętnie, wiedząc, że źle robi...

Teraz wyobraziła sobie, że to rzucenie się na nią Porzyckiego nie było niczym innym, tylko brakiem szacunku wywołanym przez jej postępowanie.

— Sama jestem temu winna — myślała — mam, na com zasłużyła.

Gdy tak w milczeniu dojeżdżali do hotelu „Morskie Oko”, zdawać by się mogło, że zapanował między nimi nagle wał lodowy, którego przebyć nie będą w stanie.

— Czyżby to był *brus*? — myślała Tuśka.

— Czyżby to była *przebiegła gęś*? — myślał Porzycki.

Wszystkie przebyte chwile, rozmarzenia półsenne w srebrach księżycy, kaskady gwiazd nad głową, lasy gencjan, wizje wstających o świcie gór, melancholia nocy deszczowych — to całe przeżyte wspólnie, piękne i jasne, zniknęło i zatarło się przez jeden gest zbyt pośpieszny i brzydki. Jak dwa kwiaty na zbyt kruchej lodyżce, tak widocznie wykwitwały ich uczucia na zbyt ciasne horyzonty rzucone, wichrom rozczarowań łatwych podległe.

Tylko była mała różnica.

Kobieta już szukała usprawiedliwienia dla mężczyzny, oskarżając się sama w duszy, przyjmując całą winę na siebie.

On zaś zaciął się i jakby obojętniał, postanawiając ponowić atak teraz już bez tej namiętej furii, ale rozważniej, obliczalniej.

— Muszę wypróbować...

Zaczynał bowiem nie mieć wielkiego pojęcia, czym właściwie jest Tuśka, z jednej strony lecąca ku niemu całą swoją atmosferą jak ćma i dysząca miłością, z drugiej strony odpychająca go z gniewem w chwili, gdy chciał już dotrzeć do jakichś pozytywnych rezultatów!

W sali teatralnej pusto było i panował nieprzyjemny półmrok.

Czarna jama zbyt wysokiej scenki, pozawieszana skandalicznymi płachtami, przyjęła Tuśkę i Porzyckiego.

Tu doznała zawodu.

Sądziła, że wejdzie w gwar, pomiędzy ludzi, hałas, przygotowania.

Tymczasem pusto było nawet w cukierni. Deszcz wypłoszył wszystkich. Kelnerzy drzemali po kątach. Sterty ciastek, cukierków, bombonierek zalegały stoły. Kiedy niekiedy ktoś wpadał, chwycił coś, turkotała furka i znów zapadała senna cisza.

Spomiędzy szmat reprezentujących „salon” wyłoniła się jakaś postać i leciuchno zbliżyła się do Tuśki. Jest to młody mężczyzna, odziany bardzo ubogo, o dziwnie wąskiej klatce piersiowej. Palto ma jasne, wytarte, za długie, buty bardzo zniszczone. Za to cylinder bajeczny, zupełnie nowy i tak lśniący, że odbija w sobie wszystkie przedmioty, które go otaczają. Stąd młodzieniec ten robi bardziej fantastyczne wrażenie nosząc na głowie jakby koronę, z jakichś niewyraźnych przedmiotów złożoną.

— Kolega Marcin — przedstawia Porzycki.

Kolega Marcin ukośnym wejrzeniem obrzuca Tuškę z rodzajem cynicznego uśmiechu, który mu już bezwiednie przyległ do pobladłych warg, skłania się w milczeniu i zabiera się do pełnienia obowiązków suflera.

Tak się to wszystko odbywa smutnie, urzędownie, że Tušce, która ma inne pojęcie o kulisach, scenie, choćby nawet amatorskiej, zaczyna się robić jakoś dziwnie. Mówi swoją rolę apatycznie, cała zajęta myślą poprzedniej sceny z Porzyckim, który formalnie unika spotkania się z nią wzrokiem. Tuška jest trochę skrępowana deskami, jednak nie tyle, jak przypuszczała. Zdaje się jej, że ma szczudła na nogach. Marcin podpowiada niewyraźnie, widocznie w złym humorze. Na scenie nie ma ani jednego krzesła — Tuška i Porzycki mówią swe role stojąc.

Próba wleczę się w ten sposób czas jakiś. Tušce zaczyna się robić bardzo przykro. Ma ochotę powiedzieć, iż grać nie będzie i wraca do domu. Boi się jednak obmyślić coś stanowczego. Wstyd jakiś ją dławi. Po co jest tutaj? Skąd się wzięła na tej scenie? Drzwi wejściowe się otwierają, wsuwa się kilka osób, dwie kobiety, jeden mężczyzna.

Porzycki marszczy brwi.

— Cóż tam za diabeł? — mówi. — Kazałem nikogo nie wpuszczać.

Patrzy przez chwilę i nagle się rozjaśnia.

— *Servus!* — woła — chodźcie tu...

Zwraca się do Tuški:

— To nikt!... to *nasi*, dowiedzieli się, że mamy próbę i przyszli.

Tuška z trwogą najwyższą patrzy na tych „naszych”, jak idą, rozwiewając peleryny, potracając krzesła, śmiejąc się, dowcipkując, pewni siebie i na swoich „śmiecicach”, bo w teatralnej sali. Ta cała banda, która szła drogą świetlaną, śpiewając kanconę, idzie teraz, ku niej zwrócona, tak samo wesoła, bez troski zbierająca miód z życia i piękno, i to, co niesie rozkosz choćby chwili.

Podeszli do rampy, witają się z Porzyckim, który przykląkł przy kinkietach.

— Jak się masz, stary?

— Jak się macie?

— My? byczo, ale ty gdzie się wkopałeś? ani dychu o tobie... Czemuś nie przyjechał na Jaszczurówkę?

— Dobryś sobie, w taki deszcz!...

— Jeszcze w gorszy potrafiłeś nas znaleźć!

— Stulcie dzioby i siedźcie cicho, bo my mamy próbę.

Obrzucają ciekawym spojrzeniem Tuškę, tak jak przed chwilą Marcin. Ona aż dostała wypieków pod ich spojrzeniami.

— Jedźcie dalej!... nie przeszkadzamy.

Siedli rzędem w pierwszej ławce, poopierali ręce na parasolach, laskach i patrzą.

Tuška usiłuje odzyskać spokój, równowagę, ale nie jest w stanie.

Spogląda miłośnicznie na Porzyckiego, lecz on nie dostrzega nawet jej zmieszania. Zaczyna mówić swoją rolę, rad, że się może popisać *damą z mondu* przed kolegami. Nie chce przedstawić Tuški jako swej kochanki, broń Boże! ale miło mu, że ma ładną i szykowną znajomą.

Tuška żałuje teraz naprawdę, że się wplątała w tę awanturę. Zdaje się jej, że stoi na rusztowaniu i że ściągnięto z niej wszystko odzienie. Mówi szybko i cicho. Porzycki spogląda na nią zdziwiony. Nigdy jeszcze nie mówiła tak źle swej roli. Ten wzrok miesza ją do reszty. Bliska jest płaczu. Widzi, że idzie zupełnie źle. W rozpacz pociera ręką po czole.

— Co pani? — pyta wreszcie Porzycki.

— Głowa mnie boli.

Lecz on jest teraz innym człowiekiem.

— Niezadługo skończymy — mówi oziębło.

To jest dla Tuški jakby podcięcie szpicrutą. Czuje, że i tu przegrywa stawkę. Instynktownie odczuwa, że Porzycki chciał popisać się nią przed kolegami. Uśmiecha się ironicznie i nagle w niepojęty sposób odzyskuje rezon. Zaczyna grać lepiej i gorzej. Popełnia bowiem mnóstwo niedorzeczności obok rzeczy zupełnie dobrych i pomysłowych. Śliczna jej postać, ładna twarzączka, błyszczące pod szafirem woalki oczy, piękna suknia,

ładne obuwie i rękawiczki usposabiają na korzyść. Przy tym zachowanie się jej jest pełne taktu i nie wyzywające.

Aktorzy mrugają na siebie z zadowoleniem.

Do rampy podchodzi wysoka, czarno odziana kobieta.

— Słuchaj, Porzycki — mówi do Porzyckiego — nie robisz pani uwag? Pani źle akcentuje.

Porzycki wzrusza ramionami.

Tuśka zarumieniona zatrzymuje się w pół zdania.

— To przecież bardzo łatwe, bo pani jest bardzo inteligentna i rzeczywiście bardzo zdolna — mówi dalej aktorka, opierając się o podium sceniczne.

Podnosi swą twarz ku Tuśce i ta natychmiast w tych zmęczonych oczach, w tych regularnych, ale jakichś smutnych rysach poznaje Sznapsię.

— Pani pozwoli, ja się przedstawię... jestem Markowska. Dlaczego pani mówi: „będę czekała na pana”, kładąc główny nacisk na — *pana*, kiedy się bez tego może obejść?... — Niech panie powie jednostajnie: — Będę czekała na pana.

Tuśka zmrużyła oczy i patrzyła z góry na czarno ubraną aktorkę, która w szarym świetle sali wydawała się cała jakby pyłem przyprószona.

— Ona ma rację!... — przyświadczył Porzycki. — Pani zanadto wybija!

— Nie jestem aktorką z zawodu! — odcięła się Tuśka.

Porzycki szarpnął się niecierpliwie.

— Ach, Boże! nie o to tu idzie — wyrzekł — zawód, nie zawód, mniejsza z tym. Skoro się ma coś robić, należy zrobić dobrze... Tylko ja nie mam daru nauczania...

Zwrócił się do Markowskiej, ciągle o podium opartej.

— Słuchaj... może ty z panią rolę przejdiesz, jako kobiety łatwiej się porozumiecie.

Nic nie zdoła opisać podrażnienia dumy, jaką uczuła w tej chwili Tuśka.

Ta kobieta, u jej stóp stojąca, wydała się jej czymś tak od niej dalekim i tak nędznym w porównaniu z nią samą, iż ta pycha zaczęła ją dławić i doprowadzać do wściekłości.

— Owszem! — odparła Sznapsia — ja... najchętniej. Mam dużo czasu, jestem gotowa... A kiedy?

Porzycki dalej się rozporządzał.

— Najlepiej jutro. Bądź ubrana o trzeciej. Przyjadę po ciebie fiakrem i przywiozę do nas, na Skibówki.

— Doskonale.

— Tylko się nie spóźnij po swojemu.

Roześmieli się wesoło. Przypomnieli sobie niejedną scenę z powodu tego wiecznego spóźniania się Sznapsi. Porzycki rozjaśnił się i z widocznym upodobaniem spojrzął na aktorkę. Ona mu nawzajem wzrok ten z równą sympatią oddała.

— Więc jutro?

— Na dziś przerwijmy próbę, bo jakoś nie idzie.

— Doskonale — myślała Tuśka. — Układają się bez zapytania nawet, czy ja się na to zgadzam, czy życzę sobie, aby *taka pani* przestąpiła próg mego domu... Tego dopuszczają się mogą tylko aktorzy.

Zeszli ze sceny i skierowali się ku cukierni. Gdy weszli do sali, jeden z aktorów zaproponował natychmiast:

— Napijemy się co ciepłego...

— Naturalnie.

Weszli do osobnego gabinetu, mając Tuśkę w pośrodku. Tuśce zdawało się, że idzie po rozżarzonych węglach. Nie wiedziała, jak się wyrwać, co począć. Teraz, gdy ci rośli, strojni, zdrowi ludzie otaczali ją, czuła się onieśmielona i przerażona. Siadali za stołem z hałasem. Zsuwali stoły. Kelnerzy usługiwali im chętnie.

Markowska stanęła obok Tuśki.

— Porzycki mówił nam, że pani ma duży talent — wyrzekła nadzwyczaj miłym głosem, który po prostu za serce ujmował — i widzę, że pani rzeczywiście jest utalentowana...

Tuśka czuła, że powinna coś odpowiedzieć.

— Pani zbyt łaskawa.

— O! nie... ja jestem szczerą. Ja powiedziałabym pani prawdę. A może pani chce się scenie poświęcić?

Tuśka wykrzywiła usta niemiłym, ironicznym grymasem.

— Ja?...

W tym jednym słowie było tyle arogancji, powiększonej chęcią zgniecenia swej interlokutorki, że aktorka odczuła intencję Tuśki.

— Jeżeli nie, tym lepiej dla pani — odrzekła z prostotą.

W tej chwili do gabinetu wszedł Porzycki. Był wesoły, rozpromieniony, w swoim żywiole. Rozmawiał z aktorami ich językiem, każdemu mówił ty, tak samo jak i aktorkom. Przyniósł się do Sznapsi i pytać ją zaczął.

— No, i cóż?... miałaś wiadomość?...

Uśmiechnęła się bardzo ładnie i miło.

— Miałam.

— I?

— Powiem ci później.

— Dobrze warunki?

— Zobaczysz sam.

— Dziękuję ci! Dobry z ciebie bursz!...

Znów zamienili uśmiechy i Tuśce zdawało się, że nigdy pomiędzy nią a nim nie zakwitł tak ciepły promień, jak ten, który pomiędzy nimi zajaśniał. W jednej chwili uprzytomniła sobie pożyte tych dwojga, przebyte nędze i radości, gospodarstwo na rogu komody przy maszynie naftowej, sceny i godzenia się, wspólna praca, wspólna włość, dzielenie doli i niedoli.

— Nic tak nie łączy jak scena! — powiedział do niej niegdyś Porzycki.

Tak, stanowczo, ci oboje byli złączeni ściśle serdecznie.

Inaczej niż ona...

Zresztą jakie ona prawo miała myśleć o jakimś złączeniu się z tym człowiekiem, ona, niewolna, zamężna, obca zupełnie jego światu... jemu samemu...

Wystarczy spojrzeć na niego, teraz, pomiędzy tą bandą aktorską, na jego oczy błyszczące: czy pamięta o niej? czy wie, że ona istnieje?

Nie — przypomniał sobie. Idzie ku niej, aby ją zaprowadzić na kanapkę pod lustro i posadzić obok swej *dawnej kochanki*. Tego Tuśka nie zniesie. Wyprostowuje się nagle, nieokreślony wyraz pogardy okala jej usta.

— Pan daruje... ja muszę jechać do domu.

— Dlaczego?

— Pan zapomniał. *Dziecko niezdrowe*.

Akcentuje silnie to niezdrowie córki, której przed godziną nie wahała się zostawić samej w sadybie. On wzrusza ramionami.

— Ależ to nic nie jest... Pita sobie poradzi.

— Przepraszam. Ja wiem, co mam zrobić.

Markowska miesza się znów do rozmowy.

— Ta śliczna panią, która była z panią w Kuźnicach, chora?

— Trochę na gardło.

Aktorka wydaje się silnie zaniepokojona.

— Ach, mój Boże! trzeba posłać po lekarza. Tu jest specjalista...

Lecz Tuśka wyniosłe kiwa głową.

— Już zrobione, co należy. Dziecku jest lepiej, ale ja jechać muszę...

Skinieniem głowy żegna zgromadzonych.

Zdaje się jej, że jest bardzo królewska i zupełnie niepospolita. Wychodzi, a za nią Porzycki.

Dochodzą do dorożki. Ona spodziewa się, że on się usprawiedliwi, powie coś dobrego... czeka na to słowo. Lecz on pomaga jej wsiąść do dorożki, sam nie wsiada, zapina fartuch i rzuca dorożkarzowi:

— Na Skibówki! Do Obidowskiej!

Dorożka jęknęła, zagrzmiała masę łańcuchów, żelaza, zagrzecgotała jak fura kamieni i ruszyła wreszcie ze stękiem.

Po Tuście spłynął od głowy do stóp zimny dreszcz. Doznała uczucia, jakby ktoś oblał ją zlodowaciałą wodą! Na chwilę nawet myśli w niej zastygły. Wtuliła się w róg dorożki i jechała tak jak martwa w tym niespodzianym osamotnieniu, jakby skostniała.

Wreszcie zrozumiała, że Porzycki zwrócił się ku „swoim”, odstręczony przez nią zbyt może brutalnym odtrąceniem, gdy się ku niej garnał.

— Co jednak miałam poczuć? co?... co?... — myślała, gryząc do krwi usta i łamiąc pod fartuchem rękę.

Ogarnął ją jakiś namiętny, upiorny szal.

— Dobrze zrobiłam, dobrze!... powinnam mu była dać w twarz... Szkoda, że tego nie zrobiłam!

Dorożka targnęła się jak w konwulsjach, zachybotła jak dziesięć pociągów, podjeżdżających ku stacji, i wreszcie wbiła się w olbrzymią kałużę przed chałupą.

— Niech wysiadajom! — dał się słyszeć głos spod stosu skór baranich, wśród których sterczała fajka.

Tuśka rzuciła w stronę fajki guldena, który skwapliwie pochwyciła nadzwyczajna ręka, dając pewne wyobrażenie, czym musiała być ongi ręka prymitywnego człowieka.

— Niechby dodali co na piwo — zamruczało znów z głębi tajemniczej serdaka.

Lecz Tuśka nie była w wenie uszczęśliwiania ludu i szybko pod parasolem przemknęła się do chałupy.

Na łóżku leżała Pita owinięta pledem. Na widok wchodzącej matki podniosła się grzecznie z łóżka.

— Cóż? lepiej ci? — spytała Tuśka.

— Lepiej.

Dziecko chciało podejść, aby pocałować matkę w rękę, lecz Tuśka powstrzymała ją szybkim gestem.

— Nie, nie — daj spokój... nie podchodź! Jestem zmoczona. Możesz się przeziebić.

Doznała nawet uczucia ulgi, nie potrzebując się zbliżyć do córki. Brak równowagi, w jaki popadła, migał przed jej oczyma chwilami fatalnym jej własnym obrazem. Wtedy lękała się formalnie zbliżenia dziecka.

Przebierała się długo i starannie, aby zabić czas. Pita położyła się znów na łóżku i zamknęła oczy. Ściemniało się powoli. Szare, ohydne światło wypełniło pokój. Zdawało się, iż ktoś rozpylał masę popiołu. Sprzęty rzucały niepewne, rozwiane cienie.

Tuśka owinęła się w szal i usiadła przy piecu.

Drzewo dopalało się z wolna i rzucało już tylko krótkie gasnące blaski.

Jakaś przedzimowa, dziwnie smutna, pod serce zaszywająca się atmosfera wkradała się jak nietoperz i zapadała na duszę.

Ogromny smutek rzeczy minionych wyzierał z każdego kąta.

Tuśka zaciśnięte ręce jak pieczęć przywarła do ust, tak wpił się ten smutek w nią całą.

Dokoła niej wszystko przypominało jej ubiegłe wieczory spędzone z Porzyckim: nie dojedzone ciastka złożone były na oknie, na talerzyku pachniały poziomki, woń szpilkowa przepędziła powietrze. Farby Pity leżały rozrzucone na stole... Wszystko przypominało na każdym kroku tego człowieka, który tak niebacznie założył tu swój miły cichy „dom” i teraz odszedł, nie obejrawszy się nawet za nią.

— Ile on musiał już mieć takich gniazd — myślała Tuśka z goryczą. — Ile!...

— Po co on tu do mnie przyszedł... po co?... — dodała w duszy — teraz mi będzie strasznie...

Myślą pobiegła w dawne swe życie.

Wydało się jej straszne, jałowe, bez jaśniejszego promienia, bez ciepła, bez światła.

— Gdyby nie on, byłoby mi wystarczyło!...

Zmarszczyła brwi, zacięła usta z uporem.

— Musi wystarczyć! — pomyślała.

— Musi!...

Prawie już czarno było w pokoju.

Na rogu komody błyskał jakiś wazonik z pękiem maków rozstrzępionych, wesołych.

— Precz z tym! — postanowiła.

Wstała cicho, aby nie zbudzić Pity, wzięła kwiaty, ciastka, poziomki, wyniosła na werandę i rzuciła w błoto. Farb Pity nie ruszała, bo nie chciała tłumaczyć się przed dzieckiem. Pozostała chwilę na werandzie. Wiatr smagał ją z szaloną zaciętością. W jednej chwili miała twarz i włosy złane deszczem. Ale to jej nie otrzeźwiło. Przeciwnie, zdenerwowało jeszcze więcej.

— Tak... tak!... — powtarzała, poddając się tej lodowej chłości.

Zdawało się jej, że w ten sposób karze się za swe przewinienia. Fizycznych cierpień zapragnęła jak najwięcej. Sądziła, iż w ten sposób zagłuszy moralną udrękę. Po chwili oswoiła się z szarugą i ulewą. Cofnęła gwałtownie głowę i natrafiła na kant drzwi. Uderzyła się silnie. Ten ból sprawił jej chwilową ulgę.

Ponowiła uderzenie.

— Masz!... masz!... to dla ciebie! — myślała, bijąc głową o kant ramy.

Ktoś przechodził drogą i spłoszył ją. Powróciła do pokoju i zapaliła świecę.

Nie chciała zaświecać lampy. Ten jasny krąg byłby jej przysporzył bólu, przywodząc postać Porzyckiego z ciemni.

Pita zasnęła. Tuśka usiadła znów pod piecem i usiłowała zwrócić się myślą w koło „swych obowiązków”.

— Mam męża, dzieci, muszę myśleć o nich... *Tylko o nich...* to jedno mi wolno. Nic więcej. Jeśli myślę jeszcze o kimś, popełniam grzech! grzech! grzech!...

To słowo rozkrzyczało się w niej jak nagle zbudzony upiór.

— Grzech!... grzech!...

Z ciemni zdawały się ku niej pełzać gadziny z kłębami śliny w pyskach. Te płazy podkładały się ku niej wolno i cicho. Jeden z nich miał długie, oślizgłe łapy, zakończone jakby wachlarzami palców. Po ziemi włócił całe masy wymion o zielonych, zgnitych refleksach.

— Grzech!... grzech!...

Przez umysł Tuśki przewijają się zaczynają całe masy obrazów, jej dzieci milczące i ciche, w szkolnej odzieży, ukryte za palmami, mąż tak chudy i nędzny, że serce ścisną się na jego widok, konfesjonały pełne księży surowych i smutno spoza kratek patrzących, zamknięte wrota kościołów, noce długie, bezsenne, w czasie których włosy mokre od łez wężem po poduszkach się wiją...

— Grzech!... grzech!...

Wicher łopocze w okna, wstrząsa chałupą, zda się, zedrze lada chwila dach i odsłoni izbę na to, aby w nią były lodowate strugi i siekły czarnymi różgami z monotonią piekielną. I wtedy nic już nie osłoni Tuśki, nic nie osłoni Pity, nie będzie się gdzie schować ze swymi myślami, ze smutkiem, z bólem i rozpaczą wyjącego w duszy smutku.

Tuśka ogląda się po tej izbie, która od niedawna stała się dla niej jakby straszną pułapką, w której utopiła spokój swej duszy.

Izba ta jest pełna światła innego, nie tego, który powinien być jej światem, lecz tego, który tu się wkradł podstępnie...

Czy jednak bez jej wiedzy?

Przejmuje ją znów lodowy dreszcz.

Wszak temu wszystkiemu, co się tu działo, ona była obecna...

Tak — była obecna, ale tylko obecna. Pozwalała, iż dzieła się cały łańcuch zdarzeń, co więcej, dopomagała do tego, że się właśnie działo...

Czy więc w ten sposób ona nie była winna, iż Porzycki postąpił dziś z nią tak, jak to się zdarzyło?...

Czy nie wyzwała ona niejako tego pocałunku, tego wyładowania się namiętności? Czyż codziennie niezliczoną ilość razy takie pocałunki nie drżały na ich ustach, przesyłane ku sobie wzrokiem?...

A więc...

Czyż należy tak bardzo winić Porzyckiego?

Wiatr łopocze po szybach coraz gwałtowniej. Jakiś niepokój szeleści dokoła chałupy. Coś niewidzialnego i groźnego od gór się czai...

Grzech!... grzech!...

Tuśka zasłania oczy skostniałymi rękoma.

Jasno teraz spojrziała w głąb siebie.

Uraza do Porzyckiego za to gwałtowne garnięcie się do niej topnieje, ginie, lecz inny, stokroć silniejszy żal wzbiera i dławi.

Zazdrość, zazdrość szalona na myśl, że on teraz z tym ciepłem niezrównanym w oczy tamtej, swej dawnej kochanki, patrzy!...

— Z nią jest teraz, z nią...

Aż jęknęły wiązania chałupy. Ze świeżo zbudowanej wicher belki strącił... Pita porwała się na posłaniu.

— To nic, to wicher... śpij!...

Dziecko senne opadło jak kłos.

I znów jęki wichru, szalenie ulewy, pełzanie po kątach gadów.

Tak mija długa chwila.

Tuśka już drętwieć zaczyna. Nie pragnie nic, nie chce nic, tylko wie, że jest bardzo zmęczona i biedna.

Nagle cichy turkot furki zatrzymuje się przed Obidowską chałupą.

— On!...

Tuśka unosi głowę, dech zamiera w jej piersiach. Słyszy, jak on wchodzi do sieni, jak otrząsa okrycie, jak zrzuca kalosze i jak kieruje się ku swojej izbie.

I Tuśka doznaje nagle szalonego uczucia ulgi.

Wie, że wrócił, wie, że jest pod jednym z nią dachem, wie, że jutro zobaczy go wczesnym rankiem.

Wszystko, co było, mija. Nie pamięta, jak bardzo cierpiała. Wie tylko, że on jest tam.

I wdzięczna mu jest za to, że nie przyszedł, nie zapukał do jej drzwi, bo nie wie sama, jak by się zachowała, co mówiłaby mu, gdyby się ku niej zwrócił. Może wybuchnęłaby płaczem, a to byłoby najgorsze.

— Będę z nim teraz inaczej postępowała — myślała powstając z krzesła. — Zamknę wszystko w sobie; on nie może, nie powinien wiedzieć, co się dzieje we mnie...

Spojrzała na zegarek. Była zaledwie dziesiąta godzina. To ją uspokoiło do reszty.

— Cóż dziwnego, że pozostał trochę w cukierni z kolegami, przecież w tym nie ma nic złego...

Zbliżyła się do lustra, doprowadziła do porządku włosy.

W tej chwili zachrobotał ktoś we drzwi.

Obidowska wsunęła przez próg rękę.

— To dla nich! — wyrzekła — a to dla małej.

Paczka ciastek, na nich śliczna róża, kilka gazet, a dla Pity pudełko *cali chloricum*.

Drobnostka... nic...

Z piersi Tuśki spada ciężar, świat się jej rozjaśnia, mimo że świeczka dogasa.

— Proszę podziękować!

Niewyraźny pomruk gaździny jest całą odpowiedzią.

— Więc myślał o niej!...

Zamyka drzwi i znów wicher wstrząsa chałupą tak, że zdaje się, rozniesie ją na skrzydłach nietoperza.

I te konfesjonały, w których księża patrzą smutnie przez koronkę kratki, i te palmy, poza którymi grzeczne dzieci z Wareckiej ulicy stoją milczące i ciche....

Grzech!... grzech!...

Tuśka kładzie na stole ciastka, różę i dzienniki i zbliża się do łóżka. Obok, na stoliczku, leży książka do nabożeństwa, strojna książka, oprawna w perłową masę, jedna z tych książek, które stanowią dopełnienie niedzielnego stroju.

— Pomodłę się!... — postanowiła Tuśka. — Mogę; mam prawo, nie popełniłam jeszcze nic złego...

A tu znów płazy czolgać się zaczynają i syk wszczynają się po kątach.

— Grzech! grzech!...

Strojna książka z ręki Tuśki wypada i smutek kłębi się, jak chmury przed burzą, wali się ku niej.

Tuśka pada twarzą na poduszki i pozostaje tak bez ruchu, gdy nad nią rozszalałe skrzydła szarugi biją z piekielną wściekłością o pazdury sadyby.

XXIX

Gdy spotkali się nazajutrz w sieni, ona blada, owinięta ciepłymi fałdami flanelowej, błękitnej matynki, on jakiś podniecony, z błyszczącymi oczyma i trochę spalonymi ustami, nie mówili przez chwilę do siebie nic, tak jak ludzie spotykający się po długim niewidzeniu.

Od niego, pomimo owego podniecenia, powiało chłodem i ona w tej chwili chłód ten odczuła i wchłonęła. Wyprostowała się, sztywna i jakby roztargniona. Oczy ich rozbiegły się i błądziły po świetlanych punktach, jakimi belki sieni były poznaczone.

— Cóż Pita? — zapytał Porzycki.

— Dziękuję — zupełnie zdrowa.

— Czy wręczono pani *cali chloricum*?

— Tak... dziękuję... było już niepotrzebne.

Tuśka podeszła do drzwi, prowadzących na dziedziniec, i uchyliła je.

— Gaździno!...

Deszcz lał ciągle szarymi, ukośnymi strugami.

— Gaździno!...

Porzycki coś koło roweru majstrował.

— Pani pamięta? — zapytał — dziś próba, będzie Markowska i Marcin.

— Pamiętam — odrzuciła sucho Tuśka.

Chciała mu rzucić w twarz, iż grać nie będzie, że nie pozwala im, tej bandzie Cyganów, wtargnąć do swego mieszkania, że nie chce mieć z nimi nic wspólnego, ale coś ją wstrzymywało, paraliżowało jej słowa. Mówiła to sobie wszystko w myśli, głosem wydać nie była w stanie.

Zwróciła się do swego pokoju. Gdy już była na progu, Porzycki zatrzymał ją słowami:

— A!... chciałem panią uprzedzić, że dziś nie będziemy jedli razem obiadu. Jestem zaproszony.

— Do kolegów?

Twardo popatrzył na nią przez chwilę.

— Tak! Stamtąd z Marcinem i Markowską do pani przyjadę.

— A... dobrze!...

Weszła do siebie i drzwi zamknęła.

— Więc to tak? — myślała — więc to tak się kończą takie... flirty?

Spojrzała dokoła, szybko pozbierała lampę, marynarkę, drobiazgi Porzyckiego, z którymi, jak sam mówił „sprowadził” się do niej, i oddała je wchodzącej gaździnie.

— Zanieście to temu panu z przeciwka! — wyrzekła ostro, mierząc blachy i fajanse nienawistnym spojrzeniem.

Niemniej przecież łowiła uchem, czy nie dosłyszcy choć kilku słów, jakimi Porzycki przyjmie owo odesłanie drobiazgów.

Lecz cicho było po tamtej stronie domu.

Tylko tutaj Pita rzucała na matkę ukośne wejrzenia. Wreszcie zbliżyła się do stołu, ułożyła w pudełku farby, zawinęła w papier ołówki, wiszorki, gumy i kredki i pytająco na matkę spojrzała.

Tuśka wybornie zrozumiała, że Pita, widząc owo „wyprowadzanie” Porzyckiego, czuje się w obowiązku być gotową do odesłania mu także jego drobnostek.

W tej samej chwili weszła Obidowska.

— Cóż ten pan powiedział? — zapytała mimo woli Tuśka.

— Nic... ino śmieli się, aze sie zachlupneli! — odparła gaździna.

Na Tuśkę uderzyły ognie.

Śmiał się! On — z niej! On, który powinien był tłumaczyć się przed nią, usprawiedliwiać! On, który był przyczyną, iż przepędziła taką straszną noc w rozterce ze sobą, ze swym sumieniem, ze swą duszą?...

Śmiał się!

Podniosła dumnie głowę. Oczy jej spotkały się z oczyma Pity. Pomimo, iż czuła dobrze, że dziecko nie może zrozumieć całej głębi, w którą jej matka powoli zapada, przecie coś tam bezwiednie we wzroku dziecka być musiało, co ją zdenerwowało do reszty.

— Niech Pita gardło płucze!... — krzyknęła gwałtownie, po raz pierwszy używając tego tonu w otoczeniu rodzinnym.

Obidowska popatrzała na matkę, na dziecko i pokiwała głową.

— Bez to się tak sumujom, że się! — odezwała się tonem perswazji. — Państwo dolscy to już tacy wartcy a łakomi na owe słońce...

— A cóż wy myślicie? — napadła na nią Tuśka, rada, że ma na kogo zwrócić swój gniew — cóż wy myślicie, że my tu do waszej zakopanej jamy przyjeżdżamy, żeby się wam przyglądać i patrzeć, jak leje?

— Ano, to niekze z Panem Bogiem przódzi umowe spisom na pogodę, hej!...

Gaździna była jakoś jowialnie usposobiona albo chciała rozbawić gości, bojąc się, żeby nie wyjechali z nudów do miasta.

— Bandzie piknie, niek sie nie bojom! — pocieszała, hałasując szklankami na tacy.

— Idźcie sobie! — rzuciła się Tuśka — robicie tu piekło... mnie głowa boli, a potem wasz serdak cuchnie jak powietrze!...

Gaździna uczyła się dotknięta.

— Serdak je nowy i nicem nie trąci! — wyrzekła wychodząc z izby — to nie serdak, to ja... ze starości!

I wyszła, obrażając swoją miłość własną dla ocalenia honoru serdaka.

Na stole ujrzała Tuśka list od męża.

— Naturalnie! — pomyślała — jest list! jeszcze mi tego brakowało.

Rozerwała kopertę i z ironią czytać zaczęła.

Żebrowski wyjątkowo nie pisał o palmie, weskach, materacach, ale donosił jej, że „był na operetce”, a potem dał się namówić na „pół porcji” Kowalskiemu, którego żona pojechała do Krynicy i jako „słomiany wdowiec” chodzić musi do restauracji na kolację. Żebrowski pisał, iż na operetce ubawił się, a na kolacji otruł, ale już mu lepiej. Deszczu w Warszawie nie ma, przeciwnie — najpiękniejsza pogoda i on się dziwi, że podobno w Zakopanem taka ciągła ulewa...

— Dziwi się! dziwi się!... — myśli Tuśka, drżącymi rękoma składając list — dziwi się! On się wszystkiemu dziwi! Miły człowiek! Słomiany wdowczyk! Operetka!... Kolacyjka! Pisz o „pół porcji” — niuńka — myśli, że ja mu uwierzę. Albo ten Kowalski — czy to nie zgroza... ma taką śliczną żonę! Ledwo wyjechała, a on już na „pół porcji”!...

Zgrzytnęła zębami.

— Wszyscy oni jednakowi!...

Wydeła pogardliwie usta i zajęła się gorliwie Pitą. Przyrzędziła jej płukanie, uczesała włosy, wydobyla z kufra francuską książkę i zadała jej do nauczenia się bajkę. Obrus schowała do kufra i drobiazgi, którymi upiększała obiadowe chwile.

— Wystarczy sobie sama w życiu — myślała, zacinając się i kurcząc duchowo.

Ubrała się jednak strojnie i starała się wyglądać ładnie. Udało się jej to w zupełności. Bładość była jej do twarzy. Upudrowała się jeszcze i przyciemniła brwi. Gdy skończyła te wszystkie przygotowania, przejrzała się w lustrze.

— Niech wie, co traci! — pomyślała.

Instynktem odczuła, że Pita stanowiła jakby dopełnienie jej urody. Kazała więc dziecku ubrać się białą, pończoszki włożyć szare i białe buciki. Szarą wstążką związała włosy małej. Sama ubrana była także jasnopopielato, powłóczyście i nadzwyczaj dystyngowanie. Postanowiła być przede wszystkim „dama”, i dystyngowaną, aby dać uczuć tym ludziom, kim jest ona, kim oni.

Lecz gdy wysiedli z dorożki, wpadli do sieni i wypełnili cały dom swą wesołością, swymi pewnie ustawionymi i rozwiniętymi głosami, w których pełno było radości życiowej — cała „dystynkcja” i to sztuczne napięcie Tuśki zaczęło zanikać jakby pod naporem zbyt świeżego i silnego wichru. I gdy już wtargnęli do izby, zastali ją wysadzoną z siodła, niepewną, zmieszaną. Taką już sądziła, że pozostanie do końca tej próby, która rozpoczęła się od razu z miejsca z takim rozmachem i temperamentem, jakby ktoś czwórkę koni rozpuścił i batem nad nią trząskał. Nawet grzeczny pan Marcin, wybornie usposobiony, wyzbywszy się cylindra, przedstawił się jako miły i bardzo inteligentny chłopak. Pod zniszczoną odzieżą poznać w nim było można pańskie dziecko, na które padła tylko duża skorupa cynizmu i musowej beztroski o rzeczy ważne.

Markowska, jakaś na razie rozjaśniona i uśmiechnięta, pod skrzydłami wielkiego kapelusza, natychmiast zwróciła się ku Picie i przysiadła się do dziecka, wpatrując się w nią uważnie.

— Jaka ona śliczna!... — wyrzekła wreszcie głośno, zwracając się ku Tuśce.

Lecz Tuśka, szablonem wiedziona, uznała za stosowne zaprzeczyć.

— Co znowu!...

— Ależ śliczna. Dlaczego nie ma wiedzieć o tym. To przesąd. Prawda, panienko, że wiemy, iż jesteśmy śliczni jak obrazek?

Pita zarumieniła się, przygryzła usteczka.

Porzycki i Markowska zaczęli śmiać się wesoło.

— O! spiekła raka!...

Tuśka także płonęła jak mak, taka ją gorączka jakaś trawić zaczęła.

Markowska klasnęła w ręce.

— O! o!... i mamusia spiekła raczka.

Natychmiast Porzycki odrzucił:

— My już byśmy tego nie potrafili.

Po twarzy Markowskiej przesunął się szary cień.

— Zapewne.

Tuśkę ogarnął cień jakiegoś zadowolenia, że w niej jest coś lepszego, czego tamta właśnie nie posiada.

— Proszę... siadajcie państwo...

Lecz Porzycki przerwał natychmiast.

— Wcale nie. Przede wszystkim napijemy się herbaty. Myśmy przywieźli kanapki, ciastka, owoce, a pani nam da herbaty. Wreszcie sami się tym zajmiemy. Gdzie moja maszynka? A... prawda!...

Parsknął śmiechem. Tuśkę oblały już nie rumieńce, ale pąsy. Zdawało się jej, że i Sznapsia kryje gwałtowną chęć śmiechu. Było to tylko przywidzenie, ale w jednej chwili Tuśka wyobraziła sobie, że Porzycki opowiedział wszystko swej dawnej kochance i że oboje wyśmiewali się z niej i z tego, co się z nią działo.

Porzycki wypadł do siebie po maszynkę, za nim Marcin. Pita śledziła ich ruchy jak widz w sali teatralnej. Za chwilę wpadli z naftą, zapalkami, maszynką, spirytusem, wodą — słowem, całym kramem.

— Och! ten Porzyk!... — śmiała się Markowska.

Patrzała na niego z ogromną lubością, a on widocznie cieszył się z tego spojrzenia.

— My nie umiemy próbować w domu bez herbaty, ciastek, nafty i tym podobnych akcesorii.

Marcin bardzo wprawnie chodził koło herbaty.

— Ty się możesz, pikrusie jeden, żenić — zawyrokował Porzycki. — Dam ci nawet swoją starą naftówkę na gospodarstwo.

— To nowa? — zapytała Markowska.

Wstała i zbliżyła się do maszynki.

— Ależ nie, to ta sama — wyrzekła przyglądając się uważnie.

To było nic, to była drobnostka, takie rozpoznanie dawnego sprzętu wspólnego, który codziennie służył im do gotowania strawy, na jaką zziębli i głodni do domu wracali.

Markowska pochylona stoi ponad płomieniem maszynki, oświetlającym żółtym, ciepłym światłem jej podbródek i smutnie w podkowę opuszczone usta.

I cała jej postać ma w sobie nadzwyczajny nimb melancholii, właściwy ludziom, którzy nagle stoją u trumien, przyniesionych nazajutrz po zgonie ich bardzo bliskich i bardzo drogich.

Takie niby nic, taka drobna maszynka, taki płomień żółty, pokorny, płomień ogniska ludzi bezdomnych i ubogich, a tyle wspomnień, taki szmat życia, nagle zmartwychwstały i złączony mądrością rezygnacji z rzeczami terazniejszymi, które podścielisko istnienia obecnego tworzą.

Ranki zimowe, szybkie porwanie się ze snu, tulenie rąk dokoła ciepłej szklanki, powiadanie roli, wybieranie resztek herbaty z ołowianej obłonki...

Pocałunki pośpieszne. — Bądź zdrowa!... Próba długo potrwa. — Nie zazięb się. — Masz na obiad? — Mam! mam!

Kłamstwo miłosne, wybiegnięcie do zastawu i ten obiad zgotowany, odgrzewany goździnami, partie bilardu lub śniadanie po próbie. Wreszcie chwilowa wymówka i zgoda, pocałunki długie, gorące, przy blasku płonącej kuchenki...

A potem rozejście się nagle, bez powodu prawie, pod pretekstem lepszego engagement, rozpadnięcie się takiej bryły kryształowej uczucia, utworzonej z żaru pieszczot, łez, uśmiechów, omdleń, abnegacji, poświęceń graniczących z bohaterstwem...

Tuśka śledzi wyraz twarzy aktorki, która w milczeniu na maszynkę, płonąca teraz na rogu *innej* komody, patrzy. I zaczyna nią owładać to uczucie, jakiego, zdaje się jej, doznaje Obidowska, która tak dyskretnie dozwala Józkowi widywać się z Hanusią.

— Ona była przede mną... to jej prawo!

Tymczasem Porzycki krząta się, rozmawia, śmieje, roztacza znów swój czar wytwarzania domowej atmosfery. Ustawia filiżanki, umizga się do Pity o obrus, rozkłada ciastka, ciesząc się zawczasu ich doskonałym wyglądem.

— *Provens!... messieurs, mesdames! provens!* — woła, ukazując białe, smaczne pałeczki.

— Nie widziałam takiego łakomego mężczyzny — śmieje się Markowska — prawda?

Zwraca się do Tuśki. Ta mimo woli potwierdza. Czuje, iż nie ma miejsca na umieszczenie tu swych dystynkcji. Nie byłyby należycie ocenione, a kto wie, może i wyśmiane. Niemniej jednak trzyma się jako tako w zakreślonej roli. Jest grzeczna — nic więcej! Czyni nadludzkie wysiłki, aby nie przyjmować udziału w ich wesołości. Tak samo zachowuje się i Pita. Wyglądają obie, jak gdyby były na wizycie. Markowska ciągle obserwuje Pitę. Wreszcie zwraca się ku Porzyckiemu:

— Wszak prawda, ta panienska ogromnie przypomina Amę?

Porzycki odpowiada natychmiast:

— Ja to zaraz zauważyłem...

Następuje milczenie. Ta jakaś „Ama” jakby wionęła z zaświatów. Coś niezwyklego skrzydełkami rozpięło się w ciszy.

Melancholią powleczone oczy aktorki oblewają Pitę smutnym spojrzeniem. W ślad za nim idą i oczy Porzyckiego. Chwilę ci oboje są nieruchomi i cisi.

Tuśka czuje, że tu coś więcej marą wspomnień zadrgało niż zwykle aktorskie pożycie dwojga ludzi.

Kto była Ama?

Jakby w odpowiedzi na silne i gorące pytanie, sformułowane w myśli Tuśki, Markowska odwraca się ku niej i mówi:

— Ama to była moja córka.

Tuśka nie pyta się o nic więcej. Nie chce już nic wiedzieć. Po co? Ta Ama, prawdopodobnie, to *ich* dziecko.

I to jest najstraszniejsze!

Coś bardzo silnego, coś bardzo tragicznego padło nagle pomiędzy nich wszystkich. Wspomnienie drobnej, małej dziewczynki, ot! — takiej jak Pita. Teraz Tuśka rozumie, dlaczego Porzycki z taką lubością patrzył na jej córkę, dlaczego obrzucał ją gencjanami, dlaczego opiekował się nią od pierwszej chwili.

Więc widział w niej Amę!...

Markowska powiedziała: — To *była* moja córka. Była — a więc nie jest. Nie jest... znaczy, umarła. Węzeł prysł w chwili skonu dziecka. Ale czy prysł? Czy mogła mała na Powązkach, na której klęczą ubogie, gipsowe aniolki lub w trawie tulą się pokorne baranki, to nie silniejszy węzeł niż żyjące, rozkrzyczane i rozwichrzone dziecko?...

Wypili herbatę, zaczęła się próba. Powoli na twarze Porzyckiego i Markowskiej powróciła znów ta aktorska *insouciance*, na którą nie ma nazwy w naszej mowie. Zaczęli znów żyć i dyszeć chwilą obecną. Próba poszła gładko i rzeczywiście Markowska dopro-

wadziła wszystko do ładu. Tuśka chętnie poddawała się jej radom, bo aktorka umiała trafić do przekonania amatorki.

— Wszystko będzie dobrze — mówiła, ubierając się w kapelusz i gotując się do wyjścia. — Jutro będę w sali na próbie.

Zwróciła się ku Porzyckiemu.

— Odwiesz mnie?

— Naturalnie.

Znów Tuśka doznała ścisnienia serca. Przez krótką chwilę, poddając się czarowi Markowskiej, nie żywiła ku niej złości i dlatego mniej cierpiała. Gdy widziała Porzyckiego wychodzącego z tą kobietą, odżył w niej cały ból, zdwojony jeszcze musem tej sytuacji.

Aktorka zbliżyła się do Pity, pragnąc ucałować dziecko.

— Pani pozwoli? — zapytała Tuśki.

Lecz Tuśka rzuciła się żywo:

— Nie — nie...

Zdawało się jej, że to ją samą pragną dotknąć usta aktorki.

Porzycki spojrzał na Tuśkę zdziwiony.

— Dziecko jest chore na gardło... Pani może zachorować... — tłumaczyła się Tuśka.

— A... tak!...

Tuśka jednak musiała istotnie zmienić się i zblednąć, bo oczy Porzyckiego wbiły się w jej twarz uparcie.

— Do jutra!

Wyszli oboje do sieni.

Słychać było, jak zamieniają z sobą jakieś krótkie, urywane zdania.

Wreszcie drzwi od dworu się otworzyły, furka zaturkotała i nastąpiła cisza.

Tuśka spojrzała dokoła. Porozstawiane naczynia od herbaty i ciastka, dalej owa maszynka — wszystko zaczęło drobiazgami okrutnymi ranić jej serce. Gdy wzrok jej padł na Pitę, rana ta powiększyła się jeszcze silniej. Teraz ta słodka, śliczna twarzyczka będzie jej uosobiała tamtą, ową Amę — ich córkę, ich dziecko, rozwiane widmem kochanym i tak bardzo silnym, jak nic nie jest silne w życiu!

Uczucie przykrości z tego wynikłe było dla Tuśki tak dojmujące, iż nie mogła pozostać dłużej w pokoju. Pod pretekstem zawołania gaździny otworzyła drzwi i wybiegła do sieni.

Ciemno tu było i duszno od wilgoci i stęchlizny.

— Nie mam nic!... — myślała Tuśka, rozżalając się nagle nad swym losem — nic, ani męża, ani córki, ani...

Nie kończyła, nie wiedziała, *dłaczego* ich wszystkich nie ma. Czowała tylko ogromną próżnię dokoła siebie, próżnię, w której będzie musiała obracać się życie całe.

Oparła się o ścianę i lzy gradem popłynęły jej po twarzy. Nie tamowała ich biegu, lkała tylko cicho, lękając się, aby Pita nie posłyszała jej głosu.

— Och!... jakim nieszczęśliwa!... — aż krzyczało w niej niepowściągniętym już bólem. Myślą o mężu, o Picie, którzy zesunęli się według niej z jej życia, głużyła ten nocny szept:

— Grzech!... grzech!...

Zdawało się jej, że rozstała się pod nią ziemia, a dachu nie ma nad głową, że ciśnięto nią nagle na jakąś równię bezkresną, po której siecze deszcz i szaleje wichura.

Nagle — coś poruszyło się w cieniu i dwoje ramion ciepłych, przytulonych okrążyło ją:

— I czego?... i czego?...

Nawet nie zastanowiła się, skąd on się wziął tak nagle przy niej. Czowała tylko, że on jest, że garnie ją ku sobie, że może utulić się, wypłakać, wypocząć...

Głowę tuli na jego piersi i płacze ciągle.

I w ciemni padają słowa:

— Niech kiciątko nie płacze.

Echem odbiły się w niej dokładnym. Przypomina sobie — hotel w Krakowie, tamten płacz przeze drzwi, jęk kobiety, który ją tak podrażnił brakiem ambicji i który wyгнаła ze swego pobliża, piętnując pogardą.

— Niech kiciątko nie płacze...

Uspokaja ją tymi samymi pieszczonymi słowami. Jeden repertuar! Lecz tak jest zdręczona i już pozbawiona siły, że w milczeniu tai nieledwie przed sobą to odkrycie niespodziane i upokarzające.

Tymczasem cały deszcz pocałunków wypija z jej oczu łzy, a głos Porzyckiego powtarza:
— Niech kiciątko nie płacze...

Pocałunki te nie przejmują żarem, lecz tulą, głaszczą, jak muśnięcie ptasich skrzydeł, jak dotknięcie świeżych listków róży.

Porzycki z przedziwnym instynktem wyczuł, czym płoszyć może tę kobietę, tak mało wiedzącą o namiętnych dreszczach pomimo kilkunastu lat swego zamęścia. Zrozumiał, iż temperamentowe wybuchy przerażają ją właśnie dlatego, że zbudzą w niej nie znane jej porywy. Delikatnie, pieszczotliwie dobiera się do jej łask i tym ją ujarzmi.

Ona oczu splakanych nie broni, ale broniłaby jeszcze z pewnością ust.

I nawet nie należy przedłużać tej pieszczoty oczu, bo może przyjąć znowu bunt i wszystko zniszczyć.

Usuwa się i teraz tylko delikatnie ręką gładzi włosy Tuśki, tak jakby to czynił z małym rozszlochany dzieckiem.

— No... już dosyć! dosyć!...

Równocześnie myśli, że ta „dama z mondu” bardzo łatwo się zmienia i jest już szerszą, niż przypuszczał. To przejmuje go pewnym rozrzewnieniem i rzeczywiście czuje dla Tuśki sporo sentymentu. Zarazem jest trochę zakłopotany. Zwykle spotykał się z mniejszą dozą uczucia. Były tam łzy, ale to więcej były łzy, gniewu. Te zaś są prawdziwe łzy żalu, a nawet niekłamanego bólu.

— Źle się zaczyna... — myśli, a równocześnie jest jakby dumny i rad.

— Wpadła!... — myśli, a ta myśl bynajmniej nie jest myślą pawiającego się donżuanu. Porzycki donżuanem z profesji nie jest. Przeciwnie, pogardza tego rodzaju osobnikami, więc i w jego zadowoleniu nie ma miłości własnej. Nikt przede wszystkim o tym jego zwycięstwie nie wie, tylko on jeden. Lecz cieszy go, że to uczucie, które wzbudził, jest ładne i pełne. Potrąca bowiem i u niego struny *sentymentu*, a to sprawia mu dużą przyjemność.

Tuśka nie analizuje, nie rozbiera, wie, że jest pocieszana, pieszczona, że cały jej ból spływa, a dusza jej rzeźwieje, prostuje się jak kwiaty na łące po ulewnym deszczu. Rada by pozostać tak w tej sieni do nieskończoności, wsłuchana w ten szept, w tę nazwę „kiciusia”, choć właściwie to słowo powinno by jej robić wielką przykrość.

Sytuacja jednak staje się taką, że dłużej przeciągać się nie może. Lada chwila Pita może otworzyć drzwi albo wejść gaździna. Należy przerwać sytuację.

Przy tym...

Tuśka pierwsza jakoś przytomnieje, wysuwa się z objęć Porzyckiego i ku swojej izbie wraca.

— Ja tam zaraz przyjdę! — mówi do niej Porzycki.

Odwraca się ku niemu i właśnie stoi tak, że pada na nią ukośny promień światła przedzierającego się przez szczeliny drzwi.

Nic nie zdoła oddać uroku, jakim jaśnieje jej wycelowana tak gorąco twarzyczka. Uśmiech prześliczny rozjaśnia rysy. Jest w niej to samo wewnętrznie rozpalone światło, jakie miała niegdyś Obidowska na swej twarzy aszanta, nazajutrz po zgodzie z mężem.

Równocześnie Tuśka spostrzega, że w chwili, gdy Porzycki ujął ją w objęcia, stała w tym samym miejscu sieni, gdzie dostrzegła naprzód Hankę w objęciach Józka, a następnie Sznapsię, pieszczoną przez Porzyckiego.

— Zakłęte miejsce!... — myśli wchodząc do swej izby.

*

W izbie Pita sprzątnęła obrus, serwetki i przyprowadza cichutko wszystko do porządku.

Ukośne, szybkie wejrzenie rzuciła na twarz matki, na jej splakane oczy, na włosy rozrzucone.

Tuśka staje przy lustrze i ujmując puszek umaczany w welutinie.

— Zostaw, Pito, obrus i serwetki! — mówi nie patrząc na córkę — pan Porzycki dziś będzie z nami jadł kolację.

Dziewczynka nie odpowiada ani słówka. Wyjmuje z kufra obrus i rozściela go na stole. Ruchy jej są ruchami automatu, ale twarzyczka jej pociemniała, jakby coś ją w sercu zabolalo.

Twarzyczka Pity ciemnieje, usteczka drżą, Tuśka się pudruje i grzeje na maszynie żelazko do fryzowania, nie chcąc spojrzeć na dziecko.

W izbie swojej Porzycki siedzi przy stole i pisze list do matki:

„...a bądźże spokojna, moja pocziwa staruszko, nic się nie dzieje złego i twojej Picie żadna krzywda się nie stanie...”.

Tak pisze Porzycki na bardzo ładnym papierze z monogramem i szlachecką koroną, a Picie twarzyczka ciemnieje...

XXX

Gdy już Tuśka wymówiła ostatnie słowa roli, dopiero przyszła do przytomności.

Kurtyna spadła i rozległ się szmer braw.

— Podnosić!... — wołał Porzycki.

Tuśka uciekała po karkołomnych schodach do garderoby. Kurtynę podniesiono.

— Chodźże pani! — krzyknął na nią Porzycki.

Stała niezdecydowana.

— No... chodźże!...

Głos aktora brzmiał gniewnie.

Czuł, że brawa mogą się urwać przez wahanie się Tuśki.

Wmieszala się w to Markowska.

— Niechże pani idzie... niech pani go nie gniewa! — szepnęła, popychając Tuśkę...

Za chwilę Tuśka, trzymana za rękę przez Porzyckiego, kłaniała się publiczności. Czarna i ciemna scena zupełnie była otwarta i prześliczna postać Tuśki w czarnej, aksamitnej sukni wchłonięta była niejako w tę ciemność. Tylko czarującą linią i karnacją zaznaczała się jej szyja odsłonięta i obramowana aksamitem, a na tej szyi złote włosy od karku wysoko, modnie zaczesane linią delikatną zlewały się z brzoskwiniowym kolorem ciała. Twarz, upiększona charakterystyczną, arcydziełem Sznapsi, z oczyma powiększonymi czarną linią, z rumieńcami koloru róży, z ustami nadto czerwonymi, była bardzo piękna, jak twarze lalek lub afiszowych figurek, oznajmiających publiczności o nadzwyczajnej mączce dla niemowląt lub rywalizującym z Van Houtenem kakao.

Z orkiestry dźwignął się ku Tuśce duży, pstry bukiet i zaraz potem ogromne koło z bobkowych liści, przystrojone wstążką i gazą dla Porzyckiego.

Oboje wzięli kwiaty i kiwali się wdzięcznie ku publiczności, z której jedna część biła brawo, a druga jeszcze zawzięcie Tuśkę lornetowała.

W pierwszym rzędzie białe, powiewnie ubrana Pita siedziała nieruchomo na krzeselku. Uszka tylko miała silnie zaczerwienione. Za nią widać było cały klan Warchlakowskich: mama w grenadinio czarnej na tle pąsowym i córki w grenadinie białej na tle niebieskim. Nadzwyczajne, ironiczne uśmiechy zdobiły ich usta, a szarotki niewinnie puszczone na plecy zdobiły kosy. Koło mamy Warchlakowskiej siedział sam pan radca, który przybył właśnie tego dnia rano. Był czerwony i nadęty.

Patrzył na ludzi z góry, tak jak przywykł patrzeć właściciel kamienicy, który w każdej chwili, gdy mu się zechce, może podwyższyć czynsz lokatorom lub wysłać sądowe wypowiedzenie... A potem był „radcą”, trzymał za łeb, panie tego, samego prezydenta i stanowił figurę, bez której woli budżet miejski się nie uchwali. I był solidnym człowiekiem, żył z żoną przykładnie (o tym cały Kraków wiedział). Miał więc czego się nadymać pan radca Warchlakowski.

Wreszcie kurtyna zapadła i Porzycki zwrócił się ku Tuśce.

— No... było niezłe!

Ucieszyła się, widząc go znów rozpromienionym, bo od chwili rozpoczęcia się widowiska nie mogła poznać tego człowieka. Znikła jego wesołość, uprzejmość, łatwy sposób obejścia. Stał się opryskliwy, zdenerwowany, zajęty wyłącznie sobą. Wymyślał suflerowi,

maszynistom, rekwizytorowi. Urządzał sam scenę, rozkładał dywany, wymagał kandelabrow, kłął bezustannie, wołając „psiakrew!”. Co chwila wołał: „Grać nie będę” i zobaczywszy wypłatane wiedeńskie krzeselko wpadł w szal wołając, że musi mieć krzesło złocone, „takie, jakie bywa u dentysty”.

Na Tuškę rzucił jakieś brzydkie spojrzenia, jakby niechętnie, i nie miał dla niej słowa zachęty; tylko, gdy już miała się podnieść kurtyna, mruknął:

— Niechże się pani trzyma, bo mnie pani zasypie i ja się skompromituję!...

Gdy przed rozpoczęciem programu Marcin przyszedł za kulisy i zaanonsował, że dla pani Żebrowskiej jest bukiet, spojrzał na niego, jakby wyczekiwał, że zapowie i dla niego jakąś owację. Ponieważ Marcin nie powiedział nic, Porzycki wpadł we wściekłość. Zaczął z furią wycierać lusterko składanej tualetki ze szminkami, przed którym się charakteryzował.

— Psiakrew... — wyrzekł przez zęby — diabli mi nadali grać w tej szopie.

Powściągał się jednak widocznie z wybuchami swej aktorskiej choroby, która owładnęła nim od razu z chwilą poczucia szminki i publiczności za kurtyną. Pokój, w którym tłoczyli się przyjmujący udział w przedstawieniu, ciasny był i brudny. Panie, wypełniające część koncertową, pozostały w sali, lecz był jeszcze w programie rodzaj *journal parlé* i rozmaite matadory literackie we frakach i tużurkach oczekiwały swej kolei. Świeżo ogoleni, przybierając miny istot „wyższych” dzierżyli w rękach produkty swej inteligencji, udając skromność i uprzejme zniżenie się do „wszystkich”. Patrzyli na Porzyckiego jako na odtwórcę, a sami mając się za twórców, czuli się wyżej duchowo postawieni.

Porzycki zaś, który nieraz czytał bajdy: „autor miał mu wszystko do zawdzięczenia”, urągał w duszy pawieniu się twórcy. Niemniej jednak znał przed nimi mores i usiłował stanąć na jednym z nimi terenie zachowania się w „dziedzinie intelektu”.

Tuška patrzyła strwożona i zdumiona na Porzyckiego, nie mogąc go poznać, tak bardzo się zmienił. Z dolepieniem brody z jasnej krepki zmienił się charakter tego człowieka.

Sznapsia, pudrująca lekko policzki Tuški, szepnęła jej cicho:

— Niech pani mu powie dyskretnie w rozmowie, że i dla niego jest przygotowany wieniec.

— Dlaczego mu pani nie powie?

Nadzwyczaj subtelny uśmiech przesunął się po ustach aktorki.

— Nie... nie... niech mu pani to powie.

— Dobrze...

— Zaraz mu się humor poprawi.

— O!... w takim razie najchętniej.

Były już teraz na dobrej stopie. Zbliżyły ich próby. Wreszcie Porzycki zajmował się wyłącznie Tušką. Pieszczoty ich, pocałunki ponawiały się ciągle, stając się coraz mniej uczuciowymi. Tuška przestała się obawiać Sznapsi, a właściwie nie chciała myśleć już o niczym, oprócz o Porzyckim.

Przy tym aktorka z całym wdziękiem zaopiekowała się „amatorką”. Zaproponowała jej pożyczanie sukni, nadzwyczaj delikatnie podając Tušce pretekst, iż „jadąc do wód, nie bierze się z sobą zbyt kosztownych tualet”. One zaś, jako artystki, muszą być przygotowywane na jakieś przedstawienia, koncerty, które nagle zaskoczyć je mogą. Stąd i ona ma wspaniałą aksamitną suknię, w której Tušce będzie bardzo pięknie. Rzeczywiście suknia była nadzwyczajna i Tuška miała figurę bardzo do figury Markowskiej zbliżoną. Po chwilowym wahaniu Tuška propozycję aktorki przyjęła i ubrała się w jej tualetę. Na bal, który miał nastąpić po przedstawieniu, przygotowała sobie czarną, dekolowaną suknię, zdjęwszy z szarego jedwabiu tiul czarny, naszyty palietkami, i nałożywszy go na czarny atlas. Picie sprawiła sukienkę białą muślinową, w której uroda anielska dziecka dosięgła swego szczytu. Pieniądze, przysłane przez Żebrowskiego, topniały jak woda. Tuška postanowiła sprzedać swój złoty łańcuszek, a na tym balu być i „zaimponować”.

Gdy *journal parlé*, a właściwie turniej pychy i zarozumiałości się skończył, literackie figury wyniosły się z garderoby i pozostał tylko Porzycki, Tuška, Marcin i Sznapsia, która usadziwszy w krzesłach Pitę, przysłała za kulisy.

Porzycki w chwili wyjścia na scenę obejrzał przeciw Tuškę.

— Dobrze... — zawyrokował z roztargnieniem i zaraz zwrócił się do Sznapsi.

— To twoja suknia? — zapytał.

Tuškę to upokorzyło niezmiernie. Oczekiwała na coś więcej. Czwała, iż jest śliczna i ta jej „śliczność” nie doczekała się niczego więcej. Dlatego też, gdy po skończeniu Porzycki założył sobie na szyję ów wieniec jak chomąto końskie i zaśmiał się do niej wesoło, ucieszyła się niezmiernie.

Wreszcie odnalazła jego dawny, dobry uśmiech i pocziwie oczy.

— No... a teraz ja się przebiorę, a potem na salę.

— Ja idę się przebrać do panny Markowskiej.

— Dobrze, a niech się pani długo nie ubiera, bo te wycia i rzępolenia prędko się skończą.

Roześmieli się wesoło.

Na tacce stały kieliszki koniaku, które Porzycki kazał z cukierni przynieść, dużo także cukierków leżało na talerzach.

Tuška, podniecona, uradowana powodzeniem, wypła koniak duszkiem.

— Za nasze kawalerskie!... — śmiał się Porzycki.

Koniak wypła, brodę z krepki odrywać zaczął.

— Tak się robi!... — śmiał się rzucając krepkę w kąt izby.

Gaz syczał i wiewał wachlarzami płomieni. Ktoś otworzył w górze brudne okienko. Z daleka slychać było szumiący po kamieniach potok, od gór wiał wiatr chłodny, wilgocią przesiąkły.

Kwiaty wydawały nadzwyczaj silną woń.

Tuška wyrwała z bukietu pęk tuberoz i kilka żółtych lilii i podała tę wiązankę Sznapsia.

— Dziękuję pani! — wyrzekła aktorka.

Przypięła kwiaty do paska czarnej gazowej sukni.

Wieniec Porzyckiego leżał na krześle. Tuška zbliżyła się i zaczęła czytać napis na szarfie: „Wielkiemu Artyście — Wielbicielom”.

Uśmiechnęła się.

— To przyjemnie!... — wyrzekła wpatrzona w napis.

Życie kulisowe już działać na nią zaczynało.

Nigdy się nie czwała tak wesoła, bez troski, spokojna, jak w tej chwili.

Porzycki oglądał wstążkę przy swojej szarfie.

Skrzywił się lekko.

— Nieszczególna, mogli się na lepszą zdobyć.

Sznapsia, która w tej chwili nalewała sobie kieliszek koniaku, rzuciła żywo:

— Może nie mogli tu lepszej dostać.

— Może.

Drzwi otworzyły się. Weszli dwaj panowie z komitetu, który urządził owo przedstawienie. Ze słodkimi minami podeszli do Tuški, patrząc z podziwem na prześliczną jej szyję. Dziękowali i sykali pochwałami. Ona ciągle jeszcze grała rolę „hrabiny” i czwała, że gra ją dobrze. Przyrzekła, iż po przedstawieniu przyjdzie na salę. Zrobiło się gwarniej. Wchodzić zaczęli bez ceremonii aktorzy i witać się z Porzyckim, Sznapsią i Tušką. Wszyscy oczami dążyli ku ciału różowemu Tuški i jej złotym włosom.

Ze sceny dolatywały rozdzierające tony jakiejś grobowej arii włoskiej, śpiewanej przez amatorkę pełną dobrych chęci.

Sznapsia, ujawszy w pól Tuškę, wyprowadziła ją z garderoby.

— Chodźmy! — wyrzekła — za chwilę tu będzie za ciasno i za wesoło.

Szeregami ciemnych zaułków wydostały się obie na kurytarz hotelowy. Weszła do numeru zajmowanego przez Sznapsię, która wyprowadziła się z Jaszczurówki z powodu zbyt wielkiej „od miasta” odległości. Świece paliły się w lichtarzach, suknia balowa Tuški leżała przygotowana na krzesłach.

— Tak... niech się pani rozcharakteryzuje „cold-creamem”. Tu ma pani puder, róż, wodę kolońską, żelazka, szpilki...

Uprzejmie nadzwyczaj czyniła honory swego gniazdka tymczasowego, w którym było piętno jej samej. Porozrzucane kwadraty haftowane z szarej gipiury przetykanej złotem, pęki kwiatów w wazonach huculskich, śliczna i wonna pościel, wykoronkowana i lila ałłasem błyszcząca, srebrne przybory na gotowni, dużo kasetek pluszowych, saszetek,

pudełek i książek, a nade wszystko ten zapach róży zmieszanej z *trèfle incarnat*, który zdawał się przepajać wszystko, czynił z tego numeru hotelowego jakieś odrębne, posiadające własne cechy gniazdo.

Tuśka rozglądała się dokoła i podobać jej się zaczynało ogromnie to cygańskie urządzenie.

Zbliżyła się do biurka i patrzyła na porozstawiane fotografie. Natychmiast doznała ścśnienia serca. Kilka fotografii Porzyckiego w kostiumach i zwyczajnym ubraniu, w dużych formatach, porozstawiane było w ramach i pozatykane za pluszowe wstążki parawanika, ustawionego na biurku.

Na niektórych czerniły się ukośne napisy, lecz Tuśka od razu przeczytać ich nie mogła. Sznapsia uprzejmie zbliżyła się ze świecą w lichtarzu.

— To moja Ama! — wyrzekła, wskazując dużą fotografię ślicznej dziewczynki, której nadziemska twarzyczka rzeczywiście dziwnie przypominała Pitę.

— Troszkę młodsza na tej fotografii od Pity, ale prawda, jaka podobna?

Tuśka nie odpowiadała nic przez długą chwilę.

Patrzała, chciała się spytać, czy dziecko to żyje i czy to jest dziecko Porzyckiego? — ale nie śmiała. Przeniosła wzrok na aktorkę, która smutna, owiana swą czarną gazą, wbiła swe prześliczne oczy w fotografię dziecka.

— Umarła dwa lata temu!... — wyszeptwała wreszcie, wzdychając ciężko.

Tuśkę to westchnienie przeszło do głębi. Wyobraziła sobie, jakie wspólne chwile smutku łączyły tę kobietę z Porzyckim.

Wspólne, długie chwile w pokoju, gdzie czai się coś, czai się, jakby w księżycową noc zakradał się przeogromny strach i rozszeptał się widmem po kątach.

Mała lampka płonie, zakryta jeszcze ustawioną książką. Koło niej tyle szklanek, łyżek, flaszeczek! Biedny, nędzny arsenał mamiących środków.

A w kącie trochę pościeli białej, wtłoczona poduszka i w tej bieli złocisty snop światła i nieruchoma, płonąca twarzyczka. Oczy rozwarte, a już szklane. Widzą — nie widzą... Ku tej twarzyczce garną się ich dusze i wiszą u tych ustek, które już zdają się nie wdychać w siebie nic.

I tak powoli wlecze się noc.

Przewlokła swój czarny płaszcz. Idzie świt, ręce tych dwojga ścierpły od ściskania się w oczekiwaniu najstraszniejszego. Jej głowa pochyliliła się na jego ramię. A w głębi pościeli snop złota tężej. Płonąca twarzyczka o świcie zdaje się sina. Jeden lekki dech... Kobieta kryje twarz na jego piersi. Jest sama! Dziecko jej nie żyje.

A potem trumna biała, błękitna... Lilie, bławatki. — Przez tę trumnę ci ludzie patrzają sobie w oczy. A potem przez grób świeży, na który idą we dwoje. I gdy ona pada we łzach na rozmokłą glinę, on ją otula ramionami i podnosi.

— Niech kiciątko nie płacze!...

Przez fotografię martwego cudownego dziecka spotykają się oczy Tuśki i Sznapsi.

W jednej chwili obie przeżyły tę całą tragedię, która całunem opadła na ich balowe suknie, na ich nagie ramiona.

Nie mówią do siebie nic, ale myśli ich spotkały się i wniknęły w siebie z nadzwyczajną czystością.

Sznapsia stawia fotografię na biurku.

— Ja pójdę do Pity! — mówi ze smutnym uśmiecchem.

Ale Tuśka zatrzymuje ją w pół drogi.

— Dlaczego on się z panią nie ożenił?

— Kto?

— On!...

— Porzyk?

Tuśce bielmem zaciągnęło oczy.

Więc on rzeczywiście!

— Tak.

Aktorka zdaje się przez chwilę namyślać, wreszcie odpowiada z prostotą:

— Nie żądałam tego.

I znów po chwili dodaje:

— Może byłby to zrobił... później... dla dziecka... ale Ama umarła.

Tuśce przypomina się tamta w hotelu, płacząca, która upominała się o nazwisko dla dziecka i pytała: „Co będzie?”

— Nie — odpowiada Tuśka stanowczo — nie, on byłby się z panią nie ożenił.

— Skąd pani wie o tym?

— Wiem.

Delikatność kobieca nie pozwalała Tuśce rzucić w oczy Markowskiej, że oprócz jej Amy są jeszcze inne „Amy” — gdzieś daleko, poza innymi kulisami.

— On przecież jest dobry w gruncie. Bardzo kochał dziecko: gdy była słabsza, znosił jej farby, uczył ją rysować, zajmował się nią. Gdy umarła, napisał do mnie list ogromnie serdeczny.

— Nie był przy śmierci?

— Nie, był gdzie indziej angażowany. Byłam wtedy *sama*.

To słowo pada ołowiem, bryłą kamienia w to wykoronkowane gniazdo. I robi się nagle dokoła pusto, strasznie, zimno...

Tuśka doznaje jednak jakiejś ulgi na myśl, że nie było pomiędzy tym dwojgiem takich nocy przedzgonnych, takich pochylań się nad kołyską, gdzie złoty snop włosów gaśnie w blasku stygnącego życia.

Na kurytarzu rozlegają się hałasy. Trzaskanie drzwiami, krzyk. Przedstawienie skończone, nastąpią teraz *tańce*.

Teraz widocznym jest, że aktorka chce coś powiedzieć Tuśce, że się z czymś waha, do czegoś zmierza.

Stoi już przy drzwiach z ręką na klamce, piękna, malarska, stylowa, oczy wielkie, niezwykle uduchowione w Tuśkę wpiła. W oczach tych całe życie zamknięte — smutne, ciężkie życie.

— Wie pani — zaczyna wreszcie — co mi było najstraszniejsze, gdy dziecko umarło? Oto myśl, że może jej śmierć to kara za to, co ludzie winą nazywają... Winą... Pani rozumie? Tak się to już utarła ta nazwa. To niby przesady. Ale to my, z *lepszych domów*, mamy widocznie we krwi, wyzbyć się trudno! Czasem ludzie nazywają to... grzechem!...

Tuśka aż zadrgała.

Ta wysmukła czarna postać na tle białym, te oczy dziwne i ten szept:

— Grzech... grzech...

— Idę do Pity, ona tam sama! — mówi aktorka, wysuwając się z pokoju.

Słychać dźwięki orkiestry przez drzwi otwarte, a potem znów trochę ciszy.

Tuśka zaczyna się ubierać.

Siada przed lustrem i spojrzawszy na swoją twarz doznaje zdumienia. Wygląda jak maska, a potem ten dziwny wyraz oczu i w ogóle twarzy. Tuśka zmieniona! Taka nie ona, taka ciągle teraz wylękniona, wyczekująca. Ściera z twarzy farby, czyni to machinalnie, powoli. Ostatnie słowa Sznapsi przywodzą jej na pamięć ową noc fatalną wśród wichru i deszczu, gdy Pita leżała z gardłem obolałym, we śnie gorączkowym. Na co umarła Ama? Może na dyfterię? Może tak samo zaczynała się jej choroba...

W ogóle, jak to przyszło prędko to wszystko, jak ona w parę tygodni popadła w zupełnie obce środowisko i stała się kim innym. Gra na scenie, siedzi w pokoju aktorki, kocha się w aktorze...

Szum dokoła niej, lęk, groza.

Jakże daleko Warecka ulica! jak daleko!

Znów orkiestra.

Tuśka spogląda na przybory toaletowe Sznapsi i widzi dopiero, ile wspólnego ma taka kobieta z *mondu* z aktorką. Te same żelazka, pudry, kremy, wody, pachnidła. A przecież jest jakaś różnica. U niej te fałszy kryją się jakoś nieśmiało, tu już rozłożone butnie zabierają poczesne miejsca na pierwszym planie.

— I wszystko tak!... — myśli Tuśka, patrząc na porozstawiane fotografie — ja nie śmiałybym postawić fotografii Porzyckiego, a ona nie waha się, wszędzie jest go pełno. Czy one, czy ja mam słusność?... Oto pytanie.

I jeszcze jedna myśl zaczyna ją gryźć w przerażający sposób:

— Czy ona go jeszcze kocha?

Wzrok jej pada nagle na strzępy wstążki, na kawałeczki frędzli złotej, zwinięte i rzucone w koszyczek na toalecie.

Wstążka jest tego samego koloru i gatunku, jak wstążka przy wieńcu, który „wielbicie” ofiarowali przed chwilą Porzyckiemu.

A więc ten wieńiec był od Sznapsi...

Chciała mu sprawić przyjemność, zadowolić jego miłość własną... Pamiętała o takiej drobnostce i uczyniła to bezimiennie, tak że on nawet wdzięczności czuć dla niej nie będzie.

A więc nic innego, tylko go kocha!

Ze smutkiem nieokreślonym Tuśka spogląda na ten pokój, w którym przechowuje się wielkie, stałe i serdeczne przywiązanie. Fotografia Amy kładzie tu jakby zaziemską nutę. Oczy dziecka, ogromne, szeroko otwarte, ramionka, z których opadła koszulka, włosy rozwiane, cały kwiat łąk życia, kwiat o anielskim wdzięku, melancholią niezrównaną piękniejsza wszystko.

Ktoś puka do drzwi.

— Czy pani ubrana?

To głos Porzyckiego. Tuśka prawie już ubrana porywa się szybko.

— Nie można!

— Ja poczekam.

— Tak! tak!...

Kończy się ubierać, zaczyna drzeć cała.

— Czy teraz można wejść?

— Nie, nie!...

Za nic go tu nie wpuści. Wie, czuje, że zacznie ją całować, ona nie będzie zdolna mu się oprzeć. Ale tu, w tym pokoju, przed fotografią tego zmarłego dziecka, wśród tej atmosfery, przepojonej przywiązaniem Sznapsi, to niemożliwe, to niemożliwe!...

Wychodzi na kurytarz, obrzucona rotundą. On we fraku, w białym krawacie wygląda imponująco. W butonierce ma tuberozę. Jest bardzo piękny i świeżo upudrowana jego twarz ma dziwną przejrzystość alabastru.

— Dlaczego mnie pani nie wpuściła, skoro pani ubrana?...

— Bo... nie...

Zamyka drzwi na klucz, kładzie klucz do woreczka z czarnego brokatu, który razem z wachlarzem zwiesza się jej u ręki.

On w tej chwili ma wyraz twarzy jakby zawiedziony i gniewny.

— Nie zapomniała pani nic? — pyta tępo.

— Nie... chodźmy.

Spoglądają sobie w oczy. Tuśka aż doznaje bólu, tyle fluidu magnetycznego uderza w jej źrenice z oczu aktora. Szybko odwraca się i po dywanie kurytarza iść zaczyna.

— Chodźmy!...

Szept słyszy za sobą:

— Pani niedobra.

Udaje, że nie słyszy. Idzie ciągle kurytarzem ku drzwiom, które prowadzą na galerię teatralną. Tam są schodki kręcone, łączące galerię z salą.

Idąc widzi swą postać odbitą w lustrze, umieszczonym na końcu kurytarza. Pomimo zamieszania, wywołanego spojrzeniem i zachowaniem się Porzyckiego, Tuśka nie może oprzeć się przyjemności podziwiania swej urody. Rzeczywiście jest piękna, o wiele nawet piękniejsza niż na scenie. Zbyttnia jaskrawość farb i nadto silna czerń aksamitu ustąpiły miejsca delikatnej, pastelowej karnacji i rozwianym tiulom, posypanym stalowym deszczem blaszek. Z tego czarno-srebrnego obłoku wysuwają się prześliczne, pełne ramiona i głowa przystrojona różami z czarnych aksamitek, które podnoszą jeszcze śliczną, złotą barwę włosów. Gdy Tuśka idzie, rozwiewając rotundę, suknia dokoła niej płynie jak fala fosforyzującego morza z bioder jej ku ziemi kaskadą szemrze.

Tuśka w tej chwili jest cała zjawiskiem pięknym, sztucznym, kwiatem rozsiewającym myśl grzeszną, pożądanie i tęsknotę miłosną. Cała rozplomieniona, niepewna, drżąca, rozplomienia, wprawia w niepewność, w drżenie...

Tak myśli Porzycki idąc za nią, tak myślą ci, których oczy wybiegną ku niej, gdy za chwilę wchodzi na salę, przymrużonymi oczyma szukając Markowskiej i Pity. Znajduje je prawie tuż przy wejściu, oczekujące na nią. Tuśka spogląda na Pitę i jest oczarowana jej wielką pięknnością. W tej białej, leciuchnej sukience Pita przypomina delikatnego, ślicznego aniołka. Natychmiast Tuśka przywołuje Pitę i teraz idą przez salę obie, jedna dopełniając drugą w tryumfie pięknosci kobiecej.

Publiczność, przepelniająca salę, rozstępuje się przed nimi z zachwytem. Nawet kobiety przestają być zazdrosne. Pita rozbija najzjadliwsze i wstawia się za matką.

— Śliczne!... — słychać szmer dokoła.

Porzycki idzie obok i chłonie w siebie ten szmer.

I on jest tak podbity tryumfalną pięknnością Tuśki i Pity, że zapomina o swej aktorskiej pysze i cieszy się, że Tuśka podbija wszystkich.

Z zadowoleniem rzuca wzrok dumny na grupę kolegów i koleżanek, zbitych w kącie sali.

Wzrok ten, zdaje się, mówi:

— Aha!... a to moje!... a wy co?...

Z kąta odpowiadają mu spojrzenia:

— No... no... wcale... wcale... wieszujemy!

Orkiestra gra polkę.

W epileptycznych skokach zaczynają się trząść pary. Ku Tuśce zmierzają żądni zbliżenia się do jej atlasowego biustu mężczyźni.

— Pan ten... Pan ów...

Pochylają się głowy przyszyrzyżone na lato, ale ona odmawia.

— Nie tańczę polki.

Ma ten wyborny smak, że będzie śmieszna, rosła i pełna, skoro się zacznie trząść w podrygach i skokach.

Porzycki siada przy niej z miną plantatora, biorącego w posiadanie plantację trzciny cukrowej.

— Ja z panią tańczę...

— Jak to? wszystko?...

— Tak!

— Ależ to niepodobna.

Porzycki się śmieje.

— Otóż podobna. Pani to dla mnie zrobi?

Markowska wzrusza ramionami:

— Sensu nie ma. To może panią skompromitować.

Porzycki wzrusza ramionami.

— Pani Tuśka jest wyższa nad takie rzeczy — mówi — prawda?

„Wyższa” kobieta jest bardzo zakłopotana.

— Zapewne.

— Więc tylko ze mną!

Patrzy w oczy z właściwym sobie przymileniem — wie, że wtedy nic mu się nie oprze.

— Tylko z panem!

Sznapsia kiwa głową.

— Pani źle robi!... z nim trzeba inaczej!...

— Proszę cię, bądź cicho.

Jakiś studencik nieśmiało podchodzi do Pity.

— Czy mogę prosić?

Ale Pita najeża się jak mała *boule de neige* w czasie wichru.

— Idź, Pito...

— Nie, mamusiu!

Pita nie lubi tańczyć. Jest na to za leniwa, przy tym za czysta, za elegancka, aby znieść kontakt z jakimś nieznanym, może zakurzonym rękawem.

Studencik odchodzi zasmucony.

Znów jakaś głowa, ostrzyżona do skóry, skłania się przed Tuśką. Aranżer zabawy prezentuje:

— Pan...

Dalsze słowa toną w gorsiej koszuli i dźwiękach orkiestry:

— Nie tańczę polki.

Porzycki jest uszczęśliwiony.

Dostrzega bowiem pewną rewolucję pomiędzy mężczyznami. Jak to, ta warszawianka, taka szykowna, taka śliczna, nie tańczy? Jakże się do niej zbliżyć? Obsiedli ją aktorzy.

— To moje... to moje!... — zdają się mówić oczy aktora.

Po sali, obstawionej jakby szafami rusztowaniem rzeźbionym łóż, kręcą się liczne pary. Skaczą, skaczą przy sobie w takt rozrępolonej muzyki i robią wrażenie stada kuro-patw, wykonywających przed sobą zaloty. Z niektórych twarzy kobiecych sączy się pot, zmieszany z pudrem, ale one skaczą i skaczą zawzięcie, potrącane w objęciach mężczyzn.

Po łóżach siedzą panie nie tańczące i przyglądają się przez lornetki paniom skaczącym.

Pomiędzy nimi bryluje łoża Warchlakowskich. Wszystko to jest nadzwyczaj śmieszne i nie ma w sobie nic z wdzięku, jaki mogłaby mieć rzeczywiście taka zabawa w miejscu tak czarującym, jak Zakopane. Jest to nieudolne naśladownictwo miejskich balów, oznaczających się przeważnie wchłanianiem zapalczewym a wzajemnym własnych i cudzych wzwiewów w kurzu, ścisiku i potrącaniu się wzajemnym.

Co sprawi płucom, nerwom, duchowi lepszego ożywcze górskie powietrze i rozwiane piękno Tatr, to zniszczy, zgryzie targowisko próżności, pielęgnowane troskliwie w roztańczonej, źle oświetlonych norach. I to, co zbudzi blade widmo gór obramowane purpurą wschodzącego słońca w duszy miejskiej kobiety, zadusi, zadławi razem z bryklą *droit devant* żądza błyszczenia w kunsztownych skokach przed galerią drwiących lub pożądliwie wpatrzonych w nią mężczyzn.

Gra i gra orkiestra polkę, skaczą pary, migają pięty, falbany spódnic przebogaty, strojnych w medaliony inkrustowane, przetykane aksamitkami. Gdzieniedzie wdzięcznie wije się linia reformy, uwydatniająca doskonałą budowę dwóch Szwedek zabłąkanych w zakopiańską dolinę. Najwdzięczniej skaczą warszawianki i najpiękniejsze mają spódniczki i pantofelki. Smukłe to, kształtne, prawie Androgyne w pianie koronek. Tuśka jednak aż dostała wypieków. Zdaje się jej, że wszystkie te panie źle tańczą, ona pokazałaby, jak tańczyć należy.

Grają teraz walca. Ze skoków przechodzi taniec w ładny wir i teraz już nie widać falban ani bucików, tylko suknie zakreślają równe, śliczne linie. Ku Tuśce biegną znów spojrzenia mężczyzn. Dostrzega je Porzycki.

Uśmiecha się złośliwie. Podeszli ku nim aktorzy i obsypują Tuśkę nieszczerymi komplementami pożerając wzrokiem kark jej i szyję.

— Ależ tak, grała pani doskonale...

— Wybornie.

— Nie miała pani tremy.

— A przy tym umie się pani ruszać, mówić w salonie. Nie tak jak nasze panie...

— Czy ma pani zamiar poświęcić się scenie?

Tuśka śmiać się zaczyna.

— Ależ nie, nie!...

Kilka dni temu to samo pytanie obraziło ją nie na żarty.

Dziś śmieje się.

Postępuje olbrzymim krokiem. Czuje się już nawet swobodną i zupełnie spokojną w towarzystwie teatralnym. Nabiera tych samych pogardliwych spojrzeń i wielkiej nonszalancji, jaka ich cechuje. Nie razi jej nawet sposób zachowania się Porzyckiego, który wyraźnie ją kompromituje, popisując się z władzą, jaką ma nad nią.

— Pani nie tańczy? — pyta jeden z aktorów.

Tuśka nie wie, co odpowiedzieć.

— Pani będzie teraz tańczyła... — wyrokuje Porzycki.

Wstaje, skłania się przed nią, bierze ją wpół i bardzo elegancko walcować z nią zaczyna.

Tuśka rzeczywiście ładnie tańczy, on kreśli nogami pas jak baletnik. Ta czarno ubrana, śliczna blondynka, która odmawiała wszystkim, a teraz wypłynęła w objęciach swego scenicznego partnera, robi na sali sensację. Pary przestają się kręcić, z łóż lornetują, szepty, śmiechy, domysły powstają...

Tuśce zdaje się, iż tańczy po rozpalonych kwiatach. I błogo jej, i czegoś wstyd. Sama nie wie, co się z nią dzieje. Chwilami zdaje się jej, że jej skrzydła urosły i te unoszą ją w okrąg, to znów sępy opadły i ku ziemi tłoczą. Wreszcie Porzycki, który dobrze zauważył ów efekt, doprowadza ją zręcznie do miejsca i sadza obok Pity.

— Teraz... wolno pani tańczyć! — mówi z uśmiechem dobrego księcia.

Już ku Tuśce biegną rozmaite „ostrzyżone na lato” głowy i brody szpiczasto przycięte. Kilka mundurów studenckich okrywających rozrosłe barki także się kręci. Za chwilę Tuśka porwana tańczy ciągle, tańczy bezustannie. Nie siada po prostu. Przechodzi z rąk do rąk jak zabawka. Ogarnia wszystkich mężczyzn formalny szal, aby tańczyć z tą „czarno ubraną, co ma taki śliczny kark”...

I wszędzie widać ten rzeczywiście piękny, różowy kark, pokryty lekko kręconymi, złotymi włoskami, który tak zazdrośnie do tej chwili krył się pod wysokim kołnierzem sukienek na Wareckiej ulicy.

Nie oceniany, nie zrozumiany przez spracowanego męża, nigdy nie był pieszczony gorącym, uwielbiającym spojrzeniem. W tej chwili, na tym zakopiańskim balu, świeci jak jutrzienka, wylaniająca się z czarnych fal, i ciągnie ku sobie oczy nie tylko mężczyzn, ale i kobiet.

— Śliczna!... — mówią wszyscy.

— I dziecko ma śliczne — dodają kobiety.

Pita siedzi na swoim krzeselku. Trzyma w rączkach boa i wachlarz matki. Wyprostowana, zarumieniona, podniecona także, dzieli tryumf balowego królowania, z minką znudzoną, wybornie obojętną. Złożyła nóżki po swojemu, wysunęła je zgrabnie, stopki białe obutej łydki cieniuchne, rasowe, obciągnięte ażurową, białą pończoszką. Posążek malutki ze wzgardliwie wyдутą wargą. Sfinks w miniaturze siedzi i myśli...

Ku niej biegną także spojrzenia i słowa, bo aktorzy obsiedli Pitę i w nieobecności matki dziecko obsypują komplementami. Jak maluchny bożek przyjmuje dziewczynka ich słowa i czarną suknię matki, obrzuconą srebrem, śledzi. Porzycki poszedł do bufetu ze znajomymi. Markowska tańczy sennie, ale ciągle, Pita siedzi sama z wachlarzem mamusi i długim, wonnym boa. Aktorzy rozmawiali pomiędzy sobą. Zaczynają powoli zapominać o obecności dziecka. Pita siedzi i słucha tych słów, w głowie jej się kręci, na buzię wystąpiły dwie plamy. Ci panowie mówią o jej mamie, o innych paniach w sali, mówią swobodnie, śmieją się, porównują, szydzą.

Potem patrzą znów na nią, szepcą coś. I inni panowie patrzą także, i panie. Pita prostuje się, lubi, gdy tak na nią uwagę zwracają. Ale to już za wiele, bo to ją zaczyna męczyć, przygniatać... Gryzie wargi i oddycha z trudnością.

A mama ciągle tańczy.

Kadryl — walc — mazur — walc...

Kurz, pył jak na jakiej „Srebrnej sali”... Ten i ów tupnie z ochoty, a reszta tańczy *glissando* dla większego szyku. Państwo Warchlakowscy wyglądają bardzo znużeni, a panienkom od złośliwości pokrzywiły się buzie. Siedzą jednak w łóżach jak przykuci. Kobiety co chwila obsypują się pudrem, mężczyźni idą do bufetu. Od strony restauracji gwar, szcęk, hałas. Wszystkie stoliki zajęte robią wrażenie koszyków, pełnych kwiatów. Barwne tualety kobiet wywołują to złudzenie. Tu i ówdzie strzela korek szampana.

Porzycki stara się o stolik, znajduje wreszcie, zakłada krzesła, dysponuje kolację. Powraca do sali, z prawdziwą przyjemnością śledzi tryumf Tuśki i Pity, patrzy, jak „ta czarno ubrana ze ślicznym karkiem” kręci się w objęciach coraz innego tancerza, i postanawia znów zamarkować swoją władzę nad tą „najpiękniejszą”, bo tak decyduje głos tłumu.

Podchodzi do Tuśki korzystając, że na chwilę usiadła obok córki.

— No... dość już tych tańców... Zmęczy się pani za nadto.

— Ja? Nie jestem wcale zmęczona.

— Ledwo pani oddycha. Nie pozwalałam tańczyć więcej!...

Tuśce żal przestać królować, ale zarazem jej słodko, że Porzycki zajmuje się nią tak bardzo. Tylko Pita otwiera szeroko oczy i patrzy z oburzeniem na Porzyckiego, słysząc ton arbitralny, jakim on wydatuje swe rozporządzenia.

Czeka, że matka się zbuntuje, każe za taką niegrzeczność śmiałkowi iść precz, lecz czeka na próżno. Tuśka uśmiecha się wdzięcznie do aktora i pozostaje na miejscu.

— Idziemy na kolację! — wyrokuje Porzycki.

Tuśka przytomnie na chwilę.

Na kolację — kto? z kim? Ona z tym obcym człowiekiem... córka z nimi! Do grupy ich przyłącza się Markowska, dwóch jeszcze artystów i jakiś nieodzowny dekadent z włosami rozdzielonymi po cudacku i z twarzą w sekrecie natartą tłustym pudrem. Jest to pan noszący się z zamiarem napisania dwóch sonetów i nie chcący w żaden sposób zrozumieć, że jest już bardzo *niemodny*. Wszyscy przechodzą z szumem, szelestem i śmiechem przez salę i wchodzą do restauracji, gdzie czynią sensację. Na jednym z krzeseł, przy stoliku zarezerwowanym dla Porzyckiego, powieszono wieniec i publiczność patrzy ciągle na pęk kwiecia, związanego bladezieloną wstążką, zdobiący koło bobkowych liści.

Tuśka idzie do stolika jak przez różgi. Czuje, iż popełnia rzecz wysoce niewłaściwą, i nie jest w stanie oprzeć się, aby jej nie spełnić.

Siada wreszcie pomiędzy Porzyckim a Pitą, która z rozszerzonymi nozdrzami pije formalnie nie znana jej a podniecającą atmosferę restauracyjnej, kolacyjnej sali. Na stole pojawia się alasz i kanapki. Wszyscy piją, mówią głośno, wesoło, śmieją się z byle czego. Ich stolik jest *point de mire* całej sali. Obie kobiety piękne, strojne, śliczne białe dziecko, szykowni, pewni siebie mężczyźni, kwiaty, sfera sztuki, w której się pławią, to wszystko wyróżnia ich korzystnie wśród tłumu. Czują to i są radzi. Biorą pełną garścią, co im życie niesie wesołości i odurzającej woni. Powoli i Tuśka czuje się porwana. Dobre wino, dowcipne słowa rzucane jak kwiaty na corso, spojrzenia pełne ognia, muzyka dolatująca z sali, a głównie obecność Porzyckiego, który otacza ją ciągłymi, nadzwyczajnymi względami, upajają jej zgłodniałą podobnych wrażeń naturę. Zdaje się jej, że ktoś postawił przed nią pełną czarę rozkoszy i że ona ma prawo poić się z niej i zaspokajać swoje pragnienie według woli. W połowie kolacji odrzuca wszystkie skrupuły. Co znowu!... wydają się jej śmiesznymi wyrzuty, jakie miała w chwili, gdy szła na kolację.

— Przecież to nic złego — myśli, zasłaniając się swoją zwykłą formą — zjeść kolację, pośmiać się; wszyscy tak robią!...

Oczy jej błyszczą, usta płoną jak kwiat granatu. Wachluje się, przechylona na krześle. Do ramienia jej prawie przywarty szepce Porzycki słodkie, miłe słowa. Od czasu do czasu spotykają się ich oczy i przesywają tak miłosnym spojrzeniem, że stają się aż bolesne siłą swoją. I ręce dążą ku sobie. Zbiegają się za wachlarzem, pod serwetą, na wiązance kwiecia. Sznapsia i aktorzy to widzą, lecz patrzą na tę rzecz filozoficznie. Mężczyźni zazdroszczą. Markowska może śledzi ze smutkiem, jakby z żalem, ale i ona widocznie jest w stadium pewnego flirtu z jednym z aktorów. Przynoszą lody i szampana. Jowialny komik, stary kawaler, przysiadł się do Pity i dolewa jej wina. Tuśka od czasu do czasu przytomnieje, a wtedy surowa zwraca się ku córce i upomina ją, aby nie jadła słodczy i nie piła wina. Lecz Pita, rozbawiona konceptami komika, którego okrągła, tłusta, różowa twarz bawi ją niepomniernie, daje się namówić przez niego do „nieposłuszeństwa” i w sekrecie popija z jego kieliszka benedyktynekę.

W restauracji przepelnienie. Tańce dogasają, zmęczone pięty żądają wypoczynku. Późna noc powoli rozsunała się nad Tatrami. Deszcz przestał padać, jakaś uroczysta zapanaowała cisza. Od lasów płynie woń przepojonych wilgocią mchów. Coś radosnego, wielkiego zwiastuje ta woń...

Lecz zbici w tłum ludzie nic o tym nie wiedzą. Chłoną w siebie swąd kuchenny, ostrą woń spoconych ciał, dym cygar i podniecają się sztucznie, aby przepchać się ku śmierci.

*

Proch jesteś — w proch się obrócisz!

W proch?

Od Tatr, od gór, od hal skrzydła się jakieś rozwiały. Limby samotnie rosnące żyją, dzwonki liliowe żyją, mchy krwawe żyją, złotogłów drga życiem. Smreki dyszą wonią.

Od Tatr, od gór, od hal skrzydła się jakieś rozwiały...

Ten dech, to tchnienie, właśnie to może zwiastowanie, że pył życiem się stał. Limba w pył korzeniami wrosła, w nim jej nasienie siłę wzięło do życia, do tchu... tak samo krwawy mech, ametystowy dzwonek, gencjana z szafiru, złotogłów z topazu.

W tę noc, w tę cichą noc, od Tatr, od hal, od gór, w dolinę zakopiańską spływa może objawienie najwyższe, spływa to, co zakryte i tajemnicze zda się, a może najprostsze i łatwe do przejrzania jak kryształne światło poranka.

Od Tatr, od gór, od hal.

Nie zwraca się ku nim nikt, tchnienie tajemne przechodzi nie odczute. Woń opium, woń smażonych trupów, zapach sztucznych pachnidła, głuszących szpetną woń nieczystych ciał, zbitych w ciasnej klatce, dusi wszechwładnie wszystko.

— Deszcz usta! — mówi ktoś przy stole.

Niech sobie!... co nas on obchodzi! Nam tu dobrze!...

— Och! i jak! — myśli Tuśka.

Kolacja przeciąga się. Całe grono jest u szczytu podniecenia. Pita ma oczy szeroko otwarte i porzuciła swą minkę dumną i wzgardliwą. Obecnie wraz z komikiem poi muchy benedyktynką i cieszy się, że zdradzają pewne skłonności pijackie.

— Stare alkoholicki!... — mówi komik, kapiąc na owady złocistym płynem.

Niemowledek dekadentki (bardzo zresztą w gruncie nieszkodliwe i niezłe stworzenie), umazane pudrem, z całą bezbrzeżną melancholią sączy „chartreuse” i kryje nos w halsztuk na wzór Musseta. Sznapsia flirtuje zupełnie serio z młodym, przystojnym aktorem.

Tuśka patrzy na to wszystko przymrużonymi oczyma. Szampan, do którego jest nieprzyzwyczajona „rozebrał ją” zupełnie. Nie wie sama, co mówi, co robi. Wie, że jest jej błogo i że chciałaby, ażeby ta noc się nie skończyła. Cieszy się widząc, że aktorzy nie mają zamiaru poruszyć się z miejsca. Sala powoli opróżnia się. Oni ciągle siedzą na miejscu, wymyślając przeróżne „kolejki”.

Kelnerzy, wpół śpiąc, podają rozmaitego kształtu butelki. Razem z kieliszkami zjawia się ciągle czarna kawa. Tuśka już nie patrzy na to, co pije Pita. Tuśka sama potrzebuje, ażeby ktoś kontrolował, co ona pije... Wreszcie Sznapsia pierwsza przytomnieje.

— Państwo... świt!

Ach, tak!... świt! Noc ta musi wreszcie ustąpić.

Jakie to fatalne.

Coś tam nieśmiało, szaro się skrada. Chłodem wieje z okien. Z tym słowem *świt* przychodzi jakiś rodzaj opamiętania.

Wszyscy podnoszą się ciężko z krzesła. Tuśka doznaje po prostu bólu na myśl, że się to już skończyło. Rzeczywistość spada na nią całym ciężarem. Odziewając się w rotundę, czuje, kim jest i że to przepędzenie czasu, które sprawiło jej tyle rozkoszy, to po prostu sztucznie wyrwany z trudem kwiat i to z cudzego ogrodu.

Świt nadchodzi, kwiat więdnie, niknie, niknie...

Za chwilę wracają dorożką w stronę Skibówek.

Ona z Pitą na tylnym siedzeniu.

Naprzeciw nich Porzycki.

Szare światło poranne wydobywa błądź i znużenie ich twarzy. Tuśka zamglonymi oczyma patrzy na Porzyckiego. On oddaje jej ten wzrok z całą siłą. Uśmiechają się do siebie. Pita widocznie czyni usiłowania, aby nie zasnąć. Mruga oczyma i zaciska piąstki. Jest tak blada, że prawie alabastrowa. Tuśka spogląda na córkę. Przeraża ją ta błądź. Dziecko połyka ciągle ślinę i widocznie jest niezdrowe.

— Co ci, Pito? jesteś chora?

— Nie... mamusiu...

Porzycki zaczyna się śmiać.

— To nic... Pita troszkę za dużo jadła lodów i piła benedyktyнки.

Pita wzgardliwie wzdyma usteczka. Jest tak dumna, że ta uwaga aktora przyprowadza ją na pewien czas do równowagi.

Ale niedługo to trwa. Za chwilę znów kurczy się i blednie.

Tuśkę ogarnia przerażenie. Fotografia Amy miga jej przed oczyma. Kto wie! może właśnie dziecko aktorskie zaziębiło się, gdy także powracało z matką z takiej kolacji. I te słowa Sznapsi: „Często myślałam, że to może kara za to, co ludzie nazywają winą...”.

Równocześnie Tuśka czuje, że Porzycki w fałdach peleryny szuka jej ręki.

— Nie, nie...

Zwraca się do dziecka, zdejmując nerwowo ze szyi szal sznelowy i otula nim dziewczynkę.

— Proszę cię...

— Dziękuję mamusi, mnie nie zimno...

— Proszę Pity wziąć szal!

Zapina starannie pod brodą dziecka ciepłe okrycie.

— Niech Pita się nie rozkrywa.

Dziecko, zmożone ciepłem i wypitym trunkiem, zasuwa się w róg powozu.

Tuśka uspokojona, że wypełniła obowiązek matki, czuje znów rękę Porzyckiego szukającą jej dłoni.

I ostrożnie opuszcza swą rękę w ciepłe fałdy peleryny, w połowie drogi spotyka rękę aktora i palce jego z okrutną prawie namiętnością wplatają się w jej palce...

XXXI

Zaczyna się dla Tuśki i Pity teraz zupełnie inne życie.

Przede wszystkim żyją teraz wieczorem.

Co wieczór bowiem jadą lub idą do „Morskiego Oka” na kolację.

Tak się to już ułożyło. Pogoda jest prześliczna, ale goście zakopiańscy, nasyciwszy się wycieczkami i przyzwyczajony się do restauracyjnej sali w czasie deszczu, gromadzą się tłumami przy stolikach u Płonki. Knajpiarskie życie kwitnie w całej pełni. Nawet z zakładów ściągają tu kuracjusze na ponczyk po higienicznych wieczernych zakładowych.

„Morskie Oko” z cegły robi poważną konkurencję Tatrom.

Porzycki łatwo zrozumiał, że Tuśce życie tego rodzaju bardzo przypada do smaku. Oprócz pewnej dozy wesołości cygańskiej, która panowała w takich zebraniach, Tuśka popisywała się tam swoją urodą i zaczynała na serio nabierać sławy „tej ślicznej blondynki z córeczką”.

Szmer witał ją, gdy wchodziła na werandę. Cieszyła się nim i chłonęła w siebie jak szampana, do którego zaczynała się przyzwyczajać niepomiernie. Cierpiała tylko nad tym, że nie miała dużo pieniędzy. Chciałaby się stroić tak, aby zaćmić wszystkie panie. Tymczasem trudno było, gdyż stroje były wspaniałe, pracowite, kosztowne, a Tuśka nie miała w swej garderobie ani jednej sukni tak wykoronkowanej i wyinkrustowanej, jak suknie wlokące się za panią X, Y, Z. Nadrabiała bluzkami i te kupowała gotowe. Wzięła nawet na kredyt już dwie, postanawiając sprzedać zegarek.

— Mogę chodzić z samym łańcuszkiem — myślała — nikt nie widzi, czy jest za paskiem zegarek, czy go nie ma.

Kilkakrotnie proponowano jej pójście na *reunion* do Bauera, do Chramca, do Sieczki, ale musiała odmówić z powodu braku toalety. Żal jej do męża wzrastał.

— Przez niego — myślała — przez jego niedołęstwo nie mogę się ani bawić, ani pokazać jak inne.

Z zazdrością śledziła inne kobiety, liczyła, ile mogły wydawać na swe toalety.

— Szczęśliwe... — wzdychała — szczęśliwe!...

Zachwycały ją zwłaszcza stroje Sznapsi. Aktorka była zawsze czarno ubrana, ale suknie jej były arcydziełami wytworności i smaku. Aktorka brała ładną gażę i miała duży kredyt.

Przynajmniej tak mówiła.

Nieraz leżąc w nocy i nie śpiąc, Tuśka rozmyślała ze smutkiem nad swoją egzystencją. Zaczęła czuć się ogromnie nieszczęśliwą i wydziedziczoną. Rodziło się w niej przeświadczenie, iż pięknnością swoją zasługuje na inny los i że powinna być otoczona zbytkiem i dobrobytem.

— Dlaczego się żenił z taką jak ja kobietą — myślała z wściekłością. — To zupełnie tak, jakby mnie się zachciało jakiegoś wspaniałego klejnotu od jubilera i zabierając mu ten klejnot, rujnowałabym z czystym sumieniem właściciela. On zrobił tak samo. Gdybym wyszła za kogo innego, byłabym tak szczęśliwa, jak te inne panie, które ubierają się prześlicznie i nie potrzebują się liczyć z centami, tak jak ja się liczę!... A zresztą mogłabym wcale nie iść za męża.

Wyciągnęła przed siebie ręce jak skrzydła.

— Byłabym teraz... wolna!

Ta myśl ją olśniła. Nie umiała jeszcze sformułować, jak i co by zrobiła z tą wolnością, ale czuła, że „byłaby wolna”.

W tej wolności niemalą rolę grała myśl o Porzyckim. To wszystko, na co sobie pozwalała Tuśka, jakkolwiek ciągle pozorowała tym „nic wielkiego”, przecież było kradzione, było zabronione, a Tuśka nie należy do tych przewrotnych kobiet, lubujących się w tego właśnie rodzaju kradzionych rozkoszach.

Przeciwnie, myśl, że jej to zabronione, psuje jej doznawane uczucie błogości. Przy tym coś w jej uczuciu dla Porzyckiego się zmienia.

Przestaje pozować przed nim jak paw, przestaje kochać siebie w jego pochwałach.

Nie idzie dumna i pewna siebie, aby zebrać jak miód słodycz pochlebstwa, lecz lęka się, czy go zadowolili, czy sprosta wysokim wymaganiom jego estetyki. Zaczyna lękać się, aby inna nie wydała mu się piękniejsza, a zwłaszcza lepiej ubrana. I w tej jedynej świetności zewnętrznej widzi główny punkt jego miłości. Staje się tak błyszcząca i rzeczywiście tak dba o całość swej figury, obuwia, rękawiczek, wyrazu twarzy, cienkości figury, iż mimo braku wspaniałych tualet ściąga najwięcej spojrzeń w swoją stronę. Rozumie doskonale, iż to podnieca mile i głaszcze ambicję Porzyckiego. Akcentuje więc tę nutę i forsuje ją.

Powoli staje się bardzo „modną”. Tombole, festyny, koncerty, na których odbywa się karota programów, dają jej pole do błyszczenia czarnymi strojami odświeżanymi wycięciem koronkowym, to jakimś boa, to inkrustacją wzorzystych medalionów. Wszystko to jednak wyczerpuje jej kieszeń i nerwy. Z gorączką kładzie się spać, rano zrywa się, pruje, przerabia, czyści, upina, aby Porzycki nie widział, jak się troszczy i jak zabiega po to, aby móc czymś nowym podnieść czynione wrażenie. Zaniedbuje Pitę, która musi sama myśleć o sobie, ażeby swoją garderobę trzymać w porządku. Porzycki śpi długo i zjawia się na obiad, który znów jedzą razem. Często przychodzi Sznapsia, Marcin, komik i wtedy Obidowska dźwiga znacznie cięższe menażki, ale się na to nie żali, bo jej dobrze płacą. Towarzystwo to już się nie rozstaje, po obiedzie Kuźnice, kawa, rogalki, melancholijne czepculki. Wieczorem kolacja i tu jest najweselsza część programu. W antraktach, gdzieś na uboczu, między dwoma drzwiami, za skałą, ukradkowe pieszczoty jakby dwojga narzeczonych, odbierające na chwilę przytomność i napędzające falę krwi do głowy.

Jak długo to będzie wystarczało, z tego sobie oboje nie zdają sprawy. Lecz ciągle jeszcze Tuśka umie wynaleźć sobie wymówkę. Ciągle jeszcze „nie robi nic złego”.

— Są takie kobiety, które gorzej postępują — myśli, strojąc się i fryzując przed lustrem.

— Inna na moim miejscu dawno zapłaciłaby takiemu mężowi za to, że jej życie zawiązał!...

Myśli to już teraz zupełnie gładko, bez moralnego zająknięcia się. Nazywa nieszczęsnego Żebrowskiego „takim mężem”, aby mieć silniejszą względem siebie wymówkę. Gdy mąż jej pisze, iż czuje się niezdrów, uśmiecha się ironicznie.

— Naturalnie... rezultat hulanki i kolacyjek z aktorkami...

Odpisuje mu jednak długo i grzecznie. Widocznie oszczędza go. Przemysłliwa nawet, jak by tu przymusić go, by jej przysłał jeszcze pieniędzy na dłuższy pobyt. Chwilami, gdy tak myślą lawiruje w tych otchłaniach, ma przebłyski dziwnego jasnowidzenia, dostrzega siebie taką, jaką jest obecnie... i zdaje się jej, że grzęźnie w jakimś błocie. Odpędza te myśli i znów stara się zanurzyć w niepewnej mgłę, która ją po prostu kołysze.

— Kocham... kocham!... — egzaltuje się cisnąc ręce do piersi.

— Szkoda, że pani jest bogata — powiedział raz do niej komik.

— ?

— Bo gdyby pani nie była damą, mogłaby wstąpić do teatru i byłoby wszystko w porządku.

— Ale ja mam męża i dzieci.

— No to co? Krzywdy im tym pani nie zrobi, zarabiając na scenie... Ale... pani jest dama i to nie uchodzi...

— Nie... ja bym nie wstąpiła.

— E... gadanie. Panna Pita wstąpi, jak dorośnie, co?

Ale Pita wydeła usteczka. Zawsze ma w pogardzie tę bandę, pomimo że bawi się z nimi wbrew swej własnej woli.

— Nie wstąpi panna Pita na scenę?

— Nie.

Rozmowa na tym punkcie się urywa, ale pada ołowiem na serce Tuśki. Więc gdyby była wolna, mogłaby wstąpić do teatru, jechać tam, gdzie zaangażuje się Porzycki, grać z nim razem, nie rozłączać się nigdy.

Tak! gdyby była wolna!...

Jak gad wgrzyza się jej powoli w serce ta myśl, wżera w mózg. Odsuwa się od chwilowych pieszczot Porzyckiego. Marzy o czymś więcej, marzy o czymś trwalszym.

Siedzą wszyscy na werandzie, jedzą morele i aktorzy między sobą rozmawiają o rozpoczynającym się niezadługo sezonie. Porzycki jest niezdecydowany. Ma ze Lwowa i z Krakowa równocześnie propozycje. I tu, i tam warunki doskonałe. Sznapsia namawia go na Lwów, gdzie jest stanowczo lepiej i z artystycznych, i z materialnych względów.

— Matczyśko się przyzwyczaiło do Krakowa — mówił Porzycki.

— Ach!... będziemy ją przyzwyczajali do Lwowa. Ja jej umilę tak pierwsze dni pobytu, że nie będzie tęskniła za Krakowem — woła Sznapsia.

Tuśka spogląda na nią zdziwiona.

Jak oni wszyscy zgodnie z sobą żyją, nie mając żadnych żalów, żadnych tragicznych uraz, zdraśniętych godności.

Wzajemne przebaczenie winy czy zanik godności? Zapomnienie krzywd czy zapomnienie doznanych i zbudzonych wrażeń?

I tak dalej żyć będą z daleka od niej, niezadługo jej obcy, pogrążeni w świecie własnym, a ona wrócić musi tam, na Warecką, zapaść w tę otchłań, która jej się przedstawia jako coś niemożliwego do przeniesienia.

Straszny ból ścisnął jej serce. Martwa, zimna, asystująca swemu własnemu, powolnemu pogrzebowi. Och! gdyby ona mogła przyłączyć się do nich i powiedzieć: Ja także...

Wystarczy jej spojrzeć na chodzącą dokoła werandy Pitę.

Ta mała istotka, stawiająca tak zgrabnie nóżki jak sarenka, to uosobienie jej niewoli, to wszystko to właśnie, co ją gnębi, więzi, co jest teraz już nie do przeniesienia.

A oni ani się o to nie troszczą, zdają się nie wiedzieć, co się w niej dzieje. Dyskutują punkty kontraktów, rozbierają kwestie emerytury, powoli, systematycznie jak urzędnicy. Porzycki nagle poważnieje, kręci głową. Sznapsia wymienia wysokość gaź, do której dochodzą tacy Solscy, Kamińscy, Feldman. To są już cyfry, z tym liczyć się należy. Porzycki się zastanawia.

— *Feu* zwłaszcza jest duże.

— Skoro się gra...

— Ba, ale skoro się nie gra?

Tuśka siedzi prosta, blada, zziębła. A ona? a ona?... Co teraz pocnie? co?

Porzycki się o to nie troszczy. A przecież przed chwilą całował ją tak, iż zdawało się, że duszę z niej wyciągnąć zdolny, a potem troszczył się, że kaszle.

Po co się troszczył, skoro za miesiąc ona nie będzie już istnieć w jego życiu?

Jakże chętnie rozplakałaby się głośno, jakże chętnie padłaby głową na stół i łkała tak, łkała, szlochala krzyżąc:

— A ja? A ja?... Co ze mną zrobicie?...

Czasem tylko na jej twarzy spocznie wzrok Sznapsi przelotnie i zdaje się, że coś, coś aktorka odczuwa. Prędko jednak porywa ją tok rozmowy. I oto oczy litośnie odbiegają od Tuśki.

Nagle Porzycki proponuje spacer.

— Tak, tak, chodźmy na Regle. Tam śliczny lasek.

Porywają się, mężczyźni idą do Porzyckiego naładować papierosnice, kobiety kładą przed lustrem kapelusze, pudrują twarze.

Za chwilę schodzą. Z werandy pani Warchlakowska z mężem śledzi ten pochód. Aktorzy śmieją się głośno. Właśnie przed godziną Porzycki opowiedział im, jak przykładna pani Warchlakowska, zapomniawszy o otwartych oknach, nazywała pana radcę „kretynem i idiotą”.

Mężuś, mężuś... pan domu, władca...

Nagle — okna otwarte, a przez nie całe sponiewieranie tak ściśle tajone.

I w odpowiedzi jedno słowo pana radcy:

— Jęcza!

A potem patriarchalna dokoła „Lewkonii” cisza.

Wzdłuż łożyska spienionego potoku, który im biegnie naprzeciw, idzie gromadka aktorów, mając pomiędzy sobą Tuškę i Pitę. Woda tuż im pod stopy podbiega i ma turkusowe smugi, trące się gwałtownie o szare oka, jakby w słojach drzewnych żłobione. Słońce ma się ku zachodowi i rozsypało się blaskiem delikatnych iskier po stokach Regli, wydobywając krwawymi splotami pnie smreków z ciemnej masy igliwia.

Tuška milczy. Gorycz przepelnia jej serce i ciągle ją dławi. Porzycki wreszcie spostrzega jej usposobienie chmurne.

— Co to? — pyta ujmując ją pod rękę.

— Och! nic!

— Przecież coś jest...

— Wreszcie pan dostrzegł.

— Chcę wiedzieć.

— Po co?

— Czy straciłem zaufanie?

Tuška uśmiecha się cierpko.

— Co panu na tym zależy! Za miesiąc nie będziesz nawet wiedział, że istniałam.

Czeka na jakieś zaprzeczenie. Tymczasem Porzycki milczy. Na jego twarzy widać zniecierpliwienie.

— Jakże... czy nie mam racji?

Porzycki przyciska silnie jej ramię.

— Po co myśleć o tym, co będzie? Teraźniejszość tylko istnieje.

— Pan przecież się o przyszłość bardzo troszczy.

— Och! to pod względem materialnym. Mam matkę, muszę, ale pod względem uczuciowym... Nie, nie, proszę się rozchmurzyć. No! ja proszę! Po co zatruwać sobie takie śliczne chwile. O! jak słońce cudnie świeci — wieczorem pójdziemy do Płonki, jutro znów...

— Tak! tak!

Wchodzą w głąb lasu, który chłonie w siebie srebrną strugę potoku. Ciemno tam, zimno, ślisko. Mech tak miękki i wilgotny, że zdaje się, iż elastycznie ugina się pod stopami. Całe masy młodzieńskich jaworów tworzą nieprzejrzane, delikatne gąszcze. Sznapsia pociąga za sobą Pitę.

— Chodź, Pito, będziemy zbierały kwiaty!

Rośnie tu ich moc nieprzejrzana na upłazach, na zboczach. Zda się cały ogród kwiatowy o najcudniejszych barwach. Przeważa szafir i fiolet. Po drugiej stronie potoku zwłaszcza ścielą się całe łany kwiecica. Sznapsia, komik i młody, przystojny aktor skaczą po kamieniach przez wodę, pociągając za sobą Pitę. Dziewczynka chwilę się waha. Ogląda się na matkę. Lecz widzi, że zagłębiona w rozmowie z Porzyckim kieruje się w gąszcz modrzewi. Pita chwilę nie oddycha, po jej twarzyczce przesuwa się dziwny wyraz. Ma widocznie ochotę krzyknąć: „Mamo! mammo!”, lecz powstrzymuje się całą siłą woli. Komik pociąga ją za rączkę.

— Dalej!... hop!... prędejl!...

Pita skacze nad białą pianą, nad turkusowymi wstęgami wody. Kwiaty śmieją się do niej jak rozsypane drogocenne kamienie, jak rozkwitła jasno tęcza. Lecz ona biegnie ku nim z sercem dziwnie ściśnionym. Przypadła w krzaki różowych goździków, między gwiazdy białych rumianków i ma ochotę płakać, krzyknąć, tak jak te dziewczynki, które jej się śniły niegdyś, niegdyś... na dnie przepaści...

Nagle doleciał ją śmiech.

Naprzód śmiał się Porzycki, potem jak echo roześmiała się jakaś kobieta.

Lecz był to dziwny, bardzo dziwny śmiech. Coś jakby ktoś płakał, jęczał, skarżył się na coś...

Picie tchu zabrakło. Przytuliła rączki do piersi. Z morza kwiatów patrzy na Sznapsię, na komika, a oczy jej szeroko rozwarłe mają w sobie tyle bezdennej lęku, że Sznapsia szybko mówi w formie uspokojenia:

— To twoja mama się tak śmieje!

Pita przypomina sobie, że ona już ten śmiech słyszała.

Tak, w tym strasznym śnie. Tak śmiały się mamy tych płaczących na dnie przepaści dziewczynek, tak samo zupełnie.

Raz jeszcze ponawia się ten śmiech w zielonej toni modrzewi, po tamtej stronie potoku.

I wreszcie milknie wszystko.

— Zbierajmy kwiaty!... — mówi komik. — Dalej! Panno Pito, na wyścigi. Kto zbierze piękniejszy i większy bukiet.

Jak różowe goździki płoną uszka Picie, jak złoto naparstnic świecą jej włosy...

Dziecko wyciąga rączki, zanurza je w kwiatach, pochyla ku nim główkę. Kryją ją wysokie tojady i garną ku sobie miłośnie.

W błękitnych oczach dziecka coś lśni, coś drży, ni to gwiazda, ni to kropla rosy...

Kwiaty miłosiernie śliczne dziecko tulą, jej smutek w siebie chłoną, ból piją.

Szemerzą modrzewie, rozchylają się lekko. Przez nie płynie czarna, wyniosła postać Tuśki. Za nią postępuje Porzycki.

Tuśka idzie, idzie — sama nie wie dokąd. Wie, że zapada w jakiś gąszcz, że odcina się od świata. Nerwowo jest rozdrażniona szalenie. Przed chwilą śmiała się nawet z jakiegoś dowcipu Porzyckiego, śmiała się przeciągle, boleśnie.

Teraz milczy, wyczerpana tym śmiechem. Tylko z jakąś niepojętą zaciekłością zanurza się coraz dalej w zieleń.

Och! gdyby nie znaleźć już stąd wyjścia, zginąć tu wraz z nim, nie powrócić do świata...

On wreszcie chwyta ją za ramię.

— Dokąd pani idzie?

— Nie wiem! nie wiem — uciec chcę.

— Przed kim?

— Przed światem.

— Dlaczego? Świat nie jest tak zły. Należy się z nim pogodzić, skoro już żyć na nim mamy.

— Och, jak to panu łatwo powiedzieć!

Zatrzymała się. Modrzewie kończą się już. Przed nimi mała polanka; a dalej ciemny las z baldachimem silnie rozpiętych jodeł i świerków.

— Dlaczego pani nie chce się z życiem pogodzić? Czego pani brak? Młoda pani jeszcze, zdrowa, ładna, ma pani wszystko, co do wygodnego życia mieć trzeba... kochają panią...

— Mnie?... kto?...

Porzycki patrzy na nią zdziwiony. Wreszcie chwyta ją w objęcia.

— No... a choćby ja.

Chce ją całować, lecz ona po raz pierwszy uchyla się od pocałunków.

— Nie, nie — pan mnie nie kocha!

— Ależ ja za tobą szaleję!

— Nie... nie... pan mnie nie kocha!

— Szaleję.

— Nie...

— Tak!...

Aż przegięła się z wysiłku. Ten opór niespodziewany i nieznaną podnieca go i uzuchwała.

— Ty... moja! moja!...

— Na długo?

— Ależ dokąd zechcesz...

Spojrzała mu w oczy długo i boleśnie.

- Jak to mam rozumieć?
- Jak chcesz... jak chcesz!...
- Czy wiesz, co mówisz i do kogo...
- Wiem, wiem — do najpiękniejszej i najmilszej z kobiet...

Drży cały, pobladł, oczy mu pociemniały. Szuka jej ust, jej szyi, modrzewie gną się, łamią.

Ona sama mdleje prawie z dziwnego wzruszenia.

— Moja... moja...

Nagle potykają się o coś leżącego w krzakach modrzewiowych na samym skraju polanki.

Jakiś człowiek leży obrócony twarzą do ziemi, nieruchomy, odziany w góralskie ubranie.

Tuśka rzuca się przerażona.

— Pijak!...

Odsuwają się szybko, nagle przyprowadzeni do równowagi. Wydostają się z krzaków. Porzycki spostrzega, że jego jasne obuwie jest całe zbroczone krwią.

— Co to? co to?... krew?...

Porzycki podchodzi ku leżącemu.

Dotyka się jego ramienia, pochyla się...

Nagle prostuje się, jest bardzo blady, brwi ma ściągnięte.

— Odejdźmy stąd! — mówi zmienionym głosem — wróćmy do swoich.

— Ranny?

— Nie, trup!

Mimo woli Tuśka pochyla się i poprzez krzaki spogląda na leżącego górala.

W kałuży krwi przypadł twarzą ku ziemi, a twarz jego blada jak płótno, z raną straszną na skroni, z której czarna krew zakrzepła. Niedaleko porzucona fajka, kapelusz. Guńka rozpostarła się jak skrzydła.

— Zabił się?

— Nie — odpowiada Porzycki — ktoś go zabił. Oni tu często pozbywają się tak jedni drugich. To z pewnością zbrodnia, w którą wchodzi kobieta.

Góral zabity jest drobny, mały, nikły. Włos ma siwiejący już i rzadki.

— To pewnie mąż! — dorzuca Porzycki, pociągając za sobą Tuśkę.

Mąż!

Wracają wolno tą samą drogą, którą szli przed chwilą rozplomienieni, dyszący żarem namiętności. Trup zastygły w modrzewiach w jednej chwili zgasił ten żar. Idą milcząc strwożeni. Coś strasznego znalazło się obok nich. Myśl o śmierci i znikomości wszystkiego. I w tak delikatnej, czystej zieleni, w izbach słonecznych, wśród kwiecia, gdzie wszystko dysze pięknem, dobrocią, czystością, rozkłada się straszna sylwetka, nieruchoma i groźna...

Dochodzą do potoku. Porzycki przywołuje aktorów wielkimi gestami. Biegną, przeskakując kamienie. Prowadzą z sobą Pitę. W jednej chwili Porzycki zawiadamia ich o strasznym odkryciu, jakie zrobili. Naradzają się. Muszą iść, aby dać znać do żandarmerii. Szybko wracają do miasta. Tuśka ciągle strwożona widokiem trupa przed oczyma.

— Potrafiłam go nogą — mówi, pocierając ręką po czole. — Zawsze go widzieć będę.

— Nie trzeba przesadzać! — odzywa się nagle Porzycki. — Jutro już pani zapomni. Taki machabeusz to znów nic tak strasznego...

Tuśce ogromnie przykro, że Porzycki mówi do niej tak ostro, nie wnikając subtelniej, jakie strasne i skomplikowane musiało w niej zadrgać uczucie wobec tego, że *trup* ocalił ją jeszcze od kroku, poza którym już nie mogłaby mówić „zresztą nic się złego nie stało”.

Rzecz nawet dziwna. Porzycki zdaje się być teraz jakiś zły i zirytowany.

Dochodzą wreszcie przez karkołomne i brudne Kasprusie do miasta.

— Idziemy na kolację? — pyta komik.

— Naturalnie — odpowiada Porzycki — trzeba się rozerwać po takiej miłej niespodziance.

Tuśkę po raz pierwszy niemile pociąga ta kolacja. Coś się z nią dzieje dziwnego. Chciałaby się przytulić do Porzyckiego, ukryć się przed tym wrażeniem i pozostać tak w spokoju i ciszy.

Sznapsia dostrzega, że suknia Tuśki ma także kilka rdzawych plam u dołu falbany.

— Ach! i pani także — mówi z odrazą.

Tuśka wzdryga się cała.

— Muszę jechać do domu, przebrać się. Nie chcę tak pozostać ani na chwilę. Pójdź, Pito.

— Ale wróćcie.

— Nie wiem...

Porzycki odwraca się szybko:

— Jak to „nie wiem”? Właśnie trzeba wrócić i przebyć pomiędzy ludźmi dzisiejszy wieczór.

Spotyka wzrok Tuśki i coś w nim przecież dostrzega z nurtującej ją myśli.

— Tak, tak... rozerwiemy panią — dodaje łagodniej — potem odwiozę i przebędziemy razem do rana na rozmowie. Ja czuwać będę, aby się pani nie bała...

Jak słodką pieszczotą, tak głos ten owiewa ją całą.

— Przyjedzie pani? — pyta Sznapsia.

— Przyjadę.

— Ale zaraz tą samą dorożką.

— Jeszcze wcześniej.

— Posiedzimy na werandzie. Zjemy lody, przeczytamy dzienniki.

— Tak, tak, to bezpieczniejsze — śmieje się komik — przynajmniej na werandzie u Płonki nie ryzykujemy nadeptać na jakiegoś trupiszona.

Tuśka i Pita wsiadają do arki Noego reprezentującej dorożkę.

— A więc za pół godziny najdalej!...

Miłym uśmiechem żegna Porzycki Tuśkę. Już nie jest jej smutno. Oczy jego mówią wiele.

Dorożka po długich certacjach rusza wśród impertynenckiego śmiechu i docinków innych woźniców.

Drogą do Skibówek jedzie Tuśka i Pita ostrożnie układając suknie, aby krew zabitego nie splamiła białych bucików dziecka. Nie mówią do siebie nic, jak zwykle teraz; milczą i zdają się obie być pogrążone w myślach.

Tuśka jest ogromnie rozegzaltowana. To wszystko, przez co w ostatnich chwilach przeszła, podziałało na nią tak, że zdaje się jej, iż nie żyje, nie istnieje, zawieszona w przestrzeni, kołysze się wśród mgieł i tumanów. Czuje, że stanęła na krawędzi, że stoczy się w przepaść, że dziś mógł ją wyratować taki trup napotkany na drodze, ale że jutro, pojutrze takiego trupa nie będzie i to najgorsze stanie się, a ona temu zapobiec nie ma siły.

Tak jednak przeczuliła się na punkcie Porzyckiego, że każda chwila, w której są rozdeleni, zdaje się jej skradzioną z życia. Pragnie już być z powrotem u Płonki obok niego. Tylko wtedy czuje się trochę spokojniejsza.

Powoli zaczyna przypominać sobie całą scenę w modrzewiach. Wśród gorączkowych dreszczy wracają do niej słowa, rzucane przez niego.

— Dokąd chcesz... wszystko, co chcesz...

Ach! gdyby to była prawda... Gdyby on rzeczywiście kochał ją tak silnie, ażeby...

Nie śmie dokończyć nawet myśli. Jest to bowiem myśl tak zuchwała, że olśniewa ją i razi jak błyskawica. Gdyby...

— Nie, nie.

A przecież tak się dzieje często na świecie, tak się dzieje w życiu, skoro się ludzie bardzo kochają i żyć bez siebie nie mogą...

Te myśli dopełniają miary. Przed Tuśką miga jakaś słodka wizja, coś graniczącego z rzeczywistością.

Dojeżdżają do sadyby Obidowskiej.

*

Z daleka Tuśka i Pita dostrzega, że *ktos* stoi przed domem, prawie we drzwiach sieni. Jest to ktoś w zielonawym, wyszarzałym palcie i nowym, słomkowym kapeluszu. Niepoczesny, niepozorny, zgarbiony, błądy i zatarty...

Tak Tuśka, jak Pita poznały go od razu.

Nie mówią jednak nic. Milcząc zbliżają się do tego męża i ojca, który nagle, niespodziewanie, z Wareckiej ulicy, z palm i fikusów wysunął się jak cień i zjawił się na progu ich rozbawionej chałupy.

Tuśka całą siłę woli w jednej chwili gromadzi około siebie.

— Mąż... tak, to on we własnej osobie. Nie list, nie mara, mającąca w oddali, ale on, żywy, uparty, zjawiający się w *takiej* chwili.

Dziwna rzecz. Jakaś łączność myślowa wiąże zjawienie się tego trupa w modrzewiach i tego tu na progu milczącego, zatartego w konturach człowieka. Obaj zjawili się tak nagle z oddali nieoczekiwani i wywołali w niej wstrząśnienie, pełne nieopisanej grozy.

Lecz niepojętą prawie jest siła moralna kobiet w takich chwilach.

Zanim dorożka stanęła u kładki, Tuśka zdołała przywołać na twarz pewien wyraz jakiegoś uspokojenia i coś na kształt grzecznego zdziwienia.

— Czy być może?... to ty?...

— Tak. Przyjechałem popołudniowym pociągiem. Chciałem wam zrobić niespodziankę.

Wysiadają z dorożki.

Następuje przywitanie.

Do policzka Tuśki leciuchno przywarły się na chwilę spierzchłe wargi i sztywne, kołące wąsy. To samo następnie odczuwa Pita.

Oczy wyblakłe, oczy otoczone czerwoną obwódką patrzą łakomie dokoła.

— Chciałem i ja te Tatry zobaczyć.

— Chodź do pokoju. Proszę cię.

— Byłem i tam. Wcale ładne izby.

— Och!...

— Ale co to? Jesteś w żałobie? Czarno?

Tuśka powściąga chęć wzruszenia ramionami. W jednej chwili mroźna grzeczność Wareckiej ulicy owiała ją całą i wzięła w dawne karby.

— Nie jestem w żałobie, ale czarne ubranie jest o wiele praktyczniejsze.

Wchodzą do pokoju.

— Rozgość się!... Pito, dopomóż ojcu otworzyć kuferek.

— Dziękuję ci, moje dziecko.

— Niech tatuś pozwoli, proszę bardzo.

— Nie trudź się.

— Bynajmniej, tatusiu...

Tuśkę aż dławi, aż w niej coś krzyczy wielkim głosem — rozpacz i ból...

Ach! ten głos... ten greczny, spokojny głos i te martwe oczy, i to ogromnie smutne i straszne, co z tym człowiekiem spływa.

Z tą niespodzianką!...

I w takiej chwili!

XXXII

Na dziedziniec wychodzi Tuśka pod pozorem rozmówienia się z gaździną o dodanie jeszcze jednego łóżka.

Zostawiła męża siedzącego z Pitą przy herbacie.

Chciał gotować herbatę na maszynce Porzyckiego, ale mu nie pozwoliła.

— To nie moje, to pożyczone! — wyrzekła, odstawiając maszynkę na okno.

— Od kogo?

Udała, że nie słyszy zapytania. Co chwila potrącali się tak o dowody istnienia Porzyckiego, lecz nikt nie wymówił jego nazwiska. Pita, dziwną intuicją zdjęta, milczała. Co więcej, Tuśka z pewną trwogą dostrzegła, że Pita ogromnie zręcznie chowa otrzymane od Porzyckiego farby i wzory. Zdjął ją lek. Czy dziecko nie domyśla się dużo, jeśli tak postępuje? Następnie zaczął ją dręczyć niepokój, czy mąż nie dostał jakiego anonimu, tak jak otrzymała Porzycka, i wskutek tego doniesienia przyjechał do Zakopanego. Nic jednak z jego twarzy wyczytać nie było można. Mówił mało jak zwykle. Ograniczył się na powiedzeniu, że wystarał się o niedługi urlop i przyjechał.

Widocznie był zmęczony, uważał jednak za stosowne i grzeczne dotrzymywać Picie i żonie towarzystwa. Siedział wyprostowany na krześle w szarym, nieszczególnym garniturze i pił herbatę łyżeczką i zagryzał ciastkami przyniesionymi rano przez Porzyckiego.

Ten drobny, mały szczegół dopełnia miary.

Tuśka dusi się po prostu, nie jest w stanie wytrzymać dłużej.

Wybiega do sieni, a stamtąd na podwórze.

Przypomina sobie, że tam, u Płonki na werandzie, czekają na nią wszyscy. Przez chwilę przychodzi jej myśl, żeby zabrać męża i jechać razem z nim na kolację. Lecz odrzuca ją natychmiast. Ta scena, to wejście na werandę w towarzystwie tego mizernego człowieka i to słowo „mój mąż”...

Jak przyjmie to Porzycki? Dozna pewnie nieokreślonego bólu i przykrości. Może się rozgniewa i zechce się zemścić na niej, powróci choćby chwilowo do Sznapsi, a ona będzie musiała milczeć. A może mąż wie o wszystkim i wyniknie scena...

Tuśka szybko obchodzi dom i przez okno, wychodzące na ulicę, ze stolika, stojącego blisko okna, delikatnie ściąga ołówek i teczkę z papierami. Nikt jej nie dostrzegł. Wyjmuje papier i kopertę, cofa się poza dom, opiera na belce i pisze na papierze.

„Nie mogę przyjechać — mąż niespodzianie zupełnie przyjechał z Warszawy...”.

Chce dodać: „Jestem w rozpaczy”, ale coś ją wstrzymuje. Dorzuca tylko:

„Bawcie się beze mnie, nie zapominajcie o mnie”.

I na ukos:

„Smutno mi”.

Zakleja kopertę, pisze nazwisko Porzyckiego i szybko idzie do chałupy Obidowskich.

Ciemno tam i cicho.

Gaździna pod oknem niby coś ceruje, na łóżku, na wpół trzeźwy, z głową opartą rozpaczliwie na rękach, siedzi Józek.

Nieruchomy, zmartwiały, niby sęp oślepy ze skrzydłami związanymi.

Tuśka wyciąga rękę z listem.

— Czy gazda ma czas?

Obidowska podnosi głowę.

— Bo co?

— Chcę, żeby bardzo prędko poleciał z tym listem i oddał go panu.

— Nasemu panu?

Tak Obidowska nazywa zawsze Porzyckiego.

— Tak.

Gaździna odkłada robotę.

— Ja póndę.

— Józek będzie prędej.

— Niech doma siedzi, niech nie lota. Tera tyle siedlisk, ze co ino poźrys, idom, a wszyćkie ino by na ładnego chłopca łase. Juz niek on siedzi, ja pójdem.

Odziewa się pospiesznie.

Tuśka patrzy z jakimś współczuciem na tego chłopca nieruchomego, przytłoczonego siłą i potęgą istoty, której się jedną chwilą zaprzedał w niewolę. Nigdy nie miała dla niego tego zrozumienia, co w tej chwili. Kto wie — i on pewnie myśli: „Gdybyk był wolny!”.

Wychodzi z chałupy razem z gaździną i myśli, jak Obidowska biegnie po jasnym szlaku drogi, który w oddali rozplywa się w szarość przedwieczorną. Wysła za nią swą duszę i tchu jej nie staje. Przez chwilę zdaje się jej, że jest na werandzie restauracyjnej, że ją witają radośnie, że zajmuje swoje dawne miejsce, że on siada przy niej.

Chłodem powiało, ocknęła się. Czuje, iż musi wracać do chaty. Powoli wchodzi do izby. Żebrowski i Pita siedzą milcząc naprzeciw siebie. Wyczerpali wszystko. Nie mają sobie nic do powiedzenia.

— Zapal, Pito, świece! — mówi Tuśka. Nie chce pozwolić, aby płonęła owa lampa, która tyle wieczorów oświetlała jej izbę.

Zasuwa rolety.

— Dlaczego to robisz? — pyta mąż. — Jeszcze jest dość jasno.

— Sądzę, że jesteś znużony, położysz się...

On stara się nadrobić miną.

— Cóż znowu? Mam ochotę wyjść na spacer, zobaczyć góry... Bardzo tu rzeczywiście orzeźwiająco i miło.

Lecz siły go opuszczają. Nie mówi, że aby tę niespodziankę sobie i im urządzić, jechało się trzecią klasą wśród Żydów, pługocin i przeciągów. Dalej, aby nie wydawać pieniędzy, nie zajeżdżało się do hotelu w Krakowie, ale tułało się po ulicach i siedziało w poczekalniach. A potem „furka” z kolei zamiast dorożki. Wszystko to gniotło tak biedny organizm i w połączeniu z ostrym powietrzem wyczerpało do reszty.

Żebrowski siedzi jednak i opowiada żonie o synach i fikusach, o materacach, o futrach, o biurze, o Warszawie. Powtarza jej znane z „Kuriera” fakty.

Wszystko to mówi w dozie homeopatycznej, ale mówi grzecznie, uprzejmie, starając się pokazać, że ma o czym do mówienia. Wreszcie wyczerpuje się, rozmowa nie podsycana milknie i siedzą tak teraz wszyscy troje nieruchomi, jakby związani niewidzialnym łańcuchem ze sobą, który splątał się mimo ich woli i wiedzy.

Tuśka słucha, czy w ciszy nie rozlegną się czasem kroki gaździny, wracającej od Płonki, i przeżuwa, przetrawia to *nic*, co jej mąż w tej chwili rozsypał za pomocą słów przed nią. Co ją to obchodzi? Wszak to od niej dalekie, obce, jeszcze straszniej obce, niż zdawało się jej, gdy czytała to wszystko w listach...

I dzieje się dziwna, a przecież tak częsta rzecz. Oto na tym wielkim, przeogromnym świecie nagle zaczyna jakaś jedna mała, nędzna istota zawadzać. Jest jej za dużo. Stanowczo przygniata innych tym, że istnieje, że żyje. I nie wiadomo, co jest tragiczniejsze, czy jeśli ta istota nie wie o tym, że jej jest nadto, że jest zawadą, i swobodnie porusza się w tej niechęci, która dokoła niej zacieśnia swe koło, czy wtedy, gdy ona zrozumie tę niechęć i nagle zastygnie z jakiejś trwogi, smutku, wstydu.

Mąż Tuśki nie wie o tym, że jest właśnie taką zbyteczną istotą, dla której nagle nie ma miejsca — i uśmiecha się błado do żony, do córki, zaciera kościste ręce i mówi, starając się nadać sobie pozór junaka:

— He, he... jutro zmierzymy się z Giewontem.

W sieni dudnią bosc pięty gaździny.

Szybko porywa się Tuśka i wybiega naprzeciw góralki.

— I cóż?

— Ano... oddalim.

— I... co powiedzieli?

— Ano, pon przycyiali i tak powiedzieli: „psiokrew”... a potem mnie powiedzieli, że dobrze.

— Nic więcej.

— Nic.

To „psiokrew” mogłoby trochę ostudzić rozegzaltowanie Tuśki, ale ona już jest w tym stadium, że zatraciła poczucie i miarę w tym, co się odnosi do Porzyckiego.

— Niechaj gaździna przyjdzie urządzić spanie dla mego męża. Tam jest łóżko w tej izbie, gdzie weranda, ale nie ma słomy w sienniku.

— Zaraz się narychtuje.

Obidowska jest na twarzy ogromnie zmieniona.

— Wiedzom, co się stało? — pyta.

Tuśka już zapomniała o trupie leżącym w modrzewiach, tak własna troska ją pochłonięła.

— Co?

— Jacka Słodyckę naśli w lesie martwego.

— A... wiem!...

— To nas pan go nased. Ścierwa go zabili. Ożenił się dwa roki temu z takim strzygoniem z somśedniej wsi, latawicą, co ij beło sesnaście roków... a jemu bez mała pięćdziesiąt i pięć... Tak za niom zaceli się uganiać chłopcy, a on stary ośpihował i nieraz strętnął ją z jakowym gachem... No, i ten gach musiał go dzie ciupagom prasnąć...

Zamyśliła się. Coś tam w niej nurtowało. Jakiś straszny niepokój.

— Kazał jej w izbie siedzieć, wiązał ją... ucło się jej... Ubili.

Pokręciła głową.

— Ubili — powtórzyła.

Tuśka chmurnie na nią spojrzała.

— Po co ją więził? — wyrzekła porywczo. — Ma za swoje...

Gaździna otworzyła szeroko swoje wielkie, czarne źrenice. Z otwartych drzwi od dworu padał na nią przechodni blask. Zdawała się jakby w koronie światła. Wyraz jej twarzy wskazywał, że słowa Tuśki wydobyły z niej wreszcie to, co ją strachem poiło.

— Jakże to? — wyrzekła. — Ona jemu zona, do innych się rwała.

— Przemocą źle trzymać: urwie się wreszcie i jeszcze można źle wyjść na tym.

— Naremnie najłepi!

— E! gwałtem najgorzej. Jak się ptak z klatki wyrwie, to już go nie złapiecie, a może jeszcze i zabić.

Gaździnie rysy oblokła jakaś dziwna powaga.

— Sprawiedliwie... — wyrzekła powoli — sprawiedliwie...

Odeszła głębią sieni, patrząc w ziemię zamyślona i chmurna.

Tuśka wróciła do izby. Zastała męża i Pitę tak samo nieruchomych i milczących, jak za pierwszym razem.

— Marmurki!... — przemknęło jej przez umysł z nieokreśloną ironią — marmurki!...

*

W godzinę później, powoli układano się do snu. Pita leżała już w swoim łóżeczku pocałowawszy ojca i matkę w rękę.

Siedząc na krawędzi swego łóżka, Tuśka rozczesuje włosy i patrzy przez otwarte drzwi na męża, który gotuje się do snu przy poślanym łóżku.

Widzi, jak systematycznie z kieszeni wyjmuje drobne pieniądze, scyzoryk, jak to wszystko z głuchym chrzęstem składa na stoliczku. Dalej słyszy miarowy, delikatny turkot nakręcanego zegarka, ściąganie butów, ustawianie ich systematycznie w dali od łóżka.

Gęstwiną złotą swych wonnych, ślicznych włosów zasłania się rozpaczliwie Tuśka. Kark jej różowy, ten, który wzniecał takie uwielbianie na balu i jest przedmiotem zachwyty Porzyckiego, odsłania się i błyszczy jak gwiazda. Poza pachnącą gęstwiną włosów Tuśka zaczyna płakać cicho, zacinając wargi aż do krwi...

Łzy jej lecą gradem diamentów i spadają na atlasowe ciało o tonach delikatnej, bladej, rozkwitłej wśród pereł rosy róży...

XXXIII

I nadszedł ranek, i trzeba było otworzyć oczy, i pomyśleć, że „mąż” pije kawę rano, a nie herbatę, bo tak bywało od lat wielu na... Wareckiej ulicy.

A więc Tuśka wstaje, ale nakłada na siebie zmiętą już i zbrudzoną matinkę. Co ją to wszystko obchodzi! Porusza się jak automat. Przyrządza ową „kawę” z miną ofiary i rzeczywiście ma zamiast serca po prostu ranę. Myśli, że „oni” oboje są w tej chwili pod jednym dachem, obok niej, i że jakby łańcuch przykuwa ją do miejsca, nie pozwala ani jednego swobodniejszego ruchu, ani wyjawienia myśli. I to właśnie tajenie myśli zaczyna ją dręczyć i dławić najwięcej.

— Czy wytrzymam tak długo? — myśli — zaledwie się to przecież zaczęło, a ja jestem u kresu sił...

Podaje mężowi kawę, on dziękuje jej i już ubrany, wyszczotkowany, bardziej niż kiedykolwiek chudy i zielony, bierze tackę i wynosi się z nią na werandę.

— Wypiję kawę patrząc na góry! — mówi i uśmiecha się nieśmiało.

— Tak, tak... tak właśnie być powinno — odpowiada mu Tuśka uśmiechając się także, a myśl jej aż szeleści skrzydłami koło drzwi izby Porzyckiego.

— Co to będzie, gdy się spotkają? — myśli. — Jak zachowa się Porzycki? Może wyjedzie na ten czas... Wszak to musi być dla niego straszne, gdy pomyśli, że ten mąż jest tak blisko niej. A może Żebrowski czegoś się domyśla — co wtedy?

Siada przed lustrem, zaczyna się czesać, lecz grzebień jej z ręki leci. Jest blada, ma oczy podkrążone sinymi obwódkami. Uśmiecha się gorzko.

— Oto wpływ małżeńskiego jarzma... ledwo się pojawił, ledwo przesunął koło mnie, a już zbrzydłam, już się postarzałam.

Patrzy z ukosa na Pitę.

Dziewczynka powoli, z metodą odziewa się i nigdy nie uderzyło tak Tuškę podobieństwo ruchów dziewczynki z ojcem.

— Taka sama, jak on... marmurek!...

Zdawało się jej, że słyszy w sieni kroki Porzyckiego. Doznała uczucia jakby szalonej trwogi. Pragnie go zobaczyć, a po prostu lęka się tej chwili. Jest jej tak, jakby ona względem Porzyckiego popełniła jakąś straszną winę, jakby to ona ściągnęła tu tego męża, którego obecność stawia dziś Porzyckiego w fatalnej sytuacji.

— Powiedział wczoraj, że uczyni dla mnie wszystko — rozmyśla posępnie. — Ach! gdyby rzeczywiście.

Kręcenie się automatyczne Pity denerwuje ją do reszty.

— Weź, Pito, swoje mleko i idź do ojca na werandę. Dotrzymaj mu towarzystwa.

Dziewczynka bierze filiżankę z mlekiem i wychodzi nie śpiesząc się i nie okazując wielkiej chęci do owego „dotrzymania ojcu towarzystwa”.

— To będzie wszystko straszne, to nie będzie możliwe do przeniesienia — ciągle myśli Tuška — ja nie wiem, co się stanie, ale coś się stać musi.

Ktoś bez pukania drzwi otwiera. Obidowska ukazuje się ponura, tragiczna, złamana. Niesie w ręku pęk róż.

— Majom kwiaty! — mówi kładąc róże na stole.

W Tušce serce bije szalonym tempem. Te róże to posły od niego! Mówią jej wczorajsze słowa, szeptane tam w koronie modrzewiów! Patrzy na nie, tknąć nie śmie.

Drogie, drogie kwiaty! — i drogi, drogi... on!

Obidowska nie odchodzi, stoi, kiwa głową.

— Wiedzom? — pyta — to te kuśtyki go zabili.

— Kogo?

— Ano... tego, co go fcora našli. Jego zona i jej gachy. Zmówili się, zmanili w las i ciupagami utłukli... Juz ik majom! Siedzom w hareście...

Tuškę ogarnia znów złość na tego „męża”, który więził przy sobie rwącą się od niego kobietę.

— Dobrze mu tak... — powtarza z uporem — dobrze mu tak; po co się żenił z młodszą?

— Jakże to? jakże to? — pyta Obidowska.

— Tak to, tak to... — przedrzeźnia ją Tuška, rada, że ma na kim zemścić się za swoje udęczenia — tak będzie każdej, czy żonie, co męża więzi, czy mężowi, co więzi żonę.

Obidowska zrozumiała. Czy jej zabłysły i nagle zgasły, jakby trwoga je zgasła, usta rozwarte znamionują przestkach. Tuška czuje ulgę w tym moralnym znęcaniu się. W Obidowskiej widzi uosobienie nienawistnego jej w tej chwili jarzma małżeńskiego. Forsuje więc nutę.

— I wy strzeżcie się!... — rzuca, kładąc róże do wody.

— Jo?

— A wy... nie więźcie Józka w chałupie, bo on młody i chce świata.

— Jo go ta nie więźcie...

— Aha!... trzymacie go koło siebie na uwięzi, a on kiedyś będzie miał dosyć i zrobi wam tak, ja ci zrobili z gazdą w lesie.

— O! o! o!...

— Nie o!... ale tak! — A teraz idźcie sobie, bo mnie nudzicie.

Obidowska wychodzi cicho, jakby spłoszona, zamykając lekko drzwi. Chwilę długą stoi na dziedzińcu, zamyślona, z oczyma wbitymi w ziemię.

Gdy wreszcie weszła do szopy, oczy jej nieufnie błysnęły w stronę łóżka, na którym leżał Józek. Kilkakrotnie otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, lecz milkła.

Wreszcie wzięła nóż i kartofle i siadła przy ognisku.

Jak cień siadł przy niej lęk ogromny, najgroźniejszy ze wszystkich lęków, jakie szarpną nędzną istotę człowieka, bo lęk o życie własne.

Mimo woli ogląda nóż i głową kiwa.
— Nieostrzy! — myśli — nawet byk się cęm bronić nie miała.
I postanawia dziś jeszcze dać nóż do wyostrzenia.

*

Tuśka czesze się powoli i do róz uśmiecha się smutnie.

— Co to będzie!... co to będzie!...

Znikło z jej duszy owo zastawianie się, że „nic złego się nie stało”. Tak było, gdy nie widziała męża, żyjącego dowodu swej przysięgi małżeńskiej. Obecnie, będąc w gruncie rzeczy zupełnie nie zepsuta i nie zdeprawowana rozlicznymi flirtami szpetnymi i powoli oswajającymi kobiety z rzeczywistym, bo serdecznym wiarołomstwem, uważa, że to, co się stało, już jest wiele, bardzo wiele! Reszta to już rzeczy wypadku i sprzyjających okoliczności. Główna wina, owo „zakochanie się” i dowiedzenie się o wzajemności, rozwinięte w całej pełni. A więc wina jest. Jakże z nią żyć? Jak się taić? Jak się szarpać tak dnie i noce całe? A zwłaszcza gdy oni staną naprzeciw siebie i obok niej?

— Ach, nie! nie!

Słyszy teraz wyraźnie, że Porzycki wtacza rower do sieni. Rano musiał wstać, jeździć po róz. Ona go nie słyszała, gdy przechodził. Należy się z nim zobaczyć, koniecznie...

Porywa się od lustra, narzuca biały szal na matinkę, drzwi do sieni otwiera.

— Dzień dobry!

— Dzień dobry!

Ona szepce i on także...

Ten szept ostrożny, pośpieszny, właściwy ludziom zmuszonym ukrywać się ze swą miłością.

Tylko u niej głos drży, on mówi pewnie, zupełnie śmiało.

— Pan wie...

— Co?... A!... tak — mąż... Gdzież jest?

— Siedzi na werandzie, pije kawę.

— Naturalnie.

Zaczyna się śmiać. Ten śmiech zbija trochę z tropu Tuśkę.

— Jam temu nie winna...

— Czemu? że pije kawę?

— Nie, że... przyjechał.

— A któż panią wini?

— Ja... myślałam... że pan...

— Ja?

— No... że... panu będzie przykro...

Wzruszył ramionami.

— Zapewne, przyjemne mi to nie jest. A nawet bardzo... nieprzyjemne...

— A więc ja pomyślałam, że najlepiej będzie, ażeby pan wyjechał.

Otworzył szeroko oczy.

— Po co?

Nie umiała sformułować odpowiedzi, lecz dodała szybko:

— Na ten czas tylko.

Pomyślał chwilkę, wreszcie odrzucił:

— To niepotrzebne.

— !!!

— Tak. To się jakoś ułoży.

Załamala ręce.

— Ale jak? jak?... Mnie to zabije.

Roześmiał się znów i pogładził ją po rozpuszczonych włosach.

— No, no, nie tak tragicznie. Niech no się kiciątko nie martwi. My to jakoś ułożymy, że wszyscy będą zadowoleni.

Powtarzała ciągle gorączkowo:

— Ale jak? ale jak?

— Jakoś!...

I nim opamiętać się zdołała, pocałował ją gorąco i znikł we drzwiach, prowadzących na ulicę.

Tuśka cofnęła się z płonącymi policzkami i z duszą pełną rozwichrzonych myśli.

Co miało znaczyć jego: Jakoś się temu zaradzi?...

Nagle od strony werandy, przez izbę do niej prowadzącą, doleciały ją zmieszane głosy.

Tak, stanowczo, to był głos Porzyckiego, a potem jej męża.

Zmartwiała cała. Dźwignęła się z krzesła i szybko podeszła do drzwi.

A więc się spotkali! Może teraz mąż dopiero zagra w odkryte karty, może teraz wyda się, iż on wie o wszystkim i po to jedynie przyjechał, aby wyświecić sytuację. Co się stanie! co się stanie!

Z bijącym sercem Tuśka śledzi i wsłuchuje się w to, co się dzieje na werandzie.

Ale to, co się tam odbywa, to nie jest żadna tragedia. Przeciwnie, spokojnie, gładko tam płynie fala życiowa bardzo ładnym i miłym szablonem. Porzycki podszedł pierwszy i poprosił Pitę, aby przedstawiła go ojcu.

— Sąsiadem jestem i mam zaszczyt znać żonę szanownego pana i jego córeczkę. Pozwoli więc pan...

Zebrowski na wszystko pozwala. Odkłada rogalik, który skrupulatnie smarował maśłem, powstaje i z pośpiechem ściska wyciągniętą dłoń aktora. Usty pełnymi pieczywa bełkocze, że „jest niewymownie szczęśliwy”. Jego spłowiałe, zmęczone oczy patrzą z zachwytem na ładną, zdrową, pełną twarz Porzyckiego. Ten rosły, wspaniały mężczyzna imponuje biednemu urzędnikowi o zapadłych piersiach.

— Pan dobrodziej pierwszy raz w górach?

— Tak... tak.. A może pan usiądzie?

— Chętnie.

— Papierosika?

— Dziękuję. Mam swoje. Może panu można służyć?

— Ja mam nasze i do tych jestem przyzwyczajony.

— Phi! ja także jestem Królewiak.

— No... no... a z których stron?

— Z Kieleckiego.

— Ja także.

— Ot, jak się złożyło.

Zaczynają śmiać się.

W śmiechu tym rozwiewa się tragizm sytuacji, a natomiast występuje jakaś ohyda, jakaś szpetota codziennego fałszu i to przenika do głębi duszę Tuśki.

— Śmieją się!... — myśli wracając do lustra. — Już się poznali...

Zwłóczy z ubraniem się, nie jest zdolna po prostu iść tam, pomiędzy nich i brać udziału w ich rozmowie.

— To wstrętne... to jeszcze gorsze, niż gdyby się wzięli za bary — przemyka jej po głowie.

— A może to tylko tak z początku, kto wie, co będzie dalej!...

W duszy jej coś zaczyna się buntować nie tylko przeciw mężowi, ale i przeciw Porzyckiemu.

O ileż wolałaby, gdyby przedstawił się jej zrozpaczony, gdyby uciekł, nie chcąc widzieć nawet tego „męża”. Tak jak było obecnie, namiętność jego i miłość widocznie nie była znów tak bardzo silna i bezwzględna.

— A może on zadaje gwałt sobie i zmusza się do takiego postępowania, aby mnie przykrości nie robić i nie oddalać się ode mnie? Kto wie?

Szczęśliwa, iż wynalazła przed sobą usprawiedliwienie kochanka, zaczyna apoteozować jego poświęcenie.

Tak, tak, nic innego. On się przymusza. On w tej chwili cierpi tak jak ona, a może jeszcze więcej. Tylko, jako mężczyzna, ma więcej hartu i silnej woli.

Pokrywa to wszystko, stara się jakoś ułożyć możliwie sytuację, aby przebyć to wszystko i dopomóc jej do przeniesienia tych ciężkich i fatalnych chwil.

I w tej chwili Tuśka postanawia całą siłą okazać się także równie mężną i bohaterską. I ona dopomagać będzie Porzyckiemu w jego heroicznych usiłowaniach. Nie pozwoli mu

dźwigać ciężaru tego przymusowego i tragicznego kłamstwa samemu. I ona okaże się silną i godną jego miłości.

Ubiera się pośpiesznie, ale szykownie i wychodzi wreszcie na werandę.

— Otóż i nasza pani! — woła Porzycki całując ją w rękę.

Tuśka gra rolę uprzejmej gospodyni i siada przy stole pomiędzy Porzyckim a mężem. Od razu odczuwa, iż Porzycki wprowadzić chciał pewien zwykły mu, serdeczny nastrój, lecz Żebrowski zachowuje się, jak zwykle, zimno i lękliwie. Ogarnia ją wielka niechęć do męża za to, że nie umie przyjąć goręcej sympatycznych zabiegów kochanka. Przy tym różnica fizyczna obu mężczyzn występuje na jaw z całą gwałtownością. Porzycki uosabia siłę, zdrowie, piękno i zadowolenie życiowe. Żebrowski, znędzniały, wystygły, jakby nieśmiało skradający się przez życie...

Pełne słońce bije całą masą światła na nich, wydobywając ich zalety i niedostatki z brutalnością i szczerością niezwykłą. Tuśka doznaje dziwnego fizycznego wrażenia, które mimo woli analizuje, rozmawiając o rzeczach na pozór obojętnych.

Oto od strony, po której siedzi Żebrowski, wieje ku niej chłód, który ją literalnie mrozi i skostnieniem przejmuje. Od Porzyckiego zaś idzie jakiś ciepły prąd, ożywczy i miły.

— To tak! — myśli — to tak!

I coraz silniej brnie w ten szablon *trójkąta*, który dawniej przedstawiał się jej spoza mgły jak jakiś legendowy ptak, wizją przestraszną się unoszący.

Porzycki potrąca o scenę, o swój fach.

Żebrowski spłowiawe oczy szeroko otwiera.

— Pan jest w teatrze?

— Tak!

— A!

Nic nie zdoła oddać owego „a”, które z ust bladych, ocienionych niepewnego koloru węsami się wydobywa.

Jest to zdziwienie, rozczarowanie i pewne lekceważenie zaśniedziałego w swych urzędowych gradacjach i zaszczytach moła dla swobodnie rozwianego i hulaszczco płynącego w przestrzeń życiową artystycznego ducha.

A przy tym jakaś ciekawość tłumu dla histriona, przyglądania się chętnie straszącej z daleka masce, wyciętej z dyni i rozświetlonej wewnątrz ognikiem świecy.

Tuśkę to „a” obraziło za Porzyckiego. Ze skrzywieniem niewyraźnym patrzy na męża. Myśli, że jest brzydki i że brakuje mu taktu.

Porzycki zdaje się jednak nie dostrzegać nic ubliżającego w odezwaniu się Żebrowskiego, bo wesoło proponuje po obiedzie wycieczkę do Kuźnic.

— Pokażemy panu dobrodziejowi czepculki! — śmieje się swobodnie.

— Czy to góry?

— Nie, nie. To specjalność kuźnicka... Pan dobrodziej zobaczy.

— Ba... ja chciałbym widzieć jak najwięcej gór.

— Ale naje się ich pan jeszcze łyżką. Myśmy się ich już najedli. Prawda? co?

Zwraca się do Tuśki.

— Żona pana dobrodzieja niewielka amatorka gór. Nie chce chodzić na wycieczki...

Z czymś widocznie czai się Żebrowski.

— A czy to bardzo niebezpieczne? — pyta wreszcie nieśmiało.

— Co?

— No... taka wycieczka.

— Jak jaka.

— No... ale taka nieduża, całkiem mała wycieczka.

— Cóż ma być niebezpiecznego?

— Bo to można zlecić.

— Ech! gadanie... skoro się ma pewne nogi i przytomność umysłu.

Żebrowski już nic nie odpowiada. Coś zdaje się rozliczać, obmyślać, wreszcie znów pyta:

— A pan dobrodziej był w górach?

Porzycki parsknął śmiechem.

— Ależ ja znam Tatry jak własną kieszeń.

— I nigdy pan nie zleciał?
— Parę razy.
— A widzi pan.
— Ale mi się nic złego nie stało i jestem zdrow i cały. No... ale jakże będzie z Kuźnicami?

Po Tuście aż mróz idzie.

W jednej chwili przypomina sobie nieodstępne zielone palto męża, jego zeszloroczny kapelusz, ogarnia wzrokiem niepoczesną minę i czuje, że nie może zaprezentować publicznie „coś takiego” jako swego męża. Znadto mizerny, znadto wyblakły, znadto żaden.

— To niepodobna — mówi tonem arbitralnym — mam migrenę, głowa szalenie mnie boli, dziś pozostanę w domu.

Porzycki patrzy na nią, widzi, że jest zdrowa, więc wzrusza ramionami.

— Właśnie przejażdżka pani pomoże.

Ale ona gwałtownie wstaje i odsuwa krzesło.

— Nie... proszę, niech pan nie nalega.

Wysilek trwał za długo. Łzy ją po prostu dławią.

— Idę się położyć.

Szybko wychodzi do swego pokoju. Mąż nie rusza się od stołu.

— Najlepszy na migrenę spokój — decyduje półgłosem. — Ja po chwili pójdę się przejść z Pitą.

— Tak, tak, najlepiej pan zrobi.

Porzyckiemu widocznie przykro. Chciałby iść za Tuską — nie może.

Wraca do siebie, idąc cicho jak kot przez sionkę.

Po długiej chwili słyszy, jak Pita i Żebrowski idą ku miastu. Wychodzi za nimi i patrzy stojąc przed domem, jak się oddalają z wolna w smudze drożnej. Pita jest widocznie szalenie nerwowo wrażliwa. Gdy idzie z matką, przybiera zupełnie ruchy Tuśki, gdy idzie z ojcem, ma ten sam chód kościany, wymierzony i automatyczny.

— Fenacetyna!

Porzycki wyciąga przez okno rękę z proszkiem. Wejść nie chce. Tuśka leży ubrana na łóżku. Twarz rozpaloną przycisnęła do poduszki.

— Pani Tuśko! fenacetyna!

Tuśka z trudnością podnosi głowę. Jest rzeczywiście chora, tak jak to kobiety zmar-twione chore być umieją.

— Dziękuję panu, ja nie zażyję — odpowiada słabym głosem.

— Ależ... pomoże.

— Nie. Mnie nic nie pomoże.

— Zawsze pomagało.

— Ale dziś nie pomoże.

Porzycki stoi bezradny wobec tej rozpacz.

— Co pani?

Pytanie to działa na nią wstrząsająco.

— Jak to? pan pyta, co mi jest?...

Siadła na łóżku i patrzy na niego szeroko otwartymi źrenicami.

— Chyba *on* pani nie dokuczył! — ciągnie Porzycki. — Zdaje się być bardzo deli-katnym człowiekiem.

Tuśka uśmiecha się ironicznie.

— Właśnie... z powodu tej delikatności, którą się pan zachwyca, chciałam pana za niego przeprosić.

— Mnie? za co?

Tuśka jest tak rozdrażniona, że i Porzycki zaczyna ją denerwować swoją jakąś szaloną biernością, która obala poprzednio zbudowane przez nią kapliczki heroizmu. To spokojne „przyjmowanie” tego męża, teraz, gdy są sam na sam i gdy nie potrzebuje już udawać, jest jej wstrętne.

— Za to — mówi dobitnie — że pana zlekceważył, gdy się dowiedział, że pan jest na scenie.

— Czyż on mnie zlekceważył?

— Pan tego nie czuł? Ale ja za pana i za siebie uczułam.

Porzycki marszczy brwi i zamyśla się chwilę.

— To nie chodzi o lekceważenie — mówi wreszcie, wydymając usta — ale o to, że mąż pani nie znał mego nazwiska i nie wiedział, że jestem artystą.

— Och!... on!...

— Czy tam u was, w Warszawie, rzeczywiście się nami nie interesują? My znamy tu wszystkich waszych *wybitniejszych* artystów.

— Co znowu! — protestuje Tuśka — w Warszawie wszyscy ludzie z kulturą artystyczną wiedzą, kim pan jesteś... Ale ten *delikatny* człowiek nie zajmuje się sztuką. Jego kultura artystyczna jest jeszcze bardzo niska.

— Widocznie! — mówi aktor, którego struna miłości własnej jest struną najsilniej rozbrzmiewającą i podaną do grania umiejętną ręką.

Tuśka powstaje z łóżka i nerwowo zbliża się do okna.

— Przecież choćby dlatego, że grałem w *Weselu*... — ciągnie dalej swoje Porzycki — powinien wiedzieć, kim jestem!

— Tak, tak — przyświadcza Tuśka.

— Widziała mnie pani na *Weselu*?

— Naturalnie.

Aż drży, aby nie wziął jej na egzamin, którą grał rolę, bo będąc na sztuce, nie interesowała się aktorami.

— No... widzi pani... Czy można mnie nie zauważyć?

— Nie, nie można!

Tuśka jest coraz więcej zdenerwowana. To zajmowanie się sobą i swoim aktorstwem wydaje się jej więcej niż niewłaściwe. Mógłby też zwrócić uwagę na to, co się z nią dzieje.

— Teraz nie będzie się pan dziwił niczemu! — mówi, siadając przy oknie i opierając się o ramię.

Porzycki ma minę złapaną. Właściwie nie wie, czemu ma się dziwić i dlaczego nie ma się dziwić.

Zbliżenie się Tuśki działa jednak na niego, tak jak zawsze. Ogląda się i szybko zaczyna całować jej ręce, które wysuwają się śliczne i kształtne spod fałdów szala. Ta pieśczoła doprowadza Tuśkę do szczytu. Zaczyna szlochać, z początku cicho, potem z coraz większą gwałtownością.

— Ja tego wszystkiego nie przeniosę!

— Ależ...

— Nie ma ależ... Pan tego nie czuje, pan nie rozumie, co się we mnie dzieje? Pan nie wie, co ja znoszę za mężką!...

— Pani taka z nim nieszczęśliwa?

Mówili z sobą mało o jej domowym pożyciu. Z samego początku kilkakrotne jej odezwanie się dawało do poznania, że stosunek jej do męża jest bardzo *correct* i że nic tam, jak się mówi, „nie kłoszkuje” oprócz chłodu i przesadnej grzeczności.

Tymczasem dziś ta poprawność zmienia się w jakąś ukrytą widocznie tragedię, bo przecież takie łzy musi wyciskać prawdziwa i szczerza chyba, a długo tajona boleść.

Porzycki zasmuca się nie na żarty. Żał mu jakoś Tuśki, a przecież nie wie sam, dlaczego nie żał mu tak, jak należy.

— Co to jest? co to jest? — myśli, jakiś niepewny i wahający.

Ona odczuwa, że jest jakiś rozdźwięk, i forsuje nutę.

— My tak zawsze... — mówi wśród łez — na dwóch biegunach... To straszne...

On nie znajduje nic, co by mogło ją rzeczywiście z tego zdenerwowania wyprowadzić.

— Proszę, uspokój się.

Im więcej ją prosi, tym ona łka gwałtowniej. Czeka ciągle na jakieś inne, silniejsze, bardzo stanowcze słowo.

— Niech kiciątko nie płacze!...

To osusza jej łzy. Spogląda na niego z ironią. Więc nic innego nie umie? Oczy ich spotkały się i w ślad za oczami idą usta. Przypadli do siebie i całowali przez chwilę całą

siłą swych dusz. Ktoś wszedł do sieni, porwali się, rozbiegli jak kuropatwy spłoszone. On przed dom, ona do lustra, aby poprawić włosy i zapudrować oczy.

Drogą od miasta nadciągał powoli Żebrowski z Pitą.

Szedł przygarbiony, przytłoczony, mając pełne oczy słonecznych wizji Tatr, które zobaczył w całej pełni majestatu z ulicy Nowotarskiej.

Jego biedna, miejska, nędzna wyobraźnia nie mogła znieść tego ogromu, tego przepychu, tych rozstępionych, granitowych olbrzymów, które jego, biurowego Pigmeja, z taką wzdargą odpychać się od siebie zdawały.

Szedł milczący obok Pity i tylko kiedy niekiedy kręcił głową.

Gdy doszedł do Porzyckiego, stojącego koło żerdzi, opasujących chałupę, zatrzymał się.

— Wie pan dobrodziej... — wyrzekł — nie spodziewałem się!

— Czego?

Ale on się dalej nie tłumaczył, tylko powtarzał:

— Nie spodziewałem się!

A Pita dodała w formie objaśnienia, wydymając po swojemu usteczka:

— Ojciec mówi o górach.

— Tak, panie dobrodzieju, o górach...

I po chwili dodał:

— Muszę jeszcze tego rycerza na Giewoncie zobaczyć.

A Porzycki z uśmiechem uspokajał:

— Zobacz pan dobrodziej, zobaczy.

— A czy to rzeczywiście do rycerza podobne?

— Trochę.

— Mówią, że bardzo.

— Tak... przyzwawszy fantazję do pomocy.

Blady uśmiech, jak mgła przedwieczorna, owionął twarz Żebrowskiego.

— To się przyzwie fantazję, panie dobrodzieju!... to się przyzwie!

Usteczka Pity wydymała coraz większa ironia...

XXXIV

— Więc i dziś nie pójdziesz ze mną na spacer?

— I dziś.

— Ciągłe jesteś chora?

— Ciągłe.

— Jak się to źle złożyło!

Żebrowski pokręcił głową.

— Szkoda! mam taką ochotę pojechać do Kościelisk.

Tuśka odwróciła głowę.

— Jedź z Pitą.

— Hm... to pojedę.

Już trzeci dzień Tuśka udaje chorą, aby nigdzie nie wyjść z mężem i nie prezentować go zakopiańskiej publiczności. On zaś, jakby ukąszony przez tarantulę, jednej chwili na miejscu usiedzieć nie może. Robi wrażenie drewnianej zabawki, w której popsuly się sprężynki, normujące jej ruchy, i która wierci się, kręci, nie mogąc się po prostu zatrzymać w tym ruchu. Od rana kołace się po swojej izbie, pluszcze się w wodzie, odziewa, skrzypi drzwiami od werandy, łązi naokoło domu, zaczepia górali, wdając się z nimi w pogawędkę i zachwycając się ich udaną naiwnością i prostotą.

Kupił sobie serdak i ciupagę, najtańszy serdak, jaki mógł dostać, i najtańszą ciupagę. Serdak jest na niego za duży i cuchnie z daleka, ale on się z nim nie rozstaje, pomimo że w południe jest nawet gorąco. Wygląda w tym serdaku śmiesznie i brzydko. Tuśka z okna swej izby, z której nie wychodzi, śledzi go i porównywa ze sposobem junackim i szykownym, z jakim Porzycki nosi swój śliczny i dobrze do figury dopasowany serdak.

A może teraz porównywać często ich obu, bo Porzycki prawie ciągle krąży dokoła domu i spotyka się z Żebrowskim. Rozmawiają o rzeczach potocznych, ale rozmawiają dużo i ciągle. Tuśkę to gniewa i dręczy. Stokroć razy wołałaby już, żeby obaj uczyli do

siebie jakiś wstręt. To ściąganie się wzajemne w jeden punkt sprawia jej po prostu ból i nie wiadomo dlaczego upokarza ją.

Mąż widocznie nie ma żadnego „przecucia”, a Porzycki powinien przecież z zasady nienawidzić tego męża i unikać go. To już „heroizm” za daleko posunięty.

— Czym ja jestem w tym wszystkim? — myśli, siedząc koło pieca w rozwianych fałdach białego szlafroka.

— Ten Porzycki to, mimo że aktor, wcale przyzwoity człowiek — wyrokuje pewnego dnia Żebrowski, naprawiając ciupagę, z której skuwki jak gruszki z gałęzi dawno pozlatywały.

Tuśka podnosi zuchwale głowę.

— Pomimo że aktor — podnosi jakimś wyzywającym do sprzeczki głosem — pomimo, a może właśnie dlatego, że ma artystyczną naturę, więc ma i piękną duszę!

Żebrowski kręci głowę.

— Artyści nie są w gruncie uczciwymi ludźmi — mówi z przekonaniem.

Oczy Tuśki zabłyśły, jak dwie świece.

— Daruj, mój drogi, ale nie będę twego zdania. Artyści właśnie są prawymi naturami, bo szczerzy. Kołtuny i filistrzy to są obłudnicy i faryzeusze, nic więcej.

Żebrowski ze zdziwieniem na żonę patrzy. Nie słyszał u niej nigdy takiego tonu mowy, nie wiedział, że istnieje takie słowo jak „kołtun”.

— Jak ty powiedziałaś? kołtuny?

— Kołtuny, mieszczaństwo, burżuje, pasibrzuchy — cały wstrętny tłum tych „porządnych” ludzi, którym tylko chodzi o karierę, o pensję, o emeryturę, o...

Aż się zachłysnęła. Żebrowski nie poznawał jej zupełnie. Zdawała się zionąć ku niemu jakąś złością, jakąś nienawiścią. Po raz pierwszy to uczył, choć nie mógł sobie jeszcze dokładnie z tego zdać sprawy.

— Jakże chcesz — wyrzekł wreszcie — aby życie ludzi, mających dzieci, tworzących rodzinę, inaczej się ułożyło? Musimy myśleć o karierze, o awansie, o emeryturze, bo cóż byście wy, żony i nasze dzieci, jadły?

Rumieniec gniewu wystąpił na twarz Tuśki.

— Wielka afera! — wybuchnęła — my, żony, pracowałybyśmy, a dzieci...

Machnęła ręką.

— Dzieci mogłyby się nie rodzić.

Żebrowski coraz szerzej oczy otwierał.

— Jakże to pojmujesz?

— Tak, że u kołtunów dzieci są tylko dziećmi obowiązku, a czasem, rzadko, dziećmi krwi.. Co zaś do dzieci serca, tych nie ma nigdy.

— Dzieci serca? Nie rozumiem!

Tuśka miała wspaniały ruch pogardy i odpowiedniego wzruszenia ramionami.

— Spodziewam się, że ty tego nie rozumiesz. Ale to może zrozumiesz, że z dzieci obowiązku wyrastają marmurki i kołtuny, a z dzieci serca śliczne, artystyczne dusze.

Żebrowski czuł się przygnieciony tym nawąłem rozmaitego gatunku dzieci. Siedział nastroszony w swym serdaku, dłubiąc szczyrykiem koło ciupagi. Zachodzące słońce słało śliczne, krwawe refleksy przez delikatny deseń firanki i padało czerwonymi plamami na jego głowę, okrytą nędznymi i bezbarwnymi włosami, na jego twarz, pod którą rysowała się trupia głowa z dokładnością zupełną.

Tuśka umilkła, wyczerpana. Te słowa „dzieci krwi, dzieci obowiązku, dzieci serca” — przypomniały jej czerwony ranek nad Morskim Okiem i głos Porzyckiego, mówiący do niej słodkie wyrazy.

Srebro i purpura zamigotały w jej wspomnieniach, limby cicho drzemiące... woda płynąca ku niej i konająca u jej stóp.

— Jak to daleko!... jak to wszystko daleko!... — myślała zrozpaczona — jak to wszystko zapadło w jakąś dal...

Żebrowski mówi znów coś, mówi monotonicznie, strugając jakieś kołeczki. Zdaje się, że powrócił do swego ulubionego tematu, do gór, do rycerza na Giewoncie. Snuje się tak u podnóża Tatr wzrokiem, podnosi głowę, aby przyjrzeć się szczytom, i szeroko rozwiera swe przemęczone biurową pracą oczy, gdy widmo gór rozwinię się przed nim w całej swej potędze. Drepcę ciągle po Zakopanem, szukając najlepszych punktów, gdzie „najlepiej

widać”. Kupił sobie pocztówki z fotografiami i porównywał je z rzeczywistością. Chwilami żałuje, że istnieje noc, która wchłania w siebie zjawisko gór i nie pozwala mu patrzeć na nie. Staje w ekstazie, gdy zobaczy turystów, idących z ładunkami na wycieczkę.

Ma wtedy jakąś poważną i zamyśloną minę, jakby coś ważył, coś rozliczał w głębi swej istoty. Nie mówi jednak już z junakierią, jak pierwszego dnia po przybyciu do Zakopanego: „Zmierzymy się z Giewontem!”. Przycichł, bo czuje się bardzo mały i bardzo nędzny.

Niemniej przecież coś waży, nad czymś się zastanawia.

Tuškę nie obchodzi to wcale, jakie wrażenie zrobiły góry na mężu. Ona wie tylko, że jej słodkie i pełne czarów istnienie zmieniło się w męczarnię. Nie pyta go, jak długo ma pozostać, gdyż lęka się, że posłyszyci: Razem wrócimy. Z nienawiścią tylko patrzy na jego wydatki, na ten serdak, w którym według jej tajonej oceny wyglądał jak „pies w chomacie”, na te furki, którymi jeździ z Pitą do Strażysk, do Kuźnic i do innych, bliskich miejscowości.

— Za te pieniądze, które on rozrzuca — myśli — mogłabym jeszcze siedzieć kilka miesięcy w Zakopanem.

Zapomina słodka dusza, że te pieniądze zarabia nie ona, lecz ten biedny „pies w chomacie”, i to zarabia kosztem swego zdrowia, życia i kosztującej w tej pracy duszy.

Instynktem jednak wiedzioną, nie robi mu za te wydatki wymówek, korzysta jednak z każdej okazji, aby go kłuć drobnymi przymówkami do jego „kołtunerii” i braku artystycznego polotu.

Jedną z tych okazji było zaproponowanie przez Żebrowskiego złożenia wizyty Warchlakowskim.

Spadło to na Tuškę niespodziewanie. Zapomniała zupełnie, że pisała do męża, iż weszła w bliższą zażyłość z bardzo „miłą i przyzwoitą rodziną radcostwa Warchlakowskich z Krakowa”.

Później nie doniosła mu o nieporozumieniu, jakie wynikło z tej sezonowej zażyłości. Obecnie nazwisko Warchlakowskich było oliwą do ognia.

— Co?... do tych kołtunów? — zapytała wyniośle — ja do *takich* ludzi nie chodzę. — Nie lubię, żeby mi kto z kaloszami do duszy włożył.

Zapozyczyła to zdanie ze skarbca wyrażań Porzyckiego i innych aktorów.

Żebrowski bardzo się zdziwił.

— Ależ moja droga!... Widziałem wczoraj tych państwa na werandzie. Wyglądają bardzo solidnie i przyzwoicie.

— Och! och!... — zaśmiała się Tuška.

— Naprawdę, bardzo przyzwoicie. Zresztą sama pisałaś...

— Co pisałam, to się nie liczy. Dowiedziałam się później takich o nich rzeczy, iż uznałam za stosowne zerwać z nimi.

Żebrowski pokręcił głową.

— Szkoda!

— Nie masz czego żałować. Ci państwo ładnie się traktują, gdy są sami. On ją nazywa jędzą, a ona jego kretynem... Słyszałam na własne uszy. Prawda, Pito?

— Tak, proszę mamusi!

— Zresztą to są wstrętne burżuje, które tylko pasą się cały dzień i o niczym nie myślą, tylko o żołądku i o swoich... obowiązkach! Wstrętne płazy, wstrętne! wstrętne!...

Już się nie hamowała, wybucha otwarcie.

Żebrowski spojrzał na nią uważnie.

— Dlaczego się tak unosisz? — zapytał — czy jesteś chora?

Tuška zaczęła śmiać się przeciągle i nienaturalnie.

— Chora!... chora!...

— ???

— Chora jestem, chora, dlatego że przestaję być manekinem, drewnem, marmurkiem.

— Nigdy cię taką nie widziałem!

— Spodziewam się!

Z wyrazu jego twarzy dostrzegła jednak, że zanadto się posunęła.

— A może jestem chora! — wyrzekła pośpiesznie, zapadając w sztuczną martwość.

Żebrowski zamyślił się chwilę.

— Ja sędzę, że to góry tak na ciebie działają, bo i ja czuję się jakiś inny, rozdrażniony, nie mogę na miejscu usiedzieć.

Obrzuciła go spojrzeniem pełnym nieokreślonej pogardy.

— Tak... to góry tak na mnie działają! — wyrzekła, odwracając od niego wzrok i starając się oderwać myśl nawet.

Tego samego dnia przysłała do Żebrowskich Sznapsia.

— Mówił mi Porzyk, że pani jest niezdrowa — wyrzekła na wstępie, jakby usprawiedliwiając się.

Tuśka była sama. Żebrowski powlókł z sobą Pitę, która poszła skrzywiona i niechętna za ojcem.

Porzycki pojechał na rowerze zaraz po obiedzie. Tuśka leżała na łóżku zdenerwowana i udręczona. Widząc wchodzącą aktorkę zerwała się radośnie. Było to coś przypominającego dawne, dobre czasy. Aktorzy bowiem, dowiedziawszy się, że „mąż przyjechał”, usuwali się dyskretnie i nie zaglądali do Obidowskiej chałupy.

— Chora pani? — pytała Sznapsia, uradowana z serdecznego przyjęcia.

— Tak...

— Rzeczywiście, blada pani i mizerna.

Tuśkę zaczęły lzy dławić. Pierwszy raz od tych dni fatalnych zwrócił się do niej ktoś ze szczerym, kobiecym zainteresowaniem. Łzy napłynęły jej do oczu, broda drżeć zaczęła. Usiadła znów na łóżku i nie mogła przemówić ani słowa.

Sznapsia usiadła obok niej i objęła ją wpół siostrzanym miłym ruchem.

— Co pani?... Widocznie ma pani jakieś zmartwienie.

— Nie... nie...

— Ale tak. Mnie pani nie oszuka. Kto, tak jak ja, tyle w życiu płakał, od razu wyczuje zmartwienie i innych.

Nastaje chwila milczenia.

Obie kobiety, siedzące przy sobie, tworzą prześliczny obrazek na złotych belkach ścian. Obie ubrane czarno, z masą włosów rozwianych dokoła twarzy, z przezroczystymi karczkami sukien, przez które przeziara różowe u Tuśki, blade u Sznapsi — ciało.

Słońce złotymi liśćmi ściele się im pod stopy, obute w jednakowe, szare buciki. Zdają się być siostrami, tylko pobladła twarz Tuśki ma w sobie wyraz zbuntowanej rozpacz, a pobladła twarz Sznapsi nosi na sobie jakby piętno wielkiej, zrezygnowanej melancholii.

— Czy nic dla pani nie mogę? — pyta cicho, cichutko Sznapsia.

Spazmatyczny płacz Tuśki jest całą odpowiedzią.

Sznapsia powoli tuli Tuśkę do siebie i mówi potrząsając głową:

— I po co on to zrobił? Czy nie mógł pani zostawić w spokoju?

Tuśka nawet nie przeczy, tylko wśród łez odrzuca:

— Nie, nie, ja jestem mimo to mu bardzo wdzięczna.

— Ach!... jest za co! Ja wiedziałam, że z tego nie wyniknie nic dobrego. Pani to weźmie na serio i naturalnie, będzie cierpiała.

Tuśce się zdaje, że ktoś przeszywa serce rozpalonym żelazem.

— Dlaczego pani myśli, że on tego nie bierze na serio?

Smutny uśmiech przesuwają się po twarzy aktorki.

— Bo go znam. Ale mniejsza o to. Chodzi tu o panią. Najlepiej byłoby, gdyby natchmiast wyjechał...

— Tak, ja go o to sama prosiłam. Niech wyjedzie na ten czas, dopóki mąż jest tutaj.

— Nie, ja to inaczej rozumiem. Niech wyjedzie zupełnie i rozstanie się z panią.

W jednej chwili Tuśka odsuwa się od Sznapsi. Łzy osychają jej z oczu. Jak się to stać mogło, że ona z taką szaloną szczerością pozwoliła się wciągnąć w tę rozmowę! I teraz ta Sznapsia wymówiła to straszne, grozą przejmujące słowo.

— Nie... — mówi twardo Tuśka — ani Porzycki, ani ja do rozstania się nie dążymy. Tylko sytuacja staje się niemożliwą, więc...

— Czy mąż się domyśla?

Tuśka z pewnym rodzajem wyższości spogląda na Sznapsię.

— Nie — mówi — mąż nic nie wie, ale moja prawość wie, i ta cierpi.

Sznapsia założyła ręce na kolana i swymi głębokimi, mądrymi oczyma patrzy na Tuškę.

Ta *prawość*, którą Tuśka dość niefortunnie rzuciła, nie imponuje jej wcale. Widzi, że Tuśka, całe życie skrywając myśli i prawdę, teraz chce wejść nagle na ścieżkę szczerości i nie umie iść po niej, nadużywając szumnych słów i frazesów. Lecz Sznapsia widzi także, iż Tuśka ma *grunt* dobry, bo nie potrafi być „żabusią”, nie potrafi lawirować między mężem a kochankiem, ze słodkim uśmiechem wypełniającej swoje obowiązki uczciwej kobiety. Czuje w niej tragiczne rwanie się do rozjaśnienia sytuacji. Myśli chwilę, a potem nagle, brutalnie rzuca:

— To rozstań się pani z mężem!

Jakby piorunem rażona siedzi chwilę Tuśka i wreszcie opuszcza głowę i oczy wbija w ziemię. To, co wyrzekła przed chwilą Sznapsia, to jest to właśnie, co do niej wyje spazmatycznie, co krzyczy dławiącym głosem od chwili przyjazdu Żebrowskiego, a czego ona sformułować nie może.

— Rozstać się z mężem!

Padło to i pozostało zmartwiałym nagle potworem wśród tych ścian złocistych, z których płyną w upalny dzień balsamiczne wonie. Jakieś horyzonty pełne błękitu, niezmiernie równe, porośnięte jednolitą zielenią, przesuwają się przed oczyma Tuśki.

— Bo jedno z dwojga — mówi dalej Sznapsia — albo pani jesteś przywiązana do męża, więc nie możesz kochać Porzyckiego, albo pani kocha Porzyckiego, więc pożycie z mężem jest właśnie tym zabiciem w sobie prawości, o której pani mówiła... U nas w teatrze rzeczy te odbywają się prościej i szczerzej. Nie kocham cię — odchodzę... Pani ma talent, pani może wstąpić na scenę, wyrobi sobie niezależne stanowisko... Tylko...

Zawiesiła głos — wreszcie dodała po chwili:

— Tylko Pitę niech pani weźmie z sobą. Niech pani córki od siebie nie puszcza. Będzie pani miała w życiu takie chwile, że nic pani nie pozostanie, tylko pacierz i to... dziecko!

Mówiła to wszystko prosto, bez żadnej pozy, naturalnie, jakby sądziła, że właśnie ona znalazła najlepsze i najmożliwsze rozwiązanie całej sytuacji.

— I jeszcze jedno niech pani przyjmie ode mnie jako radę. Niech pani wszystkiego, całej wagi życiowej nie kładzie w miłości Porzyckiego... On jest bardzo, bardzo dobry człowiek, ale on jest... *on*. Trudno mi pani wytłumaczyć. Jeżeli pani jednak czuje, że on jest więcej wart niż mąż pani i da pani więcej szczęścia, niech pani postąpi jasno i otwarcie...

— Dziękuję pani. Wiem, co zrobić.

Tak mówi Tuśka, ale ani za godzinę, ani za dwie, ani nazajutrz rano nie wie, co zrobi.

Porzycki bezustannie śledzi i czyha na sposobność, aby ukraść jakąś przelotną pieśczętę, i zaczyna to wszystko schodzić do jakichś brzydkich, tajemnych gestów pomiędzy drzwiami, jakichś podawań sobie karteczek przy uścisku rąk, jakichś rzucanych całusów jakby do pokojówki lub panny służącej.

A tymczasem w Tuśce nurtują, jakby prądy nagle rozpetanej rzeki, słowa rzucone przez Sznapsię. Zaczyna kombinować, ważyć swe siły, zaczyna widzieć się niezależną i panią swej osoby. To są marzenia jeszcze nieuchwytnie, które otaczają ją martwym kołem, gdy wreszcie wszyscy w sadybie do snu się ułożą, gdy rozlegnie się miarowe, ciche chrapanie Żebrowskiego, znużonego włączeniem się dzień cały po Zakopanem i wchłanianiem w siebie ostrego, niemal okrutnego powietrza.

Kilkakrotnie dyskusja z mężem, którą Tuśka umyślnie zaostrzała tonem pogardy dla wszystkiego, co trąci „filistrem”, wytworzyła dziwnie sztuczną atmosferę, podwajając tę sztuczność, która była dotąd podstawą ich życia. Gdy Żebrowski wyraził raz ostrożne swe zdziwienie nad zmianą, jaka zaszła w Tuśce, mówiąc: „Ja ciebie nie poznaję”, ona odrzuciła mu sarkastycznym tonem:

— Wierzę, ale ja siebie dopiero teraz poznaję i to mi wystarczy!

Rzucała teraz frazesy o samotnych kobietach, o tych, które mają odwagę, o takich, które artyzmem uświęca.

Żebrowski wruszał ramionami.

— To wszystko są niemodne już facecje! — mówił, czesząc grzebieniem Tuśki kudły swego serdaka.

— To nie przebrzmi nigdy! — oponowała Tuśka.

Strzegła się jednak tych szablonów wobec Porzyckiego.

Gdy aktor był z nimi, przybierała zwykle bardzo smutną i melancholijną pozę. Mówiła mało, a gdy się odezwała, to po to jedynie, aby wyciągnąć na jaw filisterskie usposobienie swojego męża. Uśmiechała się wtedy ironicznie i patrzyła w niebo, które było coraz piękniejsze, coraz bardziej szafirowe, rozwieszone jakby na szczytach, srebrzących się śniegiem.

Wreszcie jednego wieczoru musiała przejść nader przykrą scenę zimnej czułości, do jakiej Żebrowski czuł się niejako obowiązany. Z brutalnością i zdenerwowaniem najwyższym usunęła się od wyciągniętych objęć męża, który stał przed nią głupio uśmiechnięty i uprzejmy, pełen najlepszych chęci.

— Tego tylko brakowało!... — syknęła przez konwulsyjnie zaciśnięte zęby.

I właśnie była to pełnia, taka srebrna, cudowna pełnia. Tuśka przypomniawszy sobie przed chwilą, jak Porzycki całował jej palce, siedząc przy oknie, jak był cały srebrnym światłem obłany i wszystko w tym srebrze tonęło: góry, smreki, jej i jego dusza.

I Tuśka wie, że on jest tam, przed chatą, że siedzi na progu i ma na oczach jakby dwa czarne motyle. Tu słysząc, jak gwizdże cichutko kanconę, jakby nią pragnął wywabić Tuśkę do siebie. A ona nie wyjdzie, bo wie, że w ślad za nią pójdzie Żebrowski w swoim nieodłącznym serdaku i że to zepsuje jej wspomnienie srebrnych nocy i wcieli je w ohydny korowód dni bez nazwy, dni, w których *trójkąt* małżeński fatalnym, mistycznym znakiem zaczyna zaciemniać wszystko, co jest piękne, co dobre, co łagodne w mądrości życiowej.

To, co się stało tego pięknego wieczoru, co zaszło pomiędzy nią a mężem, dopełniło miary. Jak pantera spętana, Tuśka leżała całą noc na łóżku, dławiąc się rozpaczliwą wściekłością i wstydem. Przy herbacie, na którą przyszedł i Porzycki, przeszła kilka przykrych momentów, a teraz zdało się jej, że przenieść nic więcej nie będzie w stanie.

— Niech się dzieje, co chce... muszę się z nim zobaczyć, muszę, niech raz wiem, co ze mną będzie.

Srebrne smugi, jakby roztopił kto diamenty, wypełniły całą izbę. Coś się czało w kątach, coś straszego, jakaś siła jak chęć destrukcyjna. Coś w tym delikatnym srebrze walić się miało w gruzy, coś wisiało na włosku, nad przepaścią, coś bardzo źle spojonego, które się trzymało lata całe i miało się trzymać do śmierci.

— Nie mogę dłużej... nie mogę... — myślała Tuśka gryząc koronki poszewki. — Jeśli się powtórzy jeszcze to, co było przed chwilą, co ja pocznę? Nie przeżyję...

Nikt nie spał w tych izbach. Ani Żebrowski, któremu gest przerażony Tuśki i to jej „tego jeszcze brakowało” silnie utkwilo w myśli, ani Pita, która instynktem czuła, że się coś wali, coś pęka, jakaś nić, na której drży jej serce, jej dusza, jej życie.

Wszyscy leżeli cicho, nieruchomie, patrząc szeroko otwartymi źrenicami na srebrne światło, rozlane całym przebogatym morzem w przestrzeni.

A przed chałupą, na progu, siedział ten jeden człowiek, który zdawał się dzierżyć w swych dłoniach przeznaczenie tych trojga, siedział, mając czarne motyle na oczach, kalinne usta i pieściwie, cicho kanconę miłosną gwizdał.

*

Gdy Żebrowski z Pitą wsiedli na furkę i wyjechali, pomimo chłodnego i chmurnego dnia, do Strążysk, Tuśka szybko wyszła do sieni i zastukała do drzwi Porzyckiego.

— Chciałabym z panem pomówić! — wyrzekła gorączkowo — proszę... przyjdź pan do nas.

Spojrzał na nią uważnie. Błada była, usta miała spalone. Przestraszył się, miał ochotę odmówić, ale lękał się jakiej sceny z jej strony.

— Zaraz przyjdę! — wyrzekł i drzwi zamknął.

Tuśka powróciła do siebie i pozamykała okna. Nie była pewną swych nerwów, lękała się, czy przy stanowczej rozmowie nie wybuchnie z niej ten spazmatyczny krzyk, który ją

dławił tak strasznie, i nie przedostanie się na zewnątrz tych izb, w których snuje się tak strasznie tragedia jej serca.

Zamknawszy okna Tuśka usiadła przy stole jak martwa, ze wzrokiem wlepionym we drzwi, jakby przez nie wejść miało przeznaczenie.

Ciche kroki w sieni, pociśnięcie klamki i oto przed nią stoi ten człowiek, tak dla niej obcy, a tak jej bliski. W tej chwili nie wie jednak, co właściwie przeważa, czy ta obecność, która ją wtrąca w podziw nad tym, co się dzieć będzie, czy ta jego bliskość, którą ona czuje w każdym swym nerwie, w każdym oddechu, w każdej mgławicowej chwili istnienia.

On patrzy na nią z jakimś przestachem.

Nigdy nie widział kobiety tak bladej i tak zdeterminowanej. Czuje od niej bijącą siłę rozpaczliwą i przeszywa go dreszcz. Nie wie sam, dokąd dojdą.

Chwilę milczą oboje, oddychając tak lekko, jakby lękali się dać sobie wzajemnie znać, że żyją i że w tym życiu potracą się wzajemnie duchowo z taką siłą, iż jęczeć będą i drzeć ciężko w umęczenu; i może iść będą dalej całą „Kalwarię”, skuci, spętani losem i musem przeogromnym rozigranych nerwów i połączeń serdecznych.

Dzień chmurny, szary, beznadziejny owija ich szarością swoją. O szyby bije lekko wiatr i drży, i płacze, a smreki szumią pogrzebnie, szumią cementarnie.

Wreszcie kobieta pierwsza przerywa milczenie. Głos jej jest zmieniony. Poglębił się. Drży jak harfa rozpięta pod rękami zbuntowanego anioła.

— Co z nami będzie? — pyta prosto i oczy jej, te oczy porcelanowej lalki, po raz pierwszy w życiu patrzą z całą straszną szczerością w twarz mężczyzny.

Porzycki chwilę szuka ubocznej ścieżki, chce powiedzieć jakiś żart, ale nie jest w stanie zwlec się w labirynt kłamstw i wybiegów.

— Dziwi to pana, że mówię tak szczerze? — ciągnie Tuśka gorączkując się w miarę słów — ale to już pana wina.

— ? —

— Tak! Pan tak bardzo pracował nad tym, ażebym była *szczerą*, iż dziś stoję przed panem bez udawania, bez żadnej skrytości i pytam: co dalej z nami będzie? Ja... dłużej tego znieść nie mogę.

Porzycki czuje, że coś powinien mówić, *zaznaczyć* także swoją sytuację jasno i otwarcie, lecz jakiś lęk go chwyta. Patrzy na Tuśkę, błądzi wzrokiem po pokoju, wreszcie chwyta krzesło i mimo woli teatralnym ruchem siada po drugiej stronie stołu.

— Słucham. Co mi pani ma do powiedzenia?

Tuśkę przebiegają dreszcze. Widzi, że ten człowiek stoi na rozstaju, że on jej nie dopomoże w niczym, że w tej chwili musi być *szczerą sama*. Postanawia jednak brnąć do końca.

— To wszystko, co się stało... — mówi spuszczać oczy, podczas gdy silne rumieńce występują na jej twarzy — może inna kobieta lekceważyłaby i przeszła nad tym do porządku dziennego... Ja zaś mam inne usposobienie... ja jestem nowicjuszka w takich sprawach... ja...

Zatrzymała się, szukała zdań, frazesów prostych, a mimo woli nasuwały się jej jakieś zdania literackie, wyokraglone. Odrzuciła je precz i kryjąc twarz w dłonie, wyszeptala:

— Ja kocham i... bardzo cierpię.

Dwoje rąk łagodnych, miłych usuwało jej ręce od twarzy. Porzycki pochylił się ku niej przez stół i patrzył na nią z wielką miłością.

— No... no... tylko nie płakać...

— Jakże? — podjęła gorączkowo — jakże mi nie płakać? Toć sytuacja nie do zniesienia między... nim — pomiędzy tobą. Sam mnie oduczałeś kłamstw, braku szczerości, a w tej chwili muszę kłamać, kłamać. Przecież to straszne. I tak ma być całe życie... całe dalsze życie — przecież to niemożliwe! Ja będę cię kochała całe życie i całe życie będę kłamała?... Ja tego nie chcę, nie chcę!...

Spazmatyczny krzyk prawie wydarł się z jej gardła.

— Cicho!... uspokój się! błagam cię! — szeptał Porzycki.

— Nie mogę! nie mogę! dławię się, dręcę dniami i nocami. Nie mogę patrzeć na was obu razem, nie mogę znieść jego obecności...

Wyciągnęła ręce na stole, głową biła o kant, łzy jej gradem po twarzy płynęły, była straszna i tragiczna w tej rozpacz swojej.

Porzycki zerwał się i zaczął chodzić po pokoju, trąc nerwowo czoło.

Ta „sezonowa miłość” przybierała fatalne barwy. To już zakrawało na coś bardzo głę-
bokiego, nie na zwykłą zakopiańską miłośćkę. Ani na chwilę jednak nie powstała w umyśle
Porzyckiego chęć wycofania się z tej afery. *Akrobatą* nigdy nie był, zdawał się na los, który
mu sprzyjał. Przy tym czuł prawdziwy sentyment do Tuśki, a właśnie to, iż miłość ich nie
wymówiła jeszcze ostatniego słowa, czyniła mu tę kobietę droższą i bardziej pożądaną
godną.

Przy tym miał do niej przywiązanie, jakie ma mistrz dla swojego dzieła. Poznał ją nie-
szczerą, obłudną, skrytą lalką, a teraz sama przecież przyznaje, iż rozbudził w niej poczucie
szczerości, uczucia i natchnął wstrętem do maski, z jaką dawniej chodziła.

Żadna z kobiet nie dała mu takiej wysokiej moralnej satysfakcji. Był jej za to tak
wdzięczny, jak był jej wdzięczny za tę miłość, do której się tak przyznawała otwarcie.

Z tym wszystkim jednak nie widział wyjścia z tej całej sytuacji. Lękał się pocieszać
Tuśkę tym, że mąż jej niezadługo wyjedzie. Wobec wielkiej jej rozpacz sam rozumiał, że
ten argument jest żaden i może tylko przyczynić się do wzmożenia jej bólu.

Zatrzymał się więc przed nią i szczerze zmartwiony wyrzekł:

— Co począć? co począć?...

I nagle padło to wielkie, szeleszczące całym ogromem następstw słowo:

— *Ja rozstanę się z mężem!*...

To było coś niewypowiedzianego, coś ogłuszającego, coś, co padło wśród nich jak
nagle zabity ptak, który przed chwilą jeszcze wolno szybował w przestrzeni.

Łzy na twarzy kobiety oschły i patrzała w twarz kochanka szeroko rozwartymi, jakby
przestrachem zdjętymi oczyma.

I on utonął tak samo w jej oczach, i lęk ten w siebie brał przez swe źrenice do serca,
do duszy, i martwił jej martwością, jej strachem...

Z kątów to, co czaiło się dnie i noce całe, to, co wołało „grzech! grzech!” wypełzło
nagle i przyległo im do stóp, owinięło ich jak wstęgą krwawą i palącą.

— Grzech! grzech!...

Po szybach wiatr dzwonił na zachód słońca, co się z trudem przez chmury przebijać
zaczęło.

Błysnęło kilka promieni, zapaliły się szyby, strzałą padło to światło na czoło Tuśki
jakby stygmat średniowiecznego „A”, którym wiarołomne żony piętnowano.

Padło — i zgasło.

On ocknął się pierwszy.

— Tego nie można robić bez zastanowienia — wyrzekł.

— Już się zastanowiłam — odparła, a głos jej dźwięczał ostro. — Piętę wezmę ze sobą.
Córka do mnie należy. Chłopcy niech idą z nim. Marmurki takie jak on!...

Ze wzdargą wysunęła wargę. Porzycki z przestachem posłyszał te słowa. To on! to
on! to jego niebacznie rzucone wyrazy!

— A potem będę pracowała.

— ?...

— Tak, będę pracowała. Wstąpię do teatru!...

Porzycki aż drgnął.

— To niemożliwe!

— Mam talent.

— To jeszcze pytanie.

— Sam pan mówiłeś!

— Szaleństwo! To było amatorskie granie. Na scenie to zupełnie co innego.

— Wyrobię się.

— A ja raz jeszcze powtarzam, że to niemożliwe.

Nie chciała go drażnić. Udała, że ustępuje. Instynkt jednak kazał jej uprzedzić go, że
będzie miała jakieś środki do życia, że nie będzie mu ciężarem.

— Zresztą ja mam posag! — rzuciła.

Porzycki spojrział na nią uważnie, chmurząc się. Zdawało mu się, że chce go tym „posagiem” pociągnąć ku sobie.

Uczuł się dotkniętym.

— Dlaczego mi to pani mówi?

— Dlatego, że chcę wyjaśnić sytuację! Nie będę nikomu ciężarem i ostatecznie mogę się bez sceny obejść...

Kłamała postanawiając, bądź co bądź, wstąpić na scenę, aby znaleźć się bliżej niego i rzeczywiście zarabiać na życie.

— Później, gdy się to już stanie, powiem mu prawdę — myślała. — A zresztą, jeżeli mi się na scenie nie powiedzie, pójdę do sklepu, gdziekolwiek, byle tylko odzyskać wolność.

— Jeżeli mówię o posagu — podjęła znowu — to dlatego, ażeby dać dowód, iż nie mam znów tak dalece wszystkiego do zawdzięczenia (zawahała się)... temu panu.

Instykt ostrzegał ją również, aby zrzuciła podejrzenie niewdzięczności, jakie na nią paść mogło.

— Dałam mu najpiękniejsze lata mego życia — zaczęła znowu — zmartwiałam przy nim, zapomniałam, że i ja mam prawo do czegoś na świecie. Egoizm jego rozpostarł się jak nietoperz!... Wszystko ściągnął ku sobie!... Ja byłam niczym!... Moralnie i materialnie wieczna udręka. A potem to najgorsze... to prawo, jakie mu nadaje tytuł męża. Ja chyba zasługuję na coś innego.

Wyprostowała się dumnie, bardzo ładna rzeczywiście w podnieceniu swoim. Z fałdów białego szlafroka wysuwał się jej śliczny, różowy kark, ozłocony linią włosów.

Bogactwo jej pełnego ciała przebijało się przez lekką, białą tkaninę, przeświecając gdzieś tam bladoróżowymi tonami. Porzyckiemu mimo woli przyszła na myśl kościana figurka męża.

— Zasługuję na co innego!

Tak, bez wątpienia, fizycznie rzecz biorąc, ci ludzie byli więcej niż niedobrani. Dlaczego to śliczne i ogólne podziwienie budzące ciało kobiety miało być wydane na pastwę temu brzydkiemu, zeszlęmu człowiekowi?

— I ciągle niezrozumienie moich pragnień, moich dążeń... co powiem — wydrwione, wyszydzone. Często tak przykre słowa...

— ?...

— Tak, tak! Nie wszystko złoto, co się świeci.

— Dawniej wszakże mówiła pani, że między wami panuje głównie wykwinna grzeczność, mróz, ale grzeczność przede wszystkim...

Lecz nic nie mogło wytrącić Tuśki z jej egzaltacji.

— Dawniej tak mówiłam — odparła gorączkowo — ale dziś poznałam pana lepiej. Jestem szczerą, nie kryję nic, mówię całą prawdę.

I jakby nagle wyczerpana dorzuciła:

— Zresztą, jak jest, to już mniejsza. To jedno wiem, że rozstanę się z nim!

Porzycki czuł, iż nie powinien ani namawiać jej, ani odradzać. Kobieta była egzaltowana do najwyższego stopnia i ta egzaltacja zaczynała mu się udzielać także. Czuł swoją winę. Czuł, iż nadto lekkomyślnie zbliżył się ku niej i szarpał póty lodowy powłokę, pod którą się kryła jej indywidualność, aż stopiła się w żarze jego słów i pocałunków. Następnie, ta miłość, tak gorąca z jej strony, otwierała całe horyzonty wielkich rozkoszy, a jego zmysłowo-uczuciowe usposobienie pragnęło posiąść niepodzielnie tę „damę z mondu”, idącą ku niemu na przepadłe i bez pamięci.

Pochylił się nad nią i objął ją ramieniem.

Nie obroniła się, podniosła ku niemu swe śliczne załzawione oczy i patrzyła mu prosto w twarz.

— Nie mogłabym już żyć bez ciebie! — wyrzekła cicho.

— Ja także nie umiałbym żyć bez ciebie! — powtórzył jak echo.

Oboje przenikali się wzajemnie ciepłem swych ciał, wonią swych włosów, magnetycznym prądem, płynącym z ich oczu.

— Weź mnie z sobą, pójdę wszędzie, gdzie zechcesz...

— Dobrze, dziecko, dobrze...

— I będziemy zawsze razem?

- Zawsze.
— Do śmierci?
— Do śmierci!...

Ustami przywarli do siebie. Gorące dreszcze przepełniły ich ciała. Tchu im zabrakło, tak długo byli ustami złączeni. Ona pierwsza, blada, osunęła się, powieki jej opadły i turkus oczu zakryły...

— Teraz zostaw mnie! — prosiła.

Odsunął się, lecz nie odchodził. Zdawało mu się, iż rola jego jest nikła wobec tego, co ona dla niego uczyni. Właściwą mu bystrością objął to wszystko, na co ona się naraża. Utrata stanowiska, pogarda ludzka, szarpanie jej czci, zejście do roli dwuznacznej kochanki aktora, następnie bolesne walki z mężem, pożegnanie z synami... To wszystko ciemną smugą przesunęło się przed jego oczyma.

Zaprzagnął i on coś poświęcić z siebie.

— Ja wszystko powiem twemu mężowi! — wyrzekł nagle — niech się sprawa wyjaśni. Tak będzie najlepiej.

Lecz ona porwała się z krzesła.

— Zakazuję ci!... Nie mów nic. Z tego może wyniknąć nieszczęście... Przysięgnij! Daj słowo honoru, że będziesz z nim tak samo jak do tej chwili, a nawet lepiej jeszcze.

— Dlaczego?

— Bo ja nie chcę, aby on się czegokolwiek domyślił... Ja nie chcę, aby mi przeszkodził, udaremnił to, co postanowiłam! Ja nie chcę.

Czepiała się jego rąk, patrzyła mu błagalnie w twarz. Łzy jej napływały do oczu. Ten widok odebrał mu siłę zupełnie.

— Dobrze, dobrze... daję ci słowo! — wyszeptał szukając jej ust... — Zrobię, co zechcesz... wszystko, co zechcesz...

W objęciach jego miała okrzyk tryumfu, odnalazła bowiem w tym powiedzeniu ową intonację jego „wszystko, co zechcesz.” tam wypowiedziane wśród modrzewiów pod Regłami.

— Kochany! kochany! — mówiła, tuląc się w rozwianiu swych złocistych włosów — zobaczysz, jak będę dobra dla ciebie.

Ściemniało się. Dopiero teraz spostrzegli, że ich otaczają cienie pochmurnego wieczoru i że lada chwila powróci „mąż”, który jeszcze nim jest, mimo wszystko.

— Już idź, idź!...

Odprowadziła go do progu i raz jeszcze porwał ją, przytulił silnie do piersi.

— Moja!... moja!...

Uśmiechnęła się słodko; wszystek przebyty ból znikł z jej duszy.

— Twoja!...

Wyszedł cicho, tak jak przyszedł, unosząc tym razem postanowienie rozbicia całej jednej rodziny...

Za nim wypełził szmer czających się po kątach gróz i rzeczy przestrasznych. Jak wstęga owinął mu się u stóp i za nim snuł się bez przerwy.

W piersiach łopotąło mu serce jak ptak przed grozą burzy.

Przechodził przez sień, gdy usłyszał u progu głosy Żebrowskiego i Pity.

Jak szalony poskoczył do swoich drzwi i otworzywszy je, w pokoju swoim się zamknął.

Wzrok jego padł na fotografię matki, zawieszoną nad łóżkiem.

Słodka jej twarz zdawała się powtarzać słowa przysłane niegdyś w liście:

— Choćby ze względu na Pitę...

Przejął go dreszcz.

— Na Pitę!...

Chłopcy mniejsza. Ale ona — Pita, ta śliczna, biała, anielska Pita!

— Skoro ją jednak zabierze — usprawiedliwiał się przed sobą — nie będzie pozbawiona matki, a to najglówniejsze.

Dziedzińcem właśnie szła Pita ku szopie, aby kazać gaździnie nastawić samowar. W granatowym zakieciku, zarzuconym na ramionka, szła wolno, poważnie, a twarzyczka jej bieląła wśród zmroku jakby wycięta z oplatka.

Przechodząc spotkała się ze wzrokiem Porzyckiego, który stał około okna i na dziecko posępnie patrzył.

Pita usta wyduła i odwróciła niechętnie głowę.

— Przeczucie!! — pomyślał Porzycki — przeczucie! To dziecko instynktownie mnie nienawidzi.

Odszedł od okna, usiadł koło łóżka w najciemniejszym kącie pokoju.

— Będę dla niej dobry — pomyślał — będę o nią dbał, będę starał się, aby odebrała doskonałą edukację... i będę się z nią obchodził tak, jakby była moim dzieckiem.

Coś tam w głębi mózgu odżyło mu nagle.

Wspomnienie Amy, wspomnienie jeszcze jednego dziecka, które chowało się na cudzym koszcie, wspomnienie jakiegoś syna, którego nie znał, a który umarł w kilka tygodni po urodzeniu na „wodę w głowie”, jak pisała matka, młoda, początkująca aktoreczka z prowincji.

Jego dzieci!

I ogarnął go wielki smutek i melancholia, którą zwykle uczuwamy, gdy w głębi mózgu zbudzi się wspomnienie tego, co już dawno sądziliśmy pogrzebane, martwe, w proch rozpadłe na zawsze.

Wiatr, który chmury nagnał, rozpędził je i na niebo wypłynął księżyc w aureoli jakiegoś jasnego błękitu, który kołem szerokim za tło mu służył.

Zebrowscy kończyli już herbatę. Tuśka, podniecona, prawie nieprzytomna, z wypiekami na twarzy, obsługiwała mężowi podając mu ciastka, cukier, mleko. Przez otwarte okno wpływało łagodne powietrze zakopiańskiego, wyjątkowego wieczoru. Wiatr nagle ustał i ledwo lekki podmuch kołysał płomieniem jedynej świecy stojącej na stole.

Zebrowski wbrew codziennemu swemu rozgadaniu, które go napadło z chwilą przyjazdu do Zakopanego, milczał, mając wyraz twarzy na pół stroskany, na pół poważny. Jadł jednak dużo, co Tuśkę denerwowało jeszcze więcej. Podała mu drugi talerzyk poziomek.

Chwilę zawahał się.

— Kupiłaś więc drugi garnuszek? — zapytał.

— Tak.

— Dużo zapłaciłaś?

— Dużo.

Westchnął.

— To lepiej nie jeść dzisiaj. Zostanie na jutro. Nie będzie trzeba kupować.

Zaczęła patrzeć na niego ironicznie, koncentrując w sobie całą nienawiść i wzdargę dla filisterskiej rachunkowości w tym spojrzeniu swych zbudzonych oczu.

— Zapominasz, że doktor kazał mi i Picie jeść dużo owoców. Ja mogę nie jeść, ale Pita...

Zebrowski się szczerze zmartwił.

— To już więcej jeść nie będę. Przepraszam was... proszę... jedzcie...

Tuśka odsunęła talerz.

— Dziękuję. Jedz, Pito!

— I ja dziękuję, proszę mamusi!

Obie postępowywały solidarnie, obie miały srodze dotknięty wyraz twarzy.

Zebrowski strapiiony nalegał:

— Ale proszę, jedzcie!...

Nie odpowiedziały mu nic. Siedziały milczące i patrzyły w płomień świecy.

Ciężkie milczenie zapadło, jedno z tych milczeń, w których dusze ludzkie grzęzną w trzęsawisku własnych smutnych lub grzesznych myśli.

Nagle od strony świeżo budowanej chałupy doleciał krzyk:

— A! idzi ty stąd, strzygoniu, bezdero, bo cię prasnę, to usprzekopyrtnies się ino raz i bandzie z tobą koniec!...

Był to głos Obidowskiej, straszny, groźny.

Tuśka podniosła się i podeszła do okna.

W świetle księżycy ujrzała, jak Obidowska stała na belkach leżących stosem obok dźwigającej się z ziemi chałupy i z ręką wyciągniętą jak drogowskaz tragiczny gnała precz sylwetkę kobiecą, szczupłą i wiotką, owianą góralską spódnicą i mającą na głowie rozwiązaną chustkę.

— Zebyk ty się tu nie zwłóczyła... — grzmiał głos Obidowskiej — dosyć tego latania za moim chłopem. Co ta beło, to beło z wami, ale tero Józek mój, a nie twój, ówiaro... pójdzi prek, bo prasnę, bo prasnę!...

Bokiem, cicho, po srebrnej steczce biegła Hanka, nagle wyganiana przez żonę, zdziwiona tym, że w gaździnie zbudziło się poczucie praw i że te prawa tak dobitnie były zaakcentowane.

Obidowska spod brwi ściągniętych, silna prawem, stała na kupie belek, ciemna jak miedziany posąg, tak ciemna, iż błękitny blask księżycy zdawał się być przez nią wchłaniany, jak czysty strumień, bijący w czarną powierzchnię Zmarzłego Stawku, tam w Tatrach daleko, gdzie białe skały dźwigają się jakby z toni wód ciemnych i tajemniczych.

Widocznie morderstwo, popełnione na owym starym gaździe przez młodego gacha jego żony, kazało być jej przezorną i nie dozwalać Hance zbyt się spoufalać i zachodzić do Józka.

Tuśka owinęła się szalem i wyszła przed chatę. Patrzy na Obidowską i zdaje się jej, że ta postać, jak ożywiona geniuszem Saszy Schneidera, olbrzymieje, rośnie w mlecznej przestrzeni.

Jej żyłaste ramię, wyciągnięte w górę, jej głowa o rozwianych, żalobnych włosach, wszystko to ma pozór archaniola zemsty, broniącego wrót swego duchowego i ziemskiego dobytku.

Tuśka posuwa się ku gaździnie.

— Dlaczego to gnacie stąd Hankę? — pyta.

Ramię groźne opada. Z ust góralki wybiega pomruk:

— Do Józka podłazi. Nie fce tego...

— Dawniej nic nie mówiliście.

— Drzewiej było inace. Tera nie fce, zeby mnie jesce zadźgali jak tego gazdę pod Rzętami. Jak się taka bezdera z chłopem spiknie, to mogom cłowieka na nic utłamsić.

Tuśka uśmiecha się ironicznie.

— Ja myślę — mówi powoli, a radość jej sprawia to wpychanie szpilek lęku w rozwianą strachem duszę aszantki — ja myślę, że skoro będziecie ich rozganiać, to właśnie oni wam co złego zrobią.

— !!!

— Tak, tak! już jak się dwoje ludzi pokocha, to nic na to nie pomoże...

— Ślubował me...

— Och!... czy on wiedział, co robi.

— Trzeźwy był...

— Wyście go upili obietnicami, że będzie bogacz, że mu będzie dobrze... to to samo, co pijaństwo. Dziś się wytrzeźwił i nie chce was.

Rzuciła jej prosto w twarz, jak gdyby rzuciła swemu mężowi: „Nie chcę cię!”

Obidowska ciężko z belek zsunęła się na ziemię.

— Niek tak nie gadajom! niek tak nie gadajom!... — rzekła gorączkowo, podsuwając się prawie pod twarz Tuśki.

— Bo co? bo co? — spytała Tuśka nie ustępując ani kroku.

Zmierzyły się oczami — uwięziona i wiążąca. Aż dyszały w tej chwili rozpiętą namiętnością swych dusz. Szło od nich rozpaczą i kobiecą siłą, która w gruzy wali, gdy chce zdobyć dla siebie niepodzielnie swój miłosny świat.

Srebro księżycy owiewało je rozkoszną mgłą.

W tej mgłę pławiły się ich oczy, z których szły prosto skry.

Pierwsza opamiętała się gaździna. Uległa, pokornie, oblesnie, uśmiechnęła się przemocą do gościa. Pod serdakiem zacisnęła pazury i wpiła je sobie w wyschlą pierś.

— Oni żartujom! — wyrzekła — Józek se w sadybie lubuje.

— Ale nie w was. A jak go będziecie na uwięzi trzymać i Hankę gnać, to jeszcze was zabije.

Obidowska powstała chwilkę w milczeniu, wreszcie chwyciła się za głowę, za ten czarny łeb, uparty i tragiczny, i bez słowa, kołysząc się jak pijana, odeszła.

Nie weszła jednak do szopy, tylko poszła w pole, gdzie kołysały się fale białych od księżycy zbóż.

Szła wolno, czarna, rosła, pomiędzy łanami, rzucając ostry cień na zalaną jasnością steczkę.

Wreszcie postać jej zaczęła szarzeć, jaśnieć, zacierał się cień, zacierała się ostrość kantów i góralka znikła we mgle, unosząc z sobą tragedię swego starego, biednego serca.

Przed chałupę na próg wyszli Żebrowscy i Pita. Wyszli oboje jakby wyciągnięci magnetycznie czarem nocy księżycowej. Tuśka po rozmowie z Porzyckim nabrała większej otuchy i wmawiała w siebie spokój i pewność siebie, które jednak daleko były od niej. Mając nadzieję, że będzie miała przed sobą cały szereg takich księżycowych nocy przy boku Porzyckiego, z brawurą zgodziła się na propozycje Żebrowskiego:

— Chodźmy przed dom!

Siedli rzędem na progu werandy: Pita, Żebrowski i Tuśka — siedzą, patrzą i milczą. Jasność księżycowa wydobywa na jaw piękność matki i córki, ich elegancję, szyk w uczesaniu i stroju, lecz zarazem, jakby dla kontrastu, jaskrawo, brutalnie podkreśla wszystkie zniszczenia i zmarszczki na zawiędłej przedwczesnie twarzy Żebrowskiego.

Coś tam w tej twarzy mający mgłą dziwną, oczy zmęczone, nawykłe do ślęczenia nad szeregami liter, wolno pelzają po srebrzystej przestrzeni i jakby lekliwie ku górom sięgają.

— To ładne! — mówi wreszcie Żebrowski — prawda?

Lecz ani Tuśka, ani Pita nie odpowiadają mu wcale.

Pita siedzi z twarzą małego sfinksa, w oczekiwaniu na przeznaczenie swoje.

Tuśka myśli, że to, co wydawało się jej najstraszniejsze, to jest rozstanie z mężem, już nadchodzi, nieuniknione, i zaczyna doznawać dziwnego lęku i trwogi. Coś w niej ścisła się spazmatycznie na tę myśl...

Coś, jakby serce...

Czyżby?

Z nadzwyczajną jasnością staje przed oczyma ich mieszkanie przy ulicy Wareckiej, meble w białych pokrowcach, fortepian z trudem nabyty, fikusy roztaczające ciepłarnianą, wilgotną atmosferę. I w kręgu lampy domowej oni wszyscy: dwaj chłopcy pochyleni nad zeszytami; Pita układająca swe zabawki; on czytający „Kuriera” i ona... ona...

Spoza węgła chaty wysuwa się Porzycki.

— Dobry wieczór państwu!

Chce ich minąć i iść dalej, lecz Żebrowski zatrzymuje go uprzejmie.

— Gdzież tak? gdzież? Prosimy do towarzystwa.

Porzycki waha się chwilę, wreszcie siada koło Tuśki.

— Papierosika!

— Dziękuję!

Porzycki bierze papierosa. W zamian podaje Żebrowskiemu swoje śliczne, srebrne pudełko z zapalkami.

— Proszę!

— Ślicznie panu dziękuję.

Tuśkę ta wymiana grzeczności razi i sprawia jej ból niewypowiedziany. To jest nic, to jest drobiazg, a dla niej to ma swoje znaczenie.

Przy tym fizycznie ją dręczy takie siedzenie pomiędzy nimi dwoma. To chłoscze jej nerwy taką męczarnią, iż przenieść jej nie jest w stanie.

— Chodźmy się przejść! — mówi wstając z progu.

— Doskonała myśl!... — cieszy się Żebrowski.

Tuśka idzie naprzód.

— Chodź, Pito! — mówi do córki.

Pozostawia obu mężczyzn razem. Nie rozumie, co się z nią dzieje. Gdy ich widzi jednego obok drugiego, zaczyna czuć do nich obu żal, jakąś pretensję.

Idzie z Pitą drogą starając się od nich odsunąć jak najwięcej.

Oni natychmiast zawiązują z sobą rozmowę.

Z początku Porzycki odpowiada monosylabami, ale grzeczność i uprzejmość Żebrowskiego nie zraża się tym wcale. Przeciwnie, mąż Tuśki jest dziś bardzo rozmowny i ciągle wypytuje Porzyckiego o jego wycieczki w góry i o to, „jak tam w tych górach jest”.

Porzycki, który z początku czuł się jakby związany łańcuchem wobec tego człowieka i ciągle jeszcze miał na pamięci to, co się niedługo stanie, powoli daje się unieść wspomnieniom, które w nim żyją z wielką siłą, wspomnieniom owych junackich, górskich, karkołomnych wypraw.

Zaczyna je opowiadać barwnie, zajmująco, Żebrowski aż przystaje i ręce rozkłada.

— No... no... to dopiero... to dopiero...

Porzycki patrzy już prosto w twarz Żebrowskiego i myśli, że ten mały, chudy człowieczek w najężonym serdaku jest z twarzy bardzo podobny do starego Chińczyka.

Ale zarazem myśli, że ten „Chińczyk” jest przecież bardzo sympatyczny i że on nie jest w stanie oprzeć się temu uczuciu sympatii...

Mimo woli wzrokiem ściga sylwetkę Tuśki, owiniętej fałdami białego szala. Idzie równo, ślicznie, raczej płynie, a obok niej w tym samym tempie idzie równo, ślicznie, a raczej płynie Pita, która idąc z matką, przybrała jej chód i postawę.

I Porzyckiemu jest miło, gdy myśli, że ta piękna kobieta kocha go. Przypominają mu się tryumfy sezonowe Tuśki i rad jest, że ta „piękność” będzie do niego należała.

To wszystko wytwarza w jego umyśle chaos dziwny i męczący. Zaczyna mu się zdawać, że idzie w jakimś śnie, że to, co jest, dzieje się nie naprawdę i że nie stanie się nigdy.

Pod jego przyciszonym głosem skrzeczy Żebrowski:

— Coś panu powiem... Ale mnie pan nie zdradzi.

— !!!

— Bo... to...

— No... no... śmiało...

— Mam do pana ogromną prośbę.

— Proszę, mów pan. Jestem na pana usługi.

— Chciałbym...

Żebrowski się waha, urywa, ogląda na swoją ciupagę, pakuje ją w usta, obrywa kłaki swego serdaka.

— Chciałbym i ja pójść choć trochę w góry!

Wykrztusił i czeka, co Porzycki na to powie.

Ten zaczyna się śmiać serdecznie.

— To idź pan... góry dla wszystkich otworem.

— Kiedy... ja... z przewodnikiem się boję.

— Co znowu!

— Ależ tak. Oni przyzwyczajeni do takich, którzy chodzą prędko i śmiało. Ja zaś, Boże mój!... Pan wie, co taki warszawiak, co z biura do domu i z domu do biura najwyżej... Przewodnik się do mnie nie zastosuje, powlecze mnie Bóg wie gdzie, a ja zlecę, więc...

— No, i cóż... więc...

— Więc myślałem, że... gdyby pan chciał...

— Iść z panem?

— Tak!

Biedne, zmęczone oczy patrzą błagalnie w twarz Porzyckiego. Smutne, zmęczone, a przecież tyle w nich nadziei radosnej, że ta wycieczka może przyjść do skutku.

Patrzą i czekają...

Biedne, urzędnicze oczy.

Porzycki utonął w nich swymi zdrowymi, żywymi źrenicami. Zrozumiał ich melancholię i nędzę i do prośby się przychyła.

— Ależ chętnie!

— Co? chciałby pan?... A, mój Boże!... jaki pan pocziwy.

— Zaprowadzę pana...

Porzycki się namyśla.

— Dokąd? dokąd?

— Do... Czarnego Stawu.

Żebrowski jest zachwycony.

— Czy to daleko?

— Nie.

— A niebezpiecznie?

— Ależ cóż znowu, dzieci tam chodzą. Niech się pan nie boi... ze mną się nic złego panu nie stanie.

Żebrowski rad chichoce cicho.

— Ja wiem! wiem! Pan jest silny, zdrowy, dzielny. Doskonałą miałem ideę udając się do pana. A kiedy pójdziemy? Może jutro... Bo ja zaledwie parę dni mogę zabawić.

— Niech będzie jutro.

Umilkli, bo Tuśka i Pita, zawróciwszy, zbliżyły się ku nim.

— Wracamy do domu — rzekła Tuśka przechodząc. — Zimno i głowa mnie boli.

Oczy jej utonęły w oczach Porzyckiego. Przelotnie przypomnieli sobie tym spojrzeniem niedawne pocałunki i postanowienia.

Kobiety poszły znów naprzód. Żebrowski, uczepiwszy się serdaka Porzyckiego, powstrzymywał go.

— A... co mam z sobą zabrać? — zapytał.

— Nic.

— Serdak przecież wezmę.

— No, tak.

— I ciupagę.

— Tak.

— Wezmę płaską buteleczkę koniaku i szynki. Już sobie wszystko na wypadek przygotowałem i schowałem w sieni. Bo przed moją żoną — sza!... Zacznie mi odradzać, wyśmiewać. Zamknę drzwi do swego pokoju pod pretekstem, iż nie chcę jej rano budzić, a skoro świt, przez werandę wymknę się do pana. Dobrze?

— Doskonale.

— Zostawię jej kartkę i oddam przez sąsiadkę, że plan wycieczki powstał rano i że nie chciałem jej budzić... Dobrze obmyśliłem?

— Wybornie. Z pana Makiawel!

Śmiać się zaczęli obaj. Tuśka się obejrzała. Umilkli, jakby złapani na gorącym uczynku.

— Więc jutro?

— Jutro.

Szeptali jak związani tajemnicą.

Doszli do chałupy.

Gdy się rozstawali, mrugali do siebie tajemniczo i porozumiewawczo, a ręce ich ścisnęły się serdecznie i gorąco.

Ręce męża i kochanka.

Tak bywa.

A co najdziwniejsze, że był to prąd szczery, choć bezwiedny.

XXXV

— Idźmy jeszcze dalej. Ja czytałem, że jest jeszcze jakiś Zmarzły Stawek.

— Nie. Tu zostaniemy. I tak pan ledwo żyjesz.

Żebrowski wyjął swą biedną klatkę piersiową.

— To się panu tak zdaje. Ja bym dopiero teraz poszedł światami!

Ręką wskazał dokoła wspaniale, pełen energii. Lecz ręka mu opadła, osunęła się na głaz i przypadł twarzą do mchu.

— A co! a co... — roześmiał się Porzycki.

Żebrowski, nie wstając, pragnął się usprawiedliwić.

— To tylko chwilowe.

— Ładnie chwilowe.

— Napiję się koniaku i zaraz będę rzeświejszy.

Koniak wypity, płaska buteleczka z jednej kieszeni już pusta, ale sił jakoś Żebrowskiemu nie przybywa.

Przeciwnie, coraz więcej mu się jakoś w głowie mroczy.

— Wie pan... — mówi uśmiechając się nieśmiało — ja trochę pod tym krzakiem przysiadę; odetchnę i znów dalej.

— Przysiadaj pan, i owszem.

Żebrowski zbiera mech, urządza sobie siedzenie, wreszcie siada, wyciąga nogi, oddycha ciężko.

— A to, panie!... — szepce — a to, panie!...

Patrzy przed siebie, dziwi się, iż nie widzi wcale Giewontu i ani pod stopami nie ma przepaści, ani łańcucha szczytów nie widno, tak jak z dołu.

Są na jaśniejszym miejscu, na rodzaju polanki tonącej w morzu mchów puszystych, z których strzelają jodły splątane z limbami.

Opodal jarzębina płonie purpurą, rozkładając baldachim swych delikatnych liści.

Ot, las i las.

Żebrowski zamglone oczy podnosi na Porzyckiego, który usiadł opodal i papierosa pali.

— Proszę pana...

— ?

— Czemu tu gór nie widać?

— Dlatego, że w nich jesteśmy.

— Aha!

Mąż Tuśki zdawał się przez chwilę zbierać myśli i przeżuwać doznane wrażenia.

— A czemu nie szliśmy nad przepaściami?

Porzycki wesoło się roześmiał.

— Bo jesteśmy jeszcze bardzo nisko i o przepaściach nie ma mowy.

— Nisko? a mnie się zdawało, że my Bóg wie gdzie jesteśmy. Takeśmy się pięli w górę, skakali przez potoki... no... no...

— Przede wszystkim wyszliśmy późno.

— Proszę pana, cóż ja winien, że żona całą noc nie spała i skoro świt zbudziła się, chodziła po swej izbie, płakała czy coś...

— Płakała?

— Zdaje się. Może ją zęby bolały.

Umilkli obaj na chwilę. Widmo płaczącej Tuśki przemknęło się wśród jarzębin.

Porzyckiemu zrobiło się dziwnie nieprzyjemnie. Uczucie lekkości, które ogarnęło go, gdy wszedł w ten las pełen uroku i surowego piękna, znikło. Ciężar, który czuł od wczoraj, od owego postanowienia Tuśki rozejścia się z mężem, znów gniesć go zaczął.

Wstał i zaczął iść wśród gałęzi zwalonych na siebie. Mech szeleści mu czasem pod stopami. Gdzieś w oddali jakiś potok szumi, rwie się, huczy jakby pod ziemią.

Żebrowski płacząco woła:

— Gdzie pan idzie? Ja tu sam mam zostać? A jak pan gdzie zginie, co będzie?

— Nie idę nigdzie, ot... spaceruję — odpowiada Porzycki i znów zniecierpliwienie ogarnia go na tego niedołęgę siedzącego pod krzakiem, zdyszanego i pożółkłego ze zmęczenia.

— Do niczego! — myśli — Tuśka ma słuszność rzucając go... to nie jest mąż dla niej.

I z uporem powtarza sobie:

— Ma słuszność, ma słuszność...

Lecz nie patrzy w stronę Żebrowskiego. Ile razy bowiem sobie przypomni to, co jest, i to, co się stanie, umyka z oczyma. Tu w tej pustce, na tym odludziu, gdy został sam na sam z tym człowiekiem, jest chwilami bardzo siebie niepewny i doznaje dziwnego uczucia, z którego sobie nawet sprawy zdać nie umie. Zdaje mu się chwilami, że ten Żebrowski jest jakimś ciężarem, który uczepił mu się u nóg, oplątał rękoma o serce i wlecze się za nim bez jego woli i wlec się tak będzie życie całe.

— Niech pan zaśnie! — mówi chcąc się uwolnić od słuchania tego płaczącego głosu.

Żebrowski potrząsa głową junacko.

— Ja? spać? To pan mnie nie zna. Nie po to idzie się w góry, żeby się wyspać. Zaraz pójdziemy dalej... Tylko niech pan nie odchodzi.

— Czego się pan boi?

Żebrowski się namyśla. Widocznie wstydzi się powiedzieć. Wreszcie wydusza.

— No... są przecież niedźwiedzie, a potem zbójnicy!

Przerywa mu pogardliwy śmiech Porzyckiego.

Aktor śmieje się wzruszając ramionami.

— Niedźwiedzie? zbójnicy...

— Ano... tak pisze w *Na przełęczy* — hazarduje Żebrowski.

Lecz Porzycki na razie nie odpowiada. Myśli teraz, iż ten Żebrowski jest w górach kompletnym tumanem i kołtunem i że dobrze zrobił wywiódłszy go tutaj. Tam, w dolinie, przedstawiał mu się sympatyczniej, tu zaś, w kontakcie z dziką i rozwichrzoną przyrodą, był śmiesznym, tchórzliwym, nudnym karłem, przykrym i dla duszy, i dla wzroku.

— Bo, panie łaskawy — mówi dalej Żebrowski, śliniąc chustkę i wycierając nią poplamione rdzawym mchem ręce — bo, panie łaskawy, jakby taki niedźwiedź albo zbójnik nagle spoza tych głazów wypadł, to... co my poradzimy?... Na nic się nie zda ani nasza inteligencja, ani nasze stanowisko, ani nic. Taki nas nie uszanuje? co? hę?

Śmiał się, chichocąc jak małe chłopię.

— No... no... niech pan powie, czy nie mam racji?

— Niech pan będzie spokojny, już *ja* pana obronię.

— Pan? czym?...

— No — tym!

Porzycki wyjął z kieszeni kurtki rewolwer.

Żebrowski nagle spoważniał.

— Pan dobrze strzela?

— Naturalnie.

— Nie może być!

— Dlaczego nie może być?...

— No... bo pan aktor...

Porzyckiego te słowa rozdrażniły jeszcze silniej.

— No, więc cóż z tego? Czy aktor nie człowiek?

— Ach! nie to! — rzucił się Żebrowski — broń Boże... tylko...

Plątał się, chciał być grzeczny, ale widoczne było, iż nie mógł pogodzić w swych myślach aktorstwa ze sportami i dziwnie na Porzyckiego patrzył.

— A pan może poluje?

— Naturalnie.

— I pływa?

— Spodziewam się!

— No! no!...

Porzycki oglądał rewolwer i myślał:

— Coraz głupszy. Jego syn z pewnością tak by się nie zachował na wycieczce, jak on...

Żebrowski patrzył na świecąca w ręku aktora broń, wreszcie obejrzał się dokoła i wyrzekł jakby zalekniony:

— Lepiej niech pan rewolwer schowa.

— Dlaczego?

— Bo może pan nie ma pozwolenia na broń, a jeszcze kto nadejdzie...

Nie chciał się przyznać, że widok tej nabitej broni przejmował go niepokonanym, nerwowym strachem. Już od dziecka lękał się śmiercionośnych narzędzi i nigdy nie bawił się żołnierzami, tak jak inni malcy, raczej kuł po kątach lekcje lub czytał gazety, lubując się szczególnie ogłoszeniami.

Lecz Porzycki odgadł natychmiast, o co Żebrowskiemu chodziło. I zdenerwowaniu swemu zapragnął dać upust.

— Śmiej się radca z tego! — odparł — *Waffenpass* mam u siebie, w izbie, a tu jestem *lieber Baron* i mogę robić, co mi się podoba! Na to są góry! na to są Tatry!...

Podniósł w górę rewolwer i jakby na urągowisko strzelił.

Żebrowski zbladł, skurczył się, złamał, a echo po górach strzał roznosiło. W tysiącnych załamach huczał, powracał, znów grzmotem taczał się po złomach i z jakiejś rozpadliny wybuchał...

Porzyckiemu aż lżej się na nerwach zrobiło.

Zmierzył do purpurowego grona jarzębiny.

— Patrz pan... odetnę panu to grono.

— Nie... nie...

I znów huk, znów grom tacza się wśród skał dziko, szalenie, namiętnie.

Porzyckiemu nozdrza grają. Te strzały podsycają go. Jakiś ptak poderwał się i ulatuje spośród kosodrzewiny.

Znów strzał, ptak pada prawie u stóp Żebrowskiego.

— A teraz ten kamień!...

Wreszcie nabojów nie starczy. Wszystkie wystrzelone.

Porzyckiemu ten huk zagłuszył dziwne uczucie niesmaku, jaki go przejmuje, gdy przypomni sobie sytuację, w której się znajduje.

Nie patrzy na Żebrowskiego, lecz instynktownie widzi go, jak siedzi tam na mchu, blady, przerażony, sterroryzowany tym hukiem piekielnym, tymi strzałami, tymi kulami, świszczącymi w powietrzu.

— Dobrze mu tak... czego laź za mną... — powtarza do siebie, nabijając rewolwer.

— No... a teraz pan! — mówi podając broń mężowi Tuśki.

Czyni to urągowisko, bo wie naprzód, iż on odmówi.

Żebrowski cofa się pośpiesznie.

— Nie... nie... ja nie lubię tego rodzaju zabawy!

— Jak pan chce — mówi aktor chowając rewolwer do kurtki — a teraz chodźmy dalej.

Żebrowski wstaje z pośpiechem.

— Tak, chodźmy! To wolę.

Idą milcząc. Porzycki przodem, Żebrowski wlecze się za nim. Słońce ma się ku zachodowi.

Porzycki idąc rozmyśla, co mu uczynić należy. Wracać po nocy z tym człowiekiem, który zupełnie „chodzić” nie umie, który czepia się krzaków za byle wyjściem na głaz, który namyśla się nad każdym potokiem, a muskulów nie ma „żadnych” i nie jest w stanie utrzymać się ani na chwilę o własnej mocy, jest niepodobieństwem. Nocować znów z nim, przebyć jeszcze tyle godzin razem wtedy, gdy stał się tak nieznośnym, takim jakimś marnym, zdzieciniałym, to było po prostu nie do zniesienia.

— Poświęcę się jeszcze! — myślał — niech mnie diabli; dobrze mi tak, czego przystałem na tę wycieczkę... Wczoraj przecież był zupełnie inny, o wiele sympatyczniejszy.

I jakby reasumując głośno swoje myśli, nagle się odzywa:

— Dla pana góry nic niewarte, pan jesteś człowiek *dolski*.

— Jaki?

— No, *dolski*, z dolin, z równin.

— Ale... — śmieje się Żebrowski — co pan wie. Ja jestem bardzo górski, tylko dziś jestem jakiś zmęczony. Gdybym jednak tak często pochodził po górach, to... ho... ho... dziesięć razy bym pana przeskoczył.

— Może!

— Nie *może*, ale fakt. Pan coś tak jak moja żona. Nie macie do mnie zaufania. A ja wam powiadam, że wszystko zależy od przyzwyczajenia. Pan się przyzwyczał i dlatego pan tak dobrze po górach chodzi. I ja, gdybym się przyzwyczał... U nas, w biurze, jeden z moich kolegów dostał nowe biurko. Nie mógł się, panie łaskawy, do niego w żaden sposób przyzwycząić. Mówi: „To na nic... ja nie mogę i nie mogę...”. A przecież!...

Porzycki słucha. Głos Żebrowskiego cieknie za nim cienką strugą jak deszcz z rynny w smutną noc jesienną. Wieczorny, górski mrok, przykry, wysuwa się jakby z wnętrza gór i pelza wśród krzaków i drzew. Coraz większe zbałwanienie głazów wystercza dokoła.

Las zrzedł znacznie, poszycia ani śladu. Sterczą same rude sosny, przez które przecieka chwilami światło gasnącego słońca. Plamami tymi dąży Porzycki wlokąc za sobą Żebrowskiego. Sam nie wie, dokąd idzie, tak jest zdenerwowany i zły.

— A gdzie ten staw? — pyta wreszcie Żebrowski.

— Jaki staw?

— No... Czarny.

Porzycki ramionami wzrusza.

— E!... gdzie z panem iść można do Czarnego Stawu.

— Dlaczego? przecież ja idę.

— No, idzie pan, idzie!...

I znów milkną, i znów wloką się w górę pomiędzy sosnami... Nogi im się osuwają na śliskich igłach, tworzących dokoła podścielisko. Z daleka dolatuje dziki wrzask, obija się o skały i milknie.

Przed nimi ogromna, prawie gładka ściana skalna z fioletowymi rozpadlinami. Z tych rozpadlin zwieszają się, jakby cudem zawieszzone, olbrzymie płaty ciemnozielonego mchu. Robi to wrażenie, jakby król Tatr, idąc w górę, darł o skały swą aksamitną szatę i strzępy zostawiał z magnacką niedbałością. We mchu słońce rozpala jakieś dziwne, tęczowe iskierki. Skąd one się tam biorą, tego zrozumieć nie można.

Chwila jest przedwieczorna i pewien niepokój mimo ciszy szeleści jakby dokoła. Nawet głazy zdają się dyszeć resztką siły dziennej. I Porzyckiego ogarnia ten niepokój, i on ma w sobie jeszcze dużo tej siły, która w nim usnąć nie chce i nie może.

Na razie siłę tę przetwarza we wzgardę i nienawiść.

— Ach!... jak ja w tej chwili rozumiem — myśli — jak teraz pojmuję, że ona chce uciec od *niego*. Zaledwie jeden dzień spędziłem się z tym człowiekiem sam na sam, a ot! mam duszę i nerwy poszarpane na strzępy... A więc, w ten sposób, rozstaniem się z nim, ona ocala się od takiego poszarpania swej duszy. Dzieje się rzecz dobra... i prawidłowa, a ja, będąc niejako przyczyną tego faktu, mogę być w gruncie spokojny, a nawet, kto wie, może i dumny z tego, co się stanie...

Przyśpiesza kroku.

Za nim Żebrowski utyka, lezie na czworakach, oddycha ciężko, ciernie rozdarły mu rękaw i poraniły ręce. Nie śmie pytać, dokąd idą, jakiś instynkt ostrzega go, że nic sympatii, którą zawarł tam, „na dole” między sobą a Porzyckim, tu, w tym otoczeniu gór, rwie się i słabnie z jego winy.

Z melancholią jakąś wpatruje się w nogi Porzyckiego, migające przed nim uporczywie wśród mchów i głazów, nogi pewne siebie, silne, wiedzące, czego chcą na świecie i dokąd zmierzają.

Z głazu na głaz stąpają bez wahania, zgrabne, imponujące...

Żebrowski nędzny, zmęczony, jak zahipnotyzowany patrzy w tę parę nóg, odzianych w śliczne, wzorzyste, wełniane pończochy, i myśli:

— Żebym ja tak mógł!... mój Boże!...

A właściciel tych hipnotyzujących nóg myśli o tym nędznym człowieku, wlokącym się za nim:

— Czemu ja ciebie brałem, karakonie jeden... zaplugawiłeś mi wspomnienia gór...

Bo Porzycki przestaje *rozumieć*, on tylko *pogardza* i w ten sposób wchodzi w błędne koło, w którym rozdyma się wielkość naszej własnej duszy kosztem innej, mizernej i drobnej, oddającej nam bez protestu swoje nędzne i ubogie piękno dla przystrojenia się nim gwoździaby przed sobą samymi jeszcze wspanialszym światłem.

— Tak mi było dobrze w tych górach! — rozmyśla dalej Porzycki — takem je strzegł zazdrośnie od jakiegoś brzydkiego wspomnienia, takem się pasł myślą o nich potem, w zaduchu kulis i garderób, aż tu ten skrzekuń zachwaszcza mi je swoim gładzeniem i szkaradztwem... Dobrze mi tak, po com się unioś wspaniałomyślnością, po com go brał!... Dobrze mi tak za moje dobre serce!...

Przypomina sobie ślepie pocziwie go proszące w blasku księżycy.

— No i co?... no i co?... prosił, bo dureń myślał, że iść w góry, to dla takiego pokurcza biurowego, jak on! Szczęściem przynajmniej, że nie gada, a to nagdał się cały dzień bez przerwy... Wstrętny!...

Równa go z pięknem, które się tak zważyło na nich z przepychem i grozą. On wie, że on, Porzycki, nie traci nic w tej dzikości głazów i zwałonych drzew, że sam jest prosty, śmigły jak sosna, a świeży jak te górskie potoki, co mu pod stopami rwą się jak szalone, waląc o kamienie z furią i szałem.

Lecz... ten... tam, w swym zbyt dużym serdaku, śmieszna pchła okulawiała, chcąc skakać i padająca na słabe łapy...

I to wszystko w słońcu, wśród majestatu gór, w ich dzikim łonie...

I gdybyż mu to sprawiło jaką rzeczywistą przyjemność. Ale lezie, ot!... przez ciekawość. Ciągle staje, wciąga powietrze i mówi:

— A to, panie!...

Z początku Porzycki bawi się tym wszystkim. Tak jak niańka, gdy uczy chodzić małe dziecko. Potem, gdy Żebrowski zaczyna się stawać rozmowny, obserwuje go, jak aktor obserwuje zawsze i wszędzie „typy”, mogące mu się przydać w karierze scenicznej, wreszcie, gdy wchodzi w głąb, gdy dokoła nich ściele się tajemniczość i wielkie piękno barw, światło linii, gdy melancholia nieprzeniknionego i zda się, nigdy nie zbadanego piękna otaczać ich i wchłaniać w siebie zaczyna, rodzi się teraz w Porzyckim naprzód krytycyzm, a w ślad za nim wstręt i złość nieokreślona.

Żebrowski sypie anegdotkami biurowymi, opowiada je jęcząc, stękając i „wdechając powietrze...”

— Jeśli on i ją tak bawił przez czternaście lat, co dziwnego, że ucieka...

Wreszcie stanęli tuż pod skalną ścianą, która wspięła się przed nimi w górę i zabarykadowała im drogę.

Już wszystko umilkło w tej cichości wielkiej i bezgranicznej, która również dobywa się z tafli morskiej o przedwieczornej chwili, jak i z głębi porwanych rozpadlinami skał, z których samotne limby, szemrząc cichutko swą nocną litanie, strzelają.

Z wysiłkiem obejrzał się poza siebie Porzycki. Był on tam ciągle, ten szary, drobny cień człowieka! Porzycki spojrział na niego, gdy na czworakach piął się ku niemu, chwytając się lian i krzaków, które łamały się w jego kościstych palcach.

I w jednej chwili z całą brutalną jasnością przesunęło mu się przez myśl, że ten człowiek trzymał nieraz w objęciach Tuškę, że ten gad pełzający, brzydki, nędzny, trzykrotnie dał wspólnie z nią życie dziecku... że...

I ogarnął go wstręt nie tylko do niego, ale jakby i do niej, że ona mogła...

— Nie znała mnie wtedy — starał się banalnie uspokoić, dziwiąc się równocześnie, że go takie „dziecinady” tak obchodzą i wzburzają.

Wreszcie Żebrowski dopełzył do podnóża skały.

— Och!... jakże to wysokie! To pewnie Giewont?... co?

Lecz Porzycki mu nie odpowiadał. Nerwowo zaczął zrzucić z siebie worek alpejski, który miał przewieszony przez ramię, serdak i kurtkę.

Machinalnie naśladowując jego ruchy, czynił to samo Żebrowski.

— Co pan robi? po co się rozbiera? Zaziębi się pan — krzyknął Porzycki.

— A pan?

— Ja będę zbierał gałęzie.

— Po co?

— Na ogień!

Radość dziecinna błysnęła w oczach Żebrowskiego.

— Rozpalimy ogień?

— No, a jakże pan myślał? Musimy zrobić herbatę i trzymać ogień przez noc.

— Jak to? przez noc?

— Ano, do rana.

— To my będziemy tu nocowali?

— Naturalnie. Przecież po nocy z panem nie będę wracał do Zakopanego. Jeszcze pan gdzie zleci i będzie awantura. Niech pan siada spokojnie i czeka na herbatę.

Żebrowski zafrasował się setnie.

— A to, panie... a to, panie!... — powtarzał kręcąc głową.

— No, co? no, co?... — zapytał niecierpliwie Porzycki. — Chciałeś pan gór, masz pan góry. Trzeba brać je tak, jak są: nocą, dniem.

I dodał z nieopisaną ironią:

— Będzie pan miał co opowiadać kolegom w biurze...

Odszedł w bok i zaczął zbierać gałęzie. Żebrowski, czy pochwycił tę ironię, czy już był zrezygnowany, dość, że westchnął, wytarł nos, oczyścił liśćmi buty i wyrzekł:

— Niech już będzie... na pańską odpowiedzialność.

— O, przepraszam — szarpnął się Porzycki — jeśli niedźwiedź odgryzie panu rękę albo nogę, ja panu odszkodowania płacić nie będę.

Żebrowski zamilkł, patrząc chwilę z niepokojem na sunące dokoła cienie, wreszcie wyrzekł nieśmiało:

— Ja panu pomogę.

— Siedź pan!...

Ale Żebrowski zaczął także zbierać patyczki i znosić je na stos, układany zręcznie przez Porzyckiego. Robił to jak mały chłopiec, bawiący się w „ogień”. Kamizelkę miał rozdartą, przez to rozdarcie widać było stare szelki, powiązane pracowicie w nadzwyczajne węzły. Pod rękawem koszuli sterczały kościste, ściśnięte ramiona.

Zapadłe piersi, brzuch tworzyły całość na wskroś zjedzoną życiem i nędzą kieratowej pracy.

— A... czy się las od tego stosu nie zapali? — zapytał nagle, stając z patykami w rękę — bo to u nas, w Królestwie, to ciągle się lasy palą.

— Może... szczególnie, jeżeli się skała stopi... — odparł Porzycki.

Zawiesił saganek z wodą, której nabrał w płynącym ze skały potoku. Stos podpałił, buchnęły płomienie. Porzycki śpieszył się. Chciał, ażeby Żebrowski jak najprędzej zasnął i pozostawił go w spokoju. Noc minie i on uwolni się od tej zmory, którą sobie dobrowolnie przez dobroć serca na kark ściągnął.

Żebrowski przy ogniu przykucnął i przypatrywał się z niepokojem strzelającym w górę płomieniom.

— Strasznie duży ogień — zauważył.

— Będzie jeszcze większy — twardo odparł Porzycki.

— Nie... nie... niech pan da pokój!

— Więc co? Chce pan, żeby nas niedźwiedzie pożarzy?

Nic nie zdoła określić wyrazu twarzy Żebrowskiego, walczącego w tej chwili pomiędzy obawą pożaru lasów a napadu niedźwiedzi. Porzycki przymrużonymi oczyma wpatrywał się w tę twarz zwiędłą, pochyloną nad ogniem i oświetloną od spodu jaskrawo płomieniami.

— Kretyn! marmurek! — myślał.

A w ślad za tym:

— Ekstazy miłosne... noc poślubna... troje dzieci...

Uderzył ciupagą w ogień, iskry rozprysły się jak fajerwerk.

Żebrowski ręce załamał.

— Co pan robi?...

— Mszczę się.

— Za co? na kim?...

Porzycki wykrzywił usta z ironią.

— Za to, coś pan zrobił — na panu.

— !!!

— Tak, tak.

Herbata wypita z koniakiem, szynka zjedzona, bułki pogryzione i pożute, pudełko od sardynek puste, uczta w całej pełni. Co więcej, kiełbasa na patyku przypieczona nad ogniem, co już stanowi szczyt „tatarnictwa”.

Porzyckiego ogarnia teraz jakaś gorzka, ironiczna uprzejmość. Przesadza się w grzeczności dla Żebrowskiego. Podnieca się. Ironizuje wewnątrz po aktorsku.

No, no — dalej — pielęgnuj swego poprzednika, ty, czuły następco!...

Podaje herbatę, wyskrobuje ostatnią sardynkę.

— Proszę, posil się pan, i to, i to...

Podnieca go ten stan coraz więcej, bo rzecz dziwna, pomimo jakiejś wzdargy, którą czuje dla Tuśki za to, że należała do tego „kretyna”, pożąda jej z ogromną siłą. I ta jasna blondynka z różowym, ślicznym karkiem, z oczyma błękitnymi unosić się zaczyna w przestrzeni ciemnej, rozjaśnionej dziko płonącym ogniskiem, którego dym tańczy czarną chmurą na szarym tle skały.

Żebrowski, z początku zaskoczony tą nadzwyczajną uprzejmością Porzyckiego, powoli rozebrany ciepłem ogniska, wilgotnymi wyziewami, płynącymi od mchów i wykrotów, rozmarzony ciszą, przerywaną zaledwie szmerem szklanym sączącego się z rozpadlin

potoczka i trzaskiem płonących gałęzi, zaczyna się poddawać nie znanej mu rozkoszy „nocowania w górach”.

Zapalił papierosa, przysunął się do ognia, bo noc chłodna, i mówi zuchowato:

— Ja się wcale nie boję.

Mimo to ogląda się jeszcze na boki, czy tam czasem się co z cienia nie wyłoni.

Porzycki usiadł opodal, na wywróconym pniu, i myśli:

— Żeby zasnął... przestalby skrzeczeć!

Przy świetle tańczącym Żebrowski, skurczony, uśmiechnięty, wygląda na jakieś bardzo zmizerowane stworzenie, niepoczesne, zmarzłe.

— I to zabiera przecież miejsce na świecie — przebiega po umyśle Porzyckiego — i to rości sobie jeszcze prawo do *niej, do takiej niej...*

Nigdy Tuśka nie wydała się Porzyckiemu tak godną pożądania, jak w tej właśnie chwili.

— Będę ją miał dla siebie, dla siebie, dla siebie wyłącznie... — pociesza się. — Będzie moja, moja! To coś, co tam koło ognia skrzeczy, nie będzie mogło nasycać się jej pięknoscią i wdziękiem. I... nawet na nią nie pracuje, ot... czerpie z jej posagu i prawdopodobnie sam z jej majątku korzysta.

Tymczasem Żebrowski dopala papierosa i wpatruje się w cienie, które już zupełną czarnością zaległy dokoła. Noc jest chmurna, księżycy nie widać. Ciemno i cicho...

— Pan się dziwił, że ja się boję rewolweru — nagle odzywa się Żebrowski — co? prawda? pan się dziwił?

— Trochę.

— No, ale dlaczego?

— Sądzę, że każdy z nas, pochodzących z lepszego domu, wychowany starannie, jest oswojony z bronią, ze sportem... — mówił Porzycki, aby coś odpowiedzieć.

Żebrowski uśmiechnął się melancholijnie.

— Wychowany starannie!... — powtórzył jakimś dziwnym głosem.

Chwilę milczał, wreszcie spoza płomieni urywanymi zdaniami rzucać zaczął:

— Jak kto uważa staranne wychowanie... Tak... mnie także starannie chowali... Nauka... o... kucie... kucie... od rana do nocy... i w nocy... Pan wie?... w nocy... Ja nie miałem zdolności... trudno... coś było tępego we mnie. Ani weź czasem... Zadane lekcje... piętrzyły się jak te góry... Wąty byłam, słaby.

Głos jego nie skrzeczał. Nabrał jakiegoś płynniejszego dźwięku. Coś tam drgało. Zdało się, jakby chciało się przedostać gwałtownie na zewnątrz.

— Pan wie, co to uczyć się dziecku, gdy nie ma zdolności, a uczyć się musi? To jest straszne. W nocy klęcząc uczyłem się, aby nie zasnąć... miska z wodą stała obok... maczałem ręcznik, kładłem na chwilę na oczy i znów się uczyłem... To się nazywa kucie. W święto się uczyłem, idąc do szkoły na ulicy się uczyłem, jedząc się uczyłem... ciągle, ciągle...

Porzycki mimo woli słucha.

Bo to już nie ten skrzek filistra, to coś innego tam płynie z tej biednej, do ziemi przytulonej postaci.

— Należało przedstawić rodzicom, że panu ciężko; byłiby panem inaczej pokierowali.

Chwilka milczenia.

I potem znów głos Żebrowskiego.

— Tak... należało. Ale to było niepodobieństwem.

— Dlaczego?

— Rodzice moi byli bardzo srodzy. Kazali i tak być musiało. Mówiono, że jestem leniwy. Kułem ciągle. Gdzie mnie było o „sportach” myśleć... gdzie!...

Porzycki myśli o swojej matce, o tej łagodnej, milej, dobrej matce, która z taką umiejętnością ważyła zbyt ciężki bagaż szkolnej wiedzy dla jego mózgu i nie winiła go, gdy drugi rok w klasie pozostał.

— No... ale potem.

Żebrowski ramionami wzruszył.

— Co potem? Trzeba było zarabiać korepetycjami, wcześniej o kawałku chleba myśleć. A gdy się raz do biura dostało, to już... amen! — po wszystkim!

Mętnymi źrenicami w ogień spojrział.

— Taka była moja młodość! — wyrzekł jakby sam do siebie.

Zdawało się, że nagle otworzył się jakiś bardzo biedny i bardzo nędzny kwiat. Jeden z tych kwiatów, co to pozór mają zeschłych badyli, które wichur jesienny w błoto mogilne wtoczy.

Taki widoczny czar był nocy tej górskiej, ciszy tej wielkiej, wśród której dusza Tatr senna a dobroci pełna rozsnuwała się cała jakby mgła, jakby to najlepsze, co przenika w serce ludzkie i zastygłe łzy roztopia na dobroczynną rosę.

Przy złocie ogniska, wśród wilgotnego mchu leży ludzka istota sponiewierana losem, od dziecka w kierat beznadziejny wprzagnięta, z mózgiem przekrwionym, z piersią zapadłą od schylania się nad wieczną pracą. Kark ma jakby złamany od ciągłej chłosty, od tego ciągłego gnania, a może! a może!...

Męka lat dziecięcych, gdy drżało serce drobne pod mundurkiem w chwili oddawania w domu „cenzury”, a oczy zmęczone „sznurów” w ręce ojcowskiej szukały.

Zwykle postronki do wieszania bielizny złożone w kilka razy spadają na plecy, szyję, głowę... Mundurek ściągnięto, bo szkoda.

Ciała dziecka nie szkoda!

Mundurek pokryje sine pręgi!

To nic.

A potem życie, los, ludzie. Ciągłe ta chłosta, te sznury, co się wpijają teraz jeszcze gorzej, bo w serce, w duszę.

Zimny, chłodny „sposób obejścia się” i tę chłostę pokryje. Uśmiech, jak niegdyś mundurek, rozpostrze się na pręgach.

Nie znać... nic, nic.

I nagle przyjdzie noc, taka tatrzańska, cicha noc!

I zda się ta cała „młodość”, co już bezpowrotnie zeschła w kwiat mogilny, powoli z mgieł się wysuwa i zmartwychwstaje. Zmęczone urzędnicze ślepie wpatrują się w ciemność. Ktoś ty, ty biedne moje, zmęczone stworzenie, wlokące się z tornistrem na plecach o zimnym, szarym ranku jesiennym?

Ja to? — czy... *syn* mój?...

Który z nas?

Żebrowski smutno w ogień patrzy.

— I pan wie... — zaczyna znów — to jest najfatalniejsze, że moi synowie tak samo kują, tak samo po nocach słyszę ich monotonne głosy powtarzające lekcje, tak samo trawią swą młodość, jak ja strawiłem...

— Jeżeli pan czuje, że było źle, to należy...

— Co należy? co?... Majątku nie mamy, więc muszą przecież *wyjść na ludzi*. To trudno, do warsztatu ich nie oddam. A potem ulgi, pan rozumie.

— Tak, tak.

— Zdolności nie mają także. Po mnie.

— A więc — sznury?

— Niech Bóg bron! Przynajmniej to zniosłem. Dzieci moje prowadzę *ambicją*. Przemawiam do nich jak do dorosłych ludzi. Nad wiek się postarzały.

— Wiem o tym.

— Skąd?

— No... Pita.

— E!... to nic w porównaniu z chłopcami. Co pan chce, dzieci takich, jak my, ludzi nie mają nigdy owego „anielskiego” dzieciństwa. To już taki los ludzi pracy.

Porzycy mimo woli czuje się wciągnięty w to koło tych zwierzeń, które Żebrowski tak niespodziewanie przed nim roztacza. Z początku zachowuje się odpornie, patrzy na Żebrowskiego nieufnie, ironicznie, lecz powoli niknie „kochanek Tuśki”, a miejsce jego zajmuje człowiek rozumiejący, że największą ludzką tragedią jest takie zgodzenie się z okrucieństwem przeznaczenia, jakie ma przed sobą.

— Pan nie uwierzy — ciągnie dalej Żebrowski — jak mi nieraz tych dzieci żal. Ot... pojechały niby na wakacje. I tam... kują, kują bez przerwy. Muszą. Więc co im z tej wsi? co?... Przejdzie ich wiek najpiękniejszy, jak mnie przeszedł.

Umilkł na chwilę i dodał ze smutnym uśmiechem.

— Czy pan wie, że ta wycieczka dzisiejsza to dla mnie pierwsza, prawdziwie dobra chwila w życiu... Cały dzień wśród gór i teraz ta noc!... Bardzo jestem szczęśliwy... Nie zapomnę tego panu nigdy!

Porzycki powstał i odszedł trochę w bok. Ogarnął go straszny smutek i wstyd. Ten człowiek wdzięczny mu jest za to, że włókł go po górach bez żadnej względności, mając do niego taką straszną złość w duszy. I za to wdzięczny! I za tę okruszynę pozornej swobody, szerszego oddechu duszy, którą warunki życia skurczyły tak bezlitośnie.

I Porzycki doznał jakby wstępu do siebie za to, że tak myślowo poniewierał tym *czymś*, co rzeczywiście tak mało miejsca zabierało na świecie.

Lecz to było jeszcze tylko mgnienie oka, samoobrona z całą siłą wystąpiła w duszy Porzyckiego.

— Nie jestem winien jego losowi, a potem, dlaczego się to kołtunisko zapracowywa? Mógł się ograniczyć mniejszym, wszak Tuśka mówiła, że ma posag.

Spojrzał w stronę ogniska, zmusił się prawie. Lecz dawnej pogardy do Żebrowskiego nie czuł.

— Kołtun jest... kołtun typowy... arcykołtun... nic więcej — upierał się w myśli.

— Po diabła panu taka praca? — wyrzekł wreszcie. — Wy tam w Warszawie żyjecie nad stan, zapracowywacie się, a potem narzekacie na los.

Mówił twardo, ironicznie, ale zdawało mu się, że to ktoś inny mówił, bo już coś w nim mimo woli aż krzyczało:

— Litość miej...

Żebrowski zdumiony aż usiadł we mchach.

— Jakże nie pracować? Co pan mówi? A żona, a dzieci?... a długi? a raty?...

— No... przecież coś musicie mieć.

— My?

— No, tak.

— A... mamy. Długi!

Westchnął ciężko.

— Musiałeś pan coś przecież wziąć za żonę — badał go dalej Porzycki.

— Ja?... Nie, panie. Wziąłem ją, bom się w niej bardzo zakochał. Nie miała nic. Jak to mówią „w jednej koszuli...”

Nastała chwila milczenia.

Wreszcie odezwał się Porzycki:

— Więc to na pana karku byt całej rodziny?

— Tak.

I znów milczenie.

Nawet drzewo nie trzeszczy w ogniu, ptaki posnęły, strumień szmerze i sączy się ciszej.

Ogień trochę przygasa, zaledwie cząstkę ściany kamiennej widać, co jak sznur olbrzymiej świątyni ku niebu się dźwiga.

W tę ciszę z całą siłą milczącą a potężną uderzyło coś niepospolicie wielkiego swym skrzydłem.

To *coś*, wyrosłe ze stojącej wody poświęceń drobnych, strzeliło w górę jakby rękami złożonymi do cichej modlitwy. Całe szeregi dni monotonnych, szarych, dni katongi mężczyzny, który ma przed sobą i nad sobą to jedno:

Ożeniłeś się, więc pracuj na żonę i dzieci. Ciężkie roboty całego życia za jeden poryw młodości, za kilka pocałunków zdziwionej i często niechętnej młodej dziewczyny, za to ognisko domowe, przy którym coraz skąpiej pocałunków, aż wreszcie chłód, ciągle liczenie i trwoga, czy wystarczy...

Lub — czy pożyczę?...

Jak taczki przykute do nogi skazańca, wlecze się owa „rodzina” przez długich lat kilkanaście ze swymi wymaganiami, chorobami, potrzebami, pretensjami, kołyskami, trumnami, ze swymi cnotami i zbrodnią, ze swym pięknem i szpetotą.

On, taki Żebrowski, idzie przodem, idzie wpatrzony w jeden punkt.

Czy aby wystarczy?...

Czasem ukradkiem „śniadanko”, „wiścik” i znów praca, praca...

Horyzonty szerokie, myśli, co płomienieją, objawy uczucia, które biją hymnem prośby lub zemsty, całe dyszenie gorącego życia ludzkiego odpływa daleko w zaświaty jakieś mgliste, wobec tej pracy bezmyślnej, wobec tego ciągłego —

Czy wystarczy?...

To wszystko zdaje się nic, to są *zwykle* rzeczy. Koło nich się przechodzi jak koło słupów telegraficznych wzdłuż toru, koło latarni, wzdłuż chodnika. Tak być powinno. Ożenił się, więc niechaj ma na dzieci i żonę. Chciał „ciepła”, niech za to ciepłko płaci! Poświęcenie lat pierwszych zmienia się w katorgę lat następnych. W nocy układa się budżet. Nowe okrycie, wpisowe, premia w teatrze... Tak! tak! Płonie lampka domowa. Ach!... tran już wyszedł i żelazo najstarszej dziewczynki... I tak ciągle w koło. Lata całe. A potem... panna dorosła. Nikt wziąć nie chce. Posagu brak. I zwracają się nienawistne spojrzenia. Atmosfera dysze żalem i goryczą...

Ożenił się, niech ma na dzieci, zięcia, wnuki!...

*

O dziewiątej rano mija się słupy telegraficzne, latarnie, Żebrowskich w paltach zielonych, wytartych. Idą pod kamienicami ostrożnie, w kaloszach. Z parasoli deszcz jesienny ciecze im na plecy. Czasem śnieg w oczy sypie. Uśmiech przywarł do ust, grzeczny, oblesny.

Idąc liczą, kombinują, awans miga powiększeniem budżetu o kilkanaście rubli. Większa ilość węgla, masła, nowe zelówki. Mija się takiego pana i ma się uczucie, że poszedł ktoś, mający zapewniony *byt* i zapewniający byt.

A to przeszła jedna tragedia ludzka, to przeszła dusza, w obręcz ujęta, stłoczona, zmięta, spracowana i bez swej woli kołtunista.

Przeszła cicho, bez skargi, przeogromna w swej wielkiej, niezmierzonej cierpliwości i sile, potężniejsza od rozwichrzeń namiętnych, więcej może bohaterska od tych, co to krzycząc, z rozwianym pióropuszem na nieprzyjacioły lecą...

Bo tamto niesie konieczność wyładowania energii podniecenie graniczące z szałem, coś pięknego, coś co chcemy, aby stało się piękne. A to lezie, pełza i walczy, walczy ciągle z samym sobą, z pragnieniem bycia także kimś, ściągnięcia na chwilę z karku obroży.

I potrzeba jednej nocy, takiej nocy wśród głązów, mchów, limb, jarzębin... trzeba takiego ognia, co tańczy po ścianie skalnej purpurą hieroglifów, trzeba takiej ciemni, w której smreki modlą się ku niebu wonią słodką żywicy, aby się nagle otworzył zaschły kwiat duszy takich Żebrowskich i naiwnie, bez przygotowań, kilku zdaniem z ran serdecznych określił przeszłe swe życie, terażniejszość szarą...

A w tym, co on mówi, to nie treść słów brać trzeba, lecz to *niedopowiedziane*, co jest najboleśniej, to spojrzenie oczu czerwonych i mgłą zasnutych, to kurczowe wpicie się rąk w mech... to wszystko, co nie ma słów, a przecież jest najwymowniejsze.

Porzycki ma duszę zbyt wrażliwą, aby nie czuł właśnie tych *niedopowiedzianych* rzeczy.

Uczuciowa podstawa jego wychowania bierze w takiej chwili górę i przez sentyment zaczyna mu się przedstawiać to, co nagle nieproszone się przed nim zjawilo. I tym właśnie więcej go uderza i do uwagi zmusza, że pochodzi od indywidualności tak zamkniętej w sobie, jak Żebrowski. Chwilę zdaje się Porzyckiemu, że ta jakaś zazdrośnie i chorobliwie życiową potęgą zamknięta muszla otworzyła się i ukazała w sobie... perłę. Za chwilę zamknie się i będzie znów tą bezbarwną, nic nie znaczącą muszlą.

Lecz mimo to przecież perła istnieje.

I powstała z rany...

Tak, z rany.

Porzycki zbliża się do ognia, patrzy na Żebrowskiego, ale patrzy innymi oczyma.

— Kołtun? — myśli — może... ale ten kołtun ma swoją wzniosłość... Czy ja bym się potrafił? Czy ja mógłbym wlec się tak obarczony tą bandą dzieci, tą żoną, w zaparciu się swego *ja*, w oddaniu im swego życia, umysłu — wszystkiego?

Bada się z lotnością niezwykłą i czuje się niższym, słabszym od tego niepokąźnego człowieka, który po Tatrach chodzić nie umie, a przez życie z takim heroizmem stąpa.

— Tak, tak, panie — mówi nagle Żebrowski — pan jeszcze młody, pan wolny, nie rozumie pan naszych trosk. Skoro się pan ożeni, pozna pan, co to jest życie ciężkie w mieście... w przykrych warunkach...

Uśmiechnął się, twarz mu się rozjaśniła na chwilę.

— Bardzo byłem szczęśliwy, że mogłem, choć z trudem, Tuśkę i Pitę do Zakopanego wyprawić. Niech choć one użyją trochę powietrza i nabiorą sił... bo *coż?* w Warszawie — pan wie... miasto, kurz... złe warunki... bardzo jestem szczęśliwy.

I jakby się tłumaczył, dodał z żalem:

— Chętnie zostawiłbym je tutaj na parę miesięcy, ale...

Ręce rozłożył.

— Rada by dusza do raj... i to zrobiłem nad siły!

Porzycki milczał.

Żebrowski to milczenie inaczej sobie wytłumaczył.

— Ja pana nudzę?... *co?*...

— Nie, nie.

— Ot... nie wiem, skąd mi się na takie gadanie wzięło. Tuśka śmiałyby się ze mnie, gdyby to posłyszała. W ogóle nie należy na życie narzekać. Są jeszcze gorsze sytuacje. *Co?*...

— Zapewne!

— Ale są, są! U nas w biurze jest dużo moich kolegów w gorszych położeniach. Żona i dzieci może nieraz myślą, że ja czegoś dla nich *nie chcą* uczynić, a tymczasem ja *nie mogę*. Poza tym... gdy Bóg pozwoli... chłopcy wyjdą na ludzi... dla Pity może się jakiś mąż znaleźć... a ja z żoną cicho i skromnie dokończymy się do końca życia.

Głos Żebrowskiego stawał się coraz bardziej miękki, coraz więcej tego *niedopowiedzianego* pełen.

— Czekam na tę chwilę... przyznam się panu... z upragnieniem. To nam przypomni dobre czasy, gdy nas było tylko dwoje w domu... Jakoś było się bliżej, lepiej... Teraz... ciągnę troska o dzieci... Nie mamy czasu jakoś porozumieć się z sobą. Ale przyjdzie to, przyjdzie...

Spojrzał w stronę Porzyckiego.

— Co pan chce... ja tą myślą właściwie żyję... takim odpoczynkiem. Wszystko się wypełni... niby te obowiązki... rodzinę się miało, przeprowadziło uczciwie... będziemy mogli pozostać razem, we dwoje, spokojnie do końca życia... Bardzo będzie miło... Może się uda wywieźć Tuśkę za granicę, dać jej trochę rozrywek, komfortu... ona tak to lubi...

Tuśka!

Splywa lekko, cicho ponad przygasający ogień w aureoli swej modnej fryzury.

Zapachem ambry i białej róży, którą jej suknie są przesycone, zdaje się głuszyć słodką woń rozgrzanych smreków.

Jest jej pełno w myślach tych dwóch mężczyzn, tkwiących nieruchomo wśród głązów i mchów.

Tryumfalnie w wielkiej piękności swojej rozpościera się jej władzą nad wyobraźnią tych ludzi, z których jeden ma do niej prawo prawa — a drugi prawo miłości.

Tuśka!

Oczy Żebrowskiego kleją się, głowa cięży, opada na mech.

— Pan spać chce... — mówi do niego Porzycki. — Niech pan śpi... Ja będę czuwał.

— Ale *coż* znowu?... Ja także będę czuwał.

— No, no... dobrze!...

Żebrowski próbuje walczyć ze znużeniem. Nie jest w stanie. Rękę pod głowę podsuwa i powoli układa się wśród mchu jak w łóżku.

Na twarz jego występuje znów maska marmurka.

Ginie ten wyraz sentymentu, otwartości, który z taką szczerością przez skorupę zlodowaciałą się wydostał. Uśmiech grzecznego, dobrze ułożonego urzędnika występuje coraz silniej.

Po chwili „kościany dziadek” leży z zamkniętymi oczyma. Jest chłodny, wystygły, nieprzystępny. Drgające błyski ognia oświetlają jego smutną nędzę. Oddycha lekko, nieśmiało.

Brzydki serdak ledwo się porusza. Kościste, wychudłe ręce zacisnęły się dokoła ciupagi. Jest znów — *żaden*.

*

Porzycki odchodzi od ognia i siada opodal na głazie.

Pociera czoło, wyjmuje papierosa, chce go zapalić, lecz jakby urzeczony opuszcza ręce i siedzi tak nieruchomy, wpatrzony w czarne sylwetki skał, z których sterczą ciemnie drzew.

W pierwszej chwili czuje tylko chaos uczuć, jakiś niesmak, jakąś gorycz... Potem rzuca nim niepewność, czy dobrze rozumie swoje wewnętrzne usposobienie. Wie tylko, że w tej chwili coś w nim pękło, coś się zerwało, coś się zmieniło zupełnie.

Te słowa, te proste słowa... i to, co oprócz tych słów było w głosie, w twarzy męża Tuśki.

Bo w tej chwili Żebrowski nie jest Żebrowskim, lecz... mężem Tuśki.

— Pracuje na nią, pracuje... — kłębi się chaotycznie w umyśle Porzyckiego — pracuje... oddaje jej wszystko, jej i dzieciom, zaparł się siebie, nic nie ma... Dość spojrzeć, jak on wygląda, jak odziany, jaki zmęczony...

— A ona?...

Brwi Porzyckiego ściągnęły się gwałtownie.

— Skłamała! Twierdziła, że ma posag, a on wziął ją w jednej koszuli, wziął odważnie na całe życie... Skłamała! Chciała się wydać bardziej interesującą... A może sądziła, że mnie w ten sposób ku sobie pociągnie!

Coraz chmurniejsza się robi twarz Porzyckiego.

— On i ona!... niepodobna ich nie porównać. On wszystko z siebie oddaje, ona to wszystko wchłania i używa. Wampirem jest jego, ona i te dzieci. Tu cała banda, tu jeden człowiek nędzny i mizerny. I ona na czele!

W całej pełni zaczyna się przedstawiać mu Tuśka. W istotnej prawdzie strojnej kobiety, dobrze upudrowanej, drżącej jak koń cyrkowy na odgłos muzyki balowej, pawiającej się strojnym czaprakiem, nie bacząc, ile ten czaprak wysiłku kosztuje.

— Zastanowić się tylko, zastanowić... — sam mówi do siebie Porzycki — zastanowić się nie jak mężczyzna, któremu pachnie różowe ciało blondynki, ale jak człowiek, jak człowiek.

Te dwa karki, ten jeden różowy, złoty, wysuwający się zwycięsko z fałdów balowej sukni, kręcącej się zalotnie pod ogniem pożądliwych spojrzeń męskich, i ten drugi kark, chudy, zmęczony, wiecznie pochylony nad zapyloną masą akt biurowych spraw...

— Nic — tylko te dwa karki!

Tam — za Porzyckim ogień dogasa, potoczek szumi cichutko jakby jakaś bardzo daleka muzyka. Nigdy jeszcze Porzyckiemu nie było tak w górach smutno, jak w tej chwili. Zawsze życie aż kipiało w nim i wyładowywało się śpiewem, krzykiem, ruchem, pocałunkiem, słowem — całą energią.

A dziś serce się w nim ocknęło. I on obrachunek z nim robi — stara się zimno, spokojnie wmyślić się w stan swoich uczuć.

Wmyśla się i przeraża.

Zimny pot wypływa mu na czoło.

Wszakże on, kochając bardzo mało, kochając prawie nic — ot „sezonowo”, chciałby zdruzgotać coś, co już istnieje, coś, co ma rację tu, coś, co stało się pracą szaloną, ciężką tego biednego człowieka.

On chciał rozbić... rodzinę!

Zabrałby tę różową, białą kobietę i odszedł nie bacząc, że tam pozostał ten, który lat kilkanaście chleb swój maczał w swym pocie i w mumię się zamienił dlatego, aby ona wykwitła taka biała, taka różowa, taka złota i pożądana godna.

A to marzenie pozostania wreszcie we dwoje, to pragnienie śmierci w ciszy spełnionych obowiązków, ta naiwna, poczciwa chęć wywiezienia jej za granicę, otoczenia jej komfortem...

I pomyśleć, że za kilka tygodni tam, na Wareckiej ulicy, miała stać się wielka, tragiczna pustka dokoła tego człowieka i to gniazdo zwleczone jego staraniem miało mieć nagle *lampę zgaszoną i drzwi otwarte*.

W ciemni wielkiej, która coraz gęstszą się stawała, twarz Porzyckiego postarzała się nagle. Z nadzwyczajną wrażliwością, właściwą aktorom, przerzucił się uczuciowo w duszę Żebrowskiego. Przeszedł całą torturę takiej chwili, gdy Tuśka zawiadomi go, że więcej do domu nie wróci...

— Dlaczego? dlaczego?...

Wzrok zdumiony chłopców, utkwiony w ojca i — i to pierwsze ściśnięcie się serca, którego przeżyć po prostu niepodobna.

A przecież się przeżywa.

Tylko ono potem powraca. Ciągłe, ciągłe i coraz cięższe do przeniesienia.

Nagle wśród rozmowy, wśród własnego śmiechu, w nowej serii pocałunków ścisła się serce przeżyta boleścią.

Wszystko się przechodzi po raz dziesiąty — setny...

Ci, którzy mówią, że czas leczy — kłamią.

Tacy nigdy nie przeżyli chwili prawdziwego bólu.

Nie rozumieją.

I dlatego — kłamią.

Tak myśli Porzycki, tak czuje, tak *widzi* następstwo katastrofy, która się tam czai i rośnie na dole w Obidowskiej sadybie.

— I... co ja jej w zamian dam? — uderza w jego myśl jakby obuchem — co ja jej dam za lat kilka? Czy potrafię tak, jak ten „kołtun”, skoncentrować całe swe uczucie na niej jednej i stworzyć jej ten kąt, w którym ona dopiero główną osią będzie? On jej da starość spokojną, cichą, będzie pracował na nią do końca życia — na nią i na córkę... Ja mam *siebie*, mam matkę... Wierny jej nawet nie będę...

Uśmiechnął się leciuchno.

— Nie będę, wiem o tym. Ona jest zazdrosna, dała mi to już nieraz uczuć, zaczną się sceny...

Dreszcz go przeszedł na myśl o tych scenach. Czuł, że nie będą to „sceny” Sznapsi i tych innych, które tyranizowały go i były wzajem tyranizowane zakulisową metodą. On czuł, że to będzie coś innego, coś bardziej serio, coś, co mu się w życie wtłoczy i to życie psuć zacznie....

— Ładna perspektywa! — mruknął prawie głośno.

Przeraził się swego głosu.

Obejrzał się poza siebie. Nie chciał, aby Żebrowski się zbudził. Pragnął pozostać sam i obliczyć się z sobą. Czuł, że to jest chwila niezwykła i że to, co postanowi, przeprowadzić musi.

Wstał ostrożnie, dorzucił trochę drzewa, aby chłód nie przebudził Żebrowskiego, i powrócił na dawne miejsce.

— Co w kołtunerii wzrosło — myślał dalej — kołtunierstwem zostanie. Tuśka mimo porywów artystycznych, które może kłamie, będzie zawsze skończonym typem przeciętnej mieszczańki. Ona mnie nie pojmie... będzie mnie więziła, będziemy się dręczyli,

a skoro raz się *to* stanie, klamka zapadła... Gdy rozłączę ją z mężem, honor mi każe zostać przy niej...

Brwi zmarszczył, zdenerwowanie zaczynało go ogarniać.

— *Będę musiał!*

Ptak wolny, istota wzdrygająca się przed podpisaniem wiążącego go kontraktu, histriion wędrowny, Cygan produkujący tańczącego niedźwiedzia swego własnego talentu, przeraził się słów na pozór żadnych.

— *Będę musiał!*

— Nie! nie! — zawyło mu w głębi.

Już dostrzegł Tuškę jako tę dręczycielkę, jako tę, która niesie za sobą to straszne „musisz”... Kark jej różowy znikł — jest naprzeciw niego, silna honorowym jego zobowiązaniem. Twarzy słodkiej rozróżnić nie można.

To jest *przemoc*, to jest to ogromne, które ujarzmi miliony i wiąże wolę jednostki.

A Porzyckiemu przez myśl wiją się partyjki bilardu, śniadanka z kolegami, flirty po garderobach, kwiaty z łóż; powroty późne na palcach koło pokoju matki, herbata zimna „dla Lolka”, przygotowana na stoliku, i na drugi dzień pobłażliwy uśmiech macierzyński na jasne „dzień dobry”.

A potem to „coś” swobodne, co płonie w nas nieskrępowane jasno i szczerze, a gdy tylko czuje się obecność drugiej duszy, obecność przymusową, tli się ukradkiem, fałszywie, obłudnie...

To wszystko, dotyczące siebie, przeżuwa Porzycki jednak jakby *drugą warstwą*, bardziej mglistą i niezdecydowaną.

Za to owa pierwsza myśl litości nad Żebrowskim, wnikięcie w jego głąb, dominuje, a przynajmniej Porzycki *chce*, aby dominowała.

W ten sposób jest szlachetniejszy w swych oczach, a każdy człowiek pawi się przeciw przed sobą samym.

Tysiąc razy na dobę.

Bo pawiem roztacza się przed sobą nawet we śnie.

Pawiem!...

Nigdy nie spojrzysz na siebie rzeczywistego.

W tę czarną, cichą noc Porzycki z lubością zwraca się w stronę siebie-pawia.

Cicho ogień płonie. Chłód płynie dokoła jakby falami. Smreki, limby, modrzewie, jawory zastygły w tym chłodziu. Od dołu, od ludzi fakty życiowe olbrzymieją w ciemni i ciszy i miasto się rozpląta w nieistnieniu, nabierają rozmiarów katastrofy. Mrówcze życie uczuć przybiera siłę i rozpęd niepowstrzymany.

Wszystkie uśmiechy i smutki wewnętrzne zdają się zarysowywać na zewnątrz i bić prądem w nieruchomość chwili. Nie wstrząsają nią wszakże, lecz niemniej dają znać o swym istnieniu i o tym, że są i będą najwyższą władzą człowieka, który sądził się bezpiecznym, bo wszedł na wyżynę, zaszył się w gąszcz i pogrzył w ciemnię.

I oto ku Porzyckiemu, siedzącemu nieruchomą, czarną sylwetką na odłamie skały, płyną fale życiowe i szarpia nim, i dręczą.

— Żal mi jednak, żal!... — myśli wspominając błękitne oczy i okrągłą, wdzięczną twarzyczkę o różowych muszlach usznych, przebijających przez pianę złotych włosów.

Równocześnie jednak przypomina sobie, że już dużo przeżył takich „żałów” sezonowych. Ileż to było już takich zakopiańskich rozstań, po których serce nosi obręcz żalobną, a pocztówki latają po kilka razy na dzień...

I to wszystko ginie powoli, wraca do normalnego stanu, pocztówki kursują rzadziej i bywają coraz mniej starannie wybierane, aż wreszcie wszystko ustaje, układa się, zamiera.

I trzeba takiej chwili nadzwyczajnej, aby nagle się zbudziło i chóralnym hymnem wzbilo się w górę jako głos *pocieszenia*.

— Zapomnę i ona zapomni... a staje się rzecz dobra i uczciwa.

Jakieś błękitne oczy, łzami zalane, zamigotały przed nim, ktoś jakby krzyknął, dwie ręce wyciągnięte, dwie białe ręce...

— Stanie się rzecz uczciwa... — powtórzył twardo.

Pozostał, jakby sam z sobą kończył ten obrachunek.

Jeszcze rzucił:

— Bo... dlaczego kłamała? dlaczego nie powiedziała od razu, że on na nią pracuje, że się zapracowuje — dlaczego?...

Podszedł do Żebrowskiego i stanąwszy nad nim, długo i uważnie patrzył.

— Taki biedny, zmarnowany, nędzny.

Nic nie zdoła oddać kontrastu pomiędzy tymi dwoma ludźmi. Ten leżący na ziemi, skurczony, żółty, z zapadłą klatką piersiową, pod swym serdakiem zziębły, jakby tylko co los-ojczym zbił go sznurami przeznaczenia.

I ten nad nim, rosły, piękny z ustami purpurowymi, z oczyma, w których drgają światełka, jakby odbicie rozżarzonej duszy...

Żebrowski zakaszłał cicho, zwinął się w kłębuszek i zaczął się tulić do mchów wilgotnych.

Porzycki szybko zrzucił swój serdak i pochylił się nad uśpionym.

Lekko, ostrożnie otulił go swym serdakiem. Żebrowski z trudnością oczy roztworzył.

— Co to?... już dnieje? — zapytał.

— Nie, nie... — odparł Porzycki — jeszcze czas. Śpij pan spokojnie. Ja czuwam.

Panu się nic złego nie stanie.

Chuda ręka wysunęła się z fałdów serdaka.

— Dziękuję panu!

Uścisnęli się za ręce.

Powoli — i ręce ich rozplotły się.

Nastała znów cisza i ciemnia.

Porzycki powrócił znów na swój głaz i siedział nieruchomy, a wkoło niego gęstniała coraz silniejsza, coraz czarniejsza noc.

XXXVI

To jest maluchny kątek ten cmentarz zakopiański...

Ot, nic, szmateczek ziemi, a na nim kretowiny, groby, kamyki pomników, trochę trawy i z trudnością rosnących kwiatów.

A przecież to ogromny ból życia, ta cała jego ironia, na tym szmateczku ziemi zawarta.

Rzędem stoją groby.

I na nich:

„Zmarła w życia wiosnie...”

I dalej:

„Zmarł w dwudziestym drugim roku życia”.

A obok:

„Zmarł w dziewiętnastym roku życia”.

I straszniejsze:

„W piętnastym...”

Jakaś dziewczyna, jakaś jej mara osiemnastoletnia prosi o *Zdrowaś Maria...*

Tu i ówdzie na płycie grobowca leży trochę kwiatów. Na jednym grobie sterczy wtknięta gałązka smrekowa.

Pod murem rośnie jarzębina. Czerwone grona kiściami ciężkimi opuszcza ku ziemi. Na marne idą dojrzałe jagody. Żaden ptak nie naruszy tych owoców cmentarnych. Jad zabójczy nurtuje pod ziemią. Rozkład ciał, zastygłych w życia wiosnie... Długie warkocze młodych suchotnic leżą węzami w trumnach i oplątują szkielety, strojne w ślubne szaty.

Tam znowu samotny, biedny student, świeżo pochowany, jeszcze ma na twarzy wyraz rozpaczny, bo znał swój stan, bo liczył wciąż gorączkę, bo wiedział, kiedy przyszła śmierć.

Wiedział!...

Marii Baszkircew tragiczność przedgonna!

Oni wszyscy *wiedzieli*, oni się nie ludzili. Przeżywali swój zgon sto razy na dobę, oplakali się sami i agonია ich była dłuższa, niż przypuszczał ktokolwiek.

I w tym ich tragiczność bezkresna.

Beznadziejna młodość!...

Ktoś złożył parę irysów na szarej, kamiennej płycie.

Irysów bladych, chorych, nad wszelki wyraz smutnych.

Są kwiaty, które także mrą w życia wiosnie.

Na szarej płycie mrą irysy.
I one *wiedzą*...
I one mają rozpacz w sobie, a warkocze ich liści oplatają ich stygnące szkielety.
Cmentarne kwiaty! cmentarne kwiaty!

Wśród grobów błądzi Tuśka z Pitą.

Od wczoraj, od znalezienia kartki, w której mąż zawiadomił ją, że idzie na „wycieczkę” w góry z Porzyckim, Tuśka doznaje dziwnego niepokoju, z którego nie może sobie zdać sprawy. Zdenerwowana błąka się, nie może sobie znaleźć miejsca. Radość jej, której doświadczała na myśl, że to się wszystko dobrze skończy, że niezapługo czeka ją swobodne, wolne życie z Porzyckim, zamienia się w straszny stan niepewności, oczekiwania czegoś, przed czym drży, czego zrozumieć nie może.

— Ręczę, że to *jego* pomysł cała wycieczka — myśli, starając się utwierdzić w nienawiści do męża. — Po co? na co?... Jeszcze gdzie zleci.

Zabrakło jej tchu.

— Były rozmaite wypadki w tych Tatrach... Jezu!

Stała błąda, martwa. Nie wiedziała sama, co w niej przeważa w tej chwili, co się z nią dzieje.

— I czego *tamten* z nim poszedł?... Czego? Niechby sobie wziął przewodnika, kiedy tak chciało mu się koniecznie tych gór. Potem — ja nie rozumiem zupełnie Porzyckiego. To grzeczność zbyt duża, to oddawanie przysług... Po co?...

Zagryzła usta zniecierpliwiona.

— Może chciał zamaskować nasze projekty... może...

Z całą natarczywością chwytą się tej myśli.

— Musiał się go ucześcić, a i on nie mógł mu odmówić...

Uspokoiwszy się trochę, zaczyna Tuśka zagłębiać się coraz więcej w tę pewność rozstania się z mężem, w tę swoją przyszłość, która jest jeszcze dla niej zakryta, ale którą zdaje się, że według własnej woli urządzić potrafi.

Materialna strona gnębi ją niemało. Postanawia od Porzyckiego nie przyjmować nic.

— Gdybym choć umiała malować na porcelanie albo znała retuszerię, albo buchalterię, albo skończyła medycynę... Zanim mnie przyjmą do teatru... A może on mi nie pozwoli być na scenie...

Przyjemną jest ta myśl, dająca jej dowód, że Porzycki jest o nią zazdrosny.

Z tym wszystkim jednak trzeba będzie żyć.

Zresztą... jakoś to będzie!

Myśli jej są chaotyczne, kłębią się, ważą, ścierają.

Przeważa przecież nastrój erotyczny.

Rozrzewnia się prawie nadzieją należenia do Porzyckiego.

— Poświęcam mu wszystko. Honor, męża, stanowisko...

Na tych urywkach z komedii Sardou lub Ohneta zatrzymuje się chętnie. Kobiety lubią się „poświęcać”, a żeby mieć co wymawiać mężczyznom.

— Będę miała wyższość nad nim, bo on przecież nic dla mnie nie poświęca.

— Świat mnie potępi — rozmyśla dalej — ale on mnie za to nagrodzi.

— Jaki świat?

— Fałszu i obłudy — odpowiada sobie. — Postąpię jasno, otwarcie, bez obłudy. Mogłabym romansować po kątach jak inne, pod płaszczykiem męża — wolę przecież...

Tu się zatrzymuje.

Widzi bowiem jasno, że *to*, co woli, to właśnie jest dla niej dogodniejsze. Porzuca męża, którego nie kocha, dom, do którego nie ma przywiązania, mizerne stanowisko, kółko znajomych, które jej nie interesuje...

Zyskuje natomiast wspaniałego kochanka, za którym szaleje, stanowisko „artystki”, swobodę nieokreśloną, podziwianie tłumu, środowisko Sznapsi i aktorów, które jej się podoba i do którego lgnie chętnie.

— Niemniej przecież się poświęcam — upiera się przy swoim — i on mi musi być wdzięczny za to poświęcenie.

Przeliczyła pieniądze. Było ich około stu rubli.

— To wystarczy na początek.

— Musi wystarczyć.

Przeszła jej błyskawicą przez umysł myśl, że mąż ze względu na Pitę nie pozostawi jej bez zasiłku.

*

I tak już cały szereg lat ta kobieta żyła bez skrupułu jako *legalna utrzymanka* tego człowieka, że ta myśl nie wydała się jej wstrętną. Od kochanka ambicja nie pozwoliła jej przyjmować, lecz od tego, który przysięgał...

Zabłądziła na cmentarz, sama nie wie, jak i po co.

Chce uciec od ludzi, szuka samotności. Wlecze się za nią Pita. Stają przed grobami. Czytają napisy machinalnie. Lecz co myślą w tej chwili obie! Jakże są dalekie od tych grobów, na których rosną blade jarzębiny.

Błądzą śliczne, żywotne, pełne pragnień życiowych, błądzą zgrabnymi sylwetkami pośród szarych głów.

Rozjęczał się nagle mały dzwon cmentarny.

Od kostnicy, gdzie wieje świeżą dysekcją, jęczy dzwonięcie, bo z dala gdzieś kona ciężko jakaś góralka o zapadłej piersi i przygasłych siwych oczach. Rozjęczał się nad nią dzwon o miłosierdzie lekkiego skonania.

I Pita podniosła głowę. Odgarnęła złote włosy z różowych uszek i słucha.

Ten dzwon, zdaje się jej, że już słyszała.

Jak on jęczy, jak zawodzi!

Gdzie słyszała taki jęk?...

Ach, tak — już wie. We śnie...

Bo znów śniła o tej przepaści, gdzie dziewczynki małe błądzą i płaczą. Lecz teraz stokroć gorszy ten jęk i płacz.

Śmiejące się ich mamy widać dobrze. Pochylają się ku krawędzi. Mają błyszczące oczy, utrefione włosy i zbyt czerwone usta. Ta i owa wyciąga ręce ku swej płaczącej córce. Niektóre dziewczynki, chwyczone przez te ręce, na których błyszczą drogie kamienie, pomykają ku górze i wydostają się z przepaści. Lecz zaraz słychać krzyk, wielki bolesny krzyk zabijanego ducha. A potem krzyk ten przechodzi w śmiech... I dziewczynka na górze śmieje się tak samo, jak śmiała się poprzednio jej matka. A potem zjawia się na krawędzi i ma włosy utrefione, błyszczące oczy i zbyt czerwone usta... Na rękach jej błyszczą drogie kamienie...

Płaczące dziewczynki, a między nimi Pita, patrzy na tę, która niedawno była między nimi w żałobnej szacie smutnego dziecka.

Patrzą.

Niektóre zazdroszczą, inne boją się.

Czego?

Nie wiedzą, ale się boją.

I Pita się boi.

Pita się tuli w najciemniejszy kąt przepaści i nie chce ku górze spoglądać.

Och! jak ona się boi, aby tam nie dostrzec swej mamy, aby i ku niej nie wyciągnęły się ręce, drogimi kamieniami strojne.

Bardzo Pita się boi.

I wszystko to słyszy, gdy dzwon żałobny nad zakopiańskim cmentarzyskiem jęczy.

Wszystko to widzi, przeczuwa.

*

Ażeby myśli te i cienie precz od siebie odganiać, Pita napisy na nagrobkach czyta.

I bardzo się dziwi.

Zdawało się jej, że umierają tylko starcy i dzieci.

A młodzi muszą żyć.

Tymczasem tu, u stóp widmowych gór, cały kłęb mogił, a w nich — młodzi!... młodzi!...

Pita myślała, że starcy i dzieci sił nie mają, aby się wziąć ze śmiercią za bary, i dlatego padają jak kłosa...

Młodzi mają tyle odwagi i tyle siły, że śmierć nie odważy się podejść ku nim, nawet zdradziecko.

A tymczasem.

U stóp widmowych gór cały kłęb mogił, a w nich leżą cicho i nieruchomo młodzi.

Nad nimi rośnie jarzębina.

Lecz ma blade korale i ptaki ich nawet nie dziobią...

*

Tuśka i Pita wyszły z cmentarza i idą ku Krupówkom.

Tuśka myśli, jakie nazwisko wybierze na scenie. Taka Sznapsia mówiła jej, że się *przeżywała* kilkakrotnie. Była Sznapkiewiczówną, to znów Grodecką, teraz Markowską.

I ona musi zmienić nazwisko. Ale jakie sobie wybierze?

Idąc zaczyna czytać szyldy po sklepach.

Może coś znajdzie odpowiedniego.

A tymczasem we wnętrzu jej duszy coś gryzie ją, dręczy i ssie. Nie wie co. Żal, trwoga, wyrzut za to, co chce wykonać. Ach! nie wie, ale przecież to istnieje i na chwilę jej opuścić nie chce.

Z daleka dojrzała dwóch chłopców w mundurkach warszawskich. Drgnęła — *to* ukryte w niej spotęgowało się.

Byłoby to... za dziećmi?...

Śmieszne. Te „marmurki” z Wareckiej nie kochały jej i cierpieć nie będą. Nic tam pomiędzy nimi nie było, ani miłości, ani ciepła. Dokładnie się teraz, dzięki Porzyckiemu, przekonała. Ona się zbudziła i zapragnęła ciepła, ale „marmurki” pozostały takie same, jak były.

Nie ma kogo żałować!

Budzi ją głos Pity:

— Tatko!

Rzeczywiście, naprzeciw siebie widzi idących Żebrowskiego z Porzyckim. Idą wolno, nie śpieszą się, rozmawiają przyjaźnie. Żebrowski ma nawet z fantazją zatkniętą gałązkę za kapeluszem. W jednej chwili Tuśka dostrzega, że mąż jej ma w ręku ciupagę Porzyckiego, a aktor ciupagę Żebrowskiego. Widocznie się zamienili. Rozczulająca zgoda!

— To nadto!... — przemyka jej przez głowę, jakby ten błahy i nie znaczący fakt przepelnił miarę przewiny obu mężczyzn.

Żebrowski daje jej znaki powitalne. Natomiast Porzycki spoważniał i ogranicza się na ukłonie.

Zbliżają się.

A w Tuśce jakoś serce zamiera. Tchu jej po prostu brak. Zdaje się jej, że jakieś wielkie, straszne nieszczęście idzie naprzeciw niej.

Idzie, a ona musi je przyjąć, ona nie może zapobiec, bo siła walącego się nieszczęścia jest zbyt straszna i przeciwko niemu istota ludzka nic poradzić nie jest w stanie.

Gdy doszli do niej, gdy zrównali się z nią, ona już to nieszczęście w sobie całe przeżyła.

I gdy Porzycki podał jej rękę na powitanie, poczuł, że ręka Tuśki w jego dłoni drży jak ptak zraniony, który padł pod nogi myśliwca.

Nie spojrzeli na siebie, ale odczuli prawie wszystko.

*

To była jedna, krótka chwila.

Jego ogarnęła litość na widok jej zmienionej twarzyczki i zaraz rzucił:

— Jesteśmy... Tęskno było za panią!
 Żebrowski uśmiecha się blado.

— Bardzo było zajmująco! — wyrzekł — Nocowaliśmy przy ognisku. Było trochę chłodno, ale to nic. To bardzo zdrowo taki chłód!...

Prostował się, przybierał pozę „tatarnika”. Był śmieszny, mizerniejszy niż zwykle, z twarzą żółtą i pomiętą, z oczyma czerwonymi jak u królika.

— A potem pan Porzycki otulał mnie swoim serdakiem... czuwał nade mną jak anioł stróż.

Obejrzał się dokoła z przyzwyczajenia.

— I z rewolwerem całą noc na straży przesiedział.

— Z rewolwerem? — zapytała Tuśka czując, że się wreszcie odezwać musi.

— No... tak... — odparł Żebrowski — na zbójników... na niedźwiedzie... A potem zresztą wolno mu: przecież ma pozwolenie na broń... A teraz chodźmy do cukierni.

— Nie, idźcie panowie sami. Mnie głowa boli.

— Ale co znowu!... chodźmy wszyscy.

Żebrowski nabrał animuszu — mówił wbrew zwyczajowi głośno, robił gesty. Miał pozór pijanego. Widocznie ta wycieczka upiła go. Pita z podziwem patrzyła na ojca.

— Nie ma jak góry! — mówił wymachując ciupagą Porzyckiego.

Tuśka odwróciła się od niego z niesmakiem i zaczęła iść w kierunku Skibówek.

Rada była, iż przedstawił się jej tak głupio i śmiesznie. Bała się, że gdy go zobaczy, zrobi się jej „żał” tego człowieka. Tymczasem nie tylko, że nie czuła żalu, ale patrzeć nawet na niego nie mogła.

Porzycki szedł obok niej, za nimi dążyła Pita z ojcem.

— Po co ta wycieczka? — odezwała się półgłosem Tuśka. — To już było zupełnie niepotrzebne.

Porzycki zaczął się usprawiedliwiać.

— Nie mogłem odmówić...

— Należało...

Szli dalej w milczeniu. Za nimi słychać było skrzypiący głos Żebrowskiego. Mijały ich turkoczące furki. Jakiś powóz, w którym siedziały postrojone damy, obsypał ich tumanem kurzu.

— Co za arogancja!... — wymówiła nagle Tuśka powiewając chustką dokoła siebie.

Subtelny zapach białej róży i ambry rozpylił się dokoła. Porzycki odetchnął tym zapachem i w tej chwili poczuł, że trudniej mu będzie oderwać się od Tuśki, niż przypuszczał.

— A jednak to się stanie... — pomyślał twardo. — To stać się musi.

W głębi jego duszy zrodziło się znów pytanie:

— Ale jak? ale jak?

I zaraz przed umysłem jego mignął szablon zerwania.

— Napiszę list...

Lecz wydało mu się to nieodpowiednie.

— Nie, nie... tak z *nią* nie można. Coś innego...

Czuł, że ona odwróciła się i patrzy na niego.

— Pan jakiś zmieniony... Co panu?

— Mnie? nic.

— O! mnie pan nie oszuka. Dlaczego pan nieswój?

— Jestem... zmęczony.

Tuśka uśmiechnęła się tryumfalnie.

— A co! a co...

— ?

— Jedną dobę był pan w... *jego* towarzystwie i zmęczył się pan. Teraz pan mi się nie dziwi — prawda? On może artystyczną duszę doprowadzić do ostateczności. Prawda?

— Może...

— Nie może, ale tak.

A Porzycki myśli:

— Nie *on* mnie doprowadza do tego zmęczenia moralnego, ale właściwie... *ona*. Od-
 kąd ją zobaczyłem, dziwnie się czuję zgnębiony.

I w formie konkluzji dodaje w myśli:

— Wolę sto Giewontów, Liliowych, Mnichów i wszystkie zatracone percie jak taką jedną o niebieskich oczach blondynkę!... Tamte umęczą nogi, a taka duszę rozklekoce na strzępy.

XXXVII

Po odjeździe Żebrowskiego nastąpiło w sadybie Obidowskiej dziwne, fatalne położenie.

Tuśka, polegająca na raz powziętym postanowieniu rozstania się z mężem, z konsekwencją dąży dalej po obranej drodze.

Pod pozorem migreny nie odprowadziła Żebrowskiego na kolej, lecz pożegnała się z nim mimo woli serdeczniej, niż chciała. Gdy zbliżył się do łóżka, na którym leżała, i z jakąś nieśmiałością podał jej jeszcze dwadzieścia rubli, które „zaoszczędził” podczas pobytu w Zakopanem, uniosła się wspaniałomyślnością i pieniędzy tych przyjąć nie chciała.

— Proszę cię, weź! — mówił Żebrowski — sprawisz mi tym przyjemność.

— Nie, nie. Mogą ci być potrzebne.

— Ależ... na co? — *Mnie nic nie trzeba.* Za te pieniądze zabawisz jeszcze kilka dni w Zakopanem.

— Nie wezmę!

— Proszę cię.

— To ja cię proszę!

Wymieniali pomiędzy sobą te ostatnie grzeczności z bladym uśmiechem i nie patrząc sobie w oczy.

Nagle Tuśka ukryła twarz w poduszki. Coś ją dławilo w gardle... coś...

Pochylił się nad nią.

— Co ci jest?... głowa?

— Tak!

— Weź fenacetyny. Pan Porzycki, wracając z dworca, przyniesie ci kilka proszków.

— Dobrze!

Nazwisko Porzyckiego przyszło w samą porę.

Tuśka podniosła głowę.

— No, jedź, bo się spóźnisz.

— Tak, tak... Do widzenia za tydzień! Telegrafuj z Granicy. Wyjdę na kolej... Bądź zdrowa.

Pocałował ją w czoło i w rękę.

— Pito, do widzenia!

W milczeniu Pita całuje ojca w rękę.

Jeszcze raz z progu odwraca się Żebrowski:

— A więc za tydzień.

Tuśka nic nie odpowiada. Żebrowski zajęty serdakiem, który przytroczył do pasków pledu, nie zwraca na to uwagi.

Zamykają się za nim drzwi, a Tuśce zdaje się, że ktoś zamknął jeden tom jej życia.

Lecz gdy już w tej chałupie nie stało owego „męża”, Tuśka przeraziła się myślą, iż Porzycki obecnie jest właściwym jej „wszystkim” i że ona nie czuje pomiędzy nim a sobą jeszcze tej nierozzerwalnej spójni, jakiej się spodziewała.

— To przyjdzie... — myślała — przyjdzie, gdy staniemy się dla siebie bliźsi.

Tymczasem ta „bliskość” nie przychodziła. Tuśka była mu uległą i gdyby wyjawił jakieś żądanie, jakiś zamiar zbliżenia się większego, byłaby z szalonej chęci przywiązania go zgodziła się na wszystko. Lecz on niemal unikał pozostania z nią sam na sam. Ciągłe wysuwał Pitę i stawiał ją pomiędzy sobą a Tuśką. Dostrzegła to Tuśka i zapytała w rozdrażnieniu:

— Pita? po cóż ciągle ta Pita?

Porzycki przez chwilę milczał szukając możliwego pretekstu.

— Nie dowierzam...

— Komu?

— Sobie.

— A!...

Tuśka była na razie zadowolona. Każda kobieta jest zadowolona, gdy mężczyzna bodaj najbanalniej da jej do zrozumienia, iż jest dla niego „niebezpieczną”.

Wkrótce przecież Tuśka skombinowała, że *teraz*, po powziętym postanowieniu, cała obawa jest chyba zbyteczna.

Na aluzję delikatną z jej strony Porzycki znalazł odpowiedź.

Och! pieśń bez słów.

Tylko spojrzenie.

Z arsenału swych najgłębszych, przepaścistych spojrzeń dobył najgłębsze, najbardziej zaprzepaszczone. Spojrzał przeciągle swymi czarnymi oczyma. Co w nich było, sam nie wiedział, ale Tuśka musiała wiedzieć, bo wydawała się zadowolona.

Czym prędzej sprowadził teraz do Obidowskiej sadyby dawne towarzystwo. A więc Sznapsia, aktorzy, nieodzowny embrion dekadencji, który już teraz donaszał swe wysokie kołnierzyki, przewracając je na lewą stronę. Jakby się zmówili, podwoili swą cygańską wesołość i koncepty. Weranda brzmiała śmiechem do późnej nocy.

Zwykle Sznapsia pozostawała na noc u Tuśki lub ktoś z aktorów nocował u Porzyckiego.

Tak się zręcznie składało. Tuśkę ten tłum niecierpliwił i drażnił. Rzadko kiedy mogła pozostać sam na sam z Porzyckim. Przy tym straciła z nim kontakt oczyma. Nigdy już nie zbierali tak swej duszy ze swych źrenic i nie pili jej u źródła wejrzenia. Pozostały tylko pocałunki, zamieniane ukradkiem.

Teraz zwłaszcza Porzycki stał się ogromnie ostrożny.

Co chwila Tuśka, gdy spragniona do ust mu się garnie — słyszy:

— Pst!... może kto zobaczyć.

Niecierpliwi ją to, odrzuca więc:

— No, to *cóż?* *Teraz?*

— Wszystko jedno. Po co mają nas brać na języki?

A dzieje się to nie dlatego, aby wydawała mu się mniej ponętną i pożądania godną. Owszem, teraz gdy patrzy na nią z innego punktu widzenia, gdy jest tą „złą, przewrotną, kłamliwą”, gdy jest tym wampirem, nalatującym na mężczyzn z pokusą swej piękności rozkwitłej blondynki, ma w sobie urok istot przewrotnych, urok ciągnący jak magnes każdego mężczyznę.

Lecz Porzycki ma olbrzymi zapas tak zwanej silnej woli. Jest w stanie opamiętać się i cofnąć w danej chwili. Potrafi ugryźć się do krwi w rękę, gdy traci przy Tuśce przytomność.

Zna bowiem siebie, że wbrew twierdzeniu, często, może częściej, niż przypuszczają, oddanie się kobiety przywiązuje mężczyznę silniej niż krążenie po ścieżkach flirtu. Dotyczy to pewnej kategorii kobiet, które mają ten urok wielkich rozkochanych (*grandes amoureuses*) i które w chwilach najbardziej ryzykownych z prób tych wychodzą zwycięsko.

A Tuśka jest właśnie *taką* kobietą.

— Byłbym zgubiony — myśli Porzycki — i ona, i Żebrowski, i wszyscy... a głównie, nie stałaby się ta rzecz uczciwa!

Jednego poranku rzuca nagle Porzycki pytanie:

— Pisała pani do męża?

Tuśka podnosi na niego zdziwione oczy.

— Ja?

— No, tak.

— Po co? Zawiadomię go później, gdy już stąd wyjedziemy...

Porzycki zasłania się dymem z cygara.

— To zła taktyka... — mówi — pan Żebrowski będzie niespokojny, gotów przyjechać.

Na twarzy Tuśki odbił się przestrach.

— Tak pan myśli?

— Ależ tak. Jestem pewny.

— To... ja napiszę.

— Chodzi o to, ażeby pani napisała zupełnie tak samo, jak dawniej, tak jakby się nic nie miało zmienić, jakby pani miała na ulicę Warecką powrócić... rozumie pani?

— Rozumiem!... dla uspokojenia i uspienia podejrzeń.

— Właśnie.

— Zaraz napiszę.

— A ja list odniosę na pocztę.

Czekał na ów list, przypilnował, skontrolował, żądał, aby Pita dopisała się, włożył w kopertę, wskoczył na rower i sam odwiózł na pocztę.

— Dzieje się rzecz uczciwa! — myślał tryumfująco.

Tymczasem w sadybie Obidowskiej na werandzie siedziała Sznapsia, przybyła w odwiedziny, i patrzyła swymi wielkimi, rozumnymi oczyma na Tuškę.

— Pani ma w sobie jakieś postanowienie! — wyrzekła nagle ze smutnym uśmiechem.

Tuška nie odparła nic.

Ta tajemnica dławiała ją i dręczyła. Z Porzyckim nie mówiła wcale o przyszłości. Unikał widocznie tej rozmowy, odpowiadał jej wymijająco. A w każdej, choćby najrozumniejszej kobiecie tkwi niepoprawna gadulka.

Ach! jakże chętnie byłaby Tuška wypowiedziała wszystko przed Sznapsią.

Lecz to była dawna kochanka Porzyckiego, ta, na której miejsce wstępować ma Tuška, i to wstrzymuje ją przed wybuchem zwierzeń. Jest to bardzo subtelny i delikatny wzgląd, ale wzgląd ten istnieje i nurtuje Tuškę do głębi.

— Niezadługo się rozjedziemy — mówi Sznapsia. — Kto wie, czy się kiedy w życiu spotkamy.

— Och! za to pani rękę — odpiera żywo Tuška.

— Że się spotkamy?

— Tak!

— A gdzie?

— Może tam, gdzie się pani mnie nie spodziewa.

Sznapsia patrzy na Tuškę przeciągle.

— Ja się nie myślę. Pani coś postanowiła.

— Porzycki będzie w tym sezonie we Lwowie.

— A!...

— Tak! Wczoraj podpisał kontrakt i przeze mnie odesłał. Pani nie wiedziała?

— Wiedziałam.

Tuška kłamie, niemile dotknięta tym, że Porzycki nie powiedział jej ani słowa o zmianie miejsca pobytu scenicznego, nie poradził się, a wtajemniczył i wziął za pośredniczkę tego *engagement* swą dawną kochankę.

Więc we Lwowie...

Tam będzie niezadługo, z nim, z Pitą.

Nic nie wie o tym mieście — w mgłach się jej gdzieś w myślach ściele.

— Porzycki się bardzo podoba we Lwowie — mówi Sznapsia — tam brak właśnie aktora w tym rodzaju. Cieszę się, że wpłynęłam na niego dodatnio w tym kierunku.

Tuške uderza krew do głowy. — Wpłynęła!... Od tej chwili przecież tylko ona powinna mieć wyłączny wpływ na Porzyckiego. To ją podnieca i z całą świadomością tego, co czyni, pyta:

— Czy Lwów jest drogie miasto?

— Bardzo.

— No... ale żyjąc we troje... dziecko i dwoje ludzi, to wypadnie taniej?

— To zależy.

Zapada cisza.

Sznapsia już wie wszystko.

Ogarnęła wzrokiem Tuškę, jej twarz zmaląła i mizerną, następnie siedzącą w milczeniu na belkach Pitę, skurczoną, zrezygnowaną, jakby w oczekiwaniu jakiejś katastrofy...

— To tak!... — pomyślała aktorka — więc doszło aż do tego...

Zdławiło ją w gardle, ogarnął żal straszny po czymś, jakby to ona miała zapaść w tę ciemnię, w którą dążyła Tuška.

— Bierze dziecko... sama jej to doradzałam — myślała dalej — czy dobrze robi?... Tak, dla siebie, ale dla niej! dla niej!...

Zwróciła znów swój wzrok na Pitę.

*

Zachodzące słońce pod stopki dziecka się ścięło. Biały posążek w rozwianych faldach spódniczki. Posążek cichy i smutny. Sfinks zamknięty w sobie. Jest w niej zagadka życia i tych chwil majestatycznych a świętych, tej niepewności tragicznej przyszłego losu, który roztacza się skrzydłami dokoła drobnych istnień. Ręce, nieruchomo złożone na drobnych kolankach, zdają się mieć już w sobie uchwycone nici wielu przeznaczeń, które motać będą. Błękitne, ogromne źrenice patrzą przed siebie, jakby widziały całe światy tam, gdzie wzrok zmęczony dostrzega pustkę lub mgłę. Lecz nie radośnie witają młode źrenice Pity owe objawienia życia, owe przeczucia, które wibrują przed nią, grając na jej duszy hymn przyszłości z siłą niepokalanych, pierwszych wrażeń. Smutne są i jakby łzami zaszele. Mają już wdzięk ugorów, na które kładzie się powoli konające pod mroźnym wichrem zbyt wcześniej rozwinięte ziele. Nie uciekają przed melancholią tego, co widzą one, co widzą w żalobny łuk rozkwitających za bramą cmentarną opuszczonych jarzębin, bo czują, że wszędzie dosięgnie je to, co czeka na nie, nieuchronne i nieublagane.

Czekają.

Aż się wypełni to, co im sądzone, i z miraży w rzeczywistość wejdzie.

Obrećczą żelazną w duszę się wtłoczy.

Cierniami pod stopy...

Łańcuchem u rąk...

Brylantem lez w oczy...

Niezgojoną raną w serce...

Bezsenną nocą w myśl...

Żalobnym łopotem skrzydeł w pragnienie szczęścia.

Zjawą bezlitosną w chwilę zgonu.

Pogardą tragiczną w pobłażliwość dni późnych.

I tym, co ludzie zwą osiągnięciem mądrości życia, a co jest w gruncie jego... bankructwem.

Na to czeka złotowłose dziecko, siedzące tak cicho z rękoma złożonymi na kolanach kształtnych.

Na to wszystko — i... na nic więcej.

*

Sznapsia wiedziała już, co grozi w niedługiej przyszłości Tuście i Picie. Żal jej wzmógł się i czuła, że ciężko jej patrzeć na tę kobietę i na to dziecko, jakby jej było ciężko patrzeć na ludzi skazanych.

Coś jakby wyrzut sumienia zaczęło ją nurtować, gdy drogą ze Skibówek szła do siebie na Jaszczurówkę.

— Kto wie... gdyby nie moje słowa niebaczne, jako posiew rzucone.

I coś jeszcze tam więcej nurtuje serce Sznapsi, gdy idzie tak drogą, szarą od piasku a bramowaną wrzosami, na które już coś z jesieni czerwonawe tony kładzie.

Nagle poza nią pędzi rower.

— Bywaj! — woła Porzycki.

Sznapsia odwraca się szybko.

— To ty!

Pędzi ku niej jak wicher. Zęby białe mu błyskają, twarz zarumieniona. Rower świeci się w ostatnich blaskach zachodzącego słońca.

— Dokąd jeszcze? do nas?

Zeskoczył z roweru, otarł czoło.

— Tak. Do ciebie.

Uścisnęły się za ręce i te ręce tak się wtuliły, jakby dla siebie stworzone.

Porzycki zaczął iść obok Sznapsi, prowadząc rower.

— Byłaś gdzie?

— U pani Żebrowskiej.

— A...

Spochmurniał. Coś jakby niechęć przysłoniła mu oczy. Sznapsia śledziła go pilnie.

I nagle, szczerze, bez żadnego wstępu wyrzekła:

— Ucieka z tobą?

Nie odpowiedział nic. Był zmęczony. Nie umiał przed nią kłamać. Podczas całego z nią pożycia, gdy spoglądała mu rozumnie w oczy, mówił jej zawsze prawdę.

Zrozumiała jego milczenie.

— Będziecie nieszczęśliwi! — wyrzekła znów ostro i głosem pewnym.

— Wiem o tym.

— I pomimo tego...

— Co?

— Uciekasz?

Wzruszył ramionami. Nie wiedział, co począć. Ten plan ziszczenia projektowanego przez Tuškę rozstania się z mężem krył do tej chwili, lękając się przyznać głośno do tego, co postanowił. Znał Sznapsię, wiedział, że ma *charakter*, że można jej zawierzyć, a przecież...

Odparł więc wymijająco:

— To jeszcze nic pewnego!

— Nie rób tego — zawołała aktorka z żywością — ty nie jesteś urobiony na człowieka, który może się obarczać kimś tak niezdecydowanym i bez wyrazu jak Tuśka... Ja ciebie znam! Zjesz ją i zjesz siebie... Potrzebujesz całej siły, swobodnej myśli... Co ty z nią zrobisz? co?

— Mówię ci, że to jeszcze nic pewnego.

— Tym lepiej, tym lepiej. Bo to stać się nie może, to stać się nie powinno! Ja cię o to proszę!...

Gorący był ton jej głosu.

Usta jej drżały. Ogarnęło ją wzruszenie. Coś z tego wzruszenia udzieliło się i Porzyckiemu. Spojrzał na nią i odnalazł ją całą taką, jaka była przed laty, gdy tak wracali razem do tej Jaszczurówki, spędzając w Zakopanem letnie ferie pierwszego roku wspólnego w Krakowie *engagement*.

— Dlaczego ci tak o to chodzi? — zapytał zniżając głos mimo woli choć nikogo poza nimi ani przed nimi nie było. — Czy chodzi ci o Żebrowską?

— Ach! nie... Cóż mi do niej? Jakkolwiek taka kobieta ze świata, która żyła już w prawym małżeństwie, będzie się czuła zawsze nieszczęśliwą w takim...

— Dzikim, naszym...

— Właśnie. Ale ona wie, co robi. Jest już niemłoda. Lecz ty! ty!... Właśnie teraz, gdy powinieneś bardzo się przygotować i obliczyć z siłami! Scena lwowska jest wymagająca — intrygować będą przeciw tobie... Ja cię poprę, ale to nic. Ty sam! sam musisz wszystko, a ty się teraz właśnie chcesz obarczyć całą jakąś domową tragedią...

Porzycki zaczął się uśmiechać. Winił sobie w duszy, iż postanowił ową rzecz „uczciwą” i że właśnie ta „uczciwa rzecz” tylko na dobre się dla niego odwróci.

— No... no... uspokój się; tak źle nie będzie.

— Ja... tylko ze względu na ciebie.

— Wiem. Ty byłeś zawsze dla mnie dobra. Dbałaś o mnie.

Całe to pożycie, nacechowane ogromną abnegacją z jej strony, tą dbałością kobiety przywiązanej, stawiającej na pierwszym planie dobro ukochanego i podporządkowującej siebie jego woli, coraz silniej zarysowywało się między nimi i powstawało z oparów przeszłości. Widział ją, dzielącą jego dołę i niedołę, nie śpiącą w nocy, aby dopomagać mu do uczenia się roli, czuwającą za kulisami, aby w czas podano mu rekwizyty, biorącą dymisję w chwili jego poróżnienia się z dyрекcją, zastawiającą swe sukienki, aby on mógł mieć codziennie na partię bilardu i piwo w knajpie po przedstawieniu. A potem cięża, tak długo tajona, „aby mu nie sprawić przykrości”, i to przyznanie się nieśmiało, pokorne, z dodaniem pośpiesznym: „Ja będę na dziecko łożyla”... a następnie rozejście się ciche, pełne taktu, godności...

Wszystko to idzie teraz w ślad za nimi po tej drodze o zachodzie słońca, w obliczu gór, które z wolna już przybierają swoje widmowe kształty.

I ona o tym myśli, on wie, on to czuje, przysiągłby, tak mu w tej chwili stała się nagle bliska, jakby była nią zawsze, jakby nigdy nie była — daleką.

A teraz we Lwowie...

Czy można odgadnąć?...

Zatrzymał się i ona stanęła.

— Muszę wracać.

Powiała ku niemu spod skrzydeł kapelusza słodkim uśmiechem i smutnym zmęczonych oczu spojrzeniem.

— Idź!

Wziął ją za rękę i pocałował w tę rękę, która tak była dobra, przyjazna i miła.

— Bądź zdrow!

— Do widzenia. A co do Żebrowskiej... bądź spokojna. Nic z tego nie będzie.

I nagle na twarz Sznapsi jak gdyby padł promień jakiegoś światła, które było jeszcze silniejsze niż światło słoneczne, bo rozjaśniło nawet ciemnicę duszy ludzkiej.

— Naprawdę?...

— Daję ci na to słowo.

— O!...

Szybko teraz ona przycisnęła jego rękę do ust. Nie bronił się. Był do tego przyzwyczajony. Tak zawsze dziękowała mu, gdy był dla niej dobry, gdy gra jego porywała ją lub gdy postąpił „uczciwie”.

— I prawda, że to będzie rzecz... uczciwa? — zapytał uśmiechając się z przymusem.

— Nie wiem — odparła — czy będzie uczciwa, ale wiem, że *dla ciebie* dobra i konieczna.

Rozeszli się z wolna każde w swoją stronę, lecz już mieli znów pełne serce i duszę jedno drugiego.

Bo łączyły ich przebyta nędza, wspólny wzrost artyzmu i te „deski teatralne”... które silniejsze są niż ślubna przysięga, niż wszelka moc.

Te na pozór nic nie znaczące deski...

XXXVIII

Z jękiem przeleciał nad Krakowem hejnał jak ptak, który krąży dookoła grobu i nawoływać się zdaje.

Od okna oderwała się Tuśka, powstała powoli i podeszła na środek numeru.

Na stole paliła się świeca i cały pokój tonął w przykrym, niewyraźnym świetle.

Na łóżku leżała Pita. Rozwiane włosy złotą falą zalewały poduszki. Opalona była i twarzyczka jej odcinała się ciemniejszą barwą od szyi. Spała oddychając lekko. Z ciała jej zsunęło się prześcieradło.

Tuśka pochyliła się i okryła córkę.

— Zawsze się odkrywa!... — pomyślała nieledwie ze złością.

Zbliżyła się do stołu i zaczęła liczyć w portmonetce pieniądze. Z całym wysiłkiem zdołała ochronić owe sto rubli, z którymi miała nowe życie rozpocząć.

Przy wyjeździe z Zakopanego gaździna obdarła ją bez miłosierdzia. Ponuro, nieufnie a z lamentem przedstawiła jej jakieś bajeczne rachunki za „mliko”, za słomę, za śmietankę, za szybę, za grzyby, za „skikanie” do miasta. I choć Tuśka za wszystko płaciła gotówką, musiała przecież zapłacić i te pieniądze, bo pani Obidowska przybierała ogromnie groźną postawę i zmieniła ton mowy na zuchwałę przedrwiwanie i przytyki. Porzycki poradził Tuśce nie oponować, przyzwyczajony do owych wyzysków przy odjazdach i zuchwałości gazdów w chwili, gdy „goście” ich już opuszczają.

Gdy wsiadali do dorożki, Tuśka zwróciła się ku Obidowskiej, która groźna i czarna sterczała jak posąg nieszczęścia przed swą chałupą.

— Więc macie za wszystko zapłacone?

— No... mom.

— Nic nie zapomnieliście?

— Ni.

— I za „mlicysko?”

— I za mlicysko.

— I za „skikanie?”

— No!

— I za „słomcysko”?

— No!

— Więc nic się wam nie należy?

Górkalka spojrzała na odjeżdżających w sposób nieokreślony.

— Juz ta resta... — wyrzekła powoli — to juz niek będzie moja krzywda!...

I to rzekłszy, wspaniale odwróciła się i odeszła pilnować Józka, który coś zaczynał przebąkiwać, że uciekną do Hameryki razem z Hanką.

O tym wszystkim myśli Tuśka teraz w tym numerze hotelowym w Krakowie, dokąd zajechała razem z Porzyckim. I myśli jeszcze, że jakiś żal straszny ścisnął jej serce, gdy znikły jej sprzed oczu te Tatry, które tak ją dręczyły w pierwszych dniach, a które później zdały się jej dobre, łaskawe i przytulne.

A teraz tu... to miasto ponure, jakby wymarłe, oślizgłe od błota, cuchnące febrą i jesienią, z rozjęczonym hejnałem w powietrzu, chłonie ją w siebie i melancholię gorzką sączy w jej nerwy. Porzycki zajął pokój naprzeciwko i przebrawszy się wyszedł na miasto, aby zobaczyć się z „kolegami”.

Ona pozostała sama z Pitą i czuje do niego żal za to, że pozostawił ją tak samą na pastwę ciężkim myślom, które ją obiegły i dręczą... dręczą... w najfatalniejszy sposób. Męża nie zawiadomiła jeszcze o tym, że już do domu nie wróci.

Porzycki zakazał jej pisać o tym bez jego zezwolenia i porady. Wie zatem, że tam w Warszawie, na Wareckiej, nowo przyjeta służąca zaciąga, froteruje, trzepie dywany, a mąż jej myje fikusy, palmy, okurza obrazy, odświeża abażury i wydobywa pościel. Chłopcy już przyjechali, szykują się do rozpoczęcia roku szkolnego, skupują zeszyty, wieczorami przepowiadają dawne lekcje. W Warszawie ruch na ulicach, wszyscy gdzieś śpieszą, dążą. Jakieś nowe, silniejsze tchnienie życiowe przebiega powietrze.

A ona?

W tym numerze hotelowym sama z dzieckiem, które wlecze za sobą w niepewne istnienie, zdenerwowana, bez środków do życia, niby kochanka, a nie kochanka, pozostawiona w ten wieczór pastwie własnych myśli...

Zamknęła portmonetkę i powróciła znów do okna.

Przypomniała się jej taka sama noc, spędzona w Krakowie, w tym samym hotelu o piętro wyżej, przed dwoma miesiącami.

Zajmowały ją wtedy kupione w Sukiennicach koronki i kapelusze na Floriańskiej ulicy.

Skąpiła na szynce i starała się imponować służącej hotelowej. Teraz to wszystko wydaje się jej dalekie, marne, żadne, niepotrzebne. Stoi na rozdrożu życia i ta chwila tragiczna, przez którą przechodzi, przeraża ją powagą swoją.

Bo dopiero dziś, gdy wyjechała z tej Obidowskiej sadyby, gdy znikła jej sprzed oczu pełna czaru zakopiańska dolina, Tuśka zrozumiała, jak ogromnie ważne postanowienie zrodziło się w jej duszy tam, w tej chałupie, o którą biły halne wichry i deszcz strugami siekl, jakby chciał ją zmyć z powierzchni ziemi.

Zyla tam, jakby oderwana od reszty świata, jakby to wszystko działo się „nie naprawdę”, tylko we śnie. Tu weszła już na drogę obraną i doznała tak strasznej trwogi, że po prostu ciężko jej przeżyć i sił jej brak.

— Gdzie on? — pomyślała z goryczą. — Dlaczego go tu nie ma?... Czy on nie rozumie, co się we mnie dzieje?

Jakby błysk, jakby jasnowidzenie mignął przed nią cały szereg lat, a w nich takie samotne, głuche chwile... I ta myśl, że „on” jest wtedy w innym środowisku, między bliskimi sobie, z którymi ona nie będzie miała nic wspólnego.

— Bo jeśli on mi nie pozwoli wstąpić na scenę...

I zaraz mignęło jej przez umysł...

— Jakie to wszystko straszne...

Wyjęczała znowu nad miastem godzina.

— Która?

Tuśka nie wie. — Tuśka już nic nie wie. Tylko to, że jest sama, że jej źle, że omdlewa, że sił jej brak...

Ciche kroki, jakby się ktoś skradał, ktoś, co chce przemknąć się niepostrzeżenie, uciec przed przeznaczeniem swoim.

Tuśka jednak kroki te słyszy. Depcą jej po sercu, tak są tchórzliwe i nieszczerze. Ona wie, że to Porzycki powraca i lęka się obudzić ją i zobaczyć.

Dlaczego? Czyż teraz właśnie nie powinien już być ciągle razem? Czyż on nie powinien skwapliwie rzucić się do tych chwil wolnych, nie skrępowanych objawów miłosnych, do których oboje tak dążyli?

I wobec tych kroków cichych, obłudnych, Tuśkę przejmuje nagła, szalona trwoga. Sama nie wie, co się z nią dzieje, ale czarna przestrzeń krakowskiego Rynku wypełnia się przed jej wzrokiem jakby ognistymi plamami.

Krwawe są one, potężnieją, zlewają się w płachtę purpury, po której migają złote zygzaki. To pierwsze objawienie uderza w nią z taką siłą, iż porywa się i cofa od okna blada, drżąca, chwiejna...

— Co? Co?... — bełkoce cicho, nie wiedząc, gdzie jest i kim jest właściwie.

Tam na kurytarzu cichy chrzęst klucza, drzwi numeru, zajmowanego przez Porzyckiego, otwierają się, potem zamykają i zapada cisza.

Tuśce zdaje się, że nagle ona w swych dłoniach trzyma jakieś struny, na których w tej czerwonej powodzi wibrują serca całej grupy ludzi. Struny oplątały się koło jej palców i puścić ich nie może, a tam w oddali krwawią się, jęczą i drżą ciche, pokorne serca...

— Jeśli to dłużej potrwa... umrę! — myśli. — To nie do zniesienia.

Całym wysiłkiem woli porywa się, wybiega na kurytarz i nie zastanawiając się nad tym, co czyni, wpada do numeru Porzyckiego.

*

Zastaje go stojącego przy stole. Jest jeszcze w palcie i składa właśnie wyjęte z kieszeni drobne pieniądze, scyzoryk, klucze.

Nie opalona jeszcze świeca maluchnym światełkiem ledwo rozświetla ciemnię pokoju. Widać tylko ręce aktora migające na ciemnym tle pluszowej serwety i najbliższe dokoła świecy przedmioty.

Gdy Tuśka, drzwi szarpnąwszy, wbiega do pokoju, staje przez chwilę jakby niezdecydowana.

Porzycki, zdumiony tym jej gwałtownym wtargnięciem, patrzy na nią przez chwilę.

— Co pani?...

Ona nie odpowiada nic.

*

Bo — dzieje się to, co dzieć się zwykło przed jakąś straszną, łamiącą życie ludzkie katastrofą. Oczom duszy najmniej subtelnej odkrywa się z całą jasnością prawda nieuniknionego przejścia, przed którym nic ocalić jej nie jest w stanie. Jest to krótkie jaśnowidzenie, lecz tak bolesne i pełne tak rozpaczliwej bezsilności, że najsilniejszy duch ludzki na samo wspomnienie pławi się we krwi serdecznej. I to, co potem nastąpi, to, co dokonywa się w świecie rzeczywistym, jest już błędym odbiciem tego, co się przeżyło w tej *poprzedzającej* chwili.

Zapadła cisza.

W tej ciemni oni stanęli oboje naprzeciw siebie nieruchomi, a pomiędzy nimi gasło to, co stanowiło do tej chwili świetlany punkt ich życia. Gasła mianowicie miłość i drobniąta, malała, schodziła do rzędu bardzo powszednich objawów.

Natomiast występowały inne czynniki i zalewały ich swymi falami zwycięskimi, bijąc w nich nieprzemyślany prądem.

To „coś”, zawiązane pod pazdurem Obidowskiej chałupy, stulało skrzydła i skarżyło się konającym głosem wśród mocy życiowych objawów, od których uciec nie mieli prawa...

I gdy Porzycki, błady, zdeterminowany, ręką krąg zakreślił, jakby Tuśkę w koło prawdy czystej wreszcie wprowadzić zamierzał, ona zbliżyła się ku niemu bez kropli krwi w twarzy, lecz już prawie spokojna, bo już *wiedziała*.

Monotonnie, jakby wyuczone siłą, płyną słowa z ust Porzyckiego. Mówi, mówi nie patrząc na Tuškę. I tylko słycać ciągle powtarzające się:

— Pani mąż... uczciwy człowiek... on tak pracuje... dzieci wasze... on wam oddaje wszystko... uczciwa rzecz... to niemożliwe... sumienie...

I znów.

— On na was pracuje... on... on...

I w grozie tej chwili, z cienia widać gdzieś mającą marę bladego, wychudłego człowieka w brzydkim serdaku... Stoi, ręce wyciąga, pensję miesięczną przynosi... oddaje. Za nim dwóch chłopców w mundurkach... To wszystko zjawia się pokorne, ciche... Milczy — patrzy na Tuškę nie znanymi jej dawniej oczyma.

Tuśka osuwa się na krzesło. Nogi się pod nią uginają, ziemia się rozstępuje. Porzycki nie zbliża się ku niej. Widocznie lęka się osłabnąć w swym postanowieniu, bo i on błądy, i on drży, i w nim dusza zamiera.

— Kiedyś będzie mi pani wdzięczna.

Przerywa mu błagalnym gestem.

Już dosyć, już wie wszystko. On może dalej nie mówić, ona wie, że się już wszystko skończyło, że ona *musi* wracać do Warszawy na Warecką ulicę — ona to wiedziała, gdy wpadła tu do tego pokoju...

A kto wie, może wcześniej nawet.

Lecz po co on jeszcze mówi, skoro to już postanowione, skoro ona już nic od niego nie żąda?

— Chciałem to wszystko powiedzieć jutro... ale lepiej dziś... niech się to skończy...

Spojrzała na niego.

Wydał się jej jakoś bardzo daleki. Zdawało się jej, że oddała się od niej w tumanach jakiejś mgły.

I nagle wyciągnęła obie ręce, a z gardła jej wydobył się krzyk:

— Och!... och!...

On drgnął cały.

— Pani!... Tuśko!.. uspokój się!... to noc, to hotel!...

Łzy lawiną płyną z jej oczu.

— Och!... och!...

W sąsiednim numerze zachrobotano.

— Tuśko... błagam cię! — mówił Porzycki.

Rozległo się pukanie.

— Proszę się zachowywać ciszej i przyzwoicie! — dał się słyszeć przez drzwi jakiś głos niechętny. — My chcemy spać!...

Na Tuškę jakby spadło uderzenie szpicruty.

— Zachowywać się przyzwoicie...

Pomimo wszystko cisnie się jej do mózgu wspomnienie takiej samej chwili.

Ktoś płacze w numerze hotelowym, ktoś łka, skarży się... jakaś kobieta...

A potem w ten płacz wpada bezlitosny rozkaz drugiej kobiety:

— Zachowywać się przyzwoicie...

Kiedy to było?

Kto były te dwie kobiety?

I nagle nad sobą słyszy głos mężczyzny:

— *Niech kiciątko nie płacze...*

Oprzytomniała.

Rozgarnia włosy, wstaje oddychając ciężko. Nie patrzy na niego. Kieruje się ku drzwiom.

On ją zatrzymuje.

— Czy pani rozumie, jakie mną pobudki kierują?

— Tak... tak...

— I pani mi przebacza?

— Tak... tak...

Klamki szuka, nacisnęła, wychodzi. On idzie za nią. To zbyt szybkie oprzytomnienie i uspokojenie się przeraża go po prostu. Nie rozumie, jakie pobudki tu w grę wchodzą.

On nie wie, że jedna z jego dawnych kochanek ułatwiła mu zadanie, utorowała swoją rozmową drogę.

Tuśka wchodzi do swego numeru.

Idzie prosto do łóżka. Kładzie się i leży z przymkniętymi oczyma. Porzyckiego zbiera ogromna litość nad tą biedą duchową, tyle dziwnie zrezygnowanego smutku ma w sobie jej twarz pobladła. Postanawia nie opuszczać Tuśki do ostatniej chwili.

Nie wie, że właśnie taka troskliwość powiększa tylko jej cierpienie. Pomimo wszystko jednak czuje on ulgę, rad, że wreszcie przebrnął najstraszniejszą chwilę... W ostatnich bowiem dniach czuł się nad wyraz wyczerpany tą fatalną sytuacją, jaka się wytworzyła.

Tuśka nie odzywa się ani słowem.

W oknie coś szarzeje. Światło świecy na stole żółknie. Jakby świt wstawał. Robi się chłodno w pokoju i smutek z każdego kąta wyziera. Porzycki zamyka cicho okno, po czym macza ręcznik w wodzie i kładzie go na głowę Tuśki. Wie, że w chwilach miłosnych tragedij kompres na głowę jest nieunikniony.

Nie odstępkuje od szablonu.

Usiadł przy stole, zapalił papierosa i dziwi się sam, że to wszystko jakoś gładko idzie.

Tuśka zdaje się spać. Tylko twarz jej poszarzała, jakby ktoś rozpylił nagle na nią garść popiołu.

Porzycki patrzy na nią i widzi ją po raz pierwszy bez pudru w całej prawdzie.

— Biedna... — myśli czując, że w sercu jego przeważa litość wielka, bezkresna.

Odwraca oczy. On więcej niż „miłości” lęka się tej przewagi współczucia swego dla kobiety.

— Dzieje się rzecz uczciwa!...

Po chwili przecież dodaje:

— Dlaczego taka bolesna?

Nadchodzi rano, nadchodzi dzień.

Porzycki wysunął się z pokoju, lecz nie położył się. Chodzi w swoim numerze. Nad-słuchuje. Z numeru Tuśki wreszcie rozlega się dzwonek. — Weszła pokojówka.

Gdy wyszła — Porzycki przywołuje ją skinieniem ręki.

— Czy te panie już wstały?

— Tak.

— Co robią?

— Ubierają się.

Pokojowa trzyma w ręku kartkę papieru.

— Co to?

— Telegram.

— Do Warszawy?

— Zdaje mi się.

Porzycki bierze kartkę do ręki. Trochę niepewnym pismem Tuśka nakreśliła:

— Warszawa — Żebrowski —

Warecka Nr XX

Przyjeżdżamy dziś wieczornym pociągiem

Tuśka

Porzycki oddaje ćwiartkę.

— Proszę to zanieść na telegraf.

Pokojówka odchodzi.

I teraz z kolei — powoli, automatycznie Porzycki dowleka się do łóżka i pada na nie, a wyraz ogromnej, smutnej rezygnacji ogarnia z wolna jego oczy, usta...

XXXIX

Gwizd przenikliwy.

Tupot, potracanie ludzi, rzeczy, woń jakiegoś wędnącego w rękach kobiety bukietu zmieszana z zapachem gryzącego węgla.

Koło wagonów idą Porzycki, Tuśka i Pita. Idą w milczeniu, jakby korowód skazańców. Tuśka niesie prześliczny bukiet, Pita ogromne pudło cukierków.

Na pozór są to ludzie spokojni, weseli, którym nic w życiu nie brakuje. Panie odjeżdżają, grzeczny znajomy odprowadza je na dworzec...

Słowem — wszystko w porządku.

Porzycki bardzo się troszczy, aby panie wygodnie jechały. Sam wybrał wreszcie oddzielny mały przedział, porozumiał się z konduktorem.

— Tu będzie paniom doskonale!...

Teraz układa ich drobnotki, ociera własną chustką pył, rozwiązuje cukierki. Czyni to wszystko gorączkowo. Nie patrzy na Tuškę, która blednie coraz więcej i słowa wymówić nie może.

Już wszystko ułożone, już nie ma co robić, czym się zająć. Trzeba wreszcie spojrzeć sobie w oczy i stanąć wobec prawdy całej i brutalnej.

Pita usiadła w kąci. Od rana oczy jej śledzą matkę. Co jednak to dziecko myśli, zgadnąć trudno. Tylko i ona jest jakby bledsza, jakby ten ogólny smutek i na nią cień swój rzucił.

— Jeszcze pięć minut!...

Tuśka nie odpowiada nic. Usiadła i widać, jak się męczy, jak strasznie panuje nad sobą, aby pozostać choć na pozór spokojną. Dwie krople krwi spływają jej z wargi, którą zębami przycięła.

Porzycki stoi w przedziale prawie na progu i nagle przychodzi mu jedna myśl do głowy.

— Czy to rzecz uczciwa, którą spełnia w tej chwili, uczciwa — względem tej kobiety, która dyszy rozpaczą i kona w każdej minucie...

Ta niepewność jest tak silna, że Porzycki już stoi na krawędzi, już niemal chce wyciągnąć rękę do Tuśki i zawołać:

— Chodź! biorę cię z sobą.

Lecz oto — sygnał odjazdu.

— Proszę wysiadać! — woła konduktor z przedziału pierwszej klasy.

— Do widzenia...

Porzycki rękę Tuśki ujął. Czuje, że jest martwa. Widzi te oczy błękitne, śliczne, tyle razy całowane, wpatrzone w niego z tak bezmiernym bólem, iż sam pod ich spojrzeniem słabnie.

Chce czymś pocieszyć tę rozpacz, ukoić, utulić, lecz — czym? czym?

Wzrok jego pada na Pitę i spotyka znów parę błękitnych oczu, wpatrzonych w niego, lecz z jakimś lękiem i grozą.

I z niewytłumaczonym dla siebie porywem chwyta Pitę w pól i rzuca ją niejako na piersi Tuśki.

— Zostańcie tak!... — mówi zdławionym głosem i wyskakuje z wagonu.

Pociąg rusza.

Pita, przytulona do matki, nie odrywa się od niej tak, jak by to uczyniła dawniej. Przeciwnie.

Cicho, łagodnie, kierowana czarownym instynktem, garnie się ku niej, ku tej zbiedzzonej, która jest tak w tej chwili nędzna, iż u *dziecka* opieki szuka.

Twarz Tuśki pochyla się ku główce Pity i ustami przywiera do złotych włosów.

I cicho, powoli zaczynają z błękitnych oczu matki padać duże, gorące łzy i płynąć wzdłuż czoła dziecka po jego bladej twarzy.

A pociąg w dal pędzi, rwąc w strzępy słabą nić, brylantami tkaną nić...
Jak kwiaty otwierają się dwa serca kobiece i kwitną dla siebie, dla innych...
Jedno własnym bólem, drugie — przecuciem tego bólu.
Tuśka... Pita...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/sezonowa-milosc>

Tekst opracowany na podstawie: Gabriela Zapolska, *Sezonowa miłość*, Wydawnictwo Literackie, Kraków.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana przez fundację Nowoczesna Polska. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Paulina Oltusek.

ISBN 978-83-288-1078-5

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.